

„Historyczna zagadka i najbardziej niepokojące bieżące problemy religijno-polityczne na świecie”. — *El País*

MATILDE ASENSI POWRÓT KATONA



MATILDE
ASENSI
POWRÓT KATONA

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Bożena Sęk



Tytuł oryginału:
EL REGRESO DEL CATON

Copyright © Matilde Asensi, 2015

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Ilustracje: © Luis Doyague

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Edyta Antoniak-Kiedos, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-7999-772-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czy je to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Epilog](#)

[Przy pisy](#)

*Dla mojego siostrzeńca Gonzala żeglarza,
dla siostrzenic Almudeny baletnicy i Berty gimnastyczki.*

*Dzięki, żeście skakali, tańczyli, grali na pianinie,
śpiewali i kłócili się nad moim pokojem i nad moją głową,
kiedy pisałam tę książkę i inne. Szczęśliwie rośliście
i moje życie ulegało poprawie.*

Coś Wam powiem, tak żeby nikt nie słyszał: kocham Was.

ROZDZIAŁ 1

Jak powszechnie wiadomo, historię piszą zwycięzcy i zwycięzcy z czasem nabywają dość władzy, by zmusić nas do wiary w to, co piszą, do zapomnienia o tym, czego nie spisano, i do wzbudzenia w nas strachu przed tym, co nigdy się nie zdarzyło. Wszystko po to, aby pozostać przy władzy, czy to religijnej, czy politycznej, czy gospodarczej. Ale co tam. Zwycięzcom przestaje zależeć na prawdzie, nam, zwykłym ludziom, także. Odtąd przeszłość piszemy od nowa, stając się współnikami tych, którzy nas oszukali, nastraszyli i zdominowali. Historia wszakże nie jest stała, nie została raz na zawsze wyryta w kamieniu, nie ma jedynej jej wersji ani jedynej interpretacji, mimo że tak się nam wmawia i co gorsza, każe nam się jej bronić, poświęcając swoje życie, gorliwość albo pieniądze. Z tego rodzą się ortodoksje, wielkie prawdy, ale także wojny, konfrontacje i podziały. I tym sposobem stajemy się pozyskani na zawsze. Ale wystarczy, że zdobędziemy się na odwagę, cofniemy o krok i na próbę spojrzymy na świat z innego niż nasz punktu widzenia, a odkryjemy i poznamy to, co najważniejsze: niepewność. Prawda nas wyzwoli, rzekł Jezus. Owszem, tyle że prawdę piszą zwycięzcy, toteż abyśmy faktycznie poczuli się wolni, mamy jedynie niepewność, nieufność i wątpliwości. Oraz jeszcze coś, czego ja długo się uczyłam: pamiętanie, że herezje – wszelkie, nie tylko religijne – są równie pewne jak ortodoksje i nie dają się narzucić siłą ani pokonać strachem. Wtedy bowiem przegrywają.

– O matko jedyna, nareszcie! – zawołałam tamtego popołudnia, wchodząc do domu i zrzucając wstrętne buty na obcasie.

– Już jesteś? – krzyknęła Isabella z salonu.

– Ottavio, zaraz tu będą – uprzedził mnie ostrożnie Faradz, kiedy wieszalałam żakiet w szafie przy wejściu.

– Nie mogę! – zaprotestowałam. – Czemu goście muszą przychodzić akurat wtedy, kiedy tyle się namęczyłam na tym głupim przyjęciu?

Faradz nie odpowiedział. Podszedł z cierpliwym uśmiechem i pocałował mnie w usta nie tyle namiętnie, ile mocno, jakby je zamykał. Odpowiedziałam tym samym i roześmialiśmy się zgodnie. Pocałunek to pocałunek, nie? Przyjęłam go za dobrą monetę, odsunęłam się z rozbawieniem w oczach i skierowałam do salonu.

Moja paskudnie młoda i śliczna siostrzenica Isabella, arogancko dziewiętnastoletnia studentka informatyki na Uniwersytecie Toronto, na którym Faradz i ja pracowaliśmy od zaledwie roku, siedziała na kanapie, oglądając telewizję. Podeszłam do niej, omijając stół, jej buty i pustą torbę po tych świństwach, którymi bez przerwy się objadała, ale o zgrozo! ani od nich nie tyła, ani nie

traciła apetytu. Wyciągnęła szyję, abym ją cmoknęła w policzek, i delikatnie mnie przesunęła w bok, żebym nie zasłaniała jej telewizora.

– No, zbieraj to wszystko i zmykaj do swojego pokoju – powiedziałam, zgarniając jej tablet, komórkę i buty. – Zaraz tu będzie rektor Macalister z jakimiś kolegami z uczelni.

– Przecież właśnie wróciliście od Macalistera, prawda? – Zdziwiona zerwała się szybko, aby pomóc mi pozbierać własne szpargały.

Isabella, Salinówna z krwi i kości, była równie buntownicza jak posłuszna. Mieszkała z nami od roku, odłąd skończyła szkołę średnią, i ku wielkiemu niezadowoleniu swojej matki postanowiła, że nie tylko nie chce nic wiedzieć o rodzinnych interesach, ale także nie zamierza dłużej siedzieć na Sycylii. Od urodzenia była moją ulubioną siostrzenicą – a miałam ośmioro rodzeństwa, które doczekało się dwadzieściorga pięściorga dzieci – i jak doskonale wiedziałam, specjalistką w manipulowaniu mną i uzy skiwaniu wszy stkiego, co tylko jej się zamarzy. Nie muszę dodawać, że dla wujka Faradża była po prostu ósmym cudem świata, osobą najinteligentniejszą, a odłąd dorosła – najwspanialszym dziełem sztuki (w dzieciństwie była oczywiście najpiękniejszą dziewczynką).

Kiedy stojąc z pilotem w ręku, wyłączyła telewizor, obojętnie wyciągnęła szyję w bok, by nadstawić wujkowi policzek do pocałunku. Taka właśnie była: pieśczocho jak mało kto, wysoka na metr osiemdziesiąt, chuda jak tyćka, o przepięknych czarnych oczach obwiedzionych długimi rzęsami i długich jasnołasztanowych włosach, które związywała gumką. Co oznacza, że fizycznie w ogóle nie była do mnie podobna.

– Faktycznie przyszliśmy od Macalistera – potwierdziłam, wtykając jej w ręce wszystkie manele, łącznie z butami. – Ale pan rektor oznajmił, że punkt siódma zjawi się tutaj w towarzystwie dwóch ważnych osobistości, które żyćzą sobie nas poznać.

– Znowu chodzi o Konstancy na? – spytała z niechęcią, ruszając w stronę schodów, które prowadziły na górę do jej pokoju.

– Nie możesz zapominać – zwrócił jej uwagę wujek, siadając na kanapie naprzeciwko tej, którą przed chwilą zajmowała Isabella – że jesteśmy słynnymi odkrywcami grobowca Konstancy na Wielkiego. Nasza sława i reputacja idą przed nami.

– No to powodzenia! – prychnęła pogardliwie, znikając na górze. Chociaż wszędzie osaczał nas język angielski, w domu między sobą rozmawialiśmy tylko po włosku. – Bawcie się dobrze! Do jutra.

– Dobranoc! – odkrzyknęłam, siadając obok Faradża, który objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. – A niech mnie, naprawdę kością w gardle mi staje imię Konstancy na Wielkiego – westchnęłam zrezygnowana.

– Jak wspomniałem, basileja 1, nasza sława i repu...

– Och, zamknij się, profesorku! – zezłościłam się i ugryzłam go lekko w szyję tuż poniżej ucha.

– Aj!

W tej chwili rozległ się dzwonek u drzwi. Wzdrygnęliśmy się oboje.

– Która godzina? – zaniepokoił się Faradz i szybko spojrzął na zegarek – Dopiero za dziesięć siódma!

– Schowaj moje szpilki! – rzuciłam tylko, biegnąc do naszej sypialni po buty na płaskim obcasie, które by mi pasowały do ślicznego żakietu w kolorze błękitu egipskiego i czarnej sukienki.

W porę wróciłam do drzwi, by ze szczerą radością powitać rektora uniwersytetu Stewarta Macalistera oraz uroczą parę osiemdziesięciolatków (albo i dziewięćdziesięciolatków) o miłym uśmiechu odsłaniającym białe zęby. Twarz starszego pana wydała mi się znajoma, lecz nie potrafiłam sobie przypomnieć, gdzie ją widziałam.

– Dobry wieczór, Ottavio – przywitał się Macalister. – Faradz... Pozwólcie, że przedstawię Becky i Jake'a Simonsonów, moich starych przyjaciół i bliskich współpracowników naszej uczelni.

– Państwo Simonsonowie? – wykrzyknęliśmy wraz z Faradzem, ze zdumieniem patrząc na osiemdziesięciolatków (albo i dziewięćdziesięciolatków), którzy z szerokim uśmiechem wchodzili do naszego domu zachęceni przez Macalistera.

Jake Simonson, z bródką w szpic i ciemnymi plamami na pergaminowej skórze, ujął moją dłoń i z ukłonem wytwornie uniośł ją do ust, równocześnie Faradz podobnie powitał kościstą, elegancką Becky.

Któż choć raz w życiu nie słyszał o Simonsonach? Zużyto morze atramentu, pisząc o nich, ich rodzinie i wielkiej fortunie; opublikowano wiele książek, w których udowodniano ich przynależność do groźnych tajnych stowarzyszeń, spiskowanie w celu zawładnięcia światem i niewątpliwe pozaziemskie pochodzenie. Oczywiście tutaj, w salonie mojego domu w Toronto, wyglądali na zwyczajną parę zamożnych staruszków, a jeśli ich przodkowie wywodzili się z innej planety, zupełnie tego po nich nie było widać. Inna rzecz, że chcieli zawładnąć światem, tylko po co, skoro już rządzą wszystkim dzięki rozlicznym interesom i międzynarodowym firmom z branży naftowej? Uznysłowiłam sobie naraz, jakiego rodzaju współpraca łączy ich z Uniwersytetem Toronto: pieniądze. I to niemałe, jak się domyślałam.

Macalister, czując się jak u siebie (w gruncie rzeczy był u siebie, ponieważ budynek stał na terenie kampusu uniwersyteckiego), usadowił Becky i Jake'a na jednej z naszych sof, po czym zakrzętnął się około napitków: bourbona dla panów, dżinu dla Becky i zwykłego napoju chłodzącego dla mnie, bo alkohol zawsze mi smakował jak lekarstwo. Na szczęście Faradz szybko się uwinął z wieszaniem w szafie okryć Simonsonów, nie zostawiając mnie długo samej, i wrócił w porę, aby wyręczyć Macalistera w nalewaniu do szklanek i dodawaniu lodu. W tych

pierwszych chwilach rozmowa toczyła się zupełnie o niczym. Becky Simonson wyznała mi, jak smutno jej, że znalazła się w Toronto, swoim mieście, akurat w maju, przy tak brzydkiej deszczowej pogodzie, i taktownie poskarżyła się na chłód w moim salonie. Chociaż aura faktycznie była paskudna, bardziej zimowa niż wiosenna – na pewno z powodu zmian klimatycznych – mnie temperatura w salonie wydawała się wystarczająca, niemniej czym prędzej podkręciłam ogrzewanie, zwłaszcza że Jake, któremu Macalister opowiadał właśnie o zaszczycie, jakim jest dla uniwersytetu ściągnięcie odkrywców mauzoleum Konstantina, dyskretnie zatarł ręce, próbując je rozgrzać. Nie miałam wątpliwości, że zjechali do Kanady z jakiegoś dużo cieplejszego miejsca, na pewno bowiem zimę spędzali na którejś karaibskiej wyspie. W życiu nie sądziłam, że Simonsonowie są Kanadyjczykami, wydawało mi się raczej, że Brytyjczykami lub Amerykanami (ze względu na ogromną fortunę).

Oczywiście nie przypuszczaliśmy nigdy, że będziemy pracowali na Uniwersytecie Toronto, a tym bardziej że zamieszkały w Kanadzie. Po wyjeździe z Aleksandrii, by „odkryć” grobowiec Konstantina, gdy na całym świecie zrobiło się o tym głośno, pod naciskiem władz tureckich musieliśmy na osiem lat zostać w Stambule. Pracowaliśmy ciężko, publikowaliśmy niezliczone artykuły, wygłaszaliśmy wykłady, byliśmy obsypywani nagrodami, udzielaliśmy wywiadów, kręciliśmy programy dokumentalne dla telewizji i otrzymywaliśmy oferty pracy z uniwersytetów na całym świecie. Jednakże zamierzaliśmy wrócić kiedyś do Aleksandrii, do domu. Niestety, w tym czasie zmarł Butros Boswell, ojciec Faradża, a Faradżowi, zaniepokojonemu postępującą islamizacją Egiptu i atakami terrorystycznymi na koptów, swoich współwyznawców, niewiele było trzeba: wystarczył wybuch protestów przeciwko rządowi Bractwa Muzułmańskiego w listopadzie 2012 roku i zamach stanu w 2013, a zaraz pozamykał domy, spakował ruchomości i zakończył ten etap naszego życia.

Resztę roku 2013 spędziliśmy w Rzymie, próbując się zdecydować, który spośród licznych uniwersytetów, pragnących przyjąć nas do swego grona profesorskiego, najlepiej pasuje do naszych aspiracji zawodowych. Światowy kryzys gospodarczy trwający od roku 2008 nie pozwolił nam zbyt długo zwlekać z decyzją, mieliśmy jednak trochę oszczędności, tak że mogliśmy sobie bez problemu pozwolić na mieszkanie przez kilka miesięcy w Rzymie i płacenie za wynajem magazynu, w którym trzymaliśmy rzeczy przywiezione z Aleksandrii. I wtedy niczym zbawca na białym koniu zjawił się (a jakże) rektor Uniwersytetu Toronto, Stewart Macalister, człowiek pod sześćdziesiątkę, lecz ciągle nadzwyczaj atrakcyjny, z bujną szpakowatą czupryną, i zaproponował Faradżowi posadę dyrektora Ośrodka Studiów Archeologicznych, a mnie słynne stypendium naukowe Owena-Alexandre’a, żebym w zamian za kilka zajęć tygodniowo z paleografii bizantyńskiej na mediewistykę mogła sfinalizować swoje najważniejsze dzieło: rekonstrukcję na podstawie innych kodeksów osławionego zaginionego *Panegyrikonu*

świętego Nikifora, nad którą pracowałam od ponad dziesięciu lat i którą z różnych powodów ciągle odkładałam, nie mogąc jej skończyć. Było znakomicie. A kiedy dodatkowo ostatniego lata Isabella przeniosła się do nas i rektor zobaczył, że ma do czynienia z pełną rodziną, zaproponował jej studia na uniwersytecie na dowolnym kierunku, ona zaś, idąc za przykładem wielu swoich starszych kuzynów, wybrała informatykę, z której Uniwersytet Toronto słynął – był w pierwszej dziesiątce najlepszych uniwersytetów na świecie.

Szybko mijały miesiące, raz-dwa upłynął nam tutaj pierwszy rok życia, które całkiem nam się podobało w wygodnym domu. Po szaleństwie czasów spędzonych w Turcji i Rzymie tu była oaza spokoju, skupienia i wyciszenia, o ile odsunęło się na bok świadomość posiadania dziesięcioletniej siostrzenicy mającej wygórowane mniemanie o sobie i wybujałą skłonność do tyranizowania innych.

– Podoba się pani Kanada, pani Boswell? – zapytał uprzejmie Jake Simonson, wyrwijając mnie z zamyślenia.

Spojrzałam z uśmiechem na multimilionera.

– Salina... Salina – powtórzyłam dobitnie. – Nie Boswell. – Na Boga, co za manię mają ci Anglosasi, żeby pozbawiać kobiety nazwiska panińskiego! – Oczywiście, że mi się podoba – ciągnęłam, odpowiadając na jego banalne pytanie o Kanadę. – Obojgu nam się bardzo podoba. W niczym nie przypomina Egiptu i Włoch, ojczyzny Faradża i mojej, ale zachwyceni jesteśmy tutejszą wielokulturowością i pełni podziwu dla ogromnej tolerancji Kanadyjczyków i ich szacunku wobec odmienności.

– Ale muszą państwo przyznać, że klimat jest straszny, takie tu zimno – wtrąciła Becky Simonson z przeproszającym uśmiechem, rozglądając się wokół.

Chociaż w salonie było już wystarczająco ciepło, Faradż podszedł do termostatu i jeszcze podniósł temperaturę.

Rozmowa potoczyła się dalej o niczym, zrobiło się nudno, aż zaczęłam się zastanawiać, czego do diabła Simonsonowie szukają w moim domu o tej porze. Nawet mimochodem nie poruszyli cudownego tematu mauzoleum Konstantyna, chociaż napomknął o tym rektor, a to zdarzało się bardzo, bardzo rzadko. Jake i Becky Simonsonowie nie wydawali się zainteresowani naszym ogromnym odkryciem ani osiągnięciami akademickimi. Znałam dynamikę tego rodzaju wizyt, toteż coś mi tu nie pasowało. Oni tu nie przyszli z powodu pierwszego chrześcijańskiego cesarza, to było jasne. Faradż posłał mi dyskretne spojrzenie, zrozumiałam więc, że myśli o tym samym co ja. Zauważył to nasz leciwy gość.

– Pewnie się państwo zastanawiają – rzekł cichym głosem – jaki jest powód tego nieoczekiwanego spotkania o tak niestosownej porze i akurat dzisiaj.

– Ależ nie, Jake! – obruszył się Macalister, zakładając nogę na nogę i oburącz ujmując

szklaneczkę z bourbonem. – Dyrektor Boswell i doktor Salina są zachwyceni, że mogą was gościć. Wiedzą przecież, że ludzie waszego pokroju zawsze mają mało czasu.

Nigdy nie widziałam, żeby Macalister odnosił się do kogoś z takim szacunkiem (albo żeby tak się komuś podlizywał). W porządku, to Simonsonowie, wyczuwałam jednak coś więcej. Pan Simonson był drobny, chudy, pokurczony, łysawy, niemniej twarz miał życzliwą i dość miłą dla oka, ozdobioną przyciętą w szpic siwą bródką, która nadawała mu wygląd średniowiecznego rycerza. Jego żona niewątpliwie była niegdyś piękną, należała do kobiet, na których widok od razu myślisz, jak wyjątkowe musiały być w młodości. Teraz skórę miała tak przejrzystą, że prześwitywały przez nią żyły, a srebrne włosy zdawały się jarzyć własnym blaskiem. Aczkolwiek mógł to być oczywiście efekt kosztowności, którymi była obwieszona – ich wartość z pewnością znacznie przewyższała każdą sumę, jaką byłam w stanie sobie wyobrazić.

Jak gestem podziękował Macalisterowi za miłe słowa, nam skinął głową, po czym poprawił się na sofie obok żony i spojrzawszy na nią, rzekł:

– Becky, mogłabyś dać mi relikwiarz?

Becky Simonson otworzyła swoją szykowną czarną torebkę od Hermèsa z krokodylej skóry i powolutku wyjęła srebrną prostokątną kasetkę, która mieściła się w jej wytwornej dłoni. Nie spuszczając z niej wzroku, Jake wziął kasetkę, przysunął się do nas nieco, podniósł głowę i popatrzył na Faradża i na mnie z ciekawością antropologa obserwującego dwoje tubylców z pokładu statku kosmicznego. Dopiero wtedy dotarł do mnie drobny szczegół z tego, co powiedział do żony, prosząc ją o kasetkę: relikwiarz. Powiedział „relikwiarz”, a relikwiarz, z tego co wiedziałam, mógł służyć tylko do jednego. Serce stanęło mi w piersi. Jaką relikwię zawierało to puzderko? I co ważniejsze: co w moim domu robiła relikwia? Spociłam się jak mysz z wrażenia, choć wołałam udawać przed sobą, że to z powodu zbyt wysokiej temperatury w pokoju.

Przez trzydzieści lat byłam we Włoszech mniszką, zakonnicą Zgromadzenia Błogosławionej Marii Panny; w tym czasie przez dziewięć lat, od 1991 do 2000 roku, kierowałam pracownią restauracji i paleografii w Tajnych Archiwach Watykanu; w roku 2000 z upoważnienia najwyższych hierarchów Kościoła katolickiego uczestniczyłam z Faradżem w poszukiwaniu relikwii Krzyża Prawdziwego – krzyża, na którym, jak się wierzy od chwili znalezienia go w IV wieku, ukrzyżowany został Jezus z Nazaretu. Relikwie te wówczas zrabowano z różnych świątyń na całym świecie (przy okazji zakochałam się w Faradżu i przez niego nie przedłużyłam ślubów zakonnych i w ogóle). Ponieważ poszukiwania się nie powiodły, nie dopadliśmy także złodziei, na cztery długie lata watykańskie siły porządkowe wzięły nas pod lupę, tak że kiedy wdychaliśmy w Aleksandrii, w Rzymie o tym wiedzano, zanim zdążyliśmy wypuścić powietrze z płuc.

Wychowana zostałam w wierze katolickiej i miłości do Boga, byłam żarliwą katoliczką i właśnie dlatego nie wierzyłam w relikwie, nie lubiłam ich, a po wypadkach w związku

z Krzyżem Prawdziwym dostawałam na ich widok mdłości i wysypki. Na swoje nieszczęście po czternastu latach jedna z nich znalazła się w moim salonie, toteż w głowie natychmiast powłączały mi się wszystkie możliwe dzwonki alarmowe. Mój biedny mąż pocił się równie mocno jak ja, tyle że mnie wypadało zrzucić żakiet, natomiast musiał pozostać w marynarce ze względu na gości. Mimo woli – myślę, że z powodu gorąca w pokoju i tej relikwii – wspomniałam żelazną podłogę rozgrzaną do czerwoności w katakumbach w Syrakuzach oraz krąg rozżarzonych węgla, po którym musieliśmy przejść boso w późniejszym czasie. Powrót tych odległych wspomnień był najwymowniejszym dowodem, że podskórnie wyczuwałam niebezpieczeństwo.

Jakę Simonson położył relikwiarz na rozdzielającym nas stoliku i wolno popchnął go w naszą stronę. Umysł doktora paleografii i historii sztuki wbrew mojej woli kazał mi się skupić na tym delikatnym, pięknym przedmiocie: przedstawiał malutki sarkofag ze szklanym wiekiem, wsparty na czterech miniaturowych orłach, po bokach ozdobiony błękitno-złotą emalią.

– Potrafiliby państwo określić jego wiek? – zapytał stary Simonson.

Poddaje nas próbie? zdumiałam się. Jeśli tak istotnie było, wbrew swojemu instyktowi przetrwania nie miałam wyjścia, musiałam odpowiedzieć na wyzwanie. Nosiłam to w genach, nie mogłam postąpić inaczej. Czy mi się to podobało, czy nie, wywodziłam się z sycylijskich Salinów, a Salinowie odpowiadali na każde wyzwanie, choćby na szali kładli życie.

– Bez wątpienia trzynasty wiek – orzekłam pewnym głosem. – Francja. Emalia ze szkoły Limoges.

Jakę Simonson nawet nie próbował ukryć podziwu.

– W niecałą minutę – powiedział. – I to bez oglądania z bliska. I bez dotykania. Pani doktor, jest pani lepsza, niż fama głosi. Bez dwóch zdań.

Już miałam łyknąć te pochlebstwa, wtem jednak za sprawą wrodzonej nieufności pomyślałam, że w tej scenie nie ma może nic przypadkowego, że wyzwanie rzucono, mając pewność, iż je podejmę, a celem było polecthanie mojej ogromnej – i chyba powszechnie znanej – próżności zawodowej, aby mnie urobić lub pozytywnie nastawić do tego, czego Jakę naprawdę pragnie i do czego z pewnością zaraz przejdzie.

– Niech go państwo łaskawie obejrzą – poprosił tym swoim wytwornie modulowanym głosem.

Ani drgnęłam. Jeśli w srebrnym puzderku była faktycznie relikwia, nie chciałam o tym wiedzieć, a tym bardziej dotykać szkatułki. Faradz jednak wyciągnął dłoń i ujął puzderko. Twarz mu pociemniała, zamrugał nerwowo i swymi pięknymi niebieskimi oczami ukrytymi za okrągłymi staromodnymi okularkami, które tak lubił, zaczął wodzić po wnętrzu relikwiarza. Cóż, wkrzyło mnie to bardzo.

– Co jest? – zapytałam.

Próbował rozewrzeć usta i coś powiedzieć, lecz nie zdołał. Podał mi puzderko. Mój niepokój wzrósł gwałtownie, choć jednak zawsze spodziewałam się najgorszego, to, co zobaczyłam przez szklane wieczko relikwiarza, dosłownie odebrało mi mowę. Czegoś takiego po prostu się nie spodziewałam.

– Poznają państwo relikwię? – spytała Becky Simonson słodziutko.

Zabiłabym ją, gdyby morderstwo nie było sprzeczne z moimi przekonaniami. Trudno było zaprzeczyć: czternaście lat wcześniej za naszą sprawą odbyło się wielkie poszukiwanie tych drzazg, które w pierwszym tysiącleciu naszej ery władcy i prości pielgrzymi kradli albo otrzymywali w darze, doskonale wiedzieliśmy zatem, na co patrzymy. Bez cienia wątpliwości była to relikwia Krzyża Prawdziwego. A najdziwniejsze było to, że w żaden sposób nie mogła być prawdziwa, o czym wiedzieliśmy tylko my z Faradżem (oraz kilka osób żywo zainteresowanych ukrywaniem tego), nigdzie na świecie bowiem nie przechowywano już autentycznych ułamków Krzyża Prawdziwego, wszystkie sfalszował sam Kościół, by podtrzymać ich kult wśród wiernych. Inna rzecz, że mieliśmy do czynienia z Simonsonami, a czy na tym świecie jest coś niemożliwego dla osoby noszącej to nazwisko? Ale nie, pomyślałam, nawet oni nie są dość potężni, aby się uchronić przed nadzwyczaj inteligentnymi ludźmi, którzy kradli *Ligna Crucis* (to liczba mnoga od *Lignum Crucis*, Drzewa Krzyża). Poznaliśmy ich swego czasu, więc byłam świadoma, jakie mają możliwości.

– Czy to kołec z korony cierniowej Jezusa? – zażartował Faradż, unikając odpowiedzi wprost.

– Mógłby być – przyznał stary Jake. – Badanie metodą węgla czternaście wskazało na pierwszy wiek naszej ery. Ale jeśli przyjrzy się pan dobrze końcom, zauważy pan, że to nie kołec, tylko drzazga. To relikwia Krzyża Prawdziwego.

Nie zdołałam się pohamować.

– Skąd pan wie? – wyrwało mi się. – Mogło dojść do pomyłki.

Sędziwy Simonson popatrzył na żonę i oboje uśmiechnęli się pogodnie.

– Jak pani zapewne się orientuje, finansujemy wiele wykopalisk na całym świecie w ramach działalności naszych muzeów i uniwersytetów na rzecz kultury. – Uśmiechnął się znowu i wyciągnął prawą rękę, żeby wziąć ode mnie relikwię; oczywiście niczego bardziej nie pragnęłam, toteż czym prędzej przekazałam mu puzderko i nieświadomie wygładziłam spódnicę gestem, który służył mi często jako również nieświadomy sposób zajęcia czymś rąk – Zapewniam, że nie budzi wątpliwości miejsce, gdzie znaleziono relikwiarz w czasie wykopalisk, podobnie jak nie budzi wątpliwości list francuskiego króla Ludwika Dziewiątego do Gujuka, który od tysiąc dwieście czterdziestego szóstego do czterdziestego ósmego roku był wielkim chanem Mongołów. W liście czytamy między innymi o tym, że ta relikwia jest darem wraz z pięknym

puzderkiem ozdobionym motywem nawrócenia się Gujuka na chrześcijaństwo. – Wykrzywił ironicznie usta. – Król Ludwik obarczył dominikanina brata Andrzeja z Longjumeau misją dostarczenia listu i darów, ale kiedy po rocznej podróży pocziwy braciszek dotarł w okolice Karakorum, do mongolskiej stolicy, ku jego wielkiemu niezadowoleniu okazało się, że Gujuk właśnie umarł, i to nieochrzczony, toteż mnich z wielkim żalem musiał przekazać dary wdowie po Gujuku, regentce Oguł Kajmysz, tyle że z czystej pobożności zachował sobie świętą drzazgę.

– Nie mógł jej zostawić w rękach pogan – wyjaśniła podeksycytowana Becky, pragnąc nam uświadomić, w jak kłopotliwym położeniu znalazł się Longjumeau, a nie znieważać Mongołów czy pogardliwie się o nich wyrazić. – Brat Andrzej poczuł się zobowiązany ratować relikwię, chociaż musiał przekazać Oguł Kajmysz całą resztę daru, nadal cennego, mimo że w części podmienionego.

– Nie wiemy, jak to się odbyło – ciągnął jej mąż, gładząc brzeg relikwiarza – ale zabrał go z sobą w drogę powrotną i z nim dotarł do Palestyny. Nie zwrócił go jednak królowi Ludwikowi, kiedy w Cezarei złożył mu raport ze swojej misji. Ludwik był wtedy w Ziemi Świętej jako przywódca siódmej wyprawy krzyżowej i właśnie muzułmanie go uwolnili w zamian za sowity okup. Obawiam się, że albo brat Andrzej nie mógł się rozstać z relikwią – mówił Jake z uśmiechem – albo się bał, że Ludwik odda ją jakiemuś innemu poganinowi lub wykorzysta jako okup za innego jeńca. Relikwia trafiła ostatecznie do grobu Longjumeau i niedawno została odnaleziona podczas prac wykopaliskowych na terenie katedry krzyżowców w dawnej Cezarei, między Tel Awiwem a Hajfą w Izraelu.

Po ostatnich słowach Jake’a w salonie zapadła cisza. Ręka Faradża pokonała dzielącą nas niewielką odległość i mocno ścisnęła moją dłoń. Potrzebowaliśmy jakoś porozumieć się bez słów, przekazać sobie myśli kłębiące nam się w głowie, tak by Macalister ani Simonsonowie nie wiedzieli o tym. Dotyk męża utwierdził mnie w przekonaniu, że on jest równie jak ja zdumiony i zaskoczony i wie, że drzazga leżąca przed nami to niewątpliwie ostatnia prawdziwa *Lignum Crucis* pozostała na powierzchni ziemi.

Wzdrygnęliśmy się oboje, gdy Becky naraz uroczo się zaśmiała.

– Och, Jake, zobacz, osłupieli! – powiedziała nadzwyczajnie rozbawiona.

– Widzę, widzę, kochanie – odparł Jake, również się śmiejąc. – Mam nadzieję, że nie poczuli się państwo urażeni komentarzem mojej żony.

Do rozmowy włączył się Macalister. Widać było, że jest mocno zdezorientowany, nie wiedząc, o co chodzi, lecz świadom, że dzieje się coś niebywalego.

– Nie martw się, Jake – rzucił pod nose. – Na ciebie Boswellowie nie mogą się obrazić za żart.

Korciło mnie, by krzyknąć: „Ależ możemy!”, Becky jednak w zasadzie miała słuszość:

osłupieliśmy oboje. Nie podejrzewaliśmy natomiast, że nasze osłupienie jeszcze trochę wzrośnie.

– No, a teraz – rzekł stary Simonson, zostawiając relikwiarz na stoliku – może byśmy pogadali o stawrofilakach i waszym przyjacielu obecnym łatonie, wcześniej znanym jako kapitan watykańskiej Gwardii Szwajcarskiej nazwiskiem Kaspar Glauser-Röist?

ROZDZIAŁ 2

Zawsze podziwiałam w Faradżu jego umiejętność odnajdywania się w trudnych sytuacjach i łatwość panowania nad sobą. Ja tego nigdy nie potrafiłam. Gubi mnie impulsywność, południowa krew. Łatwo się zdradzam i odsłaniam przed przeciwnikiem (oczywiście nie dosłownie). Z tego właśnie powodu Glauser-Röist, jak się dowiedziałam swego czasu, obdarzył mnie przed laty niezbyt miłym przezwiskiem, którego nie zamierzam tu wspominać. Ja nazywałam go Głaz z powodu bezgranicznej serdeczności i wylewności. Tyle że jeśli chodzi o mnie, miałam niejako pełne prawo tak go nazywać, ponieważ zachowywał się absolutnie poprawnie i nienagannie. A dlaczego on w taki sposób obrażał mnie za plecami, zwłaszcza że byłam jeszcze wtedy zakonnicą? Nie miał żadnego powodu, nawet jeśli ostatecznie został ważną postacią, katonem, czyli przywódcą sekty istniejącej od ponad tysiąca lat. I dlaczego, zastanawiałam się, nieufnie patrząc na naszych gości, Jake Simonson ma czelność wspominać Glausera-Röista, jakby wolno mu było zrobić to ot, tak? Za kogo się uważa ten multimilioner, że tak lekko mówi o istniejącym od siedemnastu wieków urzędzie sprawowanym obecnie przez Kaspara? Na całe szczęście, jak już powiedziałam, mój mąż znacznie lepiej niż ja radził sobie w trudnych sytuacjach.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Simonsona złowieszczo chłodnym głosem, mocno ściskając moją dłoń, żebym przypadkiem czegoś nie powiedziała albo nie zrobiła jakiegoś gestu. – Nasz przyjaciel Kaspar zmarł przed laty i nie podoba mi się ton, jakim pan o nim mówi.

Tu nasz prosty multimilioner zwrócił się do rektora Macalistera:

– Stewarcie, czy mógłbym cię prosić, żebyś zostawił nas samych z państwem? Wiem, że to niezbyt uprzejme, ale zapewniam cię, że konieczne.

Chociaż słowa Simonsona były grzeczne, ton głosu zupełnie nie wskazywał na prośbę. Zabrzmiało to niemal jak rozkaz, co Macalister w lot zrozumiał. W gruncie rzeczy od dłuższej chwili pozostawał na uboczu i zdawał sobie z tego sprawę. Już zobaczył i usłyszał rzeczy, których nie powinien był zobaczyć i usłyszeć.

– Naturalnie, Jake. Nie ma sprawy – powiedział, odstawiając szklanczkę z bourbonem na stolik i podnosząc się z miejsca. – Dobrze mi robi przechadzka. Miałem ciężki dzień.

– Nasz samochód może cię odwieźć – zaproponowała Becky, która także nie wyglądała na przejętą tak brzydkim potraktowaniem rektora uniwersytetu, jakby od dawna na co dzień miała do czynienia z tego rodzaju sytuacjami.

– Nie, nie! – odmówił Macalister, kładąc Faradżowi dłoń na ramieniu. – Nie wstawajcie, proszę. Wiem, że macie ważne rzeczy do omówienia, a ja chętnie rozprostuję nogi i odetchnę

świeżym powietrzem.

Tu miał słusność. Też bym odetchnęła świeżym powietrzem po tym nieznosnym upale w salonie, lecz nie mogłam wyjść ani nawet się poskarżyć, bo mimo że chętnie bym wyprosiła ze swojego domu tych osiemdziesięciolatek (albo dziewięćdziesięciolatek) i nigdy więcej ich nie oglądała, kwestia Glausera-Röista była zbyt ważna, żeby jej nie zgłębić, i zbyt niebezpieczna, żeby zostawić ją samej sobie. Dla dobra tajnego bractwa stawrofilaków i przede wszystkim dla dobra Katona CCLVIII (dwieście pięćdziesiątego ósmego) musieliśmy się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Najtrudniejsze było wydobycie informacji z Simonsonów, nie dając im w zamian nic.

W absolutnej ciszy słuchaliśmy, jak Macalister wychodzi i drzwi zamykają się za nim z głuchym trzaskiem. Przyszła pora, aby nasi goście odkryli karty.

– Może teraz – szepnął Faradz do Simonsona z hamowaną irytacją w głosie – będzie pan tak uprzejmy i wyjaśni, co tu się dzieje. Sam nie wiem, czy to, czego właśnie byłem świadkiem, nazwać potraktowaniem z buta rektora mojego uniwersytetu, czy przeciwnie, jest czymś normalnym między wami i nie powinienem przykładać do tego wagi.

– Och, Stewartem proszę się nie przejmować! – odparł multimilioner, niedbale machając ręką na znak, że nic takiego się nie stało. – Znamy się od wieków. Jego dziadkowie i rodzice byli naszymi przyjaciółmi.

Dziadkowie i rodzice? To ileż lat mają ci ludzie? Wyraźnie widziałam, że kto ma naprawdę dużo pieniędzy, może sobie kupić życie dłuższe niż normalne.

– Proszę zatem – powiedział Faradz, marszcząc czoło – przejść do sprawy, która państwa tu sprowadza, bo robi się późno i pewnie chcieliby państwo wrócić do domu.

Nie sądzę, żeby Jake Simonson był przyzwyczajony do takiego traktowania, co widziałam w jego twarzy, ani żeby skądkolwiek go wypraszano.

– Przede wszystkim – odezwała się Becky, uprzedzając Jake'a, który starał się zamknąć usta trzymane dotąd rozwarłe – chcę państwa przeprosić za zapalczywość mojego męża. Jeśli pilno mu do czegoś, nie dba o maniery. A pilno mu do spotkania ze stawrofilakami. Proszę to zrozumieć.

– Wszystko, co odkryliśmy na temat stawrofilaków, kiedy czternaście lat temu pracowaliśmy na zlecenie Watykanu – wyjaśnił Faradz ze znużeniem w głosie, nieświadomie pozwalając, by wyczuwalny był jego akcent arabski, normalnie nieuchwytny – już nieraz powiedzieliśmy przedstawicielom Kościoła i policji. – Zacerpnął powietrza i jakby recytował lekcję wykutą na pamięć, zaczął referować w skróconej wersji zakończenie tamtego nieudanego dochodzenia: – Pierwszego czerwca dwutysięcznego roku zostaliśmy brutalnie pobici i uprowadzeni w trakcie przeszukiwania katakumb Kaum asz-Szukafa w Aleksandrii. Wywieziono nas do oazy Farafra na

egipskiej pustyni. Porywacze, stawrofilacy, których ścigaliśmy przez pół świata, powiedzieli nam, że kapitan Glauser-Röist nie przeżył ich ataku, ale nie pokazali jego ciała. Przez miesiąc Beduin imieniem Bahari trzy razy dziennie przynosił nam jedzenie do komórki, w której nas trzymali. Wreszcie pierwszego lipca uspili nas jakimś narkotykiem i nieprzytomnych porzucili. Nic nie pamiętamy, obudziliśmy się u wylotu starego tunelu wychodzącego na jezioro Mareotis w Aleksandrii. Nie chcieliśmy później prowadzić dalszych poszukiwań, więc Watykan posłał inną ekipę w pościg za złodziejami relikwii Krzyża Prawdziwego. Nic więcej nie wiemy.

Simonsonowie popatrzyli na siebie z miną mówiącą, że nie wierzą w ani jedno słowo Faradża.

– Tak wiemy o tym wszystkim – przyznał Jake. Becky w milczeniu pokiwała głową. – I muszę przyznać, że to naprawdę dobra historyjka. Pewnie sami stawrofilacy pomogli wam ją wymyślić, co? Więcej niż pół życia zeszło mi na poszukiwaniu tego bractwa, więc wiem, do czego są zdolni jego członkowie. W roku dwutyśiecznym śledziliśmy z Becky wasze przygody z ogromnym...

– Niemożliwe! – przerwałam mu.

– Możliwe, kochanie – zapewniła Becky pojednawczo. – Jake powiedział prawdę. Mamy wielu przyjaciół w Watykanie i w innych Kościołach. Kiedy się rozeszło, że na całym świecie wykładane są *Ligna Crucis*, zrozumieliśmy, że stawrofilacy wreszcie przystąpili do dzieła, że nastał czas, na który czekali od wieków, i nic ich nie powstrzyma. Śledziliśmy minuta po minucie wasze działania, wiedzieliśmy o wszystkim, coście odkryli, i powołałiśmy ekipę specjalistów, którzy pracowali równolegle, badając każdy szczegół, każde odkrycie, każdą próbę w dantejskich kręgach czyścica...

– A po co? – zapytał Faradż słodziutkim głosem. Chroniliśmy coś zbyt ważnego, by wpadło w ręce fanatycznych szaleńców, choćby nie wiadomo jak byli bogaci i choćby nie wiadomo jakimi środkami dysponowali.

– Bo po raz pierwszy – wyjąwił Jake ze wzruszeniem w głosie – miałem stawrofilaków na wyciągnięcie ręki i nie mogłem pozwolić, żeby mi się wymknęli.

– I wymknęli się panu? – zapytałam niewinnie.

Twarz starca spochmurniała.

– Tak. Wymknęli się. Mało tego, zlikwidowali próby kręgów czyścicowych, tak że nie dało się już zlokalizować wejść.

– Dlatego tu jesteśmy – oznajmiła Becky, z niepokojem spoglądając na męża. – Potrzebujemy waszej pomocy. Liczyliśmy, że gdzieś się pojawi ostatnia prawdziwa *Lignum Crucis*. – Westchnęła. – Nie wyobrażacie sobie, jakie to było trudne. Jak wiecie, w tej chwili wszystkie *Ligna Crucis* rozproszone po świecie to zwyczajne podróbki. – Uśmiechnęła się. – Ale ta – wskazała relikwiarz – jest autentyczna. To ostatnia autentyczna drzazga. I dlatego bezcenna...

oczywiście dla nich, dla stawrofilaków. Tylko tego fragmentu im brakuje, żeby krzyż był cały. A my mamy pełną świadomość, że to nasza ostatnia szansa.

Faradz mocno ścisnął mi dłoń. Czego mogło chcieć małżeństwo starych multimilionerów od sekty religijnych fanatyków z obsesją krzyża, na którym umarł Jezus? Wciąż jeszcze w tej historii coś nam umykało, jakaś istotna jej część.

– Wasz przyjaciel Kaspar pewnie bardzo by chciał mieć tę relikwię, prawda? – spytał Jake z wesołym błyskiem w oku.

– Kaspar nie żyje – powtórzył sucho Faradz.

– Skoro tak pan mówi...

– Nie widzieliśmy ciała, ale tak nam powiedziano – dodałam czym prędzej. Musieliśmy podtrzymać wersję, którą powtarzaliśmy od tak dawna w związku z obietnicą milczenia złożoną bractwu. – Od czternastu lat nie mieliśmy od niego żadnego sygnału. To chyba najlepszy dowód jego śmierci.

– A niezależnie od wszystkiego – zagadnął Faradz, wierząc się na sofie – po co chcą państwo odnaleźć stawrofilaków? Może zależy wam, żeby ich dodać do swoich licznych trofeów archeologicznych? Nam się nie udało ich znaleźć, a mogliśmy liczyć na wszelką pomoc. Zapewniam, że robiliśmy co w naszej mocy, a i tak wygrali. Nie wiemy, kto jest teraz katonem, i nie życzymy sobie wiedzieć. To wszystko należy do przeszłości.

Jake Simonson w milczeniu obrzucił Faradza przeciągłym spojrzeniem. Spojrzenie było naprawdę przeciągłe, a milczenie nad wyraz wymowne. Po czym dłonią powykrzywianą artretyzmem przejechał po tysej głowie i westchnął głęboko.

– Łgarze nad łgarzami! – wykrzyknął, a mnie oczy zrobiły się jak spodki, bo oskarżając nas o kłamstwa, ten osiemdziesięcioletek (albo dziewięćdziesięcioletek) przyglądał się nam z zadowolonym uśmiechem. – Ale też – dorzucił łagodniej – każda inna odpowiedź mocno by mnie rozczarowała. Dobrzy są, Becky! Właśnie takich ludzi szukamy, prawda?

Jego żona kiwnęła głową, bawiąc się swoim pięknym naszyjnikiem z połyskliwych czarnych pereł. Jake ciągnął:

– No dobrze, nie będę dłużej marnował waszego czasu. Potrzebujemy pomocy. Musicie wiedzieć, że Becky i ja... – zamilkł na kilka chwil, jakby szukał właściwych słów. – Musicie wiedzieć, że to dla nas bardzo ważne. Chodzi o bardzo szczególne poszukiwanie czegoś wyjątkowego... O poszukiwanie, którego nie można zlecić byle komu.

Becky otworzyła swą cudną torebkę od Hermesa, wyjęła skórzane etui (albo pokrowiec na składany parasol, zależy, jak na to patrzeć), a z niego jakieś nieco większe od zeszytu papiery, które mi wręczyła. Były to dwa zdjęcia fantastycznej jakości, przedstawiały oryginalne dokumenty w powiększeniu, aby czytelność była lepsza i aby dało się dostrzec najdrobniejsze

szczegóły ... Co to właściwie było? Oczywiście jakiś grecki tekst. Na oryginalnych pergaminach oprócz naddartych wyblakłych ornamentów widniały ciemnobrązowe obwódki, które świadczyły o wiekowości dokumentów i o tym, że z całą pewnością przez długi czas przechowywano je w miejscu zamkniętym i w dość wysokiej temperaturze. Jako paleograf widywałam już dokumenty w takim stanie, dlatego o tym wiedziałam. Poza tym litery skreślone czarnym atramentem były całkiem wyraźne.

– Może pani to przeczytać? – spytała Becky.

Faradz, chociaż zgrywał opryskliwego twardziela, nie zdołał dłużej pohamować ciekawości i nachylił się ku mnie, by zerknąć na zdjęcia. On także znał grekę (oprócz wielu innych języków martwych) i od czasu do czasu toczyliśmy burzliwe dyskusje na temat niuansów takiego czy innego tekstu, ponieważ jego zdaniem należy kuczowo trzymać się oryginału, ja natomiast, jako praktyk uważam, że tego właśnie nie wolno robić w tłumaczeniu.

– Niektóre litery są słabo widoczne – mruknęłam – ale tak da się przeczytać.

– Proszę to zrobić – rzekł Jake uprzejmie.

– Potrzebne mi okulary – powiedziałam, podając zdjęcia Faradżowi i wstając.

Powinny były leżeć gdzieś w pobliżu, bo mogłam je zostawić tylko tutaj, w salonie, albo w sypialni na stoliku nocnym. Istotnie tam je znalazłam i czym prędzej wróciłam, by przeczytać grecki dokument. Ale gdy weszłam do pokoju, usłyszałam Faradżę:

– *Is to ónoma tu Jristú tu Estavroménu...*

„W imię Chrystusa ukrzyżowanego”, przetłumaczyłam w myślach. Usiadłam na sofie i nałożyłam okulary na nos, po czym nachyliłam się wraz z Faradżem nad zdjęciami ułożonymi obok siebie. *Εἰς τό όνομα του Χριστοῦ τοῦ έστραυρομένου...* Był to starożytny list napisany przez niejakiego Dozyteusza, patriarchę ortodoksyjnego Jerozolimy, do niejakiego Nicetasa, patriarchy ortodoksyjnego Konstantynopola.

Faradz czytał dalej na głos, ciesząc ucho swą wymową, ja zaś szybko przebiegłam tekst wzrokiem, odszyfrowując go, i aż mnie zatkało:

W imię Jezusa Chrystusa Ukrzyżowanego, ja, Dozyteusz, patriarcha Jerozolimy, zwracam się do ciebie, Nicetasie, błogosławiony patriarcho Konstantynopola, bądź pozdrowiony, łaska Ci i pokój niech będzie od Boga. Musisz wiedzieć, przewielebny, że w niedzielę, szóstego dnia po Teofanii Naszego Pana Boga i Zbawcy Jezusa Chrystusa roku Pańskiego 1187, odkryto w okolicach Nazaretu w grocie stary żydowski grób, wielki i bogato zdobiony. W środku znajdowały się dwadzieścia cztery kamienne ossuaria, każde mieściło kilka ciał, lecz w bocznej pieczarze było ich jeszcze dziewięć zawierających po jednym ciele i z imieniem wyrytym w kamieniu, i tylko na tych dziewięciu widniały inskrypcje. Jako że natychmiast w Nazarecie rozeszła się pogłoska, iż to grób Jezusa, naszego Pana, i jego Świętej Rodziny,

Letard, łaciński arcybiskup Nazaretu, polecił zamknąć grootę, zabronił modłów i adoracji w niej i siłą nakazał stłumić owe pogłoski. Wiemy wszakże od naszych tamtejszych wiernych, że Letard zlecił pewnemu kapłanowi imieniem Aloisius przetłumaczenie inskrypcji z dziewięciu ossuariów wrytych w języku hebrajskim i aramejskim. Letard przesłał owo tłumaczenie Herakliuszowi z Owernii, łacińskiemu patriarsze Jerozolimy, człowiekowi wielkich zalet i rozważgi, który jak się dowiedziałem od zaufanych osób, jeszcze tego dnia, 26 stycznia, w dzień świętego Tymoteusza Apostoła, pchnął tajnych emisariuszy do Rzymu z pilnym pismem do łacińskiego papieża Urbana III. Dzięki tym samym zaufanym osobom mogę Ci powiedzieć, że list zawiera wykonane przez Aloisiusa tłumaczenie inskrypcji z dziewięciu ossuariów. Podaję je i Tobie w formie, w jakiej sam je otrzymałem:

Jeszua ha-Maszijach ben Jehosef, Jezus Mesjasz syn Józefa

Jehosef ben Jaaków, Józef syn Jakuba

Jehosef ben Jehosef ach d'Jeszua ha-Maszijach, Józef syn Józefa, brata Jezusa Mesjasza

Jaaków ben Jehosef ach d'Jeszua ha-Maszijach, Jakub syn Józefa, brata Jezusa Mesjasza

Szimeon ben Jehosef ach d'Jeszua ha-Maszijach, Szymon syn Józefa, brata Jezusa Mesjasza

Yehuda ben Jehosef ach d'Jeszua ha-Maszijach, Juda syn Józefa, brata Jezusa Mesjasza

Miriam bat Jehojakim, Maria córka Joachima

Salome bat Jehosef, Salomea córka Józefa

Miriam bat Jehosef, Maria córka Józefa.

Pojmuję Twoje zaskoczenie i niezadowolenie, przewielebny. Z pewnością jest równie wielkie jak moje. Diabeł w swej żądzy namieszania w chrześcijaństwie pragnie, by słabi w wierze myśleli, że nasz Pan Jezus nie powstał z martwych, że Przenajświętsza Dziewica Maryja nie była dziewicą i miała więcej dzieci ze swym mężem Józefem, i że ona także nie wstąpiła w niebiosa ciałem i duszą. Nie może być większej podłości. Uspokaja mnie jedynie pewność, że jeśli chodzi o patriarchę Herakliusza, którego znam dobrze, sam zniszczyły te siedem ossuariów, lecz nie może tego uczynić bez papieskiego pozwolenia. Tak czy owak Urban zdecyduje, co zdecyduje, ale że to sprawa Złego, owe ossuaria winny zostać zniszczone i jeżeli łacinnicy tego nie zrobią, zrobimy to my. Wiem, że się zgodzisz ze mną. Nic więcej nie dodam. Polecam się Tobie, przewielebny, niechaj Bóg Cię zawsze strzeże. Łaska jego niech będzie z Tobą.

Zerwałam się na równe nogi i fizycznie oddaliłam od tego dokumentu, jakbym miała do czynienia ze źródłem zarazy. No bo jakże!... Na Boga, w życiu nie słyszałam takiej niedorzeczności! Poczułam się dogłębnie zraniona, jakby wymierzono mi policzek i wbito włócznię w serce. Ogarnęła mnie natychmiastowa potrzeba przeproszenia Jezusa za to, że

miałam do czynienia z takim bluźnierstwem. Oczywiście ani przez chwilę nie wątpiłam, że te dziewięć ossuariów – jeśli naprawdę istniały – było tylko godnymi potępienia, żałosnymi fałszyfikatami: w wieku XII, epoce wypraw krzyżowych, było bardzo prawdopodobne, że jakiś rozszoszczony emir lub sułtan wpadł na pomysł, aby w ten sposób narobić zamieszania wśród chrześcijan. Nie podobało mi się obarczanie winą muzułmanów (zwłaszcza po ośmiuset latach), niemniej po odrzuceniu wątpliwej interwencji diabła trudno było sądzić, że ówczesnych chrześcijan, czy to łacinników, czy greków, czy syryjczyków, stać było na zrobienie czegoś takiego. Ale Boże, jakież to było niesmaczne, jak wyzute z szacunku!

Myśli te jedna po drugiej wypływały mi widocznie na twarz, kiedy bowiem otrząsnęłam się ze zdumienia, zdałam sobie sprawę, że Jake i Becky patrzą na mnie zaskoczeni.

– Coś się pani stało? – spytała Becky łagodnym głosem zatroskanej babci.

Faradz obejrzał się na mnie.

– Walnęło cię, co? – szepnął czule.

Znał mniej lepiej niż kokolwiek i doskonale wiedział, jak mogę zareagować na informację o ossuariach. Długo, bardzo długo, cierpliwie i z szacunkiem, acz bez powodzenia, próbowałam obudzić w nim wiarę w Boga, chociaż jasne było, że za nic w świecie nigdy nie zaufa żadnemu Kościołowi. Cierpiałam z powodu jego ateizmu jak od otwartej rany i mimo że kochałam Faradza i nauczyłam się z nim żyć, nie znaczyło to, że jest mi łatwo. Jemu, zatwardzialemu bezbożnikowi, też chyba nie było łatwo żyć z wierzącą – tak przynajmniej mówił, choć wcale nie byłam tego taka pewna. W czym mogła mu przeszkadzać albo doskwierać moja wiara w Boga i miłość do Niego? W niczym. Obstawał jednak przy swoim, ilekroć dotykałam tematu jego braku uczuć religijnych, i ostatecznie zawsze kończyliśmy taką rozmowę. Dlatego Faradz naprawdę rozumiał moje zaskoczenie i wewnętrzny sprzeciw wobec informacji o tych odkrytych w XII wieku ossuariach.

– A tak – przyznałam, starając się uspokoić – walnęło mnie, pewnie, ale to nadal jest dokument historyczny bez znaczenia z punktu widzenia wiary chrześcijańskiej.

– Myli się pani – oświadczył Jake tonem suchym jak trzask bicia. – Ma znaczenie, i to ogromne. Szczegółne poszukiwania, o których mówiłem przed chwilą... chodzi właśnie o poszukiwanie tych dziewięciu ossuariów.

Zmroziło mnie. Tak mnie zmroziło, że krew dosłownie zastygła mi w żyłach. Własnym uszom nie wierzyłam. Kompletnie mnie sparaliżowało.

Faradz odłożył fotografie na stolik obok relikwiarza z *Lignum Crucis* i ujął moją dłoń w swoje, tym razem starając się przywrócić mi do życia.

Mogłam zrozumieć, że Simonsonowie, mimo niewątpliwego fałszerstwa grobów domniemanej Świętej Rodziny chrześcijaństwa, pragną stawić czoło wielowymiarowemu wyzwaniu

religijnemu, historycznemu i archeologicznemu, ale i tak wszystko to wydawało mi się absurdalne: po co szukać dziewięciu sfałszowanych ossuariów z XII wieku, skoro z pewnością ani kamyk z nich nie został? Ponadto nawet przyjąwszy mało prawdopodobne założenie, że przetrwały wieki i odnajdziemy je, nasuwało się pytanie, jaka i dla kogo będzie korzyść z takiego odkrycia? Żadna! Dla nikogo! Może w pierwszym momencie dla ateistów takich jak Faradż. Dla chrześcijan wierzących jak ja będzie to po prostu uwłaczające, że nie wspomnę o tym, jak się ośmieszmy, gdy wyjdzie na jaw fałszerstwo.

– Dlaczego ich państwo szukają? – zapytał Faradż, poklepując mnie uspokajająco po ręce. – Jaką wartość mają dla was fałszywe relikwie?

– Wartość? – zdumiała się Becky. – Nie obchodzi nas ich wartość. Te ossuaria są autentyczne i chcemy, żebyście je odnaleźli.

Na miłość boską! Teraz już miałam pewność, że ci osiemdziesięciolatekowie (albo dziewięćdziesięciolatekowie) są szurnięci. Do jednego worka wrzucali *Lignum Crucis*, stawrofilaków i fałszywe ossuaria z XII wieku. Powinni jak najszybciej udać się do lekarza, i to do dobrego.

– Państwo chcą, żebyśmy ich szukali? – zdziwił się Faradż.

– Owszem, ale nie sami. – Jak znowu przejechał po głowie dłonią o powykrzywianych palcach. – To niełatwe zadanie, zapewniam. Będzie wam potrzebne wsparcie stawrofilaków i waszego przyjaciela Kaspara. Oni dysponują możliwościami, które są poza naszym zasięgiem, dlatego musieliśmy czekać, aż odnajdziemy relikwię. Z drugiej strony nie moglibyśmy powierzyć tego zadania nikomu innemu, bo z całego serca wierzymy, że wy potraficie wypatrzeć prawdę, choćby była najgłębiej ukryta.

Westchnęłam głęboko. W gruncie rzeczy współczułam Simonsonom. Byli starzy, a uprzywilejowana pozycja każała im wierzyć, że dysponują nadprzyrodzonymi mocami.

– Nie ma mowy, żebyśmy to zrobili – podsumowałam. – Jako katoliczka czuję się naprawdę urażona tą propozycją. I nie będziemy na ten temat dyskutować. Poza tym zrobiło się bardzo późno. Moglibyśmy godzinami rozmawiać na ten temat, tylko po co? Wdzięczni jesteśmy, że państwo pomyśleli o nas, ale odpowiedź brzmi: nie.

Odnotowałam, że Faradż napiął dłoń, choć nadal milczał. Bardzo rzadko nie zgadzaliśmy się ze sobą przy innych; woleliśmy sprawy omawiać później między sobą. W każdym razie, powiedziałam sobie, niewykłuczone, że Faradż ma zdanie odmienne od mojego i bliższe Simonsonom, o ile w ogóle Simonsonów mamy przed sobą. To śmieszne, żeby szukać sfałszowanych średniowiecznych ossuariów. Nie będziemy marnować letnich wakacji na uganianie się za mrzonkami zagubionymi gdzieś w czasoprzestrzeni.

– Proszę posłuchać, pani doktor. – Jak znowu westchnął ze smutkiem. – Mamy dwa

wyjścia: jedno takie, że zaraz jutro powiadomimy świat o odkryciu grobu brata Andrzeja z Longjumeau i relikwii Krzyża Prawdziwego. Zapewniam, że już gotowe jest pomieszczenie, w którym *Lignum Crucis* zostanie zamknięte na wieczność poza zasięgiem stawrofilaków. I ręczę, że tym razem nie będą mogli zrobić tak jak z pozostałymi relikwiami na świecie. Z całą pewnością, proszę mi wierzyć. Proszę mi też wierzyć, że drugie wyjście jest znacznie lepsze: ta drzazga z Krzyża Prawdziwego będzie naszym darem dla bractwa, darem, który państwo sami przekażą... komu zechcą w zamian za współpracę stawrofilaków przy naszych poszukiwaniach. Tym sposobem stawrofilacy uzupełnią Krzyż Prawdziwy, co jest ich życiowym celem, który państwo im pomogą osiągnąć. I jak się to państwu widzi?

– A gdybyśmy znaleźli ossuaria – odezwał się Faradz, zaskakując mnie – komu przy padłoby w udziale odkrycie naukowe, państwu czy nam?

Simonsonowie spojrzeli na siebie enigmatycznie.

– Nam oczywiście – zawołała Becky, jak zwykle szybsza – ale zapewniam, że nigdy nie zostanie podane do publicznej wiadomości. Nie zależy nam na osiągnięciu żadnych korzyści, o to mogą państwo być spokojni. To sprawa prywatna, tajna i bardzo osobista. Naturalnie jeśli się państwo zdecydują, podpiszemy klauzulę poufności przed rozpoczęciem poszukiwań. I chociaż nic nie rekompensuje utraconej możliwości podwyższenia prestiżu akademickiego, w państwa wypadku już wysokiego, mogę też obiecać wynagrodzenie, które was w pełni usatysfakcjonuje. Jego wysokość sami państwo ustalą. Nie ma górnej granicy.

Tylko tego mi brakowało. Nie zdołałam powstrzymać uśmiechu.

– Mój mąż żartował – oznajmiłam. – Ani nam w głowie szukać ossuariów.

Ręce Faradza znowu się napięły.

– Nie boją się państwo – spytał głupio, nie zważając, że wbijam mu paznokcie w dłoń – że podejmiemy poszukiwania na własną rękę, skoro znamy list Dozyteusza?

– Ma pan na myśli, że zaczniecie szukać, nie wyjawiając stawrofilakom istnienia tej *Lignum Crucis*? – dopytał Jakę niewzruszenie. – Państwo sami? Bez nas?

– Owszem.

– Nie, tego się nie boimy – odparła Becky. Rozmowa z Simonsonami cały czas tak przebiegała, w rytmie synkopowym, chociaż w moim mniemaniu Becky mówiła więcej. – List Dozyteusza nigdzie was nie doprowadzi do celu. To ślepy zaulek. Potrzebne są inne wskazówki. O których oczywiście nie wspomnieliśmy tutaj.

Już myślałam, że dłonie Faradza spłyną krwią, jeśli nadal będę mu wbijała paznokcie, aby go ostrzec, że stąpa po bardzo cienkim małżeńskim lodzie i zmierza w kierunku burzliwych wód. Ale nie zwracał na mnie uwagi. Jakby nie pamiętał, że dwukrotnie już powiedziałam Simonsonom, iż nasza odpowiedź – wspólna! – jest negatywna i ostateczna. Odkąd bylibyśmy razem, nigdy jeszcze

tak się ode mnie nie odciął, zostawiając mnie na uboczu.

– Czyli – ciągnął spokojnie – musielibyśmy podpisać umowę z klauzulą poufności, zanim państwo wyjawią nam całą resztę na temat osuariusów. – Głos miał obojętny, lecz wychwytywałam w nim wibrujące fale emocji niedostrzegalne dla niewtajemniczonych.

– Zgadza się – przytaknął Jake z szerokim uśmiechem. – A że pomoc stawrofilaków będzie nieocioniona, wpiszemy w umowę postanowienie, że państwo im prześlą to ostatecznie na świecie *Lignum Crucis*. I jak? Myślę, że katonowi Glauserowi-Röistowi spodoba się nasza oferta.

Sytuacja przybierała obrót całkowicie nieprzewidywany i zmierzała ku przyklepaniu umowy, co paliło mi trzewia żywym kwasem.

– Nie wie pan, co mówi – wyszeptalam tak poważnie, że sama się wystraszyłam. – Gdyby Kaspar żył, w ogóle nie byłby zainteresowany poszukiwaniem fałszywych relikwii, które świadczyłyby przeciwko jego wierze, Bogu i Kościołowi.

Jake i Becky uśmiechnęli się tylko tajemniczo, nie odpowiadając. Zaraz też Jake wziął ze stolika zdjęcia i relikwiarz i podał je Becky, która jedno i drugie delikatnie włożyła do torebki. Ulżyło mi. Naprawdę.

Simonsonowie podnieśli się równocześnie z sofy, Faradz i ja wstaliśmy także, aby ich odprowadzić do wyjścia. Kiedy Isabella się dowiła, kto u nas gościł tego wieczoru, mocno się zdziwiła. Albo i nie, uznałam. Jej pokolenie, pokolenie najlepiej wykształcone i mające największą wiedzę w historii ludzkości, nie wiedziało, że kiedyś pisano długopisem, a nie na klawiaturze. Isabella z pewnością nigdy nie słyszała o Simonsonach.

Wtem Jake, zanim opuścił nasz salon, zatrzymał się jeszcze.

– Ile czasu potrzebują państwo, żeby dać nam ostateczną odpowiedź? – zapytał, nie patrząc konkretnie na żadne z nas.

Faradz mocno ścisnął mi rękę, żeby mnie uciszyć, ale trzeba by dużo, dużo więcej, by Salinówna z Sycylii zamknęła buzię. A że on o tym wiedział, wzmocnił uchwyt i kiedy kulilałam się z bólu i wykręcałam głowę, próbując zabić go wzrokiem, oświadczył:

– Dwa dni. W poniedziałek się odezwiemy.

Głupi. Nie pomyślał i nie dość, że postawił mnie w kłopotliwej sytuacji, to jeszcze złamał obietnicę złożoną bractwu i wyjawiał Simonsonom to, co powinno było pozostać tajemnicą: że Kaspar Glauser-Röist istotnie żyje szczęśliwy jako katon wszystkich stawrofilaków na świecie. Wyznanie to kryło się pod obietnicą udzielenia odpowiedzi w ciągu dwóch dni. Zawsze mówiłam, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Gdyby była, w tej chwili niebiosa by się otwarły i ostry topór rozrąbałby mu na pół jak melon tę jego głupią blond głowę.

– W poniedziałek, świetnie – odparła Becky, przy ciskając torebkę łokciem do boku.

– Ach, pani doktor! – zawołał Jake, znowu przystając. – Przypomina sobie pani ten werset?

„Wtedy dotknął ich oczu, mówiąc: «Według wiary waszej niech wam się stanie!» I otworzyły się ich oczy”...

Pewnie, że sobie przypomi nałam. Uzdrawienie niewidomych. Ewangelia Mateusza. Ale byłam taka wściekła, że nie załapałam aluzji ani się nie zastanowiłam, dlaczego ten podły multimilioner cytuje Nowy Testament. Poprzestałam na przytaknięciu z grzecznym uśmiechem i dyskretnie pokierowałam ich ku wyjściu. W sumie skoro wychodzili, po co odpowiadać?

Byłam zła i obrażona na Faradża, wzburzona informacjami o ossuariach, zmartwiona, nie wiedziałam bowiem, jak powiemy Kasparowi, że w obecności dziwnego małżeństwa osiemdziesięciolatek (albo dziewięćdziesięciolatek) przyznaliśmy pośrednio, iż nie umarł, a przede wszystkim potwornie zeżłona, że z głupoty być może będę musiała spędzić wakacje na poszukiwaniu nieistniejących, niepotrzebnych i groźnych zabytków archeologicznych.

Wiedziałałam jednak, kto drogo za to wszystko zapłaci. Szanowny pan dyrektor Boswell będzie rwał z głowy te swoje gęste miękkie włosy, kiedy drzwi się zamkną. Grube burzowe chmury już nad nim wisały.

ROZDZIAŁ 3

Nie dałam mu czasu. Dokładnie po zero koma zero sekundy napadłam na niego, obrzucając go stekiem oskarżeń i wyrzutów, wytykając mu egoizm, narcyzm, niewdzięczność, ambicję, ateizm, zarozumiałość, hipokryzję, zakłamanie, niegodziwość, zachłanność, arogancję, próżność, pyszałkowatość i dużo innych rzeczy. Nie obchodziło mnie, że stał bez ruchu ze spuszczoną głową i z rękami wciśniętymi w kieszenie marynarki. Wymyślałam mu ostro przez całą drogę od drzwi wejściowych do naszej sypialni, do której dotarliśmy nie wiadomo kiedy. Krew się we mnie gotowała i naraz usłyszałam, jak mówię, że to koniec naszego małżeństwa, że ma się spakować i poszukać sobie innego domu.

– Ale przecież ty nie możesz się rozwieść – zdumiał się, rezygnując wreszcie z milczenia.

Niewiarygodnie mnie usatysfakcjonował widok strachu na jego twarzy.

– Niby dlaczego? – wrzasnęłam rozeźlona. – Skoro przestałam być zakonnica, mogę też przestać być mężatką.

– Ależ nie! – upierał się twardo. – Tu nie odnawia się ślubów co roku! Małżeństwo to sakrament, obowiązuje na całe życie.

Teraz ja się zdumiałam.

– Przecież ty nie wierzysz w takie rzeczy! – zauważyłam oburzona.

– Ja nie – przyznał zgodnie – ale ty tak. Dlatego ty nie możesz się rozwieść. A ja mogę, jeśli tylko zechcę.

Zabiłabym go, wymiana zdań trwała jednak w najlepsze i zależało mi na wygranej.

– Racz wspomnieć – wycedziłam powoli – że nie jestem wojującą katoliczką, która stosuje się do wszystkich zaleceń Kościoła. Mam własne zasady, jak wiesz. Dlatego – wycelowałam mu palec prawej ręki między oczy – jeśli zechcę się rozwieść, rozwiodę się i kropka.

– Skoro nie jesteś wojującą katoliczką – rzekł podstępnie – czemu tak się boisz ossuariów z imionami Jezusa i jego rodziny?

Zażył mnie, bez dwóch zdań.

– Nie boję się ich. Uważam po prostu, że są groźne. Obrażają moją wiarę.

– Co znaczy: obrażają twoją wiarę? Może ją podważają?

– Moja wiara to moja sprawa i nic ani nikt nie może jej podważyć. Jest nietykalna, bo noszę ją w sobie. I wiara mi mówi, że Jezus był Bogiem, nie tylko śmiertelnikiem, że za sprawą Ducha Świętego stał się człowiekiem w Maryi Dziewicy i był jej jedynym synem, który umarł na krzyżu za nasze grzechy, po czym trzeciego dnia zmartwychwstał i wstąpił do niebios.

– To katolickie wyznanie wiary.

– Zgadza się. Wyznanie wiary. Credo. To, w co wierzę. W co wierzą chrześcijanie.

– Nie wszyscy – zauważył z uśmiechem. – My, koptowie, jesteśmy monofizytami. Wierzymy, że Jezus był tylko Bogiem, nie człowiekiem, że nie był z krwi i kości, tylko rodzajem zjawy.

– Ależ ty w nic nie wierzysz! – docięłam mu. – Będziesz mi tu teraz zgrywał kopta i monofizytę?

– Jasne, że nie – ustąpił, poprawiając okulary tym swoim gestem, który mnie zauroczył. – Ale przyznaj, że odpowiedź była dobra.

Był nie do wytrzymania. Kiedy zaczął żartować i tak na mnie patrzeć, i tak się uśmiechać (szczególnie gdy wyrzuciłam już z siebie wszystko, co miałam do wyrzucenia), cały gniew mi przechodził. Przystojny, nieśmiały profesor Boswell, w którym przed laty się zakochałam, przeobraził się w zgrabnego czarującego pięćdziesięciolatka o takich samych jak niegdyś turkusowoniebieskich oczach odziedziczonych po angielskich przodkach, śniadej cerze po przodkach arabskich, żydowskich rysach po pięknej prababce Esther Hopashy i prostych niemal blond włosach po matce, Włoszce z północy, która tak jak ja dla Faradża, rzuciła wszystko dla jego ojca, poczciwego Butrosa Boswella. W odróżnieniu ode mnie, brunetki od dziecka (znaczy teraz szpakowatej brunetki), u Faradża nie było widać siwizny, dotąd też po domu nosił te okropne beżowe spodnie, które miał na sobie, kiedy go poznałam w Watykanie. Wówczas oczywiście były modne i świetnie w nich wyglądał, ale i teraz, choć bardzo stare i powycierane, nadal pasowały na niego jak wtedy, co nie każdy mężczyzna w jego wieku może o sobie powiedzieć. Na swoje szczęście ja także nosiłam ten sam co przed laty rozmiar sukienki, aczkolwiek zawdzięczałam to surowej diecie (czytaj: rozmaite wyrzeczenia i poświęcenia).

Ostatecznie chodziło o to, by spór się zakończył. Ja o tym wiedziałam i on też, tyle że żadne z nas nie mogło złożyć broni i pogodzić się jak Bóg przykazuje. Musiały się zagoić rany na miłości własnej. Tak się dzieje, kiedy wiele lat przeżyje się razem: nawet kłótnia ma ustalone procedury.

Usiadłam na brzegu łóżka i podparłam się z tyłu rękami.

– Czemu chcesz szukać tych przekłetych ossuariów? – spytałam ze smutkiem.

Faradż podszedł, usiadł tuż obok mnie i tak samo jak ja podparł się na rękach. Nie była to jeszcze pełna deklaracja pokoju, lecz taka bliskość i kontakt fizyczny pozwalały łatwiej wrócić do normalności.

– Jeszcze nie wiem, czy chcę ich szukać – mruknął, nie patrząc na mnie. – O tym musimy zdecydować razem. Wiem natomiast, że nie możemy przepuścić sposobności. Gdyby Simonsonowie odeszli stąd z odpowiedzią odmowną, mało profesjonalnie byłoby później powiedzieć im, że zmieniliśmy zdanie. Oczywiście jeżeli tak postanowimy. Ale nie zapominaj, że w grę wchodzi relikwia, jedna z *Lignum Crucis*. To poważna sprawa, basileja. Jak Simonsonowie

dowiedzieli się o bractwie i co gorsza, jak poznali tyle szczegółów? Chociaż szczerze mówiąc, wolę, żeby zajął się tym Kaspar, od czego jest katonem? W każdym razie trzeba go powiadomić, że pojawiła się jeszcze jedna drzazga z Krzyża Prawdziwego. Nie uważasz?

Przytaknęłam w milczeniu. Zerknął na mnie kątem oka, nie odwracając głowy.

– Jeśli Kaspar będzie chciał relikwię, a bez wątpienia będzie chciał, zaproponuje szukanie ossuariów.

– Nie robi tego – oznajmiłam. – Pamiętaj, że on jest wojującym katolikiem.

Faradz ryknął śmiechem, który odbił się od ścian sypialni.

– W ogóle go nie znasz! – powiedział. – Nieraz ci to mówiłem. Kaspar nie jest katolikiem, basileja. Był nim jako kapitan Gwardii Szwajcarskiej, ale nawet wtedy miał dużo zastrzeżeń do Kościoła, przypomnij sobie.

– Jak mógłby nie mieć zastrzeżeń? Wykonywał najparszą robotę na świecie: znał różne sekrety Kurii i Kolegium Kardynalskiego i musiał ukradkiem prać brudy po hierarchach, żeby uniknąć skandali, które by mogły zniszczyć coś albo kogoś i zszargać wizerunek Watykanu. Wszyscy go nienawidzili, wszyscy się go bali. Łącznie z moim świętym bratem Pierantonio!

– Twój brat Pierantonio nigdy nie był święty – mruknął Faradz, który zawsze brał stronę Kaspara. – Handlował dziełami sztuki na międzynarodowym czarnym rynku.

– Pierantonio był czcigodnym kustoszem Ziemi Świętej! – zełościłam się. – Owszem, sprzedawał to i owo z wykopalisk franciszkańskich, ale po to, żeby budować szpitale, szkoły i schroniska i karmić biedaków.

Faradz nie chciał ciągnąć tematu Pierantonia. Chwila nie była odpowiednia, żeby się o niego kłócić, zwłaszcza że spieraliśmy się już o co innego i na razie nie załatwiliśmy sprawy.

– Wyobrazasz sobie, jak biedny Gottfried Spitteler musi się pocić przy tych skandalach pedofilskich w Kościele? – zapytał.

Wspomnienie oskarżeń o pedofilię, które słusznie kładło się cieniem na Kościele rzymskokatolickim, wprawiło mnie naraz w bardzo zły humor. Ogarniał mnie wstręt na samą myśl o tym, a ponieważ nowy papież Franciszek wzbudzał moje uznanie, życzyłam mu z całego serca, by zdołał doprowadzić do zatwierdzenia raz na zawsze prawa do zawierania związków małżeńskich przez duchownych. Nikt oczywiście nie mógł zagwarantować, że w Kościele nie znajdą się degeneraci, bo to niemożliwe, ale jeśli celibat będzie dobrowolny, jak w innych Kościołach chrześcijańskich, w których tego problemu nie ma, przynajmniej ofiar będzie mniej, a to przecież najważniejsze. Tyle że Kościół katolicki bardzo przypomina funkcjonujące partie polityczne: lepiej niczego nie ruszać, nawet jeżeli ktoś będzie cierpiał i znosił piekło, a ostatecznie wszyscy i tak wyjdzie na jaw. Politycy i kościelni hierarchowie nie zauważyli, że świat niezwykle się zmienił i że jeśli nie przejrzą na oczy i nie zrobią czegoś, stracą wszystko. I taktwierdziłam ja,

pobożna katoliczka.

– Ottavio... – Faradż lekko trącił mnie ramieniem, by zwrócić moją uwagę. – Pamiętasz Gottfrieda Spittelera?

– A niech się męczy! – oznajmiłam z zacięciem. – Niech wypoci z siebie całą krew ten... ten...

– Basilejo!

– Wiem, wiem, to niezbyt po chrześcijańsku, nie musisz mi przypominać! Ale przez cztery lata miałam go na karłku, czułam jego oddech za plecami! Niech go...

– Basilejo!

Kiedy Kaspar Glauser-Röist zniknął, Watykan powołał na jego miejsce Gottfrieda Spittelera. Spitteler prześladował nas przez cztery długie lata w nadziei, że przyłapie nas albo stawrofilaków. On także był kapitanem Gwardii Szwajcarskiej, tyle że w odróżnieniu od zaprzyjaźnionego z nami Glausera-Röista czerpał radość ze swojej pracy, jeśli więc trafił w sam środek zawieruchy związanej ze skandalami pedofilskimi, czekała go niezła jazda.

– No dobra – westchnął zrezygnowany Faradż. – Ani Pierantonio, ani Spitteler. Zmienię temat po raz trzeci, może będę miał więcej szczęścia.

– Jeszcze ci nie wybaczyłam, że zrobiłeś ze mnie idiotkę przed Simonsonami.

– O właśnie. Dobry punkt wyjścia do zmiany tematu. No więc tak przepraszam, że zrobiłem z ciebie idiotkę i nie zwracałem uwagi na twoje delikatne ostrzeżenia. – Usiadł prosto i pokazał mi wnętrze dłoni, jakby widniały na niej jeszcze ślady moich paznokci.

– Następnym razem posłuchasz.

– Nic z tego. Jeśli znowu ktoś kiedyś zaproponuje nam taką fantastyczną robotę badawczą, postąpię dokładnie tak samo. To marzenie każdego archeologa. Nawet jeżeli ossuaria nie istnieją, nawet jeżeli są średniowiecznymi falsyfikatami, nawet jeżeli ich nie znajdziemy, to wyzwanie pierwsza klasa, niewiarygodne. Gdybyś na chwilę odłożyła wiarę i spojrzała na to jak na poszukiwania archeologiczne, uświadomiłabyś sobie, że nawet w najgorszym dla ciebie wypadku, czyli znalezienia ossuariów...

– Niemożliwe.

– ...i potwierdzenia ich autentyczności...

– Absolutnie niemożliwe.

– Do diabła! W czym to by podważyło twoją wiarę w Boga?

– We wszystkim! Święty Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian kategorycznie stwierdza, że gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, nasza wiara byłaby daremna.

– To znaczy, że zmartwychwstanie Jezusa jest niezbędne dla wiary w Boga.

– Właśnie.

– Czyli wiara w Boga nie byłaby możliwa, gdyby Jezus nie zmartwychwstał – powtórzył niepewnie, obracając tę myśl, jakby nie całkiem ją rozumiał.

– Zgadza się. Taktwierdzi doktryna i teologia katolicka.

– W życiu tego nie pojmę – szepnęła, kładąc dłoń na mojej ręce i głaszcząc ją. – Ale to nieważne, bo skóra ossuaria są fałszywkami, jest nam obojętne, prawda?

– No nie wiem... – zawahałam się.

Jego pieścizny przeniosły się na moje ramię.

– Na pewno jest nam obojętne, bo tak czy owak to tylko kamienne skrzynie zrobione przez kogoś w dwunastym wieku w złych intencjach, co tylko po raz kolejny dowiedzie, że Kościół zawsze miał potężnych wrogów i był bardzo prześladowany.

– Tak, jasne... – Całą przeszedł mnie dreszcz, gdy ręką sięgnął do mojej szyi i przysunął się, aby mnie pocałować.

– W niedzielę musisz uprzedzić Kaspara – wyszeptał, drugą ręką obejmując mnie w pasie.

Tej nocy po... powiedzmy, po interludium zasnęłam zmartwiona. Nie mogłam opędzić się od myśli, że bractwo tak łatwo nie zrezygnuje z ostatniego fragmentu *Lignum Crucis*. Ta historia jeszcze się skończyła i nie wiedzieć czemu sprowadziła na mnie sen, w którym wymyśliłam kostkę Rubika i grałam nią w trykrała. Budziłam się co rusz i w przeciwieństwie do Faradża nie przespałam spokojnie dziesięciu minut.

Nazajutrz, w sobotę, chodziłam z podkrążonymi oczami i zła jak osa. Na szczęście był to dzień otwarty w Ośrodku Studiów Archeologicznych (w ten jeden dzień w roku każdy mógł tam wejść), toteż jego dyrektora nie było już w łóżku, kiedy się obudziłam. Na szczęście nie było także mojej siostrzenicy, która wybrała się z koleżankami na zakupy i chociaż wpadła do domu coś zjeść, zaraz znowu wyszła wystrojona starannie, acz niedbale na przyjęcie urodzinowe w dyskotecę w centrum miasta.

W niedzielne przedpołudnie punktualnie za dziesięć jedenasta Isabella i ja wjechałyśmy samochodem na parking przy katedrze Świętego Michała na rogu Church i Shuter. Co tydzień zjawialiśmy się tam o tej samej porze, Faradż oczywiście nigdy nam nie towarzyszył. Tak czy owak tego dnia, aby mu dołączyć, przed wyjściem z domu zapytałam:

– Idziesz z nami do kościoła?

A on, rozparty na sofie jak basza, z tabletem, na którym czytał wiadomości, odpowiedział jak zwykle:

– Jestem koptem. Religia mi nie pozwala.

I z lubością rozparł się jeszcze bardziej, nie podniósłszy nawet głowy.

Zaparkowałam samochód koło kościoła i podeszłyśmy z Isabellą do żelaznej kraty, przy której pod zimnym majowym niebem już zbierali się wierni mający tak jak my uczestniczyć w mszy

o jedenastej celebrowanej przez Jego Eminencję kardynała Petera Hamiltona, człowieka bardzo popularnego w Ontario.

Katedra Świętego Michała, na zewnątrz typowo angielska i ponuro gotycka, w środku była ciepła i przytulna zarówno dzięki przyjemnym proporcjom, jak i wspianemu światłu, które wlewało się do nawy przez cudowne wysokie okna. Ta oszałamiająca świątynia, zaprojektowana w roku 1845 przez słynnego kanadyjskiego architekta Williama Thomasa, była najbardziej wyróżniającą się budowlą w centrum Toronto, aczkolwiek ja, Włoszka o bizantyńskim guście, wolałabym kościół mniejszy i bardziej tradycyjny, bardziej kameralny, i oczywiście w stylu bardziej śródziemnomorskim, jak kościół Świętego Franciszka z Asyżu w dzielnicy Little Italia. Tyle że nasz kontakt ze stawrofilakami był właśnie tutaj, w katedrze, toteż nie miałam wyjścia, musiałam się pogodzić z tym, że imponująca bazylika będzie moim kościołem parafialnym.

W innym życiu, w czasach gdy jeszcze nie znałam Faradża, uczestniczyłam we mszy codziennie i o stałych porach odmawiałam modlitwę. Po przejściu w stan świecki, kiedy wybuchła wrzawa w związku z odkryciem mauzoleum Konstantina, moje stare obyczaje także uległy zeświecczeniu. Nie byłam już i nie mogłam być tą samą osobą, a Pan Bóg, jak wiedziałam, usunął się nieco, aby Faradż znalazł dość miejsca w moim sercu. Odtąd określałam siebie jako wierzącą katoliczkę, zmiana jednak była głębsza i bardziej radykalna, nie miałam już w sobie nawet resztek powołania do życia w zakonie ani żadnego pociągu do religijności. Byłam osobą świecką ze wszystkimi tego konsekwencjami, dobrymi i złymi (w większości jednak muszę przyznać, dobrymi), niemniej kiedy w niedzielę wchodziłam do tej katedry, wspomnienia z przeszłości, zaskakująco świeże i silne, porywały mnie w tamte odległe lata życia poświęconego Bogu.

Przeszłyśmy z Isabellą nawą główną do ławki, w której siadałyśmy zazwyczaj. Czulałam dumę, idąc na mszę z siostrzenicą. Musiałam przyznać, że moja siostra Águeda, chociaż pobłażliwa, całkiem nieźle w sumie ją wychowała. Ile dziesiętnastolatek idzie z ciotką na mszę w niedzielę rano po nocy spędzonej na balowaniu? Isabella jednak szła ze mną ubrana w dziwnie obszarpane dżinsy i śliczny długi, brązowy płaszcz, pod nim miała białą bluzkę (która nie nadawałaby się nawet na szmatę do podłogi) i beżowy żakietik ozdobiony kryształkami Swarovskiego. Mówiła o sobie, że ma świra na punkcie ciuchów i swojego wujka, który teraz oprócz staromodnych okrągłych okularków nosił muszkę zamiast krawata, śmiała się z jego żartów i zawsze przyznawała mu słusność. Dla higieny duchowej próbowałam im nie ulec i nadal nosiłam się w swoim zwykłym stylu klasycznym.

Chór katedralny zaintonował stare wesołe pieśni, które znałam z czasów młodości. Smutna prawda była taka, że w dziedzinie muzyki Kościół wymagał znacznie większego unowocześnienia. Nuciłam melodie, wracając myślami do odległej przeszłości, do moich licealnych czasów na

Sycylii, widziałam siebie z gitarą w rękach grającą te same akordy, które teraz, w wielu pięćdziesięciu trzech lat, słyszałam śpiewane w innym języku po przeciwnej stronie oceanu, na drugim końcu świata.

W tę szóstą niedzielę po Wielkiejnocy Jego Eminencja zaczął nabożeństwo od prośby, abyśmy się pomodlili za Ojca Świętego Franciszka, który odbywał podróż do Ziemi Świętej, oraz za braci innych wyznań z Bliskiego Wschodu, żeby zapanował między nimi pokój. Miał na sobie złoty ornat i taką samą mitrę, a więc nie żaden z czterech kolorów liturgicznych stosowanych w ciągu roku, lecz używany na specjalne okazje, a ten dzień był wyjątkowy, ponieważ duża grupa wiernych miała przyjąć sakrament bierzmowania.

– To długo potrwa, ciociu – szepnęła mi na ucho Isabella. – Spóźnimy się na lunch i wujek będzie niezadowolony.

– Bierzmowanie będzie na końcu – odszepnęłam. – Wyjdziemy zaraz po mszy.

Jak na mój gust kardynał Hamilton za bardzo się rozwodził w homilii, mówiąc o tajemnicy Trójcy Świętej, a w szczególności Ducha Świętego – nie dość, że był to jego ulubiony temat, to jeszcze do Zielonych Świąt zostały tylko dwa tygodnie, toteż tak się zapamiętał w oratorskim zapale, że stracił poczucie czasu. Na szczęście skądś w świątyni ktoś musiał posłać sygnał ostrzegawczy, bo zakończył nagle kazanie, czyniąc znak krzyża. Wierni z niejaką ulgą poszli w jego ślady i msza potoczyła się dalej. Kiedy wreszcie po Ojczy nasz i podniesieniu nadeszła pora komunii, do ołtarza zaczęły ciągnąć sznury wiernych, aby z rąk sześciu czy siedmiu kapłanów przyjąć Ciało Pańskie. Musiałam ostrożnie przesuwając się między nimi. Isabella, która się mnie trzymała, na migi wyraziła zdziwienie, gdy po raz trzeci zrobiłam to, co dla niej było niepojętym krążeniem po kościele w jeszcze bardziej niepojętym celu. Nie rozumiała, dlaczego na pozór bez powodu ustawiamy się w kolejce, wychodzimy z niej i dołączamy do innej, ignorowałam ją jednak ponieważ nareszcie ustawiłyśmy się dobrze i wolno posuwałyśmy się ku stawrofilakowi, któremu miałam przekazać, że oboje z Faradzem pilnie potrzebujemy porozumieć się z Kasparem.

Wreszcie wystrojony stary Chińczyk przede mną przyjął komunię i odszedł na bok, zwalnając mi miejsce przed kardynałem Hamiltonem, który z lśniącą złotą pateną z komunikantami w ręku już podawał mi hostię. Pochyliłam głowę i wyciągnęłam ręce ułożone jedna na drugiej, by przyjąć malutki opłatek.

– Ciało Chrystusa – rzekł kapłan cicho, kładąc mi go na lewej dłoni znajdującej się na wierzchu.

– Amen – odparłam.

Zamiast jednak włożyć hostię do ust i ustąpić miejsca Isabelli, skrzyżowałam kciuki nad opłatkiem („Musimy pomówić z katonem”) i zaraz nakryłam je pozostałymi palcami lewej dłoni

(„Pilnie”).

Gesty te wykonałam szybko i niepostrzeżenie, po czym włożyłam do ust komunię i odeszłam na bok, przepuszczając siostrzenicę. Lewa stopa Jego Eminencji – a ściślej mówiąc, wielki podkuty czarny bucior Jego Eminencji, który nie należał do mikrusów, co to, to nie – skierowała się czubkiem ku mnie na znak, że wiadomość została przyjęta. Odetchnęłam z ulgą i wreszcie skupiona na tym, że przyjąłam Ciało Pańskie, wróciłam na swoje miejsce w ławce, aby się pomodlić.

Kiedy chór zaintonował nową pieśń, zrozumialiśmy, że rozpoczyna się ceremonia sakramentu bierzmowania, przeżegnałyśmy się zatem i wyszłyśmy z kościoła. Na dworze było dość chłodno, tak że ciepłe płaszcze i szaliki na szyi były jak znalazł. Nałożyłam ciemne okulary i ruszyliśmy w stronę parkingu.

– Ciociu...?

– Tak?

Ilekoć tak zagadywała, serce mi miękło i wspominałam tamto przyjęcie z okazji jej piątych urodzin (była taka mała i urocza!), kiedy to uzbrojona w kartonową wielką czerwoną dłoń z ponalepianymi złotymi gwiazdkami gonila mnie po ogromnym domu Salinów w Palermo, wrzeszcząc jak opętana: „Ciociu, ciociu, mogę cię walnąć tą czerwoną łapą?”. Teraz, gdy była już dojrzałą kobietą, serce nadal mi miękło, kiedy mówiła do mnie „ciociu”, a równocześnie ścisnęło mnie w żołądka, bo zwykle nic dobrego z tego nie wynikało.

– Słuchaj, co ty wyczyniałaś z rękami, kiedy ksiądz podał ci komunię?

Jakże to było?... Aha, już wiem. Komu Pan Bóg nie da własnych dzieci, temu da siostrzeńców.

– Nic nie wyczyniałam, z tego co pamiętam.

– Wyczyniałaś. Skrzyżowałaś kciuki i nakryłaś je palcami dłoni, w której miałaś komunię.

Jakże mogłam zapomnieć, że jest wyższa ode mnie o dwadzieścia centymetrów i że stojąc tuż za mną, może bez przeszkód zajrzeć mi przez ramię?

– Nie wiem, o czym mówisz – odparłam, szukając w torebce klucza do samochodu. – Nic takiego nie pamiętam.

– Ale coś dziwniejszego, i to dużo dziwniejszego zaczęło się dziać z nogą kardynała, kiedy podawał mi komunię: celował w ciebie czubkiem buta jak igła kompasu.

– Poważnie? Jego Eminencja pokazywał mi nogę? – zażartowałam, wciskając guzik pilota samochodu.

Nasza szara elantra wydała cichy sygnał dźwiękowy i na moment zapaliły się światła pozycyjne. Była pora lunchu, toteż na ulicach panował niewielki ruch.

Ponieważ Isabella zamilkła, z wdzięcznością odetchnęłam w duchu i uruchomiłam silnik gotowa wyjechać z parkingu, jak tylko moja siostrzenica skończy zapinać pas.

– Ciociu...?

– Tak?

– Na pewno to z rękami i nogą przy komunii nie ma nic wspólnego ze stawrofilakami, Krzyżem Prawdziwym i ossuariami Jezusa i Świętej Rodziny?

Wielki Boże! O mało nie krzyknęłam, pohamowałam się jednak i wydałam z siebie tylko bezgłośny jęk

ROZDZIAŁ 4

Nie wiem, jak dotarliśmy żywe do domu. Prowadziłam, jakby mnie diabli ścigali, nie odrywając się do Isabelli i wyprzedzając każdy pojazd, który miał czelność znaleźć się na mojej drodze. Niektórzy kierowcy, kiedy ich mijalam, spoglądali na mnie z widocznym zdziwieniem, nie dowierzając, że urocza, atrakcyjna pani w średnim wieku, na pozór normalna, jedzie rodzinnym samochodem ile fabryka dała jak w *Szybkich i wściekłych*.

Kiedy już na terenie kampusu skręciłam w naszą niezbyt szeroką uliczkę, Faradz, który był na zewnątrz – w tym, co Kanadyjczycy ze sporym poczuciem humoru nazywają ogrodem, a co jest w rzeczywistości trawnikiem tylko trochę większym od chusteczki do nosa – obrócił się, słysząc pisk opon, i twarz mu się zmieniła z przerażenia, gdy zobaczył nasz wóz pędzący wprost na fasadę domu. Odskoczył w bok dokładnie w chwili, kiedy wcisnęłam do dechy pedał hamulca.

– Diabli cię opętali na tej mszy czy co? – krzyknął, podchodząc. – Oplatek był stęchły czy wypisał za dużo krwi Chrystusa?

– Nie bluźnij! – skarciłam go przez szybę opuszczoną do połowy.

Isabella wysiadła z niewinną miną i grzecznie podeszła do wujka, żeby go cmoknąć w policzek. Na jej widok cholera mnie wzięła na nowo i oskarżycielskim gestem wycelowałam w nią drżący palec, bez słowa wskazując ją przez przednią szybę. Faradz nie zrozumiał, co pokazuję, i zaczął się rozglądać za Isabellą, ale nie odpuszczałam, póki nie uświadomił sobie, o kogo mi chodzi. I wtedy oczywiście przestał już w ogóle cokolwiek rozumieć.

– Coś się stało? – zapytał moją siostrzenicę.

– Ciocia na mszy była jakaś nerwowa – wyjaśniła ta wstrętna hipokrytka – a potem nie chciała ze mną rozmawiać.

No coś podobnego! Po tym świecie Judaszowie chodzą stadami! Wtedy wściekałam się naprawdę i z tej złości jakoś tak się stało, że źle nabrałam powietrza i dokumentnie zablokowało mi głosnię. Przekłęte powietrze nie chciało ani wejść do płuc, ani z nich wyjść.

Faradz momentalnie się zorientował, co się dzieje. Uznał, że musi być jakiś ważny powód takiego mojego zachowania, i jako człowiek praktyczny postanowił zająć się najpierw mną, a potem zobaczymy. Wypiął mnie z pasa, pomógł mi wysiąść z auta i wejść do domu, gdzie skierował się od razu do kuchni.

– Nie... zamrażarka... nie... – wykrztusiłam z trudem.

– Tak, zamrażarka, tak I to natychmiast.

Od małego byłam idiotycznie nerwowa (wiadomo, geny i spuścizna po przodkach) i od czasu do czasu głosnia mi się blokowała, tak że nie mogłam oddychać. Mama, która tak samo miała

przez całe życie, potrząsała mną wtedy i stanowczo mówiła: „Patr na mnie, Ottavio, oddychaj spokojnie, córeczko, to nic takiego. Rozluźnij się, opuść ramiona. Oddychaj, oddychaj...”.

Walczyłam, ponieważ cienki strumyczek powietrza, który przedostawał mi się przez gardło, nie wystarczał mojemu ciału, byłam przerażona, umierałam ze strachu, bo zwyczajnie się dusiłam. Na szczęście pomalutku oddech wracał do normy. O dziwo, kiedy wstąpiłam do Zgromadzenia Błogosławionej Marii Panny, ta dolegliwość ustąpiła, zupełnie o niej zapomniałam aż do dnia, gdy starałam się z tym nędznikiem Gottfriedem Spittelerem w drzwiach naszego domu w Aleksandrii. Faradz nigdy czegoś takiego nie widział, pogadał zatem ze znajomym lekarzem, który poradził:

– Wsadź jej głowę do zamrażarki.

– Co?

– Głowa do zamrażarki – powtórzył znajomy. – Zimne powietrze raz-dwa udroźni jej drogi oddechowe.

I oto znowu wylądowałam z głową w domowej zamrażarce wetkniętą między kostki lodu, mięso i rybę, którą kupiliśmy tydzień wcześniej. Ale owszem, lodowate powietrze szybko przywróciło mi pełny oddech i wyleczyło mnie z zawrotów głowy. Kiedy poczułam się lepiej, kiedy parę razy napełniłam płuca lodowatym powietrzem, cofnęłam się od zamrażarki i z żądzą mordu w oczach rozejrzałam się za siostrzenicą.

– Ty!... – odezwałam się niegrzecznie. – Jak śmiesz podsłuchiwać nasze rozmowy?!

Spuściła wzrok zawstydzona i trochę bardziej schowała się za wujkiem, który heroicznie jak na filmie stanął między nami.

– Tego ci nie daruję! – żółdkowałam się. – Masz szlaban na całe lato i na wszystkie wakacje do końca życia! I...

Faradz, nie mając pojęcia, o co chodzi w tej rodzinnej awanturze, wrącił:

– Co się stało? Co to dziecko zrobiło?

– To dziecko ma dziewiętnaście lat! – wybuchłam. – I podsłuchiwało, kiedy rozmawialiśmy o bractwie, Kasparze i ossuariach!

Faradz obrócił się jak dźgnięty nożem.

– Isabello! – zawołał z niedowierzaniem w głosie. – Dlaczego?

– Przepraszam, bardzo przepraszam, naprawdę. – Z oczu winowajczynie popłynęły krokodyle łzy.

Rzuciłam się ku niej gotowa złapać ją za gardło (no dobra, za wyłogi ślicznego zakieciku) i potrząsać nią, aż przestanie kłamać, lecz w pół drogi silna męska ręka zatrzymała mnie i unieruchomiła.

– Wytłumacz się – zażądał Faradz, który w przeciwieństwie do mnie pozbawiony był

morderczych instyktów.

Oderwała kawałek ręcznika papierowego i osuszyła łzy, dbając, by nie rozmazać ani cienia do powiek, ani kresek, ani tuszu.

– Naprawdę bardzo przepraszam – powtórzyła z udawaną skruchą. – Nie chciałam podsłuchiwać. Jeden kolega napisał sobie taką aplikację i przesłał mi, żebym ją wypróbowała. Wtedy wieczorem, jak wróciliście od rektora i poszłam do swojego pokoju, zorientowałam się, że nikt jeszcze jej nie uruchamiał, i chciałam zobaczyć, jak działa.

– O czym ty mówisz, do licha? – zdumiał się Faradz, gestem dając mi znak, żebym się nie wyrywała.

– Jest naprawdę super, wujku – zapewniła, rzucając mu uśmiech, który zawsze rozbrajał Faradza. – Wybierasz w kontaktach jakiś numer komórki i zaraz ta komórka zaczyna ci przelazywać dźwięk. Wydaje się mało oryginalne, ale wielkość aplikacji Harry’ego polega na tym, że żyroskop wykorzystywany jest jako mikrofon, a prawdziwy mikrofon może być wyłączony. Żyroskopy w smartfonach wychwytyują zmiany w ciśnieniu powietrza spowodowane przez fale dźwiękowe, a aplikacja Harry’ego przetwarza te zmiany z powrotem w dźwięki.

– I którą komórkę wybrałaś? – zapytał.

– Twoją – szepnęła z nieszczerze ubolewającą miną. – Ciocia mogła strzelić swoją byle gdzie, a ty zawsze masz telefon przy sobie.

Faradz bardzo wolno wypuścił powietrze, popatrzył na mnie, popatrzył na nią i przez chwilę trwał w milczeniu.

– Przynies swój tablet, komórkę i laptop – polecił wreszcie.

– Nie, proszę! – zaprotestowała Isabella.

– Przynies! – powtórzył Faradz twardo.

Ucieszyłam się, że mój mąż zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. W dodatku wpadł na dobry pomysł. Nie zamierzałam pozbawić go tej broni.

Kiedy Isabella zniknęła za drzwiami kuchennymi, spojrzeliśmy na siebie z Faradzem i uściskaliśmy się w zupełnej ciszy. I tak czekaliśmy w bezruchu i smutku. Nigdy dotąd nie mieliśmy żadnego kłopotu z Isabellą.

– Co robimy? – szepnęłam, opierając mu głowę na ramieniu. Jego zapach, zapach jego skóry, ubrania, a nawet wody kolońskiej działał na mnie kojąco. Uspokoiliłam się, gdy tylko mnie objął.

– Nie mam pojęcia – mruknął. – Na razie trzeba jej zabrać ulubione zabawki. Potem zobaczymy.

– Powinniśmy na miesiąc zamknąć ją w pokoju, żeby sobie przemyślała, co zrobiła.

– Dobrze wie, że nie powinna podsłuchiwać. No i na pewno nie miała złych intencji. Przecież jesteśmy jej rodziną, to co innego niż gdyby podsłuchiwała sąsiadów czy jakiegoś profesora,

żeby zdobyć informacje. Chciała tylko wypróbować aplikację kolegi ze studiów.

– Tyle że podsłuchiwała naszą rozmowę z Simonsonami i zamiast wyłączyć to draństwo...

– Aplikację.

– Jak zwał, tak zwał. Zamiast to wyłączyć, słuchała do samego końca. – Wtem nasunęło mi się coś ważnego. – Ile w ogóle usłyszała? – spytałam zaalarmowana, odsuwając się od Faradza. – Przypominam ci...

Uśmiechnął się.

– Nie musisz mi przypominać. Ja też tam byłem.

– O matko! – zawołałam przerażona.

– Nie sądzę, żeby aż do tego dotrwała. Myślę, że wyłączyła aplikację po wyjściu Simonsonów. Gdyby słyszała nasze dzikie zmagania w łóżku, byłaby zawstydzona i widzielibyśmy to na jej twarzy.

– Ale pewności nie masz!

Kiedy to mówiłam, do kuchni weszła Isabella objuczona swoimi elektronicznymi urządzeniami. Na szczęście nie zaczęła dopytywać, czego to wujek nie jest pewien.

– Kiedy mi je oddacie? – spytała, kładąc komórkę i pozostałe urządzenia na blacie koło zlewu.

– Nie wiemy – rzekł Faradz, biorąc ją pod ramię. – Na razie musimy pogadać.

Wiedziałam, że to nieodzwonne, lecz szczerze mówiąc, rozmowa najmniej mi odpowiadała. Byłam zmęczona po nieprzyjemnych przeżyciach i potrzebowałam oczyścić umysł, by dojść do siebie. Widząc jednak, jak Faradz ciągnie Isabellę do salonu, zrozumiałam dwie rzeczy: po pierwsze, że niedzielny posiłek zostaje odłożony aż do nowych ustaleń; i po drugie, że ten dzień będzie bardzo, bardzo długi. Otworzyłam więc jedną z wysokich szafek i wyjęłam dzbanek. Szybko nalałam do niego wody i pomaszero wałam za nimi do salonu, gdzie już siedzieli naprzeciw siebie na sofach.

Niewiele mogliśmy zrobić z Isabellą – ot, co najwyżej wyczyścić jej pamięć jak dysk twardy, którym niestety nie była. A że nie była i w dodatku cierpiała na tę samą straszną dolegliwość co wszyscy Salinowie, czyli dążyła do osiągnięcia tego, co jej pasuje, nie zważając na to, co należy zrobić, rozmowa z nią nie była łatwa. Podsłuchanie spotkania z Simonsonami otworzyło przed nią nowy świat pasjonujących historii o tajnych bractwach, pradawnych tajemnic religijnych i listów średniowiecznych patriarchów, mimo więc ewidentnego przewinienia – a nawet więcej niż jednego, gdyby okazało się to potrzebne – ani myślała z tego zrezygnować. Faradz od czasu do czasu zerkał na mnie znacząco, sygnalizując liczne podobieństwa (gesty, sposób wypowiedzi...) Isabelli do mnie. Nie ugięła się nawet pod groźbą odesłania jej do Palermo do rodziców i rodzeństwa. Oznajmiła, że wyjedzie, jeśli nie weźmiemy jej ze sobą, ale żebyśmy nie traktowali jej jak debilki, bo nie jest debilką i teraz, kiedy

o wszystkim wie, bardzo by chciała nam pomóc, wziąć udział w poszukiwaniach i oczywiście dowiedzieć się więcej. Zasadniczo przez całą sobotę strasznie cierpiała, kombinując, jakby tu dać nam do zrozumienia, że o wszystkim wie, ale tak, żebyśmy się nie gniewali, jednakże po tym, co zauważyła na mszy w katedrze, nie mogła dłużej wytrzymać, musiała spytać.

Uroczyście obiecała, dała słowo honoru i przysięgła na Pismo Święte, że jeżeli weźmiemy ją z sobą na poszukiwanie ossuariów („no bo ciociu, to jest coś wielkiego, nie możesz odmówić”), nigdy, przenigdy, nawet gdyby ją torturowali albo grozili jej śmiercią, nie piśnie słowa o stawrofilakach i całej reszcie. Poza tym, gdybyśmy nie pamiętali, jest już pełnoletnia, tak że jeśli coś jej się stanie (wypadek, ukąszenie węża czy coś w tym stylu), nie będziemy ponosili za nią odpowiedzialności. Jako osoba całą głębą pełnoletnia pokłóciła się z matką, babcią i wszystkimi Salinami, życząc sobie wyjechać z Palermo i zamieszkać z nami, „a wiesz, ciociu, jaka jest nasza rodzina, łącznie z wujkiem Pierantonim i cicią Lucią”, więc szczytem wszystkiego jest to, że teraz my ją traktujemy jak małą dziewczynkę. No przecież nie chcemy chyba, żeby nas miała za bezduszne, pozbawione serca kwoki, jeśli ją teraz odsuniemy od siebie, gdy jej jedynym marzeniem jest zostać z nami, towarzyszyć nam i pomagać, bo kurczę, bez niej nic nam się nie uda i nie...

W tym miejscu nie mogłam dłużej znieść tego potoku słów. Albo ją zatłukę, albo sama zejdem z powodu uduszenia.

– Zamknij się, na litość boską! – huknęłam.

W salonie zapadła cisza jak makiem zasiał. Poczułam, że nerwy i mięśnie mi się rozluźniają. Faradz obok mnie także zdawał się siedzieć jakoś ciężiej na sofie.

– Posłuchaj, Isabella... – zaczął. Jakże krótko potrwała cisza w salonie. – Dowiedziałaś się o rzeczach, które nie należą ani do mnie, ani do cici. To jakbyś komuś ukradła coś najcenniejszego i prosiła, żebyśmy pozwolili ci to coś zatrzymać. To nie jest nasze, Isabella, musisz to zrozumieć. Sekret istnienia bractwa stawrofilaków należy tylko do stawrofilaków. Historia o dwunastowiecznych ossuariach należy tylko do Simonsonów. Ani ciocia, ani ja nie możemy pozwolić ci wtrącać się w te sprawy czy brać w nich udział. Wiemy, że nie miałaś złych intencji, kiedy zaczęłaś podsłuchiwać, ale źle się stało, że wysłuchiwałaś wszystkiego. Dlatego rekwirujemy twój komputer, tablet i komórkę.

– Są mi potrzebne! – jęknęła błagalnie.

– Możesz korzystać z komputera w bibliotece – oznajmiłam bezlitośnie.

Powinna była trzymać buzię na kłódkę. Zakończyła już semestr i egzaminy, od ponad dwóch tygodni miała wakacje, toteż potrzebowała tych gadżetów tylko w celu prowadzenia bogatego życia w świecie społeczności wirtualnych. Na szczęście aby się wymigać od wyjazdu (obowiązkowego) do Palermo, zapisała się na letni kurs czegoś tam informatycznego, co było

niezbędne dla poszerzenia czegoś innego informatycznego. Wiedziałam jednak od jej opiekuna naukowego, którego spotkałam kiedyś na korytarzu, że Isabella przoduje na roku, jeśli chodzi o wiedzę i oceny, i że jeśli w przyszłym semestrze nie ma się nudzić jak dotychczas, powinna może zapisać się na większą liczbę kursów. Dlatego tym bardziej miałam pewność, że elektroniczne zabawki nie są jej teraz do niczego potrzebne.

– Słyszałaś, co powiedziałam, Isabello? – zapytał mój mąż, wracając do sedna sprawy.

Winowajczynie kiwnęła głową.

– Ważne, żebyś zapamiętała – ciągnął Faradz – że informacje, które przypadkiem zdobyłaś, nie należą do ciebie, a ci, których dotyczy, byliby bardzo niezadowoleni, gdyby do nich doszło, że o tym wiesz. Powinnaś naprawdę poważnie potraktować to, co teraz powiem: oczywiście nie zapomnisz tego, co usłyszałaś, ale radziłbym, żebyś nigdy nikomu słowa nie pisnęła na ten temat. Nigdy, Isabello, rozumiesz?

Znowu w odpowiedzi kiwnęła głową.

– Naraziłabyś na niebezpieczeństwo – dodałam surowym głosem – wiele przyzwoitych, szlachetnych osób, dobrych ludzi, którym zrujnowałabyś życie. Nie mówiąc o zagrożeniu, które ściągnęłabyś na siebie, bo gdyby w pewnych kręgach zrozumiano, że wiesz o bractwie, nawet nie chcąc sobie wyobrazić, w jakie piekło zamieniłoby się twoje życie, wierz mi.

Winowajczynie pobladała wyraźnie pod makijażem. Jej młoda buzia, świeża i gładka, zbiałała na chwilę, po czym naraz poczerwieniała.

– Poważnie? – wyjąkała moja siostrzenica.

– Bardzo poważnie – potwierdził jej wujek ze stosowną miną. – Aż tak byśmy cię nie okłamywali. A mówimy ci to wszystko, bo jesteś naszą siostrzenicą i chcemy cię chronić za wszelką cenę. Gdybyś była obcą osobą, możesz być pewna, że musielibyśmy uruchomić procedury bractwa, które na pewno nie przypadłyby ci do gustu.

Przez chwilę patrzyła na nas stropiona, a ja dosłownie widziałam jak w kinie myśl, która zrodziła jej się w głowie.

– Wy jesteście stawrofilakami! – wykrzyknęła w podnieceniu, które tryskało wszystkimi porami jej skóry.

Zerknęłam na zegarek. Była już druga po południu. Zdziwiłam się. Gdzie ten Phil? Nasz szybki łącznik ze stawrofilakami nie dał dotąd znaku życia.

– Jesteście stawrofilakami! – powtórzyła, zrywając się na nogi i wskazując nas palcem.

Faradz znowu spojrział na mnie znacząco, abym odnotowała gest Isabelli. Oskarżycielsko wymierzony palec, na który nic nie poradziło wychowanie – ten gest nie do opanowania musiałyśmy obydwie mieć w genach.

– Jesteście czy nie? – powtórzyła niecierpliwie, ujawszy się pod boki.

– Nie jesteśmy – zapewniłam.

– Nie kłam, ciociu! – rzekła z wyrzutem. – Przecież to wam widać na twarzy!

– Widać na twarzy, że jesteśmy stawrofilakami? – żartobliwie rzekł Faradz. – Coś takiego, a ja myślałem, że na mojej twarzy widać tylko brodę.

– Zejdz mi z oczu, Isabello – poprosiłam ze znużeniem. – Rób, co chcesz, ale daj mi chwilę odpocząć, błagam cię.

– Gdzie mam iść bez tabletu i komórki? – Jej buzia nie mogła wyrazić większej zgrozy. – I bez laptopa!

Na szczęście Faradz był równie zmęczony tą rozmową jak ja.

– Nie martw się o swoich pięćdziesięciu przyjaciół z WhatsAppa czy z twittera – pocieszył ją, wstając. – Jak powiedziała ciocia, z komputera w bibliotece możesz ich powiadomić, że padło ci wi-fi.

Isabella z wielkim trudem zapanowała nad gniewem, po czym z rozłoszczoną miną i łzami bezsilności w oczach jak burza pognała po schodach na górę. Kiedy w końcu rozległo się wściekłe trzaśnięcie drzwiami znaczące, że zamknęła się w swoim pokoju, oboje wraz wypuściliśmy z sykiem powietrze niczym maszyny parowe. Byliśmy wykończeni.

– Zawsze myślałem – odezwał się Faradz – że najtrudniej będzie jej wytłumaczyć, skąd się biorą dzieci, ale to dzisiejsze było o wiele gorsze.

– Ona już wie, skąd się biorą dzieci, o to się nie martw – oświeciłam go, śmiejąc się.

– Zastanawiałaś się kiedyś – szepnął, nachylając się do mnie – co by się działo, gdyby zobaczyła nasze skaryfikacje?

Oblałam się zimnym potem. Pilnowaliśmy się bardzo, by starannie ukrywać nasze szczególne szramy na ciele. Oczywiście byliśmy z nich dumni, nieraz narażaliśmy życie, zanim dorobiliśmy się wszystkich, ale czegoś takiego nie można pokazywać światu – po pierwsze dlatego, że nie należy, lecz przede wszystkim dlatego, że skoro wyglądają tak osobliwie, zawsze w końcu znajdzie się ktoś, kto zapyta, czemu do diabła nosimy na ciele dziwne krzyże i greckie litery. Akurat byśmy odpowiedzieli! Jedną z nielicznych niedogodności związanych z przyjazdem do nas Isabelli była właśnie konieczność pilnowania się, by nie zobaczyła naszych skaryfikacji stawrofilaków. Bo owszem, rzeczywiście byliśmy stawrofilakami.

Aby dotrzeć do Paradejsosu, Ziemię Raju stawrofilaków (kiedy ścigaliśmy złodziei rabujących *Ligna Crucis*), musieliśmy przejść przez siedem coraz trudniejszych prób nawiązujących do siedmiu kręgów i grzechów z czyścica *Boskiej komedii* Dantego. Ilekroć przebywaliśmy kolejny krąg, na zakończenie, gdy byliśmy nieprzytomni, stawrofilacy naznaczali nas nową skaryfikacją na innej części ciała. A że ostatecznie trafiliśmy do Paradejsosu, pokonawszy wszystkie przeszkody, zasłużyliśmy sobie na siedem dodatkowych blizn, dzięki

kórym byliśmy jako te dziwolągi dla każdego, kto nas oglądał. Na szczęście włosy i odzież zupełnie je zasłaniały, co nie zmieniało faktu, że będziemy je mieli już zawsze. A co najważniejsze, skaryfikacje były bezsprzecznym dowodem na to, że z formalnego punktu widzenia byliśmy naprawdę autentycznymi stawrofilakami. Odpowiedź zatem na pytanie mojej siostrzenicy powinna być twierdząca – tak, jesteśmy stawrofilakami – aczkolwiek z zastrzeżeniem: ani nie żyjemy, ani nie myślimy jak oni.

Faradz, aleksandryjczyk z krwi i kości, a zatem smakosz i świetny kucharz, w czasie gdy byliśmy w kościele, przygotował wyborną sałatkę z serem i fasolą oraz pyszną potrawkę z jagnięciny. Ale do tej pory sałatka lekko przywiedła, a potrawka wystygła. Mimo to zjedliśmy z apetytem, a Isabelli zaniosłam jedzenie na tacy do pokoju, żeby też się posiliła. Ponieważ nie odpowiadała na pukanie, zajrzałam cichutko do środka i zobaczyłam, że śpi i że płakała (o czym świadczyło mnóstwo pogniecionych i porozrzucanych wokół chusteczek higienicznych). Zostawiłam tacę na biurku i wyszłam na palcach, aby jej nie obudzić.

O piątej po południu mocno się już martwiłam: Phil, nasz łącznik z Kasparem, nadal się nie pokazał. Z Kasparem w gruncie rzeczy nie widzieliśmy się od dziewięciu lat, odkąd został katonem, chociaż rozmawialiśmy z nim wielokrotnie. Znaczy nie z nim, tylko z... Ech, bardzo to skomplikowane. W ciągu tamtych pierwszych trudnych miesięcy w Aleksandrii nie dość, że mieliśmy na karku Gottfrieda Spittelera mieszkającego po sąsiedzku, nie dość, że watykańskie służby wywiadowcze siedziały nam na komputerach, to jeszcze ktoś stale podsłuchiwał nasze rozmowy telefoniczne. Zaczęliśmy więc porozumiewać się z Kasparem w sposób dość dziwny i od dawna czasem stosowany przez bractwo. Otóż w niewielkiej grupce stawrofilaków przetrwał wymarły język ongota. Znający go jeździli po różnych krajach, wszędzie tam, gdzie byli potrzebni, tak że my w Aleksandrii rozmawialiśmy właściwie z Ibrahimem, który stał obok nas i przez swoją komórkę przekazywał nasze słowa w języku ongota krewniakowi, niejakiemu Muntu w Etiopii przebywającemu z Kasparem. Tak samo robiliśmy, mieszkając w Turcji, później we Włoszech, a teraz w Kanadzie, gdzie Phil, stary przyjaciel, nauczyciel muzyki ożeniony z Kanadyjką, odwiedzał nas od czasu do czasu i przy okazji telefonował z komórki do znajomego w Etiopii, z którym rozmawiał w języku ongota. Oczywiście rządził tym przypadek Niemniej tego popołudnia Phil nie dawał znaku życia, także w końcu Faradz również zaczął się niepokoić.

O szóstej Isabella zeszła na kolację z miną niewinnej owieczki rzuconej między głodne wilki. Kiedy siedzieliśmy przy kuchennym stole, Faradz i ja próbowaliśmy zachowywać się normalnie, na ile było to możliwe, lecz Isabella uznała, że życie jest nic niewarte, tylko przynosi zmartwienia i ból, a dla świata nie ma żadnej nadziei, ostatecznie więc przestaliśmy się do niej odzywać, w ogóle udawaliśmy, że jej z nami nie ma. Kończyliśmy jeść, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

– To Phil! – zawołał Faradz, rzucając serwetkę na stół i zrywając się na nogi.

Isabella znalazła Phila, toteż nie przykładała wagi do jego wizyty o tej dość późnej porze. Zresztą zapowiedziała, że ani myśli witać się z nim. I dobrze, odparłam, wstając od stołu.

Wtedy dobiegł mnie okrzyk zdziwienia, śmiech, który wydał mi się znajomy, i niedające się z niczym pomylić dźwięki męskich uścisków (kiedy mężczyźni obejmują się na powitanie, zawsze głośno poklepują się po plecach; nie udało mi się dojść, dlaczego to robią, tej tajemnicy jeszcze nie rozwikłałam). Ruszyłam z kuchni do wejścia, zastanawiając się, kto przyszedł, że Faradz tak radośnie go wita. Oczywiście nigdy, przynigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że tutaj, w kanadyjskim Toronto, ujrzę Jego Eminencję katona stawrofilaków, Katona CCLVIII we własnej osobie ubranego jak zwykły człowiek w spodnie i marynarkę, pod krawatem, z promiennym, przyjaznym uśmiechem na twarzy jak zawsze ostrej, władczej, kanciastej i zgryźliwej. No, może mi przeszło, uznałam z radością w sercu wywołaną jego widokiem. Kaspar bardzo się zmienił od watykańskich czasów, kiedy znałam go – i znosiłam – jako kapitana Gwardii Szwajcarskiej. W sumie okazało się, że nawet drzemie w nim człowiek Niemniej gdy o nim myślałam, zawsze przed oczami stawał mi szwajcarski żołnierz, krzepki, rosły, ciskający stalowymi grotami z szarych oczu, małym palcem podnoszący różnej wielkości skały i w trakcie posiłku chrupiący szkło. Z szerokim uśmiechem na ustach, nie dowierzając, że zjawił się oto w moim domu, zdałam sobie sprawę, że pełniąc odpowiedzialną funkcję religijną, zrezygnował z krótkiej fryzury w stylu wojskowym.

– Ottavia! – wykrzyknął drągał o blond włosach, wypuszczając z objęć Faradza, i złapał mnie w niedźwiedzi uścisk

Mierząc ponad metr dziewięćdziesiąt, dorównywał wzrostem Faradzowi, lecz obaj diametralnie różnili się budową: mój mąż przypominał witynkę na srebra rodowe, Kaspar natomiast szafę gdańską.

– Kaspar?... – zdołałam wydusić zgnieciona w jego objęciach. – O matko, Kaspar, to ty!

– Jak miło cię widzieć, pani doktor! – szepnął, przeciągając głoski i jeszcze mocniej mnie ściskając; po tylu latach nadal mówił po włosku z silnym akcentem niemieckim. – Ależ mi was obojga brakowało!

Żyć, aby zobaczyć. A raczej żyć, aby usłyszeć.

Nagle rzeczywistość przeobraziła się dla mnie w swego rodzaju sen. To wszystko było zupełnie niewiarygodne, rozum mnie przestrzegał, że to nie może być prawda, że absolutnie niemożliwe, aby Katon CCLVIII znalazł się tutaj, aby opuścić swój tajemny Paradejsos i przebył taki szmat drogi do Toronto, przesiadając się do różnych samolotów i przechodząc kontrole bezpieczeństwa na kilku lotniskach. O nas już dawno zapomniano (albo i nie, tego przecież nie wiedzieliśmy), ale jego na pewno szukano nawet w mysiej dziurze. Moment, powiedziałam sobie. A jeśli tak się właśnie stało? Jeśli faktycznie szukali go nawet w mysiej dziurze i w tej chwili nasz dom otoczony

jest szpiegami Spittelera, FBI, CIA...?

– Pięknie wyglądasz! – wyrwało się katonowi z podziwem i bez krzty nieszczerości na twarzy; tak mi się przy najmniej wydawało.

– Piękna nigdy nie byłam – odparłam ze śmiechem, odsuwając się nieco od niego – mam za to czarującą osobowość.

Najpierw usłyszałam prychnięcie zza pleców. Głaza wydane przez Faradża i zaraz potem drugie, zza własnych pleców. Isabella zdecydowała się wyjść z kuchni na powitanie gościa. Rany boskie! I co teraz? Imię Kaspara z pewnością podziało na nią jak magnes.

– W moich oczach jesteś piękna – upierał się nieprzyjemny ongiś kapitan. – Życie z profesorem wyraźnie ci służy, bez dwóch zdań.

– Dobrze ją karmię – zauważył Faradż dumny ze swoich umiejętności kulinarnych.

Nie mogłam ignorować obecności Isabelli.

– Kasparze – powiedziałam, wskazując ją – to nasza siostrzenica Isabella, córka mojej siostry Águedy. Mieszka z nami od roku. Isabello, to nasz przyjaciel Kaspar ze Szwajcarii.

– Miło mi cię poznać, Isabello – rzekł z uśmiechem, na włoską modłę całując ją w policzki.

W oczach mojej siostrzenicy płonęły iskierki, ba! właściwie płomienie jak w piecu hutniczym. Wiedziała, kim nasz gość jest naprawdę, i nie potrafiła tego ukryć.

Wtem Kaspar zostawił Isabellę i odwrócił się do otwartych ciągle drzwi, w których nikogo nie było widać.

– Linusie! Gdzieś się podział? – zawołał po angielsku.

We framudze pojawiła się jasnowłosa główka. O matko, skóra zdarta z ojca, tyle że w pomniejszeniu! No fakt, cerę miał smaglejszą, taką jak Chutenptah, jego matka, piękna, inteligentna Greczynka o szlachetnych, klasycznych rysach, która umarła podczas porodu z powodu tętniaka mózgu. Po niej także bez wątpienia chłopiec miał prosty, wąski nos, niemniej mały Linus był wykapanym Kasparem z domieszką innej krwi. On także blond włosy miał tak króciutko ostrzyżone, że na głowie widać było jedynie lekkie ich połyskiwanie, i oczy szare jak ojciec, tyle że ciemniejsze.

Wiedzieliśmy o jego narodzinach; wiedzieliśmy o śmierci jego matki; wiedzieliśmy, jak bardzo i jak długo Kaspar cierpiał; a teraz mieliśmy go tutaj, w naszym domu. Znacząco niezupełnie jeszcze w domu, ale przynajmniej w drzwiach. Stał, patrząc na ojca z niepokojem w oczach.

– Wejdz, Linusie – powiedział Faradż z uśmiechem, wyciągając doń rękę jak do dorosłego.

Mały Linus zdecydował się wejść i podać rękę Faradżowi, aczkolwiek widać było, że nie czuje się pewnie. Mój mąż uściśnął małą prawicę, potem schylił się i pocałował chłopca. To jakby uspokoiło Linusa, który naturalnym gestem odwzajemnił całusa, po czym przywarł do spodni

ojca.

– A to ciocia Ottavia – rzekł synowi Kaspar, popychając go w moją stronę.

No masz, jeszcze jeden bratanek! Jakby mało mi było dwadzieściora pięściora dzieci mojego rodzeństwa! Najmłodszym z nich była oczywiście Isabella, winowajczyni, a tym malcem, czteropółletnim, można się było jeszcze nacieszyć. Przykłąkam i uściślałam go serdecznie. Wyczułam, że jego dorodne ciało jest trochę spięte z powodu niecodziennej sytuacji.

– Cześć, Linusie – powiedziałam z uśmiechem. – Witaj w domu. Nie wiesz, jak się cieszę, że cię poznałam.

– Ja też – odparł grzecznie.

– A ja jestem Isabella – wtrąciła moja siostrzenica, wysuwając się przede mnie, i także pocałowała Linusa, który się cofnął.

– Nie znam cię – mruknął, marszcząc czoło.

O matko, nie do wiary, jak w każdym calu przypominał Kaspara!

– Ale możesz ją teraz poznać, prawda? – napomniął go ojciec.

– Mam dwie konsole – kusila Isabella. – Chciałyś pograć?

Konsole! Zapomnieliśmy zabrać jej konsole do gier wideo! Trudno, pomyślałam zrezygnowana, i tak już za późno.

Na dźwięk słowa „konsola” Linusowi oczy zrobiły się jak spodki.

– Idź, synku, idź. I nie martw się, będę tutaj.

Mały Linus posłusznie ujął rękę Isabelli i oboje pomaszrowali na górę. Wierzyłam, że moja siostrzenica nie weźmie na spytki malca... Akurat, wcale w to nie wierzyłam. Wiedziałam, że to zrobi. Ale wiedziałam również, że po wszystkim nawet jej wujek nie przeszkodzi mi wręczyć Isabelli biletu do Palermo.

– Jadłeś już kolację? – zapytał Faradz Kaspara. Uśmiech nie schodził mu z ust, odkład Głaz wszedł do domu.

– Tak, jedliśmy w samolocie – odparł Katon CCLVIII. – Ale jeśli oderwaliśmy was od stołu, skończcie jeść. Ja bym potrzebował tylko kawy. Jeszcze nie przywykłem do pór posiłków na tym kontynencie.

Faradz znowu przyjaźnie poklepał go po plecach i pociągnął do kuchni, gdzie stół z prawie opróżnionymi talerzami gromko domagał się uprzątnięcia.

– Pozmywam – powiedziałam. – A wy zaparcie kawę i usiądźcie.

W głowie nie mogło mi się to pomieścić. Znowu byliśmy we trójkę, tylko my, tak jak gdy zaczęła się cała ta historia, która na zawsze odmieniła nam życie, co więcej, zdawało mi się, że przenieśliśmy się w przeszłość i nadal przechodzimy przez ciężkie próby i rozgryzamy zagadki stawrofilaków. Oczywiście teraz wszyscy troje byliśmy stawrofilakami, w dodatku mieliśmy po

parę lat więcej. Po twarzy Kaspara, niestety, wyraźniej niż po naszym widać było upływ czasu, bez wątpienia z powodu śmierci Chutenptah, którą ogromnie kochał. Oboje z Faradżem byliśmy z nimi, kiedy się poznali, i później, kiedy już byli razem, a Kaspar miał być mianowany katonem. Nie sposób było uwierzyć, że umarła.

– No, mamy sporo do pogadania – zaczął Kaspar, sadowiąc się na miejscu Isabelli – ale są rzeczy ważne i ważniejsze. Co się stało, że przekazaliście pilne ostrzeżenie?

Prawdę mówiąc, ja już o niczym nie pamiętałam, toteż nie odezwałam się słowem, tylko układałam dalej talerze, kubki i sztucce w zmywarce.

– Słusznie, są rzeczy ważne i ważniejsze – zgodził się Faradż, wyjmując z pudełka kolorowe kapsułki, by zaparzyć kawę w supermodnej maszynie George’a Clooneya. Wbrew mojej woli ulegliśmy modzie. – Macie gdzie się podziać tej nocy?

– Jak możesz o to pytać? – Kaspar roześmiał się serdecznie. – Zawsze mamy gdzie się zatrzymać, nie martw się. Mów, co się dzieje.

– Nie, jeszcze nie – sprzeciwił się mój profesor Boswell. – Opowiadania jest dużo i będziesz musiał podjąć ważne decyzje.

– Znów? – zażartował Głaz. – Jakbym nie podejmował stale ważnych decyzji! Całe moje życie do tego się sprowadza.

– Za pozwoleniem Waszej Eminencji – rzekłam ze śmiechem – życie wszystkich śmiertelników sprowadza się dokładnie do tego samego.

– Do rzeczy – uciął mój szanowny małżonek – Najpierw powiedz, skąd się do diabła wzięłeś z Linusem w Kanadzie. Ostrzeżenie przekazaliśmy przecież raptem siedem godzin temu. Nie dojechałyś tu z Etiopii w tym czasie. Jeśli odliczyć odprawę przed odlotem i po przylocie, miałbyś trzy do pięciu godzin, by dotrzeć do Toronto. To wystarczy, żeby dostać się tu najwyżej ze Stanów. A na dokładkę z tego, co wiemy, po raz pierwszy od czternastu lat wyszedłeś ze swojego podziemnego królestwa.

Kaspar, któremu odkąd przestąpił nasz próg, uśmiech nie zniknął z ust, wziął od Faradża filiżankę parującej kawy i wpatrzył się w odbicie światła sufitowego na czarnej powierzchni gorącego naparu. Gdzie się podziała najlepsza na świecie włoska kawiarka? pomyślałam z goryczą. Kawiarka mająca wszystkie inne pod sobą?

– Co się dzieje, kapitanie? – spytałam zaniepokojona jego milczeniem. Podeszłam i usiadłszy obok niego, położyłam dłoń na jego ręce, w której trzymał filiżankę. – Coś się stało?

Kaspar nadal się nie odzywał. Faradż podał mi kawę i wzięwszy swoją, bez słowa przysunął sobie krzesło. Siedzieliśmy tak przez kilka minut, póki Głaz się nie poruszył i nie potrząsnął głową, jakby budził się ze snu.

– Odchodzę – rzekł naraz.

– Przecież dopiero co przyszedłeś! – zaprotestowałam.

Faradž kopnął mnie pod stołem.

– Nie odchodzę od was, Ottavio – wyjaśnił znowu z uśmiechem. – Odchodzę z bractwa. Zrezygnowałam z godności katona dokładnie tydzień temu. Teraz znów będę sobą.

ROZDZIAŁ 5

Po takiej rewelacji byłam pewna, że Kaspar tej nocy nie wyjdzie od nas, bo go nie wypuścimy. Za dużo było do omówienia i przedyskutowania, nim nastanie kolejny dzień. Po chwili ciszy, która wtedy zapadła w kuchni (obrazowo mogłabym ją opisać jako odcinek czasu pomiędzy zatrzymaniem akcji serca pod wpływem wstrząsu i powrotem do życia pod wpływem wyrzutu adrenaliny), Faradż, opierając się o stół, jakby nogi nie mogły go utrzymać, z trudem podniósł się wolno niczym schorowany starzec. Nie dlatego, że jakoś szczególnie go dotknęła decyzja Kaspara o rezygnacji z funkcji katona, bo przecież każdy może robić, co chce, byle nie szkodził innym, lecz z powodu potężnego, niebywałego, powalającego zaskoczenia.

Z tego, cośmy wiedzieli, w ciągu tysiąca siedmiuset lat żaden katon nie zrezygnował ani nie został zdjęty z urzędu. Wszyscy sumiennie sprawowali mandat do samej śmierci, przed którą każdy spisywał kronikę swoich rządów kończoną przez następnego katona po objęciu przezeń władzy. Tak było za dwustu pięćdziesięciu siedmiu katonów od IV wieku naszej ery, a konkretnie od roku 341, kiedy grupa diakonów z bazyliki Grobu Świętego w Jerozolimie powołała bractwo i wybrała Mirogenesa z Neapolu jako archimandrytę i pierwszego katona w historii. Jedyłą misją bractwa na przestrzeni wieków była ochrona za wszelką cenę świętego drewna Krzyża Prawdziwego odkrytego przez cesarzową świętą Helenę w roku 326 na wzgórzu Golgota w Jerozolimie.

A teraz Kaspar Glauser-Röist mówił nam jakby nigdy nic, że zrezygnował, że jest pierwszym w historii katonem, który porzucił urząd, mało tego – że odchodzi także z bractwa.

– Faradż, gdzie idziesz? – Takie pytanie wyszło z moich ust, gdy ożyłam w nie najlepszym stanie.

Przeszedł przez kuchnię do drzwi lunatycznym krokiem. Obrócił się naraz, opierając dłoń o framugę.

– Przygotować pokój gościnny – odparł ochryplym głosem. – Przecież zostaną u nas.

– Nie, nie, zatrzymamy się u kardynała Hamiltona – sprzeciwił się Kaspar, zauważyłam jednak, że wolałby przenocować w naszym domu.

– No to zadzwoni do niego i powiedz, żeby na was nie czekał – rozstrzygnęłam, wstając i idąc za Faradżem. – I każ tu dostarczyć wasze bagaże, gdziekolwiek są.

Zostawiliśmy go w kuchni rozmawiającego przez komórkę i bez słowa, trzymając się za ręce, poszliśmy na górę. Z pokoju Isabelli, która zostawiła otwarte drzwi, dobiegały dźwięki i muzyka dziecięcej gry wideo, rozmowa i śmiechy. Przynajmniej ona zachowywała się jak należy.

– Co myślisz o tym, co zrobił Kaspar? – zapytał Faradż.

– Zanim pomyślę, chciałabym się dowiedzieć, co nim kierowało – odparłam. – To przecież Kaspar.

Faradź kiwnął głową i zapalił światło w tak zwanym pokoju gościnnym. Zasadniczo używaliśmy go jako składziku, lecz urządzony został na wypadek sytuacji awaryjnej jak ta: wynosząc rzeczy poutykanie to tu, to tam i przestawiając inne na swoje miejsce, odgruzowaliśmy go mniej więcej i przywróciliśmy do stanu używalności dwa łóżka i stolik. Miał poza tym osobną łazienkę i szafę na ubrania.

Skńczywszy, obrzuciliśmy pokój aprobującym wzrokiem i wyszliśmy, zamykając za sobą drzwi. Długo nam nie zeszło, nie chcieliśmy jednak za długo zostawiać Kaspara samego, toteż pospieszyliśmy zaraz do kuchni. Nie zmienił ani miejsca, ani pozycji, wciąż siedział ze smutną miną i chmurnym spojrzeniem. Faradź zajął się znowu ukochanym ekspresem do kawy, a ja usiadłam na swoim krześle naprzeciwko kapitana i popatrzyłam mu w oczy.

– Dlaczego? – Tylko tyle odważyłam się powiedzieć najłagodniejszym głosem, jaki zdołałam z siebie wydobyc.

Kaspar podniósł smutne teraz szare oczy i uśmiechnął się. W białym neonowym świetle jego wydatne kości policzkowe zdawały się wyrzeźbione dłutem w granicie.

– Dlatego, że Chutenptah już nie ma – zaczął wyjaśniać pogodnie. – Dlatego, że umarła. Dlatego, że się pomyliłem. Dlatego, że kiedy się w niej zakochałem, sądziłem, że zakochałem się też w bractwie i w pięknie takiego sposobu życia, ale to nie była prawda – wyliczał powody niespiesznie, jakby mówiąc, dopiero je formułował. – Dlatego, że w nic nie wierzyłem, a kiedy poznałem Chutenptah, uwierzyłem w nią i w miłość do niej, uwierzyłem w bractwo.

Mój mąż wetknął mu w ręce drugi kubek kawy i usiadł z nami.

– Ale umarła, zostawiła mnie samego z synem – ciągnął Kaspar. – Z początku ból był... nie do zniesienia. To wiecie. Ale jak tylko do niego przywykłem, jak zaczął maleć codziennie, przestałem rozumieć, co robię w Paradejsosie i dlaczego tam jestem. To nie był mój świat i nie tego pragnąłem dla Linusa.

Upił tykawy i skrzywił się. Posłodził ją tykawką cukru, zamieszał.

– Pewnego dnia pół roku temu obudziłem się i powiedziałem sobie: „Skoro papież Benedykt zrezygnował, ja też mogę”. I zacząłem rozważać pomysł odejścia, z tym że odejścia całkowitego, nie tylko rezygnacji z urzędu katona, ale też opuszczenia Paradejsosu. Przedstawiłem to w końcu radzie, która ostatecznie orzekła, że mnie rozumie i że mogę zrobić, co uznaję za najlepsze. Poproszono tylko, żeby przed odejściem spisał kronikę swoich rządów.

Znowu tyknął kawy, westchnął głęboko, po czym spojrział na nas z miną wyrażającą silne cierpienie.

– Zawsze będę stawrofilakiem. Noszę na ciele znaki, które tego dowodzą. Na zawsze część

mojego serca pozostanie w Paradejsosie przede wszystkim dlatego, że tam spoczywa Chutenptah. Ale teraz chcę innego życia. Nowego życia dla mojego syna i dla siebie. Oczywiście będę nadal służył bractwu, ale jako świecki stawrofilak. Tak jak wy.

Oboje z Faradżem wstrzymaliśmy oddech. Były katon miał mocno przesadzone wyobrażenie o naszej stawrofilackiej przynależności.

– Kasparze, my się nie czujemy stawrofilakami – ostrzegł Faradż. – I nie czuliśmy się nigdy. Wiesz, że zarówno Ottavia, jak i ja uważamy, że takie czczenie Krzyża Prawdziwego to herezja. Nie podzielamy waszej wiary ani ideału życia.

Były katon roześmiał się w głos.

– Ależ wiem, wiem – zapewnił. – Nie sądziliście chyba, że choć przez chwilę myślałem, że ateista Faradż i nieufna Ottavia uwierzą, że Krzyż Prawdziwy to prawdziwy krzyż, na którym umarł Jezus? Taki zaślepiony nie jestem, chłopie! Ale zastanówcie się: to, że relikwia nie jest prawdziwa, w niczym nie umniejsza jej wagi jako symbolu religijnego, prawda? Chutenptah szczerze w niego wierzyła i przez to dla mnie też Krzyż stał się autentyczny. Poza tym jego wartość historyczna jest bezsprzeczna: w czwartym wieku odnalazła go w Jerozolimie święta Helena, matka cesarza Konstantyna. Uznajmy więc jego wartość jako symbolu i uszanujmy wiarę w niego innych.

– Oczywiście... – zaczęłam, chcąc powiedzieć mu o Simonsonach, lecz w tej chwili w drzwiach stanęła Isabella ze swoim najpiękniejszym uśmiechem na ustach.

– Linus usnął w moim łóżku – oznajmiła.

Głaz zerwał się na równe nogi.

– Różnica czasu. Jest wykończony – mruknął, kierując się na schody.

– Poczekaj, Kasparze – pohamował go Faradż. – Pokażę ci wasz pokój. Pójdę z tobą.

– Zostają na noc? – spytała Isabella.

– Tak. Czekamy, aż przywiozą tu ich bagaże.

– Aha. Ciociu... – Zawahała się. – Jesteś na mnie jeszcze zła?

Owszem, nadal byłam na nią zła.

– Trochę – odparłam, dopijając kawę. – W końcu mi przejdzie.

– Kiedy? Bo strasznie mi się nie podoba, że jesteśmy pogniewane. Nie chciałam zrobić nic złego.

– Ale zrobiłaś.

– Przyganiał kocioł garnkowi – mruknęła.

– Ejże, uważaj! – ostrzegłam ją surowo. Kto by pomyślał, że to powiedziała taka smarkuła? – Za brak szacunku kary są cięższe niż odebranie elektronicznych gadżetów.

– A czy ty przypadkiem nie zrobiłaś tego samego co ja? – drążyła. – Jesteś taka sama jak

babcia Filippa. I ja też. Wszystkie trzy jesteśmy porąbane i uparte i nie powiesz, że ty byś nie włączyła komórki, by podsłuchać taką rozmowę, bo ci nie uwierzę.

Babcia Filippa, moja matka... Nie było dnia, żeby m nie ubolewała, iż dzieli nas dwie ogromne przepaści: Faradz, którego nie znosiła, bo nie był katolikiem i odciągnął mnie od Kościoła, oraz rodzinne interesy przypadkiem dość podejrzone i mętne, podobnie jak główne zajęcie mojej liczącej już osiemdziesiąt dziewięć lat matki, która ostentacyjnie sprawowała „szlachetną” funkcję szefa sy cylijskich klanów Cosa Nostry.

– Nic nie mówisz? – dopominała się Isabella.

Pewnie, pomyślałam sobie, wylewając resztkę kawy z kubka, ja też by m nie przepuściła okazji do podsłuchania takiej rozmowy, nawet gdybym wiedziała, że źle robię. Tak jak moja matka, a jakże. I jak Isabella. To jednak nie zwalniało mnie z obowiązku pouczenia siostrzenicy.

– Powiem ci jedno – burknęłam. – Mnie też nie pasuje, że się gniewamy, ale jeszcze bardziej mi nie pasuje, że taka jesteś podobna do babci i do mnie.

– No to weź zapomnij o wszystkim – poprosiła z miną, która świadczyła o lekkim znudzeniu, lekkim strapieniu i wielkim zniecierpliwieniu.

– Daj mi czas do rana. Jak wstaniemy, będę normalna. Może być?

– Może – przytaknęła z uśmiechem. W tej chwili rozległ się dzwonek u wejścia. – Na pewno bagaże Kaspara i Linusa – zauważyła, oglądając się na drzwi.

– Ja otworzę – powiedziałam, wstając z krzesła. – Ty idź się położyć, już bardzo późno.

– Dobranoc – rzuciła, posłusznie idąc do siebie.

Bagaże naszych gości dostarczył młody duchowny z katedry, którego znałam z widzenia. Na szczęście nie zamierzał wdawać się w rozmowę ani nic w tym stylu. Postawił dwie walizki przy wejściu we wskazanym miejscu, krótko się pożegnał i odszedł.

Zamknęłam drzwi i zasunęłam rygiel. Osobiście robiłam to co wieczór po sprawdzeniu, czy okna są pozamykane, elektryczny czajnik wyłączony, gaz zakręcony, światła pogaszone... Taki miałam zwyczaj, Faradz jednak mówił, że to obsesja kompulsywna. I co z tego? Każdy ma swoje dziwactwa, nie?

Dwaj czcigodni stawrofilacy szli już na dół, starając się nie hałasować na schodach. Wskazałam Kasparowi przywiezione walizki i wróciłam do kuchni. Wszedł tam zaraz za mną, a za nim Faradz, który zamknął ostrożnie drzwi.

– Powiecie mi wreszcie, dlaczego pilnie chcieliście się skontaktować? – zagadnął znów Głaz, sadowiac się na krzesło Isabelli, które już uznał za swoje.

– A jak nasz komunikat dotarł do ciebie? – spytałam nieufnie. – Nie jesteś już katonem i nie mieszkasz w Paradejsosie.

– Jeśli wiadomość pochodzi od was, chyba logiczne, że dociera do mnie, nie sądzisz? A jeśli

będzie doty czyła bractwa, natychmiast ją przekażę dalej. Mów, co się dzieje.

– Słyszałeś o Simonsonach? – ubiegł mnie Faradž. – To jedni z najbogatszych ludzi na świecie.

Kaspar na ułamek sekundy dziwnie się wykrzywił.

– Pewnie, że słyszałem – potwierdził z twarzą na powrót nieprzeniknącą.

– Becky i Jake Simonsonowie byli tutaj w piątek wieczorem – pochwaliłam się.

– Poważnie? – zdumiał się. – Jaja sobie robicie?

– Skądże, stary! – roześmiał się szanowny profesor Boswell. – Gdzieżbyśmy śmieli robić sobie jaja... Ale to jeszcze nie koniec historii.

Opowiedzieliśmy ze szczegółami osobliwą rozmowę z multimilionerami, o tym, że zaofierowali nam ostatni odłamek autentycznego Krzyża Prawdziwego w zamian za poszukiwanie dziewięciu falsyfikatów ossuariów wspomnianych w napisanym w 1187 roku liście Dozyteusza, ortodoksyjnego patriarchy Jerozolimy, do Nicetasa, patriarchy Konstantynopola. Naprawdę warto było patrzeć na twarz byłego łatona, gdy słuchał z uniesionymi brwiami i szeroko otwartymi oczami (a więc jak na niego z miną nadzwyczaj wyrazistą), z ustami otwartymi w kształcie pionowego owalu, który przemienił się w poziomy, kiedy wyjawiliśmy mu, czym się popisała Isabella. Podkreślaliśmy mocno, że zrobiliśmy co w naszej mocy, aby ją uświadomić, wbić jej do głowy, o co idzie gra i jak ważne są te informacje, które na zawsze powinna zachować w sekrecie. Najwyraźniej wcale, ale to wcale sprawa mu się nie spodobała, lecz nic nie powiedział. Nic też nie mówił, kiedy długo oboje z Faradžem, przekazując sobie pałeczkę na modłę Simonsonów, rozprawialiśmy o nich.

Skńczywszy, nadal nie mieliśmy bladego pojęcia, co o tym wszystkim sądzi. Po tylu latach przewodzenia sekcji religijnej wyrobił się nadzwyczajnie w umiejętnościach dyplomatycznych, którym sprzyjała jego wrodzona sztywność i twarz pozbawiona wyrazu. Zawsze się zastanawiałam, co w nim widziała Chutenptah, ponieważ Głaz jak nikt na świecie potrafił niezwykle zręcznie skrywać uczucia.

Wreszcie przeciągnął szyję, jakby nastawiał sobie kręgi, pochylił się do przodu i zasłonił dłonią otwarte usta, rozważając sprawę.

– Ale skoro wyniosłem się z Paradejsosu... – mruknął po chwili.

– Co masz na myśli? – spytałam.

– Nie wiem. Mam wrażenie, że ta historia gdzieś się czaiła, czekając, żeby mnie dopaść, jak opuszczę bractwo.

– Nie mów głupstw! – skarciłam go. – To żadna historia, tylko bzdura jakaś.

Zapatrzył się w dal.

– „Czyż nie jest On synem cieśli?” – zacytował. – „Czy Jego Matce nie jest na imię Mariam, a Jego braciom Jakub, Józef, Szymon i Juda? Także Jego siostry czy nie żyją wszystkie u nas?”

– No zgadza się – przyznałam niechętnie. – Mateusz, rozdział trzy nasty, werset pięćdziesiąty piąty. Przecież wiem.

Nowy Testament nie miał przede mną tajemnic. Nie bez kozery dużą część życia poświęciłam na studiowanie go jako zakonnica i paleograf.

– „Gdy jeszcze przemawiał do tłumów” – ciągnął – „oto Jego Matka i bracia stanęli na dworze i chcieli z Nim mówić. Ktoś rzekł do Niego: « Oto Twoja Matka i Twoi bracia stoją na dworze i chcą mówić z Tobą »”. Ewangelia Mateusza, rozdział dwunasty, werset czterdziesty szósty i czterdziesty siódmy.

– Daj spokój, Kaspar! – obruszyłam się. – Kościół utrzymuje, że ci „bracia” byli w rzeczy wistości kuzynami Jezusa albo dziećmi z pierwszego małżeństwa Józefa!

– I mówicie, że Simonsonowie nie chcą upublicznić wyników poszukiwań? – spytał były katon, nie zważając na mnie.

– Nie, wolą to zachować w sekrecie – potwierdził Faradz. – Becky Simonson wyraźnie to zaznaczyła. Powiedziała, że poszukiwania są prywatne i nigdy ich nie ogloszą, bo nie zależy im na niczym uznaniu ani na pokłasku. Co więcej, żeby zmusić nas do milczenia, chcą przed wyjawieniem nam reszty z tego, co wiedzą, podpisać z nami umowę z klauzulą poufności. Wydawało mi się, że trochę się boją, czy nie zechcemy wykorzystać tej historii na rzecz kariery naukowej.

– I dlatego – dodałam sarkastycznie – zaoferowali, że zapłacą nam tyle, ile sobie zażyczymy, bez ograniczeń, choćby kwota była astronomiczna.

– Ciekawe... – mruknął Głaz.

– Bardzo – przytaknęłam. – Wcale mi się to nie podoba. Wyraźnie powiedziałam Faradżowi, że powinniśmy odrzucić propozycję, ale on mnie nie słucha.

– Dadzą nam *Lignum Crucis* – usprawiedliwił się mój mąż, wzruszając ramionami.

– Nie możemy zostawić relikwii w ich rękach – oświadczył Kaspar stanowczo, marszcząc czoło.

– No to przyzwyczaj się do myśli, że i tak będziecie musieli ją ukraść, bo oczywiście nie dostaną tego, co chcą – zapewniłam go.

– Myślę, że to by były kapitalne poszukiwania – zauważył Faradz, puszczając mimo uszu mój komentarz.

– Też mi się tak zdaje – przyznał Kaspar, również ignorując moją uwagę.

– Przestańcie! – zawołałam rozeźlona. – Co się z wami dzieje?

Wyglądało na to, że hipotetyczne istnienie ossuariów zawierających rzekomo szczątki Jezusa, jego rodziców i rodzeństwa nie stanowi dla byłego katona żadnego problemu sumienia czy wiary. Jakby w ogóle nie przywiązywał do tego wagi, skoro w grę wchodził drobny ułomek Krzyża

Prawdziwego. Faradż miał z pewnością słuszną, gdy mówił, że nie znam dobrze Kaspara.

– Poza tym chociaż nie będziemy mogli niczego publikować na temat ossuariów – ciągnął mój walnięty mąż – na pewno przy okazji takiego wielkiego odkrycia otworzą się przed nami nowe ścieżki pracy naukowej.

– W dodatku dzięki ostatniemu kawałkowi *Lignum Crucis* wreszcie zagoi się otwarta rana, która nie daje spokoju bractwu – podchwycił były katon. – I wreszcie będziemy mogli powiedzieć, żeśmy wypełnili swoją świętą misję: żeśmy odzyskali to, cośmy stracili.

– Halo! – wrzasnęłam kompletnie zdesperowana, zapomniawszy, że w domu śpi dziecko. – Ktoś tu mnie słucha czy nie?

– Głosujmy – zaproponował mój mąż.

– Głosujmy...? – zdumiałam się. – Odkąd to głosujemy, zamiast szukać porozumienia?

Z rękami uniesionymi jak sztubacy w klasie Faradż i Kaspar patrzyli na mnie rozbawieni.

– Odkąd jest nas nieparzysta liczba – wyjaśnił beczelnie mój mąż. – Dwa do jednego.

Poszukiwania przegłosowane.

ROZDZIAŁ 6

Nie wiedzieliśmy, jak i kiedy w poniedziałek skontaktują się z nami Simonsonowie, toteż każdy zajął się swoimi sprawami, a nasi goście wybrali się do parku rozrywki Canada's Wonderland. Okazało się, że kiedy wysłaliśmy Kasparowi tamtą wiadomość, był akurat z Linusem w Orlando na Florydzie, korzystając z uciech Disney Worldu, bo choć może się to wydać dziwne, prawie pięcioletni Linus nie znał Myszki Miki ani Królowy Śnieżki, nie widział *Króla Lwa* ani *Krainy lodu*. Takto jest, gdy za rodziców ma się dość dziwnych ludzi, którzy żyją w przeogromnym systemie podziemnych pieczar położonych gdzieś na Półwyspie Somalijskim. No, ale wyglądało na to, że małe szybko i chętnie nadrabia zaległości.

Zarówno Kaspar, jak i Linus zmienili nazwisko, Kaspar miał teraz obywatelstwo duńskie. Jasne, że na dłuższą metę to go nie uchroni przed Gottfriedem Spittelerem i jego bandziorami, chwilowo jednak pomagało mu szybko i niepostrzeżenie przenosić się z miejsca na miejsce. Kaspar, jak stało w jego nowiutkim europejskim paszporcie, zwał się teraz Kaspar Jensen, a jego syn naturalnie Linus Jensen. Nazwisko Jensen było tak powszechne w Danii, a pokrewieństwo Kaspara i Linusa z wikingami przodkami tak oczywiste, że przynajmniej przez jakiś czas nie będą mieli problemu z poruszaniem się po świecie. Na wszelki wypadek dysponowali także innymi paszportami na inne nazwiska, jak najbardziej legalnymi, bo też kiedy bractwo coś robiło, nigdy połowicznie. Kaspar dla uwiarygodnienia swojej tożsamości przyzwoitego obywatela duńskiego pojawiał się we wszystkich oficjalnych bazach danych kraju jako człowiek o nieskazitelnej przeszłości i w każdej chwili do sprawdzenia.

W tej zmianie ważny był jeszcze jeden szczegół, z którego nikt jakby nie zdawał sobie sprawy: Gottfried Spitteler poszukiwał katona Kaspara Glausera-Röista, a nie Kaspara Jensena z synkiem. Nikt nie wiedział o istnieniu Linusa, toteż jego obecność przy Kasparze była dla Głaza najlepszym gwarantem, że nie zostanie zdemaskowany.

O wpół do piątej po południu rozległ się dzwonek u drzwi. Dziwny Chińczyk, mający ze dwa metry wzrostu, w czarnym garniturze i takimże krawacie, z również czarnym kaskietem w ręce, wręczył nam zaproszenie na kolację u Simonsonów. Widniało na nim nazwisko moje i Faradża, a także, o dziwo, Kaspara – prawdziwe, Glauser-Röist. Wiedzieli, że jest z nami, czyli szpiegowali nas. Najpierw Isabella, potem Simonsonowie postarali się o to, żeby rozwiła się intymność mojego domu. Nie miałam jasności, czy to jest karalne, ale tak czy siak wpadłam w pieski humor.

Wielki Chińczyk zapewnił, że nie ma problemu, poczeka, aż będziemy gotowi, po czym spokojnie wrócił do luksusowego lincolna z przyciemnionymi szybami zaparkowanego przed

naszym domem. Było jasne, że chociaż Simonsonowie wiodą życie kosmopolityczne, pomieszkując w różnych krajach, mają także dom w Toronto, swoim rodzinnym mieście.

Wyszykowaliśmy się jak należy na elegancką kolację w okazałej rezydencji (choć niektórzy wybrali przebranie, wiążąc muchę na szyi) i przed wyjściem uczuliliśmy Isabellę, że ma się opiekować Linusem, który patrzył na nas szarymi oczami maślanymi ze zmęczenia fizycznego i ze szczęścia: tego dnia bawił się z Charliem Brownem i Snoopym, na pirackim statku walczył z morskimi potworami, widział dinozaury i jadł pizzę. Niczego więcej nie można żądać od życia. Zanim wyszliśmy, ojciec kazał mu zjeść kolację, wykłapał go i przebrał w piżamkę, tak że był gotów iść do łóżka, gdy na dobranoc poogląda chwilę telewizję z Isabellą.

Simonsonowie mieszkali, a jakże, w ekskluzywnej, bardzo drogiej dzielnicy Lawrence Park w samym centrum Toronto. W promiennym południowym słońcu przebyliśmy Yonge Street, wyjechaliśmy na szeroką Mount Pleasant Road i skręciliśmy w prawo w Blythwood Road, jadąc między wysokimi murami zieleni, za którymi ukrywały się luksusowe rezydencje za wiele milionów dolarów kanadyjskich. W końcu, wjechawszy w Stratford Crescent, Lincoln skręcił w prawo i wspiął się pochyłą uliczką, aż znalazł się przed wielką, solidną bramą automatyczną z tych, które z samochodu nie pozwalają zobaczyć przez okna niczego ani w tyle, ani w górze, ani w dole, ani po prawej, ani po lewej. Krótko mówiąc, nie pozwalają w ogóle niczego zobaczyć. Szofer, którego oddzielała od nas szyba, wcisnął guzik zdalnego sterowania i skrzydła zaczęły się wolno otwierać. Ujrzelśmy gęsty las wielkich jodeł, cedrów i sosen. Asfaltowa alejka, ozdobiona po obu stronach zabytkowymi latarniami z ceramiki, żelaza i szkła, wiodła przez zagajnik do rozległej posiadłości, przenosząc nas z rzeczywistości nowoczesnego miasta XXI wieku do pięknego paryskiego Lasu Bulońskiego z XIX wieku.

Ku naszemu zaskoczeniu za tą sielską przestrzenią wyłoniła się niezwykła dwupiętrowa budowla w stylu francuskim, z wodotryskami jak w Wersalu przed wejściem, z wypuszczonym krytym balkonem i pokryciem z ciemnej dachówki. Lincoln zatrzymał się przed ozdobnymi drewnianymi drzwiami frontowymi z szybkami z matowego szkła, po czym nasz kierowca, poruszając się zwinnie jak tygrys, wysiadł, by wypuścić nas z samochodu. Oczywiście ten człowiek był na pewno biegły w sztukach walki i prawdopodobnie sprawował również funkcję ochroniarza gospodarzy.

Odziany na czarno służący otworzył przed nami oba skrzydła drzwi i powitał nas, a ochmistrz w czarnym garniturze poprowadził nas korytarzami udekorowanymi kwiatami, umebłowanymi fotelikami i stolikami na jednej nodze do salonu, gdzie czekali Simonsonowie. Powiedzieć, że ten dwór był bajeczny, to za mało: bogactwo i wytworność emanowały z każdego dywanu, z każdej kotary, sprzętu i lampy, z każdego obrazu, wazy, kobierca i rzeźby. Nigdy dotąd nie widziałam w żadnym z oglądanych pałaców wspanialszego i szlachetniejszego piękna. Ten dom

promieniował władzą i przede wszystkim świadomością owej władzy.

– Ja też chcę taki dom – szepnęłam Faradżowi.

– Jutro – zapewnił, kładąc rękę na sercu.

Kiedy weszliśmy do salonu, do którego światło dzienne wpadało przez kilkoro wysokich, przesłconych drzwi wychodzących na kryty taras, a na kominku płonął ogień, Simonsonowie wstali, aby się przywitać. Stary Jake w marynarce i krawacie w odcieniach beżu oraz wytworna Becky, tego dnia cała w bieli i tak obwieszona złotą biżuterią, że słów brak, nie mogli oderwać wzroku od Kaspara, kiedy witali się ze mną i z Faradżem. Ani przez moment nie byli nieuprzejmi, co to, to nie, sądzę jednak, że nawet ludzie tacy jak oni, nawyki do obcowania z prezydentami, monarchami i papieżami, mając przed sobą ni mniej, ni więcej tylko katoną we własnej osobie – a raczej byłego katoną – czuli się poniekąd zaintrygowani. Oboje uściśnieli mu dłoń, lecz odniosłam wrażenie, że Jake schylił lekko głowę, Becky zaś jakby chciała przykłąknąć.

Siedzieliśmy na wygodnych, rozłożystych sofach obitych zielonym aksamitem, kiedy nie wiedzieć skąd wyłonił się inny lokaj ze srebrną tacą, częstując nas szampanem. Jake Simonson poczełał, aż każdy będzie miał kieliszek w ręce, i dopiero wtedy wznosił swój w toastcie.

– Za państwa – powiedział z szerokim uśmiechem – i za wasz sukces.

Po spełnieniu toastu nie wiedziałam, co zrobić z kieliszkiem, zobaczyłam jednak, że Becky odstawia swój na stolik kawowy – stolik takich rozmiarów, że gdybym się na nim wyciągnęła na całą długość, jeszcze by sporo miejsca zostało w głowie i w nogach. Nie wyglądało na to, że pani domu się przejmuje, czy zarysuje bądź poplamia delikatne drewno, toteż zrobiłam tak jak ona. A właściwie wszyscy tak zrobili.

– Zadowolony pan z podróży po Stanach i Kanadzie? – uprzejmie zwróciła się Becky do Kaspara.

– O tak, bardzo – odparł Głaz z taką powagą, że zabrzmiało to, jakby było wręcz przeciwnie.

– A syn? – zagadnął Jake jakby nigdy nic. – Podobą się Linusowi żyćcie poza Paradejsosem?

– Tak, dziękuję, obu nam przypadło do gustu.

– Powinni państwo wiedzieć, że Kaspar już nie jest katonem stawrofilaków – wyskoczył mój mąż jak filip z konopi.

– A tak – odparła Becky, podnosząc dłoń do grubego złotego naszyjnika, który zwisał jej na dekoltcie. – Podejrzewaliśmy, że nie jest. Jego obecność tutaj to najlepszy dowód, że już nie kieruje bractwem. Ale z katonem jest jak z papieżem: nawet jeśli zrezygnuje z funkcji, nigdy nie przestanie być katonem. W tej chwili przecież Kościół katolicki ma dwóch papieży, Benedykta i Franciszka, a niedługo bractwo będzie miało dwóch katonów. Czasy się zmieniają i trzeba się do nich dostosowywać. Jedynym wyjątkiem jest dalajlama, który nie może przekazać urzędu swojej następnej reinkarnacji.

Mimo że uśmiechnęliśmy się wszyscy, atmosfera wcale nie stała się swobodniejsza.

– Pozwolą państwo, że przystąpimy do omówienia spraw, które nas tu zebrały? – zapytał stary Jake i patrząc na Kaspara, dodał: – Co pan na to?

– Jeśli Ottavia i Faradz nie mają nic przeciwko temu, wołałbym najpierw zobaczyć relikwię Krzyża Prawdziwego – odparł zagadnięty.

Simonsonowie przyjęli jego słowa z zadowoleniem, jakby niecierpliwie czekali na tę prośbę. Jake nad podziw zwinnie zerwał się z miejsca i podszedł do mahoniowej witryny po swojej lewej, obok płonącego kominika. Zanim ją otworzył, zobaczyłam na jednej z półek za szklanymi drzwiczkami trzynastowieczny relikwiarz wystawiony na widok każdego pośród różnych drobiazgów dekoracyjnych ze srebra i przez to zupełnie niezauważalny. Czy ta zabytkowa witryna miała być sejfem, w którym relikwia na wieki wieków będzie chroniona przed stawrofilakami? Zaciśnęłam usta, powściągając uśmiech. Ha, pewnie, że nie, ale ta myśl sprawiła mi przyjemność. Gdyby bractwo chciało zdobyć drzazgę, nie ostałaby się tu ani pół sekundy.

Jake wyjął relikwiarz i zastygł naraz, jakby przeszył go promień prosto z nieba. Po chwili otworzył puzderko i zaczął w nim grzebać palcami powykrzywiany mi artretyzmem. Nie mogłam uwierzyć w to, na co patrzyłam, i to niedowierzanie dosłownie mnie sparaliżowało. Becky krzyknęła lękliwie.

– Jake! – zawołała na męża, który nie odpowiadał, tylko odwrócił się i patrzył na nas. – Co się dzieje?

Jake jednak kompletnie oniemiał, stał jak słup z relikwiarzem w rękach, bez mrugnięcia patrząc na Kaspara.

– Proszę wezwać Geoffreya – polecił były katon bardzo wolno głosem, którego się wystraszyłam. To nie Kaspar mówił. Mówił katon stawrofilaków.

– Geoffreya? – zdumiała się splotzona Becky. – Ochmistrza?

– Geoffrey ... – jęknął Jake, wychodząc z osłupienia. – Geoffrey?... Nie, nie... niemożliwe.

W tej chwili drzwi salonu się otworzyły i jak na zawołanie ujrzeliśmy w nich ochmistrza, który nas tu wprowadził. Zdecydowanym krokiem wszedł, kierując się prosto do Kaspara. Stał przed nim, wyciągnął dłoń w białej rękawiczce.

– Proszę, katonie – powiedział, wręczając mu drzazgę. Następnie odwrócił się do Simonsonów. – Jeżeli państwo niczego więcej sobie nie życzą, natychmiast odchodzę. Wypowiedzenie zostawiłem u gospodyni.

Kaspar popatrzył na niego zadowolony.

– Odejdź w pokoju, Geoffrey – rzekł, z wciąż trzy mając na dłoni relikwię.

– Ty także odejdź w pokoju, katonie.

– Wiesz przecież, że już nie jestem katonem.

Geoffrey się uśmiechnął.

– Jak słusznie zauważyła pani Simonson, katon nie przestaje być katonem, nawet jeśli zrezygnuje z urzędu – odparł, po czym opuścił salon.

Wszyscy jak jeden mąż – Simonsonowie zamienieni w słupy soli, ja i Faradż dosłownie bez tchu – słuchaliśmy w ciszy kroków oddalającego się ochmistrza, dobiegło nas nawet wyraźnie cichutkie szczęknięcie drzwi, gdy je zamykał.

Poruszały się tylko płomienie na kominku. Popatrzyliśmy sobie z Faradżem w oczy. Byliśmy równie zaskoczeni jak biedni multimilionerzy, którzy nijak nie zareagowali, nie mogąc się otrząsnąć z oszołomienia. Jedna brew mojego męża podjechała w górę pytająco – co tu się właściwie wyrabia? Żebym to ja wiedziała, pomyślałam. W najlepszym razie wyrabiałoby się to, że raz jeszcze bractwo udowadniało, jakimi nadzwyczajnymi możliwościami dysponuje; w najgorszym – że przedostało się do rezydencji wszechmocnych Simonsonów i zwyczajnie ich okradło.

Becky była ogromnie przejęta, toteż sporo ją kosztowało dojście do siebie. Jakę, wciąż z relikwiarzem w rękach, zrobił krok naprzód i wolniutko wrócił na swoje miejsce na sofie obok żony.

– Geoffrey... – wykrztusił niepewnie, siadając. – Przeszło dwadzieścia lat pracował w tym domu.

– Wiem – przyznał Kaspar.

– Ufaliśmy mu bez reszty – ciągnął ogłuszony sędziwy gospodarz.

– To także wiem – przytaknął były katon.

– Cały nasz personel poddawany jest rygorystycznej selekcji i co dwa lata każdego sprawdzamy – dodał Jakę, rzucając bez ceregieli pusty relikwiarz na stolik.

Serce skoczyło mi w piersi.

– Geoffrey jest stawrofilakiem, prawda? – głupio spytałam Głaza.

– Jasne! – zaśmiał się, na powrót stając się Kasparem. – Urodził się w Paradesjosie.

– Nie miał na ciele skaryfikacji! – wybuchł Jakę potwornie zły. – Przeszedł kompleksowe badania medyczne!

– Zgadza się – spokojnie rzekł Kaspar. – Mój syn też ich nie ma. Urodzeni tam otrzymują różne zadania, w których tatuaże są niewskazane, tak że skaryfikacje otrzymują dopiero po powrocie.

Becky, która do tej pory słowa nie powiedziała, westchnęła.

– Katonie, proszę powiedzieć Geoffreyowi, żeby nie odchodził. Bardzo go cenimy, jest znakomitym pracownikiem. Trudno będzie znaleźć drugiego ochmistrza tak dobrego jak on.

Kaspar z ubolewaniem pokręcił głową.

– Po pierwsze, nie jestem katonem. A po drugie, Geoffrey nie jest waszym ochmistrem. Jest stawrofilakiem i od dawna chciał wrócić do domu. Musicie go zrozumieć.

– Okłamywał nas przez dwadzieścia lat! – uniósł się Jake, któremu żyły na czole i szyi nabrzmiały, jakby zaraz miały pęknąć. – Stawrofilak! W naszym domu! Szpiegował nas!

– Wy szpiegowaliście nas dużo wcześniej, nim posłaliśmy do was Geoffreya.

Jake Simonson popatrzył na niego zaskoczony i jakby zaczął z wolna odzyskiwać logikę myślenia. Kaspar powiedział prawdę, nam wyjawiał to już wcześniej, w niedzielę w nocy, a skoro Simonsonowie pierwsi zaczęli szpiegowanie, nie mieli prawa aż tak się oburzać. Poza tym w gruncie rzeczy nie skradziono im relikwii.

– Są inni? – spytał stary Simonson, patrząc Kasparowi w oczy, aczkolwiek już spokojniej. – Jest więcej stawrofilaków wśród moich pracowników tu albo gdzie indziej?

Głaz uśmiechnął się nieznacznie.

– Jake, naprawdę myślisz, że odpowiem na to pytanie? Nie doczekasz się nawet za milion lat!

Podziwiałam zuchwałość Kaspara, który zwracał się do Simonsonów po imieniu, jakby znał ich całe życie. Nie przeszli z nim oficjalnie na „ty”, wyglądało jednak na to, że w ich mniemaniu cieszy się większym niż oni autorytetem, chociaż byli dużo starsi od niego, o wiele bogatsi i bardziej wpływowi. Może był to jakiś dawny cudzoziemski obyczaj.

My z Faradżem przemieniliśmy się w gości z kamienia. Byliśmy równie wstrząśnięci jak Simonsonowie, lecz należeliśmy do zwycięskiej strony, woleliśmy zatem patrzeć, jak nasz przywódca daje wciry przeciwnikowi. A przynajmniej takie było moje marzenie; nie ziściło się jednak.

– Uważam, że wszyscy powinniśmy się uspokoić – włączył się Faradż, podnosząc głos. – To, co się stało – zwrócił się do Simonsona – świadczy tylko o dobrej woli bractwa. Relikwia nie opuściła państwa domu. I nie sądzę, żeby ktokolwiek zamierzał ją skraść. Jak pan widział, gdyby bractwo chciało, mogłoby to zrobić bez problemu, ale nie zrobiło. – Wskazał dłonią Kaspara. – I sądzę, że jest na to dobre wytłumaczenie, prawda, Kasparze?

To Faradżowe „prawda, Kasparze?” zawierało ostrzeżenie, które dobrze znałam: albo Kaspar puści wreszcie parę z ust, albo sytuacja rozwinie się w sposób nieprzewidywalny. Mój mąż należał do ludzi, którzy milczą i cierpliwie czekają, ale kiedy wybuchają, wtedy niech ręka boska broni. Kaspar wiedział o tym równie dobrze jak ja.

– Chciałbym, Jake, żebyś zrozumiał – zaczął były katon – że z nami nie można po twojemu uzyskać tego, czego się pragnie. Że naszą pomoc otrzymuje się inaczej. Potrzebujesz nas do znalezienia tych ossuariów, o których Ottavia i Faradż mi powiedzieli? W porządku, poproś o pomoc, poproś jak należy, ale nie próbuj jej kupić.

Skończywszy, wstał, podszedł do relikwiarza leżącego na stoliku i ostrożnie umieścił w nim drzącą z Krzyża Prawdziwego. Zamknął potem puzderko i wręczył je staremu Jake'owi.

– Wiesz, że niczego bardziej nie pragniemy – podjął – ale nie używaj jako monety przetargowej tego, co czcimy od ponad tysiąca siedmiuset lat. Poproś nas o pomoc, a otrzymasz ją. Daj nam tę relikwię albo nie, jak chcesz, w żadnym razie jednak nie traktuj jej jako łapówki.

Jake ciągle jeszcze przeżuwał zółć, która napłynęła mu do ust za sprawą Kaspara, toteż Becky przemówiła za nich oboje:

– *Lignum Crucis* jest twoje, katonie – oznajmiła bez ogródek, wyjmując relikwiarz z nieruchomych rąk męża i zwracając go Kasparowi.

– Dziękuję. Bylibyście tak mili i wezwali Jeremego?

– Je... Jeremego?... – wyjąkał Jake. – Szof... szofera?

– Chińskiego szofera? – upewniłam się, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje.

– Tak, chińskiego szofera. Wezwijcie go.

Becky już się podniosła i wcisnęła guziczek umieszczony koło kominka. W drzwiach natychmiast zjawił się inny służący z tych, których widzieliśmy zaraz po przyjeździe.

– Niech Jeremego przyjdzie tu natychmiast – poleciła Becky.

– To też stawrofilak, prawda? – spytał Jake żałośnie.

– Oczywiście – potwierdził Kaspar znowu z nieznacznym uśmiechem.

Dwumetrowy szofer o wyglądzie specja od sztuk walki, który przywiózł nas tutaj? No, naprawdę zaczęła mnie to przerastać.

Jeremego, jakby także trzymał się gdzieś w pobliżu, wszedł po krótkiej chwili. Wymienili z Kasparem porozumiewawcze spojrzenia i podszedł bliżej.

– Zabierz to *Lignum Crucis* do domu – powiedział Kaspar, wręczając mu relikwiarz. – Masz się o nie troszczyć.

– Nie martw się, katonie – odparł skośnooki drągal, z nadzwyczajnym szacunkiem ujmując puzderko w wielkie dłonie. – Dotrze w nienaruszonym stanie – zapewnił. – Dziękuję państwu za wszystko – zwrócił się do Simonsonów, żegnając ich pochylem głowy. – Ja też bardzo dziękuję za tę świętą relikwię.

Na miejscu Jake'a Simonsona zaczęłabym w tej chwili walić głową w mur. I wyglądał na gotowego to zrobić. Becky natomiast wydawała się zachwycona.

– Dbaj o siebie, Jeremego – powiedziała z serdecznością w głosie. – Dziękuję ci za rzetelną pracę.

W ciszy zapadłej na powrót w salonie drągal wyszedł tak samo jak wcześniej Geoffrey. Dwaj stawrofilacy wprowadzeni do rezydencji Simonsonów w Toronto! I kto wie, ile ich jeszcze tam było. Roześmiałabym się w głos, gdybyśmy nie byli w sytuacji tak napiętej.

– No to jedno mamy załatwione – podsumował były katon. – Raz jeszcze dziękuję.

– Jeszcze musimy cię prosić o pomoc – szepnęła przybity Jake.

Naraz pojęłam, o co w tym biega. Zrobiło mi się go nawet odrobinę żal. Jake był nie tylko filantropem, mecenasem sztuki i fundatorem uniwersytetów oraz muzeów na całym świecie, ale także wpływowym przedsiębiorcą w branży naftowej i energetycznej. Przez całe życie chyliły się przed nim koronowane głowy, a tu takie upokorzenie. Musiało mu być ciężko to znieść.

– W porządku, ale zaznaczam, że nie podpiszemy klauzuli poufności ani w ogóle żadnej umowy. Teraz, kiedy nawiązaliśmy stosunki oparte na zaufaniu, będziemy pracować bez oficjalnych papierów.

– Oczywiście, katonie – zgodziła się Becky zdecydowanie, podczas gdy Jake przeżywał kolejną porcję dumy rozpuszczonej w kwasie. – Wybacz nam nieufność. Przywykliśmy wznosić mury wokół siebie, a nie burzyć je. – Obie dłonie oparła na sofie i eleganckim ruchem, który postanowiłam zapamiętać, aby go później naśladować, wstała, poprawiając kosztowną białą garsonkę. – Proszę z nami, musimy wam wiele wyjaśnić. Jake, idziemy.

Staruszkowie ruszyli przodem, prowadząc do drzwi innych niż te, przez które weszliśmy. Za nimi czełała pod ścianą nieruchoma milcząca postać, naturalnie odziana na czarno.

– Pójdź do Abby, proszę – poleciła Becky służącemu. – Powiedz jej, żeby zeszła do małej biblioteki.

Jak na komendę człowiek, do którego skierowane zostały te słowa, wykonał nieznaczny gest dłonią i inny sługa, do tej pory dla nas niewidoczny, wyłonił się znikąd i oddalił drugim korytarzem, by wypełnić polecenie, skądś wynurzył się jeszcze jeden człowiek i poprowadził naszą grupkę, otwierając przed nami kolejne drzwi. Zaczął się przemarsz przedzielany znakomicie zsynchronizowanym otwieraniem i zamykaniem drzwi przez co rusz to nowych służących. Minęliśmy wielgachny salon, salę balową, liczne korytarze, zeszliśmy niżej po szerokich schodach, przebyliśmy coś w rodzaju atrium nakrytego szklaną kopułą, przez którą z zewnątrz wpadały strumienie jasnego światła, podążaliśmy wzdłuż gładkiej ściany, zza której dobiegał słaby pomruk urządzeń obsługujących basen. Wreszcie gdy zostawiliśmy za sobą salę kinową i gimnastyczną, ostatni z ludzi obsługujących ten przemarsz otworzył przed nami drzwi biblioteki, która ku naszemu zdziwieniu istotnie była mała; znaczy mała w porównaniu do innych pomieszczeń w tej rezydencji, ale ogromna w porównaniu do normalnego domu.

Serce mocniej zabiło mi w piersi, kiedy zobaczyłam nie tylko masę starych ksiąg i kodeksów, lecz także cenne wyposażenie samej biblioteki, niewątpliwie pochodzące z końca XIX wieku. Mahoniowe regały ciągnęły się metrami, zasłaniając ściany, i na żadnej półce nie było ani centymetra wolnego miejsca. Patrząc na oprawy, na ich format, materiały, z których je wykonano, i kolory, gotowa byłam przysiąc, że wiele z tych woluminów liczy nawet ponad tysiąc

lat – z pewnością były tam średniowieczne manuskrypty o nieocenionej wartości artystycznej i kulturowej, nie wspominając o wartości ekonomicznej. Wszystkie meble w tej imponującej bibliotece („małej”, jak ją nazwała Becky Simonson) zrobiono z czerwonego drewna, na wszystkich widniały bogate kwietne zdobienia wykonane techniką intarsji. Pod jednym z wysokich okien stały dwa fotele obite wytartym czarnym aksamitem, takim samym jak wszystkie krzesła przy pulpitych i biurkach (po dwa przy każdym), a pośrodku ogromniasty stół biblioteczny, wsparty na czterech nogach, demonstrował inkrustowaną kością słoniową i mosiądzem mapę świata. W każdym rogu pysznił się ponadto na wysokim postumencie cenny globus wykonany również z mahoni.

Kochałam biblioteki równie jak Faradża albo i bardziej (znaczy tak się mówi) i w tym cudzie natychmiast zakochałam się na śmierć i życie. Wiedziałam, że to uczucie bez szans, że nigdy nie będę jej miała, ale co tam. Obdarzyłam ją miłością do grobowej deski, oddałam jej swoje serce. Wciągałam powietrze wolno i głęboko, aby woń zabytkowych ksiąg, starego papieru, drewna, tkaniny, pergaminu i skóry wniknęła w każdy por mojego ciała, abym nią nasiąkla niczym jakimś olejem świętym. Tablet nigdy, przenigdy nie wywołały we mnie choćby przelotnie tak intensywne doznania (acz przyznaję, do czytania jest niewątpliwie bardzo wygodny). Jednakże moja ekstaza niedługo potrwała.

– Czy pamięta pani – wyrwał mnie z niej Jake (chyba w samą porę) – co powiedziałem w piątek, zanim od państwa wyszedłem?

Co? O czym u licha gada ten obcy facet i czego ode mnie chce w chwili, gdy nawiązałam taką duchową więź z książkami i pięknem?

– Zdaje się – odpowiedział za mnie Faradz – że wspomniał pan o jakimś tekście ewangelicznym.

– Zgadza się – przyznał cicho Jake. – Mateusz rozdział dziewiąty, werset dwudziesty dziewiąty i trzydziesty: „Wtedy dotknął ich oczu, mówiąc: «Według wiary waszej niech wam się stanie!»». I otworzyły się ich oczy, a Jezus surowo im przykazał: «Uważajcie, niech nikt się o tym nie dowie!»”. Pamięta pani ten ustęp? – znowu zwrócił się do mnie.

O matko, co za natręt! Czy ten człowiek nie może mnie zostawić w spokoju, żebym do końca przeżyła tę ekstazę?

– Oczywiście, że pamiętam – odparłam.

– No to proszę się przygotować na otwarcie oczu.

Podszedł do jednego boku wielkiego stołu pośrodku – tego z mapą świata z kości słoniowej i mosiądzu – i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że leżą na nim dwie serwety z szarego jedwabiu przykrywające... co tam miały przykrywać. Jake zdjął serwetę z pierwszego przedmiotu po lewej i odsłonił grube szkło, pod którym na pulpicie spoczywały dwa podłużne

prostokąty ciemnego papieru pokryte arabskim pismem.

Faradz czym prędzej podszedł do stołu, my z Kasparem podążyliśmy za nim po chwili.

– Co to? – spytał mój mąż zaciekawiony.

– Nie potrafi pan odczytać tekstu? – zdziwił się Jake.

– Pewnie, że potrafię – oznajmił Faradz, pochylając się bardziej nad dokumentem pod szkłem i poprawiając okrągłe okularki. – To tekst z dwunastego albo z trzynastego wieku. Pospolita kaligrafia naschi, używana do pisania, nie do dekorowania, pismo płynne i szybkie, eleganckie. Wygląda na list.

– To jest list – potwierdziła Becky z zadowoleniem. – List, który słynny historyk i kronikarz Ibn al-Asir² napisał do swojego brata Diji ad-Dina w tysiąc sto dziewięćdziesiątym drugim roku, kiedy przebywał z armią Salady na.

– Poczłajże, aż przyjdzie Abby! – zła ją Jake.

– Już jestem, dziadku.

Wysoka blondynka w wieku około trzydziestu pięciu lat, ubrana w zwykłe džinsy i białą koszulę, weszła do biblioteki niepostrzeżenie dla nas. Jeszcze nie zamknęły się dobrze drzwi za jej plecami, a już swoją obecnością wypełniła pomieszczenie, wnosząc więcej stylu i wytworności niż pięćdziesiąt magazynów mody i stroju razem wziętych. Instynktownie wyczułam, że wychowywały ją angielskie i francuskie guwernantki, a potem posłano ją do jakiejś ekskluzywnej szkoły z internatem dla córek arystokratów i innych możnych tego świata, prawdopodobnie w Szwajcarii. Tylko tym dawała się wytłumaczyć jej perfekcyjna szczupłość, perfekcyjny chód, perfekcyjne maniery i pewność siebie, perfekcyjna wrodzona elegancja. Nie ma to jak przyjść na świat we właściwej rodzinie (mnie się to nie udało, moja rodzina to kompletna porażka). I przy tym wszystkim genetyczna złośliwość dorzuciła swoje trzy grosze, drobiazgami niszcząc taką perfekcję we wszystkim innym: Abby Simonson była nieprzeciętnie brzydka i nawet świetny makijaż temu nie zaradził: miała malutkie oczy, kwadratowe zęby, wydatny orlnos i w zasadzie natura pozbawiła ją warg – w miejscu ust widniała tylko cienka karminowa kreska.

Abby nachyliła się do dziadków, by cmoknąć oboje, po czym kiedy nas przedstawiali, każdemu ścisłała dłoń perfekcyjnym gestem. Znaczy właściwie kiedy doszła do mnie, kobiety, chciała się przywitać całusem na modłę europejską, ponieważ jednak cofnęłam się, musiała z tego zrezygnować. Nie całuję się z nikim, kogo nie znam co najmniej kilka miesięcy, a i to zawsze się zastanawiam. Kaspara obrzuciła mocno zaciekawionym spojrzeniem. Oczywiście wiedziała, kim jest.

Becky z dumną miną uwiesiła się ramienia swej wysokiej potomkini, która niestety nie odziedziczyła urody po babce.

– To nasza wnuczka Abby, córka Dana, najmłodszego syna – wyjaśniła z szerokim, radosnym uśmiechem. – Mamy trzech synów i siedmioro wnuków, w tym jedną wnuczkę.

Abby uśmiechnęła się z rezygnacją na ten komentarz babci, a ja po grymasie na twarzy zgadłam, że pewnie słyszała go już tysiące razy.

– Ale masz jeszcze sześć prawnuczek – wytknął jej Jake.

– To nie to samo – zaoponowała Becky. – Abby i ja bardzo długo byłyśmy jedynymi kobietami w tej rodzinie.

– Abby, wprowadź państwa w sprawę – zakończył ten temat jej dziadek – inaczej nigdy nie zaczniemy. Aha, kochanie, podarowaliśmy relikwię Krzyża Prawdziwego katonowi Glauserowi-Röistowi i zdziwił się bardzo, że Geoffrey i Jeremy są stawrofilakami.

Brzydka twarz wnuczki zastygła w wyrazie takiego zdumienia, jakie nie pojawiło się na niej chyba w całym jej dystyngowanym życiu. Abby popatrzyła na dziadka, potem na babcię, a gdy oboje pokiwali lekko głową, po krótkim zastanowieniu zdecydowała się ostatecznie nie komentować tego. Zerknęła na wielki stół i zorientowała się, że już widzieliśmy list arabskiego historyka o pełnym nazwisku niemożliwym do zapamiętania, po czym zmierzyła nas badawczo spojrzeniem niebieskich oczek i zapytała:

– Pamiętają państwo list patriarchy Dozyteusza Pierwszego do Nicetasa Drugiego, patriarchy Konstantynopola?

Aż za dobrze! pomyślałam i znów ogarnęła mnie niechęć.

– Oczywiście, że pamiętamy – zapewnił Kaspar, który przecież nie widział fotografii. – Dozyteusz był stawrofilakiem i przysłał kopię listu do bractwa.

ROZDZIAŁ 7

Wszyscy troje Simonsonowie zbledli równocześnie, ja natomiast zbladłam jak oni wszyscy razem wzięci na samą myśl o konsekwencjach tego, co Kaspar właśnie powiedział. Po pierwsze, nie rozumiałam, dlaczego ubiegłego wieczoru, kiedy u nas w domu słuchał tej historii, nie wspomiał o swoich szpiegach w rezydencji i przemilczał, że wie o Dozyteuszu i tym jego nieszczęsnym liście. Utrzymywał nas w przekonaniu, że nie ma pojęcia o przeklętych ossuariach, a tymczasem najpewniej wiedział o nich więcej niż sami Simonsonowie. Teraz zamiast jednej historii mieliśmy już dwie i w ogóle wszystko to rosło jak kula śniegowa. Musiałam się pomodlić, musiałam wyjść z tego domu, żeby się zastanowić w samotności i pogadać z Faradżem bez świadków. Kaspar w moich oczach stał się podejrzany i wiele będzie mnie kosztowało uznanie go na powrót za przyjaciela. Nie widziałam w nim już Kaspara ani Głaza. Został katon (a raczej były katon), a ja z ciężkim sercem rzekłam sobie, że choćby to bardzo bolało, muszę zacząć się przyzwyczajać do myśli o jego przeobrażeniu. Poza tym działo się tutaj coś niebywałego, co bardzo mi się nie podobało.

Przysunęłam się nieco do Faradża, szukając u niego pociechy, a on objął mnie ramieniem, przekazując mi tym gestem, jak bardzo jest zaskoczony i spięty. Jego dotyk pozwolił nam się przy najmniej porozumieć bez słów, co odrobinę mnie uspokoiło.

– Wy pierwsi – powiedział Kaspar do Simonsonów w głębokiej ciszy, która zapadła w bibliotece. – Jakskończycie, powiem wszystko, co my wiemy.

Ale jak należało się spodziewać, Simonsonowie nie byli w stanie absolutnie nic powiedzieć, stali tylko jak zamienieni w słupy soli.

– No dobrze – podjął lekko zniecierpliwiony katon. – Ja zacznę, skoro tak wolicie.

Simonsonowie we trójkę wymienili spojrzenia i niemal zobaczyłam, jak między ich głowami przebiegają wiązki elektryczne. W końcu Jake kiwnął głową.

– Bardzo proszę, katonie – szepnął.

– Dziękuję – odparł Kaspar i przeszedł do rzeczy: – W styczniu tysiąc sto osiemdziesiątego siódmego roku Dozyteusz, patriarcha ortodoksyjny Jerozolimy, przysłał do bractwa list z opisem tego, co przekazał patriarsze Konstantynopola na temat odkrycia w Nazarecie starożytnego grobu żydowskiego z dziewięcioma ossuariami Świętej Rodziny. Dla nas były to wtedy burzliwe czasy: ledwie rok wcześniej, w tysiąc sto osiemdziesiątym szóstym, bractwo w Jerozolimie i w Konstantynopolu zostało okrutnie przetrzebione przez krzyżowców, którzy uważali nas za ekskomunikowanych zdrajców, bo nie opowiedzieliśmy się po żadnej stronie w czasie wielkiej schizmy w Kościele. W tamtych trudnych czasach niewiele dało się zrobić, właściwie to nic

w związku z ossuariami, które co logiczne, ówczesny katon uznał za fałszywe relikwie.

Lekko przesunął dłonią po stole, gładząc blat.

– Dozyteusz – podjął – w tym samym roku napisał po raz drugi do bractwa z informacją, że do Jerozolimy przyплыł statek z instrukcjami papieża Urbana III, który polecił zniszczyć ossuaria. Papież po pierwsze nakazywał, żeby wszyscy, którzy o nich wiedzą albo się dowiedzą, przysięgli przed patriarchą łacińskim, że na zawsze zachowają to w tajemnicy. Po drugie, żeby ossuaria natychmiast zniszczyli osobiście wielcy mistrzowie zakonów rycerskich templariuszy i szpitalników, Gerard z Ridefortu i Roger z Moulins, bo diabelska siła drzemiąca w tych szczątkach może być tak wielka, że byle kto nie zdoła ich pokonać. Po trzecie rozkazał Jozjaszowi, arcybiskupowi Tyru, odprawić egzorcyzmy nad grobowcem, żeby oczyścić to miejsce z diabelskich sił. Ale niestety, grobowca nie udało się zniszczyć z winy Saladyna.

– Roli Saladyna w tej historii – wtrąciła Abby – domyśliliśmy się z treści listu, który widzieliście, listu Al-Asira do młodszego brata z tysiąc sto dziewięćdziesiątego drugiego roku. Zobaczycie później dlaczego.

– Chętnie bym przeczytał tłumaczenie tego listu, jeśli je macie – powiedział Kaspar.

– Oczywiście – przytaknęła Abby. – Ale najpierw niech pan dokończy swoją opowieść.

Usłyszeliśmy zatem od Kaspara, że chociaż według Dozyteusza papież Urban posłał swoje rozkazy genueńską galerią pod czarnymi żaglami, by jak najszybciej dotarła do Jerozolimy, nie było czasu na zniszczenie ossuariów, bo wszystko się pokomplikowało. Chodziło o to, że król Jerozolimy Gwidon z Lusignan, skłócony z księciem Galilei Rajmundem III z Trypolis, postanowił pchnąć do niego emisariuszy z propozycją zawarcia pokoju. Wielcy mistrzowie zakonów rycerskich i arcybiskup Tyru, którzy wyruszyli, by wykonać papieskie rozkazy, mieli przy okazji załatwić poselstwo w Galilei. Nie przypuszczali jednak, że sprawy potoczą się nie po ich myśli. W noc poprzedzającą przybycie do Nazaretu otrzymali informację, że wojsko Saladyna przemaszeruje przez tereny nad Morzem Galilejskim za zgodą Rajmunda III z Trypolis, który zawarł rozejm z sultaniem. Chrześcijańscy posłowie, urażeni obecnością muzułmanów w Ziemi Świętej, przez całą noc zwoływali oddziały krzyżowców z okolicznych garnizonów i nazajutrz, 1 maja 1187 roku, zamiast zgodnie z rozkazami zająć się zniszczeniem ossuariów, zaatakowali siedem tysięcy jeźdźców Saladyna, dysponując zaledwie pięciuset żołnierzami. Bitwa, która rzecz jasna trwała krótko, zakończyła się śmiercią wszystkich chrześcijan.

Krótko mówiąc, ossuaria pozostały w Nazarecie pod pieczę Letarda, łacińskiego arcybiskupa miasta, podczas gdy wojska krzyżowe, w większości złożone z templariuszy i szpitalników, podnosiły się z wolna po tej sromotnej porażce. Nie zdążyły się całkiem pozbierać, ponieważ Saladyn, któremu bardzo było na rękę, że wielcy mistrzowie zerwali rozejm zawarty

z Rajmundem, przyłączył do dawnego planowanego podboju Ziemi Świętej.

– I to wszystko, co wiemy – zakończył Kaspar. – Dwa lata później, w tysiąc sto osiemdziesiątym dziewiątym, Dozyteusz objął patriarchat konstantynopolitański i nic więcej nie napisał w sprawie ossuariów. Poza tym jak już wspominałem, w tamtych czasach byliśmy zajęci przede wszystkim własnym przetrwaniem.

Abby spokojnie odgarnęła perfekcyjnym gestem włosy z twarzy i założyła je za ucho, jej dziadkowie natomiast, którzy równie uważnie jak ona słuchali Kaspara, zmęczeni staniem i zgadując, że to jeszcze potrwa, usiedli w zabytkowych fotelach obitych czarnym aksamitem. Gdzie się podziali służący, którzy powinni przysunąć nam krzesła? Westchnęłam z rezygnacją. Podeszłam do najbliższego pulpitu, wzięłam sobie krzesło i ustawiłam w pobliżu starych Simonsonów. Pozostali uczynili to samo, tak że w końcu w szóstkę siedzieliśmy kręgiem pod jednym z wysokich okien ciągle jeszcze wpuszczających światło dzienne. Spojrzałam na zegarek na ręce i zdziwiłam się, że jest dopiero wpół do siódmej. Tyle się działo, że w natłoku wrażeń zupełnie mi się zaburzyło poczucie upływu czasu. Wydawało mi się, że wieki minęły, odkąd weszłam do rezydencji Simonsonów.

– Zachowały się listy Dozyteusza? – zwrócił się do Kaspara zacieławiony Faradz, pochylając się do przodu.

– Jasne – potwierdził były katon. – Mamy obydwie listy Dozyteusza i coś jeszcze.

– Wiedziałem! – mruknął stary Jake, składając powykrzywiane palce ze swobodą i łatwością, jakże daje praktyka.

– To może pan teraz przerwie, a ja będę mówiła? – powiedziała Abby. – Zgadzą się państwo?

Przytaknęliśmy wszyscy, siedząca zaś obok niej babcia poklepała ją zachęcająco po ręce.

– Jak pan powiedział, katonie, wielcy mistrzowie templariuszy i szpitalników nie tylko nie wykonali zadania i nie zniszczyli ossuariów, ale w dodatku zerwali rozejm z Saladynem i w ten sposób dali mu wyczekiwany pretekst, żeby wszcząć dżihad i podbić Ziemię Świętą. – Abby, jakżeby inaczej, głos także miała perfekcyjny, ponadto uwodzicielsko go modulowała. – Saladyn pomaszerował na południe, a tymczasem chrześcijańskie wojska zebrały się pod Seforis i szykowały się do ataku.

– Bardzo dobrze znamy tę część historii – zapewnił Kaspar.

– Znamy? – wyrwało mi się, lecz zaraz uświadomiłam sobie, że mógł mieć na myśli bractwo, a nie obecnych.

– Nie pamiętasz, Ottavio? – zwrócił się do mnie.

Ano tak, miał na myśli obecnych.

– Co niby mam pamiętać? – zdziwiłam się, nie pojmując, o co mu chodzi.

– Czwartego lipca tysiąc sto osiemdziesiątego siódmego roku – zaczął wyjaśniać – chrześcijańskie wojska pod wodzą króla Gwidona z Lusignanu niosącego Krzyż Prawdziwy, który Gotfryd z Bouillonu zrabował nam po zdobyciu Jerozolimy w tysiąc dziewięćdziesiątym dziewiątym, wydały bitwę Saladynowi między wzgórzami w miejscu zwanym Rogami Hittinu. W historii to starcie znane jest jako bitwa pod Hittinem. Wygrał ją Saladyn i zdobył Krzyż Prawdziwy, po którym wtedy zaginął ślad.

– Ach, jasne, że pamiętam! – zawołałam.

Kaspar się uśmiechnął i kiwnął głową. Istotnie Krzyż Prawdziwy zniknął po bitwie pod Hittinem, ale wiele lat później, niepostrzeżenie dla świata chrześcijańskiego, pięciu śmiałych stawrofilaków zdołało go odzyskać z muzułmańskich rąk i przewieźć do Paradejsosu, gdzie dotąd pozostawał.

Abby także z zadowoleniem kiwnęła głową.

– To prawda – przyznała. – Tego dnia Saladyn zdobył relikwię Krzyża Prawdziwego. Po zwycięskiej pierwszej bitwie reszta podboju Ziemi Świętej była zwyczajną wycieczką. Pod Hittinem sułtan pojmał Gwidona z Lusignanu i wielu innych wielmożów Królestwa Jerozolimskiego. Podobno kiedy w październiku tego samego roku papież Urban dowiedział się o utracie Krzyża Prawdziwego, umarł ze strapienia.

– No, nie tylko ze strapienia – wtrącił Kaspar.

– Zgadza się – przyznała Abby. – Umarł w październiku tysiąc sto osiemdziesiątego siódmego roku w Ferrarze na atak serca.

– Ale ataku dostał, kiedy mu powiedziano, że w bitwie pod Hittinem przepadł Krzyż Prawdziwy – zaznaczył były katon.

– Owszem – zgodziła się z uśmiechem Abby. – Tyle że wtedy dowiedział się jeszcze o dwóch rzeczach: że Saladyn zdobył ossuaria i że Jerozolima padła.

– Człowieku – włączył się Faradz mocno poruszony – jeśli takiemu papieżowi, w dodatku leciwemu, naraz wrzucają to wszystko, logiczne, że serce nie wytrzyma!

Nie bez kozery był miłością mojego życia.

– W jaki sposób Saladyn zdobył ossuaria? – spytał Kaspar, człowiek dużo mniej wrażliwy.

– Sprawcą tego rabunku – wyjaśniła Abby – był jeden z jego emirów, Muzaffar ad-Din Kukburi, który zdobył i splądrował Nazaret, miasto Jezusa. W czasie plądrowania profanował łacińskie i ortodoksyjne kościoły, torturował mieszkańców i wymordował prawie wszystkich, oszczędził tylko nielicznych mężczyzn, których wziął w niewolę. Co ciekawe, arcybiskup Letard zdołał uciec nie wiadomo jak, dotarł do Jerozolimy z wieścią o porażce, a potem spisał, co się wydarzyło. Stąd wiemy, że Kukburi „zagrabił, co tylko znalazł” – recytowała z pamięci – „tabernakula, szaty, cyboria, krucyfiksy i kosztowności, srebra i klejnoty, a także wszelakie święte

relikwie i plugawe diabelskie dzieła pozostające pod moim zarządem”.

– Co oznacza – podsumowałam – że ten Kukburi zrabował też ossuaria.

– Oczywiście – przytaknęła Abby. – Z pewnością ktoś mu o nich powiedział i zdradził wszelkie szczegóły, dlatego później Saladyn świetnie się orientował w ich znaczeniu. Podejrzewamy, że mógł to zrobić sam Letard w zamian za własne życie i wolność, ale to tylko podejrzenia.

– Czyli ossuaria trafiły w ręce Saladyna w tym samym roku, w którym zdobył Krzyż Prawdziwy i Jerozolimę – stwierdził Faradz. – Kurczę, miał potężną broń, haka na chrześcijan!

– Ale go nie wykorzystał – rzekł Kaspar ponuro. – Przynajmniej Krzyż Prawdziwy na nic mu się nie przydał.

– Mylisz się, katonie – zaprotestował Jake zadowolony, że wreszcie może być górą nad autorytetem religijnym. – Ossuaria wykorzystał. I to jak!

Były katon mocno się zdziwił, czemu dał wyraz, unosząc koniuszek lewej brwi. Popatrzyłam na niego zaskoczona: nie miał pojęcia, o co może chodzić.

– Kiedy? – spytał zaciekawiony. – I jak?

– Wszystko jest w liście Al-Asira – wyjaśniła Abby, znów zakładając włosy za ucho i wdzięcznie wskazując brodą dokument.

Wydało mi się, że Kaspar patrzy na nią jakoś tak... Ale nie, niemożliwe.

– No!... – ponaglił ją Faradz. – Nie mogę się doczekać.

– W porządku, ale najpierw wróćmy do roku tysiąc sto osiemdziesiątego siódmego – rzekła. – Jak mówił katon Glauser-Röist...

– Po prostu Kaspar.

– Dziękuję – powiedziała perfekcyjnie modulowanym głosem i do słów dodała promienny uśmiech. – Otóż jak mówił Kaspar, papież Urban III zmarł, kiedy się dowiedział o utracie Krzyża Prawdziwego, ossuariów i Jerozolimy. W tym czasie w Tyrze, ostatniej reducie chrześcijańskiej w Ziemi Świętej, przebywał Konrad z Montferratu, charyzmatyczny, błyskotliwy awanturnik, który z sukcesem stawiał opór Saladynowi i zasłużył sobie na miłość i szacunek mieszkańców miasta. – Tu marzycielsko z westchnieniem wzniosła oczy ku oknu, przez które wpadało zmierzchające światło, a ja pojęłam, że mamy do czynienia z jakąś romantyczną historią sercową. – Rzecz w tym, że dwa lata później, w tysiąc sto osiemdziesiątym dziewiątym, nieudolny, głupi król Jerozolimy, Gwidon z Lusignan, zapłacił za siebie okup i wrócił do Tyru, żądając dla siebie korony i miasta.

W tej chwili, korzystając, że Abby zamilkła, by zaczerpnąć tchu, jej babcia wstała z fotela i zapaliła światło w bibliotece. Zamrugaliśmy wszyscy oślepieni jasnym blaskiem bijącym z lamp sufitowych.

– Mów dalej, kochanie – powiedziała, zajmując z powrotem swoje miejsce.

Dochodziła siódma i zaczynałam odczuwać pierwsze objawy spadku poziomu cukru we krwi. Po przyjeździe do Kanady dołożyliśmy starań, by przywyknąć do kolacji o piątej po południu, a teraz mnie zmuszano do wieczornego posiłku w porze europejskiej.

Abby podjęła swój wywód tam, gdzie go przerwała przed włączeniem światła: bohaterski, mężny Konrad z Montferratu i głupiec Gwidon z Lusignanu weszli w spór o tę resztkę Królestwa Jerozolimskiego i w tym zeszyły im następne dwa, trzy lata, póki nie przybył Ryszard Lwie Serce z trzecią wyprawą krzyżową. Ryszard, jako najwyższy autorytet królewskiej krwi, poparł kandydaturę Gwidona, swojego wasala, lecz zdał sobie sprawę, że Konrada woli przytłaczająca większość mieszkańców mocno okrojonej Ziemi Świętej łącznie ze szlachetnie urodzonymi. Chcąc nie chcąc, wskazał go zatem jako króla jerozolimskiego, aczkolwiek koronację trzeba było przełożyć na później, Ryszard bowiem zajęty był wojną z Saladynem.

Jakiś czas później, pewnej kwietniowej nocy w roku 1192, gdy Konrad spokojnie zmierzał ulicami Tyru do domu przyjaciela, zaczęli go dwaj znajomi mnisi, z którymi wdał się w miłą pogawędkę. Mnisi byli młodzieńcami z Tyru, którzy wyjechali kształcić się w Italii, tam złożyli śluby i wrócili kilka tygodni wcześniej. I tak sobie we trzech przyjaźnie gawędzili, aż tu naraz braciszekowie dobyli spod habitu sztylety i zaczęli nimi dźgać Konrada, póki nie padł na ziemię śmiertelnie poraniony. Świta Konrada dopadła i zabiła jednego z morderców, drugi jednak uciekł i schronił się w pobliskim kościele, z którego niedługo potem go wyciągnięto i pojmano.

– Dwaj chrześcijańscy zakonnicy zamordowali Konrada? – zdziwiłam się.

– Hm... – Abby się zawahała. – I tak, i nie.

– Jak to: i tak, i nie? – zdziwiłam się jeszcze bardziej. – Zamordowali go czy nie?

– No więc tak niewątpliwie złożyli śluby zakonne. Ale zanim zostali mnichami, byli asasynami, którzy skrytobójczo...

– Już wiem, że skrytobójczo! – prychnęłam.

– Ależ pani doktor...

– Po prostu Ottavio. – Postanowiłam, że nie będę gorsza od Kaspara.

– Dziękuję, Ottavio – rzekła dziedziczka. – Widzisz, kiedy mówię, że byli skrytobójczymi asasynami, nie chodzi mi o to, że zamordowali Konrada, tylko że należeli do odłamu szytów znanego jako nizaryci albo asasyni od arabskiego słowa *hasziszija*, „zażywający haszysz”. Współcześnie spopularyzowała ich seria gier wideo *Assassin's Creed*, ale asasyni z tych gier nie mają nic wspólnego z prawdziwymi asasynami, którzy działali w średniowieczu. Sektę założył w Persji w dwunastym wieku Hasan i-Sabbah, błędnie nazywany Starcem z Gór, bo mylony z innym jej przywódcą w Syrii, Raszidem ad-Dinem Sinanem. Sinan był prawdziwym Starcem z Gór i jak przed śmiercią wyznał mnich pojmany żywcem w kościele, osobiście rozkazał zakonnikom zamordować Konrada z Montferratu, bo o to poprosił Ryszard Lwie Serce, który

wolał mieć na jerozolimskim tronie Gwidona z Lusignanau, a nie Konrada.

– Czyli nie byli zakonnikami – upierałam się, choć już spokojniejsza.

– Byli *fida'i*, „oddanymi sprawie” nizarytami – wyjaśniła mi Abby. – Asasynów cechowała niewiarygodna cierpliwość, umiejętność kamuflażu i oszukiwania. Młodzi *fida'i*, którzy zamordowali Konrada, pochodzili z Tyru, doskonale znali język Franków, przeszli na chrześcijaństwo, ba! przywdziali mnisi habit podczas studiów w Italii. Potem wrócili do Tyru znakomicie przygotowani, by bez mrugnięcia wykonać misję, chociaż ryzykowali życie. I nie podejmowali swoich działań pod wpływem haszyszu, jak wmawiano wszystkim przez wieki. Haszsz by ich przecież otumanił, wpłynąłby na precyzję ruchów, a oni dopuszczali się zabójstw owianych legendą z racji perfekcyjnego wykonania i szybkości akcji. Powodowała nimi wiara w Allaha, fanatyzm religijny i ślepa ufność w imama, którego uważali za potomka Mahometa.

– Zaraz, zaraz, Abby, poczelaj! – odezwał się Faradz, od razu mówiąc jej „ty”, by nie tracić czasu na uprzejmości. – Co historia z Konradem z Montferratu, Ryszardem Lwie Serce i Starcem z Gór ma wspólne z dziewięcioma ossuariami Jezusa i Świętej Rodziny?

Wszyscy Simonsonowie uśmiechnęli się wyrozumiale, Abby zaś gestem dała znać, że rozumie niecierpliwość Faradza.

– Już wyjaśniam – odparła. – Ryszard Lwie Serce był co prawda w dobrych stosunkach z asasynami, ale nie on poprosił Starca z Gór, żeby jego *fida'i* zamordowali Konrada. Zrobił to Saladyń, który zlecił nizarytom wyeliminowanie nie tylko Konrada, lecz także Ryszarda.

– A co zyskiwał Saladyń na śmierci Konrada? – zdziwiłam się. – Zrozumiałabym pozbycie się Ryszarda, który był krzyżowcem, jego wrogiem, ale Konrada? Po co?

– Ponieważ lud go kochał – odparła Abby – i gdyby został koronowany na króla jerozolimskiego, stałby się groźnym wrogiem. Saladyń chciał się pozbyć i Ryszarda, i Konrada. Obydwu. A że nie mógł tego zrobić otwarcie z bronią w ręku, uciekł się do asasynów. Z jakiegoś powodu Sinan nie chciał zamordować Ryszarda, za to wykończył Konrada w taki sposób, że cała wina spadła na angielskiego monarchę.

Zerwała się z krzesła, podeszła do regału, wyjęła jeden tom z kolekcji książek takiej samej grubości i w identycznych okładkach i otworzyła go na stronie zaznaczonej skrawkiem papieru.

– Historyk Al-Asir – ciągnęła, usiadłszy z powrotem – który w tamtych latach walczył w oddziałach Saladyńa, tak pisze o śmierci Konrada w *Kompletnej księdze historii*: „Przyczyną jego śmierci było to, że Saladyń posłał do Sinana, przywódcy Izmaelitów w Syrii, który był mu posłuszny, aby ten posłał kogoś, kto zabiłby króla Anglii. Za zabicie markiza miał otrzymać dziesięć tysięcy dinarów”³. Markiz, o którym tu jest mowa, to Konrad markiz Montferratu.

– Tyle że Al-Asir – wtrącił jej dziadek czujny jak zając pod miedzą, odkąd rozmowa zeszała na asasynów – w swojej księdze tak napisał, ale w liście do swojego brata Diji ad-Dina z tysiąc sto

dziewięćdziesiątego drugiego, czyli z okresu, kiedy to wszystko akurat się działo, twierdzi coś całkiem innego.

– I tu docieramy wreszcie do tego, o co nam chodzi – dodała pogodnie Becky.

No pięknie, pomyślałam z rezygnacją. Tylko trzy godziny im zabrała ta wycieczka w historię.

– Faktycznie, w liście do brata... – Tu Abby wstała, perfekcyjnie zdecydowanym krokiem podeszła do końca stołu, bez wahania zdjęła szybkę, pod którą leżał dokument, ku naszemu zdumieniu i zgrozie wzięła go w palce bez rękawiczek, po czym wróciła do nas. – W liście do brata, jak zauważył mój dziadek, Al-Asir pisze coś zupełnie innego. Faradz, mógłbyś przeczytać to? – poprosiła, wręczając dokument mojemu mężowi, który z respektem delikatnie go ujął i wpatrzył się w wersy wskazywane przez Abby palcem.

– Pewnie – powiedział, poprawiając swe okrągłe okulary, by były jak najwyżej na nosie. Plekroć to robił, zawsze sobie mazał soczewki. – „I rzekł Saladyn Sinanowi przy mnie, że jeśli zabije króla Anglii i markiza” – czytał powoli Faradz, dokładnie tłumacząc arabskie słowa napisane ponad osiem wieków wcześniej – „zapłaci mu dziesięć tysięcy dinarów. Ale pan...” Masjafu?

– Tak, Masjafu – potwierdził Jake. – To była główna forteca syryjskich asasyków.

– „Ale pan Masjafu” – ciągnął Faradz – „odpowiedział, że za dziesięć tysięcy dinarów nie zamorduje nawet jednego. Saladyn się oburzył, bo złożył dobrą ofertę, spytał jednak Sinana, ile chciałby zatem pieniędzy, na co Sinan rzekł, że nie chce pieniędzy, że za śmierć jednego z Franków chciałby szczątki proroka Al-Masiha Isy i jego rodziny, a za śmierć drugiego dziesięć tysięcy dinarów. Z początku Saladyn się wypierał, że ma szczątki proroka, lecz Sinan zażądał, by nie próbował łączyć, bo jego *fida'i* byli z emirem Kukburim, kiedy je zdobył w Nazarecie, i z Saladynem, gdy emir mu je przekazywał. Tym sposobem Sinan dał do zrozumienia sułtanowi, że jest otoczony przez izmailitów. I Saladyn przystał na te warunki”.

– Wystarczy, dyrektorze – przerwała mu Becky. – O ten fragment chodziło. Dostałeś tłumaczenie, o które pytałeś, katonie.

– Czy prorok Al-Masih Isa to nasz Pan Jezus? – spytałam zaciękwiona. Wiedziałam, że muzulmanie mówią Isa na Jezusa, wiedziałam też, że uważają go za proroka Allaha, a nie za Boga ani Syna Bożego, lecz pierwszej części imienia nigdy nie słyszałam.

– Al-Masih Isa znaczy po arabsku to samo co Jezua ha-Maszijach po aramejsku albo hebrajsku – oświecił mnie Faradz. – To znaczy „Jezus Mesjasz”. Masih i Maszijach to to samo co Christos po grecku. Pomazaniec.

– A żeby już z tym skończyć, dodam tylko, że Saladyn zapłacił – ucięła Abby nasze rozważania. – To wiemy z absolutną pewnością.

– Z absolutną pewnością? – zdumiał się Kaspar.

Abby się uśmiechnęła. Jej dziadkowie, najwyraźniej odporni na głód, który mnie dawał się już mocno we znaki, także się uśmiechnęli.

– W tym wypadku, katonie – szepnęła Becky z tłumioną wesołością w głosie – nie musimy ani snuć domysłów, ani szukać dowodów. Wiemy na pewno, że Saladyn zapłacił. Ossuaria stały się własnością sekty asasynów w dniu dziewiętnastego maja tysiąc sto dziewięćdziesiątego drugiego roku. Pięćset osiemdziesiątego ósmego roku hidżry.

Mimo wszystko taka dokładność i pewność były dość zaskakujące. Jednakże Kaspar, który zdawał się łączyć rozmaite luźne wątki w głowie, zaczął nią kiwać, jakby całość stała się dla niego zrozumiała.

– O szczegółach przekazania zapłaty – dodał Jake z satysfakcją – opowiedział nam kiedyś stary przyjaciel Karim, z którym utrzymujemy bliskie stosunki od ponad sześćdziesięciu lat.

– Karim Aga Chan – szybko wyjaśniła Abby mnie i Faradżowi, widząc, że Kaspar już się domyślił. – Jego królewska wysokość Aga Chan IV, obecny imam nizarytów.

Szelest piórka unoszącego się w powietrzu zabrzmiałby jak warkot silnika traktora w ciszy, która zapadła po tych słowach Abby Simonson. Ja zareagowałam dopiero po kilku sekundach, podobnie Faradż, w którego rękach zaszeleściły kartki listu Al-Asira. Zналиśmy oboje ze słyszenia Agę Chan: osławionego playboya lat 60. i 70. ubiegłego wieku, którego zdjęcia trafiały do wszystkich modnych czasopism z pięknymi modelkami albo z pięknymi końmi. Wiedzieliśmy również, że jest przywódcą jakiejś dziwnej sekty, której wyznawcy przekazują mu swój majątek w prezencie urodzinowym czy z innej okazji. Ale to, co Simonsonowie nam powiedzieli, oznaczało krótko mówiąc, że Aga Chan IV jest aktualnym imamem nizarytów, czyli asasynów... Sekta asasynów nie zniknęła w średniowieczu. Istniała nadal!

ROZDZIAŁ 8

– Oczywiście, że izmailici istnieją! – zaśmiała się Becky, widząc zdumioną minę Faradża i moją.

– Jakę, ilu wiernych ma Karim na świecie?

– Chyba jakieś piętnaście milionów – odparł po krótkim zastanowieniu.

– Piętnaście milionów skrytobójców na całym świecie! – wykrzyknęłam zdjeta zgrozą. –

A ludzie nie mają o tym pojęcia!

– Ottavio, na Boga, to już nie są skrytobójcy! – zwrócił mi uwagę Kaspar. – To wyznawcy izmailizmu. Tamten rozdział ich historii zakończył się w trzy nastym wieku.

– Może byśmy pomówili o tym przy kolacji? – zaproponowała Abby.

O mało się nie rozpląkałam z czystej wdzięczności. Przynajmniej się upewnię, że Abby Simonson jest człowiekiem i musi jeść, bo jej dziadkowie ani chybi należą do istot pozaziemskich.

Wciąż nie mogłam się otrząsnąć po tym, co usłyszałam, a mianowicie że sekta skrytobójczych asasynów istnieje współcześnie, kiedy wychodziliśmy z małej biblioteki w dwóch osobnych grupkach: troje Simonsonów szło przodem, gawędząc między sobą o jakichś błahostkach, a Faradż, Kaspar i ja podążaliśmy za nimi w głębokim milczeniu. Faradż trzymał mnie mocno za rękę, może nawet zbyt mocno, jakby chciał dodać mi siły, odwagi albo poczucia bezpieczeństwa. Nasze dłonie znały się doskonale, toteż gorąco, które od niego biło, powiedziało mi, że w jego żyłach płynie potężna dawka adrenaliny. Myślał o mnie, to natychmiast zrozumiałam, jakby sądził, że przytłoczyło mnie to, co zostało powiedziane w bibliotece, a równocześnie wydawał się zły na Kaspara, co poznałam po tym, że nie odzywał się do niego słowem. Był rozdarty, ponieważ bardzo lubił przyjaciela, a zarazem dopadły go straszne wątpliwości: czy tenże przyjaciel na pewno jest tym, za kogo dotąd go miał, czy też zmienił się tak bardzo, jak i mnie się wydawało? Czy nas okłamał w naszym domu, przy synu bawiącym się za ścianą z moją siostrzenicą Isabellą? Dlatego ja również mocno ścisnęłam dłoń męża. Chciałam, by wiedział, że cokolwiek będzie się działo, my dwoje pozostaniemy sobą, a nasze życie i świat, zbudowane wspólnie z takim wysiłkiem i szczęśliwie z wielką miłością, nie zmienią się i nie zawałą ani dla Kaspara, ani dla nikogo innego.

– Bardzo się na mnie gniewacie? – zapytał naraz byłý katon z wahaniem.

No, nie jest tak źle, pomyślałam, skoro po tylu sekretach i kłamstwach obchodzi go, czy się gniewamy. Mnie było to obojętne, bo dawniej go nie cierpiałam i łatwiej niż Faradż potrafiłam wyrzucać ze swojego życia ludzi, z którymi nie chciałam mieć do czynienia. Po rodzinnych doświadczeniach, po przeżytych przez to bólu i zachowywanym bezpiecznym dystansie, żeby mnie bliscy więcej nie zranili, byłam przygotowana na zerwanie więzi z każdym przyjacielem, który okazywał się rzekomy.

– Straszny z ciebie drań, Kasparze! – oznajmił Faradź ze złością.

– Wybaczcie – poprosił, nie wyjmując ręk z kieszeni spodni. I nie drgnął mu przy tym ani jeden mięsień w twarzy jak wykutej z kamienia. – Musiałem się wobec was zachować jak kompletny dureń. Naprawdę jest mi przykro. Jeżeli nie chcecie nas z Linusem oglądać, jeszcze dzisiaj wyniesiemy się z waszego domu.

– Zgadza się – przyznałam lodowatym głosem. – Nie chcemy was oglądać.

– Nie trzeba dzisiaj budzić małego – złagodził moje słowa Faradź, mocniej ściskając mi rękę, żebym się nie sprzeciwiała. – Ale jutro odejdzcie.

Szliśmy za Simonsonami przez korytarze i korytarzyki, mijaliśmy salony większe i mniejsze, zupełnie nie zwracając uwagi, którędy i dokąd idziemy. Niewątpliwie zadbali o to, żebyśmy mieli odrobinę intymności i porozmawiali między sobą. Nawet do głowy im nie przyszło, że zrywamy właśnie porozumienie z nimi z winy ich uwielbianego katona. Dla mnie był to miód na serce. Nigdy nie miałam ochoty uczestniczyć w tej historii w osuariami. Martwiło mnie tylko, że Faradź mocno to przeżyje. On nie potrafił się opancerzyć tak jak ja i zablokować dostęp do siebie bolesnym uczuciom.

– Wysłuchajcie mnie, proszę – rzekł cicho były Katon CCLVIII. – Od lat wiedzieliśmy w bractwie, że Simonsonowie depczą nam po piętach, wiedzieliśmy, że szukają Paradejsosu i prób, które umożliwiają wstęp do naszego świata, choć nie udało nam się ustalić, o co dokładnie im chodzi. Nie są szczególnie religijni, więc jaki mógł być powód tej obsesji nami? Kiedy znaleźli *Lignum Crucis*, zaraz dowiedzieliśmy się o tym i mieliśmy się na baczności. Mimo że przez całe lata mieliśmy u nich swoich ludzi, nie mogliśmy ustalić, czego mogą od nas chcieć postaci tak wpływowe, z rozległymi kontaktami w każdym ośrodku władzy na świecie. Wierzcie mi, są zamknięci w sobie i nieprzenikalni jak beton. Aż dotąd nijak nie udawało nam się dowiedzieć, do czego dążą, i bardzo nas to niepokoiło. Uważaliśmy, że mogą być groźni. Kiedy doszła wiadomość, że skontaktowali się z wami, w Paradejsosie rozdzwonił się alarm. Byłem z Linusem niedaleko stąd, już zrezygnowałem z funkcji katona, ale powiadomiono mnie natychmiast, jeszcze w piątek wieczorem, kiedy Becky i Jake byli u was w domu. Zaraz wzięliśmy was pod obserwację.

– No, jeszcze tego brakowało! – prychnęłam. Ile osób nas szpiegowało od piątku? Czy aby w Powszechnej deklaracji praw człowieka nie ma artykułu o prywatności?

– Ottavio, to było dla waszego bezpieczeństwa! – jęknął. – Sam o to poprosiłem. Kiedy wczoraj powiadomiliście kardynała Hamiltona, wsiałem w pierwszy samolot odlatujący z Orlando i przyleciałem. Skoro Simonsonowie skontaktowali się z wami, znaczy, że wydarzyło się coś ważnego, ale nie wiedzieliśmy co. Zjawiłem się u was, zgrywając głupka, żebyście się nie niepokoiли ani nie martwili przedwcześnie.

– Ale przekazaliśmy ci, co nam powiedzieli – z goryczą wytłąkł mu Faradż – a ty nam nie powiedziałaś, że znasz list Dozyteusza i wiesz o ossuariach.

Simonsonowie dotarli do okazałych dwuskrzydłowych dębowych drzwi, które otwały się do wewnątrz przed nimi. Wszyscy troje obejrżeli się na nas z miłym uśmiechem, czelając, aż do nich dojdziemy. Tak sympatycznych ludzi w życiu nie spotkałam. Bez przerwy się uśmiechali.

– Jeśli chodzi o Simonsonów, wyjaśniłem już, co nam się wydawało i dlaczego – rzekł szybko Kaspar; byliśmy coraz bliżej drzwi i naszych gospodarzy. – Co do reszty, wczoraj o niczym nie miałem pojęcia. Naprawdę. Zanim poszedłem spać, wysłałem zaszyfrowaną wiadomość i wszystkie informacje dostałem od Phila dziś rano, kiedy Linus grał w Snoopy’ego.

Poczułam, że uścisk dłoni Faradża słabnie i że mój pancerz, pozbawiony wsparcia, rozwiewa się w powietrzu jak dym.

– Prosimy do jadalni – powiedział Jake. – Panie dyrektorze, czy byłby pan tak uprzejmy i pozwolił, że poprowadzę pańską małżonkę?

Chyba jednak nie liczył, że Faradż i ja rozstaniemy się dobrowolnie, wziął bowiem moją rękę i wsunął ją sobie pod ramię, po czym dwornie poprowadził mnie do jadalni. Kiedy dotknęłam chudej kończyny Jake’a, przebiegł mnie zimny dreszcz, jakby cienkie płótno marynarki skrywało gołą kość pozbawioną mięśni. Wyjaśnienia Kaspara wzburzyły mnie bardziej, niż sądziłam.

Jake posadził mnie obok siebie, u szczytu owalnego stołu pośrodku pomieszczenia. Zważywszy na rozmiary rezydencji i pokoiów, ten musiał być małą jadalnią (tałą małą jak mała biblioteka, żeby było jasne), stół był bowiem tylko dla sześciorga biesiadników. Jak wspomniałam, siedziałam po prawej stronie Jake’a Simonsona, który zajmował honorowe miejsce u szczytu stołu; po swojej prawej miałam Faradża; na drugim końcu stołu zasiadła Becky z Kasparem po swojej prawej, Abby zaś siedziała między Kasparem a swoim dziadkiem – słowem, naprzeciwko mnie.

Wymienialiśmy jakieś banalne uwagi na temat wystroju domu i małej biblioteki, kiedy lokaje w białych marynarkach podali w niewielkich miseczkach coś zielonego – jak się okazało, grochowe guacamole z octem i musztardą. Faradż bardzo chwalił nie tylko guacamole, ale także serwowane do niego wino. Skosztował go z uprzejmości dla Jake’a, który zdawał się doskonale znać aleksandryjskie upodobania mojego męża.

– Piętnaście milionów asasynów krążących po świecie nie odebrało ci apetytu, Ottavio? – zagadnął Kaspar, widząc, jak opycham się guacamole.

Zaśmiałam się jak mogłam z zamkniętymi ustami, odłożyłam łyżeczkę i serwetkę wytarłam usta.

– Kiedy się dowiem, co to naprawdę oznacza, możesz być pewny, że go stracę – odparłam, układając na powrót serwetkę na kolanach.

– Trudno uwierzyć, że sekta asasyków istnieje współcześnie – zauważył Faradz.

– Ależ myli się pan, dyrektorze – zaprzeczył Jake, który jakimś cudem już opróżnił swoją miseczkę. – Sekty asasyków od dawna nie ma. Znikła w trzynastym wieku wraz z przybyciem hord mongolskich, które spustoszyły cały Wschód i szczęśliwie zatrzymały się u bram Europy. Dzisiaj istnieje tylko religia, wyznanie.

– Ale wyznanie bardzo tajemnicze – wtrącił Kaspar, wybierając łyżeczką resztki guacamole. – To, co widzimy z wiary izmailitów, jest tylko niewielką częścią, reszta kryje się za prostymi pozorami.

– A pewnie, i warto by lepiej ją poznać. Niecodziennie udaje się przemówić do rozumu za pośrednictwem wiary.

– Izmailici są bardzo dyskretni – dodała Becky. – To nietypowi muzułmanie, którzy wolą nie rzucać się w oczy.

– Dlaczego? – zapytał mój mąż.

– Zawsze stanowili mniejszość w łonie islamu – wyjaśniła Abby. – Słabą mniejszość uważaną za heretycką, dlatego na przestrzeni wieków wielu próbowało ją zniszczyć. Gdyby było inaczej, dlaczego by się zamykali w odosobnionych zamkach, takich jak Alamut, dlaczego by się dopuszczali selektywnych mordów, pozwalających powstrzymać wielkie wojska, albo tak mocno rozwinęli doktrynę takijji?

– Czego? – dopytałam.

– Takijja znaczy lęk, ostrożność – oświecił mnie Faradz.

Sprzątnięto wraz wszystkie miseczki po guacamole i równocześnie podano jakby gorący przekładaniec z ciasta francuskiego z kabaczkami i szalwią. Musiałam przyznać, że nie tylko zastawa jest cenna, ale także dania podaje się nader wyszukane. Kiedy Faradz kosztował kolejnego wina, Abby wytłumaczyła mi, na czym polega takijja:

– Z grubsza mówiąc, to zezwolenie na publiczne wyparcie się wiary, żeby uratować życie. Nizaryci tak często byli prześladowani, tyle razy o mało ich nie wybito do nogi, że nauczyli się kamuflować, ukrywać swoje prawdziwe wierzenia. Sami imamowie nizaryccy mogą zadekretować zupełnie nową formę wyznawania wiary, zupełnie odmienną od wcześniejszej, zależną od tego, jak wieją akurat polityczne czy religijne wiatry. To pozwoliło im przetrwać.

– I przeobraziło ich w skutecznych skrytobójców – dorzucił Kaspar, odkrawając kawałek przekładaniec ostrożnie, żeby się nie rozpadł. – Twój długoletni przyjaciel może być zakamuflowanym nizarytą żyjącym jak pobożny sunnita, po czym pewnego dnia, po długim, spokojnym wyczekiwaniu, rzuca się ze sztyletem na kogoś prominentnego, kto akurat niespodzianie postanowił zrobić sobie spacer po mieście.

– Oczywiście dzisiaj nikogo nie mordują – zaznaczyła Becky, która koniecznie pragnęła

podkreślić, że współcześnie są całkowitymi pacyfistami. – Wspólnoty izmailickie są rozrzucone po całym świecie i skupiają się głównie na nauce i pracy na rzecz rozwoju krajów, w których żyją. Prowadzą znane uczelnie wyższe i międzynarodowe organizacje i bardzo serio traktują rolę kobiety w społeczeństwie. Ale zgadza się, nadal są bardzo dyskretni.

Przekładaniec był pyszny i tak delikatny, że usta wypełniał jakby obłok smaku łabaczków. Faradz naprawdę rozkoszował się kolacją, oczy zabłyśły mu perłowo, kiedy upił łyk kolejnego wina podanego do tej potrawy.

– Tak że obecny Aga Chan... – zaczął Kaspar.

– Karim – wtrącił Jake.

– Właśnie, wasz przyjaciel Karim – przytaknął były katon. – Wasz przyjaciel Karim powiedział wam, że Saladyn zapłacił Sinanowi za śmierć Konrada z Montferratu, oddając mu te dziewięć ossuariów.

– Widzisz, katonie... – rzekł Jake, odkładając sztućce na pusty talerz. Już zjadł przekładaniec? Kiedy? – Izmailici od samego początku starali się jak najmniej rzeczy zostawiać na piśmie. Częściowo dlatego, że ich specyficzna interpretacja tajemnych znaczeń Koranu rodziła ryzyko, a częściowo z powodu dawnych sekretnych rytuałów inicjacyjnych, które jak sama nazwa wskazuje, są sekretne i nie powinny być zapisane. Oczywiście mają różne swoje manuskrypty, kroniki i listy, ale większość pochodzi z czasów po inwazji mongolskiej, powstała po trzynastym wieku, kiedy to uznano, że nizarytów zmieciono z powierzchni ziemi. Gdy zapytaliśmy Karima o Sinana i ossuaria, postanowił powołać grupę najlepszych ekspertów i zlecić im zbadanie tego. Po opracowaniu nielicznych dokumentów wyszły na jaw dwie rzeczy. Po pierwsze, że po śmierci Starca z Gór w tysiąc sto dziewięćdziesiątym trzecim roku jego następcą na czele syryjskiej części sekty, Nasr al-Ajami, wysłał ossuaria do Persji, do twierdzy Alamut, jako prezent dla imama Muhammada II, przodka Karima. W ten sposób odwdzięczał się za mianowanie go liderem syryjskim. Po drugie odkryli, że ossuaria były w Alamucie przez sześćdziesiąt trzy lata, od tysiąc sto dziewięćdziesiątego trzeciego do tysiąc dwieście pięćdziesiątego szóstego roku.

– Kiedy przybyli Mongołowie – podsunął Faradz.

Becky, która skończyła przekładaniec, zmieniła teraz Jake'a:

– Słuszna uwaga – potwierdziła, poprawiając złoty naszyjnik.

W tej chwili lokaje zabrali puste talerze i podali następne z plastrem szynki z rusztu na drobno posiekanej zieleninie. Głód oczywiście już zaspokoiliam, ba! teraz czułam się wręcz syta. Sommelier od razu nalał wina Faradżowi, aby go skosztował, jako że w trakcie tej kolacji przeobraził się w degustatora, Abby zaś odsunęła od siebie szynkę i napiła się tylko nieco wody.

– Jedzcie, proszę – rzekła do dziadków, odstawiając kieliszek – Ja im tymczasem zrelacjonuję resztę.

Spróbowałam kawałeczek szynki, przepysznej, i uznałam, że mogę jeszcze trochę zjeść, gdy perfekcyjna Abby niczym średniowieczny kuglarz będzie nas zabawiała opowieścią.

Niedługo przed śmiercią, która nastąpiła w 1227 roku, wielki wódz mongolski Czyngis-chan wydał bezwzględny rozkaz, zgodnie z którym „nie będzie przebaczenia żadnemu izmaillicie nizarycie, nawet dziecku w kołysce”⁴, jak podaje perski historyk Ata Malik Dżuwajni w swoim dziele *Historia zdobywcy świata*. Skąd taka nienawiść Czyngis-chana do nizarytów? Tego wyraźnie nie powiedziano, oczywiście było jednak, że Czyngis-chan wydał ten rozkaz, ponieważ przewidywał, co będzie się działo między jego potomkami a sektą asasyków.

Nizaryci świadomi zagrożenia ze strony Mongołów, mimo że na razie w Persji i Syrii byli bezpieczni, postanowili przystąpić do wojny, pragnąc zastosować remedium, zanim choroba stanie się nieuleczalna. W roku 1241 Ugedej-chan, syn i dziedzic Czyngisa, zmarł otruty. Na pewno otruli go asasyki, którzy tego samego roku maczali także palce w zamachu na Czagataja, drugiego syna Czyngisa. Nizaryci uznali, że mogą spokojnie spać – przy najmniej przez jakiś czas. Po śmierci Ugedeja wielkim chanem został jego syn Gujuk. Nizaryci wysłali do niego poselstwo z propozycją zawarcia pokoju, lecz Gujuk nie zgodził się na traktat i jasno dał im do zrozumienia, że kiedy ich napadnie, nie będą mogli liczyć na litość z jego strony.

W roku 1248, co było do przewidzenia, Gujuk-chan umarł otruty – jego śmierć także była dziełem nizarytów. Przy tylu skrytobójstwach asasyki tylko odsuwali w czasie to co nieuniknione i doskonale o tym wiedzieli.

– I jak powiedzieliśmy państwu poprzednio – wtrącił stary Jake, odsuwając talerz wyczyszczony do cna, podczas gdy inni jeszcze kończyli szynkę – w roku tysiąc dwieście czterdziestym ósmym, tuż po śmierci Gujuka, w okolicy Karakorum przybył dominikanin Andrzej z Longjumeau, który przywiózł dary od Ludwika Francuskiego z okazji planowanej konwersji Gujuka na chrześcijaństwo. Wśród tych darów było *Lignum Crucis*, które oddaliśmy dzisiaj tobie, katonie.

Kaspar dystygowanie leciutko skinął głową w podziękowaniu. Nie do wiary, w jak wyrefinowanego człowieka przeobraził się ten kanciasty gwardzista szwajcarski.

Po Gujuku, ciągnęła Abby, na tronie wielkiego imperium mongolskiego zasiadł w roku 1251 Mongke, wnuka Czyngisa, pierwotny syn Tołuja i Sorkaktani, keraickiej księżniczki, chrześcijanki wyznania nestoriańskiego.

– Nestoriańskiego? – spytałam, marszcząc czoło. Jacyś nieumiarkowani chrześcijanie, pomyślałam.

– Nestorianie – wyjaśnił mój mąż, trzymając w dłoniach kieliszek z winem – pojawili się w piątym wieku. Wierzą, że Jezus miał dwie osobne natury, boską i ludzką, czyli że narodził się z kobiety i umarł na krzyżu tylko jako człowiek, nie jako Bóg.

Abby kiwnęła głową i opowiadała dalej, jak to było z Mongkłem, wnukiem Czyngisa: w roku 1254 do Karakorum, stolicy mongolskiej, przybył franciszkanin Wilhelm z Rubruku⁵ i w kronice napisanej po powrocie opowiedział, że nazajutrz po jego przyjeździe w całym mieście przeprowadzono wielką kontrolę bezpieczeństwa, a jego i jego towarzyszy poddano ciężkiemu przesłuchaniu, wypytując, „skąd jesteśmy, dokąd jedziemy, jakie są nasze misje. Te badania miały miejsce, ponieważ doniesiono Mongkë-čanowi, że przybyło czterdziestu Hałasynów w różnych strojach, by go zabić”⁶.

Biedni lokaje, których przełożony niepostrzeżenie zaglądał do jadalni od czasu do czasu, sprawdzając, jak się sprawy mają, cierpliwie czekali przed drzwiami, by uprzątnąć talerze i podać nam deser. W końcu Becky dyskretnie dała im znak i wszystko odbyło się ścichapęk w jednej chwili mój talerz z reszką szynki znikł, a zastąpił go okazały puchar wypełniony sałatką owocową złożoną z kawałków brzoskwiń, melona, pomarańczy, wypestkowanych czereśni, posypaną siekany mi pistacjami i leciutko pachnącą różami. Godny finał niezapomnianej kolacji.

– Wiosną tysiąc dwieście pięćdziesiątego trzeciego roku – podjęła dziedziczka Simonsonów, licząc, że nikt jej nie przerwie, gdy zobaczyła, że każdy trzyma łyżeczkę w ręce i usta ma pełne – Mongkë-čan posłał swojego brata Hulagu na podbój Persji, Syrii i Egiptu, czego tak bardzo obawiali się nizaryci. Hulagu wyruszył więc na zachód z ogromną armią, ale otrzymał też od brata kategoryczne przykazanie: rozprawić się raz na zawsze z asasynami, co przed śmiercią rozkazał ich dziadek Czyngis.

Wkroczywszy na terytorium Persji, Hulagu skierował się prosto do Rudbaru, w okolice, gdzie leżał Alamut, i zażądał od Rukn ad-Dina Churszacha, ówczesnego imama nizarytów, żeby poddał tę twierdzę i wszystkie inne.

– I tu dochodzimy do momentu, który nas interesuje – oświadczyła Abby, nabierając oddechu. – Jak w swoim dziele *Historia zdobywcy świata* relacjonuje Dżuwajni, asasyni musieli opuścić Alamut z pustymi rękami, a Mongołowie zawładnęli wszystkim, co znaleźli w twierdzy.

– Czyli ossuariami także – wtrąciłam, przeszedłszy od fazy absolutnego sceptycyzmu co do ich istnienia do fazy pogodzenia się z ich realnością, choć jako z czymś zupełnie obcym mojej wierze. Znaczący te dziewięć ossuariów mogło być dziewięćmioma muszlami albo dziewięćmioma srebrnymi kielichami. Mojego Boga tam nie było.

Abby kiwnęła głową.

– Hulagu nie wkroczył do Alamutu – podjęła. – Posłał do Persji swojego wezyra i zaufanego człowieka z kontyngentem wojska, żeby zrobił rozpoznanie na miejscu i wybrał w zamku to, co uzna za godne uwagi, i ten wezyr, którym był historyk Dżuwajni we własnej osobie, zabrał oprócz dziewięciu ossuariów mnóstwo ksiąg z wielkiej biblioteki Alamutu, słynnej w całym świecie muzułmańskim. Kiedy Dżuwajni wykonał zadanie, Hulagu rozkazał spalić zamek i w ten

sposób płomienie strawiły Alamut, jego bibliotekę i resztę cennych przedmiotów należących do nizarytów. To był koniec wszystkiego. Niedługo później, zgładziwszy Rukn ad-Dina, Hulagu rozkazał wymordować wszystkich nizarytów w Persji, nie bacząc, czy to mężczyźni, kobiety, dzieci czy bezbronni starcy. Nie przeżył nikt.

– Skoro Mongołowie pozbawili życia ostatniego imama i wyrznęli wszystkich asasytów, jakim cudem ten wasz przyjaciel Karim może być potomkiem Rukn ad-Dina? – zapytałam.

– Jeden syn Rukn ad-Dina przeżył – wyjaśnił Jake z taką satysfakcją, jakby należał do rodziny Agi Chana. – Nazywał się Szams ad-Din i został potajemnie wywieziony z Alamutu, zanim przybył tam Hulagu. Przez całe życie stosował takiję, czyli żył w ukryciu.

– Czy Dżuwajni pisze w kronice, że zabrał z Alamutu te dziewięć ossuariów? – spytał mój mąż.

– Otóż nie – odparł Jake. – Jest w niej mowa tylko o księgach z wielkiej biblioteki nizarytów. O ossuariach w ogóle nie wspomina.

– W takim razie mogły spłonąć po podpaleniu twierdzy przez Hulagu – zauważyłam podejrzliwie.

– Nasz kolejny dowód wykaże, że znalazły się poza twierdzą, zanim ją podpalono – zapowiedziała Becky, odkładając serwetkę na stół i wstając. Jake także się podniósł, po nim Abby i my z Faradżem zrobiliśmy to samo. – A skoro opuściły twierdzę, o czym się zaraz przekonacie, tylko Dżuwajni mógł je wydostać i przekazać w ręce Hulagu.

– Krótko mówiąc – powiedziałam w zamyśleniu, kiedy wolnym krokiem wracaliśmy do małej biblioteki – wnuk Czyngis-chana, niejaki Hulagu, animista albo buddysta, przywłaszczył sobie ossuaria, które przypuszczalnie zawierają szczątki Jezusa i jego rodziny.

– Owszem – przyznała Becky, wsuwając dłoń pod kościste ramię męża. – W tej historii jednak trzeba wziąć pod uwagę jeszcze jeden ważny punkt. Otóż nie tylko matka Hulagu była nestorianką, a więc chrześcijanką, ale też jego główna żona Orokina, bardziej znana jako Dokuzchatun, oraz Tukiti-chatun, druga z jego czterech głównych żon. Czyli Hulagu był synem chrześcijanki i mężem dwóch chrześcijanek. Znał wartość ossuariów.

– U Mongołów mężczyzna miał cztery główne żony i całą masę nałożnic – wyjaśnił ze śmiechem Jake na widok mojej stropionej miny. – Jeśli chodzi o chana albo wielkiego chana, cztery główne żony miały własne ordy, to znaczy luksusowe gery, czyli przenośne składane namioty, własne damy dworu, służbę, mieszały też z nimi ich dzieci i młode konkubiny męża oddawane pod ich opiekę.

Szliśmy już schodami prowadzącymi na niższe piętro.

– Wynika z tego, że rodziny były bardzo żyte – skomentował Faradż żartobliwie.

– Bardzo, ale to bardzo – przytaknęła Becky.

– Akurat! – z przekąsem rzuciła Abby. – Kiedy ich członkowie nie walczyli między sobą

o ziemię albo o władzę!

– I co z tego, że walczyli? – wyrozumiale zauważył Jake. – Byli mongolskimi wojownikami.

– Abby – zwróciłam się z powagą do dziedziczki – zapamiętaj sobie raz na zawsze, co teraz powiem: testosteron to coś okropnego.

– No, tego się nie spodziewałem! – zawołał Faradz. – A estrogeny nie? – odciął się natychmiast.

– Też – zgodziłam się – ale pod innym względem. Nam zazwyczaj nie zależy na tym, żeby mieć czterech mężów i dwustu kochanków, ani na wskakiwaniu na konia, żeby wyrzucić wrogów. Chociaż wszystkiego jest po trochu w winnicy Pana, muszę przyznać. Abby, nigdy nie zapomnij tego, co powiedziałam.

Szeroko uśmiechnięta dziedziczka z rozbawieniem pokiwała głową i wykonała porozumiewawczy gest, który nasunął mi myśl, że może – ale tylko może – sympatyczna z niej dziewczyna, chociaż perfekcyjna i brzydka.

Wreszcie dotarliśmy do małej biblioteki, gdzie ponowiłam swoje ślubowanie, że będę ją wielbić po wsze czasy. Oddychanie powietrzem tego pomieszczenia, świadomość, że mogę tu dotykać manuskryptów, wzbudziły we mnie silne poczucie szczęścia. Właśnie tam po raz pierwszy naszło mnie głupie pragnienie, by kiedy przyjdzie moja pora, umrzeć wśród książek. Czemu nie? Znaczący wcale nie chciałam umierać (przynajmniej nie przed setką), ponieważ jednak uniknąć się tego nie da, liczyłam, że gdy nadejdzie moja kolej i zacznę odchodzić, będzie przy mnie Faradz i stopy książek jak w tej bibliotece.

Simonsonowie skierowali się prosto ku drugiemu przedmiotowi na głównym stole, leżącemu obok pulpitu z listem Ibn al-Asira, również nakrytemu perłowszarym jedwabiem. Tkaninę podniosła Becky, odsłaniając to, co się pod nią znajdowało: złoto, grubą szczerozłotą tabliczkę pokrytą reliefami. Mierzyła mniej więcej trzydzieści centymetrów na dziesięć, co świadczyło o jej znacznej wadze i wartości.

Starzy Simonsonowie usunęli się na bok, abyśmy mogli podejść i obejrzeć z bliska reliefy, Abby jednak pozostała na miejscu.

Falisty szlaczek z gałązek z owocami przy pominających mi pomarańcze otaczał centralną scenkę, która przedstawiała trzy postacie ludzkie i ku mojemu zdumieniu dziewięć skrzyń albo ossuariów. Jedna z postaci, największa, umieszczona po lewej, wyobrażała korpulentnego człowieka o obliczu okrągłym jak księżyc w pełni, skośnych oczach – wyraźnie azjatyckich albo mongolskich – z wąsami w stylu chińskim (cienkich i długich, opadających po bokach ust) i kocią bródką. Obok widniała mniejsza postać, kobiety o podobnych rysach twarzy (acz bez wąsów i bródk), ubranej w luźną szatę i klęczącej z rękami złożonymi do modlitwy i pochyloną głową. Te dwie postacie, wyraźnie tworzące ważną parę, miały przed sobą ustawione na ziemi dziewięć ossuariów.

Kobieta klęczała właśnie przed nimi. Skrzy nie były takie same, podłużne, wyglądały na kamienne z dwuspadową pokrywą, lecz wyróżniała się wśród nich jedna, wysunięta do przodu i naznaczona krzyżem wyrytym na wierzchu. Druga część obrazka, ta po prawej, przedstawiała postać jeszcze mniejszą, choć dużo bardziej wypracowaną, niewątpliwie cudzoziemskiego kapłana w obszernym okrągłym kapturze na głowie i z długim kosturem w ręce. Nad głową każdej postaci widniał napis w języku, którego nie potrafiłam odczytać:



– To po syryjsku – szepnął Faradz do siebie, jakby był sam.

– Zgadza się – przytaknął stary Jake.

– Po syryjsku? – zdziwił się Kaspar.

– Po aramejsku – wyjaśnił Faradz. – Syryjski to dialekt aramejskiego, języka, którym mówił Jezus z Nazaretu. Był językiem używanym w całym regionie, który dziś nazywamy Środkowym Wschodem.

– Potrafisz to odczytać? – zapytałam.

– Nie bardzo... – zawahał się.

– Powiem wam, co znaczą te inskrypcje – wtrąciła Abby. Przynęła się bliżej i wskazała palcem pierwszą. – Tu jest napisane „Hulagu ilchan”. „Ilchan” znaczy „chan podległy wielkiemu chanowi”. Nad kobietą stoi „Dokuz-chatun”. A nad kapłanem „Mar Makicha”.

– Kim był ten Mar Makicha? – spytałam, myśląc, że śmiesznie brzmi to miano.

– Mar Makicha II – odparła Abby – był patriarchą Kościoła Wschodu, trzeciej gałęzi chrześcijaństwa, od tysiąc dwieście pięćdziesiątego siódmego roku do swojej śmierci w tysiąc dwieście sześćdziesiątym piątym. Został wybrany patriarchą, kiedy potężna armia mongolska stanęła u bram Bagdadu zaraz po tym, jak rozprawiła się z nizarytami.

– Czytasz po syryjsku? – zainteresował się Faradz.

Mój mąż wyraźnie bardzo chciał, żeby Abby potrafiła odczytać napisy na reliefie.

– Skądże! – roześmiała się. – Przeczytał je nam przyjaciel dziadków, profesor syryjskiego, rektor Papieskiego Kolegium Greckiego w Rzymie, archimandryta Manuel Nin.

– Jak to zdobyliście? – spytał Kaspar poważnie, przesuwając palcem po brzegu grubej złotej płytki z reliefami.

– Pojawiła się w Maraghe na północy Iranu – wyjaśniła Becky stojąca za wnuczką – dawnej stolicy ilchanatu Hulagu. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku znalazł ją pewien wieśniak podczas kopania studni na swojej ziemi, a rok później trafiła w ręce znanego irańskiego producenta filmowego, któremu Rada Strażników udzieliła pozwolenia na zatrzymanie jej. Potem

myśmy wystąpili o zgodę na zakup do ówczesnego prezydenta Iranu Mahmuda Kalarega i uzyskaliśmy ją w dziewięćdziesiątym roku.

W tej chwili Jake wcisnął się między Kaspara i Abby i powiedział po nas rozbawionym spojrzeniem.

– I na tym kończy się nasza opowieść – oznajmił z uśmiechem. – Nic więcej nie możemy dodać.

– Nic więcej? – zdziwiłam się. – Chce pan powiedzieć, że nie wiecie, co się działo z ossuariami, odkąd w tyśiąc dwieście pięćdziesiątym szóstym roku trafiły w ręce Hulagu?

Chodziło o okres blisko ośmiuset lat. I oni chcieli, żebyśmy podjęli poszukiwania, nie mając żadnego punktu zaczepienia?

Becky znów uwiesiła się ramienia męża.

– Nie wiemy – przyznała spokojnie – i dlatego potrzebujemy was. Was i stawrofilaków.

– Niemożliwe – oświadczyłam bez ogródek – Tego się nie da zrobić.

– A nie intryguje was ta historia? – nalegała Becky. – Odnalezienie szczątków Jezusa to nie jest wystarczający powód?

– Bardzo przepraszam – skoczyłam jak ukąszona. – Może i znajdziemy ossuaria, ale na pewno nie będzie w nich szczątków Jezusa. Pan Jezus zmarł trzeciego dnia i wstąpił do nieba w swoim śmiertelnym ciele.

– Po co? – spytał Faradz i zaraz gorzko pożałował, że zadał to pytanie.

– Co po co? – odparłam groźnym tonem.

Chciał się wycofać, lecz już nie mógł.

– Po co mu było potrzebne w niebie śmiertelne ciało? – Udręka wynikająca ze świadomości, ile przyjdzie mu zapłacić za te słowa, już widniała na jego twarzy. – Tylko pamiętaj, kochanie, że jestem koptem i dużo mnie kosztuje wysłuchiwanie niektórych katolickich konceptów. Nie dorastałem w wierze, że Jezus miał śmiertelne ciało. Miliony chrześcijan na całym świecie też w to nie wierzą, bo na przykład są monofizytami albo jak nestorianie oddzielają Boga od śmierci na krzyżu, ponieważ pogląd, że Bóg mógłby umrzeć, jest sprzeczny z ich wiarą.

– Heretycy! – krzyknęłam i mój głos zadudnił jak głos mojej matki, tym samym tonem i tembrem, jakby to ona się odezwała, nie ja. Genetyka jest straszna.

– Ottavio, a gdyby tak było?

Kaspar wpatrywał się we mnie, czekając na odpowiedź. Milczałam. Dla mnie Bóg umarł na krzyżu z miłości do nas wszystkich, za nasze grzechy, i Kościół, którego byłam służebnicą, każdą inną wersję tego faktu uważała za fałszywą, niemoralną i obraźliwą.

– Nie chciałabyś się dowiedzieć, czy rzeczywiście tak było? – nalegał były katon. Mówił twardo, bez krzty uczuć. – Bo ja chcę.

– Czego się dowiedzieć? – napadłam na niego. – Że Jezus nie powstał z martwych? Bo jeśli nie zmartwychwstał, to wiesz, co powiedział święty Paweł.

– Wiem. Że nasza wiara jest próżna. Pamiętam. Mimo wszystko jeśli istnieje choćby jedna szansa, że tak było, chcę wiedzieć. Nie muszę ci przypominać, że Paweł nie znał Jezusa, nigdy go nie widział, nie był ani nie żył z nim jak apostołowie. Nie było go też przy śmierci Jezusa ani przy zmartwychwstaniu, ani kiedy zstąpił na niego Duch Święty w Pięćdziesiątnicę. Paweł przybył później i z niczego zyskał władzę, bo był obywatelem rzymskim i mówił po grecku.

– Wątpisz w świętego Pawła? – obruszyłam się.

– We wszystko wątpię, Ottavio – odpowiedział. – I dotąd zawsze udawało mi się spotkać Boga mimo wątpliwości. A ty się twardo trzymasz doktryny katolickiej i tak bardzo boisz się szukać prawdy, że nawet do głowy ci nie przychodzi, że prawda ostatecznie mogłaby być po twojej stronie. Czego się obawiasz? Że się mylisz? Odkład to stwierdzenie, że człowiek się mylił, jest grzechem? A jeżeli masz słuszość?

Faradz podszedł i wziął mnie za rękę. Kiedyś, dawno temu, sądziłam, że muszę wybierać między Bogiem a nim i tak z tego powodu cierpiałam, że uciekałam, póki starczyło mi sił. Później, po latach, odkryłam, że w gruncie rzeczy wcale nie musiałam wybierać, ponieważ nadal miałam Boga, a Faradza na dokładkę. Myślałam, że mogę mieć albo jednego, albo drugiego, ostatecznie zaś dostali mi się obydwaj. Nic nie straciłam, a zyskałam dużo. Wcześniej jednak przeżyłam chwile zwątpienia i udręki. Faradz mawiał, że prawda zawsze jest najlepsza, teraz Kaspar powiedział to samo. Czy żym tak nie uważała? Bałam się, pewnie, że się bałam. I to bardzo, lecz nie szukania prawdy, tylko znalezienia jej. I kiedy to sobie uświadomiłam, doznałam oświecenia typowego dla Salinów: ponad wszystko zapragnęłam poznać prawdę. Byłam basileją prawdy.

– Szukamy ossuariów – oznajmiłam.

ROZDZIAŁ 9

Mając milion wątpliwości do rozstrzygnięcia i milion pytań w głowie, we wtorek rano podzieliłiśmy się na dwie grupy: kto musiał iść do pracy, wyszedł z domu względnie wcześniej, a kto nie musiał, wstał późno i poszedł w miasto na poszukiwanie uciech i rozrywki. Zawsze mówiłam, że życie jest niesprawiedliwe, i chociaż nie miałam wielu obowiązków o tej porze roku akademickiego, po zakończeniu semestru, czułam się pokrzywdzona w stosunku do pozostałych. Może dlatego przedpołudnie wydało mi się takie długie i nużące.

Wróciłam do domu zaraz po dwunastej i ledwie otworzyłam drzwi, usłyszałam perfekcyjny śmiech, melodyjny i dźwięczny, który bez cienia wątpliwości wydawała z siebie Abby Simonson. Ożywione spotkanie towarzyskie odbywało się w moim salonie, gdzie wszyscy łącznie z dziećmi spędzali miłe chwile w kompanii dziedziczki, która zajmowała miejsce należące zwykle do mnie. Czy li mnie podsiadła.

Faradz czym prędzej podszedł, aby na powitanie dać mi całusa.

– Chodź, kochanie! – rzekł, ciągnąc mnie na środek pokoju z dziwnym błyskiem w oku. – Chodź, siądź tutaj, koło Isabelli. Mamy świeże wieści.

– Co się stało? – spytałam.

– Cześć, Ottavio! – odezwała się Abby i wstała, żeby mnie ucałować.

Co za obsesja! Czy ona należy do rodziny? Czy wiem, jakie choroby zakaźne przeszła w życiu? Nie wiem, prawda? Wdzięczna byłam, że wy czuła to, gdy uprzejmie pomachałam jej ręką, idąc na wskazane mi miejsce.

– No to mówcie, co to za wieści – poprosiłam, siadając, i cmoknęłam Isabellę w policzek.

– Odkryliśmy coś niewiarygodnego, co może być kluczową wskazówką w kwestii ossuariów – oświadczył Kaspar.

Linus, po męsku siedzący obok niego, popatrzył na mnie z uroczym uśmiechem. Kiwnęłam na niego i zaraz podbiegł, żeby mnie uściskać.

– Tak? – zdziwiłam się, klepięciem w pupę odpowiadając Linusowi z powrotem do ojca.

– Czyżbyś powątpiewała w nasze umiejętności dokonywania rzeczy niemożliwych? – z godnością zagadnął mój mąż. – Znajdziemy ossuaria, bo jesteśmy najlepsi!

– Świetnie – zgodziłam się. – Jesteśmy najlepsi. Ale może ktoś by mi wytłumaczył, dlaczego mówimy o tym przy Isabelli i Linusie?

– Ależ ciociu! – obruszyła się moja siostrzenica.

– Stanowimy ekipę – wyjaśnił Faradz i zanim zdążyłam go zbesztać za taką głupotę, leciuteńko uniósł brwi, a jego turkusowe oczy pociemniały; zrozumiałam ten przełaz, toteż choć nadal mi się

to nie podobało, ustąpiłam: wstrzymam się, nie powiem czegoś, czego nie da się już odwołać, i wysłucham wszystkiego bez mrugnienia. – Kaspar musi zabrać Linusa, nie ma z kim go zostawić, dlatego zaproponowaliśmy Isabelli, żeby się nim opiekowała przez lato.

– Isabella ma jechać do Palermo w odwiedziny do rodziców – zauważyłam, zgrzytając zębami. Jeśli w sierpniu ta spryciula wymiga się od wyjazdu na Sycylię, moja siostra najmie płatnych zabójców, aby ze mną skończyli. Że nie wspomnę o tym, co mi zrobi matka, która też ma takich pod ręką na pęczki.

– W lecie nic tam się nie dzieje! – zwróciła uwagę zainteresowana. – Pojadę na Boże Narodzenie, słowo.

Uświadomiłam sobie, że mamy duży problem: jeżeli Isabella postanowiła, że nie pojedzie na Sycylię, żadna siła ziemską ani nieziemską jej do tego nie zmusi. Nie mogłam jednak poddać się bez walki.

– To samo mówiłaś w poprzednie Boże Narodzenie – przypominałam jej rozłoszczona. – Twoja matka przez dwa tygodnie popłakiwała i wydzwaniała do mnie bez przerwy. Nie tęsknisz za nią? – pytałam, pragnąc jedynie potwierdzić swoje przeczucia.

– Jasne, że tęsknię! – zapewniła Isabella. – Ale to nie znaczy, że zawsze muszę robić, co mi rodzina każe. Jestem dorosła i rodzice muszą pamiętać, że teraz sama o sobie decyduję. Ani myślę rezygnować z superowej wyprawy do Mongolii, żeby przez parę nudnych tygodni w Palermo męczyć się z rodzicami, a przede wszystkim znosić humory babci Filipy.

Ta Mongolia nie od razu do mnie dotarła, bo jak zwykle wspomnienie mojej matki przysłoniło wszystko inne. Tak za nią tęskniłam! Ale zaraz Mongolia wybiła się na plan pierwszy. Po zaledwie paru sekundach.

– Jak to: do Mongolii? – wrzasnęłam po włosku ile sił w płucach. – Po moim trupie! Kto ci pozwolił?

– Basileja... – próbował załagodzić Faradz.

– Czyś ty oszalała? – besztalam swoją głupią siostrzenicę. – Nie ma mowy, słyszysz? Jak pojedziesz do Mongolii, twoja noga więcej w tym domu nie postanie!

– W porządku – zgodziła się beztróska, a kiedy już-już miałam ją udusić, dodała: – Skoro jadę z tobą, to...

– Basileja... – Ponieważ teraz mnie zmroziło, głos Faradza zdołał się przedrzeć do świadomej części mojego umysłu. – Basileja, kochanie, wszyscy jedziemy do Mongolii.

Do Mongolii? Jedziemy do Mongolii? A po diabła niesie nas do Mongolii? Kiedy odzyskałam zdolność ruchu i obejrzałam się na męża, zahaczyłam wzrokiem o brzydkią twarz dziedziczki, która choć nie zrozumiała nic z tego, co powiedziałam do siostrzenicy po włosku, najwyraźniej nigdy, na żadnym filmie nie oglądała takiej sceny jakta. Jej zmieszanie i niepokój były widoczne.

– Wybacz jej, Abby – rzekł Kaspar w tej chwili. – Ottavia miewa od czasu do czasu takie wybuchy. Przy wykiesz. My, jak widzisz, nie zwracamy na to uwagi.

Moja siostrzenica z uśmiechem szybko pokławiła głową, potwierdzając na użytek dziedziczki, że to, co się dzieje w tym salonie, naprawdę nie ma znaczenia. I wszyscy wybuchnęli śmiechem, Abby zaś po krótkiej chwili do nich dołączyła. Tylko ja się nie śmiałam. Stale mnie to spotykało: wpadałam w szewską pasję, sądząc, że wiem już wszystko, ale myliłam się oczywiście i wychodziłam na idiotkę. Mimo wszystko ani myślałam stracić twarzy.

– Nie słuchaj Kaspara, kochanie – powiedział Faradz, biorąc mnie za rękę i nie przestając się śmiać. – Ja zawsze zwracam na ciebie uwagę.

Sporunowałam go wzrokiem, lecz wcale się tym nie przejął, toteż zostawiłam mu swoją bezwładną dłoń, by zdał sobie sprawę, że się do niego nie odzywam.

– Co znaczy, że jedziemy do Mongolii? – spytałam chłodno, ratując resztki swojej zrujnowanej godności.

– Właśnie to są te świeże wieści – rzekł mój mąż. – Za dwa dni będziemy w Ulan Bator. Już mamy bilety na samolot. Pierwszą klasą! Wyruszamy jutro o tej porze.

Za dużo wieści naraz. Skoro jeszcze nie przywykłam do myśli, że wróciłam do domu, jak miałam zrozumieć, że za dwa dni znajdę się w Ulan Bator, stolicy Mongolii?

– Możecie mi wyjaśnić, co się właściwie dzieje? – jęknęłam błagalnie znużonym głosem. – Czemu jedziemy do Mongolii?

– Ja ci powiem, Ottavio – zaoferowała się uprzejmie Abby. – Dziś rano Kaspar dowiedział się za pośrednictwem bractwa, że po inwazji Iraku w dwa tysiące trzecim roku zrabowano różne rzeczy, między innymi z Narodowego Muzeum Archeologicznego skrzynie, które podobno zawierały dokumenty z dworu Hulagu. Przechodziły z rąk do rąk, kupowali je kolekcjonerzy i antykwariusze, a w końcu w dwa tysiące jedenastym trafiły w ręce niejakiej doktor Ojun Szagdar, członka Mongolskiej Akademii Nauk i Międzynarodowego Stowarzyszenia Studiów Mongolskich. Doktor Szagdar, znana w swoim kraju historyczka i antropolożka, przez trzy lata pracowała nad tymi dokumentami, a w końcu z braku środków musiała przerwać badania. Nie interesuje jej ilchanat Hulagu, tylko informacje o całym imperium mongolskim i o trzech wielkich chanach, wnukach Czyngisa: Mongkəm, Kubilaju i Aryku Bögem.

– I co na tym zyskamy? – spytałam, opierając się łokciem o poręcz sofy.

– Ależ basilejo! – z wyrzutem rzekł mój mąż. – W tych dokumentach może być jakaś informacja o ossuariach. Przecież na złotej tabliczce figuruje Hulagu ze swoją główną żoną, Dokuz-chatun, która kłęczy przed skrzyniami.

– Z drugiej strony – dodał Kaspar – dokumenty z irańskich skrzyń są w większości po arabsku, łacinie i... uwaga, droga pani doktor: w bizantyńskiej grece. Czyli w językach, którymi w miarę

dobrze władamy. To na pewno głównie korespondencja dyplomatyczna z arabskimi sułtanatami, poza tym z Rzymem, królestwami europejskimi i z Cesarstwem Bizantyńskim.

– O matko! – wyrwało mi się w tym zdziwieniu. Palce zaczynały mnie swędzieć na samą myśl, że może dostanę do rąk autentyczne manuskrypty bizantyńskie z XIII wieku.

– Za to doktor Szagdar – ciągnął Kaspar – mogła pracować tylko na dokumentach napisanych alfabetem mongolskim po ujgursku, dla niej najcenniejszych, bo najwyraźniej Mongołowie nie pisali wiele, póki władzy nie objął Kubilaj-chan. Sieć dróg łączących Wschód z Zachodem przemierzali wtedy tysiącami posłańcy, którzy zapamiętywali przynoszone wiadomości. Zdaje się, że w obrębie imperium układano z nich rymowanki, żeby łatwiej je sobie przypominąć.

Było mi to obojętne. Mrowienie w palcach wywoływały tylko dokumenty bizantyńskie. Naraz jednak uświadomiłam sobie, że mamy pewien problem.

– A co z uczelnią? – spytałam. – I z twoim Ośrodkiem, Faradz?

Mój mąż się zaśmiał.

– Ach, o tym zupełnie zapomniałem! – zawołał. – Rektor Macalister polecił mi jako dyrektorowi Ośrodka dołączyć do ekipy specjalistów Fundacji Simonsonów, którzy będą pracowali z doktor Szagdar. Tobie oczy wiście też.

– Co mnie też? – Nie podobało mi się, że ktoś bez pytania decyduje za mnie.

– Ty, Ottavio – włączyła się Abby, jakby należała do rodziny – jako stypendystka Owena-Alexandre’a finansowanego, jak pewnie wiesz, przez Fundację Simonsonów, otrzymałaś takie samo polecenie jak Faradz: masz dołączyć do ekipy specjalistów. Jesteś najlepszą na świecie specjalistką od bizantyńskiej greki, a uniwersytet podpisał z Fundacją porozumienie, które ciebie też obejmuje.

Nie dowierzałam własnym uszom.

– I to wszystko zostało załatwione dziś przed południem? – dopytałam.

– No, technicznie tak – przyznała Abby, krzyżując ręce. – Chociaż formalnie dogadane było od trzech miesięcy.

– Matko Boska!... – krzyknęłam, lecz w głowie rozbrzmiał mi dzwonek alarmowy. – Jak to, stypendium Owena-Alexandre’a jest finansowane przez Fundację Simonsonów? Myślałam, że przez NRC, kanadyjski Komitet Badań Naukowych.

– Zgadza się, tyle że... – Abby się śmiała, marszcząc mocno twarz. – Tutaj instytucje są publiczne tylko z nazwy, dla prestiżu, a pieniądze zawsze pochodzą z sektora prywatnego. Twojemu stypendium faktycznie patronuje NRC, ale pieniądze daje Fundacja Simonsonów, tyle że zachowuje anonimowość, bo opowiadanie o takich rzeczach jest nieeleganckie.

W głowie jednak nadal dzwęczał mi dzwonek alarmowy.

– Wiesz co, Abby? – rzuciłam w zamyśleniu. – Zaczynam podejrzewać, że nasza praca na

tym uniwersytecie wcale nie jest taka przypadkowa, jak sądziliśmy dotąd. Czy twoi dziadkowie nie wpłynęli przypadkiem na Macalistera, żeby nas zatrudnił?

Perfekcyjnie dziewczęca skóra poczerwieniała Abby jak pomidor.

– No... owszem – przyznała lekko zawstydzona.

Faradz aż sapnął. Salon spowiała naraz ciężka zasłona ciszy.

– Macie ochotę na sushi? – odezwała się Isabella, przerywając ją. – Bo wujek nic nie przygotował, a późno się zrobiło.

– Co to jest sushi? – zapytał Linus, spoglądając na ojca.

– Pychotka! – wyjaśniła mu Isabella. – Będzie ci smakowało. Sushi jedzą Japończycy. Chodź, zamówimy z laptopa cioci Ottavii. Pomożesz mi później spakować walizkę?

Musiałam przyznać, że Isabella, najmłodsza z trojga rodzeństwa i dwadzieścioro pięcioro kuzynów, ma nadzwyczajne podejście do dzieci i równie nadzwyczajną umiejętność znikania w stosownym momencie. Pobieгла z Linusem na górę, schodząc tym samym ze sceny.

– Zaczynam się czuć jak mucha w pajęczynie – wymamrotał mój mąż mocno zeżłony. – A ty, Abby, i twoi dziadkowie jesteście pająkami.

Popatrzyła na nas mocno stropiona. Kaspar nie odrywał wzroku od własnych butów.

– Przepraszam – powiedziała dziedziczka, nerwowym ruchem zakładając za ucho gęste jasne włosy. – Przecież to w końcu nic strasznego. Codziennie robi się takie rzeczy. Uczelnie walczą o jak najbardziej prestiżowe ciało profesorskie, starają się ściągać do siebie najsłynniejsze osobistości. Moi dziadkowie, jak wiecie, od dawna was znali, ale pracowaliście w Stambule przy mauzoleum Konstantyna, dlatego musieli wiele lat czekać, zanim mogli was zaprosić do Toronto. Przecież nic w tym złego. Macalister zresztą był zachwycony tym pomysłem.

– Ale czemu tak ukradkiem? – zapytałam.

– Wcale nie ukradkiem! – oburzyła się. – Nie znaliście nas i mogliście pomyśleć, że chcemy was przekupić, gdybyśmy najpierw powiedzieli wam o ossuariach, a potem zaproponowali posadę. Nie mogliśmy też bezpośrednio zawrzeć z wami umowy, bo wiedzieliśmy, że ty, Ottavio, stanowczo byś odmówiła.

– A pewnie!

– Najlepszym rozwiązaniem było ściągnąć was na uniwersytet – kontynuowała. – Wzrósł przez to i wasz prestiż akademicki, i uniwersytetu, a później, kiedy znaleźliśmy *Lignum Crucis*, mogliśmy spróbować jakoś was namówić na udział w przedsięwzięciu. Więc w czym problem?

– W tym, że zostaliśmy zmanipulowani – wyjaśnił Faradz z tą swoją groźną miną egipskiego faraona, który tylko patrzeć, a wybuchnie gniewem.

– E tam, to też nic takiego – włączył się Głaz z głośnym klepinięciem dłońmi w kolana. – Dajcie spokój, to głupstwa. Jak mówi Abby, nie spotkała was żadna krzywda, a dziś wszyscy jesteśmy

zadowoleni z efektów.

Oboje z Faradżem milczeliśmy nabzdyczeni.

– Czy doktor Szagdar wie, że przyjedziemy? – zwrócił się Kaspar do Abby.

– Jeszcze nie. – Popatrzyła na zegarek na ręce. – Między Ulan Bator i Toronto jest dwanaście godzin różnicy. U nas jest pierwsza po południu, a tam pierwsza nad ranem we środę. Ale sądzę, że Fundacja się z nią skontaktuje jeszcze dzisiaj, by powiadomić ją, że ma przyznane duże wsparcie finansowe na dokończenie badań i że jutro przyjedzie zespół ekspertów, którzy zbadają dokumenty i oszacują potrzeby.

– Twoi dziadkowie nie skąpią grosza, co? – rzuciłam ironicznie.

– Nie skąpią teraz i nie poskąpią w przyszłości – oświadczyła Abby z przekonaniem. – To dla nich bardzo ważne.

– Dlaczego? – zagadnął mój mąż wciąż zirytowany świadomością, że nim manipulowano. – Dlaczego to wszystko jest takie ważne dla twoich dziadków?

Spojrzała na niego speszona. Czy tylko mnie się wydało, czy też Abby coś przed nami ukrywała?

– Chcą znaleźć Jezusa, zanim sami umrą – wykrztusiła. – Od dziecka słyszałam, jak babcia opowiadała o zaginionych ossuariach, które kiedyś odnajdziemy. Nigdy nie zachwiali się w tym przekonaniu. Zlokalizowanie szczątków Jezusa i jego rodziny to ich życiowa obsesja. Moja też. Właściwie... – Tu z jej gardła dobyło się ledwie słyszalne i perfekcyjnie smutne, zrezygnowane westchnienie. – Właściwie moje małżeństwo się rozpadło, bo mój mąż... był mąż, Hartwig, chociaż jest archeologiem, nie mógł dłużej znieść tego szaleństwa, jak to nazywał.

– Hartwig? – podchwycił Faradż. – Hartwig Rau, prawda? Ten słynny niemiecki badacz, który pracuje w Egipcie w Dolinie Królów?

Abby uśmiechnęła się smutno.

– Tak jest... był moim mężem – rzekła cicho. – Rozwiadliśmy się dwa lata temu. Na szczęście nie mieliśmy dzieci, inaczej teraz wszystko byłoby dużo bardziej skomplikowane. Nie rozstaliśmy się w zgodzie i nie utrzymujemy już żadnych kontaktów. Hartwig chciał, żebym dała sobie spokój z tymi bajkami o ossuariach i pojechała z nim do Kairu. Ale nie mogłam. Tak że...

Biedny Hartwig, pomyślałam. Pewnie miał po dziurki w nosie ossuariów, Simonsonów i żony na odległość. Przykro mi się zrobiło.

– Kiedy przywiozą to sushi? – zagadnął naraz Kaspar. – Kupę lat nie jadłem japońszczyzny.

Jeszcze jeden. Byłemu katonowi opowieść Abby przywiodła widać na myśl Chutenptah, lecz dzięki temu zmienił temat.

– W dwadzieścia minut od złożenia zamówienia – odparłam. – Ale przecież jak mi wiadomo, sushi nie było jeszcze w modzie, kiedy się zakopałeś w Paradejsosie.

– Jadałem je wcześniej w Japonii, jak byłem tam służbowo – wyjaśnił głupio.

W tej chwili u drzwi rozległ się dzwonek i niemal równocześnie na górze okrzyki radości i tupot biegnących nóg. Nie było cienia wątpliwości, że dzieci zgłodniały.

Tamtego popołudnia udaliśmy się z Faradzem do pracy, żeby się pożegnać, zebrać swoje rzeczy, pozamykać szuflady, zostawić instrukcje, obdzwonić kogo trzeba z informacją, że wrócimy przed początkiem następnego semestru. Abby powiedziała, że tak mamy wszystkim mówić. Później wróciliśmy do domu i zajęliśmy się pakowaniem. Zasadniczo myśleliśmy, że pozostaniemy poza domem najwyżej tydzień, nie mieliśmy bowiem tłumaczyć dokumentów, tylko je przeczytać, szukając wskazówek dotyczących ossuariów. Sprawdziliśmy w internecie, że temperatury w Mongolii o tej porze roku są niższe niż w Kanadzie, toteż wzięliśmy odzież zimową. Kiedy Faradz zbierał ładowarki do naszych telefonów i tabletów, ja naszykowałam apteczkę z podstawowymi lekami. Zdecydowałam się zostawić spódnice w domu i zabrać tylko spodnie – po pierwsze ze względu na zimno, a po drugie żeby nie musieć się tarabanić z kłębem rajstop.

Kaspar z Linusem udali się na spacer po kampusie, ponieważ byli gotowi do wyjazdu (właściwie nie rozpakowali się jeszcze, wyjęli tylko rzeczy do prania), a Isabella, zakończywszy swoje przygotowania, przysłała do nas. W śmiesznej kwiecistej walizce nie mieściło jej się więcej rzeczy absolutnie niezbędnych. Poprosiła, żebyśmy zwrócili jej przynajmniej komórkę, lecz dobry wujek przekonał mnie, że powinniśmy oddać dziewczynie cały elektroniczny arsenał. Zdaniem Faradza dostała już nauczkę; zdaniem moim, jej rodzonej ciotki, nauczyła się tylko, że zawsze postawi na swoim, nie chciałam jednak dyskutować. Nazajutrz czekała nas długa podróż, uznałam więc, że nie warto zwracać sobie tym głowy.

Tego wieczoru, gdy w domu zapanowała już cisza, gdy wszyscy rozeszli się do swoich pokoi, a walizki czekały w salonie, Faradz i ja czytaliśmy w łóżku, ale z nerwów nic mi nie wchodziło do głowy.

– Przystaniesz wreszcie przebierać nogami? – zapytał mój mąż, nie odrywając oczu od lektury.

W pokoju było ciemno, ale wyświetlacze naszych tabletów dawały dość światła, by widzieć zarysy mebli i nasze profile.

– Chyba oka nie zmruję – westchnęłam.

– Wyobrażam sobie – przyznał, spoglądając na mnie. – Spróbuj się odprężyć.

– Skoro przez całe życie się nie odprężałam, nie sądzę, żeby udało mi się to akurat dzisiaj.

– Wiesz co? Kaspar chyba miał słusność.

– W czym?

– Kiedy powiedział – szepnęła, wyłączając tablet i odkładając go na stolik nocny – że ta historia z ossuariami jak gdyby czekała na niego, aż opuści Paradejsos.

– Skręca mi żołądek, jakbym była głodna, ale to z nerwów.

– Wyłącz to i chodź tu do mnie.

Zrobiłam, co kazał, i przytuliłam się do niego, głowę opierając mu na piersi. Objął mnie ciasno ramionami, a kiedy poczułam zapach jego skóry, wyrwało mi się przeciągłe westchnienie ulgi.

– No i widzisz, że potrafisz się odprężyć? – szepnął.

Nie zdołałam odpowiedzieć, ponieważ z czystego zmęczenia nerwowego w jednej chwili zasnęłam.

Znowu wkraczaliśmy w przygodę równie osobliwą jak poprzednia. Ciekawe, jak to się skończy. Tym razem w dodatku zabieraliśmy ze sobą dzieci: niemądrą dziewiętnastolatkę i pięcioletniego malca. Nawet nie chciałam o tym myśleć.

Nazajutrz, we środę 28 maja, punktualnie kwadrans po dwunastej odlecieliśmy z Toronto wielkim airbusem linii Korean Air do Seulu w Korei Południowej, gdzie po trzynastu godzinach pięćdziesięciu minutach lotu – cały ten czas Kaspar, Faradz i ja przegadaliśmy, zostawiwszy biedną Abby z Isabellą – mieliśmy pięciogodzinny postój na lotnisku Seul-Incheon. Linus niebożę był kompletnie zaspany i nawet nie spostrzegł, że przesiadliśmy się z jednego samolotu do innego, biorąc kurs na Mongolię.

Była dwudziesta druga trzydzieści czasu lokalnego w czwartek 29 maja, kiedy drugi airbus siadł wreszcie na płycie Międzynarodowego Portu Lotniczego Czyngis-chana w Ulan Bator.

ROZDZIAŁ 10

Zachmurzone niebo, lodowaty ziąb i ulewny deszcz powitały nas na ulicy w piątkowy poranek, kiedy wyszliśmy z Kempinski Hotel Khan Palace, udając się do biura doktor Szagdar. Od razu wiedziałam, że się przeziębnię przez ten straszny mongolski chłód.

Isabella prowadziła za rękę Linusa, którego ojciec okutał w gruby czerwony polar z kapturem spadającym mu na oczy. Mały wyglądał jak krasnal. Isabella natomiast na czarny kombinezon podbity polarem włożyła piękną białą kurtkę nieprzemakalną ściągniętą paskiem, do tego wysokie czarne botki. Prezentowała się jak księżniczka pod kolorową parasolką. Krasnal i księżniczka maszerowali z mongolskim przewodnikiem imieniem Sambuu, którego gabaryty nieodparcie kojarzyły mi się z potężną szafą. Sambuu kroczył co prawda pod ogromnym parasolem, lecz w ubraniu z krótkim rękawem, a ramiona miał grubości ud Kaspara. Oczywiście dało się to wytłumaczyć: Sambuu był mistrzem kraju w mongolskich zapasach i przerwał przy gotowania do festiwalu Naadam – najważniejszego święta mongolskiego, w czasie którego odbywają się zawody jeździeckie, łucznicze i zapasy – żeby towarzyszyć naszym dzieciom i chronić je, bo właściwie zarabiał na życie jako przewodnik i ochroniarz. Miał im pokazać różne ciekawe miejsca, kiedy my będziemy pracowali.

Wsiadliśmy do luksusowego samochodu udostępnionego nam przez kierownictwo hotelu i w potężnej burzy udaliśmy się do pięknej siedziby Międzynarodowego Stowarzyszenia Studiów Mongolskich, gdzie mieściło się biuro doktor Ojun Szagdar. Samo Ułan Bator jakoś mnie nie zachwycało: długie lata sowieckich wpływów zaowocowały smutną, szarą architekturą, bardzo jednolitą, pozbawioną radości i życia, nacechowaną manią wielkości w bardzo złym guście. Podejrzewam, że ulewa i zmęczenie długą podróżą dodatkowo wywarły niejaki wpływ na moje nie najlepsze pierwsze wrażenie. Cieszyłam się, że odległość nie jest duża, tak że za pięć dziesiątą stanęliśmy przed drzwiami biura doktor Szagdar. Potężny grzmot rozległ się nad miastem akurat w chwili, gdy Abby zapukała do drzwi.

– Coś mi się zdaje, że to zły znak – szepnęłam do Faradża.

– Niby co? – nie zrozumiał.

– Grzmot!

– Aaa! Jasne.

Otworzyła nam z miłym uśmiechem niewysoka, zażywna kobieta o wydatnych uróżowanych kościach policzkowych i skośnych oczach ledwie widocznych spod nabrzmiałych powiek. Była to właśnie doktor Szagdar, która nie mówiła w żadnym innym języku oprócz mongolskiego. Na migi zaprosiła nas do środka i zamknęła za nami drzwi. Biuro było obszernym pomieszczeniem

o wychodzących na ulicę dużych oknach, które z pewnością wpuszczały dużo światła w słoneczne dni (o ile takie się tu zdarzały), lecz teraz było dość mroczne i ponure. Zimny biały blask neonówek oświetlał nieliczne tanie meble oraz trzy śliczne szerokie regały z nieoheblowanego drewna. Roboczy stół pani doktor stał w głębi sali. Paliła się na nim lampka, na blacie leżały sterty papierów i książek. Ściany obwieszane były zdjęciami – wydawało mi się, że na wszystkich występuje doktor Szagdar w otoczeniu prominentnych mężczyzn w mundurach bogato ozdobionych orderami na sowiecką modłę. Środek pomieszczenia zajmował duży stół konferencyjny obstawiony plastikowymi krzesłami.

Doktor Szagdar gestem poprosiła, byśmy przy nim usiedli, po czym gościnnie wyjęła cenny serwis z chińskiej porcelany i nie pytając, poczęstowała nas wszystkich bez wyjątku gorącą kawą (dobrze mi zrobiła, bo już zaczynało mnie boleć gardło).

Z ciekawością przyglądaliśmy się naszej malutkiej gospodyni, kiedy krzątała się w grobowej ciszy. Krótko obcięte włosy z przedziałkiem pośrodku miała jeszcze całkiem czarne, w świetle neonówek błyszcząły jak natłuszczone. Oczy ledwie było jej widać nie tylko przez obrzmiałe powieki, ale także z powodu niedużych okularków w plastikowo-drucianej oprawce, a usta miała wytwornie pomalowane krwistoczerwoną krzykliwą szminką. W sumie policzki jakrumiane jabłka najbardziej się wyróżniały w jej twarzy o rysach zdecydowanie mongolskich.

– Poproszę, żeby nam przysłali tłumacza – powiedziała Abby, łyknąwszy kawy. – Tak przecież nie da się pracować.

Jednomysłnie kiwnęliśmy głowami. Biedna doktor Szagdar, nie rozumiejąc, co mówimy, uśmiechała się tylko i zachęcała nas do picia gorącej kawy.

Abby wyjęła komórkę z torebki i zadzwoniła do Kanady, do kogoś z Fundacji. Rozłączyła się po paru sekundach.

– Zaraz będziemy mieli tłumacza – oznajmiła.

Odetchnęliśmy zgodnie. Ja jednak nie mogłam dłużej czekać. Był piątek i nie uśmiechało mi się tracenie czasu przez następne dwa dni wolne od pracy. Życzyłam sobie zakończyć to szybko, żeby opuścić ten kraj i wrócić do domu.

– Pani doktor – zagadnęłam, patrząc na nią – gdzie są skrzynie?

Uśmiechnęła się serdecznie, lecz ani drgnęła.

Rozłożyłam ręce i wyrysowałam w powietrzu skrzynie.

– Skrzynie – powtórzyłam. – Dokumenty. Papiery. Hulagu-chan.

Te słowa okazały się magiczne. Usłyszawszy imię Hulagu, doktor Szagdar uśmiechnęła się jeszcze szerzej (aż oczy zniknęły jej zupełnie, przemieniając się w dwie proste kreski obwiedzone tuszem) i zerwała się na równe nogi. Nie potrafiłabym określić wieku tej kobiety, ale musiała mieć około sześćdziesiątki, może więcej. Ubrana była w prosty fioletowy strój z wrzosowym

zakietem zapinany na srebrne guziki. Żwawym krokiem poszła do pomieszczenia na prawo od swojego stołu i zaraz dobiegła nas stamtąd szuranie.

Najwyraźniej doskonale mnie zrozumiała, bo wyszła po chwili z niedużym kuferkiem. Z kuferkiem! Zanim otrząsnęliśmy się ze zdumienia, doniosła jeszcze dwa i wszystkie trzy, identyczne, spoczęły na stole konferencyjnym. Były cudowne. Zachowały się na nich resztki czarnej laki, którą je pokryto, widać też było pozostałości koloru czerwonego, zielonego i złotego na geometrycznych rzeźbieniach. Drewno nigdzie nie spękało, i to mimo że kuferki były wiekowe, miały blisko osiemset lat. Na samą myśl, że należały do kancelarii dyplomatycznej ilchanatu Hulagu-chana na jego dworze w Maraghe w Iranie, przechodził mnie dreszcz. A ja głupia sądziłam, że irańskie skrzynie będą normalnymi skrzyniami z taniego drewna, z napisem „Ostrożnie” i „Nie odwracać” wybitym na wieku!

Doktor Szagdar otworzyła jeden z kuferków – zwyczajnie podniosła wypukłe wieko – i wyjęła dokument na papierze pociemniałym z powodu upływu czasu. Pod tekstem skreślonym czarnym atramentem widniały charakterystyczne, wyblakłe teraz czerwone chińskie pieczęcie w kształcie prostokąta. Niemniej pieczęcie nie mogły być chińskie, ponieważ pismo przypominało bardziej strzępiaste płatki i ogniwa łańcucha niż pofalowane, efektowne chińskie piktogramy. Musiały być zatem mongolskie. A dokument napisano oczywiście po arabsku.

- To farski – oznajmił mój mąż, biorąc pismo do rąk
- Perski? – zdziwiła się Abby.
- Tak Używa alfabetu arabskiego, ale to język perski.
- Czy li nie możesz go przeczytać – zmartwiłam się.
- Przeczytać mogę, ale nie zrozumieć – przyznał.

Na migi wytłumaczył doktor Szagdar, że nie rozumiemy treści dokumentu, wobec czego wzięła go, schowała do kuferka i odsunęła na bok. Z drugiego, który otworzyła równie bezceremonialnie jak tamten, wyjęła ciemnożółty arkusz tak samo opieczętowany dużymi czerwonymi mongolskimi stemplami, tyle że tekst dokumentu spisano kunsztownie wykalgrowanymi greckimi literami. Serce zabiło mi mocniej w piersi, pożądliwie wyciągnęłam rękę. Pocziwa pani doktor z uśmiechem podała mi arkusz równie delikatnie jak poprzedni.

Przebiegając pobieżnie tekst wzrokiem, czytając pojedyncze słowa czy fragmenty zdań tu i tam, zdałam sobie sprawę, że to kopia oficjalnej noty, gratulacji Hulagu-ilchana dla cesarza bizantyńskiego Michała VIII Paleologa z okazji odzyskania imperium i koronacji. Z emocji aż uszy i policzki mi poczerwieniały. Nigdy dotąd nie przypuszczano, że tak wcześniej zaczęto wymieniać pisma między Mongolami a Cesarstwem Bizantyńskim odnowionym przez Michała VIII Paleologa w roku 1261, po blisko sześćdziesięciu latach panowania łacinników, a właściwie

Wenecjan. Ten jedyny w swoim rodzaju dokument mógł zmienić treść wielu podręczników historii i na pewno tak się stanie.

– Drżą ci dłonie, basileja – zauważył Faradž.

– Gdybyś wiedział, co czytam, też by ci drżały – szepnęłam podniecona.

– Coś o ossuariach? – zainteresował się Kaspar.

– O ossuariach? O jakich ossuariach? – rzuciłam kpiąco. – Nie, nic z tych rzeczy. Mam tu kawałek najprawdziwszej historii epoki fascynującej, ale słabo znanej.

Europejscy krzyżowcy wyruszający na czwartą krucjatę nie mieli jak się dostać do Ziemi Świętej, toteż w roku 1202 doża Wenecji Enrico Dandolo zaoferował im flotę wenecką, chociaż wiedział, że nie zdołają uiścić umówionej opłaty. I faktycznie, kiedy przysłała stosowna chwila, krzyżowcy nie mogli się wypłacić i wtedy doża zaproponował, że daruje im dług, jeśli w zamian podbiją jakieś ziemie dla Wenecji. Sprawy ostatecznie mocno się pokomplikowały w 1204 roku – krzyżowcy zaatakowali nie Jerozolimę, lecz Konstantynopol, złupili miasto i oddali Cesarstwo Bizantyńskie Wenecjanom (którzy dzięki temu mieli otwarte szlaki handlowe aż do Morza Czarnego, na cały Wschód i dalej) i Kościołowi katolickiemu (który za jednym zamachem pozbył się Kościoła ortodoksyjnego – a przynajmniej tak sądził). Nazwę zmieniono na Łacińskie Cesarstwo Konstantynopola i tak się zaczęła ponura epoka schyłku, z którego Bizancjum nigdy już się w pełni nie podniosło. W roku 1261 Michał VIII Paleolog (z grecką wymawiany Palaiologos) zdołał odbić te resztki pozostałe z pięknego Konstantynopola i w kościele Mądrości Bożej został koronowany na cesarza odnowionego Cesarstwa Bizantyńskiego. I w tym właśnie kontekście Hulagu-chan, wnuk Czyngis-chana i władca Persji, Syrii oraz części Ziemi Świętej, gratulował mu koronacji. To robiło wrażenie.

Rozległo się pukanie do drzwi, wszyscy spojrzeliśmy w tamtym kierunku. Doktor Szagdar powiedziała coś gardłowym głosem i w uchylonych drzwiach pojawiła się głowa chłopaka mniej więcej dwudziestoletniego, o wyraźnie wschodnich rysach mocno puciołowatej rumianej twarzy.

– Nazywam się Ordzio – powiedział po angielsku. – Prosim państwo o tłumacza?

A niech to! Przysłali człowieka, żeby pomógł nam się porozumieć z doktor Szagdar. Jakim słownictwem historycznym i naukowym może operować ten chłopiec? No nic, tym razem dla odmiany pochopnie oceniłam źle Ordzia, ponieważ okazał się świetnym tłumaczem, który nie przysporzył nam żadnych problemów. Znał angielski lepiej niż ja, a jego kultura, choć nieprzesadna, w tych okolicznościach była wystarczająca. Agencja, która go przysłała, dobrze zrozumiała, o co prosi Fundacja Simonsonów.

Z Ordziem jako pośrednikiem nareszcie udało nam się porozumieć z doktor Szagdar – wszystkim ogromnie ulżyło i w pracy uczyniliśmy duży krok do przodu. Mongolska badaczka nie podejrzewała, że szukamy wskazówek na temat dziwnych żydowskich ossuariów; trwała

w przekonaniu, że cudzoziemcy (czyli my), od których opinii zależy sowite wsparcie finansowe, mają obejrzeć wszystko i sprawdzić, co zechcą, tak że nie przeszkadzała nam ani nie zadawała niewygodnych pytań, ograniczając się jedynie do podawania kawy od czasu do czasu i do dyskretnego odkładania dokumentów do właściwego kuferka, kiedy zapoznaliśmy się z nimi. Z nudów wdała się w końcu z Ordziem w rozmowę po mongolsku, która stała się dla nas tłem.

Faradz przeglądał dokumenty po łacinie, Kaspar i ja po grecku (oficjalnym językiem Paradejsosu była greka bizantyńska, dlatego Kaspar nauczył się tego języka), Abby Simonson zaś fotografowała swoim smartfonem wszystkie manuskrypty w języku perskim napisane alfabetem arabskim.

– Wysyłam je do Fundacji na bieżąco – poinformowała nas. – Ktoś tam już je próbuje odczytać.

Te słowa Ordzio czym prędzej przetłumaczył pani doktor, która kiwnęła głową i zaraz wdała się w gardłową perorę. Musiała bardzo potrzebować pieniędzy, skoro nie będąc głupią kobietą, uważała za normalne to, cośmy robili.

– Pani doktor mówi, że o wiele lepiej rozumieją państwo jej pracę – przetłumaczył Ordzio – jeśli obejrzą państwo także dokumenty mongolskie. Mówi, że te, które państwo teraz przeglądamy, jej na nic się nie przydadzą.

– Czy pani doktor wie, jakie jest znaczenie tego, co jej na nic się nie przyda? – zapytałam z pozycji światowej sławy specjalistki od paleografii.

Chłopak przetłumaczył moje pytanie i badaczka znowu wdała się w wyjaśnienia.

– Mówi, że wie, ale dla niej są nieprzydatne, dlatego jakiś czas temu oddała je do dyspozycji Akademii, żeby inni historycy mogli się z nimi zapoznać. Mówi, że dwaj czy trzej koledzy już u niej byli i że jeden, doktor Otgonbajar, chce je zabrać do swojego gabinetu. Zdaniem pani doktor to bardzo dobrze, bo zostały kupione za pieniądze Akademii Studiów Mongolskich.

Wymieniliśmy we czwórkę spojrzenia i jakbyśmy czytali sobie w myślach, wyjęliśmy telefony komórkowe, by przystąpić do fotografowania dokumentów. Abby napisała na kartce adres, pod który wysyłała swoje zdjęcia, i zaczęliśmy robić to samo. Może nigdy więcej nie zobaczymy tych manuskryptów, należało zatem zadbać – zważywszy na wysoką cenę, jaką Fundacja miała zapłacić – by pozostała jakaś kopia, na której da się pracować, jeśli natrafimy na coś istotnego.

Zanim minęło południe, z ulgą zdaliśmy sobie sprawę, że jeśli się pospieszymy, jeszcze tego dnia możemy skończyć pracę. Kuferki nie były duże, nie musieliśmy przeprowadzać pogłębionej analizy paleograficznej dokumentów, wystarczyło pobieżnie przelecieć je wzrokiem, czy gdzieś nie pojawia się w jakimkolwiek przypadku słowo „ossuaria” (po grecku *οστεοφυλάκια*, wymawiane *osteofilákia*, po łacinie *ossuaria* lub *ossaria*).

Kiedy wychodziliśmy na lunch, Kaspar i ja praktycznie mieliśmy za sobą przegląd materiałów greckich – bez efektu – a Faradżowi, ponieważ pracował sam, pozostało jeszcze trochę do zrobienia. Abby zaproponowała, że mu pomoże, jeżeli napisze jej wyraźnie, czego należy szukać. W restauracji, w której jedliśmy w sąsiedztwie Akademii, Faradż napisał na serwetce rdzenie słów *ossuar*– oraz *ossar*–, zapowiadając, że jeśli Abby natknie się w dokumencie na słowo zaczynające się w ten sposób, ma mu go dać do przejrzania. Przypuszczalnie wszyscy w tamtej chwili pomyśleliśmy o tym samym: że Abby nie jest przygotowana do czytania średniowiecznych manuskryptów łacińskich o mocno skomplikowanej kaligrafii, pełnych skrótów i ściągnięć. Ale przy najmniej damy jej zajęcie, nie będzie z cierpiętniczą miną wyglądała przez okno biura mongolskiej pani doktor.

Kiedy po południu upiłam pierwszy łyk z drugiej filiżanki kawy, natknęłam się na nie wzrokiem.

Filiżanka o mało nie wypadła mi z ręki, kiedy podskoczyłam na krześle. Mój okrzyk zaskoczenia mocno wystraszył panią doktor. Musiałam wyjaśnić Ordżiowi, że natknęłam się na coś bardzo ważnego związanego z tym, nad czym pracowałam przed laty, i że myliłam się bardzo, stawiając wtedy pewną hipotezę. No nie wiem. Powiedziałam pierwsze, co mi przyszło do głowy. Głupotę, ale uprzejma doktor Szagdar łyknęła ją bez uwag, kiedy chłopak wytłumaczył jej to po mongolsku, i tylko wylewnie mi pogratulowała, szczęśliwie o nic więcej nie dopytując.

Abby, Faradż i Kaspar obrzucili mnie wzrokiem, jednocześnie spuszczać mi burę za zachowanie i przypominając, że mam sfotografować dokument. Komórka gdzieś mi się zapodziała wśród papierów i ze zdenerwowania nie mogłam jej znaleźć, wreszcie zlokalizowałam ją pod torebką. Na wszelki wypadek zrobiłam więcej zdjęć; dokładnie siedem, ujęcia pod różnym kątem i z różnej odległości, aby mieć pewność, że treść dokumentu będzie kompletna. Skończywszy, podałam manuskrypt Faradżowi, który uważnie go obejrzał, nie okazując po sobie ani cienia emocji. On również pstryknął parę zdjęć, po czym obojętnie odłożył komórkę na bok i jakby nigdy nic wrócił spokojnie do przeglądania papierów. Uświadomiłam sobie, że musimy powściągać emocje, zarówno dlatego, że możemy jeszcze natrafić na coś ważnego, jak i dlatego, że nie wolno nam więcej wzbudzać podejrzeń, jakie wywołała moja impulsywna reakcja.

O siódmej wieczorem skończyliśmy, uwalniając Ordżia i panią doktor, którzy z nudów o mało nie wyskoczyli przez okno. Tłumacz pomógł nam podziękować poczciwej Ojun Shadgar i przetłumaczył jej, co mówiła Abby, która zadzwoniła do Fundacji Simonsonów z poleceniem natychmiastowego przelania pieniędzy na konto pani doktor w Golomt Banku. Mongołka rozplynęła się w podziękowaniach, uprzejmościach i kwiecistych wyrazach wdzięczności, po czym zapowiedziała, że służy nam wszelką pomocą podczas pobytu w Mongolii. Abby zadzwoniła do hotelu po samochód.

Wreszcie szybkim krokiem zesliśmy po szerokich schodach Akademii. Jak najszybciej chcieliśmy w hotelu zobaczyć dzieci, odetchnąć chwilę i wreszcie przyjrzeć się odkryciu. Kaspar i ja wiedzieliśmy, o czym była mowa w manuskrypcie, w odróżnieniu od niemogących się doczekać Faradża i Abby, która po raz pierwszy, odkąd ją poznałam, straciła swoją perfekcyjnie wytworną powściągliwość i wykazywała oznaki niecierpliwości. A przy tym, o dziwo, o nic nie pytała.

– Moim zdaniem najpierw powinniśmy zjeść kolację z Isabellą i Linusem – zaproponowałam, ledwie wsiedliśmy do samochodu. – Później, jeśli pozwolicie, spotkamy się w pokoju Abby, bo jest największy, i pogadamy o tym, cośmy znaleźli.

Dziedziczka, która siedziała z przodu obok szofera, obróciła się do mnie.

– Przepraszam cię, Ottavio, ale jak tylko dotrzemy do hotelu, mamy umówioną wideokonferencję z moimi dziadkami.

– Ale przecież w Kanadzie będzie teraz... – spojrzałam na zegarek i odjęłam dwanaście godzin – ...ósmo rano!

– Doskonała pora – skwitowała Abby z szerokim uśmiechem.

Aha, to dlatego nie pytała o dokument, pomyślałam. Chciała dowiedzieć się wszystkiego razem z dziadkami.

– A kiedy kolacja? – spytał Kaspar, jak przypuszczam, martwiący się o Linusa.

– Każemy ją przynieść do pokoju.

Isabella z małym już dawno wrócili do hotelu, zabawiali się grami wideo w pokoju mojej siostrzenicy. Linus był po kolacji, ponieważ Isabella przypuszczała, że wrócimy późno, i chociaż ona zamierzała na nas czekać, choćby żołądek przysychał jej do kręgosłupa, uznała, że chłopiec powinien zjeść o właściwej porze mimo tak drastycznej zmiany czasu. W głębi ducha nadal uważałam, że zabranie Linusa w tę podróż to czyste szaleństwo, ale dopóki jego ojciec nie postanowi inaczej, mały będzie jeździł z nami.

Abby miała tylko dla siebie apartament prezydencki w Kempinski Hotel Khan Palace na siódmym piętrze. Nie znaczy to oczywiście, że myśmy się uważali za źle zakwaterowanych, wręcz przeciwnie, lecz ulubiona wnuczka Simonsonów musiała się rzecz jasna zatrzymać w apartamencie prezydenckim. Natychmiast pomodliłam się o odpuszczenie mi grzechu zawiści. Skoro ja korzystałam z pięknego pokoju opłaconego przez jej rodzinę, co mi przeszkadzało, że Abby miała ponad sto metrów kwadratowych wyłącznie dla siebie? Zwłaszcza że taka powierzchnia akurat się przydała, gdy wszyscy, łącznie z dziećmi, zebraliśmy się w apartamencie na wideokonferencję z Jakiem i Becky.

Zamówiliśmy kolację przez telefon i kiedy czekaliśmy, Linus opowiadał nam ze szczegółami, co oglądali z Isabellą i Sambuu, Abby zaś tymczasem podłączyła swojego laptopa do gniazda

w ścianie i do wielkiej plazmy, w którą wyposażony był apartament, po czym zadzwoniła do recepcji z prośbą o specjalne łącze internetowe.

– Tutaj wszędzie, normalnie wszędzie są buddy – mówił Linus zachwycony, że znajduje się w centrum uwagi. – No i czyngis-chany. Czyngis-chany też są wszędzie. Takie wielkie!

– Byliśmy na placu Suche Batora – wyjaśniła Isabella. – I w klasztorze Gandan.

– Tak, w Gandanie – potwierdził Linus, kiwając głową. – Tam był największy na świecie budda.

– Jeden z największych – poprawiła Isabella.

– Tak, jeden z największych – zgodził się. – I jeszcze widzieliśmy czaszkę słonia.

– W Pałacu Zimowym Bogda-chana, buddyjskiego lamy, który weszły w wieki – dla Isabelli wiek XX był prehistorią – był chanem Mongolii przed sowiecką okupacją.

– To był jego ulubiony słoń – ciągnął podniecony Linus – i jak mu umarł, zostawił sobie jego czaszkę. Rogi...

– Kły.

– ...kły miał taaakie długie. – Rozłożył szeroko ręczki.

– Kurczę! Dużo rzeczy zobaczyłeś – zauważył Kaspar.

– Powinieneś iść już do łóżka, Linusie – powiedziałam, odgrywając starą nudziarę (mój ulubiony numer z dziećmi).

– No, wiem – przyznał. – Ale jeszcze nie chce mi się spać.

– Kaspar, może położysz go w moim łóżku? – zaproponowała Abby, klikając w klawiaturę laptopa. – Jak skończymy, przeniesiesz go.

Isabella zerwała się na nogi. Bardzo poważnie podchodziła do swoich obowiązków piastunki. Mój mąż popatrzył na mnie równie zaskoczony jak ja i oboje zachichotaliśmy ukradkiem.

– Chodź, Linusie – powiedziała moja siostrzenica. – Pójdziemy do twojego pokoju i przebiorę cię w piżamę.

– Dobra, ale najpierw musisz mnie wykąpać – oznajmił, idąc za nią przez obszerny salon.

– Nic z tego – odparła moja siostrzenica, otwierając drzwi. – Dziś nauczysz się brać prysznic sam jak dorosły mężczyzna.

– Jestem już dorosły – usłyszeliśmy jeszcze, zanim drzwi się za nimi zamknęły.

– Twój syn jeszcze nie nauczył się mówić „nie”, prawda? – spytałam Kaspara.

W tej chwili ekran telewizora pojaśniał i zobaczyliśmy Jake’a i Becky Simonsonów, jakby uczestniczyli w jakimś reality show na kanale rozrywkowym.

– Dzień dobry! – zawołali chórem ucieszeni, jak gdyby wygrali w loterii.

– Dobry wieczór – odparła Abby z szerokim uśmiechem. – Jak nas widzicie? My dobrze was widzimy i słyszymy.

– My też Abby, a gdzie reszta?

Faradz, Kaspar i ja siedzieliśmy na luksusowej skórzanej sofie i kamera laptopa nie obejmowała nas, toteż wstaliśmy i podeszli do stołu jadalnego naprzeciwko telewizora i komputera.

– Matko moja, ależ tam musi być zimno! – zawołała Becky, ujrzawszy nas w zimowej odzieży. – Ubierajcie się ciepło. Wygodnie wam w hotelu? Chcecie, żeby podkręcili ogrzewanie?

– Sieć hoteli Kempinski należy do nas – wyjaśniła Abby jakby nigdy nic.

Szczęka mi opadła i tak zastygła na chwilę. Znałam niesamowity Çırağan Palace Hotel Kempinski w Stambule, w którym bywałam na różnych konferencjach na temat Konstantyna, i dla mnie był szczytem luksusu. Właściwie nie wiem, czemu jeszcze się dziwiłam. Czy nie mówiono, że Simonsonowie władają światem? Teraz rozumiałam, dlaczego Abby mieszka w apartamencie prezydenckim. Była panią tego budynku.

– Opowiadajcie – zażądał Jake z mocą. – Coście odkryli w irańskich skrzyniach?

– Dotarł do was dokument? – spytała jego wnuczka.

– Tak mam go tu. – Pokazał arkusz papieru ze zdjęciem dokumentu z kancelarii Hulagu.

Aczkolwiek – o czym dobrze wiedziałam – nie pochodził z kancelarii Hulagu, lecz jego syna, Abaki-ilchana, który stolicę przeniósł do Tebryzu niedaleko Maraghe, również w Iranie. W kuferkach najpewniej znajdowały się wymieszane bez ładu i składu dokumenty różnych ilchanów oraz... ich chatun, czyli głównych żon, które także prowadziły ożywioną działalność dyplomatyczną na marginesie polityki.

– Przetłumaczysz nam, Ottavio? – poprosiła Becky za pośrednictwem łączy internetowych.

– Dajcie mi chwilę, to znajdę zdjęcie i prześlę je sobie na tablet – powiedziałam, wstając.

Mąż jednak przytrzymał mnie za rękę.

– Proszę. – Podał mi swój tablet, kiedy usiadłam na powrót. – Tu masz to zdjęcie.

Zerknęłam na niego ukradkiem, po czym trochę powiększyłam obraz na tablecie.

– Jeszcze okulary mi potrzebne – rzekłam przepraszająco, znowu się podnosząc.

– Tu są. – Faradz ponownie przytrzymał mnie jedną ręką, a drugą podał mi okulary do czytania.

Wzięłam je, nałożyłam na nos i usiadłam. Oburącz trzymałam tablet Faradza.

– Zanim przetłumaczę dokument – zaczęłam – pozwólcie, że wyjaśnię coś, o czym dowiedziałam się dzisiaj, bo w ten sposób lepiej zrozumiecie ten tekst.

– Mów, Ottavio – zachęcił mnie Jake.

– Hulagu-chan i Michał VIII Paleolog chcieli zawrzeć sojusz, jak sądzę z jakichś przyczyn politycznych, a nie ma na to lepszego sposobu, jak oddać za żonę kobietę, nie pytając jej o zdanie. Michał zaferował jedną ze swoich dwóch nieślubnych córek, Marię Paleologini, na

jedną z głównych żon Hulagu, i Hulagu się zgodził. Maria była jeszcze prawie dzieckiem, a Hulagu dobiegał pięćdziesiątki, chociaż w sumie gorsze rzeczy się widywało, widuje i będzie widywać. Krótko mówiąc, Maria wyjechała z Konstantynopola, by wyjść za mąż, ale kiedy dotarła do Maraghe, Hulagu nie żył.

– Znowu asasy ni? – spytał Faradz z błyszczącymi oczami.

– Tego nie wiem – odparłam. – W żadnym dokumencie nie natknęłam się na nic o asasy nach.

– No dobra, mów dalej – poprosił Kaspar.

– Chodzi o to, że skoro Hulagu zmarł, a ona już tam była, wydali ją za jego syna Abakę, nowego ilchana Persji. Tyle dobrego, że był młodszy. Tego samego roku, co zmarł Hulagu i odbył się ślub Marii z Abaką, zmarli też Dokuz-chatun i patriarcha Mar Makicha.

– Trzy osoby przedstawione na złotej płytce zmarły tego samego roku? – zdumiał się stary Jake.

– Tak, wszystkie trzy – przyznałam. – W tysiąc dwieście sześćdziesiątym piątym. Jedna po drugiej.

– A to dopiero! – zawołał Jake.

– No, skoro już to wiecie – powiedziałam – przeczytam wam, co dzisiaj znalazłam. To list.

– Od kogo do kogo? – spytał mój mąż.

– Od Marii Paleologini do ojca, cesarza Bizancjum Michała VIII Paleologa.

Zapadła cisza zarówno w Mongolii, jak i w Kanadzie, żeby spokojnie mogła tłumaczyć tekst. Jeden Kaspar, który znał treść listu, siedział spokojnie. Na twarzach pozostałych malowało się wielkie napięcie.

– „Do prześwieconego i znamienitego cesarza Bizancjum z łaski Boga, mojego pana ojca Michała – zaczęłam – od najmłodszej z jego córek Despiny-chatun, z domu Marii Paleologini, bądź pozdrowiony i zwyciężaj wrogów swoich”.

– Despina? – zdziwiła się Abby.

– Twój dziadek mówił – przypominałam jej – że Dokuz-chatun, główna żona Hulagu, naprawdę nazywała się Orokina. Po grecku *despoina* znaczy „pani”, „dusza domu”. Mongołowie widocznie nazywali ją Despina, naśladując grecką służbę, która jej towarzyszyła.

– Abby, pozwól Ottavii czytać dalej – napomniała ją babcia.

– Przepraszam – pokajała się dziedziczka. – Kontynuuj, Ottavio, proszę.

Spuściłam wzrok na tekst i zacerpnęłam powietrza. Chwila była podniosła.

– „Panie ojcze, piszę, aby Cię powiadomić o swoim powrocie do Konstantynopola, w nadziei że moje przybycie nie sprawi Ci kłopotu i że przyjmiesz mnie jak swoją córkę. Ojcze, moje życie jest zagrożone od śmierci mojego pana męża ilchana Abaki, któremu Pan Bóg odpuścił liczne grzechy. Mój pan mąż odszedł dziesięć dni temu, pierwszego kwietnia roku Pańskiego

tysiąc dwieście osiemdziesiątego drugiego. Zabił go jeden z jego braci, mój szwagier Tekuder, który już jakiś czas temu przeszedł na islam i każe się nazywać sułtanem Ahmadem, a ilchanat przemienił w sułtanat. Tekuder wydał na mnie wyrok, wie bowiem, że jestem chatun wielu chrześcijan mieszkających w jego imperium, a on chce ich zmusić do przejścia na islam. Jeśli tego nie zrobią, czeka ich śmierć”.

Brzmiało mi to znajomo. Pod tym względem w ciągu ośmiu wieków niewiele się zmieniło. Nigdy nie mogłam zrozumieć (ani zaakceptować) trwałego związku religii ze śmiercią, czego przykładów historia dostarczała niemało.

Zamilkłam w tej chwili, ponieważ rozległo się pukanie do drzwi. Abby się zerwała i pospieszyła do przedpokojku. Do salonu, w którym siedzieliśmy, wkroczył kelner pchający spory wózek zastawiony jedzeniem na przykrytych półmiskach.

– Czy życzą sobie państwo, żebyśmy nakrył do stołu? – zapytał uprzejmie po angielsku.

– Nie, dziękujemy – odparła z przedpokojku Abby stojąca przy otwartych drzwiach na znak, że kelner czym prędzej ma wyjść. Zanim jednak wyszedł, do środka wmaszerowała Isabella z Linusem przebranym już w piżamę, pantofle, w dziecięcym zielonym szlafroku z logo hotelu wyszytym złotą nitką.

Linus rzucił się pędem do ojca, zwinnie wspiął mu się na kolana i wygodnie usadowił, po czym rezolutnie popatrzył na Becky i Jake’a w telewizorze. Simonsonowie uśmiechnęły się do niego rozbawieni. Isabella usiadła obok mnie.

– Co mnie ominęło? – zapytała szeptem.

– Niewiele – odparłam, machając okularami trzymanymi za nausznik – Najciekawsze dopiero będzie.

– Super.

Abby już wróciła do salonu i gdy siadała, patrzyła wyczekująco, zachęcając mnie wzrokiem, abym kontynuowała tłumaczenie.

– Mam czytać dalej czy zjemy? – spytałam z nadzieją, że wszyscy opowiedzą się za drugą opcją. Nie miałam szczęścia.

– Czytaj – polecił stanowczo Głaz, który trzymając synka w pasie, kołysał nim na boki ku uciesze chłopca.

– Niedużo zostało – zapowiedziałam, nakładając okulary. – „Wyruszam natychmiast do Konstantynopola, panie ojcze, albowiem każdy dzień tutaj, w Tebryzie, oznacza narażanie się o dzień dłużej na śmierć z ręki Tekudera. Nie martw się o utracone ossuaria. Przywiozę do Konstantynopola wszelkie informacje, jakie mam. Jeżeli zaś otrzymasz smutną wiadomość, że szwagier zdołał pozbawić mnie życia, odszukaj moje ciało, panie ojcze, wydobądź je, a znajdziesz na nim wszystko co potrzebne, by kontynuować. Już wydałam stosowne instrukcje.

Do dziś nie zdołałam się niczego wywiedzieć o tych weneckich emisariuszach wysłanych przez papieża łacińskiego. Ojczy mój, błagam Cię, bądź tak dobry i wyślij mi na spotkanie eskortę, aby towarzyszyła mi do Konstantynopola, ponieważ wyruszę z kilkoma tylko tatarskimi żołnierzami wyznania chrześcijańskiego. Pobłogosław mnie, panie ojczy, i pozostań z Bogiem”.

Po kilku chwilach ciszy Jake i Becky poruszyli się na drugim końcu świata. My także jakbyśmy się obudzili ze snu.

– Co ukryła Maria na swoim ciele? – zapytał wreszcie Kaspar. – Pisz wyraźnie, że ojciec znajdzie na jej ciele wszystko co trzeba, by kontynuować.

– Co kontynuować? – dodałam. – Zastanawiam się nad tym, odkąd po południu przeczytałam ten list. To słowa perskiej chatun, synowej Hulagu i Dokuz, słowa córki Michała VIII Paleologa, cesarza Bizancjum, w dodatku napomyka o rzymskim papieżu i o jakichś emisariuszach wysłanych nie wiadomo gdzie i nie wiadomo po co.

– Mnie tu wychodzi dziwna mieszanka postaci historycznych – oznajmił Faradz. – Ale nie ma wątpliwości, że Dokuz-chatun nie przekazała ossuariów Despinie-chatun. Musiało się wydarzyć coś ważnego między śmiercią jednej a przybyciem drugiej, skoro zostali w to uwikłani zarówno cesarz Bizancjum, jak i o dziwo, rzymski papież, a nie patriarcha konstantynopoliński.

– Sądzę, że powinniśmy zrobić dwie rzeczy – powiedział Kaspar. – Po pierwsze zbadać życie Marii Paleologini jako Despinie-chatun.

– Załatwione – rzekł Jake, notując coś na kartce, której kamera nie obejmowała.

– A co po drugie? – spytał mój mąż Kaspara.

– Odnaleźć miejsce pochówku Marii – odparł Głaz z powagą – i wydobyć jej ciało.

ROZDZIAŁ 11

Telefon w pokoju dzwonił i dzwonił, ja jednak nadal spałam. Następnie rozpoznałam chrapliwy głos Etty James, w środku nocy śpiewającej ile sił w płucach *I just want to make love to you*, piosenkę, którą Faradz miał ustawioną w swojej komórce jako dzwonek, ale twardo dalej spałam. W końcu do tych dwóch dźwięków dołączył się dzwonek mojej komórki, klasyczny dzwonek telefonu jak Bóg przykazuje. Tego już nie wytrzymałam i zaczęłam się budzić. Czulałam się taka wyczerpana, że nie miałam pojęcia, gdzie jestem, lecz gdziekolwiek byłam, jak zwykle zajmowałam tylko skraj łóżka, jedną trzecią materaca, podczas gdy Faradz okupował pozostałe dwie trzecie. A wszystko i tak na darmo, pomyślałam zła, bo jak zawsze połową ciała leżał zwalony na mnie.

Dzwonki trzech telefonów hałasowały natarczywie, przy czym zaraz dołączył do nich jeszcze dzwonek do drzwi, które nie były drzwiami mojego domu, co do tego miałam pewność. I jeszcze walenie w nie. Ktoś wściekle łomotał do drzwi.

Zamroczone szturchnęłam swojego ukochanego, którego błogie chrapanie wciąż rozbrzmiewało mi w uszach, wykopałam się spod niego i uwolniłam z jego objęć, aby wyjść z łóżka. Uczciwie musiałam przyznać, że te dźwięki wciąż się rozlegają, choć nie miałam pojęcia jakim cudem. Umysł jeszcze mi nie funkcjonował.

Usiadłam, nie otwierając oczu, wsunęłam stopy we frotowe pantofle, które także nie były moje, i ruszyłam do drzwi. Walnęłam się o róg stolika nocnego, krzyknęłam z bólu, ale oczywiście nie obudziło to mojego bohatera. Cóż, mam absolutną pewność co do jednego: gdyby tamtej nocy coś mi się stało, umarłabym w samotności z nieświadomym niczego Faradzem u boku.

Dotarłam do drzwi i otworzyłam je po omacku. Oślepiło mnie światło z korytarza.

Mongolia! przy pomniałam sobie nagle. Byliśmy w Mongolii! A szpetna twarz osoby patrzącej na mnie z niepokojem była twarzą Abby, dziedziczki. Czujnie patrzyli na mnie także ubrani już Kaspar, Isabella i Linus.

– Co się dzieje? – wybełkotałam, trąc oczy. Zdałam sobie sprawę, że nie narzuciłam szlafroka i jestem w samej czerwonej piżamie w bożonarodzeniowe misie.

– A Faradz? – zapytał Kaspar, zerkaając nade mną do ciemnego pokoju.

– Śpi – odparłam ciągle jeszcze zamroczone, choć zaczynałam już czuć uderzenia adrenaliny.

Działo się tu coś niezwykłego i nie wyglądało mi to dobrze.

– Musimy się zbierać, ciociu – rzekła Isabella, odsuwając mnie i wchodząc do pokoju. – Ja obudzę wujka, a ty się ogarnij.

– Może mi ktoś wyjaśni, co tu się dzieje do wszystkich diabłów? – zełościłam się.

– Dzwonili moi dziadkowie – powiedziała Abby. – Ekipa watykańskich archeologów wystąpiła za pośrednictwem Ekumenicznego Patriarchatu Konstantynopolitańskiego o zgodę władz Sztambułu na wykopaliska w kościele Świętej Marii od Mongołów.

Mieszkałam z Faradżem osiem lat w Sztambule po odkryciu mauzoleum Konstantyna, toteż doskonale znałam prawosławny kościółek Świętej Marii od Mongołów, w grece bizantyńskiej zwany Panagia Mujliótissa. Znajdował się w dzielnicy Fener niedaleko Greckiego Kolegium Prawosławnego, w pobliżu siedziby Ekumenicznego Patriarchatu Konstantynopolitańskiego, i chociaż taki malutki i nieznaczący, miał zaszczyt być w Sztambule jedyną bizantyńską świątynią, której po zajęciu miasta przez Turków w 1453 roku nie przeksztalcono w meczet.

Nadal jednak nie rozumiałam, o czym mówi Abby. Że ekipa watykańskich archeologów chce prowadzić jakieś prace w Świętej Marii od Mongołów? I co z tego? Co to ma wspólnego z nami? No dobra, kluczowe tu było słowo „Mongołów”, niemniej...

– Świętą Marię od Mongołów odbudowała Maria Paleologini po powrocie do Konstantynopola. Została mniszka i żyła we własnym zakonie do śmierci. Zdaniem moich dziadków przypuszczalnie została tam pochowana w jakiejś podziemnej krypcie, której dotąd nie odkryto.

Uderzenie obuchem nie wywarłoby na mnie większego wrażenia. Skąd wiedzą o tym w Watykanie? Czego szukają? To przypadek czy ktoś nas śledzi? A niech to!... O co w tym chodzi? Watykan? Gottfried Spitteler? Ossuaria i Watykan?

Nagły dojmujący ból głowy sprawił, że przyłożyłam rękę do czoła.

– Raz-dwa będziemy gotowi – obiecałam. – Poczekajcie gdzieś na nas. Może... Która godzina?

– Dwadzieścia po szóstej rano – odparł Kaspar.

– W Toronto dwadzieścia po szóstej po południu wczoraj – dodała Abby, biorąc za rękę Linusa, który wydawał się najbardziej rześki i rozbudzony ze wszystkich.

– A jeśli wolno spytać – powiedziałam, masując sobie skronie – dlaczego właściwie musimy się tak wcześnie zrywać po takim niedospaniu?

– Bo jedziemy do Sztambułu – niecierpliwie wyjaśnił Kaspar lodowatym głosem. – Dziadkowie Abby załatwili samolot do naszej dyspozycji, żebyśmy natychmiast polecieeli do Turcji.

– A niby po co? – nie posiadałam się ze zdumienia. – Nie rozumiem, co możemy tam zrobić.

– Odnaleźć zwłoki Marii Paleologini – wyjaśnił były katon zirytowany moim zaćmieniem. – A ty i Faradż zatrzymacie archeologów watykańskich. W Sztambule znacie wszystkich, więc możecie załatwić, żeby im nie wydano zgody na wykopaliska. Musicie pogadać z kim trzeba.

– Potrzebuję kawy albo i dwóch – oznajmiłam, odwracając się do nich plecami i wracając do pokoju. Raczej nie sądziłam, żebyśmy we dwojkę z Faradżem poradzi sobie z prawosławnym patriarchatem i Kościołem katolickim.

– Czekamy na dole – zapowiedziała Abby. – Śniadanie zjemy w samolocie.

Isabella jak wiatr przemknęła obok mnie, pędząc za Kasparem, Abby i Linusem.

– Wujek obudzony i wie, że lecimy do Stambułu – rzuciła w przelocie, przezornie zamykając za sobą drzwi.

Oprócz potwornego bólu głowy miałam też silne poczucie déjà vu – że już przeżyłam kiedyś coś podobnego, przenosiłam się z kraju do kraju, z miasta do miasta z kimś depczącym nam po piętach albo deptałam komuś po piętach, ściagałam się z czasem bez przerwy ni odpoczynku. Tak, niewątpliwie było to déjà vu, i to bardzo silne. Nie mogłam uwierzyć, że po tylu latach znowu to się dzieje.

Faradz już był pod prysznicem. Isabella zostawiła mu na łóżku ciuchy, w które powinien się ubrać. Mnie oczywiście nie naszykowała. Mnie, osobie wiecznie nabieranej. Może Isabella również miała jakiś tajny plan szkoleniowy i wychowawczy dla swojej ciotki, tak jak jej ciotka (czyli ja) miała plan dla niej. Jak ją znałam, nic mnie nie mogło zaskoczyć. Znaczy jak znałam siebie. Aczkolwiek ja oczywiście byłam dziewczyną dużo spokojniejszą, lepszą, bardziej odpowiedzialną i posłuszną. W odróżnieniu od niej.

Muszę bezwzględnie napić się kawy, myślałam, wchodząc do łazienki. W tej chwili szklane drzwi kabiny prysznicowej się otworzyły przed uśmiechniętym, mokrym i bardzo seksownym Faradzem, który sięgnął po ręcznik.

– Cześć, kochanie.

Jaka szkoda, że musimy na gwałt jechać do Turcji, pomyślałam, przyglądając mu się uważnie.

– Nie ma czasu – oznajmił z miną funkcjonariusza obyczajówki.

O matko, z takim bólem głowy...? Mogłam najwyżej nacieszyć oko, nic ponadto. Ale nie chciałam rozwiewać jego złudzeń.

– Jak wylądujemy w Stambule, nie wywiniesz się – obiecałam, równocześnie szukając ukradkiem w szaszce z lekarstwami tabletek przeciwbólowych.

Kiedy mój mąż snuł na głos plany, co zrobimy po przybyciu do miasta, w którym mieszkaliśmy tyle czasu (zadzwoić do Envera i Beste, i do Vahita oczywiście; kupić nasz ulubiony chleb...), ja wzięłam prysznic i szybko się ubrałam, odnotowując już pierwsze efekty działania tabletki. Nadal jednak bezwzględnie potrzebowałam kawy.

Zamknęliśmy walizki, oddaliśmy je chłopcom hotelowym, których przysłała nam Abby, żeby było szybciej, i zajrawszy jeszcze do szuflad stolików nocnych i do łazienki, czy czegoś nie zapomnieliśmy, udaliśmy się do windy.

W niecałe pół godziny znaleźliśmy się w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Czyngis-chana w Ulan Bator, nie musieliśmy jednak nadawać bagażu ani pobierać kart pokładowych, ani

przechodzić przez kontrolę bezpieczeństwa. Poszliśmy prosto do strefy dla VIP-ów, gdzie już czekał na nas kapitan maszyny i stewardesa. Powitali nas i zaprowadzili do mikrobusu z siedzeniami wzdłuż burt jak w limuzynie, po czym dowieziono nas pod same schodki przepięknego białego falcona z trzema niebieskimi liniami ciągnącymi się od dziobu do silników. Ziąb panował straszny i chociaż niebo było zachmurzone, nie padało. Może dlatego boli mnie głowa, pomyślałam.

W samolocie temperatura było oczywiście o wiele wyższa niż na zewnątrz, toteż zaraz wszyscy zaczęliśmy zrzucać wierzchnią odzież, aż zostaliśmy w bluzkach czy koszulach. Dorośli usiedli przy głównym stole na prawej burcie maszyny, a dzieci przy małym na lewej. Drzwi zatrzaśnięto, silniki zaczęły pracować coraz szybciej i samolot ruszył na pas. Było dziesięć po ósmej rano. Mieliliśmy przed sobą sześć godzin lotu do Moskwy, gdzie czekało nas międzylądowanie, by zatankować.

– Muszę się napić kawy – powtórzyłam po raz któryś, acz już straciwszy nadzieję.

Tym razem jednak moja prośba została wysłuchana. Podeszła do nas stewardesa z pytaniem, co sobie życzymy na śniadanie. Biedaczka musiała się napracować, bo wszyscy byliśmy mocno głodni, a z niewyspania apetyt nam jeszcze bardziej dopisywał. Milczeliśmy podczas startu z Mongolii, przykolejeni do okien patrzyliśmy, jak ziemia się oddala i wlatujemy w strefę ciemnych chmur, w których ku niezadowoleniu Isabelli wpadliśmy w turbulencje. Moja siostrzenica nie przepadała za lataniem, toteż nie najlepiej je znosiła – siedziała, kłwając się w przód i w tył. Szybko jednak przestało trząść i kabinę zaalało światło słońca. Jakbyśmy się znaleźli w innym świecie. Wtedy podano nam śniadanie, przy którym poculiśmy się o wiele lepiej i rozwiązały nam się języki.

– Jaktwoi dziadkowie się dowiedzieli o tej watykańskiej ekapie? – zwróciłam się do Abby.

Popatrzyła na mnie i wtedy zdałam sobie sprawę, jaka jest zmęczona. Malutkie niebieskie oczy miała bardzo mocno podkrążone. Nie wiem, może przywykłam do niej, a może w rzeczy wistości nie była tak brzydka, jak mi się wydawało, w każdym razie nagle stwierdziłam, że teraz wygląda ładniej. Owszem, nos miała garbaty, ale nie tak bardzo. Najgorsze były te kwadratowe zęby i brak warg, lecz to akurat tuszowała, nakładając szminkę, toteż wspaniałomyślnie mogłam powiedzieć, że brzydkie ma w zasadzie tylko zęby. Jak to możliwe, zastanowiłam się, że dziedziczka takiej fortuny nie poszła do dobrego dentysty, żeby naprawił ten drobny defekt urody? Może matka się nią nie interesowała i nie zatroszczyła się o to, ale babcia? Becky nie wyglądała na osobę, która by zaniedbywała własne dzieci i wnuki, poza tym przy jej urodzie dziwiło, że nie zmusiła matki Abby lub później samej Abby, żeby to załatwić. W każdym razie tego ranka biedna dziedziczka wyglądała na bardzo wyczerpaną.

– Moi dziadkowie – odparła ze znużonym uśmiechem – zawsze dowiadują się tego, czego chcą

się dowiedzieć. Nie udało im się tylko z bractwem. – Popatrzyła na Kaspara i tym razem uśmiechnęła się z dumą. – Ale wiercie mi, prócz tego naprawdę niewiele im umyka. Nie wiecie, że zawsze znajdzie się ktoś zainteresowany dobrymi stosunkami z nimi albo kto dla nich pracuje?

– Zastanawiałem się nad tym – zauważył Kaspar, bawiąc się pustą filiżanką po kawie z mlekiem – i doszedłem do wniosku, że nie przypadkiem Watykan akurat wczoraj wystąpił o zgodę na wykopaliska w Świętej Marii od Mongołów.

– Dzisiaj – sprostowała Abby. – Teraz cofamy się w czasie, bo lecimy w tym samym kierunku, w którym posuwa się słońce. Wejdziemy niedługo w czas europejski.

– Jasne – zgodził się Kaspar. – Ale powtarzam: to nie był przypadek. Dawno wyniosłem się z Watykanu, ale wiem, jak tam pracują, i potrafię sobie wyobrazić, co mogą teraz zrobić dzięki nowym technologiom.

Instynktownie, bez zastanowienia, okazałam powątpiewanie co do tego, że w Watykanie w ogóle słyszano o nowych technologiach.

– Nie rób takiej miny, Ottavio – zwrócił mi uwagę Kaspar. – Już nie pamiętasz, jak wam z Watykanu grzebali w komputerach w czasach, kiedy telefony komórkowe były jeszcze wielkości cegły? Choć mieszkałaś w Aleksandrii, z Rzymu kontrolowali wszystko, co robiłaś przez internet, łącznie z korespondencją.

Miał słuszość w stu procentach. Raptem pogodziłam się z myślą, że w ostatnich latach Kościół mógł się bardzo unowocześnić i że z pewnością ma teraz jakiś wydział w Watykanie, w którym młodzi duchowni biegli w sprawach informatycznych (liczyłam, że młode zakonnice również, choć niezbyt w to wierzyłam) pracują dzień i noc, zarówno chroniąc komputery kościelne, jak i wykonując zadania nie całkiem legalne. Ostatecznie był to organizm stworzony przez ludzi i mimo że przenikał go Duch Święty, nie dało się zaprzeczyć, że wśród hierarchów testosteronu jest co niemiara.

– Sądzę, że podsłuchują nasze rozmowy telefoniczne – orzekł Kaspar, odstawiając filiżankę na tacę. – I wiedzą, że tu jestem.

Faradz wyprostował się w fotelu w chwili, kiedy mnie skręciło w żołądku.

– W tym mogę wam pomóc – oznajmiła moja siostrzenica.

Patrzyła na nas spokojnie z drugiej strony przejścia między stołami, podając Linusowi z koszyčka ostatniego croissanta z czekoladą, którą malec miał umorusaną buzię.

– Jak? – spytała Abby.

– Są programy, które informują, czy ktoś włazi ci do komputera, a jeśli tak, to kto. Mogą też zamykać te porty, przez które intruzi się wciskają.

– I możesz się dowiedzieć, czy ktoś nas szpiegował? – wypytywała dziedziczka, otwierając torbę z laptopem.

– Pewnie – odparła moja siostrzenica.

– Masz. – Abby podała jej komputer. – Sprawdź, proszę.

– Możecie zająć się Linusem? Zjadł wszystko, co podali na śniadanie. Swoje i moje.

– Linusie!

Nagana w grubym głosie Kaspara nie wystraszyła chłopca, który patrzył na ojca z uśmiechem.

– Chodź tu, Linusie – przywołała go Abby, wyciągając do niego rękę. – Pozwolimy Isabelli popracować.

Moja siostrzenica odsunęła reszki śniadania, ustawiła laptop, włączyła go i zaczęła z nim rozmawiać po swojemu.

– Wiecie, że mam dwadzieścioro pięcioro siostrzeńców i bratanków? – zagadnęłam żartobliwie.

Faradz z Kasparem przytaknęli z uśmiechem, na twarzy Abby pojawiła się zgroza.

– Z dwadzieściora pięciora czternaścioro studiowałam informatykę. Niesamowite, co?

– Niesamowite jest to, basilejo, że ty jesteś ciotką tej czternastki – zaśmiał się Faradz.

– Aha! Mam! – Na ten triumfalny okrzyk Isabelli wzdrygnęliśmy się wszyscy. – Popatrzcie tutaj – poprosiła moja siostrzenica, wskazując palcem jakąś listę, której nie widzieliśmy ze swoich miejsc. – Ten komputer jest zhakowany. Nie tylko ktoś ominął zabezpieczenia systemowe i grzebał w nim, ale jeszcze zainstalował oprogramowanie, które wysyła do Watykanu wszystko, co jest wystukiwane na klawiaturze i wyświetlane na monitorze.

– Jesteś pewna, że chodzi o Watykan? – spytał Kaspar.

– Na sto procent – oświadczyła, odwracając się do nas. – Numer IP jest stamtąd. Na pewno.

– Numer IP? – wyrwało mi się i natychmiast pożałowałam, że zadałam to pytanie.

– Kochanie, nawet ja wiem, co to jest IP.

– A ja nie wiem! – zezłościłam się. Jak tylko wynikało coś, co powinnam wiedzieć o komputerach, a nie wiedziałam, Faradz mi to zaraz wytykał.

– Ciociu, IP to jak tablica rejestracyjna samochodu – oświeciła mnie Isabella. – Każdy komputer, drukarka, tablet czy smartfon ma własne IP, które go identyfikuje i lokalizuje na całym świecie. To IP należy do Watykanu. Jest jeszcze jedno.

– Jeszcze jedno IP? – upewniłam się tonem znawcy.

– Tak, z komputera o innym numerze IP ktoś się zakrada do tego laptopa. Nawet teraz to robi. Z Londynu.

– Wiesz, kto to jest? – spytała Abby.

– Mogę użyć protokołu WHOIS.

– Nie pytaj, co to jest – przestrzegł mnie Faradz.

– No... na niewiele się przyda to, co widzę – mówiła Isabella. – Wie ktoś może, co albo kto to

jest AKDN? AKDN zhakował laptopa z Kensington Court w Londynie.

– Isabella, zablokuj całkowicie laptopa – poprosiła Abby wyraźnie poruszona. – Żeby nikt się do niego nie dostał.

Nie miałam nawet cienia wątpliwości, że dziedziczka zna niejakiego AKDN-a.

– Nie martw się, załatwię to – obiecała Isabella stanowczo. – Ale mam nadzieję, że twoi dziadkowie z tą ich obsesją w kwestiach bezpieczeństwa lepiej zabezpieczyli swoje systemy informatyczne, bo jeśli nie...

– To mój osobisty komputer i nigdy nie sądziłam, że coś takiego może mi się przydarzyć. Chciałam tylko mieć trochę osobistej przestrzeni, z dala od rodziny. Widzę teraz, że to nie był dobry pomysł.

– Isabella, czekaj! – zawołałam, wpadło mi bowiem coś do głowy.

Isabella zastygła i spojrzała na mnie. Wszyscy na mnie spojrzeli lekko zaskoczeni.

– Abby – powiedziałam – wyślij do dziadków mejl z jakąś nieprawdziwą informacją. Zrobimy w konia Watykan.

Faradz i Kaspar wybuchli wraz grubym męskim śmiechem.

– Co niby mam napisać? – spytała Abby, puszczając mimo uszu ten rehot.

– Nie wiem, co chcesz. Coś, co tamtych oddali od Stambułu.

– Teraz to już niemożliwe – zauważył mój mąż.

– No to co innego. Że zażądaliśmy dwustu milionów dolarów kanadyjskich za tę robotę!

– Ottavio! – zganił mnie Faradz.

Reszta towarzystwa roześmiała się jeszcze głośniej.

– Niech będzie trzysta milionów – rzuciła Abby, klikając na klawiaturze laptopa. – Dziadkowie potraktują to serio. Dorzucę coś, co da im do zrozumienia, że to pułapka na szpiegów. Już wiem. – Zachichotała. – Napiszę, żeby pamiętali o pomalowaniu stołu w małej bibliotece.

– O matko moja! – zawołałam zdjęta zgrozą. Tego było naprawdę za wiele.

– Proszę. – Dziedziczka oddała komputer mojej siostrzenicy. – Możesz kończyć.

Coś jednak pozostało jeszcze do załatwienia, coś, czego chciałam się dowiedzieć, a co puściliśmy mimo uszu.

– Znasz tego hakera z Londynu, prawda, Abby? Tego AKDN-a?

Spojrzała na mnie z niepokojem.

– AKDN to nie jest osoba – wyjaśniła. – To przedsiębiorstwo, Aga Khan Development Network. Należy do księcia Karima, przyjaciela moich dziadków. AKDN prowadzi działalność na całym świecie, dobrą i potrzebną, zakłada szpitale, uniwersytety, muzea... Ale Karim nie szpiegowałby ani mnie, ani moich dziadków. Są przyjaciółmi. Często się widują. AKDN współpracuje z Fundacją Simonsonów. Poza tym Karima teraz nie ma w Londynie.

– Chcesz powiedzieć, że jakiś nizaryta, może nawet więcej niż jeden, wie, co robimy, i chce wiedzieć jeszcze więcej? – spytałam.

– Tak

Użyłam terminu „nizaryta”, żeby nie powiedzieć wprost „asasyn”, co brzmi o wiele straszniej.

ROZDZIAŁ 12

Wyładowaliśmy w Moskwie po sześciu godzinach spokojnego lotu i chociaż wystartowaliśmy z Ulan Bator o ósmej rano, w stolicy Rosji znaleźliśmy się o dziewiątej. Jak wcześniej wspomniała Abby, cofaliśmy się w czasie, lecąc w tym samym kierunku, w którym posuwa się słońce. Nikt nie chciał opuszczać pokładu samolotu, bo jedni spali, inni byli zbyt zmęczeni. O wpół do jedenastej wystartowaliśmy w dalszą drogę. Tym razem lot miał potrwać cztery i pół godziny, lecz minął nam bardzo szybko, ponieważ wszyscy, łącznie z Linusem, przespaliśmy cały ten czas. Nawet z toalety w samolocie nikt nie skorzystał.

Obudził nas głos kapitana informującego, że zaczynamy podejście do lądowania w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Sтамбул-Ататүрк i że jest wpół do drugiej po południu czasu lokalnego. Wpół do drugiej to w Turcji najlepsza pora na lunch. Pamiętam, że kiedy podnosiliśmy oparcia foteli, doprowadzaliśmy się do porządku i zapinaliśmy pasy bezpieczeństwa, pomyślałam, że jesteśmy w drodze prawie dwanaście godzin, lecz na zegarkach upłynęło zaledwie pięć i pół godziny. Jak to powiedział Einstein, wszystko jest względne, osobliwie czas, chociaż miał chyba na myśli co innego.

Po wyjściu z samolotu wsiedliśmy znów do mikrobusu, który przewiózł nas do strefy dla VIP-ów. Nie potrafiłabym wyliczyć, ile razy byłam na lotnisku Ататүрк, mimo to choć oczy sobie wypatrywałam, nie poznawałam niczego. Nigdy nie zapuszczaliśmy się z Faradżem do tej części portu, luksusowej i dostępnej dla wybranych. Sтамбул był dla nas poniekąd jak dom, jednakże z wyżyn władzy pieniądze rozaczały się zupełnie odmienne widoki. I tak jak się obawiałam, samochód, który zjechał po nas przed wyjście, miał logo Çırağan Palace, najbardziej luksusowego hotelu w Sтамбule należącego, jak już wiedziałam, do Simonsonów.

Serce waliło mi mocno, kiedy jechaliśmy autostradą E-5 w kierunku centrum miasta, i podeszło mi do gardła, gdy skręciliśmy ku pałacowi Topkapı i zagłębiłiśmy się w znajome ulice i uliczki starego Konstantynopola. Naprawdę czułam się jak w domu. Nie mogłam nasycić oczu, wyglądając przez okno. Sтамбул był wyjątkową częścią mojego życia. Przejechaliśmy pod akweduktem Walensa i mostem Ататүрк przebyliśmy Bosfor, dostając się do azjatyckiej części miasta. Gdybyśmy za mostem skręcili w lewo, pojechalibyśmy w kierunku naszego niedysiejszego domu w dzielnicy Nişantaşı. Skręciliśmy jednak w prawo i okrążyliśmy dzielnicę Karaköy (Galatę), potem wjechaliśmy w szeroką aleję Beşiktaş, którą dotarliśmy pod samo wejście imponującego hotelu Çırağan.

Tym razem nie musieliśmy się meldować. Wszystko załatwiono i przygotowano przed naszym przybyciem. Zaprowadzono nas do pokoiów, wręczono nam klucze, po czym naraz, nie wiadomo

jak znaleźliśmy się wszyscy w wielkiej sali z sofami, dywanami, stołami – staliśmy na środku, patrząc na Bosfor przez trzy cudowne okna panoramiczne, przez które wpadało promienne światło. Wielki stół po lewej nakryto już do posiłku, tak że nie pozostało nam nic innego, jak zasiąść do jedzenia. Był to apartament Abby, sułtański, z własnym ochmistrem i służbą. Ekran telewizora wielkości nie wiem ilu cali (nigdy nie umiałam tego przeliczyć) zajmował prawie całą ścianę po prawej.

Dziedziczka czuła się w apartamencie jak ryba w wodzie: swoje rzeczy rzuciła na fotel, odprawiła ochmistra i chłopców hotelowych, którzy przyszli z nami, wstąpiła do łazienki... My jednak, zwykli zjadacze chleba, przedstawiciele coraz mniej licznej klasy średniej, przywykli do innego rodzaju hoteli i kwater, nie posiadaliśmy się ze zdumienia. Zastygliśmy oniemiałi i nie mogliśmy się otrząsnąć. Kaspar i Linus – może dlatego, że świeżo opuścili gigantyczny system jaskiń Paradesosu – pierwsi doszli do siebie. Linus puścił rękę ojca i pobiegł do okien.

– Ile statków! – zawołał z podziwem.

– Posłuchaj, Faradz – powiedziałam do męża, kiedy już byłam w stanie coś z siebie wydusić – to nam nie posłuży. Co będzie, jak przyjdzie nam wrócić do naszego domku z naszymi meblami, małą kuchnią i do naszych zarobków?

– A co ma być? – roześmiał się, ujmując mnie za rękę. – Poczujemy się biedni! I bardzo szczęśliwi.

Isabella zawtórowała mu śmiechem, ja do nich dołączyłam. Dobrze było wiedzieć, że takie luksusy istnieją, ale myśmy ich w ogóle nie potrzebowaliśmy.

W końcu Abby wróciła do nas i usiedliśmy do stołu. Była prawie trzecia po południu. Trzecia po południu w Turcji to najgorsza pora na lunch. Ja już sama nie wiedziałam, czy czuję głód, czy senność, a może jedno i drugie, a może nie doskwiera mi ani jedno, ani drugie, mimo to na wszelki wypadek pojadłam sobie. Życie mnie nauczyło, że nigdy nie wiesz, co cię spotka za kwadrans.

Dziedziczka, która nie wyjmowała laptopa, odkąd wylądowaliśmy w Turcji, włączyła go wreszcie i wzięła do ręki pilota od telewizora, lecz nie po to, aby umilić nam posiłek jakąś słynną telenowelą turecką, jak mi się z początku wydało, tylko aby na monumentalnym ekranie pokazali się jej dziadkowie.

– Dzień dobry! – zawołali chórem Simonsonowie, kiedy pokazała nas kamera, której nie widziałam.

– W Toronto jest teraz ósma rano dzisiaj – poinformowała nas Abby, która dobrą chwilę rozmawiała z dziadkami przez telefon, kiedy jechaliśmy do hotelu.

Czy ci prawie stuletni multimilionerzy nigdy nie wstają o jakiejś późniejszej porze? Zawsze wyglądali świeżo i przytomnie jak nastolatki. A jak ów apetyt był imponujący, przyznaję.

W każdym razie rzadko się zdarzają takie egzemplarze.

– Dla waszego spokoju wyjaśniam – zaczęła Becky, która tego dnia obnosiła drogocenne, błyszczące perły australijskie – że nakazaliśmy generalny przegląd wszystkich strategicznych serwerów i komputerów w naszych firmach i fundacjach na całym świecie i nigdzie nie było śladu hakerów. Prób dostępu odnotowujemy zawsze dużo, ale żadna nie była skuteczna. Nasi spece od zabezpieczeń zajęli się też zdalnie waszymi telefonami komórkowymi. Ale jedźcie, proszę, jedźcie! Możemy rozmawiać, kiedy będziecie się posilali. Jedzenie smaczne? Byliśmy tam dwa miesiące temu i nam bardzo smakowało.

– Co odkryli ci spece? – zapytał Kaspar.

– Mówią – włączył się Jake – że wasze komórki są na podsłuchu. Znaczą naszej wnuczki nie, bo jest chroniony, ale pozostałe są jak sito. Sądzę, że sporo ludzi was podsłuchuje.

– Czyli wiedzą, że tu jestem – mruknął Kaspar, ze złością zdejmując pokrywę z półmiska.

– Przykro mi, łaconie – westchnęła Becky.

– Zleciliśmy dyskretną obserwację waszego domu w kampusie – rzekł Jake do Faradza i do mnie. – Mam nadzieję, że nie macie nam za złe. To na wypadek, gdyby ktoś próbował tam wejść.

Faradz patrzył nieobecny wzrokiem – tak robił, ilekroć coś nadzwyczajnie mu się nie podobało, lecz nie miał pewności, czy powinien być zły. Zachichotałam. No pięknie! Tego jeszcze nie było, żeby ktoś pilnował naszego domu!

– Nie przeszkadza nam to, Jake. Dziękujemy – powiedziałam. – Przynajmniej jestem spokojniejsza.

– Abby – zwrócił się Jake do wnuczki – musisz się łączyć z internetem za pośrednictwem łączy Fundacji. Są pewne.

– Nie martw się, dziadku – odparła. – Isabella pousuwała pliki szpiegujące, które miałam w laptopie, i pozamykała wszystkie porty.

– Zrobiłam jeszcze parę innych rzeczy – pochwaliła się Isabella dumna jak paw. – Komputer Abby jest w stu procentach bezpieczny.

– Dziękujemy ci, dziecko. – Becky uśmiechnęła się do niej. – Widzisz, nasza wnuczka jest bardzo uparta i nie dopuszcza nas do swojego życia, mimo że tak by było lepiej dla niej. Chętnie byśmy jej bardziej pomogli, ale...

– Babciu – przerwała jej Abby perfekcyjnie delikatnie – nie teraz.

To wystarczyło, by Becky Simonson w jednej chwili zamknęła usta.

Nie mogłam dokończyć taramosalaty z ikry łososia, za to zjadłam całe tzatziki, czyli przystawkę z jogurtu z ogórkiem, i trochę kuru fasulye, zupy z białej fasoli z mięsem, chociaż bardziej z łakomstwa niż z głodu. Byłam już syta i marzyłam tylko o wygodnym łóżku, na którym

mogłabym się wyciągnąć, miałam jednak świadomość, że to da się zrealizować kiedy indziej i w innym kraju. Niemniej oczy same mi się zamykały.

– Ciociu... – rozległ się obok nieśmiały głosik. Na pewno nie Isabelli.

Przemogłam senność i spojrzałam. Linus.

– Nie śpij, ciociu – szepnął dyskretnie odrobinę speszony.

Jego szczęście, że byłam taką najedzona, w przeciwnym razie schrupałabym go na pewno. Dzieci należy pożerać, kiedy są małe, bo później stają się niesmaczne i wyrastają na niezdolnych nastolatków. Trzeba korzystać, póki są takie śliczne i miłutkie i nie mogą się obronić przed wyściskaniem. Linus zasłużył sobie na porządne wyściskanie. Bardzo żałowałam, że okoliczności mi na to nie pozwalają.

– A ty jak sądzisz, Ottavio? – spytała mnie Abby.

– O czym? – wyrwało mi się. Nie miałam pojęcia, o czym była mowa.

Wszyscy dziwnie na mnie popatrzyli.

– Moglibyście z Faradżem coś zrobić, żeby ci archeologowie nie dostali zgody na wykopaliska? – rzekł stary Jakę z niepokojem.

– Myślę, że spróbować można – mruknęłam.

– Moglibyśmy ich przyhamować – wyjaśnił Faradż – załatwić, że ich wniosek gdzieś się zapodzieje na jakiś czas. Chociaż obawiam się, że skoro wyszedł z patriarchy i z Watykanu, nikt z naszych przyjaciół nie dostanie go do ręki.

– A moglibyście wejść do Świętej Marii od Mongołów, żeby poszukać szczątków Despynchatun? – dopytywała Becky.

– Nie – odparłam stanowczo.

Bez zezwolenia wydziału archeologii jakiegoś uniwersytetu i Biura Topografii i Zabytków Ministerstwa Kultury zabieranie się za wykopaliska w jakiegokolwiek części Stambułu było czystym szaleństwem. Na pewno skończylibyśmy w więzieniu, choć byliśmy znanymi odkrywcami mauzoleum Konstantyna.

– Możemy wystąpić o pozwolenie, tak jak zrobił Watykan – dodał Faradż, aby złagodzić moją kategorię odmowę – z tym że zgodę na badania i wykopaliska wydają tylko pod warunkiem, że niczego nie zabierzemy, a na stanowisku pozostanie wszystko w takim stanie, w jakim to znajdziemy. Niewykluczone nawet, że do Świętej Marii będziemy mogli wejść wyłącznie w towarzystwie inspektorów z Ministerstwa Kultury, którzy będą czuwać, żebyśmy nie naruszyli przypadkiem konstrukcji kościoła albo grobu, jeśli go znajdziemy, co oznacza, że oględziny szczątków Marii Paleologini to w zasadzie *mission impossible*... w krótkim czasie – dorzucił. – Za to patriarchy i Watykan nie będą miały z tym problemu. Na pewno dostaną zezwolenie jeszcze w tym tygodniu, o ile jakoś tego nie opóźnimy. A my możemy czekać całe lata, chociaż

jesteśmy znani i mamy liczne kontakty.

– Z tym nie będzie problemu – zapewnił Jake z przebiegłym uśmiechem. – Liczyliśmy się z tym drobnym utrudnieniem.

„Drobne utrudnienie”! Jake nie miał pojęcia, jakich spustoszeń w głowie może dokonać turecka biurokracja. A zadowolenie w jego głosie świadczyło, że zaraz powie coś dużo przyjemniejszego.

– Załatwiliśmy wam ekipę nurków i speleologów miejskich, którzy zaprowadzą was do Świętej Marii od Mongołów podziemnymi tunelami, sekretnymi kanałami, cysternami, tajemnymi przejściami. Bardzo dobrze znają drogę. Są znani z tego, że bez żadnych zezwoleń schodzą pod ziemię i potrafią wszędzie dojść bizantyńskimi ścieżkami miasta.

– Nie ma mowy! – wściekłam się. – To odrażające miejsca i pełno tam wstrętnych żyłatek!

– Zapewniono nas, że to całkowicie bezpieczne – rzekła Becky mocno zaskoczona.

– Akurat! Bezpieczne i brudne! – wykrzyknęłam. – Możemy nie wiadomo jakie choróbko złapać w takich lochach! Nie, dziękuję! Już dość się w życiu nazwiedzałam bizantyńskich ścieżek tego miasta.

– Basileja...

– Nie ma mowy, Faradž! Ty też wiesz, jaktam jest! Brud, brud i jeszcze raz brud!

– Ależ Ottavio – zaprotestował Jake – sądzisz, że narażalibyśmy własną wnuczkę? Abby idzie z wami, bo mamy pewność co do bezpieczeństwa tego projektu i ufamy ekipie, która was poprowadzi.

– Posłuchaj, Jake, nie masz pojęcia, jak tam cuchnie! – powiedziałam, nie zważając na jego wiek i pozycję. – Powietrzem nie da się oddychać, wszędzie pełno odpadków, które się nagromadziły przez wieki, a na dokładkę tu i ówdzie potykasz się o znacznie młodsze ludzkie szczątki. Idź sam, jeśli chcesz!

– Basileja...

– A wy – zwróciłam się do Faradża i Kaspara – moglibyście mieć trochę oleju w głowie!

– Ja idę – oświadczył przekornie Kaspar.

– Mnie też by pasowało – poparł go mój głupi mąż. – Posłuchaj, basileja, jak nie chcesz, nie idź, ale jeśli speleologowie mówią, że to bezpieczne, ja im wierzę. Znasz przecież takich jak oni. Kochają schodzić pod ziemię i wędrować starożytnymi chodnikami pod miastem. A jakie filmiki wrzucają do internetu! A do kogo zgłaszają się władze, jeśli mają jakiś problem z kanalizacją, albo firmy budowlane, kiedy mają stawiać fundamenty pod nowe budynki, hę? Nawet nasz sąsiad Feza to robił!

– Tak, tylko że Feza ma pancerny żołądek i na jedno mu wychodzi potknąć się o metrowego szczura czy trupa albo wziąć prysznic pod tym, co kapie z rur kanalizacyjnych. Wybacz, że nie jestem taka twarda jak Feza.

– Naprawdę pod miastem są metrowe szczury i trupy? – zdumiała się Isabella.

– Żeby tylko! – Wzdrygnęłam się z odrazą. – Ja dziękuję, mam dość.

– Ciociu, to skoro nie chcesz iść, mogłabyś się zająć Linusem? A ja bym poszła za ciebie – zaproponowała podniecona.

Moja siostrzenica jest głupia i głupia pozostanie do końca żyć, pomyślałam. Czy nie słyszała, co powiedziałam o brudzie, szczurach, trupach i reszcie takich atrakcji?

– Nie, nie, Isabella, ty nie pójdziesz – oznajmił stanowczo Faradz. – Ciocia będzie protestowała, póki nie znajdziemy się w Świętej Marii od Mongołów, ale jeśli Kaspar i ja wyruszymy, nie zostanie. Zobaczysz, zaraz ci to udowodnię.

Czemu ja się przejmuję głupcami? zadałam sobie pytanie, patrząc na niego z pogardą.

– Ottavio, wiem, że nie chcesz iść, ale Abby idzie, nawet Isabella jest gotowa nam towarzyszyć. A ty chcesz się poddać? I po co? Żeby się gryźć, póki nie wrócimy? Chcesz, żebyśmy ci później opowiadali, jak odnaleźliśmy szczątki Marii Paleologini i że Kaspar przetłumaczył z greckiego, co chatun miała na ciebie?

Kurczę, ten to wie, jak uderzyć!

– No i popatrz, kochanie, chociaż takim wstrętem cię to napawa, pomyśl tylko, że odkryjesz może w swoim ukochanym Konstantynopolu rzeczy, których żaden badacz nie widział od pięciuset albo i od tysiąca lat. Poza tym puściłabyś mnie samego? A jeśli coś mi się stanie?

– Nie próbuj takich sztuczek, Faradz! – ostrzegłam.

– Tłumaczę ci tylko, że może nam przejść koło nosa największe w Bizancjum odkrycie paleograficzne, a ty przy odrobinie szczęścia trafisz na coś, co przyniesie ci po raz trzeci nagrodę Getty 'ego.

Nie no, tego już było za wiele!

– No dobra! – burknęłam ze złością. – Pójdę. Ale jeśli się spotkam z jakimś robalem, wężem, szczurem, trupem, szkieletem czy martwą krową, nigdy wam tego nie wybaczę. Nigdy.

Faradz popatrzył na Isabellę znacząco, jakby mówił: „Widzisz?”.

– Doskonale! – ucieszył się stary Jake w telewizorze. – Załatwione! Zaraz powiadomimy Nurana, szefa ekipy. Będzie u was za chwilę, bo to jeden z pracowników hotelu.

Cudownie! Facet stał niemal za drzwiami.

– Jake, możesz nam dostarczyć pewne telefony komórkowe? – poprosił Kaspar. – Co się stało, to się nie odstanie, ale niech przynajmniej nadal nie podsłuchują.

Jake i Becky pokiwali głową.

– Już są gotowe, łationie – rzekła Becky. – Właśnie chcieliśmy was prosić, żebyście to zrobili. Nuran przyniesie wam nowe aparaty.

– Jeszcze przedostatnia rzecz – wtrąciłam. – Jeśli coś nam się stanie, kto się zajmie dziećmi?

– Mój syn to moja sprawa.

Głos Kaspara był lodowaty i nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby się z nim spierać. Będziemy musieli znaleźć kiedyś czas, by we dwójkę pogadać o jego tonie i manierach.

– Nie martw się, Ottavio – powiedziała Becky. – Po pierwsze, nic wam się nie stanie. A po drugie, gdyby coś się wydarzyło, Isabella będzie bezpieczna. Linus także oczywiście.

– I ostatnia rzecz – podjęłam. – Nie podoba mi się, że zostawiliście sprawę włamania się do komputera Abby z Londynu. Pogadajcie z tym swoim księciem i dowiedzcie się, kto z AKDN nas szpiegował i dlaczego.

– Kiedy przyjdzie pora, żeby pogadać z Karimem, zrobimy to – zapewnił Jakę.

– Szczęśliwego zejścia w podziemia! – życzyła nam Becky, unosząc dłoń na pożegnanie.

– Do zobaczenia – odparła Abby dziadkom i wyłączyła telewizor.

Podejrzałam, że ten Nuran przyjdzie wcześniej, niż ustawa w cywilizowanym kraju przewiduje, toteż kiedy Abby wzywała obsługę, aby sprzątnęła stół, ja udałam się do toalety. Wcale mi się nie uśmiechało ponowne schodzenie do podziemi Stambułu. Nie policzę, ile razy to robiłam, choć nie cierpiałam tego z całego serca. Na pewno będę tego żałowała bardziej, niż mi się zdaje.

Usłyszałam dzwonek do drzwi, potem odgłos toczących się wózków obsługi i po chwili turkot ich kółek, gdy odjeżdżały załadowane pustymi naczyniami. Nie miałam ochoty opuszczać łazienki. Wsparta rękami o umywalkę patrzyłam na swoje odbicie w lustrze, zastanawiając się, co u diabła znowu robię w Turcji i czemu dałam się tu przywleć. Nie przypominam sobie, bym słyszała o większej głupocie od tego, czego mieliśmy szukać. Najchętniej wróciłabym do domu z Faradżem i Isabellą i waleniełabym się na sofie z książką. W apartamencie znowu zadzwieczał dzwonek, domyśliłam się zatem, że tym razem przybył rzeczony Nuran. Westchnęłam głęboko, nie przestając litościwie patrzeć sobie w oczy, po czym wróciłam do salonu.

Smagły człowiek średniego wzrostu w stroju kelnera ścisnął właśnie dłonie Faradża i Kaspara, lekko skłonił się przed Isabellą. Miał mniej więcej czterdziestkę.

– Ottavio – powiedziała Abby – przedstawiam ci Nurana Arslana, szefa największej w Stambule ekipy speleologów miejskich.

– Miło mi – powitałam go po turecku.

– Z wzajemnością – odparł z uśmiechem. Był przy stojny, owszem. Miał bardzo ładne oczy, chociaż nie tak ładne jak Faradż. – Ottavia? Czy może mam przyjemność z doktor Saliną, odkrywczynią mauzoleum Konstantyna?

– Zgadza się.

– W takim razie pan to profesor Faradż Boswell! – zawołał przejęty jak nie wiem co, zwracając się do mojego męża.

– Miło mi pana poznać – rzekł Faradž.

Biedny Nuran, nie wiedział, co zrobić ani gdzie patrzeć, chodzić czy stać. Ewidentnie nasza obecność wprawiła go w jakieś nerwowe zamroczenie.

– Odkrywczy mauzoleum Konstantyna! Doktor Salina i profesor Boswell!

Musiałam pomóc mu wyjść z ekstazy, toteż dałam znak Abby.

– Nuranie, usiądź, proszę – zwróciła się do niego, wskazując mu ustawioną tyłem do środkowego okna sofę, przed którą stały cztery wygodne fotele, a między nimi stolik z wazonem z kwiatami.

Nuran skorzystał z zaproszenia, lecz nie odrywał oczu ani od Faradża, ani ode mnie. Abby usiadła obok niego, tyle że po przekątnej wobec nas.

– Nuranie – rzekła do speleologa, czym zmusiła go, by na nią spojrział – powiedz, jak to będzie. Jak dotrzemy do Świętej Marii od Mongołów.

Turek na powrót skierował wzrok na mnie i Faradża.

– Moja ekipa zna drogę – zaczął. – Nie byliśmy tam nigdy, bo leży z dala od normalnych tras, ale nieraz przechodziliśmy w pobliżu, tak że proszę się nie martwić. Muszę tylko wiedzieć, ile osób pójdzie, i znać rozmiar odzieży i butów każdego.

Już otwierałam usta, lecz zdołałam się pohamować.

– My czworo idziemy – oznajmił Kaspar głosem suchym jak piasek na pustyni.

– Po co wam nasze rozmiary? – spytała Abby.

– Oczywiście żeby dobrać kombinezony neoprenowe – wyjaśnił.

Niemal poczułam w ustach smak krwi, tak mocno ugryzłam się w język Neoprenowe?

– Będziemy nurkować? – drążyła Abby, nie zważając, że Nuran nie zwraca na nią uwagi.

– Nie, nurkować nie – mówił ciągle do Faradża i do mnie – ale w podziemiach jest bardzo zimno i panuje duża wilgotność. I w zależności od poziomu wody będziemy musieli miejscami płynąć. Kombinezony z pianki neoprenowej są najlepsze, ale trzeba je dobrze dobrać. Mamy w ekipie duży wybór sprzętu, więc proszę zapisać mi rozmiary, to jeszcze w nocy dostarczymy wszystko.

Dłużej nie mogłam już utrzymać języka na wodzy.

– W nocy? – zawołałam. – Wyruszymy w nocy?

Nuran obdarzył mnie uśmiechem pełnym uwielbienia.

– A jakie ma znaczenie, czy to będzie w dzień, czy w nocy? Na dole i tak zawsze jest ciemno. Trzeba zabrać mocne latarki. Wyruszymy w nocy, bo wtedy jest mniejsze ryzyko, że nakryje nas policja. Ale proszę się nie martwić, pani doktor. Nie nakryje nas. Nie pozwolimy, żeby pani z mężem znalazła się w sytuacji kompromitującej w oczach władz.

Trochę się uspokoiłam.

– O której wyruszamy? – zagadnął Kaspar.

– Może być o pierwszej? – zaproponował Turek – Moi ludzie zbiorą się w hotelu, żeby wszystko przygotować, i o północy przyjdziemy tutaj, to pomożemy państwu się wyszykować. Później furgonetką pojedziemy do punktu zejścia.

– Gdzie to jest? – zapytał mój mąż.

Nuran się zaśmiał.

– W starym domu mojej matki. Zejdziemy przez studnię na dziedzińcu wewnętrznym. Wszystkie wyprawy tam zaczynamy, bo studnia jest niedaleko starożytnej cysterny, która oficjalnie nie została odkryta. Cysterna łączy się z siecią kanałów i korytarzy, które przecinają stary Stambuł z północy na południe i ze wschodu na zachód. Dotarcie na miejsce zajmie nam godzinę do dwóch, zależnie od stanu drogi. Wiedzą państwo, że czasami trasę blokują ruiny? Pan jest archeologiem, prawda, profesorze? Potrafi pan wskazać wejście do kościoła od dołu? Państwo Simonsonowie prosili, żebyśmy wzięli narzędzia, na wypadek gdyby trzeba kopać. Zrobimy, co państwo każą. Jest nas pięciu, przyjaźnimy się od dziecka. Odkryliśmy wejście przez studnię, kiedy byliśmy jeszcze szczeniakami.

Mówił ze śmiechem, rozradowany, jakby to wszystko bardzo go cieszyło. I cieszyło go, nie było co do tego wątpliwości. Świetnie się bawił. Szczególnie gdy metrem krawieckim, który wyjął z torby, mierzył nam obwód głowy.

Nuran Arslan wyszedł wreszcie po niedługim czasie i ledwie zniknął za drzwiami, zerwałam się na nogi.

– Gdzie idziesz? – spytał zaskoczony Faradž.

– Do naszego pokoju. Przespać się. Mam potężny jet lag, więc słoro czeka mnie tej nocy ryzykowanie życia w podziemiach miasta, chcę być w takiej formie, żeby umrzeć godnie albo przynajmniej wiedzieć, gdzie stawiam nogi. Bo teraz nawet to przyszkoby mi z trudem.

Rozległy się potakiwania i głosy aprobaty.

Niedługo po tym, jak położyłam się do łóżka, poczułam, że Faradž do mnie dołącza. Przynasnął się i objął mnie, przywierając całym ciałem. Zapadliśmy w głęboki sen.

ROZDZIAŁ 13

Wysliśmy z hotelu drzwiami służbowymi przebrani już za otraskanych speleologów miejskich – w kombinezonach neoprenowych pod kurtkami z polaru – i wsiedliśmy do dwóch furgonetek, które cuchnęły rybą. Dobrze się zaczynało. W sumie było nas dziesięcioro: nasza czwórka plus pięciu Turków z Nuranem na czele. Dzieci spały już w drugiej sypialni apartamentu, kiedy zesliśmy się, aby się przebrać i wysłuchać zasad bezpieczeństwa, których należało przestrzegać, gdy wejdziemy do tuneli.

Furgonetki jechały przez Beşiktaş, Dolmabahçe i Meclis-i Mebusan w kierunku Europy. Przebyliśmy most Galata i wjechaliśmy do Fatihu, starego Stambułu. Ruch uliczny, tutaj zawsze zawrotny, nadal był duży mimo nocy, mniejszy stał się dopiero, kiedy znaleźliśmy się w uliczkach dzielnicy Balat. Zatrzymaliśmy się przed narożnym trzypiętrowym domem o froncie pomalowanym na żółto i pomarańczowo. Kiedy Nuran otwierał stare drewniane drzwi, wyjęliśmy z furgonetek duże płócienne torby, po czym weszliśmy do budynku. Albo matka Nurana spała kamiennym snem, albo nikt tu nie mieszkał, nie miałam co do tego jasności, szybko bowiem przeszliśmy na dziedziniec wewnętrzny, na którym pośrodku królowała stara studnia nakryta ledwie paroma deskami.

Mimo że było ciemno choć oko wykol, nikt nie zapalił latarki ani żadnego innego światła. Wręczono nam łaski – po dotyku sądząc, solidne, chociaż leciutkie – i wielkie zwoje liny do przy mocowania do uprząży, również nic nieważące. Jeden z ludzi Nurana z największej torby wy dobył metalową drabinkę zwiniętą w rulon jak pergamin.

– Wydłuż ją o pięć metrów – powiedział ktoś po turecku. – Doktor Salina nie może skakać jak my.

W pełni się z tym zgadzałam. Człowiek Nurana pomajstrował przy drabince, wreszcie zaczął ją opuszczać do studni, rozwijając powoli. Odniosłam wrażenie, że sporo czasu zajmie nam zejście na dno.

– Na jakiej głębokości jest cysterna? – spytałam.

– Dwunastu, trzynastu metrów – odparł Nuran. – Ale proszę się nie martwić, nie ma żadnego zagrożenia.

Mam zejść dwanaście, trzynaście metrów po lichej metalowej drabince zwisającej w powietrzu...? Pomyślałam, że należałoby podnieść krzyk, pohamowałam się jednak, aczkolwiek miałam wielką ochotę stamtąd uciec. Uczepiłam się Faradża jak rzep, prosząc Boga, by dodał mi sił, gdy będę narażać własne życie.

– Drżysz? – szepnął do mnie mąż, cmokając mnie w nos, żebyśmy nie zderzyli się łaskami.

– Jeszcze jak! Buty mnie gniołły.

– Poważnie? Trzeba było wziąć większe.

Dwaj ludzie wspięli się na cembrowinę studni i jeden po drugim, opuszczając się po drabince, zniknęli w czeluści.

– Teraz pani doktor – rzekł Nuran.

– Ja? Czemu ja? Niech Kaspar idzie pierwszy. On jest ciężki. Sprawdźmy, czy drabinka wytrzyma.

– Jasne, że wytrzyma! – zdumiał się Nuran.

– Nieważne. Najpierw Kaspar, potem ja.

Były katon sapnął jak rozjuszony byk, lecz nic nie powiedział, tylko okraczył cembrowinę i zaczął schodzić. Drabinka bez problemu wytrzymała jego pokąźną masę, tak że nie pozostało mi nic innego, jak pójść jego śladem. Naciągnęłam rękawice z PCV, które mi podali, i weszłam do studni. Nogi mi dygotały i chociaż byłam przypięta do liny asekuracyjnej, na samą myśl, że omsknie mi się noga albo ręka, oblewał mnie zimny pot. No cóż, nie przyszłam na świat, żeby święcić triumfy w Cirque du Soleil.

Z dna studni świeciły czołówki tych, którzy już tam byli i przyświecali mi teraz albo patrzyli na mnie (efekt był ten sam), gdy schodziłam po tej śmiesznej drabince. Słychać było cichy szmer wody, lecz póki nie znalazłam się na dole, nie zdawałam sobie sprawy, że unosimy się na dmuchanych tratwach, ponieważ ten ogromny zbiornik był właściwie gigantyczną cysterną z wodą.

W starożytności wodę dla Konstantynopola sprowadzano z odległości dwudziestu kilometrów, toteż Bizantyńczycy zbudowali akwedukt Walensa, by doprowadzać ją do miasta, wcześniej jednak, podobnie jak w Aleksandrii, gromadzili ją w ogromnych cysternach, aby zawiesiny osiadły na dnie i aby w razie wojny i oblężenia miasto nie pozostało od niej odcięte. W starym Konstantynopolu istniały setki cystern, dużych i małych. Oczywiście współczesny Stambuł nie korzystał z tych zbiorników, woda jednak nadal płynęła starożytnym systemem wodociągów, którego tylko niewielką część znano. A miejsce, gdzie właśnie się znaleźliśmy, należało do tej części nieznaney.

Abby zeszła zaraz po mnie, dając dowód wielkiej sprawności fizycznej, jakby robiła to codziennie, i to – jakżeby inaczej! – perfekcyjnie, następnie Faradz, który co prawda nie wyglądał się raczej zwinnością, za to zsunął się po drabince z zawodową godnością znanego archeologa – teraz ja patrzyłam na niego z dołu, a że silną latarkę na kasku miałam zapaloną, widziałam wszystko wyraźnie. Wkrótce wszyscy byli już na dole.

– Wiosła – powiedział Nuran, wręczając nam krótkie pagaje. – Kłękamy na tratwie i wiosłujemy.

Wszystko wokół spowijała czerń z wyjątkiem skrawków przestrzeni oświetlanych przez latarki na kaskach. Cysterna naprawdę była wielka, kolosalna, chociaż nie taka duża jak tamta w Aleksandrii, którą przebyliśmy pieszo w wodzie po szyję i z której wyszliśmy... No dobra, lepiej nie wspominać takich przykrych rzeczy, zwłaszcza będąc w innej cysternie. Ciekawe, co tam pływa w tej czarnej wodzie. Smród jeszcze nie był zbyt silny, lecz wiedziałam z doświadczenia, że im bardziej się oddalimy od wejścia, tym trudniej będzie oddychać.

Wpłynęliśmy w murowany tunel częściowo pokryty tłustym, lepkim nalotem i posuwaliśmy się nim naprzód, miarowo zanurzając wiosła w wodzie. Między jednym a drugim ich uderzeniem mój słuch, równie dobry jak węch, wychwytywał dokoła piski i szelesty, od których włoski mi się jeżyły na skórze. Tunel ciągnął się i ciągnął, nogi w końcu mi zdrętwiały. Nie przywykłam do kłęczenia, więc kiedy tak siedziałam na piętach, krew źle krążyła w nogach i gdy od czasu do czasu zmieniałam nieco pozycję, czułam przykre mrowienie. Piski i szmery towarzyszyły nam bez ustanku.

Imponująca była ta sieć tuneli. W kanale co rusz pojawiały się dwie albo i trzy odnogi. Mijałyśmy większe i mniejsze komory z niszami w ścianach. Jedną w całości pokrywały karaluchy, skorpiony, chrząszcze, gąsienice, pająki... i nie wiem co tam jeszcze. Wolałam nie patrzeć, żeby mi nie odbiło i żeby nie skończyła jak dziewczynka w *Egzorcyście*, której głowa zaczęła się obracać niczym bąk. Człowiekowi, którego miałam przed sobą na tratwie, spadło coś na kask. Ze śmiechem strącił to coś ręką i zażartował, że nie wiadomo, kto kogo w końcu zje, jeśli utknemy w tych tunelach. Mnie to wcale nie ubawiło.

W końcu dotarliśmy do kolejnej cysterny. Była większa od poprzedniczki, dźwięki odbijały się w niej przerażającym echem. Z pewnością od lustra wody do sklepienia było dobre dwadzieścia metrów.

– Uwaga na wiosła! – zawołał Nuran, aż złąkliśmy się wszyscy.

W wodzie unosiło się ciało twarzą do dołu. I nie było to ciało starożytnego Bizantyńczyka, co to, to nie. Dżinsy i kurtka wskazywały na nieco nowsze czasy.

Kaspar, Nuran i jeden z jego ludzi wiosłami odepchnęli zwłoki od naszej gumowej tratwy. Na nieszczęście przepłynęły obok mnie po prawej. Nieboszczyk miał wielką dziurę w potylicy, brzegi rany były obrzmiałe i zielonkawe (efekt rozkładu w wodzie).

– Poczęstowali go kulką – zauważył po turecku dowcipniś z przodu, ten, który się szykował jeść robaki.

Sama nie wiem, co mnie bardziej martwiło: pływający w wodzie trup czy socjopata na tratwie. Pomodliłam się mimo wszystko za martwego biedaka, a jeszcze żarliwiej pomodliłam się o to, żebyśmy nie skończyli jak on, to znaczy pływając w tej czarnej wodzie.

Omijałyśmy grubaśne, wysokie kolumny porostawiane w cysternie, kierując się na ukos ku

przeciwnemu końcowi, a kiedy dotarliśmy tam, ujrzelśmy kamiennie stopnie.

– Tu kończy się woda – oznajmił Nuran.

Wyskoczyliśmy na schody i wyciągnęliśmy tratwy, spuściliśmy z nich powietrze, żeby je poskładać i zabrać ze sobą. O ile na wodzie przenikał mnie strach i niepewność, o tyle teraz, gdy szłam po rumowisku, łaskiem niemal dotykając sklepienia, czułam prawdziwą odrazę. Kroczyliśmy po grubej warstwie robactwa, które oblażyło nam nogawki kombinezonów i trzaskało pod butami jak lupiny suchych owoców. Ja łaskiem trącałam tylko czasem sklepienie, za to biedni Faradz i Kaspar musieli iść cały czas zgięci wpool, podobnie jak Abby, prawie tak wysoka jak oni. Turcy, wzrostu mniej więcej mojego, tylko pochylali nieco głowę. Wszędzie wokół rozlegały się piski szcurów, głośniejsze, ilekroć mijaliśmy wyłoty niewidocznych korytarzy bądź tuneli, które kończyły się Bóg wie gdzie (jeśli się kończyły). Budziły grozę. W jednej z komór naszym oczom ukazały się łańcuchy i metalowe pierścienie. Szczątki nieszczęśników ongiś w nie zakutych stanowiły teraz część pyłu na podłożu, po którym szliśmy, a pożywiły poprzednie pokolenia wstrętnych stworzeń bożych rojących się nam pod nogami. Wszędzie unosił się mdlący smród odchodów i zgnilizny; żołądekmi wywracało, nieraz pociągało mnie na wymioty.

Wreszcie dotarliśmy do końca tunelu, który łagodnie otworzył się znowu na wodę.

– Nie warto pompować tratw – poinformował Nuran. – To tylko szlam, da się przejść. Sięga najwyżej do kolan.

Faradz i Kaspar oslepili mnie naraz swoimi latarkami czołowymi, gdy obaj równocześnie obrócili głowę w moją stronę.

– Nie będziesz się bała w to wejść? – zapytał mój mąż z troską.

Przemyślałam to dogłębnie, pierwsza bowiem odpowiedź, jaka cisnęła mi się na usta, brzmiała: „Będę”. Jakże mam wejść po kolana w cuchnące bizantyńskie błoto, skoro umieram na samą myśl o tym?

– Ile nam zajmie przejście przez to błoto? – zapytałam Nurana.

– Najwyżej dziesięć minut.

– W porządku. Faradz, ty mnie poniesiesz pięć minut, Kaspar drugie pięć.

– Poniosę cię? – zdumiał się były katon. – Jak? Na plecach?

– Oczywiście – odparłam.

– O, nie, nic z tego! – zbuntował się. – Ani myślę. Niech cię mąż niesie.

– Kochanie, powinnaś iść jak wszyscy – próbował się wymigać Faradz. – Nic ci się nie stanie.

– Mam iść przez ten szlam? – spytałam z odrazą w głosie. – Chcecie, żebym szła przez taką gnojówkę?

– Basileja, nie będę cię nioś! Idź przede mną, no już!

– Ale Faradz...!

– Żadne ale! Marsz! – rozkazał.

Nie wiem, czemu go posłuchałam. Nigdy w życiu nie zrobiłam nic wstrętniejszego. Wolno podeszłam tam, gdzie Turcy już na nas czekali, i jedną nogą weszłam w cuchnącą, kleistą maź. Ciarki przeleciały mi po całym ciele. Czemu stale przydarzają mi się takie rzeczy? Nie mam przecież w sobie ani krzty żądz przygody! Urodziłam się, żeby być badaczką, pracować naukowo, wieść cudowne, osiadłe życie w otoczeniu bizantyńskich kodeksów w jakimś wygodnym, ładnym biurze.

– Naprzód marsz, pani doktor! – ponaglił Kaspar, wymijając mnie długimi krokami.

– A żebyś się przewrócił i wpadł w to paskudztwo po uszy! – rzekłam życzliwie.

Faradz zwrócił się ze mną, Abby także nas wyprzedziła, depcząc po piętach Kasparowi.

– Chodź, będziemy szli razem – powiedział mój bohater.

Objął mnie ręką i pociągnął tak szybko, jak tylko dało się przedzierać przez lepkie błoto. Zaczął mówić o Isabelli, o tym, jak wyrosła i dojrzała przez ten rok, i że powinniśmy ją namówić, aby się przeniósła do akademika, zamieszkała z innymi studentami.

Oczywiście dałam się podejść. Odezwał się we mnie instynkt Salinów, który kazał mi się wdać w ożywioną dyskusję na temat obowiązku Isabelli pozostania pod naszym dachem, póki nie stuknie jej co najmniej pięćdziesiątka. Faradz stanowczo twierdził coś wręcz przeciwnego, powtarzając bez przerwy to o wyprowadzeniu się do akademika, toteż ani się obejrzałam, a już zostawiliśmy za sobą bajoro, mój mąż zaś uśmiechał się z satysfakcją jak po dobrze wykonanej robocie. Było jasne, że zatańczyłam, jakimi zagrał.

– Widziałś węże, które koło nas pływały? – zagadnął były katon ewidentnie w złej intencji.

– Może zabierzesz sobie jakiegoś szczura do Paradejsosu? – prychnęłam w odpowiedzi.

Jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów dalej stanęliśmy przed ścianą z ciasno ułożonych starych bizantyńskich podłużnych cegieł. Sądząc po rozmiarze, kształcie i użytej zaprawie, mur pochodził z XII lub XIII wieku i obwieszony był grubymi, gęstymi, długimi pajęczynami.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył Nuran z zadowoleniem. – Znajdujemy się dokładnie pod Kanlı Kilise.

– Pod czym? – zdumiał się Kaspar, unosząc koniuszek lewej brwi tak, jak jeszcze nigdy nie widziałam.

– Kanlı Kilise to turecka nazwa Świętej Marii od Mongołów – wyjaśniłam. – To znaczy „Krwawy Kościół”. Od walk, które toczyły się w tej części miasta między grekokatolikami i Turkami w czasie zdobywania Konstantynopola.

– No dobra – zniecierpliwiał się były katon – ale jesteśmy w dobrym miejscu, tak?

– Proszę zobaczyć – zachęcił nas Nuran, który z kieszeni spodni wy dobył plan i rozłożył go.

Podeszliśmy do niego i kiedy ustawialiśmy się wokół, zanim coś powiedział, zapadła na

moment cisza, w której wyraźnie usłyszeliśmy głosy i kroki zbliżające się do nas. Zamarliśmy, spoglądając po sobie.

– Kryć się! – szepnął Kaspar.

Rozproszyliśmy się zaraz w tym odrażająco brudnym miejscu, szukając osłony za stertami śmieci i kamieni osypanych w tunelach. Ja przycupnęłam z Faradżem między kupą gruzu a ceglana ścianą Panagía Mujliótissa, zaraz na prawo od tunelu. Kaspar i Abby byli po drugiej stronie, na lewo od wylotu, wtuleni w nieduży kawałek odbudowanego muru. Nurana i jego ludzie nigdzie nie było widać. Pogasiiliśmy latarki czołowe i wszystko spowila ciemność.

Bardzo mi się to nie podobało. Z pewnością zbliżający się do nas ludzie byli także speleologami miejskimi, którzy zupełnie przypadkowo wybrali tę samą drogę co my akurat tej nocy. Aczkolwiek, pomyślałam i poczułam, jak w żyłach przybywa mi adrenaliny, może chodzić o tych, co zamordowali człowieka, na którego natknęliśmy się w drugiej cysternie. Faradż objął mnie w pasie i ściągnął na dół, nie zdawałam sobie bowiem sprawy, że ciągle stoję zdrętwiała ze strachu.

Tamci wolno się przybliżali i o ile mogłam się zorientować, nie mówili po turecku. Faradż mocniej mnie objął, nakazując mi absolutną ciszę. Nadchodzący nie mówili także po angielsku. Głos jednego wydał mi się znajomy. Nieprzyjemny, lecz znajomy. I wtem, gdy niecałe dziesięć metrów dzieliło nas od przybyszów i ich latarki dosięgły muru Świętej Marii od Mongołów, ktoś z nich zapytał po włosku:

– Kapitanie, ten facet naprawdę wie, dokąd nas prowadzi?

– *Eh, Herr professor!* – odrzyknął w odpowiedzi niezapomniany i nie do pomylenia z żadnym innym głos Gottfrieda Spittlera, funkcjonariusza watykańskiej Gwardii Szwajcarskiej, naszego ulubieńca.

– Zostaw mnie pan w spokoju, Herr Spittler! – burknął ktoś nieuprzejmie.

Jakś drobny ruch na lewo od nas sprawił, że odwróciłam głowę. W słabym świetle dochodzącym z tunelu zobaczyłam dziwną minę Abby. Kaspar przytrzymał ją za ramię. Obejrzałam się na Faradża, szukając wyjaśnienia, ale mój mąż wpatrywał się w światła zbliżające się w tunelu. On także minę miał dziwną – wyglądał na potwornie wkurzonego. Tak jak ja rozpoznał głos naszego przyjaciela. Dopadły mnie objawy duszenia z powodu ściśnięcia głowni. Ze strachu o mało nie wyszłam z siebie. Gorszą sytuację trudno by sobie wyobrazić: dochodził do nas Gottfried Spittler w miejscu, gdzie najmniej można było się go spodziewać, a ja nie miałam pod ręką lodówki, by włożyć do niej głowę. Krew zaczęła mi dudnić w uszach.

Nie widzieliśmy ich dobrze, ponieważ oślepiali nas latarkami. Już tylko dwa, trzy metry dzieliły ich od nas. Wtem jakieś diabelnie ruchliwe cienie rzuciły się na nich. Krzyki, uderzenia, złorzeczenia... Latarki czołowe poleciały na ziemię, potłukły się i wszystko znowu spowila

ciemności. Huknął strzał, gdzieś pod sklepieniem zaiskrzyło. Następnie rozległ się kolejny strzał i jeszcze jeden, słychać było uderzenia i przekleństwa w różnych językach. Oboje z Faradżem nie mieliśmy odwagi choćby drgnąć, ja w milczeniu walczyłam o oddech, aż pomógł mi, o dziwo, kolejny strzał, gdy pocisk trafił w podłóżę tuż obok mnie. Tak się wystraszyłam, że naraz ustąpił ścisk gardła i powietrze swobodnie popłynęło mi do płuc. Super, miałam więc już dwa sposoby: zamrażarka i strzał z broni palnej. Faradż mocniej przyciągnął mnie do siebie, odsuwając jak najbardziej od skraju sterty gruzu. Domyśliłam się, że on również śmiertelnie się przeraził.

Odgłosy bijatyki z wolna przygasaly, aż w końcu zupełnie ucichły. Zapłonęły ledowe światła na kaskach zwycięzców – lecz kim oni byli? Kto z kim stoczył tu walkę? No i najważniejsze: kto wygrał?

Czterech czy pięciu ludzi leżało bez czucia na usłanym śmieciem podłożu tunelu. Szczęśliwie nikt z naszy ch, a jednego z tamty ch rozpoznałam od razu: Gottfrieda Spittelera we własnej osobie. Jego twarz o bardzo jasnej cerze usianej piegami prześladowała mnie latami w koszmarnych snach i teraz widziałam, że w ogóle się nie zmieniła: policzki przecięte pionowymi zmarszczkami w stylu twardziela, ciemne znamię pod dolną wargą, jasne brwi lekko uniesione na końcach i oczy, w tej chwili zamknięte, tak jasnoszare, że wydawały się że szkła.

– Pani doktor?... – zapytał Nuran niewidoczny za oślepiającym światłem. – Panie profesorze? ... Nic państwu nie jest?

– Nuran? – odezwał się mój mąż, wstając. – Co tu się stało?

– Państwo Simonsonowie bali się, że coś takiego może się zdarzyć – rzekł Turek, zapalając dodatkową latarkę – dlatego kazali nam chronić was.

– Bali się, że coś takiego może się zdarzyć? – powtórzyłam, podchodząc do nieprzytomnego Gottfrieda Spittelera, który jakszmaciana kukła leżał na ziemi.

– Tak Kazali was chronić przed nimi. – Światło latarki padło na pięciu powalonych ludzi. – Przed gwardzistami z Watykanu.

Abby Simonson wolno podeszła do mnie, po czym przesunęła się ku jednemu z nieprzytomnych zbirów Gottfrieda. Ostrożnie przykłęka przy nim i odgarnęła mu brudne włosy z twarzy.

– Hartwig... – szepnęła. – Co ty tu robisz?

Hartwig?... Hartwig Rau, jej były mąż archeolog? Oczywiście Hartwig nie mógł odpowiedzieć, lecz pytanie było niewątpliwie właściwe: co on tu robił? Czy nie pracował przypadkiem w Egipcie, w Dolinie Królów? Tak przynajmniej twierdził Faradż. Co Hartwig Rau robił z Gottfriedem Spittelerem w bizantyńskich podziemiach Sztambułu, pod posadzką kościoła Świętej Marii od Mongołów? Jakim cudem dziadkowie Abby odgadli, że coś takiego może się

zdarzyć, i polecili nas pieczy speleologów, którzy jak się okazało, są niezły mi zabijakami?

Rzekomy pracownik Çırağan Palace Hotel, znany nam dotąd jako Nuran Arslan, dokonał w tej chwili właściwej prezentacji:

– Mogą państwo dalej nazywać mnie Nuran, chociaż to nie jest moje prawdziwe imię. To moi koledzy: Yakut, Mehmet, Kemal i Basar. Pracujemy w dziale zabezpieczeń i ochrony osób w jednym z przedsiębiorstw państwa Simonsonów. Kiedyś służyliśmy wszyscy w tureckich siłach specjalnych. A, i jesteśmy też naprawdę speleologami miejskimi w wolnym czasie. – Roześmiał się.

Yakut, Mehmet, Kemal i Basar, którzy sprawnie związali i zakneblowali pięciosobową ekipę Spittlera, nic nie powiedzieli, zawtórowali mu tylko śmiechem. Bardzo mi się to nie podoba, pomyślałam. Abby przyglądała się wszystkiemu, nie odsuwając się z nadto od swojego byłego męża, który teraz, ze związonymi nogami, rękami skrępowanymi na plecach opaskami zaciskowymi, z zasłoniętymi oczami i ustami zaklejonymi kawałkiem taśmy, przy pominał bezbronnego zakładnika dżihadystów, wyglądał jak ci biedacy pokazywani ostatnio prawie codziennie w wiadomościach.

Nasi byli komandosi tureccy skończyli pętać jeńców i usadowili ich opartych – jako tako, bo byli bezwładni – pod ścianą tunelu. Skądś powyciągali całą stertę broni: ząbkowane szerokie noże, pistolety, automaty, na których widok zjeżyły mi się włosy.

– To naprawdę twój były mąż? – zwrócił się Kaspar do Abby, wskazując wysokiego mężczyznę, który nieprzytomny siedział oparty o ramię Gottfrieda Spittlera.

– Tak, to Hartwig – wykrztusiła Abby przez ściśnięte gardło. Schyliwszy się, podniosła z ziemi rozbite okulary. Ostrożnie podeszła do byłego męża i wsunęła mu je do kieszeni sponiewieranego polaru. – Nie wiem, co tu robi. – Gardło miała jeszcze bardziej ściśnięte. – I nie wiem, czy chcę wiedzieć.

– Ewidentnie przyszedł z ludźmi Watykanu – zauważył Faradz wyraźnie zły. – Czyli jedyne możliwe wytłumaczenie jest takie, że szanowny pan profesor Rau siedzi po szyję w sprawie ossuariów. A nasz stary przyjaciel – ciągnął, schyliwszy się, by jego twarz znalazła się na wysokości twarzy Spittlera – nie mógł czekać na zgodę na wykopaliska. Na pewno nie chciał, żebyśmy zjawili się tu przed nim i zdobyli to, co ma być przy Marii Paleologini. Wystąpił więc o zezwolenie, żeby zachować pozory, na wypadek gdyby coś się wydarzyło. Koniec końców reprezentują Watykan, nie da się ukryć.

– Skoro Hartwig jest wmieszany w sprawę ossuariów – szepnęła Abby, której po policzkach cichutko spływały łzy – to znaczy, że Watykan ma te same informacje co my. Hartwig o wszystkim wiedział, ale zawsze mówił, że to szaleństwo, wymysł, że on się w to nie bawi... Rozwiedliśmy się właśnie dlatego. Nie rozumiem... Nie potrafię pojąć, czemu teraz pomaga

Watykanowi w poszukiwaniu ossuariów.

Podeszłam do dziedziczki i położyłam jej dłoń na ręce. Z przykrością patrzyłam na jej łyż. Była we wszystkim tak doskonała, że łyż zupełnie do niej nie pasowały i oczywiście bez cienia wątpliwości świadczyły, że nadal kocha tego głupiego niemieckiego pieczeniarka.

Podszedł do nas Nuran.

– Nie możemy tracić czasu – szepnął do mnie, wskazując nieprzytomnych mężczyzn. – Musimy wejść teraz.

Kaspar przysunął się do Abby i ze smętną miną podał jej chusteczkę. Smutek był minimalny, ledwie widoczny, ale ja szóstym zmysłem wyczułam, że były katon nie jest obojętny na łyż dziedziczki. W głowie pojawiła mi się myśl przewrotna, pokrętna, zupełnie do mnie niepodobna i w jednej chwili ułożyłam z grubsza plan. Świetnie, powiedziałam sobie, powściągnając złośliwy uśmiešek

Podczas gdy Yakut z tym przeklętym automatem pilnował więźniów, wszyscy inni dostali po szpachelce i zaczęliśmy wydłubywać tynk spomiędzy cegieł w podziemnej ścianie pod kościołem Świętej Marii od Mongołów. Nikt nie wiedział, co jest za tym murem, żeby zaś nie spowodować osunięcia, mogliśmy wyjmować cegły od dołu tylko na szerokości około sześćdziesięciu centymetrów. Pod wpływem wilgoci oddziałującej przez wiele wieków i zmurszenia zaprawa wykruszała się bez trudu jak mąka, kolejno wyjmowaliśmy cegły i odkładaliśmy je ostrożnie, by żadnej nie uszkodzić, jakby to, cośmy robili, było jakąś potężną zbrodnią historyczną (i było nią oczywiście). Szybko wydłubaliśmy sobie wejście do Świętej Marii od Mongołów.

Nuran położył się na ziemi i wsunął do dziury latarkę i głowę. Z drugiej strony ściany dobiegł nas przenikliwy gwizd.

– Trafiliśmy na kryptę! – zawołał ze zdumieniem.

Nie bardzo wiedziałam, co to dla nas oznacza. W sumie wieść była z tych najlepszych.

– Jest jakaś trumna czy coś takiego? – spytałam niespokojnie.

– Sarkofag – odparł. – Po wyglądzie sądząc, powiedziałbym, że z porfiru.

Wycofał się z dziury i podniósł, otrzepując z kurzu ubranie, a wtedy Faradz wsunął się w otwór i znikł nam z oczu. Poczułam wyraźny niepokój.

– Basileja, chodź! – zawołał zaraz.

Nie zastanawiałam się ani chwili: lepiej umrzeć z nim niż osobno.

Kiedy wyprostowałam się w krypcie, zobaczyłam, że ma formę sklepionej kolebkowo piwniczki przylegającej dłuższym bokiem do ściany, w której przebiliśmy otwór. Na wprost niego, tam gdzie krzywizna sklepienia łączyła się z posadzką, na kamiennym podwyższeniu stał duży sarkofag, faktycznie wykonany z błyszczącego czerwonego porfiru. Pokrywą zdołała piękna

mozaika w stylu bizantyńskim przedstawiająca młodą śpiącą kobietę ubraną w długą czarną szatę, z włosami schowanymi pod również czarnym czepcem zawiązanym pod brodą. W rękach trzymała krzyż. Mozaika była dość prosta i nie byłoby w niej nic szczególnego, gdyby nie dwa detale: przedstawiała niewątpliwie mniszkę (choć aż dużo młodszą niż Maria w chwili śmierci), a w jej górnej części umieszczono złoto-czerwonego dwugłowego orła, godło cesarskiej dynastii Palaiologoi, Paleologów, z monogramem w centrum. To, że sarkofag zrobiono z porfiru, także było znaczącym faktem, ponieważ ten kamień, podobnie jak kolor purpurowy, zarezerwowany był dla bizantyńskich rodów panujących. Mieliśmy niesamowite szczęście, że od razu trafiliśmy na zapomnianą kryptę, w której od ośmiu wieków spoczywało ciało żony mongolskiego chana, a zarazem córki cesarza Konstantynopola, szlachetnej Marii Paleologini.

– Spójrz na to – powiedział mój mąż, oświetlając ściany piwnicy. – To wszystko naturalna słała. Ta krypta nie ma połączenia z żadnym budynkiem na górze.

Miał słuszość. Znajdowaliśmy się w grocie wydrążonej w litej skale, dostać się do niej można było jedynie przez ścianę, w której wydlubaliśmy otwór. To tłumaczyło, dlaczego nie odkryto jej przez osiem wieków.

– Jakoś musieli wnieść tu Marię – zauważyłam.

– A pewnie. Tak samo jak myśmy się tu dostali. Przez cysterny. A później zamurowali kryptę i tak mijają wieki.

– Ale dlaczego? – zdziwiłam się. – Logiczne, że jako fundatorka Świętej Marii od Mongołów powinna zostać pochowana pod posadzką kościoła, a przynajmniej w miejscu łatwo dostępnym, żeby mniszki mogły się do niej modlić. Była córką cesarza, na Boga.

– Może Maria sama tak chciała.

Wzdrygnęłam się, gdy obok usłyszałam gruby głos Kaspara. Nie spostrzegłam, kiedy dołączył do nas w krypcie. Abby także już była, otrzeptywała właśnie z kurzu kombinezon.

– Chciała, żeby ją pochowano w takim strasznym miejscu? – wyszeptałam. – To albo się bała, że jej grób zbezczeszczą tureckie hordy, które tu dotarły trzy wieki później, albo chciała coś ukryć.

– Chciała coś ukryć – zgodziła się ze mną Abby. – Coś, co dosłownie spoczęło z nią w grobie.

– W tym grobie – zaznaczył Faradz, wskazując sarkofag z czerwonego porfiru. – Otwieramy? Żołądekmi wywróciło, miałam jednak świadomość, że to nieuniknione.

– No to już – ponagliłam ich.

Z doświadczenia wiedziałam, jaki ciężki jest porfir, a tutaj na pokrywie była w dodatku cenna mozaika, która choć mała, także swoje ważyła. Ewidentnie była to robota dla facetów.

– Abby, podniesiesz lewy róg u wezglowia – powiedział Kaspar. – Ja podniosę prawy. Faradz, wy się zajmijcie dolną częścią, ale Ottavia niech stanie po tej stronie co ja. W ten sposób Faradz

i ja dźwigniemy większy ciężar po przelątej.

– Kurczę, mamy tu drużynę osiłków, którzy mogą się tym zająć! – zaprotestowałam. – Czemu ich nie zawołamy?

Kaspar posłał mi dzikie spojrzenie, lecz odpowiedzi udzielił Faradz, jego pomniejszone alter ego i zarazem mój mąż:

– Kochanie, nie możemy pozwolić, żeby tu weszli i zobaczyli sarkofag. Nie rozumiesz tego? Musimy sami się tym zająć. I to szybko.

Miał słuszość, pewnie. Zająłam wobec tego wskazane mi miejsce i na „trzy” wszyscy wyteżyliśmy siły, aby unieść ciężką pokrywę. Ani drgnęła. Porfir był ciężki jak ołów, twardość i odporność miał większą niż granit. Na dodatek Maria musiała być wysoka jak na kobietę swoich czasów, toteż sarkofag był duży.

Spróbowaliśmy dwa czy trzy razy, ale nie daliśmy rady. W końcu Kaspar krzyknął do Nurana, żeby przyszedł ze swoim najsilniejszym człowiekiem, i po chwili zjawili się z Basarem, pożeraczem robactwa.

W szóstkę zdołaliśmy jakimś cudem unieść nieco ciężką pokrywę z mozaiką – wystarczająco, by oderwać ją od dolnej części grobowca, do której była przymocowana. Za drugim razem, kosztem potwornego wysiłku, poruszyliśmy ją znowu odrobinę, przesuwając nieco na sarkofagu, tak że mogliśmy zobaczyć kawałeczek nóg Marii i czubek głowy w czepcu. Ostatecznie udało nam się przestawić wielko w poprzek skrzyni. Oczywiście nie było mowy o tym, żeby pokrywę odłożyć na ziemię, toteż resztkę sił przepchnęliśmy je do dolnej części, do nóg. Szczęśliwie okazało się, że szczątki Marii Paleologini są dużo mniejsze od grobowca, także cała cesarska córka – a raczej to, co z niej zostało – została odsłonięta.

Mimo że Abby była jak nieobecna i patrzyła pustym wzrokiem, odkąd ujrzała w podziemiach swojego eks, mimo że myślami zdawała się błądzić gdzie indziej, kiedy skończyliśmy przesuwac wielko, zwróciła się do Nurana władczym głosem:

– Teraz proszę stąd wyjść. Panowie nic nie widzieli.

Nuran dla odmiany spojrział na Faradza i na mnie i rzekł:

– Proszę się nie martwić. Nas tutaj w ogóle nie było.

Widok wnętrza sarkofagu dosłownie podnosił włosy na głowie. Oczywiście na tych kosteczkach nie było ani grama ciała, czemu trudno się dziwić, a mówiąc o kosteczkach, mam na myśli tylko czaszkę, resztę bowiem zasłaniały smętne fałdy czarnej szaty, która w swoim czasie na pewno była dobrej jakości, teraz zaś wyglądała tak jakby miała się rozpaść przy najlżejszym ruchu powietrza. W świetle ledów na kaskach i latarek czaszka nieboszczki Marii prezentowała się potwornie, częściowo tylko okrywał ją kaptur, który się zsunął, odsłaniając kość czołową i połowę ciemienia. Żuchwa się oderwała i opadła na bok, ani w niej, ani w szczęce nie pozostał nawet

jeden ząb. Wydawało się, że oczodoły zatłkano skrawkami starej szmaty, brudnej i dziurawej, okazało się jednak, że to wyschłe resztki gałek ocznych.

– Straszne! – wyszeptała Abby, krzyżując ręce na piersi, jakby Maria mogła wstać z grobu i razić ją w serce.

– Złatwimy to szybko – zapewnił ją Kaspar krzepiącym głosem.

– Trzeba odsunąć szatę – powiedział mój mąż, wyjmując z kieszeni polaru małe beżowe etui.

Od razu poznałam jego delikatne narzędzia archeologa stratygraficznego, najcenniejszy skarb, którego nie trzymał w bankowym sejfie niczym diamentów tylko dlatego, że kategorycznie mu zabroniłam.

Problem z odsunięciem szaty polegał na tym, że Maria miała ręce złożone na piersi i trzymała w nich kosztowny złoty krucyfik wysadzany kamieniami szlachetnymi. Z dłoni również pozostały same kostki, tyle że splecione ze sobą. Ale mój bohater, niewiele się zastanawiając, szczypczykami i dłutkiem ostrożnie je porozdzielał i wyjął z nich złoty krzyż, na który nie zwrócił większej uwagi, tylko odłożył go przy głowie Marii. Następnie pod naszym baczym spojrzeniem zaczął szukać szwu w szacie będącej całunem bizantyńskiej basilei, która zdawała się strzec tyłu tajemnic i która o tyłu rzeczach wiedziała za życia. Niestety, nigdzie nie było widać szwu, toteż Faradz w końcu zaczął pośrodku rozcinać tkaninę od dołu do góry, starając się robić to jak najostrożniej.

Kaspar, Abby i ja wstrzymaliśmy oddech, gdy mój mąż z bezdusnością archeologa zajmował się zwłokami mniszki. I dlatego w gęstej ciszy słyszeliśmy od czasu do czasu dobiegające z tunelu suche uderzenie, potem zduszony jęk bólu. Za każdym razem biedna Abby się wzdrygała, odgadnąwszy, że ocknął się któryś z więźniów, może jej ukochany Hartwig, i Yakut wymierzył mu cios kolbą automatu, by na powrót uspić delikwenta.

Wreszcie Faradz skończył rozcinać szatę. Wszyscy z ulgą wypuściliśmy z płuc wstrzymywane dotąd powietrze, chociaż teraz miało nadejść najgorsze. Mój mąż dwiema parami szczypczyków odciągnął na boki tkaninę, odsłaniając cały szkielet córki cesarza Michała VIII Paleologa. Jej ciało za życia musiało być kształtne i piękne. W klatce piersiowej pod mostkiem – żebra wyglądały na dziwnie krótkie i nisko ułożone – spoczywała piękna szkatułka z czystego złota odrobinę tylko splamionego zaschłymi sokami, które były efektem rozkładu. Kaspar, który włożył gumowe rękawiczki, wydobyl ją pomiędzy kości Marii.

– Ktoś przeciął jej żebra po śmierci, żeby schować szkatułkę do klatki piersiowej – powiedział Faradz, układając ukochane narzędzia w etui.

– Na pewno sama tak zarządziła – zauważyłam, przyglądając się, jak Kaspar próbuje otworzyć wypukłe złote wieczko. – Poleciała zbudować kościółek, który mamy nad sobą, i mały klasztor, na pewno też kazała wyszykować tę ukrytą kryptę i w niej chciała zostać pochowana ze

szkatułką w piersi. Wiedziała, że rozkład organów wewnętrznych zniszczy każdy materiał pochodzenia organicznego, ale nic nie zaszkodzi złotu.

Były katon wciąż bezskutecznie walczył z wieczkiem puzderka. Zniecierpliwiłam się, podeszłam do niego i wyjęłam mu je z rąk. Nie miało żadnych zdobień. Było proste i gładkie, niczego na nim nie wyryto.

– Miała wielki sekret – mówiłam, wciskając ukryty mechanizm zamykający, jaki chętnie stosowano w szkatułkach bogatych bizantyńskich szlachcianek.

Część starego mechanizmu wyskoczyła i wieczko się podniosło. Opadłszy na ziemię, usiadłam ze skrzyżowanymi nogami niesamowicie ciekawa, co może się kryć w środku. Pozostali otoczyli mnie i przykłądli albo się nachyliłi, aby lepiej widzieć.

Wewnątrz znajdowały się stare dokumenty w różnych odcieniach i sporządzone na różnych materiałach, jednakże trzy były, o dziwo, osobliwie białe – rzecz niespotykana w znaleziskach tego rodzaju. Poskładano je starannie, aby wyglądały na jak najmniejsze. Gdybym nie była paleografem, bałabym się ich dotknąć, aby się nie zniszczyły, lecz umiałam się obchodzić ze starymi dokumentami, szczególnie bizantyńskimi. Czy nie byłam światowej klasy ekspertem w tej dziedzinie?

Wzięłam do rąk i cierpliwie, tak wolniutko, jak tylko się dało w tych okolicznościach, zaczęłam rozkładać pierwszy z niewytłumaczalnie białych arkuszy o gładkiej, delikatnej fakturze. Na zgięciach nie widziałam żadnych uszkodzeń. Arkusz był niewiarygodnie giętki i jakimś cudem zachował piękną, błyszczącą biel. Nigdy nie widziałam takiego papieru i choć może wydać się to dziwne, w pierwszej kolejności przyszło mi do głowy, że został wyprodukowany w Chinach, tylko tak bowiem dawało się wytłumaczyć jego obecny wygląd po ośmiuset latach.

Kiedy skończyłam go rozkładać, zdumiałam się jeszcze bardziej, spojrzawszy na tekst, ponieważ został napisany elegancką greką, ale pędzeliem, nie ptasim piórem czy trzcinką, tak że wyglądał na wyjątkowo oryginalny dokument w stylu wschodnim. Nie miałam okularów do czytania, światło też było za słabe, przebiegałam więc wzrokiem po malutkich pochyłych literkach, podświadomie wyluskując większe, aż natknęłam się na podpis na końcu listu – ku mojemu jeszcze większemu zdumieniu skreślony alfabetem łacińskim.

W pierwszej chwili nie dopuściłam do siebie tego, co przeczytałam. A może tak. Nie wiem. W każdym razie nie reagowałam, bo nie dowierzałam własnym oczom. Dopiero Kaspar nagle powiedział na głos:

– Marcus Paulus Venetus...?

– Nie poznajesz, kapitanie? – spytałam, próbując przełknąć nieistniejącą ślinę w kompletnie wyschniętych ustach.

– Niemożliwe! – zawołał naraz mój mąż, kiedy to do niego dotarło. – Niemożliwe!

- Kto to jest? – spytała Abby naiwnie.
- Marco Polo 7 Wenecjanin – odparłam.

ROZDZIAŁ 14

Ze złotą kasetką ukrytą między kombinezonem z pianki a kurtką z polaru (wolałam nie myśleć, gdzie rzeczona kasetka spoczywała przez ostatnie osiem wieków) wiosłowałam na burcie dmuchanej tratwy, na której Abby, Nuran i ja płynęliśmy do wyjścia, by wrócić do hotelu. Kaspar z pozostałymi czterema Turkami został z więźniami, których zamierzał przesłuchać delikatnie i spokojnie, kiedy my wystarczająco się oddalimy. No cóż, znając Kaspara – i abstrahując od jego wielkoduszności mocno pomniejszonej po śmierci żony – już widziałam, jak Gottfried Spitteler i Hartwig Rau w duecie śpiewają *Traviatę* Verdiego cienkimi głosami kastratów. Kaspar się nie patyczkował, już Watykan przygotował go do tego jak należy. A co dopiero mówić o czterech Turkach z sił specjalnych (Yakucie, Mehmedie, Kemal i Basarze), którym w życiu nie dałabym do ręki pudełka zapalek, boby podpalili świat.

Obawiałam się tylko o męża, który jako archeolog, erudyta i akademik o budowie raczej cherlawej nie pasował ani do tej grupy zabijaków, ani do sytuacji. W gruncie rzeczy został z nimi tylko po to, by załatać otwór w murze prowadzący do sekretnej krypty kościoła Świętej Marii od Mongołów, ponieważ on jeden potrafił to zrobić wystarczająco zgrabnie, by nie pozostał zbyt widoczny ślad naszej bytności. Maria Paleologini zasługiwała na spokój w miejscu ostatniego spoczynku.

My z Abby na tratwie wracałyśmy z Nuranem do hotelu, aby jak najszybciej zabezpieczyć szkatułkę i zacząć przysyłać znalezione w niej materiały Jake'owi i Becky do Toronto. Już nam się nie spieszyło, by jakoś zapobiec wydaniu zgody na wykopaliska Watykanowi, radykalnie bowiem zneutralizowaliśmy to zagrożenie, niemniej zgadzałam się, że kopia wszystkich nowych dokumentów na wszelki wypadek powinna się znaleźć u Simonsonów. Kto zaręczy, że z Watykanu nie przyjdą kolejne wytyczne nakazujące zrabować nam znaleźnisko?

Dotarliśmy do Çırağan Palace, kiedy słońce zaczynało barwić złotem wody Bosforu. Nuran pożegnał się z nami przy tych samych drzwiach służbowych, którymi wyszliśmy kilka godzin wcześniej, zapewniając, że w hotelu jesteśmy całkowicie bezpieczni, bo na każdym piętrze ma swoich ludzi. W milczeniu wsiadłyśmy z Abby do najbliższej windy i skierowałyśmy się prosto do apartamentu sultańskiego, gdzie w drugiej sypialni spali Isabella i Linus.

Ledwie zamknęłyśmy za sobą drzwi, ogarnęła mnie taka niemoc, że o mało nie padłam na podłogę. Złota kasetka ciążyła mi jak ołów, nie mogłam dłużej tego znieść, wyjęłam ją zatem spod kurtki i położyłam na pierwszym lepszym blacie, po czym ruszyłam prosto do pokoju, w którym spały dzieci. Chciałam się upewnić, że Isabella i Linus mają się dobrze, zanim pozwolę sobie na chwilę słabości.

Cichutko uchyliłam drzwi drugiej (niewiarygodnie luksusowej) sypialni apartamentu i w gigantycznym małżeńskim łóżu ujrzałam oboje śpiących spokojnie w złotym świetle poranka wpadającym przez panoramiczne okna. Z ulgą westchnęłam głęboko i wycofałam się cichutko.

– Śpią? – spytała Abby szeptem.

Kiwnęłam głową.

– Chcesz się przespać, Ottavio? Nie wyglądasz za dobrze.

O mały włos nie odparłam, że ona nigdy dobrze nie wygląda, ugryzłam się jednak w język. W sumie przecież to nie wina biedaczki, a dobry z niej człowiek. Ech, wstrętna baba jestem.

– Nie, Abby, dzięki. Nie położę się, póki Faradż nie wróci.

– To może weźmiesz prysznic i zjesz śniadanie? Te kombinezony strasznie cuchną, ciężko w nich wytrzymać tyle godzin. Tu są dwie łazienki.

– A, to chętnie – odparłam, próbując odzyskać humor.

Ponieważ w nocy przebieraaliśmy się w apartamencie Abby, moja odzież tu została, mogłam zatem się wykąpać i przebrać, czekając na Faradża. Choć padałam ze zmęczenia, wiedziałam, że nie zmruję oka, póki nie wróci cały i zdrowy z podziemi, aczkolwiek dzięki swojemu nadzwyczajnemu talentowi byłam zdolna sobie wyobrazić tuziny różnych strasznych rzeczy, które mogą mu się przytrafić.

Poszłam pod prysznic, by zmyć znużenie z ciała i duszy, Abby tymczasem podniosła telefon i zamówiła lekkie śniadanie na za dwadzieścia minut. Po kąpieli i wysuszeniu włosów wstąpiły we mnie nowe siły.

– Tworzyście z Faradżem cudowną parę – zaskoczyła mnie Abby, kiedy obydwie znalazłyśmy się na powrót w ogromnym salonie z widokiem na Bosfor.

– Cóż, nie zaprzeczę – odrzekłam z dumą, siadając.

I w tej chwili uświadomiłam sobie, że Abby musi się czuć koszmarnie. Odkryła, że jej były mąż skumał się z bandą niegodziwców i wykorzystuje informacje wyciągnięte od niej i od jej rodziny w czasach, gdy jeszcze byli małżeństwem. Wolalam sobie nie wyobrażać, jakie to musi być przykre.

– Ciągle kochasz Hartwiga? – spytałam.

Spojrzała na mnie wzrokiem nieodgadnionym.

– Chyba nie – odparła, podchodząc i siadając obok mnie na sofie. – Nie. Myślę, że już go nie kocham. Gdybyś mnie zapytała wczoraj wieczorem, nie wiedziałabym, co powiedzieć. Ale po tym, co zaszło dzisiaj, coś we mnie pękło na zawsze. Uważałam go za cudownego człowieka, a okazało się, że wcale taki nie jest.

– A wiesz, kto jest naprawdę cudownym człowiekiem?

– Faradż? – rzuciła ze złośliwym uśmiechem.

– Jasne! Ale on jest mój i nie wchodzi w grę. Nie, mówię o innym człowieku równie cudownym jak Faradż, chociaż dużo bardziej gburowatym i z niezbyt miłymi cechami, które mogą przyśłaniać jego urok

– Kaspar – domyśliła się.

– Zgadza się, Kaspar. Nie wpadł ci czasem w oko? Mówię o tym, bo zdaje mi się, że mu się podobasz.

Jej brzydka twarz nie mogła wyrazić większego zdziwienia.

– Mówisz poważnie? – wyjąkała. – Ale to... to przecież katon.

– Znam go piętnaście lat – powiedziałam, dramatycznie kładąc dłoń na sercu, aby wywrzeć wrażenie na romantycznej Abby. – W życiu nie spotkasz uczciwszego i bardziej honorowego człowieka. Ma dość burzliwą złą przeszłość, o której lepiej nie mówić, ale nie przypadkiem wybrano go na katona. To łagodny, czarujący mężczyzna, chociaż nawet przez teleskop tego nie wypatrzysz, bo ukrywa to za betonowym murem. – Cóż, może odmalowałam go zbyt pochlebnie, sprzedawałam jednak produkt i nie zamierzałam opowiadać potencjalnej nabywcy ni o jego niedostatkach i wadach. – A ponieważ znam go dobrze, głowę daję, że mu się podobasz – zakończyłam.

Ponieważ Abby zamarła w osłupieniu z rozdziawioną buzią, ja otworzyłam drzwi, kiedy przyniesiono śniadanie.

Jedzenie i kawa mocno nas pokrzepiły, tak że poczułam się nawet na siłach popracować nad dokumentami Marii Paleologini, póki Kaspar i Faradż nie wrócą. W zasadzie trudno nazwać to pracą, ponieważ w grę wchodziło tylko sześć dokumentów, w tym trzy na śnieżnobiałym papierze, a ja nie byłam w stanie przeczytać ani litery. Mogłam więc jedynie wyjąć wszystko z kasetki, sfotografować i przesłać całość do Toronto. Potrzebowałam do tego okularów i czystych bawełnianych rękawiczek, które przyniesiono mi z magazynu z pościelą – we dwie z dziedziczką stanowiłyśmy wystarczająco skuteczną ekipę. Złota szkatułka znakomicie uchroniła papier i atrament przed wilgocią, insektami i światłem. Wszystko było w niewiarygodnie dobrym stanie.

Ani Abby, ani ja nie mogłyśmy się powstrzymać przed oglądaniem dłużej niż trzeba listów podpisanych „Marcus Paulus Venetus” albo „*Μαρκο Πολο το Βενετικο*”, co się czyta „Marko Polo to Venetiko”. Oprócz nich były oczywiście jeszcze trzy dokumenty, lecz listy Marca Polo do Marii Paleologini przyciągały jak magnes nasze zmęczone oczy. Były niewiarygodnie piękne i do tego gotykowe: nie znaleziono ani jednego manuskryptu, który wyszedł spod ręki Wenecjanina, nawet jego testament był niepodpisany.

Jako dobra Włoszka, wyedukowana w porządnej szkole włoskich zakonnicek, nie tylko musiałam przeżyć straszne lekcje literatury poświęcone *Boskiej komedii* Dantego (która tyle później znaczyła dla Kaspara, Faradża i dla mnie), ale także oczywiście *Opisanie świata* Marca Polo

i Rusticella z Pizy, jego towarzysza niewoli po powrocie ze Wschodu i redaktora dzieła. *Opisanie świata* jest rzecz jasna strawniejsza niż *Boska komedia*, ale mimo wszystko na osoby nastoletnie działa wybitnie usypiająco. Niemniej z wiekiem człowiek zaczyna czuć dumę, że miał do czynienia ze spuścizną tak wielkich ludzi jak Dante i Marco Polo. A to, co się z przymusu czytało w dzieciństwie i młodości, pozostawia jednak w człowieku ślad na zawsze. W chwilach takich jak ta w Stambule nieuchronnie się zastanawiałam, co złego uczyniłam w życiu, że prześladują mnie i nękają dzieła włoskie powstałe w XIII i XIV wieku. Każde wytłumaczenie, choćby najbardziej absurdalne, mogło pełnić rolę przekleństwa.

Kończyłyśmy, gdy zadzwonił telefon w apartamencie. Abby podniosła słuchawkę i bez słowa przez chwilę słuchała, po czym nie patrząc na mnie, odłożyła.

– Ottavio – rzekła poważnym głosem – coś się stało. Dzwonił Nuran.

Ziemia usunęła mi się spod stóp. Wszystko stanęło w miejscu, zabrakło mi tchu. Faradž.

– Musimy jechać do szpitala uniwersyteckiego Özel – ciągnęła Abby. – Tam przewieźli Kaspara i Faradża.

Zaczęłam drzeć od stóp do głów, nie mogąc nad tym zapanować. Ale nie miało to znaczenia, bo i tak nic nie czułam. Abby podbiegła i złapała mnie za ręce.

– Będzie dobrze, nie martw się, będzie dobrze... – powtarzała, szukając mojego oszołomionego wzroku.

– Co...? – wyszeptalam.

– Co się stało? – dokończyła za mnie. – Strzelano do nich. Zginęli dwaj ludzie Nurana. Trzeci przekazał wiadomość. Kaspar jest ranny w nogę, a Faradž w ramię. Szykują ich właśnie do operacji.

– Do...?

– Tak, muszą ich zoperować, ale rany nie są poważne. Nie martw się. Wyzdrowieją. Obydwaj. Faradž jest w lepszym stanie niż Kaspar. Cała banda Gottfrieda Spittelerera, łącznie z Hartwigiem, zdołała uciec.

– Jak?

– Spittelerowi udało się wyswobodzić z pęt i dobyć broń.

Gottfried Spitteler. Nieznany ogień zapłonął mi w piersi. Nigdy dotąd takiego nie poczułam, lecz wiedziałam, co to jest: pragnienie zemsty, pragnienie zamordowania Gottfrieda Spittelerera. Zanim skończy się cała ta historia, Gottfried Spitteler zapłaci mi za to, że strzelał do Faradża, że usiłował go zabić. Za daleko się posunął. I sprawił, że ja także posunę się daleko.

Nie myślałam jasno, wiem. W głowie mi się kotłowało, ledwie pamiętam drogę do szpitala w samochodzie, który prowadził Nuran. Tyle dobrego, że dzieci jeszcze spały, kiedy wychodziłyśmy z apartamentu. Była pewnie ósma, dziewiąta rano. Mój mąż Faradž, moja druga

połowa, był ranny, mógł umrzeć, mogłam go stracić na zawsze z winy Gottfrieda Spittelera. I tego się uczepliłam. Tej jednej myśli. Faradz może umrzeć. Faradz jest ranny. Oczywiście martwiłam się także o Kaspara, lecz w tej chwili w moich myślach nie było dla niego wiele miejsca. Pragnęłam tylko zobaczyć Faradza, przekonać się, że dobrze się czuje, że żyje, oddycha.

– Jesteśmy na miejscu, Ottavio.

Znałam szpital uniwersytecki. Byłam w nim już kiedyś, gdy Beste urodziła Hüseyina. Mieścił się w sąsiedztwie Uniwersytetu Marmara.

– Chodźmy, Ottavio.

Dziedziczka nieśmiało wzięła mnie za rękę i poprowadziła na rampę w ślad za Nuranem, który już przeszedł przez automatyczne drzwi. Ostry dyżur. Wchodziliśmy przez ostry dyżur.

Zanim doszliśmy do drzwi automatycznych, Nuran zdążył wrócić.

– Zabierają obu na salę operacyjną. Mamy czekać na chirurgii. Tam nas poinformują.

Poszliśmy na chirurgię, usiedliśmy na czerwonych krzesłach. Bez ruchu wpatrywałam się w posadzkę, niczego nie widząc. Pamiętam, że pomyślałam, iż powinnam zadzwonić do Isabelli, ale stwierdziłam, że nie, jeszcze nie teraz, później, gdy jej wujek będzie po operacji i dowiemy się, jaki jest jego stan. Wiem, że Abby dość długo rozmawiała z dziadkami, i to kilka razy. Nuran w pewnej chwili przyniósł mi kubek wody, który postawiłam na podłodze koło krzesła, nie zamoczywszy ust. I tam został. Wiem również, że Nuran opowiedział nam, co się stało pod kościołem Świętej Marii od Mongołów. Z jego ludzi jeden Mehmet wyszedł z tego bez szwanku.

– Ten watykański żołnierz oswoił sobie ręce – mówił. – Miał ukryty pistolet, którego nikt nie zauważył, kiedy związywaliśmy faceta. Z zimną krwią zaczął strzelać. Zabił Yakuta i Kemala. Potem strzelił do pana Kaspara, który rzucił się na niego, i trafił go w nogę. Poprzecinał nożem pęta pozostałych, a z tyłoma przeciwnikami Mehmet i Basar nie mieli żadnych szans. Profesor Boswell już był ranny, ale udało mu się schronić w krypcie, chociaż zdążył ją prawie zamknąć. Ten Niemiec, o którym pani mówiła „Hartwig” – zwrócił się do Abby – uciekł. I wtedy jeden z watykańskich zbirów zabił Basara. Mehmet przy upadku tak przywalił głową, że stracił przytomność. Na szczęście wzięli go za martwego, więc jak oprzytomniał, pomógł profesorowi Boswellowi i panu Kasparowi, z którym nie było dobrze. Potem znalazł miejsce, gdzie komórka miała zasięg, i zadzwonił do mnie.

Słyszałam głos Nurana i w głowie widziałam tę scenę, ale nic nie mogłam powiedzieć. Wszystko było mi obojętne oprócz Faradza. Chciałam go zobaczyć. Chciałam, by wreszcie opuścił tę przeklętą salę operacyjną. Chciałam go uściskać. Chciałam wrócić do naszego życia, do naszego spokojnego, szczęśliwego życia. I chciałam, żeby Simonsonowie z tą swoją obsesją zniknęli raz na zawsze i zostawili nas w spokoju.

– Posłuchaj, Ottavio...

Uprzykrzona, natrętna Abby Simonson! Czemu się nie odczepi i nie zniknie gdzieś na końcu świata?

– Proszę – powiedziała, podając mi chusteczkę higieniczną.

– Nie potrzebuję, dzięki – mruknęłam zde gustowana.

– Musisz czy mś wytrzeć łzy. Masz zmoczoną całą twarz.

Nie zauważyłam tego. Nie byłam nawet świadoma, że płacząc. Od tylu lat nie płakałam, że nie pamiętałam, iż mogę to robić. Wzięłam od niej chusteczkę i otarłam oczy i policzki.

Minęło dużo czasu. Kilka godzin. Wreszcie w południe lekarz w chirurgicznym stroju (nie zdjął jeszcze kitla ani czepka, maseczka zwisała mu z jednego ucha) wyszedł przez drzwi, rozglądając się na prawo i lewo.

– Rodzina Faradża Boswella?

Zerwałam się z czerwonego krzeselka i w okamgnieniu znalazłam się przed nim.

– Jestem jego żoną – rzekłam pokornie po turecku.

Ten lekarz zajmował się moim mężem, wiedział, jak on się czuje, mógł mi go zwrócić. W tamtej chwili był dla mnie bogiem.

– A, doktor Salina! – Uśmiechnął się. – Miło panią poznać. Jestem doktor Akoğlu. Proszę się nie martwić o profesora Boswella. Ma się świetnie. Kula przeszła przez lewe ramię między obojczykiem a łopatką. Musieliśmy go tylko pozszywać. Za kilka dni będzie jaknowo narodzony.

Odetchnęłam tak głęboko i z taką ulgą, że chirurg się roześmiał. Ja też. Naraz życie na powrót miało smak, a rzeczy kolory. Pachniało tu szpitalem i było bardzo gorąco. Do tej pory tego nie zauważyłam. Czas znowu zaczął płynąć.

– A co z Kasparem Jensenem? – zapytałam, posługując się fałszywym nazwiskiem Głaza.

– To państwa przyjaciel, prawda? Pani mąż też o niego pytał. Cóż, pan Jensen jest w gorszym stanie. Pocisk nie uszkodził wprawdzie arterii, ale pacjent i tak stracił dużo krwi, a w trakcie operacji dwa razy doszło do zatrzymania akcji serca. Musieliśmy zrobić mu transfuzję. Na szczęście udało się go ustabilizować. Wyjdzie z tego, chociaż potrwa to dłużej niż w przypadku profesora. To silny mężczyzna, inaczej by umarł.

– Mogę zobaczyć męża?

– Właśnie wiozą go tą windą – odparł, wskazując metalowe drzwi w przeciwnym końcu korytarza. – Zabrano go z sali przed chwilą.

– A Kaspar Jensen? – spytała Abby.

– Jeszcze tam jest – z żalem w głosie odparł chirurg, który znał angielski i zrozumiał ją. – Ale za mniej więcej pół godziny będzie po wszystkim. Trzeba mu pozszywać lewe udo. Wracam na salę. Pani doktor, było mi bardzo przyjemnie panią poznać.

Kiedy lekarz odszedł, powolutku odwróciłam się do Abby.

– Wracamy do domu – oznajmiłam, patrząc jej twardo w oczy. – Powiedz swoim dziadkom, że to koniec tej kretyńskiej historii. Jak tylko Faradz i Kaspar dojdą do siebie, wracamy do Kanady i nie życzę sobie, żebyście dalej nabijali im głowę jakimiś fantastycznymi historiami. Nie chcę, żebyście znowu narazili ich na niebezpieczeństwo. Słyszysz?

Abby kiwnęła głową.

– Nie martw się, Ottavio – rzekła ze smutkiem. – Wszystko jest przygotowane. Wracamy do Kanady, jak tylko skończy się operacja Kaspara. Dziadkowie wynajęli samolot-szpital z personelem medycznym, więc polecimy prosto do Toronto.

Zdumiałam się niebotycznie, lecz nic nie powiedziałam. Chciałam wrócić do domu. Z Faradem i Isabellą.

– Dzieci – wymamrotałam.

– Jadę teraz do hotelu po rzeczy i przywiozę je na lotnisko. Będziemy tam, kiedy karetka przyjadą. Nuran zostanie z tobą, wszystkim się zajmie.

– Dziękuję – powiedziałam oschle. Byłam zła na nią i na jej dziadków.

Abby obróciła się na pięcie i odeszła szpitalnym korytarzem. Jej długie jasne włosy, elegancki krok i światowość, którą emanowała, obwieszczały wszem wobec, że to znamienita dziedziczka potężnego rodu. Tego nie dało się ukryć.

Czekałam wpatrzona w drzwi windy, którą miał przyjechać Faradz. Nuran mi się nie narzucał. Stał bez ruchu na końcu rzędu krzeseł. Po pięciu minutach drzwi się otworzyły. Pielęgniarz z trudem wyciągał łóżko z windy, drugi trzymał w górze kropłówkę zawieszoną na drążku od stojaka. A pomiędzy nimi uśmiechnięty niczym księżę w dniu koronacji mój bohater patrzył na mnie, jakbym była jedyną gwiazdą na firmamencie, jedyną osobą na ziemi. Dobięłam do niego akurat w chwili, gdy łóżko wytoczyło się z windy.

– Proszę się odsunąć – rzekł do mnie po turecku pielęgniarz od kropłówki. – Nie widzi pani, że próbujemy wyjść?

Uściskałam Faradza, który objął mnie jedną ręką. Rozpoznałam jego zapach i ciepło, kształty jego ciała i głos, kiedy zawołał:

– Basileja, jak mogłaś mi to zrobić?

– Co ci niby zrobiłam? – odparłam ze śmiechem, wypuszczając go z objęć. – Dopiero ci zrobić: zabiję cię, jeśli ty jeszcze raz zrobisz mi coś takiego.

– Płakałaś przeze mnie? – zapytał ucieszony i szczęśliwy.

Łóżko jechało szpitalnym korytarzem do pokoju, a ja szłam obok

– Miałabyś płakać przez ciebie?... Chciałbyś!

– Ale płakałaś? – dopytywał, chwyciwszy moją dłoń wolną ręką, drugą bowiem spowijała

gruba warstwa bandaży.

Mimo śniadej cery Egipcjanina z domieszką krwi europejskiej widać było, jaki jest blady, miał też strasznie rozczochrane włosy. Idąc, przygładziłam mu brudną czuprynę.

– Jasne, że płakałam przez ciebie! Ale to się więcej nie powtórzy.

Roześmiał się szczęśliwy jak dziecko obsypane prezentami.

– Jak do mnie strzelili, mogłam myśleć tylko o tobie. Że jeśli umrę, więcej cię nie zobaczę. I wydawało mi się to absurdalne, bo przecież wiadomo, że nawet jak umrę, dalej będę z tobą. Dziwne, prawda?

Przysunęłam się i pocałowałam go w usta. Nigdy na głos o tym nie mówiłam, ale odkąd przed laty zakochałam się w nim, czasami gdy patrzyłam na niego, a on nie był tego świadom, myślałam, że choćbym żyła kilka razy, i tak uważałabym, że to za mało czasu na pozostawanie z nim. A nie mówiłam o tym na głos, ponieważ mój mąż był próżny i zarozumiały i kazałby mi to ciągle powtarzać. Ale wiedziałam to w głębi ducha. Tak samo jak wiedziałam, że chociaż jest apostatą i bezbożnikiem, marzy o naszym wspólnym pobycie w zaświatach, o wspólnej wieczności dla niego równie niemożliwej jak powabnej.

– Ależ z ciebie oryginalny ateista! – powiedziałam, mocniej ściskając jego dłoń. – Jasne, że będziemy razem, kiedy pomrzemy! Ale dopiero za jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat, co? Także zostało nam jeszcze trochę życia.

ROZDZIAŁ 15

Bepośredni lot do Toronto trwał około jedenastu godzin. Kabina pasażerska bez foteli przypominała połowy szpital wojskowy. Abby, dzieci i ja zajmowaliśmy miejsca w przedniej części, tam gdzie normalnie znajduje się pierwsza klasa. Linus fatalnie to przeżył, biedaczek. Bardzo był smutny, widząc ojca nieprzytomnego, z wymizerowaną twarzą, obwieszono go rurkami. Przed startem pozwoliliśmy małemu tylko chwilę pobyc z tatą, co rusz potem popłakiwał, a w końcu, kiedy już żadna z nas nie mogła go uspokoić, wzięłam go na ręce i kołysałam jak niemowlę, mimo że duży był z niego chłopiec. To na szczęście podziałało. Przytulony do mnie przespał ze dwie godziny, a po przebudzeniu był spokojniejszy, aczkolwiek myślę, że to dlatego, iż stałam się dla niego czymś w rodzaju bezpiecznego portu, w którym mógł się schronić. Nie przestawał na mnie zerkać, czy aby na pewno jestem na swoim miejscu, póki nie wylądowaliśmy w Toronto, a później stale trzymał się mnie w odległości pozwalającej mieć pewność, że nie zniknęłam. Serce mi pękało, gdy widziałam, jaki jest pogubiony bez taty.

Lekarze w samolocie nie mieli wiele do roboty ani przy Faradżu, który czuł się całkiem dobrze, acz z jedną ręką niesprawną, ani przy Kasparze, który miał się gorzej, lecz nic mu nie zagrażało. Abby parę razy zajrzała do rannych, byłam jednak pewna, że nie ze względu na Faradża, którego protesty słyszałyśmy co rusz (pierwszy raz, gdy lecieliśmy nad Budapesztem, i ostatni już w kanadyjskiej przestrzeni powietrznej), domagał się bowiem, by pozwolono mu wstać i przyjść do nas do pierwszej klasy. Oczywiście zgody nie uzyskał.

Przewieziono ich do Mount Sinai Hospital w Hospital Row, strefie szpitalnej przy University Avenue. Przyznać trzeba, że nie mogliśmy niczego zarzucić Simonsonom, a wręcz przeciwnie, zachowali się bowiem niesłychanie przyzwoicie. Nie ponosili przecież bezpośrednio odpowiedzialności za to, co się stało w trakcie tych szalonych poszukiwań przekłetych ossuariów, toteż słów brakowało na wyrażenie im wdzięczności za to, co zrobili. Bez wątplenia uczyli to, bo w jakimś stopniu czuli się jednak winni. Całkiem bez winy nie byli, niemniej pokazali, że zagni z nich ludzie. I oczywiście przebiegli, o tak bardzo przebiegli.

Cierpliwie odczekali, aż Isabella, Linus i ja wrócimy do domu i do niejakej rutyny. Faradża wypisano ze szpitala we środę 4 czerwca. Sądzę, że nie mogli go dłużej znieść, chociaż faktycznie czuł się całkiem dobrze, pominąwszy unieruchomioną rękę. Nie bardzo się uskarżał, acz wykorzystywał swój status rekonwalescenta, żebyśmy wszyscy skakali koło niego jak koło księcia jakiegoś. Linus bardzo się uspokoił, kiedy Faradż wrócił do domu. Wtedy pierwszy raz spał lepiej w nocy, nie budził się co rusz. Ale dla niego najważniejszym momentem dnia były odwiedziny u ojca, który w szpitalu zdrowiał w oczach. Kaspar był mocny jakbyki jego wrodzona twardość

nie skruszała z powodu posiłkanego uda. Simonsonowie z Abby na czele odwiedzili go dwukrotnie, nie spotkaliśmy ich jednak. Kaspar wyglądał na spokojnego, powiedziałabym nawet: szczęśliwego. I Faradž, i Kaspar codziennie mieli zmieniane opatrunki, lecz jak powiedział nam chirurg opiekujący się nimi, rany znalazł się goiły.

Kiedy w pełni odzyskaliśmy zadowolenie i poczucie, że wróciliśmy do swojego życia, rankiem w tydzień po powrocie do Toronto zadzwonił w domu telefon.

– To na pewno twoja matka – uprzedziłam Isabelle, zanim podniosłam słuchawkę.

– Nie sądzę – odparła spokojnie. – Wczoraj wieczorem rozmawiałam z nią przez Skype’a.

– Ottavia? – Głos Abby Simonson na drugim końcu linii natychmiast zwarzył mi humor.

– Cześć, Abby.

– No więc... wiesz, nie chcę być natrętna... ale dziadkowie byliby szczęśliwi, gdybyście wpadli do nas dziś po południu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Abby, skończyliśmy z tą historią z osuvariami, rozumiesz? Nie chcemy tego ciągnąć i w ogóle nie ma o czym mówić.

Słyszając moje słowa, Faradž zerwał się na nogi. Prawdę mówiąc, słowa mu nie pisnęłam o decyzji, którą podjęłam bez porozumienia z nim, i teraz po wściekłej minie wyrażającej protest rozumiałam, że nie zgadza się ze mną. Ale nie zważałam na to.

– Pamiętasz listy Marca Polo?

Jakja jej nienawidziłam!

– Nie bardzo – wykrztusiłam.

Stojący przede mną Faradž wymachiwał zdrową ręką na znak, że ma prawo głosu w tej sprawie.

– Dziadkowie dali do tłumaczenia wszystkie dokumenty, które znaleźliśmy w Mongolii, i te ze szkatułki Marii Paleologini, ale uważają, że ty powinnaś się zająć tekstami Marca Polo. Mówią, że ze względu na ich nieocenioną wartość historyczną i paleograficzną nie powinien ich dotykać nikt oprócz ciebie.

– No... – bąknęłam.

Faradž nadal patrzył na mnie mało przyjaźnie, do miny dołączył groźne wymachiwanie zdrową ręką.

– Teksty Marca Polo, Ottavio – z naciskiem powiedziała Abby. – Największego podróżnika w historii. Autora *Opisania świata*. Człowieka, który znał Kubilaj-chana.

– Wiem, kim był Marco Polo.

– Marco Polo napisał trzy listy do Marii Paleologini i chcemy, żebyś właśnie ty je przetłumaczyła.

Zamyśliłam się. Oświeciło mnie nagle, czego zażądam jako zapłaty za całą tę historię

z ossuariami: listów Marca Polo. Muszą być moje. Dzięki nim na pewno znów dostanę nagrodę Getty'ego, a minęło już prawie dwadzieścia lat, odkąd otrzymałam ostatnią. Jeszcze żyłam na fali pierwszego sukcesu z roku 1992, kiedy przyszedł następny w 1995. Ale najgłośniejszy był pierwszy. W roku 1992, niedługo po tym, jak zostałam pierwszą kobietą dyrektorem pracowni restauracji i paleografii w Tajnych Archiwach Watykanu, spotkało mnie wielkie szczęście, odkryłam bowiem zawieruszoną wśród innych dokumentów i nieskatalogowaną kolekcję bizantyńskich manuskryptów z okresu między V a XV wiekiem i dzięki wykonanej robocie paleograficznej przywróciłam światu rozległą przepiękną symbolikę astrologiczną i zodiakalną chrześcijaństwa wschodniego, nieodwracalnie zniszczoną po upadku Konstantynopola w 1453 roku. Teraz, gdy to wszystko wspomniałam, zaczęła mnie kórcić nieopanowanie możliwości zdobycia trzeciej nagrody Getty'ego (co jeszcze się w historii nagrody nie zdarzyło) dzięki unikatowym oryginalnym rękopisom samego Marca Polo, listom adresowanym do córki bizantyńskiego cesarza Michała VIII Paleologa.

– Przygotujemy małą bibliotekę, żebyś w niej mogła pracować, jeśli ci odpowiada.

Szach i mat. Simonsonowie wygrali. Marco Polo i mała biblioteka, ni mniej, ni więcej. Umieci wymacać słabe punkty przeciwnika i celnie strzelić w stosownej chwili. Nie bez kozery byli, kim byli. Aby jednak zbyt łatwo nie ulec pokusie, próbowałam jeszcze stawić opór, czepiając się ostatniego argumentu, jaki mi pozostał:

– Ale dziś po południu nie mogę... nie możemy. Musimy odebrać Kaspara ze szpitala. Wypisują go wreszcie.

– No to jeszcze ci powiem – zaczęła Abby z wahaniem – że zaproponowaliśmy Kasparowi, żeby zamieszkał u nas. Miejsca nie brakuje, poza tym mamy salę gimnastyczną, w której będzie mógł przejść rehabilitację.

Złość ścisnęła mnie za gardło. Zwinęli nam Kaspara sprzed nosa! Kaspara i Linusa!

– Nie ma mowy! – wściekłam się. Stanowczym gestem dałam Faradżowi znak, żeby przestał się wreszcie zachowywać jak opętany i słuchał. – Kaspar wraca do nas! Jest tu Linus i bez problemu możemy się zająć nimi oboma.

– Ależ oczywiście, w to nie wątpię, Ottavio – odparła dziedziczka. – Tylko widzisz... Pamiętasz, co mi powiedziałaś w Stambule, kiedy wróciliśmy z podziemi do hotelu?

A to piekielnica! Teraz raziła mnie bronią, w którą sama ją uzbroidłam.

– No więc odwiedzałam Kaspara w ostatnich dniach... – dodała nieśmiało.

– My też, ale nic nam nie mówił.

– Bardzo mu się spodobała propozycja, żeby po wyjściu ze szpitala zamieszkał tutaj. Jeśli zgodzisz się na tłumaczenie listów Marca Polo i będziesz pracowała w małej bibliotece, Kaspar na pewno ci pomoże. Linus też tu przywieziemy, będzie miał dużo miejsca do zabawy.

Czy można wracać między dwoje głupców, którzy się sobie podobają? Ale już ja nagadam temu Kasparowi! Nasłucha się, że ho, ho! W różnych językach żywych i w jednym martwym na dokładkę. Jeśli mu się zdaje, że Linusa można przetrzucać z miejsca na miejsce jak bezpiecznego psa, znaczy, że źle się wywiązuje z roli ojca. Wiem to nawet ja, przyszywana ciotka.

Ostatecznie tego popołudnia, ku mojemu wielkiemu ubolewaniu i ku radości Faradża, Isabelli i Linusa, pojechaliliśmy naszym samochodem do rezydencji Simonsonów. Walizeczka Linusa spoczęła na podłodze za fotelem kierowcy, czyli moim. Przyszywany wujek i jego adoptowany bratanek wygłupiali się po drodze, a radosny śmiech chłopca ranił mi serce jak sztylet, bo przecież teraz Linus miał pozostać pod opieką Abby, już nie moją. Nigdy nie byłam szczególnie zaborcza, w każdym razie mieściłam się w normie, lecz ostre ukłucia, które odczuwałam, nie mogły być niczym innym jak zazdrością. Tak mi to przedstawił Faradż, kiedy po zakończonej rozmowie z Abby wyjawiał mi, co o tym myślę. Uważał, że Kaspar powinien zrobić, co zechce, i był pewny, że Linus nie odczuje kolejnej zmiany domu, jeśli będzie z ojcem. Niemniej nie potrafiłam zapanować nad ukłuciami zazdrości. Sama się zdziwiłam, że dopuszczam ją do siebie i akceptuję. Nic tak nie przyspiesza dojrzewania jak ciągły mieszanych uczuć.

Była czwarta po południu, kiedy zjechaliliśmy ze Stratford Crescent w stromą uliczkę prowadzącą prosto do automatycznej bramy rezydencji Simonsonów. Nie musiałam zatrzymać samochodu, bo kiedy dotarliśmy do niej, była już otwarta. Ponieważ tym razem ja siedziałam za kierownicą, dokładnie widziałam przez przednią szybę system kamer obserwujących uliczkę i mur wokół posiadłości. Wspomniałam swój dom w Palermo (no dobrze, dom mojej matki), okazała, zabytkową Villa Salina, którą pod koniec XIX wieku zbudował mój pradziad Giuseppe.

– Ależ ten dom przypomina dom babci Filippy! – zawołała w tej chwili Isabella.

Kiedy byłam małą, domu w Palermo nie otaczał betonowy mur, nie było nigdzie krat ani posterunków ochrony, ani kamer zainstalowanych na całym obwodzie ogrodzenia. Teraz – a przynajmniej kiedy tam byłam ostatnio, przed ponad dziesięć laty – była to niemalże forteca chroniona niezliczonymi urządzeniami monitorującymi i alarmującymi, które zainstalowano nie tyle dla ochrony przed mało prawdopodobnym atakiem policji, ile w celu zniechęcenia innych grup mafijnych dążących do przejęcia władzy.

Mińliśmy piękny lasek jodłowo-cedrowo-sosnowy i znaleźliśmy się przed rezydencją. O dziwo, w drzwiach wszyscy troje Simonsonowie czekali na nas jak na starych przyjaciół. Oczywiście całkowicie się mylili, bo uczucie to nie było odwzajemniane. Niczym najważniejszy członek rodziny stał z nimi także wsparty na kulach Kaspar Glauser-Röist, były katon. Wcale mi się nie podobały te zmiany i niestety miałam świadomość, że przez to właśnie przypominam

własną matkę.

– Witajcie! – zawołała czule Becky, schodząc po stopniach, aby przywitać się z Faradżem, któremu służący otworzył drzwi samochodu i pomógł wysiąść. Linus dosłownie wyprysnął z fotela, ledwie Isabella odpięła mu pas bezpieczeństwa, i pobiegł do ojca, jakby nie widzieli się od wieków. Ogromnie się cieszył, że tata wreszcie wyszedł ze szpitala. Tymczasem inny służący otworzył moje drzwi. Zostawiłam klucz w stacyjce, żeby przestawiono wóz, i kiedy się obróciłam, ujrzałam przed sobą powykrzywianą dłoń starego Jake'a, którą podawał, aby pomóc mi wysiąść. Ujęłam ją z lekką niechęcią (bo i czemu się tego wypierać?).

– Jak dobrze cię widzieć, Ottavio! Wyglądasz pięknie. W ciągu tygodnia doszłaś do siebie po trudach podróży.

A czego się spodziewał? Myślał może, że ja też jestem osiemdziesięcio- czy dziewięćdziesięcioletką? Jak już powiedziałam: staliśmy się dla nich bliskimi przyjaciółmi.

Weszliśmy wszyscy do wielkiej sieni rezydencji, gdzie Kaspar oddał kule służącemu i usiadł na imponującym fotelu na kółkach.

– Na popych czy elektryczny? – zapytał Faradż, oglądając wózek z podziwem.

– Elektryczny – odparł zadowolony, uśmiechnięty głupiec numer dwa.

Kaspar zawsze lubił luksusowe fury.

Linus, specjalista od wspinaczki na ojcowskie kolana, zaraz chciał się na nie wdrapać, lecz Abby go powstrzymała.

– Przepraszam, kochanie – powiedziała ze smutkiem – ale tata ma chorą nogę i nie może cię wziąć na kolana.

– No dobra, jak obiecasz, że będziesz grzeczny, wezmę cię na zdrową nogę – z uśmiechem rzekł Kaspar do syna.

Linus oczywiście w jednej chwili obiecał i już siedział z ojcem, który uruchomił fotel, przyspieszając nieco w korytarzu, by chłopiec zobaczył, jak się nim jedzie.

– Jak miło widzieć ich razem! – zawołała Becky z szerokim uśmiechem na pięknej twarzy.

Niewykuczone, że aprobowała kiełkujący i jeszcze niewidoczny romans wnuczki z byłym katonem.

– Usiądziemy w salonie czy chcecie od razu iść do małej biblioteki? – zapytała Abby.

– Lepiej chodźmy do biblioteki – powiedziałam spiesznie.

Wszyscy Simonsonowie wyraźnie okazali aprobatę. Albo wiedzieli, że lubię ich bibliotekę, albo byli z niej bardzo dumni. Albo i to, i to.

Isabella, która jeszcze nie była w rezydencji Simonsonów, zachowywała się, jakby tu dorosła: nic jej nie dziwiło, chodziła swobodnie i z pewnością siebie. Bez wątplenia dom mojej matki był równie duży albo i większy od tego, lecz daleko mu było do tutejszego luksusu i wyszukania, co

akurat, jak zauważyłam, nie wywierało na mojej siostrzenicy specjalnego wrażenia. Rozglądała się na prawo i lewo, szukając przy puszczałnie komputerów albo routera wi-fi.

Faradz, ja, Becky i Jake poszliśmy tą drogą co za pierwszym razem, schodami w dół do jasnego atrium ze szklaną kopułą, dalej korytarzami do sali gimnastycznej i kinowej. Reszta towarzystwa zniknęła za którymś rogiem, by zaprowadzić Isabellę z Linusem na plac zabaw w ogrodzie, po czym Abby z Kasparem, który jeszcze nie mógł iść po schodach, mieli zjechać na dół windą.

Ledwie weszłam do przepięknej biblioteki, natychmiast przeniosłam się w świat zmysłów, emocji i wrażeń. Nie było cienia wątpliwości, że dużą częścią swojego jestestwa tęsknię za latami przepracowanymi w Tajnych Archiwach Watykanu, straciłam jednak swój raj, kiedy zakochałam się w Faradzu, i nigdy już tam nie wrócę. Cóż, pozostaje mi przynajmniej ta biblioteka, pomyślałam, i ze względu na nią muszę być miłsza dla Simonsonów.

Kiedy Kaspar i Abby do nas dołączyli, dziedziczka, która emanowała blaskiem i obnosiła uśmiech promienny jak nigdy dotąd, zaprosiła wszystkich, by zasiedli w aksamitnych krzesłach i fotelach już rozstawionych wokół stolika kawowego pod tym samym wysokim oknem co poprzednio. Wszystko tak starannie przygotowano, że przy stoliku pozostawiono nawet wolne miejsce dla Kaspara na efektownym elektrycznym wózku inwalidzkim.

Kiedy już otrząsnęłam się z ekstazy zmysłowo-sentymentalnej, której doświadczyłam w pierwszych chwilach, całą uwagę skupiłam na przygotowanym dla mnie stanowisku pracy przy głównym stole: na blacie umieszczono trzy pulpity, na nich trzy grube szyby, a pod szybami listy Marca Polo do Marii Paleologini. Listy były znakomicie widoczne przez szkło ochronne. Po drugiej stronie stołu wygodne krzesło ergonomiczne czekało, aż zasiądę do pracy, przed nim zaś ułożono bogaty zestaw paleograficznych szczypczyków, szpatulek i lancetów opalizujących w świetle padającym z okien. Znajdowało się tam ponadto pudełko rękawiczek lateksowych, stosik pustych teczek do segregatorów, paczka długopisów i ołówków, notatniki, luźne białe kartki, bibułki, lampka biurowa z ledową żarówką o zimnym świetle i rzecz najbardziej widoczna: zabytkowe szkło powiększające na ruchomym łamanym wysięgniku, istne cacko. Naturalnie był także komputer z wielkim monitorem, drukarka i coś, co wyglądało na wiertarkę stomatologiczną, okazało się jednak, że to mikroskop cyfrowy podłączony do komputera.

– I jak ci się widzi, Ottavio? – spytała Becky, stając obok mnie. – Będziesz jeszcze czegoś potrzebowała?

Doskonale wiedziała, że nie, że wszystko przygotował bardzo profesjonalnie jeden z ich ekspertów, prawdopodobnie paleograf jak ja (nie o takim doświadczeniu jak moje, o innym poziomie oczywiście, niemniej paleograf).

– Widzę tu wszystko co trzeba – odparłam uprzejmie. – Trudno by mi znaleźć lepsze

stanowisko pracy.

– Dziękuję – rzekła, ujmując mnie pod ramię. – Chcielibyśmy, żeby ci było wygodnie. Doskonale rozumiemy, że byłeś taka zła po tym, co się przytrafiło Faradżowi.

– Siądziemy? – zaproponowała Abby, kładąc dłoń władczyim gestem na oparciu jednego z krzeseł przy miejscu przeznaczonym dla Kaspara.

– Zaraz podadzą herbatę – oznajmił Jake z miną tak rozanieloną, że się domyśliłam, iż herbacie będzie towarzyszyło coś, za czym stary sybaryta przepada.

I faktycznie, ledwie Jake skończył mówić, drzwi otworzyły się bezszelestnie i weszli dwaj lokaje z wózkami zastawionym drogim serwisem do herbaty i tackami, na których porozkładano cukierki, ciasteczka i ciasta. Reakcje Jake'a dawały się nieomylnie odczytać.

Po chwili popijaliśmy pyszną herbatę darjeeling rozsiewającą niezwykle zapach, do niej niektórzy, a przede wszystkim Jake, z zawrotną prędkością pogryzali między jednym łykiem a drugim ciasta i słodycze. Tylko Becky, Abby i ja z dbałości o linię poprzestałyśmy na herbacie, dzięki czemu mogłyśmy podtrzymywać poprawną konwersację, gdy inni się opychali.

– Daliśmy do przetłumaczenia dokumenty z Ilchanatu Perskiego, które przesłaliście nam z Mongolii – powiedziała Becky, odstawiając filiżankę na stół – i te z kasetki Marii Paleologini z wyjątkiem listów Marca Polo. Mieliśmy naprawdę wielkie szczęście, bo w dokumentach, które zestawiamy, są bardzo użyteczne fragmenty.

– Z listu, który Maria napisała do ojca, a Ottavia nam przetłumaczyła w Mongolii – zaczęła podsumowanie Abby, odgarniając jasne włosy z twarzy – wiemy, że w kwietniu tysiąc dwieście osiemdziesiątego drugiego roku ossuaria zaginęły. Hulagu-chan nie przekazał ich swojemu synowi Abace. Maria pisze o „zaginionych ossuariach”, wspomina też o wysłanych przez łacińskiego papieża tajemniczych emisariuszach weneckich, o których nic więcej się nie dowiedziała.

– Logika nakazywałaby pomyśleć – wtrąciłam, dzieląc się tym, co mi się zaraz nasunęło – że tymi trzema emisariuszami byli trzej panowie Polo: ojciec Marca imieniem Niccolò, jego stryj Maffeo i sam Marco. Trzej Weneccjanie, którzy odbyli najświetniejszą podróż w historii.

– Uwaga absolutnie słuszna – przyznała piękna mimo wieku Becky. – Weneckimi wysłannikami papieża byli trzej panowie Polo, którzy do Chin udali się między innymi w poszukiwaniu ossuariów.

Na tym etapie mogłam bez wzruszenia zaakceptować najbardziej szalone pomysły. Faradż i Kaspar natomiast zastygli ze słodyczami w pół drogi między tacą a ustami. Beznamiętny Jake wciął łakocie, aż mu się uszy trzęsły.

– Przyjrzyjmy się temu po kolei, babciu. Po pierwsze, w dokumentach mongolskich mamy wiele odniesień do ważnego wydarzenia historycznego, które miało miejsce w tysiąc dwieście

sześćdziesiątym pierwszym roku. Wtedy młodszy bracia Hulagu, Kubilaj i Aryk Böge, wdali się w okrutną wojnę o to, który z nich dwóch będzie przyszłym wielkim chanem. Ich starszy brat Mongke-chan umarł w tysiąc dwieście pięćdziesiątym dziewiątym roku i tron był ciągle pusty.

– Zamordowali go asasyńcy? – zapytał Faradz z chorobliwą ciekawością.

– Niekórzy historycy taktwierdzą – przyznała Abby. – Ale nie wszyscy.

– Ja stawiam na asasyńców – powiedziałam z przekonaniem.

Słowo ukatrupili wszystkich wielkich chanów od Czyngisa, czemu nie mieli wykończyć także Mongkego, zwłaszcza po tym jak Hulagu w Persji praktycznie wyciął ich w pień? Asasyńcy byli do tego zdolni – i nie tylko do tego.

– My też stawiamy na asasyńców – oznajmił Jake, śmiejąc się z przekorą wypisaną na twarzy.

Stary multimilioner wiedział coś, o czym nie zamierzał mówić.

– Ważne – włączyła się szybko Becky, aby zejść z tego tematu – że Kubilaj i jego młodszy brat Aryk Böge walczyli o tron w tysiąc dwieście sześćdziesiątym pierwszym roku i że zwyciężył Kubilaj, który został wielkim chanem imperium mongolskiego, największego w historii.

– Mam list z kancelarii Hulagu – dodała Abby – z instrukcjami dla patriarchy Makichy II, który rezydował w Bagdadzie, żeby... cytując dosłownie... „wysłał święte skrzynie do Maraghe”, bo ilchan Hulagu pragnie je podarować swojemu bratu Kubilajowi z okazji jego zwycięstwa i wstąpienia na tron.

– A po cóż Kubilajowi były potrzebne rzekome szczątki Jezusa i Świętej Rodziny? – zdumiałam się.

Nie przypomniałam sobie, że bym o tym czytała w dokumentach doktor Ojun Szagdar, które studiowałam w Mongolskiej Akademii Nauk w Ulan Bator. Co prawda tylko przebiegałam wzrokiem po tekstach, szukając jedynie słowa „ossuaria”, i mogłam nieświadomie pominąć „święte skrzynie”. To samo mógł zrobić Kaspar, który w dodatku – choć twierdził inaczej – wcale tak dobrze nie znał bizantyńskiej greki.

– Chodziło o prezent, Ottavio – wyjaśniła cierpliwie Becky. – Cenny podarunek przy wielkiej okazji. Mongołowie bardzo szanowali religię chrześcijańską i tak samo jak muzułmanie wierzyli, że Jezus był wyróżniającym się prorokiem. Nie uważali go za Boga, tylko za jeden z religijnych filarów, na których wspierało się ich imperium. Szczątki Jezusa i jego rodziny byłyby prezentem godnym wielkiego chana.

– Dlaczego „byłyby”? Nie były ostatecznie? – spytał Kaspar, odstawivszy filiżankę z herbatą na stół.

– Nie mogły być – odparłam zdziwiona, że tego nie pojmuje.

– Dlaczego? – docięła.

– Bo w liście do ojca Maria Paleologini w tysiąc dwieście osiemdziesiątym drugim roku pisała

o zaginionych ossuariach. Gdyby Hulagu podarował je Kubilajowi, nie uważano by ich za zaginione.

– W takim razie co porabiali panowie Polo w Chinach? – zastanowił się mój mąż z ciasteczką w ręce.

– I jak Makicha mógł nie wypełnić bezpośredniego rozkazu Hulagu? – dodał Kaspar, jak zwykle czuły na kwestie wojskowe.

– Ależ wypełnił rozkaz – wyjaśniła Abby z perfekcyjnym uwodzicielskim uśmiechem. – Patriarcha wysłał ossuaria do Maraghe, żeby Hulagu podarował je Kubilajowi, ale ossuaria nigdy tam nie dotarły. Natrafiliśmy na dwa pisma datowane później niż polecenie Hulagu. Jest w nich mowa o napadzie na karawanę podążającą z Bagdadu do Maraghe z cennym ładunkiem, który patriarcha Makicha posyłał ilchanowi Hulagu. Nie wymieniono konkretnych przedmiotów, ale wywołało to ogromne wzburzenie w kancelarii. W jednym z pism stoi nawet, że wszczęto wielkie dochodzenie. Mamy więc jasność, że w tysiąc dwieście sześćdziesiątym pierwszym roku ktoś zrabował szczątki Jezusa i jego rodziny na szlaku między Bagdadem a Maraghe.

– Kto? – zainteresowałam się.

– Nie wiemy – odparła z ubolewaniem słodka Becky. – Nie natknęliśmy się w dokumentach na żadną inną informację o ossuariach ani o ich losie. Wygląda na to, że znowu utknęliśmy w martwym punkcie.

– Ale mamy coś jeszcze – zauważyła Abby, z wdziękiem zakładając nogę na nogę i opierając dłonie na brzegu krzesła, by wychylić się nieco do przodu. – Z jednej strony dokumenty Marii Paleologini.

– Pewnie! – przytaknął Jake, dolewając nam świeżej herbaty do zapomnianych filiżanek.

– A z drugiej – ciągnęła Abby – listy Marca Polo, które Ottavia będzie tłumaczyła. Jeszcze nie wszystko przepadło.

– O jakich dokumentach Marii Paleologini mówisz? – spytał Kaspar dziedziczkę.

Czy wyobraźnia płatała mi figle, czy też popatrzyli na siebie znacząco i uśmiechnęli się? Nie, nie, to nie był kolejny wytwór mojej wyobraźni. Coś kombinowali.

– W złotej kasetce, którą znaleźliśmy w klatce piersiowej Marii – podjęła Abby, czyniąc ogromny wysiłek by wyglądać normalnie – oprócz listów Marca Polo były jeszcze trzy dokumenty. Jeden z nich to pismo prawosławnego patriarchy konstantynopolańskiego Józefa I Galezjoty do Marii z kwietnia tysiąc dwieście sześćdziesiątego siódmego roku. Patriarcha prosił ją, żeby poszukała informacji o ossuariach wśród Mongołów. Była wtedy dla nich chatun.

– Możliwe też – zauważył mój mąż – że w tysiąc dwieście sześćdziesiątym siódmym roku greccy ortodoksi nie wiedzieli, że ossuaria zrabowano w sześćdziesiątym pierwszym, czyli cztery lata przed tym, nim Maria została chatun.

– Nie wiedzieli – przyznała Abby. – Poza tym patriarcha wyjaśnił Marii, dlaczego musi się postarać je odnaleźć i dlaczego są takie groźne: chociaż to ewidentne fałszerstwo, pisał, jeśli rozejdzie się wieść o ich istnieniu, narażą na wielkie niebezpieczeństwo wiarę, a nawet podadzą w wątpliwość chlubne zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, jego wniebowstąpienie, niepokalane poczęcie Maryi Dziewicy i jej wniebowzięcie z ciałem i duszą. Czyli stanowiły bezpośrednie zagrożenie dla fundamentów wiary chrześcijańskiej.

– To samo mówiłam na samym początku – stwierdziłam jakby nigdy nic.

– A ja zawsze uważałam – dorzucił Faradz swoje trzy grosze – że fundamentem wiary chrześcijańskiej są słowa i przesłanie Jezusa o miłości bliźniego, tolerancji, miłosierdziu i tak dalej.

– Oczywiście to też – zgodziłam się.

– Wcale nie też, tylko przede wszystkim – zaprotestował Kaspar chłodno. – To jest najważniejsze. Wniebowstąpienie, niepokalane poczęcie i różne inne takie może i były najważniejsze dla pierwszych chrześcijan, ale teraz są zupełnie zbędne. Jakie ma znaczenie, czy Jezus wstąpił do nieba w ludzkim ciele albo że Maria była dziewicą? Mnie tam jest to obojętne. Szanuję każdego, kto w to wierzy, ale na moją wiarę te rzeczy nie mają wpływu.

Czułam, jak narasta we mnie złość, powiedziałam sobie jednak, że nie będę tracić czasu na spory z Faradem i Kasparem. Miałam dość roztrząsania tego od nowa. Czy tak trudno zaakceptować to, co dla Kościoła jest dogmatem? Jezus powołał Kościół. Kościół mówi wyznawcom, w co mają wierzyć. Koniec, kropka.

– Drugi dokument z kasetki Marii Paleologini – podjęła czym prędzej Abby, widząc, że twarz mi się niebezpiecznie zmienia – to też list. Z Viterbo, gdzie była wtedy siedziba papieżstwa. Napisał go w tysiąc dwieście sześćdziesiątym ósmym roku niejaki Teobaldo Visconti z Piacenzy, archidiacon katedry w Liège. Jak udało nam się sprawdzić, był wielkim erudytą, studiował prawo kanoniczne w Italii i Paryżu. Nie był kapłanem, ale człowiekiem o niezwykłych zaletach ducha i umysłu. Jak się zdaje, papież Klemens IV wezwał go do Viterbo, żeby w tajemnicy powierzyć mu sprawę ossuariów. Miał je odnaleźć i zniszczyć. Jakimś sposobem Teobaldo doszedł do tego samego wniosku co patriarcha konstantynopoliński: mongolska chatun, chrześcijańska żona ilchana Abaki, miała największe możliwości ustalenia, gdzie się podziewają ossuaria, które Hulagu zrabował z Alamu.

– Z tego listu archidiacona jasno wynika – przerwał jej dziadek – że Kościół katolicki uważnie śledził wędrówkę ossuariów, odłód stracił je w Nazarecie na rzecz Saladyna. Teobaldo Visconti prosił Marię, by zrobiła to samo, czego chciał od niej patriarcha konstantynopoliński: by ustaliła, co się stało ze skrzyniami. To świadczy, jak bardzo ossuaria niepokoiły hierarchów i jak gorąco pragnęły je zniszczyć.

– Jasno też wynika – dorzucił Faradž – że w tysiąc dwieście sześćdziesiątym ósmym roku katolicy nie wiedzieli, że zostały zrabowane siedem lat wcześniej. Czyli rabunku nie dokonali ani katolicy, ani prawosławni. Pozostaje nam tylko Kościół wschodni.

– A czemu miałyby je rabować Makicha II? – Kaspar mocno zmarszczył czoło, jakby na to pytanie nie dało się odpowiedzieć.

– Może dlatego, że ten sam człowiek, który oddał mu je pod opiekę w Bagdadzie, czyli Hulagu, zażądał ich w niestosownym celu: na prezent – oświadczyłam.

– I sfingował rabunek? – Faradž nie dawał się przekonywać.

– Czemu nie? – upierałam się.

– Bo z Hulagu-chanem stawką było życie – oświeciła mnie Abby – a patriarcha nie był ani człowiekiem odważnym, ani nieposzlakowanym, ani nie miał wysokich standardów moralnych. Makicha był bardzo skorumpowany, a przy władzy utrzymywał się dzięki Hulagu i Dokuz-chatun. Jeśli wszechmocny ilchan Persji zażądał ossuariów, na sto procent patriarcha natychmiast mu je posłał, nie narażał własnego życia ani nie bawił się w rabunek na niby.

– Czyli nie byli to również chrześcijanie wschodni – zauważył Faradž.

– Przy najmniej wiadomo, że nie zniszczyli ossuariów – podkreślił stary Jake. – Makicha miał je u siebie trzy lata i dobrze o nie dbał.

– Może dlatego, że nestorianie są duofizytami – przypomniał Kaspar. – Wierzą w dwie oddzielne natury Jezusa, boską i ludzką. Maria jest tylko matką Jezusa człowieka, nie matką Boga, bo Bóg nie może mieć matki. Wobec tego dla ówczesnych nestorianów ossuarium nie stanowiło żadnego zagrożenia teologicznego.

Zasami musiałam się trochę wysilić, aby nadążyć za uproszczonym rozumowaniem heretyków. Dla mnie, katoliczki, i dla prawosławnych Jezus był nierozdzielnie zarazem Bogiem i człowiekiem, lecz dla monofizytów, jak mój mąż, tylko Bogiem bez śmiertelnego ciała, a dla duofizytów Bogiem i człowiekiem o dwóch oddzielnych naturach. I wszyscy mogliśmy się nazywać chrześcijanami czystej krwi. Nie do wiary!

– Trzeci dokument z kasetki Marii – podjęła Abby, wracając do sprawy – to list z listopada tysiąc dwieście siedemdziesiątego pierwszego roku od tego Teobalda Viscontiego, o którym mówiliśmy przedtem. Teobaldo uprasza w nim perską chatun, żeby przyjęła na swym dworze w Tebryzie papieskich wysłanników, którzy powinni przybyć w ciągu roku tysiąc dwieście siedemdziesiątego drugiego. Pisze, że chodzi o rodzinę weneckich kupców, niejakich Polo, którzy udają się na dwór chana Kubilaja w sprawach handlowych, ale oprócz tego na poszukiwanie zaginionych ossuariów. Nawet do nowego papieża, wybranego niedawno, dotarły pogłoski o tym, że Hulagu-chan podarował ossuarium swojemu bratu Kubilajowi. Trzej Polo, którzy parę lat wcześniej już byli na dworze Kubilaja...

– Tamtą podróż odbyli tylko Niccolò i Maffeo Polo – zaznaczyłam. – Marco urodził się niedługo po ich wyjeździe z Wenecji.

– Zgadza się – przytaknęła Abby. – Tylko dwaj starsi Polo znali Kubilaja. Młody Marco, urodzony w tysiąc dwieście pięćdziesiątym czwartym roku, miał tylko siedemnaście lat, kiedy wyruszyli w drugą podróż.

– Czyli kiedy Marco Polo poznaje Marię Paleologini w Tebryzie w tysiąc dwieście siedemdziesiątym drugim roku – rozważał mój mąż na głos – ma osiemnaście lat.

– Owszem.

– Warto przy okazji zaznaczyć – dorzuciła Abby – że kiedy Teobaldo Visconti pisze o nowym papieżu, pisze o sobie, bo gdy przebywał w Akrze w Ziemi Świętej jako legat papieski badający sprawę ossuariów, został przez konklawe wybrany na papieża, mimo że nie był kapłanem.

– Został wybrany na papieża, nie będąc kapłanem? – zdumiałam się.

– Tak, przybrał imię Grzegorza X – potwierdziła Abby. – Ale spokojnie, wyświęcono go w Rzymie, zanim objął urząd. Tymczasem nasi podróżnicy, trzej panowie Polo, już zdążyli się spotkać z chatun w Tebryzie. Tak się jednak składa, że Teobaldo, ten sam człowiek, któremu Klemens IV polecił odnaleźć i zniszczyć ossuaria, prócz tego, że został nowym papieżem, był też zaprzyjaźniony z dwoma starszymi panami Polo. Poznał ich w Akrze, kiedy wracali z pierwszej podróży na dwór Kubilaja. To wszystko jest dokładnie przedstawione w *Opisanii świata* Marca Polo, w pierwszych dwunastu rozdziałach. Teobaldo Visconti wiedział, że osobiście poznali wielkiego chana i obiecali mu, że jeszcze wrócą do niego. A sam nie wiadomo jak odkrył, że Hulagu podarował ossuaria bratu, chociaż nie powinno to dziwić, bo skoro tak długo przebywał w Ziemi Świętej, musiał znać wszystkie pogłoski. Czy mógł w tamtych czasach znaleźć lepszych wysłanników do Chin? Iluż ludzi podróżowało do Chin w trzynastym wieku? Nasi trzej Wenecjanie wyruszyli w drogę, a przy okazji, jako gorliwi katolicy, zgodzili się wypełnić zadanie zlecone przez przyjaciela, a obecnie papieża Grzegorza.

– Faradż pytał przedtem – przypomniała Becky – po co panowie Polo wybrali się do Chin. Masz już odpowiedź.

– Ale przecież – wtrąciłam – kiedy przejeżdżali przez Tebryz w siedemdziesiątym drugim roku, chatun musiała im powiedzieć, że ossuaria nie trafiły w końcu do Kubilaja, tylko w sześćdziesiątym pierwszym zostały zrabowane przez nieznanego sprawcę.

– Dziwne w tym jest to – tajemniczo dorzucił stary Jake – że Maria nie poinformowała o kradzieży Viscontiego, kiedy w sześćdziesiątym ósmym napisał do niej z prośbą, by wywiedziała się czegoś o ossuariach. Gdyby mu powiedziała, Teobaldo nie musiałyby wysłać panów Polo.

– A dlaczego Marco Polo napisał z Chin trzy listy do Marii? – zaciekawiał się Faradż.

Simonsonowie we trójkę uśmiechnęli się z większym bądź mniejszym smutkiem.

– No właśnie do tego ma dojść Ottavia – orzekła Becky.

Spoczęło na mnie pięć par oczu.

ROZDZIAŁ 16

Nie tylko Kaspar przeniósł się do rezydencji Simonsonów. Z takich czy innych powodów wszyscy spędzaliśmy tam całe dnie i wyłącznie dlatego, że się upierałam, wracaliśmy na noc do domu: nie pozwolę, żeby nikczemni multimilionerzy wessali i wchłonęli moją rodzinę swoim uwodzicielskim czarem, sympatią, uprzejmością i bogactwem. Faradz, Isabella i ja mieliśmy własny dom i chociaż musiałam jeździć co rano do pracy w małej bibliotece, a Isabella chciała się wywiązać ze sprawowania opieki nad Linusem w ciągu lata, nie znaczyło to, że boa dusiciel, którym byli Simonsonowie, mógł nas pożreć i zakończyć nasze życie. Jasne, że basen (otwarty, bo był też kryty, używany zimą), ogród, plac zabaw, jedzenie, służba, sauna, sala gimnastyczna i nie wiadomo co jeszcze miały nieodpartą siłę przyciągania dla ludzi słabej woli, toteż gdy pracowałam w bibliotece, słyszałam od czasu do czasu wesołe pokrzykiwania Linusa i Isabelli oraz głęboki śmiech Kaspara i Faradza, wygrzewających się jak jaszczurki w słońcu na leżakach przy basenie w towarzystwie Abby, Becky i Jake'a, którzy szybko przywykli do dziwacznych krzyży i greckich liter wyciętych na ciałach ich obu. Isabelli dłużej zeszło, w końcu jednak pogodziła się ze skłamyfikacjami na skórze ukochanego wujka, gdy już napatrzyła się im ukradkiem przez kilka pierwszych dni.

Oczywiście to wszystko przestawało mnie obchodzić w chwili, gdy głos Marca Polo, autentyczny głos Marca Polo zaczął rozbrzmiewać mi w głowie. Minęło niemal osiem wieków, odłąd Wenecjanin chińskim pędzelmą wymalował niczym piktogramy te greckie litery, które teraz odczytywałam, układając je w zrozumiałe słowa. Facet nie był zbytnio sympatyczny, nawiasem mówiąc. Wielkim pisarzem też trudno go nazwać (łatwiej było pojąć, dlaczego Rustichellowi z Pizy pozostawił zredagowanie *Opisania świata*). Był za to świetnym obserwatorem, bardzo szczegółowym, metodycznym i starannym.

Interpretacja listów wymagała dużo więcej pracy niż sam przekład filologiczny. Potrzebowałam pomocy w poszukiwaniach. Musiałam osadzić w kontekście historycznym miejsce i czas tego, o czym Marco pisał do Marii, i powierzyłam to zadanie (ku swojej wielkiej satysfakcji, przyznaję) mężowi, który musiał zostawić kąpielówki i ręcznik i zasiać ze mną do pracy w małej bibliotece. Przecież jest archeologiem, prawda? No to niech wesprze żonę. Następnie uznałam, że potrzebuję także pomocy w wyszukiwaniu i zestawianiu informacji z kart *Opisania świata*, więc z ogromną przewrotną radością wyciągnęłam Kaspara z basenu, by harował z nami ramię w ramię nad tekstem dzieła Marca Polo i Rustichella. Przecież zrobił licencjat z literatury włoskiej na uniwersytecie w Rzymie, prawda? Więcej do tej roboty nie trzeba. Na koniec zaś do technicznej części pracy, czyli do obsługi komputera i cyfrowego

mikroskopu powiększającego niewyraźne litery, niekompletne słowa czy fragmenty nieczytelne, chciałam zaangażować Isabelle, która wprawdzie nie protestowała jak tamci dwaj, była za to sprytniejsza: oznajmiła, że ma już pracę i nie może podjąć się drugiej. Wobec tego poprosiłam Abby – najpierw nauczyłam ją podstaw obsługi urządzeń i programów – obiecując, że w razie czego przyjdę jej z pomocą. I jedna Abby nie wyrażała żadnych obiekcji, mając w perspektywie bliskość uwielbianego katonu.

Tym sposobem Isabella z Linusem dalej kąpali się w basenie, bawili w ogrodzie i oglądali filmy na wielkim ekranie sali kinowej w towarzystwie Jake’a, Becky i innych członków licznej rodziny Simonsonów przewijających się przez dom, gdy tymczasem my we czwórkę pracowaliśmy w bibliotece.

W tych dniach podano także wiadomość, która nas poruszyła: niedawno powstałe ISIS, czyli samozwańcze terrorystyczne Państwo Islamskie okupujące terytoria Iraku i Syrii, zniszczyło w Mosulu irracjonalnie i bez powodu grobowiec Ibn al-Asira, wielkiego arabskiego historyka z XII wieku, autora *Al-kamil fi at-tarih*, czyli *Kompletnej księgi historii*, człowieka, który przekazał potomnym negocjację Saladyna z Sinanem, Starcem z Gór, w sprawie zamordowania Konrada z Montferratu i Ryszarda Lwie Serce. Brutalne mordy, których dopuszczali się dżihadyści, nie ograniczały się więc tylko do żywych. Ich nienawiść skierowana była także przeciwko kulturze i historii. Czasami głupota, ignorancja i obłęd stroją się w religijne piórka i stwarzają potwory.

Dwa tygodnie ciężkiej pracy kosztowało nas ukończenie przekładu i rozsypianie wątków łączących Marca Polo z historią ossuariów, ale wreszcie mieliśmy kompletny obraz całości – naprawdę zaskakujący. Jake i Becky, nie mogąc powściągnąć niecierpliwości, co wieczór przed kolacją dyskretnie zachodzili do nas, aby posłuchać, cośmy odkryli w ciągu dnia, i tak było codziennie przez te dwa tygodnie ożywionej działalności w małej bibliotece. Muszę przyznać, że do maksimum wykorzystałam materiały wyszukane przez moich towarzyszy badań, by przygotować to, czego zamierałam użyć w przyszłości z myślą o kolejnej nagrodzie Getty’ego.

We wtorek po południu, a więc znacznie wcześniej niż zwykle, Jake i Becky weszli do biblioteki posępni, bez uśmiechu. Naprawdę bez cienia uśmiechu. Co więcej, Jake wyglądał na mocno zagniewanego. Faradz, Kaspar, Abby i ja przerwaliśmy natychmiast pracę i podeszliśmy do nich. Abby czułym gestem ujęła babcię pod rękę i podprowadziła ją do aksamitnego fotela, Jake podążył za nim wyraźnie na skraj potężnego wybuchu. Bez wątpienia coś się stało.

– Jake, usiądź, proszę, i oddychaj głęboko – nakazałam, widząc, w jakim jest stanie.

– Jake, ciśnienie – ostrzegła go żona.

– Co się dzieje? – spytała zaniepokojona Abby. – Ktoś z rodziny...?

Becky pokręciła głową.

– Nie, kochanie, z rodziną wszystko w porządku. Nic się nie dzieje.

– Jak to nic się nie dzieje? – wybuchł Jake, ciskając błyskawice z oczu. – Oczywiście, że się dzieje. Przez tego idiotę Tourniera się dzieje!

Wzdrygnęliśmy się z Kasparem i spojrzeli po sobie. Przez Tourniera?... Przez Jego Ekszelencję François Tourniera? Jeśli chodziło o tego Tourniera, którego znaleźliśmy oboje, to Kaspar przez wiele lat pracował pod jego rozkazami, a ja nieraz starałam się z nim w przeszłości. Faradz załapała, o co chodzi, ledwie zobaczył nasze zdziwione miny. Otworzył szeroko oczy, jakby zobaczył zjawę.

– Przepraszam, Jake... – zaczął Kaspar z wahaniem. – Masz na myśli dawnego arcybiskupa sekretarza watykańskiej Drugiej Sekcji?

– Jasne, że mówię o tym zarozumiałym pyszałku! Znasz innego Tourniera, który jest takim patentowanym durniem?

– Jake! – zgaśniła go Becky.

Na kilka chwil myślałam przeniosłam się do wielkiego, efektownie urządzonego biura ozdobionego freskami Rafaela w pomieszczeniach wszechwładnej Drugiej Sekcji Stolicy Apostolskiej w Rzymie, sekcji, która zajmowała się stosunkami dyplomatycznymi z całym światem. Właśnie w tym biurze pierwszy raz spotkałam się z wytwornym Jego Ekszelencją Tournierem o książęcych manierach, hierarchą reprezentującym twardą linię Jego Świątobliwości Jana Pawła II, człowiekiem, który dlatego, że jestem kobietą, uważał mnie za obywatelkę drugiej kategorii, niezdolną do przeprowadzenia dochodzenia w sprawie *Ligna Crucis*, które z Faradżem i Kasparem zakończyliśmy z sukcesem. Nie podobało mu się również, że jestem zakonnica bez habitu, ubraną po świecku, co było dla niego znakiem głębokiego upadku i dekadencji w Kościele po Soborze Watykańskim II, którego postanowieniami dosłownie się brzydził.

– Co ma z wami wspólne ekszelencja Tournier? – zapytałam, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

– Tournier posłał Gottfrieda Spittlera – wyjaśniła po prostu Becky. Jej skóra, normalnie i tak przezroczysta, jeszcze pobladła w popołudniowym świetle.

– Tournier posłał Spittlera? – wykrztusił Kaspar, któremu umysł z powodu przeciążenia ewidentnie szwankował. Niczego nie mógł pojąć.

– Ten zarozumiały, arogancki błazen – żółdkował się Jake – ten zadufany w sobie samolub szuka ossuariów!

– Zaraz, zaraz! – krzyknął Faradz gromko. – Możemy się uciszyć i uspokoić?

Uciszyliśmy się, lecz nie uspokoiili, co było widać po wykrzywionych twarzach. Jake, wciąż jeszcze wpieniony, przełknął ślinę, poprawił koszulę i usiadł w fotelu z nogą założoną na nogę.

– Na nieszczęście – zaczął – znamy Tourniera od ponad trzydziestu lat. Swego czasu byliśmy

z nim w dobrych stosunkach.

Kaspar prychnął. Skutki przeciążenia nie ustępowały.

– On był waszym źródłem w sprawie *Ligna Crucis* i stawrofilaków? – zapytał.

– Jednym ze źródeł – przyznała Becky. – Znamy dużo osób w Watykanie. W tamtym czasie łączyły nas przyjacielskie więzy z ekscelencją Tournierem. Później, po śmierci Jana Pawła II, stosunki ochłodziły, bo arcybiskup się zradykałizował i przeobraził w fundamentalistycznego katolika.

– Zawsze był fundamentalistycznym katolikiem – zauważył Faradž.

– Tak, tylko że za Benedykta XVI zrobił się jeszcze bardziej fundamentalistyczny – wyjaśniała Becky. – Benedykt chciał radykałów pozbawić wpływów z powodu licznych skandali, które wywoływali, ale radykałowie okazali się silniejsi i wygrali. Dlatego ustąpił. Nie odważył się stanąć z nimi otwarcie twarzą w twarz. Byli... są zbyt potężni w Kościele. Teraz papież Franciszek ich odsunął, pozbawił autorytetu i wpływów. Co ich mocno rozłościło. Tak mocno, że mogą się okazać bardzo groźni.

Rozumiałam to, co mówiła Becky, i nie rozumiałam tego. Od czasu pontyfikatu Jana Pawła II w Kościele działał bardzo konserwatywny nurt laicki i nie dało się ukryć, że kiedy Franciszek objął tron Piotrowy, nurt ten w krótkim czasie stracił wpływy, ale kto z tego nurtu tak bardzo się rozłościł? Kto mógł być taki groźny? Tournier?

– Tournier nigdy nie wybaczył Benedyktovi – dodał Jak – że został odsunięty od watykańskiej dyplomacji, a na dodatek pozbawiony złudzeń co do przyszłej nominacji kardynalskiej, czyli możliwości kandydowania na urząd papieża. Jego ambicje dalszej kariery w kościelnej hierarchii legły w gruzach. Dlatego jeszcze bardziej przybliżył się do radykalnego nurtu w katolicyzmie, do ludzi, którzy mają duże pieniądze, dużą władzę i duże wpływy. Stał się kimś w rodzaju łącznika między różnymi konserwatywnymi organizmami, które świetnie się miały pod pieczę Jana Pawła II. Udzielał się dalej jako dyplomata, tyle że starał się zjednoczyć radykalne grupy.

– Kiedy mówisz „radykalne grupy”, masz na myśli...

– Mam na myśli, droga Ottavio, Legion Chrystusa, Opus Dei, Ruch Szensztacki, Komunię i Wyzwolenie, Ruch Focolari, Neokatechumenat, Wspólnotę Świętego Idziego i tak dalej. Jest ich mnóstwo i mają licznych członków na całym świecie. W większym czy mniejszym stopniu towarzyszą im wiecznie skandale różnego rodzaju, ale zasad trzymają się twardo wbrew wszelkiej logice i rozsądkowi. Te ruchy katolickie są gorliwe na gruncie doktrynalnym i bardzo żarliwe w formie, rytuałach i niesamowicie widowiskowych akcjach publicznych, czyli w tym wszystkim, co przyciąga ludzi. Dla Kościoła są niezbędne, bo przynoszą ogromne pieniądze, zapewniają nowe powołania i manifestacje na ulicach, kiedy trzeba.

– Ale przecież nikomu nie szkodzą – zauważył Faradž. – Każdy może wierzyć, w co chce.

Jeśli był na tym świecie człowiek wierzący naprawdę w wolność i szacunek na każdym poziomie życia, to był nim mój mąż. Jake'owi jednak znowu nabrzmiały żyły na chudej szyi i na wysokim czole.

– Jasne, że można wierzyć, w co się chce! – wykrzyknął. – Ale oni nie przyznają tego prawa nikomu innemu! Próbują narzucić swoją ideologię społeczeństwu, czy społeczeństwo tego chce, czy nie, bo uważają się za depozytariuszy jedynej prawdy. Wywierają wpływ na rządy, prawodawstwo i na opinię publiczną za pośrednictwem własnych środków przekazu. Prowadzą szkoły, uniwersytety, fundacje, seminaria, organizacje pozarządowe, partie polityczne, banki... A w Kościele wpływają na mianowanie biskupów, arcybiskupów i czasami nawet kardynałów. Dlatego Tournier zbliżył się do nich i zdobył prestiż i wpływy wśród kierownictwa. To bardzo różne organizacje i wykonują różne zadania na rzecz Kościoła. To wojska lądowe, morskie i powietrzne Państwa Watykańskiego. I w samym centrum tych różnych ciał niczym naczelny wódz stoi dzisiaj Tournier. A papież Franciszek właśnie teraz pozbawia ich powoli znaczenia, którego nabrały za papieża Wojtyły.

– Franciszek nie chce armii – skomentowałam w zamyśleniu.

– Nie chce – zgodził się ze mną Jake. – Chce Kościoła bliższego przesłaniu Jezusa, słowu ewangelii, parafii i maluczkich.

– Podoba mi się ten papież – rzekła Abby. – Jeśli mu pozwolą, dokona wielkich rzeczy.

– Jak powiedziałaś, kochanie, jeśli mu pozwolą – zaznaczyła jej babcia.

– Dobra, a pomijając całe dobro i zło, które nam funduje papież – włączył się Kaspar, otrząsnąwszy się jakby z poruszenia – co właściwie Tournier wie o ossuariach? Działa w imieniu Watykanu czy tych radykalnych grup?

– Wiedzieć, wie wszystko – oświadczył Jake stanowczo – i to nie tylko dlatego, że nas szpiegował. Wie wszystko, bo nie dość, że wykorzystywał kapitana Spittelera, to jeszcze dostał na tacy informacje od tego bęcwała Hartwiga, byłego męża Abby. Ten gość nigdy mi się nie podobał. Z twarzy zawsze mu biła chytrłość.

– Jake! – skarciła go żona, lecz Jake ani myślał jej posłuchać.

– Tournier jest potężny jak wszystkie konserwatywne organizacje razem wzięte, które stoją za nim – ciągnął. – Ma się rozumieć, te organizacje za nic nie mogą pozwolić, żeby wyszło na jaw istnienie doczesnych szczątków Jezusa, jego rodziców i rodzeństwa, bo jak już w tysiąc dwieście sześćdziesiątym siódmym roku zauważył patriarcha konstantynopolitański, naraziłoby to na szwankliczne dogmaty: o zmartwychwstaniu, wniebowstąpieniu, niepokalanym poczęciu.

– Szczerze mówiąc – ze złością rzekł Kaspar – nie obchodzi mnie doktryna Kościoła. Służy tylko temu, żeby nie wypełniać prawdziwego przesłania Jezusa.

– Wielu ludzi myli doktrynę ze słowem Bożym – wtrącił Faradz. – A to nie to samo. Doktryna

to zewnętrzna forma religii, dogmaty dodał Kościół. Podstawą są ewangelie, słowa Jezusa, a Jezus nigdy nie powiedział nic z tego, co twierdzi doktryna.

– Bez doktryny nasza wiara byłaby pusta – tłumaczyłam cierpliwie jak Hiob.

– Tak ci wmówił Kościół. – Mój mąż strasznie się wymądrzał przy okazji sprawy ossuariów. – Kościół wymyśla doktrynę i mówi ci, że bez niej twoja wiara w Boga jest nic niewarta, ale to nieprawda.

– Tak powiedział święty Paweł w Dziejach Apostolskich – upierałam się, starając się panować nad swoim południowym temperamentem.

Chociaż zaczynałam się hartować, trudno mi było znosić bluźnierstwo i profanację. Dla mnie było oczywiste, że Duch Święty zawsze przewodził Kościołowi, a co za tym idzie, że wszystko, co jest w doktrynie, to prawda. Prawda w najczystszej postaci.

– Święty Paweł faktycznie tak powiedział. – Becky uśmiechnęła się w zamyśleniu. – Ale święty Paweł był założycielem Kościoła i twórcą doktryny.

– Nie. Założycielem Kościoła był Jezus – sprostowałam.

– Och, przestań, Ottavio! – zdenerwowała się Abby, która dotąd się nie odzywała. – Jezus powiedział, że Królestwo Boże i koniec czasów nastaną, zanim przeminie pokolenie, i że sami apostołowie tego doczekają⁸. Nie zamierzał tworzyć niczego dużego, bo niedługo miał nastąpić koniec świata i przyjść Królestwo. Pod koniec drugiego wieku w całym Cesarstwie Rzymskim istniało wiele grup chrześcijańskich, ale nigdzie nie było choćby załóżka tego, co nazywamy dzisiaj Kościołem, papieżami i patriarchami⁹. Pamiętaj, że ewangelie Mateusza, Marka, Łukasza i Jana, których prawdziwi autorzy są nieznanymi, zawierają mnóstwo późniejszych dopisków, i że było ze sto innych ewangelii, które głosiły coś zupełnie innego i zostały zniszczone po soborze nicejskim w trzydziestu dwudziestym szóstym roku.

– Tak rozkazał cesarz Konstantyn, Kochanie – powiedziała Becky, patrząc na mnie znacząco, by dać mi do zrozumienia, że ma na myśli tego samego Konstantyna, którego mauzoleum odkryliśmy z Faradzem w Stambule. – Potrzebował religii, by umocnić pozostałości po Cesarstwie Rzymskim, które rozpadło się w czwartym wieku.

W odpowiedzi mruknęłam tylko potakująco.

– Czyli wiemy już, kto stoi za Hartwigiem i Spittelerem – zabrał głos Faradz, zmieniając temat, abym odetchnęła chwilę. – Wiemy, z jakim wrogiem mamy do czynienia.

– I to z niebyle jakim wrogiem – próbował żartować stary Jake, acz bez efektu. – Nie pozwól nam odnaleźć ossuariów.

– Albo będą chcieli odszukać je przed nami i zniszczyć – dodała Becky. – Tak czy owak to nas zmusza do szybszego działania.

– Nie martw się, babciu – pocieszyła ją Abby, ujmując za rękę. – Mamy listy Marca Polo,

a Hartwig nie wykradnie od nas już żadnych informacji. A skoro Hartwig ich nie zdobędzie, Tourner także nic nie dostanie.

– Poza tym – dorzuciłam – wiemy już, kto w tysiąc dwieście sześćdziesiątym pierwszym zrabował ossuaria Hulagu-chanowi i Makisze Drugiemu i co się z nimi później działo.

Uśmiechnęłam się szeroko, widząc zdumione miny wszystkich. Owszem, dowiedziałam się tego tuż przed wejściem Becky i Jake’a do biblioteki. I zachowałam to dla siebie, bo zwyczajnie nie miałam kiedy powiedzieć.

– Wiesz, kto i dlaczego zrabował ossuaria i dokąd je wywiózł?

Głos Jake’a drżał z zachwytu. Tego dnia jeszcze nie dostał ataku serca chyba wyłącznie dlatego, że tak naprawdę w piersi nosił organ wyprodukowany przez Obcych. To, że osiemdziesięcio- czy dziewięćdziesięciolatek wytrzymał taką huśtawkę emocjonalną (co prawda opychał się jak słoń), świadczyło o świetnym przystosowaniu do środowiska ziemskiego.

W tej chwili w korytarzu prowadzącym do małej biblioteki usłyszeliśmy tupot biegnących stóp. Wszyscy lekko zdziwieni skierowaliśmy spojrzenie na drzwi, czekając, kto w nich stanie. Obróciła się gałka z brązu i zobaczyliśmy Isabellę zmienioną na twarzy, szukającą mnie wzrokiem. Kiedy mnie ujrzała, buzia jej się wykrzywiła i z oczu popłynęły łzy.

– Ciociu... – wykrztusiła przejęta. – Ciociu... babcia Filippa...

ROZDZIAŁ 17

Moja matka umierała, i to najwyraźniej nie jak wiele razy wcześniej, kiedy sprawiała wrażenie umierającej, lecz ostatecznie wracała do pełni sił. Miała wszczepiony przed laty rozrusznik serca, endoprotezy stawów biodrowych, kilkakrotnie z powodu upadku połamane różne kończyny. Ale ja o tym wszystkim nic nie wiedziałam. Nikt mi o tym nie mówił. Nawet Isabella. Rodzinny ostracyzm obowiązywał również w moim domu, choć nigdy tego nie podejrzewałam. Omertà, mafijna zмова milczenia, była u Salinów przestrzegana niczym święty ślub, nikt nie mógł liczyć, że ominie go wendeta, jeśli złamie zasady, tak jak ja zrobiłam, gdy okazałam nieposłuszeństwo matce. Ja tak się nie zachowywałam. Nigdy.

Przez komórkę Isabelli rozmawiałam ze swoją siostrą Águedą. Opowiedziała mi o tych wszystkich przypadłościach matki, o których nie miałam pojęcia. Własnym uszom nie wierzyłam, przy czym nie chodziło o to, że staruszka w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat cierpiała z powodu różnych wypadków i dolegliwości, lecz o to, że moja matka zabroniła reszcie swoich dzieci i wnuków informować mnie o tym. Po prostu nie chciała mnie więcej oglądać. Dla niej umarłam już dawno i tak miało pozostać, cokolwiek będzie się działo. Właśnie to mnie tak zaskoczyło, że oniemiałam, zastygłam. Águeda mówiła o tym z płaczem, jakby prosiła o wybaczenie win, choć ich nie wymieniała, tłumaczyła swoją córkę, abym nie miała za złe Isabelli, że nie pisała ani słowa, ponieważ rodzona babcia nakazała jej omertę, zanim jej wnuczka przyjechała do nas.

Jak taka dziewczyna znosi cios w serce? Przez całe życie trzymałam matkę na piedestale, póki nie odkryłam, czym się zajmuje moja rodzina, skąd pochodzi jej majątek i jaką rolę w tym wszystkim odgrywa mama, która odtąd nie dość, że nie chciała o mnie słyszeć, to jeszcze nie życzyła sobie, żebym ja cokolwiek wiedziała o niej. Czy tak postępuje matka? Czy matka naprawdę mogła żyć, latami nie mając wieści o córce, zaparłszy się w uporze tylko dlatego, że owa córka samodzielnie podjęła decyzję, porzuciła Watykan, życie zakonne i wyszła za Egipcjanina innego wyznania? Czy matka może się posunąć tak daleko? Nie mieściło mi się to w głowie. Do rozpaczki mnie doprowadzało, zżerało od środka właśnie to: że nie rozumiałam.

Skoro moja siostra Águeda nie potrafiła wytrzymać dłużej niż tydzień bez rozmowy z Isabellą, jak moja matka mogła wyrzucić mnie ze swojego życia, wykreślić zupełnie, jakbym nigdy się nie urodziła? Czy moje przewinienie było aż tak straszne? A może jej miłość zależała od mojego posłuszeństwa i od jej wpływu na moje życie? Wiedziałam, że jestem w położeniu wygnańca, nigdy jednak nie sądziłam, że zostałam aż tak wykluczona. Zawsze wierzyłam, że jeśli wydarzy się coś naprawdę ważnego, rodzina wezwie mnie i normalnie ugości. Ale nie. Águeda mi

powiedziała, że nie powinnam przyjeżdżać do Palermo, a jeśli mimo wszystko przyjadę, żebym absolutnie nie zabierała Faradża. Faradž nie zostanie wpuszczony do Villa Salina pod żadnym pozorem. Już dość skrzywdził rodzinę.

Wszystko to graniczyło z szaleństwem i gdyby nie to, że bardzo cierpiałam, nawet by mnie chyba ubawiło. Ale byłam Salinówną i tego moja matka nie mogła zmienić. Dumna Filippa Zafferano nie chce mnie widzieć? Świetnie, więc będzie musiała się pomęczyć, bo ja pojedę zobaczyć ją.

– Posłuchaj mnie, Ottavio – błagała Águeda przez telefon. – Nie przyjeżdżaj, proszę. Dowiedzą się, że ja ci o tym powiedziałam! Giacomina nigdy mi tego nie wybaczy.

– A co ci zależy na zdaniu Giacominy? – spytałam lekceważąco swoją młodszą siostrę.

– Teraz Giacomina kieruje rodziną! – krzyknęła zaniepokojona. – I zapowiedziała, że jak się tu zjawisz, gorzko pożałujesz!

Z dziewięciorga rodzeństwa Salinów (ja byłem ósma, stąd moje imię, a Águeda dziewiąta, najmłodsza) zostało nas ośmioro. Najstarszy Giuseppe, ojciec czworga dzieci, zginął w 2000 roku w zamachu, w którym stracił życie także nasz ojciec Giuseppe Salina. Zabili go Sciarrowie z Katanii, konkurencyjna rodzina mafijna, w sfingowanym wypadku drogowym. Giacomina, druga w kolejności, była najbardziej despotyczną i doprowadzającą do rozpaczyci starszą siostrą, jaka może się człowiekowi trafić. Skończyła sześćdziesiąt osiem lat, jej mężem od szesnastego roku życia był Domenico, miała z nim pięcioro dzieci, a od nich gromadkę wnucząt, których ja nie znałam, ponieważ urodziły się w ciągu ostatnich czternastu lat. Giacomina najgorzej przyjęła mój ślub z Faradžem, przypuszczam, że przez solidarność z matką. Po niej był sześćdziesięciosześcioletni Cesare, ojciec czworga dorosłych już dzieci, dzięki nim również dziadek Czwarty był Pierantonio, swego czasu ważny kustosz Ziemi Świętej, a teraz prosty franciszkanin w konwencie Świętego Antoniego Padewskiego w Palermo. Piąty, Pierluigi, żonaty z Livią, dał mi pięcioro ślicznych, inteligentnych brataników i o ile wiedziałam, niedawno po raz trzeci został dziadkiem. Szósta na świat przyszła Lucia, zakonnica dominikanka przebywająca od ponad dwudziestu lat w Londynie. Siódmy był Salvatore, tylko trzy lata starszy ode mnie i najdzikszy spośród moich braci. Ilekroć w dzieciństwie bawiliśmy się razem, zawsze kończyłam podrapana i posiniaczona. Miał czworo dzieci i jeszcze nie został dziadkiem.

Z wyjątkiem Pierantonia, Lucii i mnie, przeznaczonych przez matkę do życia religijnego, pozostali pracowali w rodzinnych przedsiębiorstwach. Podobnie jak ich dzieci oprócz pięciorga czy sześciorga, którzy woleli się oddalić i nie brudzić sobie rąk. Moja matka żadnej z tych decyzji nie przyjęła dobrze, lecz tłumaczenie jej, że przynależność do Cosa Nostry to przestępstwo i grzech, było jak rzucanie grochem o ścianę: nasze rodziny zawsze należały do Cosa Nostry i od wieków chroniły, broniły i wspomagały mieszkańców Palermo i nie tylko. Zresztą oddała Panu

Bogu troje – znaczy obecnie dwoje – swoich dzieci, żeby wstawiły się za moim ojcem i za nią, dlatego mój występki był taki ciężki; zbawienie ich dusz zależało od służby tej trójki Kościołowi.

Wszystko starannie sobie przekalkulowała, a ja zniweczyłam jej plany, zdradziłam ją.

– Ottavio, proszę, nie przyjeżdżaj!

– To także moja matka, Águedo! Kiedy będą jej robić cewnikowanie?

– O pierwszej po południu. Teraz mamy tu pierwszą w nocy.

– Widzimy się w domu.

– Ottavio, nie!... – usłyszałam jeszcze krzyk mojej siostry, zanim odłożyłam słuchawkę.

Moja matka dostała dusznicy bolesnej, która się nie objawiała przez dziesięć dni z powodu rozrusznika serca. Matka traciła rozum, bredziła i wygadywała jakieś głupoty o istotach pozaziemskich, jak zdarta płyta ciągle powtarzała swoją datę urodzenia i ile ma lat. Liczne badania w szpitalu wreszcie pozwoliły ustalić, jaka jest przyczyna tego stanu – właśnie ta dusznica, która spowodowała niedotlenienie mózgu. Rozrusznik serca zabijał moją matkę. Niewielkie było prawdopodobieństwo, że cewnikowanie pomoże, głównie ze względu na jej wiek – blisko dziewięćdziesiąt lat.

W głębi ducha wiedziałam, że nie zdążę, że nie zobaczę już swojej matki żywej, lecz ta myśl tylko mnie zagrzała: musiałam lecieć do Palermo pierwszym rejsem z Toronto. Musiałam wrócić do domu.

Kiedy oprzytomniałam, odkryłam, że twarz mam wtuloną w pierś Faradza i że mąż ściska mnie z całych sił. Zdziwiłam się lekko, bo nie pamiętałam, jak to się stało, że wylądowałam w jego ramionach, póki nie usłyszałam bolesnych lamentów i żalonych jęków i nie zdałam sobie sprawy, że ja te dźwięki wydaję, szlochając rozpaczliwie. To jeszcze bardziej mnie zdziwiło. Przywarłam do Faradza, który mocniej mnie objął. Usiłowałam się uspokoić, żeby on nie cierpiał, ale nie zdołałam. Słyszałam głosy w tle, urywki rozmów. Faradz również z kimś gadał. Nic z tego nie rozumiałam, a tym bardziej nie rozumiałam, że ktoś taki jak ja może oplakiwać matkę, która mnie nie kochała i nie zasługiwała na moją miłość.

Gdzieś blisko ktoś szlochał jeszcze głośniejsze. Isabella.

Chciałam odsunąć się nieco od Faradza i rozejrzeć za siostrzenicą, mąż jednak mi nie pozwolił.

– Nie płacz, basileja – szeptał, całując moje mokre policzki. – Nie płacz, proszę. Nie mogę patrzeć, kiedy tak cierpisz. Co mam zrobić?

– Muszę jechać do domu.

– Już jedziemy do domu, kochanie. Uspokój się.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że Faradz sądzi, iż chcę jechać do naszego domu, a ja powiedziałam „do domu”, mając na myśli dom mojej matki. Nie, Villa Salina już nie była moim domem. Dawno przestała nim być. Mój dom był tam, gdzie przebywał Faradz.

– Musimy jechać do Palermo – sprostowałam, wyciągając rękę do Isabelli, żeby podeszła.

Odsunęłam się od Faradża i objęłam siostrzenicę, która przytuliła się do mnie jak w czasach, gdy była mała. Tyle że teraz przerastała mnie o głowę.

– Pojedziemy do Palermo? – spytała z płaczem.

– Możecie zaraz lecieć – rozległ się głos Becky Simonson. – Naszym samolotem.

– Nie trzeba, dziękuję – odrzuciłam propozycję może trochę za oschle.

– Nie zdążyście samolotem rejsowym – nalegała.

– Wiem, Becky, ale...

– Nie upieraj się, pani doktor. – Za Isabellą pojawiło się granitowe oblicze Kaspara. – To twoja matka. Jeśli nie zdążyś, nigdy sobie tego nie wybacysz.

– Ależ wybaczę sobie, kapitanie! – odparłam. – Matka nie chce mnie widzieć.

– Bzdura! – zawołała Becky. – Skąd ci się wziął taki absurdalny pomysł? To twoja matka, Ottavio! Oczywiście, że chce cię widzieć! Nie ma co gadać. Jakę już kazał przygotować samolot. Nie martw się niczym.

– Za dziesięć godzin będziecie w Palermo! – oznajmił Simonson, wchodząc do biblioteki. Nawet nie zauważyłam, kiedy wyszedł. – Szybko! Samochód już czeka, zawiezie was na lotnisko.

– Za dziesięć godzin? – zdziwiłam się.

– Lot bezpośredni. Bez międzylądowań – wyjaśnił Jake ze śmiechem. – No już, chodźcie do samochodu!

Nie lubiłam mieć zobowiązań wobec nikogo, lecz tym razem nawet przez myśl mi nie przeszło, by znowu odrzucić propozycję. Kaspar miał słuszość: jeśli nie dojadę na czas, by pożegnać się z matką, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Lecieliśmy całą noc ogromnym gulfstreamem Simonsonów. Był jak latający pałac, luksusowy niczym apartamenty w Çırağan Palace w Stambule i z liczniejszą obsługą niż loty rejsowe. Było nas tylko troje: Faradż, Isabella i ja.

Isabella przespała z pięć, sześć godzin, ale my z Faradżem nie zmrużyliśmy oka. Martwiliśmy się oboje, jak zostaniemy przyjęci w Palermo. Kiedy byliśmy tam ostatnim razem, nikt nie wyszedł nam na powitanie i nikt nas nie pożegnał. Teraz też nie liczyliśmy, że ktoś przyjedzie po nas na lotnisko, nawet moja siostra Águeda. Isabella będzie musiała pojechać ze mną taksówką do szpitala, w którym leży jej babcia.

Faradż, przewidujący jak zawsze, poprosił obsługę samolotu o informację o hotelach w Palermo, okazało się jednak, że mamy już rezerwację w Grand Hotelu, jednym z najlepszych w centrum miasta. Oczywiście brakowało mi słów wdzięczności wobec Simonsonów za to, co zrobili. Znajdę im te przekłete ossuaria, zapewniłam Faradża, mimo że to fałszerstwo i że bardzo nie mam ochoty ich szukać. Miałam wobec tych ludzi dług, a ponieważ nie lubię mieć długów,

spłacę go, żeby odzyskać spokój.

W samolocie wzięliśmy prysznic i zjedliśmy śniadanie. Nie mieliśmy świeżych ubrań, ale to było akurat nasze najmniejsze zmartwienie. Była jedenasta rano czasu lokalnego, gdy kapitan zapowiedział, że zbliżamy się do Punta Raisi, lotniska w Palermo, które naprawdę nosi nazwę Falcone-Borsellino (na pamiątkę dwóch słynnych sędziów antymafijnych, Giovanniego Falconego i Paola Borsellina, zamordowanych przez Cosa Nostrę w 1992 roku), chociaż z oczywistych przyczyn wszyscy na nie mówią Punta Raisi. Kapitan poinformował nas także, że temperatura w Palermo wynosi 26 stopni, a na niebie nie ma nawet jednej chmurki. Piękny czerwcowy dzień nad Morzem Śródziemnym.

Isabella i ja pożegnaliśmy się z Faradżem przy taksówce, którą pojechaliśmy do Ospedale Civico, gdzie leżała moja matka. Faradż miał udać się do hotelu i tam na nas czekać. Płonąłam gniewem, że muszę się rozstać z mężem, podczas gdy z pewnością moi bracia i siostry będą ze swoimi współmałżonkami i gromadą dzieci. A ja oczywiście nie mogłam być tam z Faradżem, jeśli nie chciałam znaleźć go później gdzieś przy drodze z kulką w głowie. Dla osoby noszącej nazwisko Salina powrót do Palermo oznaczał ponowne wkroczenie w niebezpieczny, chory świat, którego nie rozumiałam i od którego zarówno Isabella, jak i ja chciałyśmy uciec na zawsze.

Drżały mi nogi, kiedy jechałyśmy windą na kardiologię. Krew się we mnie gotowała na myśl, że znów będę musiała stawić czoło rodzeństwu. Modliłam się bezgłośnie. Modliłam się o siłę i odwagę. Modliłam się za swoją matkę. Aż rozsunęły się drzwi obszernej windy. Piętro było obleżone. Za ciasno dla jeszcze jednej Saliny, za ciasno dla każdego, kto nie nosił tego nazwiska. Najwyraźniej znaleźli się tam wszyscy, którzy je nosili, a było ich wielu. Nagle zapadła cisza i wszystkie głowy zwróciły się w naszą stronę.

– Chodź, ciociu – szepnęła Isabella, biorąc mnie pod rękę. – Idziemy.

Musiałam się przemóc, by wejść między swoich licznych krewniaków, którzy zachowywali całkowitą ciszę. Nie, nie, nie ból ani nie troska widniały na tych wszystkich zdziwionych młodych twarzach. Było na nich oburzenie, że tu jestem. Już im zrobiono pranie mózgu. Wszyscy ci ludzie byli moimi siostrzeńcami i bratanekami w towarzystwie swoich żon i mężów. Znałam ich od urodzenia, widziałam, jak rośli, byłam ich ciotką, ale nikt się ze mną nie przywitał. Teraz byli dorośli i tańczyli, jak im rodzina zagrała.

W głębi korytarza byli starsi, moje rodzeństwo. Dojrzałam franciszkański habit Pierantonia. Wszyscy się odwrócili i patrzyli na nas, gdy szliśmy w ich kierunku zdecydowanym krokiem. Nie, nie bałam się, w ogóle nic nie czułam. Jedynie gniew. Jak Giacomina, która na mój widok tylko zmrużyła oczy niczym drapieżca w obliczu ofiary. W jednej chwili ośwładnęła nią złość. Zrobiła krok w naszą stronę, przypuszczalnie chcąc nam zagrozić drogę, ale ręka Pierantonia ją powstrzymała.

O mało się nie roześmiałam, zobaczywszy, że Giacomą, osoba w niemłodym już wieku i z taką tuszą, nadal farbuję długie włosy na kruczoczarny kolor, nosi je rozpuszczone jak nastolatka, a na twarzy dźwiga ze dwa kilo (albo i więcej) tapety. Wygląd miała nieprzyjemny dla oka, pewnie tak samo nieprzyjemnie się zachowywała w tych okolicznościach. Kiedyś bardzo kochałam najstarszą siostrę, ale chociaż powtarzałam sobie, że rodzinę ma się na zawsze, tamta miłość najwyraźniej się skończyła. Jej do mnie też. Była teraz znajomym wrogiem, nikim więcej.

Za to widok Pierantonio mocniej mnie poruszył. Mój brat był wielkim człowiekiem, dobrym kapłanem i autentycznym franciszkaninem, nawet jeśli Faradz i Kaspar pamiętali mu ciągle, że swego czasu prowadził handel znaleziskami archeologicznymi na czarnym rynku dzieł sztuki. Mój brat robił to, aby finansować szpitale, szkoły i jałdodajnie dla ubogich w Ziemi Świętej. Jeśli to są złe uczynki, to niech mi ktoś wytłumaczy dlaczego. Dla mnie były to działania iście ewangeliczne, jeszcze się z takimi nie spotkałam. Poza tym Pierantonio i ja mieliśmy takie samo usposobienie, znałam go doskonale, fizycznie też byliśmy do siebie bardzo podobni, chociaż teraz on miał łysinę i spory brzuszeczek. Ze smutkiem stwierdziłam, że wygląda na dwadzieścia lat starszego, ale życie nie obchodziło się z nim łagodnie.

Spojrzał na mnie i postąpił kilka kroków w naszą stronę. My z Isabellą podeszłyśmy jeszcze trochę, po czym stanęłyśmy. Mój brat był niczym przedpiersie między dwiema grupami wojowników. Águeda, matka Isabelli, i Lucia, moja siostra dominikanka, płakały cichutko. Pierantonio cmoknął Isabellę w policzek i lekko pociągnął ją za rękę, aby go minęła i podeszła do matki. Następnie przez chwilę bez słowa wpatrywał się we mnie. Jeśli sądził, że mnie wystraszy, to grubo się pomylił. Wtem zobaczyłam, że na usta wychodzi mu przemożny uśmiech, który nadaremnie próbuje powstrzymać. Jednakże ku mojej radości uśmiech się poszerzył i ostatecznie zwyciężył.

Spuściłam wzrok i zaśmiałam się.

– Myślałam, że ty też będziesz mnie ignorował – szepnęłam.

W tej chwili już nie ukrywał, jak jest zadowolony, że mnie widzi, nie próbował też powściągnąć błysku radości w oczach.

– Moja mała Ottavia! – zawołał, chwytając mnie w objęcia. – Jak się cieszę, że przyjechałaś! Takza tobą tęskniłem!

– Mogłeś nas odwiedzić w Stambule – wypomniałam przytulona do niego.

– Nie zaprosiliście mnie nigdy – zauważył zadowolony z odpowiedzi.

Wreszcie odsunęliśmy się od siebie. Wokół nas trwała gęsta cisza. Tym gęstsza, że szpilki by nie wcisnęła na tym piętrze szpitala.

– Co z mamą? – spytałam.

Twarz mu się ściągnęła.

– Właśnie ją zabierają na salę operacyjną... – Zawahał się. Był równie jak ja zmartwiony ciężkim stanem naszej matki. – Dwa dni temu udzieliłem jej ostatniego namaszczenia. Reszta w rękach Boga.

A więc nie zobaczę matki żywej.

– Co mam zrobić? Przywitać się z innymi czy nie? – spytałam bardzo cicho, by usłyszało mnie jak najmniej osób dookoła.

Przez oczy przemknęła mu niepewność.

– Lepiej nie – wyjął.

– Stoją dwa metry od nas! – zaprotestowałam. – Byłoby śmieszne, gdybym przyjechała tu... tu! – i wskazałam posadzkę pod naszymi nogami – po czym wyjechała, udając, że mnie tu nie było.

– Ottavio – wyszeptał – teraz Giacomą rządzi i Giacomą zapowiedziała rodzinie, że jeśli przyjedziesz, wszyscy mamy cię ignorować i odwracać się do ciebie plecami. Rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem, Pierantonio – mówiłam cicho, ale z krwią tętniącą mi w uszach. – Czy nie jestem waszą siostrą? Czy nasza matka, matka nas wszystkich, nie jest umierająca? Mam takie samo prawo jak oni być tutaj!

– Nie mogą ci wybaczyć, że uchybiłaś mamie. Nigdy ci nie wybaczą.

Uchybiłam? Niby jak jej uchybiłam? Że się zakochałam? Że jej się sprzeciwiłam?

– Ta duża rodzina – tłumaczył mi brat po cichu, mimo że ten i ów słyszał, co mówi, i wiadomo było, że rozejdzie się to dalej – orbituje wokół naszej matki i dobrze o tym wiesz. Mama jest centrum wszystkich i dla wszystkich. A ty jej uchybiłaś i uciekałaś daleko od nas, mówiąc, że jesteśmy mafiosami i że nie akceptujesz naszego sposobu życia.

– Dlaczego mówisz w pierwszej osobie liczby mnogiej? Ty nie jesteś taki jak oni. Lucia też nie. My troje dzięki mamie jesteśmy inni.

– To prawda, nie jestem taki jak oni – przyznał. – Ale żeby ich nie stracić, żeby nie stracić mamy, akceptuję ich takich, jacy są, i to, co robią. Taksamo jak Lucia. A ty nie. Ty występujesz przeciw rodzinie. I jakby tego było mało, porzuciłaś Kościół i Watykan, chociaż mama była z ciebie taka dumna. I jeszcze wyszłaś za muzułmanina.

– Faradz nie jest muzułmaninem! Jest koptem, chrześcijaninem! – W rzeczywistości był ateistą, lecz to w tej chwili było nieistotne. – Znasz go i wiesz o tym!

Faradz i Pierantonio poznali się w Jerozolimie, kiedy ścigaliśmy złodziei *Ligna Crucis*.

Mój brat ze smutkiem pokręcił głową.

– Nieważne, Ottavio. W głowie się nie mieści, że tak nie znasz własnej matki, nie wiesz, jaka jest i co myśli. Ona kręci światem według własnych zasad.

– Mama jest irracjonalna – oświadczyłam.

– Owszem, jest irracjonalna, ale to w końcu twoja matka. I nie powinnaś jej uchybiać. Ta rodzina tego nie wybacza.

– Na Boga, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku! – krzyknęłam i z oczu popłynęły mi łzy, których nie zdołałam powstrzymać.

– Salinowie nie, Ottavio. My, Salinowie, nigdy nie będziemy żyli w dwudziestym pierwszym wieku. Chodź – powiedział, mocno ujmując mnie za rękę i prowadząc z powrotem do windy. – Pogadamy na zewnątrz.

Zaparłam się nogami i nie ruszyłam z miejsca.

– Nigdzie nie idę, Pierantonio. Przyjechałam zobaczyć się z matką i Giacomą mi w tym nie przeszkodzi.

– Obiecuję, że zobaczysz się z mamą później – wycedził, ciągnąc mnie za sobą. – A teraz chodź ze mną.

– Nie!

– Ottavio!

– Mówię nie, Pierantonio!

Zaniepokojona rodzina oglądała się na nas, nie wiedząc, jak się zachować. Wielu moich dorosłych siostrzeńców i bratanków pokazało mi plecy zgodnie z poleceniem Giacomy.

– No dobra – poddał się mój brat i puścił mnie. – A jeżeli ci powiem, że mam dla ciebie wiadomość od jego ekscelencji Tourniera, pójdziesz ze mną?

A niech to!... pomyślałam. Tournier tutaj, w tej chwili, za pośrednictwem mojego brata?

Musiałam mieć minę idiotki czy coś w tym stylu, bo Pierantonio się uśmiechnął i dostojnym krokiem, który go charakteryzował, kiedy był o piętnaście lat młodszy i sprawował funkcję kustosa Ziemi Świętej, pomaszerował do windy.

Zostałam sama pośród sfory psów, które w milczeniu szczyrzyły na mnie kły. Jakże nikczemni byli moi bracia, jaki ból zadawali mi bratankowie. A taka byłam z nich dumna! Zrobiłam krok za Pierantoniem, tylko jeden krok i obróciłam się.

– Wybacz mi, Giacomo – powiedziałam tak głośno, żeby wszyscy usłyszeli. – Wszyscy mi wybaczcie. Ubolewam, że w tych smutnych chwilach moja obecność wam dokuczyla. Odchodzę. Mam nadzieję, że mi wybaczycie.

Mój głos był pokorny i skruszony. Przeprosiny szczerze. Intencje nie. Intencje miałam złe i pokrętnie. Tego na pewno się po mnie nie spodziewali. Byli gotowi do starcia i walki, nie do wysłuchiwanie pokornej prośby o przebaczenie. Znałam swoich krewnych. Zjednałam ich sobie. Ostatecznie byłam z Salinów i dla mnie też cel uświęcał środki.

Popatrzyłam na ich skonsternowane twarze, wyobraziłam sobie, jak oniemiałe, zmieszane miny muszą mieć Giacomą, Cesare, Pierluigi, Salvatore i inni, a następnie niczym królowa, takim

samym dostojnym krokiem jak mój brat, ruszyłam do windy, w której na mnie czekał.

– Powiedziała ci ktoś kiedyś, jaka jesteś diabelnie szczerwana? – spytał Pierantonio szeptem, gdy zamykały się za nami metalowe drzwi.

– Mąż ciągle mi to powtarza – odparłam z absolutnie nieruchomą twarzą. – Ale on mnie kocha, więc to się nie liczy.

– No to nie będzie się też liczyło, jak ja to powiem – oznajmił mój brat, obejmując mnie ręką i przyciągając do siebie.

I naraz, gdy winda ruszała w dół, zaczęliśmy oboje położyć się ze śmiechu. Dwie czy trzy osoby, które znajdowały się z nami w metalowej klatce, odsunęły się nieco jakby wystraszone. Mimo że Pierantonio nosił strój ubogiego franciszkanina: brązowy habit i podniszczone czarne buty.

– Mamy dużo do obgadania, siostrzyczko – rzekł mój brat, wciskając guzik trzeciego piętra. Kontrolka się zaświeciła. – Ale najpierw pożegnamy się z mamą.

Ścisnęło mnie w gardle. Pierantonio zabierał mnie do mamy. Najwyraźniej był spowiednikiem ordynatora kardiologii, doktora Agostina Martellego, i we dwóch przygotowali wszystko, mój brat bowiem nie wątpił ani przez moment, że stawię się w szpitalu.

– Znam cię, siostrzyczko – powtarzał, prowadząc mnie korytarzami i poczekalniami pełnymi ludzi w południowej porze.

Wiele, bardzo wiele osób, widząc człowieka w habitacie, z szacunkiem pochyliło głowę. Sycylia zawsze będzie Sycylią. A ja niewątpliwie przybywałam z innej planety.

Dotarliśmy w końcu do drzwi, na których wyraźnie wypisano zakaz wstępu dla osób spoza personelu medycznego, lecz mój brat nie zważał na to. Kiedy weszliśmy, grupka lekarzy w zielonych chirurgicznych strojach przyjęła nas uśmiechem.

– To moja siostra Ottavia.

Lekarze przywitali się uprzejmie, z sympatią, a jeden powiedział:

– Odkrywczy ni mauzoleum Konstancy na!

Gdyby Isabella tu była, prychnęłaby lekceważąco, ja jednak przytaknęłam zadowolona.

– Chce pani zobaczyć matkę, prawda? – spytał inny o smutnej twarzy.

– Bardzo bym chciała.

– Nie martw się, Agostino – wtrącił mój brat. – Wie, w jakim jest stanie. Nie wystraszy się.

Wystraszyłam się jednak. Mama leżała na noszach ustawionych przed wejściem do sali operacyjnej. Nie wyglądała na przytomną. I nie była. Już dostała środki usypiające. Pierantonio ujął jej przezroczytą dłoń i ucałował.

– Mamo, Ottavia przyjechała zobaczyć się z tobą – powiedział, dając mi znak, abym się przybliżyła.

Nogi się pode mną ugiwały. Tam była moja matka. Właściwie nie. Tam było ciało mojej matki, ta odrobinka, która z niej została. Bo mojej matki, kobiety dumnej, wyniosłej i silnej, jaką pamiętałam, już nie było. Pod prześcieradłem spoczywało wychudłe, wyniszczone ciało. Matka zawsze była dorodna, zadbana, władcza... Niemniej wymizerowana twarz należała do niej. Uśpiona, zwiędła, ale o pięknych, znajomych rysach.

– Już się nie obudzi, prawda? – spytałam brata, obchodząc nosze i ujmując drugą dłoń matki.

– Nie obudzi się – przyznał. – Agostino dał jej bardzo silne środki usypiające. Rozumiesz, co to znaczy? Uszkodzenia mózgu z powodu długiego niedokrwienia są nieodwracalne, a jej serce nie wytrzyma cewnikowania. Przeprowadzają operację tylko po to, żeby uciszyć rodzinę i oszczędzić sobie nieprzyjemności. Ale mamy już nie ma wśród nas. Pomódlmy się za nią.

Nie pomodliłam się.

– Mamo! – zawołałam, ściskając oburącz jej zimną dłoń. – Mamo!

– Ottavio, ona cię nie słyszy.

– Mamo, to ja, Ottavia – płakałam. – Mamo, wybacz mi, proszę. Nigdy nie chciałam ci uchybić, przysięgam. Kocham cię, mamo. Nie zostawiaj mnie, proszę, nie odchodź!

– Ottavio! – zbeszał mnie brat.

– Wybacz mi, mamo – mówiłam, nie przestając płakać. – Wybacz...

– Ottavio, patrz na mamę! – Aż się wzdygnęłam, słysząc rozkazujący głos Pierantonio. –

Patrz na nią!

Posłuchałam oczywiście. Matka miała otwarte oczy i patrzyła na mnie. Choć było to niemożliwe, patrzyła na mnie. Uśmiechnęłam się nieśmiało. Odwzajemniła uśmiech. Poznała mnie. Wiedziała, że tu jestem, i wiedziała, kim jestem – tak było, choćby tysiąc lekarzy twierdziło, że to niemożliwe. Cokolwiekby mówili, ja wiem, co się wtedy stało. Moja matka mnie rozpoznała, uśmiechnęła się do mnie i pożegnała ze mną. Potem na powrót zamknęła oczy i już ich nie otwarła.

Po chwili poczułam dłoń Pierantonio na swoim ramieniu.

– Cieszę się, że pogodziłyście się z mamą – powiedział ochryple.

– Widziałeś to, Pierantonio, prawda?

– Widziałem, siostrzy czko, widziałem. Mama nie mogła odejść z tego świata, nie załatwiwszy sprawy z tobą. Zawsze stawiała na swoim. I zawsze była uparta.

Nachyliłam się i pocałowałam mamę w policzek

– Żegnaj, mamo – szepnęłam. – Dziękuję, że dałaś mi życie.

Ułożyłam jej dłoń na prześcieradle, to samo zrobił Pierantonio, który także ją pocałował.

– Uściskaj od nas Pana Boga, mamo – szepnęłam.

– Przestań, Pierantonio! – zbeszałam go. – Kiedy ty dorośniesz?

– Może jutro? – odparł, obejmując mnie ramieniem i prowadząc do drzwi. – Tak jutro między piątą a szóstą po południu.

ROZDZIAŁ 18

Niestety, moja matka umarła niedługo potem w trakcie cewnikowania. Wtedy jechałam taksówką do hotelu, rzewnie płacząc ku wielkiemu strapieniu kierowcy, który co rusz z niepokojem zerkał na mnie w lusterku wstecznym. Powinna być może zadzwonić do męża, co wytknął mi później, ale nawet nie przeszło mi to przez myśl. Nigdy nie pamiętałam, że mam komórkę, dopóki nie zadzwoniła.

Poszliśmy z Faradżem na lunch do niedużej, przyjemnej trattorii w pobliżu hotelu i kiedy z płaczem opowiadałam mu o najboleśniejzych chwilach spotkania z rodziną, jego telefon komórkowy nie przestawał popiskiwać. Ilekroć przychodziła wiadomość z komunikatora WhatsApp, rozlegały się trele i ćwierkania.

– To Isabella – wyjaśniał nieodmiennie.

Moja siostrzenica powiadamiała nas na bieżąco o wszystkim, co się mówi w rodzinie. To ona przekazała Faradżowi wieść o śmierci babci na sali operacyjnej. Była naszą wtyczką, która marzyła o tym, by wyrwać się ze szpitala, lecz nie mogąc tego zrobić, na pocieszenie wysyłała nam wiadomości.

Simonsonowie także zadzwonili z pytaniem, jak się mamy, a Kaspar przez komunikator nie przestawał pytać o mnie, póki Faradż mu nie dał znać, że wróciłam w jednym kawałku. Nie wspominał mu za to, bo sam jeszcze nie wiedział, że po południu mamy umówione spotkanie z moim bratem Pierantonim, który przekaże nam tajemniczą wiadomość od obmierzonego arcybiskupa Tourniera. Kiedy mu o tym powiedziałam, zdębiał i skrzywił się mocno.

– Skąd Tournier wiedział o twojej matce i był taki pewny, że tu przyjedziemy? – mruknął w zamyśleniu. – I co go łączy z twoim bratem? Uważam, że powinniśmy natychmiast wracać do Toronto. To mi się nie podoba.

„To” było pretekstem. W rzeczywistości Faradż nie palił się do spotkania z Pierantonim nie dlatego, że był z Salinów, ani nie z powodu jego burzliwej przeszłości handlarza znaleźskimi archeologicznymi, lecz dlatego, że jakoś pokrętnie wrzucił Tourniera i Pierantonia do jednego worka, nie mając świadomości, jak bardzo się różnią.

– Nie, na pewno chodzi o coś ważnego – sprzeciwiłam się, wycierając oczy chusteczką higieniczną. – Poza tym nie możemy wyjechać bez Isabelli.

– Masz ci los! Boję się, że twoja siostra da nam popalić.

– No, ja też. Od dziś Águeda nie będzie chciała, żeby Isabella mieszkała z nami.

– Bogowie, co za rodzina! – jęknął wobec perspektywy, że będzie musiał się rozstać z ukochaną przyzwaną siostrzenicą.

– Nie bluźnij!

– Uskarżanie się na swoją rodzinę to bluźnierstwo?

– Nie. Mówienie „bogowie”. Tak się mówi o pogańskich bóstwach.

– No, właśnie wzywam pogańskie bóstwa.

– Otóż to. Bluźnisz.

Próbowałam zachowywać się normalnie, żartować, lecz czułam rozpacz tak czarną i głęboką, że moje serce przy pominało starożytną cysternę konstanty nopolitańską. Odejście matki było zbyt świeże, ponadto nie miałam pewności, czy Bóg jej wybaczy liczne ciężkie grzechy. Ufałam jednak nieskończonemu boskiemu miłosierdziu. Ufałam miłości Boga. Ufałam przede wszystkim, że w ostatnich chwilach okazała żal za te straszne rzeczy, które robiła w ciągu życia. Jeśli tylko Jezus kocha ją w połowie tak mocno jak ja, przebaczy jej, powinnam się zatem uspokoić, byłam bowiem pewna, że Jego miłość jest dużo większa. Tyle dobrze, że Kościół ogłosił, iż piekło nie istnieje, inaczej przez resztę życia nie spałabym spokojnie.

– Kochanie, słyszysz?

– Co?

– Myślisz o matce, prawda?

– Tak Przepraszam.

– Nie przepraszaj, to normalne. Na pewno chcesz się dowiedzieć, jaką wiadomość przesyła Tourner? Najbardziej by go zezłościło, gdybyśmy odnieśli się do tego obojętnie.

– Czy nie powiedziałam ci, że odnajdę Simonsonom te ossuaria, choćby nie wiem co?

Faradž się uśmiechnął. Właśnie odkrył kolejny użyteczny przycisk na moim panelu kontrolnym.

– Dobra. Dzwonię w takim razie do Kaspara, żeby mu powiedzieć o Pierantoniu i Tournerze.

Faradž nie znosił mojego brata, Kaspar natomiast głęboko nim gardził, a Pierantonio gardził nim, i to dużo bardziej, niż duchowny może kimś gardzić. No dobra, w rzeczywistości bał się go. Kiedy Kaspar był najemnym pracownikiem Watykanu i odkrył finansowe przekręty mojego brata zdobywającego nielegalnie pieniądze, których Kościół mu odmawiał, z właściwym sobie urokiem stanął przed nim i obuchem swojej władzy grzmotnął w głowę biednego Pierantonio.

– Spokojnie... – mówił mój mąż do telefonu, gdy ja bez apetytu z trudem wpychałam w siebie pasta con carne. – Do licha, Kaspar, przestań wrzeszczeć!

– Ty też nie krzycz – szepnęłam mężowi. Cała restauracja się na nas gapiła.

– Tak, człowieku, tak! – Faradž na migi dał mi do zrozumienia, że były katon chodzi w tej chwili po ścianach. – Powiedz im, że mamy się dobrze... Tak, na pewno. Mamy się dobrze... Nie, w żadnym razie... Tak.. Jak tylko wróci Isabella, wsiadamy do samolotu... Poważnie... Nie, tego szwagrowi nie powiem... Przestań... Właśnie, świetny sposób. Czekać bez ruchu wpatrzony

w komórkę... Tak.. Zadzwońmy potem.

– Nie będą czekali bez ruchu wpatrzeni w komórkę – powiedziałam z uśmiechem do Faradza, kiedy zakończył rozmowę.

– Założę się, o co chcesz, że tak! – odparł na tyle rozzłoszczony, że wyjątkowo wyraźnie rozbrzmiał jego akcent arabski. – Założę się, o co chcesz, że połowa ludzi w tej restauracji pracuje dla Simonsonów!

– Albo dla Gottfrieda Spittelera i arcybiskupa Tourniera.

– Na pogańskich bogów!

– Faradz!

Mój brat po południu zjawił się w hotelowej kawiarni z poważną, ściągniętą twarzą człowieka, który płakał. Mimo jego wystającego brzucha długą chwilę trzymaliśmy się w objęciach na środku lokalu. Wiadomo, że śmierci naszej matki w tym wieku należało się spodziewać, ale przyszła ledwie parę godzin wcześniej. Gdyby nie nasze inne życie, Pierantonio i ja bylibyśmy w tej chwili przy matce wraz z rodzeństwem, ich dziećmi i resztą rodziny. Ale życie nie zawsze jest łatwe. Właściwie zazwyczaj okazuje się dość trudne.

Faradz i Pierantonio serdecznie uściśli sobie dłonie. Mój brat lubił mojego męża, jak się lubi kolczasty laktus, tak bowiem odnosił się do każdego zaprzyjaźnionego z Kasparem. Mój mąż z kolei nie bardzo lubił mojego brata z powodu jego archeologiczno-przestępczej działalności. Niemniej uściśli sobie dłonie i usiedliśmy. W lokalu cicho grała muzyka.

– Zamówiliśmy cappuccino – rzekł Faradz. – A ty co chcesz?

– Espresso poproszę.

– Dobra, mów – ponagliłam brata, podczas gdy Faradz przywoływał kelnera.

– Od czego zacząć? – Pierantonio uśmiechnął się smutno. – Od Tourniera czy od Isabelli?

Wzdrygnęliśmy się oboje z Faradzem.

– Od Isabelli! – zawołaliśmy jednym głosem.

– Giacomą zabroniła jej wracać z wami. Była straszna awantura w kostnicy.

Faradz złapał swoją komórkę ze stołu i zaczął coś pisać w komunikatorze.

– Co jej piszesz? – spytałam z lękiem.

– Uspokajam ją – odparł, panując nad gniewem widocznym po oczach. – Nie potrzebuje więcej nacisków.

– Napisz, że czekamy na nią – szepnęłam. Czulałam klucie w żołądku, bo już zabrakło mi łez. – Niech się nie przejmuje. Niech nie słucha swojej głupiej ciotki. Jak tylko zjedzie jej z oczu, Giacomą zaraz o niej zapomni.

– Giacomą niczego nie zapomina – zauważył mój brat, zbierając fałdy habitu, aby wygodniej usiąść. – I nie wybacza.

– Wiem – przyznałam. – Ale tego nie powiemy małej. Nie trzeba jej straszyć.

– Isabella nie jest głupia ani strachliwa – mruknął mój mąż, nie przestając pisać w telefonie.

Już nie mogłam. Ten dzień był naprawdę wyczerpujący, zniechęcający i bolesny. Kelner przyniósł parującą kawę Pierantoniovi, który nie słodząc jej i nie bojąc się poparzenia języka, ujął filiżankę i wypił wszystko jednym haustem. Wyglądało na to, że dobrze mu robi kofeina.

– Mów teraz o Turnierze – poprosił Faradz, odkładając telefon na stół obok swojej filiżanki.

Mój brat sapnął.

– No więc wczoraj, kiedy byłem w świeżo otwartej jadłodajni dla tysięcy biedaków, których stworzył ten przekłety kryzys – zaczął – zadzwoniła mi komórka. Numer był nieznanym, a ja miałem mnóstwo roboty, więc nie odebrałem. Ale jeszcze dwa razy dzwoniło z tego samego numeru, więc w końcu znalazłem chwilę. Boże, jak niektórzy są zmanierowani i głupi!

– Do rzeczy, Pierantonio – rozłączyłam. Nie byłam w nastroju do wysłuchiwania bzdur.

– Otóż dzwonił jego ekscelencja Tournier „osobiście”, jak to ujął. Poprosił, żebym wam przekazała wiadomość. – Westchnął. – Powiedział, że przyjedzie zobaczyć się z mamą, a że on w żaden sposób nie może się z wami skontaktować, będzie mi bardzo wdzięczny ...

– Do rzeczy! – warknęłam.

Pierantonio zerknął na mnie z rezygnacją i skrzyżował ręce na habicie.

– No więc dla swojego dobra powinniście się odsunąć od Simonsonów, bo nie są tym, na kogo wyglądają. Podejrzewam, że nie chodzi o tych słynnych, potężnych Simonsonów, tylko o innych, zwyczajnych, w każdym razie Tournier zaklina was w imię Boga i Jego miłości, żebyście przestali szukać dla nich tego, czego szukacie, a zaczęli szukać tego dla Kościoła i dla niego. W zamian oferuje wam trzysta pięćdziesiąt milionów dolarów kanadyjskich, czyli jakieś dwieście pięćdziesiąt milionów euro, a nie muszę mówić, jak haniebna i nieprzyzwoita w moich oczach jest ta kwota w dobie głodu i tylu potrzeb wygenerowanych przez światowy kryzys gospodarczy.

Zajął mi kilka sekund poukładanie sobie tego i zanim to zrobiłam, Faradz już śmiał się jak wariat. Pierantonio rzecz jasna opacznie to rozumiał.

– Jeżeli nędza bliźniego tak cię śmieszy... – zaczął ostrym, lodowatym i bardzo znajomym tonem. Zapomniałam, jak bardzo jesteście do siebie podobni.

– Nie, nie, Pierantonio – wyjąkałam, z trudem znosząc Faradzowy śmiech. – Faradz nie śmieje się z niczyjej biedy. Zrozum, o wielu rzeczach nie wiesz. Miliony proponowane przez Tourniera to efekt pułapki, którą zastawiliśmy na ślepo miesiąc temu, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że ktoś nas szpieguje.

Mój brat odetchnął.

– Czyli że podstępem obrobiliście Tourniera.

– Właśnie! – przyznałam, wtórując Faradżowi, który ciągle nie przestawał się śmiać.

Pierantonio patrzył na nas z chytrym uśmieszkiem na ustach.

– Skoro te pieniądze – zaczął przebiegle – należą do Kościoła, w sam raz by się nadały, żeby pomóc ludziom, którzy w ostatnich latach potracili domy i nie mają co jeść.

– To nie są pieniądze Kościoła – oznajmił Faradż, wreszcie się opanowując. – Turnier, przy najmniej teoretycznie, już nie ma dostępu do kościelnych pieniędzy. Te miliony, którymi tak szasta, pochodzą od organizacji świeckich.

– Z Opus Dei? – spytał mój brat wcale niezdzwiony.

– Ta jest najbardziej znana – potaknęłam. – Ale też z Ruchu Szenszackiego, Komunii i Wyzwolenia, Legionu Chrystusa i tak dalej. Z tego, co wiemy, Turnier przejął nad nimi kontrolę i rządzi się wedle własnego widzimisię.

Faradż ukradkiem zerknął na zegarek

– A czego szukacie dla tych Simonsonów, którzy nie są tym, na kogo wyglądają? – zainteresował się Pierantonio na pozór niewinnie.

– Nie plotkuj! – ostrzegłam.

– Ja plotkuję? – oburzył się. – Jeśli ktoś płaci ćwierć miliarda euro, żebyście przestali szukać czegoś dla jednych i zaczęli szukać dla drugich, przyznaj, że w takim wypadku przezornie będzie zapytać, czego dokładnie szukacie, a nie ile płacą wam jedni i dlaczego drudzy chcą zapłacić aż tyle!

– Już ci mówiłam, że zastawiliśmy pułapkę – powtórzyłam, nachylając się do niego, by informacja bezpośrednio dotarła do jego zakutego łba. – Nikt nic nam nie płaci.

– Na razie – dorzucił Faradż z nieobecny m wzrokiem.

– Na razie – zgodziłam się. – Może w ogóle nie zażądamy pieniędzy. Są rzeczy dużo ważniejsze.

Mój brat przeżegnał się spłoszony.

– Ważniejsze niż ćwierć miliarda euro? – wyrzucił z siebie dziwnie pisłkiwym głosem. – Jak dużo ważniejsze? W jakim sensie ważniejsze? Dlaczego ważniejsze?

– Dość tego, Pierantonio! – obruszyłam się. – Niczego ci nie powiemy!

Ponieważ nazywał się Salina, było do przewidzenia, że takie słowa nie będą miały dla niego żadnego znaczenia. On z pewnością usłyszał: „Powiemy ci wszystko, jeśli jeszcze trochę ponalegasz”, to bowiem uczynił zaraz potem, używając wszelkiego typu podstępów, wybiegów, przenośni, nacisków i rozmaitych chwytów łącznie z prośbami i przypieraniem nas do muru. Faradż jednak przyzwyczajony do takich podchodów we własnym domu, milczał jak zakłęty, a ja przez solidarność – i z własnej woli – również.

Po jakimś czasie w pełnym ferworze bitwy Faradż nagle podskoczył na krześle.

– Isabella! – zawołał. – Chodź, Ottavio, szybko! Na lotnisko!

Moja siostrzenica wpadła właśnie do kawiarni jak wicher z oczami podpuchniętymi i zaczerwienionymi od płaczu. Rozglądała się na prawo i lewo, szukając nas, ale my już bieглиśmy ku niej.

– Faradź, powiedziałaś jej, żeby uciekła? – spytałam, bojąc się najgorszego.

– No pewnie!

Isabella zarzuciła mi ręce na szyję, ledwie znalazłam się w ich zasięgu. Jej wujek przyhamował nieco, abym dotarła do niej pierwsza. Ścisłając ją mocno, zdumiałam się, jak bardzo jest wystraszona. Drżała. Jak mogłam, tak ją pocieszałam. Nawet ją wycalowałam. Kiedy wypuściłam siostrzenicę z objęć, mój brat zapytał:

– Co mam powiedzieć Tournierowi, kiedy zadzwoni?

Ano tak, logiczne, że Tournier będzie oczekiwał jakiejś odpowiedzi.

Bez słowa uściskałam mojego dorodnego teraz brata. Żałowałam bardzo, że znowu się z nim rozstaję, po raz kolejny oddalam od niego. Nie wiadomo, kiedy znów się zobaczymy. W moim życiu pełno było strat, pożegnań i rozstań. Może za karę, że zrobiłam kiedyś coś złego.

– Powiedz Tournierowi, że nie pracujemy za mniej niż miliard.

Pierantonio zachichotał pod nosem.

– Dbaj o siebie, siostrzyczko – szepnął, tuląc mnie mocno. – Zawsze bardzo mi cię brakuje.

Jeszcze tej nocy Pierantonio czekały poważne kłopoty ze strony Giacomy.

ROZDZIAŁ 19

Isabella i ja wsiadłyśmy na pokład samolotu tak zmęczone, że przespałyśmy cały lot. Śniła mi się matka, ojciec, śniło mi się rodzeństwo, kiedy wszyscy byliśmy jeszcze mali. Śniłam o czasach, które może i trwały krótko, lecz symbolizowały całe moje dzieciństwo. Na szczęście gdy zaczęła mi się snić ta żoźła Giacomina, jaką widziałam ją poprzedniego dnia w szpitalu, zostałam wyrwana ze snu pocałunkiem Faradża, który obudził mnie już nad Toronto. Przespałam dziesięć godzin jednym ciągiem, nie budząc się ani razu, i czułam się znakomicie. Co prawda umarła mi matka, ale od tak dawna nie stanowiła części mojego życia, że wraz z powrotem do normalności odzyskałam zarazem spokój i pogodę ducha. Ponadto tamta chwila w nią, kiedy mnie rozpoznała i uśmiechnęła się, nie tylko zapadła mi w pamięć na zawsze, ale także uleczyła – również na zawsze – najboleśniejszą ranę: że mama nie kochała mnie dość mocno. To już było historią i wymazało wszystko wcześniejsze. Toteż owszem, czułam się dobrze.

Samochód Simonsonów czekał na skraju lądowiska – jeszcze jedna uprzejmość z ich strony – i odwiózł nas prosto do domu, do naszego domku w kampusie Uniwersytetu Toronto. Ależ odetchnęliśmy wszyscy, przekroczywszy próg! I zaraz wybuchnęliśmy śmiechem na to nasze westchnienie, po czym Faradż otoczył ręką moje ramiona, przyciągnął mnie do siebie i tak usiedliśmy na sofie w salonie, wdychając znajome zapachy, relaksując się, na powrót obejmując w posiadanie swoją przestrzeń i miejsce w świecie. Pobyt na Sycylii był jedynie koszmarnym snem, tyle że oddalonym o siedem tysięcy kilometrów i zamkniętym w czterdziestu godzinach. Poradziliśmy sobie z nim.

Faradż z samolotu rozmawiał przez telefon z Kasparem i Simonsonami, ale też się trochę przespał, tak że po prysznicu, przebraniu się, zjedzeniu śniadania (domowa kawa, chociaż z tych paskudnych kapsulek) znowu rozsiedliśmy się wygodnie na sofach niczym ostatni wałkonie, gotowi zacząć normalny dzień normalnego życia. Tylko co oznaczało to nasze normalne życie? Szukanie szczątków Jezusa z Nazaretu i jego rodziny na zlecenie pary multimilionerów, którzy nie są tym, na kogo wyglądają? A może by tak wziąć samochód, zaproponowałam, wybrać się na wycieczkę nad Niagarę i tam sfingować swoją śmierć, zniknąć i zacząć nowe życie w jakiejś afrykańskiej wiosce? Nie, w afrykańskiej nie, zdecydowałam, bo tam szaleje ebola i to by się mogło źle skończyć. Lepiej w wiosce australijskich Aborygenów.

– Ale w takiej z wi-fi – ządała Isabella.

– Tam będzie na kopy robali i węży – zauważył Faradż.

– Tak tylko mówiłam – ustąpiłam zniechęcona, na szczęście jednak miałam coś jeszcze w zanadru. – Isabello, poszukaj w internecie czegoś wyjątkowego na temat Simonsonów.

– Czegoś wyjątkowego? – zdziwiła się. – Czego wyjątkowego?

– Nie wiem. Czegoś. Tournier powiedział do Pierantonia, że nie są godni zaufania, że powinniśmy się trzymać od nich z daleka, bo nie są tym, na kogo wyglądają.

– Już wiemy, że to ufoludki, więc to na nic – skomentował mój mąż, nie odrywając oczu od tabletu.

– No co ty! – zaprotestowałam. – To musi być coś w związku z ich majątkiem.

– Może są biedni – podsunął Faradz. – Może tylko udają bogatych.

Isabella miała ubaw po pachy.

– Coś w związku z ich majątkiem, religią albo rodziną! – zeżliłam się. – Tournier nie bez kozery powiedział coś takiego!

– Właśnie! – zgodził się mój mąż, patrząc na mnie tymi swoimi niebieskimi oczami, które ciągle sprawiały, że drżały pode mną nogi. – Powiedział, żeby dać ci zajęcie, nastraszyć cię, wzbudzić podejrzenia i nieufność, doprowadzić do rozdzwiewku między nimi a nami. Tournier zna cię trochę i wie, że łatwo ulegasz takim alarmistycznym sztuczkom.

– Takim jakta z miliardem dolarów?

Isabella znowu chichotała jak głupia.

– No, dotarło do ciebie – uśmiechnął się Faradz.

– Niech ci będzie – zakończyłam. – Isabella, zrób to, proszę. Będę spokojniejsza.

– Nie martw się, ciociu. Przygotuję ci pełne dossier.

Podskoczyliśmy, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Nie spodziewaliśmy się nikogo. A może tak? Faradz wstał, by otworzyć, i po chwili przypadł do mnie śliczny blondasek Linus, uczesany i wypachniony wodą kolońską. Tak się ucieszył moim widokiem, że naprawdę byłam wzruszona. Wspomniałam oburzone i urażone miny swoich siostrzeńców i bratanków oglądane poprzedniego dnia i pomyślałam, że rodzinę chyba można sobie stworzyć z wyboru, a nie tylko z więzów krwi, że chyba miłość, którą darzy mnie ten biedny chłopczyk przewyższa z naddatkiem sumę miłości, którą na pozór żywią do mnie prawdziwi liczni krewni (wyjawszy Isabellę naturalnie). I nagle ścisnęłam małego Linusa, całowałam i pieściłam.

– Hej, ciociu! – zawołała Isabella ironicznie. – Nie przesadzasz z tymi pieścizotami?

Puściłam Linusa zdziwiona i kiedy chłopczyk biegł do mojej siostrzenicy, wpatrzyłam się w nią. Czyżby była zazdrosna? Westchnęłam. Powinnam częściej okazywać jej czułość, tyle że nie wiedziałam jak. Spróbuję to sobie przypomnieć.

Kaspar i Faradz weszli do salonu.

– Witajcie! – zawołał były katon idący o kulach, którymi o wszystko zawadzał. – Jak się czujesz, pani doktor?

– Czułabym się lepiej, gdybyś mi nie rozbijał mebli – odparłam, wskazując metalowe kule.

Dopiero wtedy się zorientował i zdziwił.

– Bo ten dom taki malutki... – tłumaczył się.

– A pewnie, daleko mu do luksusów u Simonsonów! – zadrwiłam.

Zza Kaspara wyłoniła się szpetna Abby. Niewątpliwie słyszała moje słowa.

– Kurczę, Abby, nie widziałam cię – powiedziałam z przesadzoną radością.

Dziedziczka się uśmiechnęła i jako osoba równie przebiegła jak jej dziadkowie, zaraz zdała sobie sprawę ze swej przewagi, szybko zatem podeszła, by na powitanie cmoknąć mnie w policzek. O matko! Co dzisiaj wszyscy tacy łąsi na pieszczoty?

– Jak się masz, Ottavio? – spytała niewinnie, a na twarzy miała wypisaną satysfakcję z triumfu.

– Dobrze – odparłam. – Całkiem dobrze.

W tej chwili już wiedziałam, że Abby nie choruje na nic zakaźnego. Gdyby było inaczej, w minionych dniach, kiedy spędzaliśmy razem dużo czasu, podróżując i pracując, zauważyłabym, że zażywa jakieś leki. Smuciło mnie tylko, że wygrała. Nie znosiłam dobrze porażek.

– Przyjechaliśmy po was – oznajmił były katon bez ogródek – Samochód czeka.

– Wolelibyśmy pobyć dzisiaj w domu, jeśli pozwolicie – powiedziałam, moszcząc się wygodnie na sofie. Nie zamierzałam się ruszać, choćby świat się walił.

– Nie mówiłaś, że dobrze się czujesz? – zdumiał się Kaspar.

– Bo czuję się dobrze – potwierdziłam z uśmiechem – ale podróż dała mi w kość.

– Mamy pustą lodówkę, basileja – wtrącił Faradz.

– Zamówimy jedzenie przez telefon.

– Nie mamy czasu, droga pani doktor – burknął wrogo były katon. – Myślisz, że coś się zmieniło w tym czasie, kiedy nie było was tutaj? Propozycja Tourniera jasno pokazuje, jaka jest sytuacja.

– Kaspar ma słuszość, Ottavio – rzekł mój mąż, wstając. – Jeśli nie chcemy dotrzeć do miejsca ukrycia ossuariów w pięć minut po tym, jak Spitteler je wywiezie, nie możemy tracić czasu. I przypominam ci, że mamy niezakończony temat Marca Polo. Nie bądźmy nieuprzejmi. Jak i Becky na pewno się niecierpliwia.

– I to bardzo – potwierdziła dziedziczka z uśmiechem. – Ale ani Kaspar, ani ja nie powiedzieliśmy im niczego. Biedny dziadek wczoraj cały dzień kręcił się w pobliżu małej biblioteki. Wyglądał jak lew zamknięty w klatce.

– Twój dziadek ma za dużo energii – zauważyłam, przyzwyczajając się do myśli, że będę musiała znowu wrócić do rezydencji Simonsonów.

Zanim jednak do niej przywykłam, już tam byliśmy i wszyscy z wyjątkiem mnie wyglądali

na zachwyconych. Czemu zawsze kończyło się tak, że moje odczucia były sprzeczne z odczuciami wszystkich? Albo wszyscy oprócz mnie się cieszyli, albo złościли, co wydawało mi się dużo sensowniejsze. Przy czym teraz – tak samo jak wcześniej – ledwie przestąpiłam próg małej biblioteki, całe moje życie obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni i błogość zalała mi serce.

Jake i Becky przywitali nas bardzo serdecznie, złożyli mi wyrazy współczucia z powodu śmierci matki (nie, nie, ani przez moment nie wyglądało na to, żeby temat śmierci ich niepokoił). Kiedy zaczęliśmy im dziękować za wszystko, co dla nas zrobili, krótko odpowiedzieli, że to nic takiego, i zaraz zmienili temat na ten, który ich dużo bardziej bawił: że Tournier odkrył ich pozaziemskie pochodzenie. Bardzo im się to spodobało, a ja się zastanawiałam, czy mają świadomość, że na ten temat napisano mnóstwo książek i artykułów na całym świecie. Pewno, że niekoniecznie wartych przeczytania, ale w sumie ja bym się martwiła, że tyle ludzi zajmuje się tym tematem. Poza tym Tournier wcale nie powiedział, że są istotami pozaziemskimi, tylko że nie są tym, na kogo wyglądają, a że chętnie udawali ufoludki, nie należało się tym sugerować. Moja siostrzenica wszystko wykryje, pomyślałam, bo w odróżnieniu od tych, którzy wypisują te brednie, zna Simonsonów osobiście i wie, czego szukać.

Isabella z Linusem zostali w ogrodzie, ponieważ pogoda była przepiękna, jakby anemiczne kanadyjskie słońce zamieniło się miejscem z cudownie gorącym słońcem śródziemnomorskim, które tak kochałam. Czworo małych prawnucząt Jake'a i Becky przyjechało do rezydencji na kilka dni, a że dzieci były mniej więcej w wieku Linusa, wszędzie rozbrzmiewały pokrzykiwania, śmiechy i piski. A myśmy się zamknęli, by popracować w małej bibliotece w półsuterenie. Nikt niczego tam nie ruszył. Moje notatki leżały, jak je zostawiłam dwa dni wcześniej, chociaż wydawało się, że od tamtej pory upłynęła wieczność.

Jake i Becky naprawdę nie mogli się doczekać, kiedy się dowiedzą, co Marco Polo napisał na temat osuariów. Doceniłam, przyznając, że Abby i Kaspar słowa nie pisnęli pod naszą nieobecność, doceniłam również, że Simonsonowie się powstrzymali, nie weszli do biblioteki i nie gmerali w nich swoich papierach. Bez grymasów rzuciłabym się na notatki, lecz zaraz wymyśliłam sobie pretekst, by tego nie zrobić.

Moi trzej towarzysze badań – i nieświadomi tego przyszli współlaureaci nagrody Getty'ego – również zasiedli na swoich miejscach przy wielkim stole w bibliotece. Faradz i Kaspar szybko przejrżeli swoje książki, dokumenty i notatki. Podniecenie starych Simonsonów, którzy niespokojnie się wierzili w aksamitnych fotelach i szeptali nerwowo, zerkając na nas spod oka, przeszkadzało mi nieco, lecz potrafiłam ich zrozumieć. Inna rzecz natomiast, że czytając własne tłumaczenia, zdałam sobie sprawę, że mamy tu bombę historyczną, a także religijną, aczkolwiek ta część będzie jeszcze wymagała dopracowania.

Odniosłam naraz wrażenie, że w rzeczywistości nie było tych dwóch ostatnich dni, kiedy to

wyjechałam. Owszem, moja matka umarła, nie da się ukryć, i to nieco inaczej zabarwiało wszystkie moje odczucia, życie jednak miało swoje prawa i powrót do listów Marca Polo bardzo mi pomógł stopniowo oderwać się od tego, co przeszłam na Sycylii, gdzie nic już mnie nie czekało.

Jeśli jednak nie chciałam, żeby ładunek termojądrowy, który Jake miał w piersi zamiast serca, wybuchł i zmiotł Kanadę z mapy świata, musiałam się pospieszyć.

– Dobra, zaczynajmy – powiedziałam, zdejmując okulary, by objąć wszystkich wzrokiem. – W trzech listach Marca Polo znaleźliśmy odpowiedzi na wszystkie nasze pytania: kto zrabował ossuaria Hulagu i Makisze II w tysiąc dwieście sześćdziesiątym pierwszym roku, dlaczego je zrabował i gdzie je później ukrył.

– Ottavio, może powinniśmy wszystko osadzić historycznie? – zasugerowała Abby.

– Proszę bardzo, jeśli chcesz – zgodziłam się.

– Chcę – przytaknęła z zadowoleniem, siadając obok Kaspara. – No więc, babciu i dziadku, musicie się cofnąć do wieku trzynastego, a konkretnie do roku tysiąc dwieście siedemdziesiątego drugiego, kiedy Marco Polo z ojcem i stryjem przybyli do Tebryzu i spotkali się z Marią Paleologini, która była jeszcze Despiną-chatun, jedną z głównych żona ilchana Abaki.

– W porządku. – Becky kiwnęła głową.

– Maria na nich czekała, bo Teobaldo Visconti, teraz już Grzegorz X, napisał do niej, zapowiadając ich przyjazd. Byli weneckimi kupcami, wracali na dwór chana Kubilaja w Katalju, czyli w Chinach, ale byli też tajnymi wysłannikami samego Grzegorza i mieli odszukać ossuaria, które zdaniem papieża kilka lat wcześniej Hulagu podarował swojemu bratu Kubilajowi.

– Zgadza się – potwierdził Jake.

– Spotkanie Marii z trzema panami Polo przebiegło bardzo dobrze – podjęła Abby. – Niccolò i Maffeo siedem lat mieszkali w Konstantynopolu, gdzie inny z braci Polo prowadził filię rodzinnych interesów, toteż biegle mówili po grecku. Marco, młodziutki syn Niccola, także płynnie mówił w tym języku, bo przecież miał zostać kupcem jak ojciec, a w tamtych czasach wszystkie drogi na Wschód prowadziły przez Konstantynopol. Dlatego w czasie spotkania z Marią w jej luksusowej ordzie w Tebryzie nie potrzebowali tłumacza i mogli rozmawiać swobodnie.

– Maria im powiedziała o zrabowaniu ossuariów w sześćdziesiątym pierwszym? – niecierpliwie dopytywał Jake.

– Tak – potwierdziłam. – Powiedziała. Powiedziała panom Polo, kiedy byli w Tebryzie, ale nie powiedziała prawosławnemu patriarsze Konstantynopola, Józefowi I Galezjocie, który napisał do niej w tysiąc dwieście sześćdziesiątym siódmym, ani przyszłemu papieżowi Teobaldowi Viscontiemu, który napisał do niej w sześćdziesiątym ósmym w tej samej sprawie, próbując ustalić, gdzie się podziały ossuaria. Niestety Marco nie wchodzi w szczegóły, ale Maria

zrelacjonowała im wszystko, co się stało, a to dużo więcej, niż wiedzieliśmy dotąd. Rzecz w tym, że Marco uważa sprawę za wyjaśnioną z Marią i nie tłumaczy niczego.

– Dlaczego Maria nie wyznała tego innym? – spytała piękna Becky wzburzona. – Jednym z zainteresowanych był przecież jej patriarcha, patriarcha konstantynopolitański.

– Wiesz, Becky, wielu informacji nam brakuje – uprzedziłam. – Zajmujemy się wydarzeniami sprzed ośmiuset lat, i to wzmiankowanymi z rzadka. Może znajdziemy odpowiedź na to pytanie, a może nie, nie wiadomo. Może po prostu Maria nie mogła albo nie chciała na piśmie zostawiać szczegółów o tej kradzieży.

– Masz słusność, Ottavio – przyznała staruszka. – Mów dalej, proszę.

– Pierwszy list Marca Polo do Marii – zaczęłam, zerkając do notatek – jest datowany w mieście Jandzu w październiku tysiąc dwieście osiemdziesiątego drugiego roku, czyli dziesięć lat po spotkaniu w Tebryzie.

– Dziesięć lat! – wykrzyknęła Becky. – Czemu tak późno?

– Babciu, wiesz, ile w trzy nastym wieku trwała normalna podróż z Konstantynopola do Chin?

– Nie mam pojęcia.

– Ze znanych dokumentów – wtrącił Faradz – i z ksiąg handlowych prowadzonych przez innych kupców wynika, że droga z wielbładami, wozami i zwierzętami pociągowymi trwała mniej więcej dziesięć miesięcy. Trzej panowie Polo przypuszczalnie podróżowali z pajdzami¹⁰, czyli glejtami wystawionymi przez wielkiego chana Kubilaję, kiedy odbywali pierwszą podróż. Druga zajęła im trzy do trzech i pół roku. I nie wiadomo dlaczego.

– Nie było wiadomo – zaznaczyłam.

– Oczywiście. – Faradz się uśmiechnął. – Bo my wiemy. To niewytłumaczalne opóźnienie miało związek z poszukiwaniem ossuariów.

– Tak wyjaśnia Marco Polo – dorzuciłam – kiedy pisze do Marii z miasta, które nazywa Jandzu, ale zidentyfikowano je jako Yangzhou¹¹ w prowincji Jiangsu, na północnym brzegu rzeki Jangcy. Marco w *Opisaniu świata* mówi, że przez trzy lata był zarządcą tego miasta, i chociaż nie ma żadnych dowodów na to, nie znaleziono żadnego dokumentu, który by to potwierdzał, na pewno napisał pierwszy list do Marii właśnie stamtąd w tysiąc dwieście osiemdziesiątym drugim roku.

– Ale nie wspomina, że był zarządcą – zaznaczyła Abby.

– Nie, nie wspomina – włączył się Kaspar, który dotąd się nie odzywał. – Pisze tylko, że pracuje jako poborca podatku solnego dla wielkiego chana. Smutna prawda jest taka, że w *Opisaniu świata* od początku do końca pełno jest kłamstw. Dlatego lepiej skupmy się na listach, które wydają się prawdziwsze.

– Jak powiedział Faradz – wróciła Abby do tematu – dotąd nie było wiadomo, dlaczego panowie Polo potrzebowali aż trzech lat, żeby dotrzeć tam, gdzie wędrowało się zwykle około

dziesięciu miesięcy. Marco w tysiąc dwieście osiemdziesiątym drugim roku opowiada Marii, że przeprowadzili wiele poszukiwań po drodze, byli w nieprzeliczonych miastach, mnóstwo razy ruszali fałszywym tropem, przez co musieli zbaczać z drogi.

– Co tłumaczy także – dodał Kaspar, który wyraźnie stanowił duet z Abby – dlaczego szlakiem panów Polo z Wenecji do Pekinu, zwanego przez nich Kambalukiem, nigdy nie podążyli później poszukiwacze przygód i odkrywcy, którzy próbowali wykorzystać *Opisanie świata* jako przewodnik

– To oni nie szli Jedwabnym Szlakiem? – zdziwił się Jake. – Zawsze myślałem, że Marco Polo odkrył osławiony Jedwabny Szlak

– Nie było żadnego Jedwabnego Szlaku – rzekł Faradz, zaglądając do papierów, które miał przed sobą. – Między Azją a Europą były różne drogi wytyczone przez Mongołów i kupcy wędrowali nimi ze swoimi towarami. Te trasy wszystkie razem niemiecki geograf Ferdinand von Richthofen nazwał w dziewiętnastym wieku Jedwabnym Szlakiem.

– A niech to!... – zawołał zawiedziony Jake. – A tak mi się podobała nazwa Jedwabny Szlak. Wydawała mi się taka romantyczna i intrygująca.

Już wiedzieliśmy, w kogo wdała się Abby.

– Jeszcze innej dacie powinniśmy poświęcić uwagę – mruknął Kaspar w zamyśleniu. – W ciągu tych trzech i pół roku podróży po Kataju Wenecjanie sporo czasu spędzili w Rudbarze, części Persji, dzisiejszego Iranu, gdzie są ruiny Alamutu, zamku asasynów. Marco Polo pierwszy zaczął o nich mówić w Europie. Nikt tam o nich nie słyszał, dopiero *Opisanie świata* zrobiło z nich gwiazdy.

– Tylko że już wcześniej – spostrzegła Becky – asasyni oficjalnie zostali wykończeni przez Mongołów.

– Owszem, ich legenda zrodziła się dopiero wtedy, kiedy zniknęli – przyznał Kaspar.

– Mam wam przypomnieć – burknęłam – że wcale nie zniknęli?

Wszyscy popatrzyli na mnie tak, jakbym palnęła jakieś straszne głupstwo.

– Czyli Wenecjanie pętali się po Alamucie przez jakiś czas – zauważył Jake zatroskany.

– Tak było – rzekł Kaspar. – Szukali ossuariów, jak twierdzi Marco Polo w liście.

– Uważali, że asasyni maczali palce w kradzieży ossuariów? – zdziwiła się Becky. – Nie mieli z tym nic wspólnego, tego jesteśmy pewni.

– To był karygodny błąd – szepnęłam, bo znałam całą prawdę.

– Chwilowo puszczamy mimo uszu komentarz mojej żony – stanowczo powiedział Faradz – i jedziemy dalej. Abby, kontynuuj, proszę.

– Krótko mówiąc – podjęła blond dziewczynka – pierwszy list Marca Polo to opowieść o tym, co robili w drodze do Chin, czyli o bezowocnych poszukiwaniach wskazówek. Jest w nim też mowa

o przybyciu do Szang-tu, letniej stolicy Kubilaj-chana, na Zachodzie bardziej znanej jako Xanadu za sprawą słynnego poematu Coleridge'a¹², i na koniec o dotarciu w tysiąc dwieście siedemdziesiątym piątym roku do Kambaluku, wielkiej stolicy Kataju.

– A dołąd Marco wysłał ten list? – zapytał Jake. – Bo skoro napisał go w październiku osiemdziesiątego drugiego, to Maria już uciekła do Konstantynopola. Jeśli dobrze pamiętam, w kwietniu tego roku, czyli sześć miesięcy wcześniej.

– Nic o tym nie wiadomo – odparłam. – Marco zwraca się do Marii per *Evgenís mu Kyría*, „moja pani” albo „jaśnie pani”, ale nie wspomina, gdzie Maria przebywa ani czy uważa ją nadal za żonę Abaki, ani czy sądzi, że wciąż jest w Tebryzie. W każdym razie jeżeli Marco posłał list do Tebryzu mongolską pocztą, która była świetnie zorganizowana i skuteczna jak na tamte czasy, a przy tym szybka, to posłańcy bez problemu dostarczyli go do Konstantynopola.

– Czyli to nie było jak wysłanie maila pod zły adres – mruknął Jake.

Stropiłam się ogromnie, wyobraziwszy sobie Marca Polo przed komputerem i wysyłającego pocztę elektroniczną do bizantyńskiego cesarza Michała VIII Paleologa.

– Nie, dziadku, to na pewno nie było jak wysyłanie maila – roześmiała się Abby, mimochodem kładąc dłoń na rękę Kaspara.

– W każdym razie – ciągnęłam, nie odrywając wzroku od tej dłoni na tej ręce – Maria mu odpowiedziała, choć nie mamy tego listu, ale z drugiego listu Marca Polo wynika, że Wenecjanin wie, że Maria owdowiała, przebywa w Konstantynopolu i żyje w Panagía Mujliótissa, Świętej Marii od Mongołów.

– Drugi list! – Jake aż się obliznął, jakby chodziło o ciastko.

– Abby, opowiesz? – zapytałam, wzrokiem pokazując jej, żeby zabrała dłoń z ręki Kaspara i przestała się wygłupiać.

– Och, oczywiście! – odparła. Była zawstydzona, lecz wzięła się w garść. – Drugi list, datowany w listopadzie tysiąc dwieście osiemdziesiątego siódmego roku, Marco pisze z Kambaluku, stolicy Kataju.

– Czyli z Pekinu, stolicy Chin – uściśliła Becky.

– Właśnie – potwierdziła jej wnuczka. – Wrócił z długiej podróży na daleką wyspę, którą nazywa Sejlan. To dzisiejsza Sri Lanka w Zatoce Bengalskiej. Udał się tam jako wysłannik wielkiego chana Kubilaja, który chciał odkupić od króla Sejlanu niezwykle czerwoną rubin ogromnej wartości.

– Królem Sejlanu – wtrącił Faradz dla jasności – od tysiąc dwieście siedemdziesiątego siódmego do tysiąc trzy sta pierwszego roku był Parakkamabahu IV, syn króla Bhuvanekabahu II.

– Marco Polo opowiada Marii – podjęła Abby – że oprócz rubinu Kubilaj-chan pragnął także innych rzeczy od króla Sejlanu: zębów Sogomoniego Borkana¹³, czyli Buddy, bo tak Mongołowie

go nazywali, i jego żebraczej miseczką. Mówi też, że król Sejlana zgodził się je podarować posłom. Kubilaj kazał wyjść wszystkim swoim poddanym za mury Kambaluku, żeby powitali relikwie z największymi honorami.

– Widzisz teraz, Ottavio, skąd Hulagu wiedział, że szczątki Jezusa i jego rodziny będą znakomitym prezentem dla jego brata Kubilaja? – zagadnęła mnie Becky ironicznie.

– Widzę. I dlatego zostały zrabowane – powiedziałam. – Wiem też, kto to zrobił.

Wszyscy poruszyli się niespokojnie, lecz utrzymałam język na wodzy. Niech mam jakąś satysfakcję.

– Teraz też puścimy mimo uszu słowa mojej żony. – Faradz zawsze mi psuł najlepsze wejścia.

– Kontynuujmy.

Abby z wyraźnym zadowoleniem poszła za radą Faradza, przypuszczam, że w odwecie za tamto z dłonią.

– W drugim liście najważniejsze – podjęła znowu, odgarniając włosy z twarzy i zakładając je za ucho tym swoim perfekcyjnym gestem (tak, tak, Kaspar zachowywał się jak kompletnie zbalamucony) – naprawdę najważniejsze jest to, że Marco opowiada Marii, jak to będąc na Sejlanie, usłyszał o ossuariach.

Oboje starszkwowie aż krzyknęli z zaskoczenia.

– Chyba powinnaś przeczytać swoje tłumaczenie na głos – zachęcił mnie Faradz.

– Ten fragment jest niezwykły – oznajmiłam, biorąc do ręki notatnik – Posłuchajcie:

Powinnaś wiedzieć, moja Pani, że jest na Sejlanie ogromna, wysoka góra o zboczach tak stromych i poszarpanych, że nie sposób się na nią wspiąć, a ludzie mogą wejść na szczyt jedynie za pomocą grubych żelaznych łańcuchów zamocowanych od samego dołu. Znajduje się tam świątynia, w której zdaniem Saracenów i Żydów spoczywają szczątki naszego praojca Adama, acz buddyści, choć lepiej zwać ich bałwochwalcami, bo czczą bałwany, utrzymują, że to szczątki Sogomoniego Borkana. Jeden z moich towarzyszy podróży, Turek imieniem Zuficar, człek w moim mniemaniu uczony i godzien zaufania, dotarł aż do tej świątyni, którą nazywają Szczytem Adama, i tam rozmawiał z żydowskimi kupcami korzennymi, którzy przybyli z miasta Kodungallur w rozległym królestwie Malabaru na południu Indii Większych. Żydzi owi opowiadali, że w Kodungallurze jest duża wspólnota nasranich, chrześcijan, a kiedy Zuficar zaczął o nich wypytywać, bardzo niechętnie mu wyjaśnili, że apostoł Tomasz przybył do Kodungalluru kilka lat po śmierci tego, którego zwali Jezu, i założył siedem kościołów i pół w wielkim królestwie Malabaru, największy zaś i najważniejszy znajdował się w Kodungallurze. Zuficar dopytywał, co to znaczy „siedem kościołów i pół”, ale żydzi nie chcieli tego tłumaczyć, bo nie był wyznawcą ich wiary. Powiedzieli tylko Zuficarowi, że szczątki Jezusa i jego rodziny przez długi czas spoczywały w Kodungallurze pod pieczą

nasranich, ale już ich tam nie ma, a oni nie wiedzą dlaczego. Wybiorę się do Malabaru, jak tylko uzyskam zezwolenie mojego pana Wielkiego Chana, który bardzo już jest stary i niedomaga”.

– Kodungallur! – wykrzyknął Jake z oczami rozgorączkowanymi z podniecenia. – Jak się teraz nazywa?

– Angielska nazwa to Cranganore – wyjaśnił Faradz.

Becky, hamując emocje, popatrzyła na wnuczkę.

– Nigdy jeszcze nie byliśmy tak blisko – szepnęła.

Jej entuzjazm był niemal materialny, namacalny. Abby odwzajemniła uśmiech.

– Posprawdzałem dane z tego tekstu – podjął mój mąż – i wszystkie są poprawne: imiona, miejsca, fakty... W Sri Lance jest Szczyt Adama i szczęśliwie turyści nie muszą się już wspinać po łańcuchach. Poza tym w Kerali w Indiach, na terenach niegdysiejszego królestwa Malabaru, od najdawniejszych czasów żyła spora społeczność żydowska, która zajmowała się głównie handlem korzennym. Istnieją też do dzisiaj Chryścijanie Świętego Tomasza, teraz zaliczani do Kościołów wschodnich. I oczywiście legenda o siedmiu kościołach i pół założonych przez apostoła Tomasza po przybyciu do Indii, przypuszczalnie około roku pięćdziesiątego drugiego naszej ery, nie dość, że jest bardzo znana, to jeszcze ją potwierdzają liczne dokumenty. W Kerali nazywają ich Ezharappallikal.

– Pół kościoła? – Jake zaśmiał się niedowierzająco.

– Nie ma już żadnego z pierwotnych siedmiu kościołów i pół, jeśli w ogóle istniały – wyjaśniał Faradz ateista. – Ale pozostała pamięć o miejscach, gdzie stały. Ta połówka kościoła była w rzeczywistości ósmym, całkiem zwyczajnym, tyle że malutkim. Legenda głosi, że założył go apostoł Tomasz w roku sześćdziesiątym trzecim w wiosce... – zerknął do notatek – ... Thiruvithamkode w Kerali. Dotąd istnieje tam kościółek chrześcijański.

– Podsumujmy – poleciłam zdecydowanym tonem, by skupić rozproszoną uwagę obecnych. – Marco Polo w drugim liście do Marii Paleologini pisze, że ossuaria zrabowane w Persji w tysiąc dwieście sześćdziesiątym pierwszym roku zostały wywiezione do Indii i dość długo znajdowały się w Kerali pod pieczę Chryścijan Świętego Tomasza. Później zdaniem żydowskich kupców ossuaria znowu zniknęły. Zgadza się?

Twarz Becky posmutniała.

– A już myślałam, że Kodungallur będzie właściwym tropem – szepnęła zgaszonym głosem.

– Nie martw się, Becky – pocieszyłam ją. – Właściwy trop jest w trzecim liście Marca Polo.

Jake, który także wyglądał na smętnego, podskoczył w aksamitnym fotelu z tą swoją witalnością nie do zdarcia.

– Więc na co czekamy? – zagadnął z zaraźliwym uśmiechem. – Bierzmy się za niego!

– Za kogo? – spytałam stropiona jego żywiołową reakcją.

– Nie za kogo, tylko za co. Za trzeci list Marca Polo, pani doktor – wycedził były katon.

Komuś, kto nie znał Kaspara, jego manieri mogły się wydać prostackie i niezrozumiałe. Ja znałam go od tylu lat, toteż czytałam w nim jak w otwartej księdze i nie przejęłam się szorstkością.

– Trzeci list Marca Polo – zaczęłam, zaglądając do swojego tłumaczenia i do notatek – został napisany w marcu tysiąc dwieście dziewięćdziesiątego czwartego roku w Tebryzie.

– Znowu w Tebryzie? W mieście Marii? – zdziwiła się Becky.

– E, już nie było miastem Marii – przypomniał mój mąż – Wtedy było miastem ilchana Gajchatu, wnuka Hulagu, syna Abaki i jednej z jego głównych żon.

– A co się stało z Tekuderem? – zainteresował się Jakę. – No wiecie, z tym szwagrem Marii, muzułmaninem, który chciał ją zabić i zamordował swojego brata Abakę, żeby dorwać się do władzy.

– Jego pozbył się jeden z bratanków, niejaki Argun, brat Gajchatu – odparł Faradz. – Argun był czwartym ilchanem Persji, a Gajchatu piątym.

– Czy Argun i ten Gajchatu byli synami Marii? – zapytała Becky.

– Nie – odpowiedziałam. – Wygląda na to, że Maria nie miała dzieci. Abaka miał potomków z innymi żonami i z konkubinami, z tym że w mongolskich rodach matka nie była ważna.

– No nic, zobaczymy, co mamy w tym liście Marca Polo – rzekł Kaspar bardzo poprawnie jak na niego.

– Jasne – zgodził się Faradz. – Trzeba wziąć pod uwagę, że Wenecjanie nie wrócili do domu lądem, tylko tak zwanym Korzennym Szlakiem, morską drogą handlową, która prowadziła z Ormuzu w Persji do Chin wzdłuż wybrzeży Indii, Malezji, Sumatry, Borneo i Wietnamu. Oni płynęli oczywiście w przeciwną stronę, z Chin do Persji, razem ze świtą tatarskiej księżniczki, która miała wyjść za mąż za Arguna, mordercę Tekudera.

– W *Opisaniu świata* – dodał Kaspar – jest dużo więcej informacji o Korzennym Szlaku niż o Jedwabnym. Marco Polo zna go dużo lepiej i wie dużo więcej o statkach, nawigacji i handlu morskim niż o lądowym, chociaż na ogół tego się nie zauważa. Faktem jest, że Wenecjanie musieli opuścić Katak, zanim Kubilaj-chan umrze, bo spodziewali się, że po jego śmierci zostaną wydani na pastwę zawiści dworzan, których kłuło w oczy, że Kubilaj darzył ich taką przychylnością.

– Ta przychylność według dowodów historycznych była kompletnie wydumana – zauważył Faradz.

– Owszem – przytaknął Kaspar – ale to nas nie obchodzi, skoro szukamy ossuariów.

– Wygląda na to – wyjaśniał dalej mój mąż – że świta tatarskiej księżniczki Kokaczin dotarła

do Ormuzu w marcu tysiąc dwieście dziewięćdziesiątego czwartego roku. Wtedy Argun już nie żył, dlatego Kokaczin wydana za Ghazana, syna Arguna.

– Nasi Wenecjanie towarzyszyli księżniczce do Chorasanu – wtrącił Kaspar – a kiedy oddali ją Ghazanowi, udali się do Tebryzu, gdzie odpoczywali przez dziewięć miesięcy. W tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym piątym roku wyruszyli w drogę do Wenecji, ale wcześniej wstąpili do Konstantynopola.

– Spotkali się z Marią Paleologini? – zagadnęła Becky bardziej z potrzeby serca niż z zainteresowania historią.

– Właśnie o tym jest mowa w trzecim liście – odparłam, przejmując kontrolę nad resztą historii. – Marco zapowiada, że w ciągu roku dziewięćdziesiątego piątego złoży Marii wizytę w Panagia Mujliótissa, czyli w Świętej Marii od Mongołów. Pamiętajcie, że pisze z Tebryzu w dziewięćdziesiątym czwartym roku. Kiedy tłumaczyłam ten fragment, krew zastygła mi w żyłach na myśl, że skoro Marco będzie rozmawiał z Marią osobiście, nie będzie mu się chciało opisywać wszystkiego.

Staruszkowie z obawy aż wstrzymali oddech.

– Myliłam się na szczęście – zakończyłam z szerokim uśmiechem.

Simonsonowie podskoczyli w fotelach. Nałożyłam okulary i zaczęłam czytać:

Musisz wiedzieć, jaśnie pani, że w maju 1293 roku statki orszaku księżniczki Kokaczin zakotwiczyły w porcie miasta Kodungallur w królestwie Malabaru, około 150 mil na zachód od przylądka Komoryn. Mieliliśmy całe dwa dni, zanim flotylla znowu wypłynie na wielkie Morze Indyjskie, toteż mój pan ojciec imć Niccolò, mój pan stryj imć Maffeo oraz ja, imć Marco, udaliśmy się na poszukiwanie nasranich Świętego Tomasza i znaleźliśmy ich i ich biskupa Mar Sahdę, któregośmy spytali o Święte Ciało Naszego Pana Jezusa Chrystusa. Jako że nasrani to uczciwi chrześcijanie, nigdy w żadnym razie nie kłamią, mówią tylko prawdę, nawet gdy im to grozi utratą życia, powiedzieli nam, że dziesięć ossuariów ze Świętymi Szczątkami Jezusa i Jego Świętej Rodziny pozostaje od dwudziestu lat pod ich pieczęcią na prośbę chrześcijan zwanych ebjonim. Ci ebjonim zaręczali, że przybyli z Bagdadu, ale pochodzą z miejsca zwanego Susja w Judei, i z powodu wojny błagali o zaopiekowanie się dziesięcioma ossuariami. Biskup nasranich Mar Sahda, który rozmawiał z ebjonim, powiedział nam, że przybyli pod eskortą muzułmańskich żołnierzy każących się nazywać sufat, czyści, ale to byli Saraceni z tych, co nie przestrzegają prawa Mahometa, lecz prawa Starca z Gór. Ebjonim odeszli, zapowiadając, że wrócą po ossuaria, kiedy znajdą pewne schronienie, w którym będą mogli je złożyć na zawsze, co też uczynili dwanaście lat temu, w 1282 roku, przybywając również w towarzystwie żołnierzy sufat”.

Na tym zakończyłam, ponieważ w pozostałej części listu nie było nic interesującego. W bibliotece zapanowała ciężka cisza i kompletny bezruch. Nikt nie oddychał, nikt się nie ruszał, nikt nie mówił. Z całą pewnością fragment, który przeczytałam, stawiał niezliczone pytania i otwierał pole do mnóstwa domysłów, wiedziałam jednak, że nie ma siły magicznej i nie może nikogo ze słuchaczy przemienić w kamień, tymczasem wszyscy byli jak skamieniali. Pierwszy ożył stary Jake, żeby – z mojego punktu widzenia – niczym święty Tomasz wetknąć palec we wrzód.

– Nasrani mówili o dziesięciu ossuariach? – wykrztusił. – A nie o... dziewięciu? W takim razie czy je szczątki były w dziesiątym?

ROZDZIAŁ 20

Nie mieliśmy czasu, aby podrażnić to głębiej. Wydarzenia potoczyły się lawinowo, a kiedy piekło się skończyło, wszystko uległo zmianie. Arcybiskup Tournier i jego potężni sojusznicy uznali, że nasze odrzucenie ich propozycji i brak nowych informacji na temat ossuariów, a zatem niewiedza w sprawie kierunków poszukiwań na własną rękę, to dla nich zdecydowanie za wiele. Podejrzewam, że zdecydowali, iż stanowimy zbyt duże zagrożenie dla Kościoła, wiary i ich interesów, toteż nazajutrz, gdy Jake i Becky jechali samochodem do Hampstead na lunch z przyjacielem, staranowała ich przewożąca drewno potężna ciężarówka, która z drogi okręgowej wyjechała na autostradę. Przy zderzeniu naczepa ciężarówki się odpięła i rąbnęła w bok lincolna, na limuzynę spadły grube pnie drzew, które zmiażdżyłyby Simonsonów jak muchy, gdyby samochód nie był opancerzony. Widocznie Gottfried Spitteler i jego pomagierzy nie zdążyli się wywieść o tak drobny szczegół jak opancerzenie wozu – które uratowało życie Jake'owi, Becky i szoferowi – bo zbyt byli zajęci nikczemnymi działaniami na dużą skalę prowadzonymi akurat w różnych częściach świata.

Simonsonów przetransportowano śmigłowcem służb ratunkowych do Toronto: znaleźli się na OIOM-ie w Mount Sinai Hospital, czyli w tym samym szpitalu, w którym leżeli Faradz i Kaspar po naszym powrocie ze Stambułu. Uderzenie ciężarówki było tak silne, że mimo opancerzonej limuzyny starszłowie otarli się o śmierć.

Abby z paroma krewnymi czym prędzej udała się do szpitala, my jednak nie mieliśmy tam co robić, tylko byśmy zawadzali. Zostaliśmy zatem w rezydencji, bo Abby nas o to poprosiła, obiecując, że jak tylko coś będzie wiadomo o stanie dziadków, zaraz do nas zadzwoni. Była zdruzgotana. Wyglądała jak zombi u kresu istnienia. Miotła się oglupiała, ruchy miała nieskoordynowane. Przeżycie było naprawdę silne, wszyscy byliśmy do głębi poruszeni, oszołomieni i wystraszeni. Isabella, w racji wieku dużo bardziej spontaniczna, walczyła ze łzami, bawiąc się z Linusem przy basenie, ale to nie znaczy, że my, ludzie mocno już dojrzały, nie czuliśmy guli w gardle. Kaspar i ja modliliśmy się bezgłośnie za Jake'a i Becky, acz po śmierci matki w głębi ducha żywiłam poważne wątpliwości, czy osoby tak wielkowie jak oni przeżyją.

Wdrożono osobliwe procedury ochrony, kiedy po paru godzinach Abby wróciła ze szpitala. Jej dziadkowie wciąż byli na sali operacyjnej, a rokowania nie były dobre. Dziedziczka, której szczupłą twarz przypominała smutną maskę z japońskiego teatru kabuki, poprosiła, żebyśmy się wszyscy zebrali w jednej salce z ekipą zarządzającą i adwokatami. Na wstępie prawnicy nas poinformowali, że należy utrzymać w absolutnej tajemnicy to, co się stało. Nic nie mogło przedostać się do mediów. Na szali leżało bezpieczeństwo całego imperium Simonsonów

i milczeniu było sprawą fundamentalną. W stosownej chwili środki przekazu zostaną powiadomione. Oczywiście, dodała Abby, pochlipując (ku irytacji obecnych prawników), to, co się przytrafiło jej dziadkom, w żadnym razie nie było przypadkowe – to była próba zamachu, o czym świadczyła dziwna prędkość i tor jazdy ciężarówki, a przede wszystkim to, że jej kierowca zbiegł z miejsca zdarzenia, nie pozostawiając żadnego śladu w sfoferce.

Wtedy nie podejrzewaliśmy jeszcze, że może za tym stać Tournier. Simonsonowie byli jedną z najpotężniejszych rodzin na świecie, wszystko zatem było możliwe. Ale przez resztę dnia nieszczęścia sypały się jedno za drugim, aż ogłoszono najwyższy stopień zagrożenia w rodzinie oraz w jej licznych kancelariach adwokackich i biurach zarządzania kryzysowego. Niedługo po staranowaniu lincolna przez ciężarówkę przyszła wieść, że Nathan Simonson, najstarszy syn Jake'a i Becky i główny spadkobierca rodzinnych interesów, zginął w wypadku na nartach w Nowej Zelandii, na Mount Hutt leżącej na Wyspie Południowej – na drugim końcu świata. Sześćdziesięcioletni Nat, wytrawny narciarz, wypróbował trasy we własnym ośrodku sportów zimowych, którego otwarcie miało się odbyć tego właśnie dnia wraz z inauguracją sezonu zimowego na półkuli południowej (w Nowej Zelandii było sobotnie przedpołudnie 28 czerwca, u nas ciągle był piątek). Pracownik obsługi technicznej na trzymilimetrowej stalowej linie rozciągał poręczki wzdłuż trasy, gdy Nat akurat nią zjeżdżał. Nie zauważył ani pracownika, ani linki, która dosłownie obcięła mu głowę. Człowiek ten, tak samo jak kierowca ciężarówki, znikł bez śladu. Obaj dosłownie rozwiali się w powietrzu. Policjanci w Ontario i w Christchurch pracowali po cichu i w największym sekrecie pod nadzorem drużyny prywatnych dochodzeniowców Simonsonów i naturalnie obydwie wypadki zakwalifikowali jako próbę zabójstwa i zabójstwo, i to wyłącznie na podstawie wstępnych wyników śledztwa.

Ale to wszystko było dopiero początkiem. Kolejna zła wieść nadeszła, kiedy jeszcze nie zdążyliśmy się otrząsnąć z pierwszych dwóch. W rezydencji Simonsonów roito się od ludzi – jedni należeli do rodziny, inni byli wszelkiej maści pracownikami. Kaspar z ciężkim sercem ze względu na Abby postanowił jednak, że z synem spędzi tę noc u nas, bo na nic nie może się przydać i tylko zawadza, podobnie zresztą jak Faradz, Isabella i ja, więc późnym popołudniem zebraliśmy się, by wrócić do domu, licząc, że Abby skontaktuje się z nami, jak tylko będzie mogła. Nie zdążyliśmy wyjść z rezydencji, gdy nadbiegł jakiś człowiek, wołając, że w różnych częściach świata szyby naftowe i platformy wiertnicze Simonsonów ucierpiały z powodu wybuchów, płoną, a pożarów nie można ugasić. Płomienie i czarny dym sięgają nieba nad Morzem Północnym, Zatoką Meksykańską, Alaską, w Rosji i paru miejscach w Stanach Zjednoczonych.

Tego już nie dało się ukryć przed mediami, a tym bardziej przed lokalnymi społecznościami. Grupy zarządzania kryzysowego zakasały rękawy i wieczorem w wiadomościach, które

oglądaliśmy w telewizji w domu, siedząc na sofach w naszym saloniku, usłyszeliśmy, że nieznane syryjskie ugrupowanie terrorystyczne, zbliżone do Al-Kaidy i niedawno powstałego samozwańczego Państwa Islamskiego, przyznało się do zamachów na złoża ropy naftowej, w żadnym momencie jednak nie padło nazwisko Simonsonów jako właścicieli zaatakowanych obiektów. Nie mieliśmy pojęcia, czy to prawda, aczkolwiek sensowny wydawał się motyw działania na zwyżkę cen ropy, dzięki której dżihadyści zdobywają fundusze. Niemniej mogło to być również wyjaśnienie spreparowane przez grupy zarządzania kryzysowego, aby zapobiec gwałtownemu spadkowi cen akcji przedsiębiorstw z branży naftowej należących do Simonsonów. Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć. Sekretarz generalny i rzecznik OPEC, Organizacji Krajów Eksportujących Ropę Naftową, przemówił z Wiednia, zapewniając świat, że terroryści nigdy nie osiągną swojego celu i że wszyscy członkowie organizacji dysponują wystarczającymi rezerwami surowca, aby ceny utrzymały się na rynkach na dotychczasowym poziomie. Na temat śmierci w Nowej Zelandii Nata Simonsona, słynnego dziedzica fortuny, nie padło ani jedno słowo w żadnych wiadomościach na różnych kanałach, które przelecieliśmy, nie wspomniano także o wypadku Jake'a i Becky ani o ich pobycie w szpitalu. Simonsonowie, jak to ujęła Isabella, gładko wymigali się mediom, portalom społecznościowym i blogerom.

Tej nocy położyliśmy się spać z przykrym uczuciem, że rodzinę Simonsonów spotkało coś naprawdę strasznego i chwilowo zaginione ossuaria są jej najmniejszym problemem. Pamiętam, że gdy już przytulona do Faradża zaczynałam zasypiać, mój mąż powiedział coś w stylu, że Tournier i Spitteler mogą za tym stać. Poglądziłam go po szorstkim policzku i zatkałam mu dłońią usta na znak, że pora już spać, a nie zwracać sobie głowę głupstwami. Przez myśl mi nawet nie przeszło, że to przy puszczeniu Faradża nie dość, że jest w stu procentach trafne, to jeszcze uratuje nam życie. A on, zasypiając, nie drążył podejrzeń, że wszystko, co się wydarzyło tego pechowego dnia, może być dziełem Tourniera i jego współników, ponieważ w tych okolicznościach poszukiwanie ossuariów należało uznać za definitywnie zakończone. Nie przestawał rozmyślać o biednych Jake'u i Becky, którzy w ostatnich godzinach przeszli kilka operacji. Jake oprócz licznych złamań miał także poważny uraz klatki piersiowej i musiał leżeć pod respiratorem. Cudem jakimś, jak nam powiedziała Abby, przeżył wypadek w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat. Becky, o dwa lata młodsza, również miała wiele złamań i wstrząśnienie mózgu. Utrzymywano ją w śpiączce farmakologicznej, póki nie zmniejszy się obrzęk mózgu. Rokowania jednak nie były dobre, o czym lekarze powiadomili członków rodziny, którzy czym prędzej przybyli do Toronto z najbliższych krańców świata. Czynnikiem determinującym był tutaj zaawansowany wiek obojga pacjentów, kruchość kości i słabość organów wewnętrznych. Gdyby byli młodszy, ich stan z pewnością nie byłby tak ciężki, wręcz beznadziejny.

Abby zadzwoniła ponownie ze szpitala około dziesiątej wieczorem na komórkę Kaspara, który przełączył telefon na głośnik, żebyśmy także słyszeli. Może dlatego mój mąż nie mógł zasnąć i obracał wciąż w głowie myśl, że Tournier chciał ostatecznie zakończyć nasze poszukiwania ossuariów, uciekając się do najgorszych czynów, które bez wątplenia tłumaczył przed sobą i przed swoimi sojusznikami z radykalnych grup religijnych jako dzieła Boże służące ochronie Kościoła. A ponieważ Faradz czuwał, snując te rozważania, podczas gdy ja spałam głęboko obok niego, Isabella zaś i Kaspar z Linusem także spali w pokojach na górze, natychmiast poczuł dym przedostający się przez szpary w drzwiach naszej sypialni.

Dzięki Bogu zareagował natychmiast, budząc mnie i dzwoniąc pod numer alarmowy. Operator równocześnie powiadamiał TFS, czyli straż pożarną, i udzielał mu podstawowych instrukcji, jak mamy się chronić, póki strażacy nie przyjadą, ponieważ niestety ogień trawił nasz dom z niewiarygodną prędkością, tak że szybko nie było czym oddychać z powodu dymu.

Jako że operator zalecił, by nie otwierać drzwi sypialni, bo to mogłoby wywołać nieprzewidywalne skutki, tak że moglibyśmy spłonąć albo udusić się w mgnieniu oka, a ponadto wyglądało na to, że epicentrum pożaru jest właśnie w salonie (do niego prowadziły drzwi naszej sypialni, więc tym gorsze było nasze położenie – mieliśmy zamkniętą drogę wyjścia z domu), Faradz kazał mi zadzwonić z komórki do Isabelli, sam zaś już telefonował do Kaspara. Oboje twardo spali zmęczeni dziwnym, smutnym dniem i nie mieli pojęcia o ogniu, który już schodami i korytarzem docierał do drzwi ich pokoiów.

Kaspar nie potrzebował pomocy, by chronić syna i siebie. Doskonale wiedział, co robić. Za to Isabella, podobnie jak jej ciocia, wpadła w panikę, toteż wujek musiał przez telefon nią pokierować. Na górze robiło się coraz goręcej i wszyscy łącznie z małym Linusem byli już lekko otumanieni dymem.

Opowiadał o tym teraz, jakbym to przeżyła jako spokojny widz, tymczasem tak się zdenerwowałam i dostałam takiego napadu lęku, że nie da się tego opisać. Honor honorem, a o wizerunek trzeba dbać. Wyznam jedynie, że o mało się nie udusiłam, lecz nie od dymu, tylko z poczucia winy, gdy zdałam sobie sprawę, że nie możemy uciec, wyskakując przez okno. Albowiem to ja z powodu obsesji na tle bezpieczeństwa kazałam w tym oknie na parterze założyć kraty ze strachu, że jakiś złodziejaszek albo ćpun na głodzie wejdzie kiedyś do sypialni i zatłucze nas. Teraz te kraty przemieniły nasz dom w śmiertelną pułapkę.

W łazience przy naszej sypialni Faradz zmoczył kilka dużych ręczników kąpielowych i kiedy owijał mnie nimi wraz z głową i opatuloną jak tobołek kładł na podłodze twarzą do dołu, równocześnie kazał Isabelli wyłączyć na bluzkę wodę z dzbanka na stoliku nocnym (pokój Isabelli nie miał własnej łazienki), owinąć nos i usta, po czym położyć się na ziemi na brzuchu jak najbliżej okna. Zauważyłam, że on także owinął się mokrym ręcznikiem i ułożył obok mnie, biorąc mnie za

rękę, ani przez chwilę jednak nie przestawał rozmawiać z dziewczyną i uspokajać jej.

Nie wiem, ile czasu upłynęło. Pamiętam tylko trzaski i chrzęst sprzętów domowych oraz ryk i skwierczenie ognia po drugiej stronie cienkich drewnianych drzwi, które oddziaływały nas od żywiołu. Ręka i słaby głos mojego męża były dla mnie w tamtych chwilach niczym koło ratunkowe dla rozbitka: Faradź wlewał we mnie nadzieję na ratunek. Jego wilgotna, drżąca dłoń ścisnęła moją, przekazując mi pewność, że wyjdziemy stąd, przeżyjemy, że on mi to gwarantuje. A ja zawsze wierzę w to, co mówi Faradź.

Strażacy przyjechali szybko. Słyszeliśmy ich głosy wzmocnione przez megafony. Wiedzieli, ile osób przebywa w domu i gdzie się znajdujemy, obiecywali zaraz nas wyciągnąć. Wycięli kraty z naszego okna, równocześnie lali na dom wodę i pianę. Zabrali Linusa przez okno i po drabinie znieśli go na trawnik. Kaspar z niejakim trudem z powodu zranionej nogi zszedł sam, a śmiertelnie przerażona Isabella, która jedną z najlepszych bluzek owinęła sobie usta i nos niczym apaszką, przybiegła jak szalona i objęła mnie mocno. Szczęśliwie przypomniałam sobie tamtą myśl o czułościach i obyspałam pocałunkami jej buzię umorusaną sadzą i łzami. Resztki domu przypominały wielki dymiący szałas okryty białą pianą. Gdyby Faradź spał jak my wszyscy, zginęlibyśmy jak amen w pacierzu. Tak nam powiedział dowódca strażaków, który wypytał nas również o instalację elektryczną i gazową w mieszkaniu, a także o to, cośmy robili, zanim poszliśmy do łóżek. Przede wszystkim jednak interesowało go, że nie włączył się alarm przeciwpożarowy. Nie potrafiliśmy tego wyjaśnić, zwłaszcza że technik z obsługi lampy robił przegląd raptem miesiąc wcześniej i urządzenie działało bez zarzutu.

Ale wiedzieliśmy oczywiście, co się stało. Tamtej nocy, gdy boso, w piżamach, okryci kocami staliśmy na ulicy w otoczeniu wozów strażackich obserwowani ze współczuciem przez sąsiadów, odkryliśmy, że to, co się przydarzyło Simonsonom, ma bezpośredni związek z tym, co spotkało nas. A skoro miało bezpośredni związek, tylko jedna osoba na świecie mogła ponosić za to odpowiedzialność: arcybiskup François Tournier.

Srebrzysta furgonetka z tych, które rozwożą towary, przecisnęła się naszą ulicą aż do miejsca zatarasowanego przez wozy strażackie. Tam się zatrzymała i wysiadł z niej człowieczek w niebieskim kombinezonie. Spokojnie podszedł do Kaspara, uprzejmie się z nim przywitał, nam skinął głową, po czym wręczył komórkę byłemu katonowi, który przyłożył ją do ucha, posłuchał, a na koniec mrukiwie przytaknął i oddał telefon panu w niebieskim kombinezonie.

– Idziemy – powiedział, biorąc na ręce Linusa, który oszołomiony rozglądał się dokoła zaspany mi szarymi oczkami. – Czekają na nas.

I kuśtykając, ruszył w stronę furgonetki.

Kiedy indziej natarczywie bym wypytywała, dokąd jedziemy i kto na nas czeka, lecz tej nocy nie, tej nocy byliśmy zbyt wyczerpani i wystraszeni, by dyskutować o czymś tak

bezdyskusyjnym jak polecenie Kaspara Glausera-Röista. Dowódca strażaków pozwolił nam odejść. Ewidentnie zadzwonił do niego sam rektor uniwersytetu Stewart Macalister, zapewniając, że uczelnia zajmie się całością spraw, więc on nie musi martwić się o nas, nauczycieli akademickich, że z nami wszystko w porządku. Cóż, nie powiedziałabym, że wszystko w porządku – po pierwsze, straciliśmy całe mienie: odzież, rzeczy osobiste, komputery, pamiętki... Całe mienie oprócz telefonów komórkowych, które ocaliły nam życie (no dobra, mój przepadł, ale tylko ten jeden i wcale mi go nie brakowało). Byliśmy goli jak nowo narodzeni, ratowały nas jedynie piżamy i koce otrzymane od strażaków. Ogień wyczyścił do cna nasze życie aż do tej nocy włącznie – ta myśl była zbyt straszna, aby ją teraz roztrząsać. Bez dwóch zdań.

W furgonetce czekał niespokojny i zmartwiony kardynał Peter Hamilton w garniturze z koloratką (ale oczywiście ze złotym pektorałem na piersi i w tych swoich znoszonych czarnych buciorach), kobieta o włosach niemal tak jasnych jak Kaspara i Linusa, mająca na oko jakieś pięćdziesiąt lat – przedstawiła się jako Diane i niewiele więcej się odzywała – oraz Abby, która zamiast czuwać w szpitalu przy dziadkach, dołączyła do tej drużyny stawrofilaków, by zabrać nas i uspokoić.

– Eminencjo!... – zawołałam zdziwiona na widok kardynała.

– Nie zwlekąłem, pani doktor – odparł, wyciągając do mnie dłoń.

Abby rozłożyła ramiona, by wziąć Linusa na ręce, a Kaspar skorzystał z pomocy Faradza przy wsiadaniu do furgonetki. Isabella wskoczyła do środka dosłownie jak kangur. Wewnątrz mieściły się tylko wąskie siedzenia wzdłuż burt wozu, a ponieważ nie było okien, oświetlały nas małe białe lampki sufitowe.

Kardynał zapukał w ściankę oddzielającą nas od kierowcy – człowieka w niebieskim kombinezonie – który uruchomił silnik i furgonetka skierowała się ku wyjazdowi z naszej uliczki.

– Dokąd jedziemy? – zainteresował się mój mąż.

– Na lotnisko – odparł ostro Kaspar.

– A ty skąd wiesz? – spytałam.

– A stąd, że od wczoraj wszystko szykujemy – odpowiedział, masując sobie bolącą nogę.

Kardynał Hamilton, stawrofilak z zawodu, uśmiechnął się miło.

– Baliśmy się, pani doktor, że może dojść do czegoś takiego – wyjaśnił. – Wobec przykrości, które spotkały wczoraj rodzinę Simonsonów, katon porozumiał się z nami...

– Nie jestem katonem – burknął pan sympatyczny.

Jego Eminencja uprzejmie go zignorował.

– ...i uznaliśmy, że na wszelki wypadek lepiej przygotować szybką ewakuację. Dlatego kiedy otrzymaliśmy wiadomość od katona, wszystko było już gotowe. Mają państwo bilety na samolot i nowe dokumenty, przyszykowane są przesiadki w różnych krajach, żeby zmylić ewentualnych

szpiegów Spittlera. Diane pojedzie z państwem – wymieniona nieznacznie skinęła głową – żeby załatwić, co wyniknie w drodze, i oszczędzić wam problemów. Jutro wieczór będziecie w Paradejsosie.

Wymieniliśmy z Faradżem zdziwione spojrzenia.

– Ukryjemy się w Paradejsosie? – wyjąkał mój mąż. – Ale... ale nasza Isabella nie może tam wejść.

– Owszem, nie może – potwierdził Hamilton. – Ale w tym wypadku zrobimy wyjątek, bo zdaje się, że arcybiskup Tournier nie ma problemu z piątym przykazaniem, które mówi: „Nie zabijaj”.

Furgonetka dość szybko jechała ulicami Toronto, o tej porze raczej pustymi. Nie licząc kardynała i milczącej Diane (oczywiście także stawrofilaczką), tworzyliśmy dość poruszającą grupkę pasażerów furgonetki: wyczerpana Abby doszła do kresu sił fizycznych i psychicznych, a na naszą piątkę żal było patrzeć. Chociaż nie, to niezupełnie prawda. Tylko na czwórkę żal było patrzeć. Albowiem obecna wśród nas dziesiętnastolatka odzyskała całą energię, wigor i żywotność. Mojej siostrzenicy oczy błyszczały jak gwiazdy, a na pełnych, choć umazanych sadzą ustach pełzał entuzjastyczny uśmiezek, którego nie potrafiła ukryć. Zrozumiałam naraz, że perspektywa wejścia do Paradejsosu stawrofilaków spowodowała u niej potężny wyrzut adrenaliny, która niemal wypływała jej uszami. Super, pomyślałam, nie zaszkodzi jej krótki pobyt w miejscu tak ciekawym, gdzie panują tak dziwne obyczaje. Wiele się nauczy, chociaż naturalnie trochę będzie ją kosztowało porozumienie się z miejscowymi, skoro nie zna bizantyńskiej greki. Ha, Linus jej pomoże, będzie jej rycerzem. Z drugiej strony Faradż i ja odpoczniemy sobie, co nam szkodzi. Kaspar natomiast będzie miał sposobność wyleczyć do końca nogę, zwłaszcza że teraz potrzebował tylko rehabilitacji i ćwiczeń, a gdzie by mu się to udało lepiej niż w Paradejsosie z jego rzekami, ogrodami, wierzchowcami, a przede wszystkim z zaawansowanym rozwinięciem idei pięciu zmysłów według modelu Leonarda da Vinci¹⁴? Świetne miejsce, by ukryć się przed Tournierem i wypocząć.

– Nie, proszę, nie wyjeżdżajcie – wyszeptła naraz Abby z takim błaganiem w głosie, aż nas zaskoczyła.

Kaspar wpatrzył się w nią bez słowa.

– Dlaczego? – zaniepokoiła się Isabella, która już widziała, jak wizyta w Paradejsosie przechodzi jej koło nosa.

Abby odetchnęła głęboko z ogromnym znużeniem na twarzy.

– Dla moich dziadków – odparła. – Kiedy Jego Eminencja do mnie zadzwonił...

– Poprosił o to katon – usprawiedliwił się kardynał.

– ...i powiedział mi, że podpalono wasz dom, od razu pomyślałam, że bractwo będzie chciało

was wywieźć z Kanady i gdzieś ukryć. Dlatego uparłam się, żeby przyjechać.

– Zapewniam, katonie, że robiłem co mogłem, żeby ją od tego odwieść.

– Już powiedziałem – wycedził Kaspar Glauser-Röist głosem ostrym jak brzytwa – że nie jestem katonem.

– Kaspar, to teraz nie ma znaczenia – pojednawczo wtrącił Faradz.

– Uważam, że Linus z Isabellą powinni jechać do Paradejsosu – oświadczyła Abby, uroczym gestem odgarniając włosy z twarzy i zakładając je za uszy. – Muszą być bezpieczni, co do tego nie ma wątpliwości. Ale my czworo powinniśmy dalej szukać ossuariów. Błagam was o to przez wzgląd na dziadków, którzy całe życie poświęcili na poszukiwania i może nie doczekają efektów. Jestem im to winna, ale niczego nie zdmusiłam bez was. Nie możemy poza tym pozwolić, żeby Tournier wygrał, szczególnie po wyrządzeniu tylu krzywd. Proszę, nie wyjeżdżajcie.

– Nie ma mowy, pani Simonson! – oświadczył z oburzeniem kardynał. – Gdybym wiedział, że takie są pani intencje, nigdy bym nie pozwolił, żeby nam pani towarzyszyła! Trzeba wyciągnąć stąd katoną jeszcze tej nocy.

Kaspar otworzył usta, lecz zanim cokolwiek rzekł – a wiedzieliśmy, że będzie się powtarzał jak papuga – Faradz wtrącił:

– Oczywiście odstawienie dzieci do Paradejsosu pozostaje poza dyskusją. A o reszcie musimy pogadać.

– Głosujmy – zaproponował Kaspar.

– Głosujmy...? – zdumiałam się, wspomniawszy scenę w kuchni tamtego wieczoru, gdy przyjechali do nas Kaspar z Linusem. – Znowu...? Ja odmawiam głosowania!

– To jak się dowiemy, co chcesz zrobić? – zapytał z uśmiechem Kaspar, biorąc mnie za rękę.

– Powiem wam otwarcie na głos: chcę jechać do Paradejsosu.

Faradz wypuścił moją dłoń i podniósł rękę do góry.

– A ja chcę dalej szukać ossuariów – oznajmił judasz jeden. – Nie możemy teraz zrezygnować.

Kaspar podniósł rękę wzorem Faradza.

– Ja też – oznajmił z kamienną, jak to u Głaza, twarzą. – Dwa do jednego. Zostajemy.

– To niesprawiedliwe! – zawołałam z żalem.

– Ciociu, to się nazywa demokracja – zauważyła ta przechera Isabella.

– Wcale nie! – warknęłam rozżłoszczona. – To się nazywa ochłokracja, rządy niewykształconego plebsu mającego niesłusznie większość. Grecy wiedzieli o tym już wiele wieków temu.

Dzieci o piątej rano odleciały samolotem British Airways do Londynu. Zanim weszły na pokład, Abby zajęła się nabyciem dla nich i dla nas ubrań i butów w sklepach wolnocłowych na lotnisku. Nie wiedząc skąd pojawiła się uroczą hostessa z obsługi naziemnej i zaczęła się zachowywać jak asystentka Abby: najpierw pomogła jej szybko kupić wszystko co trzeba, potem dyskretnie zaprowadziła nas do prywatnej sali, gdzie mogliśmy się ogarnąć i ubrać, później zaś odpocząć chwilę i przygotować Linusa do podróży. Chłopiec musiał zapamiętać, że teraz nazywa się inaczej, Andreas Hoch, i że pod żadnym pozorem nie może odstępować na krok swojej siostry Isabelli, która również musiała się nauczyć nowego nazwiska, Gudrun Hoch, i wbić sobie do głowy, że nie wolno jej się oddalać dalej niż na metr od swojej matki Diane, obecnie Hanni Hoch. Wszyscy Hochowie byli obywatelami Lichtensteinu w Europie, o czym zaświadczały ich fałszywe paszporty, w których widniało potwierdzenie, że wjechali do Kanady sześć dni wcześniej w celach turystycznych.

Przed odlotem, gdy Kaspar ścisnął Linusa, jakby miał go więcej nie zobaczyć (w głębi ducha, jak powiedziałam Abby w Stambule, to bardzo uczuciowy mężczyzna), Isabella-Gudrun próbowała uspokoić wujka i mnie pieszczotliwymi słowami. Była tak ucieszona i podniecona wyjazdem do Paradejsosu, że niewątpliwie wszyscy, którzy zostawali na lotnisku, wydawali jej się godnymi politowania biedakami. Obiecała wysłać wujkowi wiadomość przez komunikator internetowy, ilekroć wsiądą na jakimś lotnisku, abyśmy wiedzieli, że wszystko idzie dobrze. Ani Faradż, ani ja oczywiście nie powiedzieliśmy jej nic. Nie miała pojęcia, że w jakimś momencie podróży niepostrzeżenie ktoś – prawdopodobnie Diane, choć kto to wie – uspi ją tym środkiem, którym usypiano nas po każdej próbie kręgow Dantego. Prawdopodobnie samolotem poleciał tylko raz, do Londynu. A potem... No cóż, tysiąc dróg wiedzie do Raju Ziemińskiego, lecz nie zna ich nikt, kto nie jest stawofilakiem. Prawdopodobnie odzyska świadomość dopiero w Staurosie, stolicy tego pięknego świata ukrytego w przeogromnym systemie podziemnych jaskiń, gdzie rzecz jasna nie będzie zasięgu sieci komórkowej ani wi-fi. Już widziałam, co mi zrobi moja siostra Águeda w dniu, kiedy zadzwoni z pytaniem o córkę. Najbardziej zależało mi jednak na tym, by chronić Isabellę. Pragnęliśmy, aby była bezpieczna, aby jej życiu nic nie zagrażało i aby wróciła do nas równie szczęśliwa, jak szczęśliwa odjeżdżała.

Kiedy Diane z dziećmi opuściła prywatną salę, by wejść na pokład samolotu, kardynał i my czworo, sponiewierani ocalali po tym strasznym tygodniu, tragicznym dniu, nocy i smutnym poranku rozstania, wyszliśmy z lotniska korytarzami i przejściami zarezerwowanymi wyłącznie dla personelu przewoźników i wsiedliśmy do taksówki, która czekała na nas z pracującym

silnikiem. Kardynał Hamilton opuścił ją przy pierwszym kościele katolickim napotkanym po drodze – drodze, która zdecydowanie wiodła najbardziej logiczną trasą ku naszemu przeznaczeniu – a pięć kwartałów dalej najwytworniejsza, choć nie najpiękniejsza z niedobitków przesiadła się do własnego wozu (opancerzonego), który czekał na nią u zbiegu ulic, aby zawieźć ją do Mount Sinai Hospital. Nasza trójka zaś w milczeniu pojechała dalej, do rezydencji Simonsonów, gdzie na nas czekało.

Kiedy dotarliśmy przed dom, ochmistrz polecił dwóm silnym służącym, by Kaspara, który ledwie mógł chodzić, przenieśli do pokoju zajmowanego przezeń w ciągu ostatnich dwudziestu dni, sam zaś poprowadził Faradża i mnie do pokoju gościnnego, gdzie tymczasowo nas ulokowano. Jak już nieraz wspominałam, życie mnie nauczyło, że nigdy nie wiadomo, co przyniesie następny kwadrans, toteż w ubraniu kupionym na lotnisku (na wypadek gdyby trzeba nagle uciekać) padłam jak długa na wielkie łożo ustawione pośrodku pokoju i zapadłam w sen, nie zamieniwszy ani słowa z mężem, który najwyraźniej zrobił to samo. Spałam tak głęboko, że gdy w południe otworzyłam oczy, leżałam w tej samej pozycji, w jakiej się położyłam. Byłam nawet w butach.

Nigdy w życiu się nie upiłam, nie wiedziałam zatem, co naprawdę znaczy słowo „kac”, lecz z tego, co słyszałam, używa się go właśnie na określenie stanu, w jakim byłam tego dnia. Kiedy oprzytomniałam nieco, postarałam się odnaleźć w czasoprzestrzeni i poszukałam dłonią zawsze pozostającego w pobliżu Faradża. Najpierw wymacałam jego okulary i zaraz potem szorstki zarost, który na gwałt domagał się brzytwy. Ha, skoro on tu jest, wszystko będzie dobrze, świat się kręci i życie toczy dalej.

Czułam się jak początkujący fakir, który wstaje z łóżka najeżonego gwoździemi: nie miałam w sobie ani jednego nerwu, mięśnia, kości, ścięgna ani skrawka skóry, który by mi nie doskwierał. A gdy mój najdroższy z szerokim ziewnięciem przeciągnął się na łożku w całej okazałości, po jego jękach i narzekaniach poznałam, że jest równie obolały jak ja.

Tyle że oczywiście w rezydencji Simonsonów sprawy nie toczyły się według normalnych schematów. Przyniesiono nam do pokoju obfite śniadanie, obsługując nas jak w paryskim Ritzu. Pokrzepiwszy nadwątłone siły, trafiliśmy następnie do sauny i w ręce masażysty. Po prysznicu na przemian zimnym i gorącym, owinięci w płaszcze kąpielowe i ręczniki z tych, których za nic nie chcesz pobrudzić, poprowadzono nas z powrotem do pokoju, gdzie zastaliśmy dwie przenośne garderoby, jedną dla Faradża, drugą dla mnie. Bardzo miła dziewczyna (mówiła, czym się zajmuje, lecz tego nie pamiętam), zobaczywszy, że nie kwapię się do grzebania w ciuchach, pomogła mi wybrać ubranie (o dziwo, wszystko w tej garderobie było w moim rozmiarze). Zdecydowałam się na wytworne czarne spodnium, które bardzo mi się spodobało, i beżową bluzkę oraz także buty. Mój mąż odział się w młodzieżową białą koszulkę polo i dżinsy, które bosko na nim leżały, tak że wyglądał w nich jak pociągający hollywoodzki playboy. O ileż lepiej się

prezentował bez tej swojej okropnej muchy, w której tak się lubował!

W końcu odpicowanych poprowadzono nas do małej biblioteki, gdzie inny odpicowany – na bogato – już na nas czekał w towarzystwie Abby, która miała dużo lepszą minę niż z rana, kiedy przesiadała się z taksówki do limuzyny. Oboje, odpicowany na bogato i dziedziczka, w mojej bibliotece wyraźnie świetnie się czuli we dwoje w swoim towarzystwie, rozmawiając cicho i śmiejąc się jak głupi. Kiedy weszliśmy, Abby odsunęła się o krok od Kaspara.

– Przeszkadzamy? – zapytałam na wszelki wypadek.

– Dzieci bez problemów dotarły do Anglii – oznajmił niewzruszenie były katon.

– Ach, całe szczęście! – rzekł mój mąż, sięgając nieświadomym gestem do tylnej kieszeni spodni. – Martwiłem się trochę, bo nie przyszła żadna wiadomość od Isabelli z Londynu.

Kaspar się uśmiechnął.

– Liczyłeś na wiadomość? – spytał, dając nam do zrozumienia, że moja siostrzenica już od jakiegoś czasu zdążyła do Paradejsosu w objęciach Morfeusza.

– Ja nie – przynałam spokojnie, podchodząc do nich. – Abby, jak dziadkowie?

– Trzymają się – odparła strapiona. – A to już dużo.

– Modłę się za nich – zapewniłam.

– Wiem. I dziękuję. Są w każdym razie stabilni, a to dobry znak.

Mój mąż podszedł do dziedziczki i położył jej dłoń na ramieniu.

– Twoi dziadkowie są silni – pocieszył ją. – Wyjdą z tego.

Abby się uśmiechnęła.

– No wiesz, jesteśmy ufoludkami. Na tej planecie nic nas nie zabije.

Głupak numer jeden i głupak numer dwa wybuchnęli śmiechem, ja jednak pozostałam poważna, bo uświadomiłam sobie, że Isabella nie zdążyła pogrzebać w sprawie rodziny Simonsonów, a ja sama tego nie zrobię. Dręczyło mnie to. Może Tournier zamierzał tylko obudzić moją czujność, jak powiedział Faradz, ale byłabym dużo spokojniejsza, gdyby Isabella się czegoś dogrzebała.

– Skoro teraz – ciągnęła Abby – zostaliśmy we czwórkę, chciałabym przedstawić wam kogoś. Przepraszę was na chwilę. Zaraz wracam.

Swobodnym, perfekcyjnie dystyngowanym krokiem skierowała się do drzwi i wyszła z mojej biblioteki.

Faradz i ja usiedliśmy pod wysokim oknem na ustawionych w krąg fotelach, które nieodparcie kojarzyły nam się z Jakiem i Becky. Kaspar dołączył do nas. Chodził już lepiej, radził sobie bez kul. Mogliśmy pogadać, lecz nie zrobiliśmy tego. Dobrze nam było pomilczeć. Wyciągnęłam dłoń do Faradza, który ją ujął. I tak czekaliśmy we trójkę, aż Abby wróci. Myślę, że przez te trzy, cztery minuty odpoczęłam bardziej niż w ciągu siedmiu czy ośmiu godzin snu.

W końcu otworzyły się drzwi biblioteki i weszła dziedziczka, a za nią nadzwyczajnie elegancki starszy pan, odrobinę niższy od niej i oczywiście znacznie tęższy. I znowu tak jak wtedy, gdy Simonsonowie zjawili się u nas po raz pierwszy, twarz tego człowieka wydała mi się skądś znajoma.

Za nimi weszło jeszcze kilka osób: dwaj smukli dżentelmeni w zaawansowanym wieku o powierzchowności angielskiego lorda, dwaj dobrze zbudowani ochroniarze – w uszach mieli słuchawki – którzy stanęli po wojskowemu po obu stronach drzwi, oraz dwaj młodzi ludzie o długich zadbanych włosach, również w garniturach, aczkolwiek wyglądali na takich, których zmuszono do zmiany codziennych ciuchów na odzienie zupełnie do nich niepasujące.

Podnieśliśmy się z foteli, gdy to dziwne towarzystwo zmierzało w naszą stronę. I naraz Kaspar postąpił krok do przodu i z szacunkiem pochylił głowę.

– Wasza Wysokość... – rzekł cicho.

Tęgi starzec, praktycznie łysy z wyjątkiem wianuszka szpakowatych włosów od jednej białej skroni do drugiej, także skłonił głowę przed Kasparem i rzekł:

– To zaszczyt poznać cię, katonie.

– Nie jestem katonem stawrofilaków, Wasza Wysokość.

– Nigdy nie przestaniesz nim być, katonie – odparł starzec z szacunkiem, wyciągając do niego dłoń – tak jak ja nigdy nie przestanę być imamem izmailitów.

Krew zastygła mi w żyłach. Imam izmailitów...? Nizarytów...? Wbiłam oczy jak noże w twarz tego człowieka.

– Ottavio, Faradżu... – odezwała się bardzo zadowolona Abby. – Przedstawiam wam jego królewską wysokość Karima al-Husajniego, Agę Chana IV, imama muzułmańskich izmailitów. Karimie, to doktor Ottavia Salina i profesor Faradž Boswell.

– Odkrywczy mauzoleum Konstantyna! – zawołał, entuzjastycznie ściskając nam dłonie. Zachowywał się nader przystępnie.

Faradž przywitał się z nim bardzo serdecznie, a ja, skamieniała, podałam mu rękę, czując, jak przez nią uchodzi ze mnie życie. To był Starzec z Gór XXI wieku, przywódca sekty asasynów w dobie internetu!

– Dobrze się pani czuje? – zapytał księżę Karim, dziwnie na mnie patrząc głęboko osadzonymi ciemnymi oczami, które jeszcze wzmogły moją sztywność.

Mąż spojrział na mnie i w jednej chwili odgadł, co się dzieje, toteż naturalnym gestem położył mi dłoń na ramieniu i zaczął pospiesznie bębnić palcami, żebym się ocknęła i zareagowała.

– Znakomicie – oznajmiłam. – Miło pana poznać.

– Dziękuję – odparł z zadowoleniem. – Mnie także, zapewniam. Pozwolą państwo, że przedstawię swoich towarzyszy.

Okazało się, że z tych dwóch angielskich dżentelmenów, jasnowłoskich i o skórze białej jak śnieg, jeden, Luis Monreal, jest Hiszpanem, dyrektorem generalnym Fundacji Agi Chana dla Kultury, a drugi to książę Amin Muhammad, brat księcia Karima i prezes Komitetu Wykonawczego Funduszu Agi Chana dla Rozwoju Gospodarczego. Jak się dowiedzieliśmy, we wrześniu odbędzie się w Toronto otwarcie izmailickiego centrum kulturalnego oraz dużego muzeum sztuki islamskiej, Muzeum Agi Chana, dlatego obaj rzekomi lordowie przebywali w Toronto już od kilku tygodni. Książę Karim natomiast przybył do Kanady w pośpiechu własnym samolotem z przyczyn zupełnie odmiennych, mianowicie po pierwsze z powodu stanu zdrowia swoich przyjaciół Jake'a i Becky (należał do nielicznych osób na świecie, które wiedziały, co się stało), po drugie zaś ze względu na tych dwóch długowłosych chłopców bez ruchu stojących w milczeniu w pewnej odległości od grupy.

Abby usiadła na miejscu, które zwykle zajmowała jej babcia, fotel Jake'a zajął tegi przywódca sekty asasynów. Ilekroć obrzucałam go wzrokiem, po grzbiecie przebiegał mi zimny dreszcz, i to mimo że jego wygląd wcale nie był nieprzyjemny, a książę zachowywał się jak zwyczajny człowiek, znakomicie wychowany i spokojny. Gdzie ukrywa sztylet? zastanawiałam się, badawczo obserwując fałdy marynarki na jego pełnej figurze.

Pozostali obecni usiedli w fotelach w kręgu, a ponieważ brakowało jednego miejsca, któryś z ochroniarzy przysunął dodatkowy. Chłopcy nadal stali w pewnym oddaleniu.

– Możemy zaczynać – zagaił Aga Chan z miłym uśmiechem. – Nie mamy wiele czasu, dlatego przechodzimy od razu do sedna. Jake i Becky powiadomili mnie, że jeden z serwerów AKDN-u, konkretnie londyński, wykorzystywano do śledzenia Abby i przy okazji reszty państwa. Jak wiadomo, współpracowaliśmy przy poszukiwaniach od początku, toteż bardzo nas to zaskoczyło. Po przeprowadzeniu drobnego dochodzenia odkryliśmy, że sprawcami byli ci dwaj słuchacze Uniwersytetu Agi Chana, studenci Wydziału Historii Cywilizacji Muzułmańskich. Jak się okazało, ci młodzieńcy wraz z trzema kolegami z grupy dogrzebali się w książkach informacji o zapomnianej herezji z czasów, kiedy uważano nas za sektę skrytobójców odurzających się haszyszem. – Aga Chan uśmiechnął się rozbawiony i westchnął. – Cóż, każdy ma jakąś przeszłość. Pozwolą więc państwo, że przedstawię – wskazał długowłosych młodzieńców – świeżo upieczonych samozwańczych *sufat*. Czystych.

I Aga Chan wybuchnął dźwięcznym śmiechem, który jednak do mnie docierał jak przez mgłę, w głębi ducha bowiem słyszałam donośny głos Marca Polo: „Biskup nasranich Mar Sahda, który rozmawiał z *ebjonim*, powiedział nam, że przybyli pod eskortą muzułmańskich żołnierzy łąjących się nazywać *sufat*, czyści, ale to byli Saraceni z tych, co nie przestrzegają prawa Mahometa, lecz prawa Starca z Gór. *Ebjonim* odeszli, zapowiadając, że wrócą po ossuaria, kiedy znajdą pewne schronienie, w którym będą mogli je złożyć na zawsze, co też uczynili dwanaście lat temu,

przybywając również w towarzystwie żołnierzy *sufat*".

Stropiona popatrzyłam na wystraszonych dwudziestolatków, odrobinę tylko starszych od Isabelli, dusząc się w nich podobieństwa do tamtych żołnierzy, wojowników *sufat*, którzy w XIII wieku strzegli ossuariów zarówno w drodze z Bagdadu do Indii, jak i potem do... no, tam, gdzie skrzynie ukryli *ebjonim*, lecz widziałam tylko młodziutkich chłopców spłoszonych obecnością i słowami swojego imama. Skoro ściągnięto ich z Londynu tylko z tego powodu, rozumiałe, że trzęśli portkami ze strachu.

– A czemuż to szpiegowali mnie ci nowi *sufat*? – surowo spytała Abby.

– Mówcie – rzekł imam do chłopaków.

– Ale podejdźcie tu i najpierw się przedstawcie – polecił nagle ksiązę Amin.

Chłopaki podeszli parę kroków wpatrzeni w imama, spojrzeli po sobie, wreszcie ten o ciemniejszej skórze i pociągłej twarzy ozdobionej bródką zdecydował się zabrać głos:

– Nazywam się Husejn Kasem, a to jest Malik Zanchani. – Mówił doskonalą brytyjską angielszczyzną, głosem dźwięcznym, głębokim, w którym dawało się wyczuć panikę, choć starał się ją ukryć. – Jesteśmy izmailitami *sufat*.

Ksiązę Karim znowu się zaśmiał, acz tym razem zaraz się opanował i gestem dał znak, by chłopcy mówili dalej.

– W starych dokumentach – podjął Husejn – natrafiliśmy na dowody, że Mongołowie nie zniszczyli szczątków naszego pana Hasana i-Sabbaha, kiedy zrównali z ziemią jego grobowiec w górach Alamutu w tyśiąc dwieście pięćdziesiątym szóstym roku. Wezyr ilchana Hulagu, Ala-Malik Ujuwajni, złożył jego kości w ossuarium i wręczył je Hulagu jako łup wojenny razem z dziewięcioma ossuariami, w których znajdowały się szczątki proroka Al-Masiha Isy i jego rodziny.

– W dziesiątym ossuarium był Hasan i-Sabbah! – zawołał przejęty Faradž.

– Rzecz w tym – rzekł ksiązę Karim Aga Chan – że dzięki tym nowym *sufat* wiemy, że szczątki naszego mistrza nie zostały zniszczone i mogą być razem z dziewięcioma ossuariami, których państwo szukają. Proszę zrozumieć, jakie to ważne dla nas, izmailitów.

– Równie ważne jak szczątki Jezusa i jego rodziny dla nas, chrześcijan – przyznał Kaspar.

Długowłosi poruszyli się niespokojnie.

– Jakto odkryliście? – spytałam.

– Przy padkiem – wyznał Husejn, spuściwszy głowę i wlepiwszy wzrok w podłogę. – W uczelnianym intrancie odkryliśmy folder z dawnymi pracami naszych profesorów. Była tam wyjaśniona rola, jaką my, izmailici, odegraliśmy w tej historii z chrześcijańskimi ossuariami proroka Al-Masiha Isy i jego rodziny. – Urwał na chwilę i odchrząknął. – Wszystkie prace powstały na prośbę rodziny Simonsonów, co tym bardziej przyciągnęło naszą uwagę.

Postanowiliśmy pogrzebać i... i odkryliśmy, że komputer tej pani – podniósł głowę i sporzał na Abby zawstydzony – nie jest chroniony.

– Moja wina – przyznała dziedziczka, ściągając brwi.

Nie przypominała zwyczajnej Abby. Wyglądała na twardą i stanowczą, takiej nigdy jej nie widziałam.

– Mów dalej, Husejn – odezwał się książę Amin, widząc, że chłopak z całych sił pragnie, by pochłonęła go ziemia.

– A miesiąc temu – wyszeptał Husejn – trzydziestego pierwszego maja, porty, przez które wchodziliśmy, nagle się zamknęły.

Owszem, wspomniałam z dumą, Isabella wyczyściła komputer Abby z oprogramowania szpiegowskiego i postawiła zapory, kiedy lecieliśmy samolotem z Ulan Bator do Stambułu.

– Dlatego musieliśmy zacząć szukać gdzie indziej – przyznał się chłopak – Chcieliśmy tylko dowiedzieć się więcej, niczego nie zamierzaliśmy sobie przywłaszczyć ani nikogo skrzywdzić i w ogóle nawet przez myśl nam nie przeszło, co znajdziemy. Dokumenty, do których dotarliśmy, należały do Fundacji Agi Chana dla Kultury. Na szczęście do Fundacji akurat dotarła prywatna kolekcja dokumentów izmańskich, których jeszcze nikt nie przeglądał.

– Czasami trafiają się istne klejnociki – podkreślił z satysfakcją Luis Monreal, dyrektor generalny Fundacji. – Ale nasze zbiory dokumentów są bardzo skromne.

Husejn stał wpatrzony w okno, jakby marzył, by przez nie uciec.

– Znaleźliśmy wśród nich list – podjął – żydowskiego rabina Elijahu napisany w farsy w tysiąc dwieście sześćdziesiątym roku do ostatniego znanego przywódcy *sufat*, Farhada Zakkara. Elijahu pisał, że ossuaria ze szczątkami naszego mistrza Hasana i-Sabbaha i proroka Al-Masiha Isy i jego rodziny znajdują się w Bagdadzie, bo zostały zrabowane przez ilchana Hulagu, gdy w tysiąc dwieście pięćdziesiątym szóstym zburzono Alamut. Proponował, żeby je odzyskać i bezpiecznie ukryć, bo wierzył, że Mongołowie zawładną całą ziemią i ich panowanie będzie wieczne. Właśnie wtedy odkryliśmy, że szczątki naszego mistrza są razem ze szczątkami proroka Al-Masiha Isy, a na dodatek dowiedzieliśmy się, że istnieje credo *sufat*, o którym nikt nigdy nam nie mówił. Studiowaliśmy je uważnie, czytaliśmy co się dało i wierzymy, że przyszła chwila, żeby wrócić do dawnej interpretacji Koranu.

– I to wszystko miało miejsce tylko w ostatnich dwóch tygodniach – zaznaczył Karim z powagą. – Chcę, żeby to było jasne.

– Przetłumaczyli państwo ten dokument? – zapytałam.

Współczesny przywódca asasynów wyciągnął rękę do jednego z ludzi eskorty przy drzwiach. Człowiek ten odchylił marynarkę i wyjął spod niej plastikową teczkę, z którą podszedł do imama.

– Oczywiście to nie oryginał – zwrócił uwagę książę Karim, podając teczkę bratu, który

przekazała ją mnie. – Ale kopia jest niezła. Oryginał znajduje się w sejfie w Londynie. Czyta pani w farsi, pani doktor?

– Ależ skąd – odparłam, przebiegając wzrokiem śliczne zdjęcie. – Jak pan wie, moja specjalność to bizantyńska greka.

– Tak przy puszczałyśmy. Na osobnej kartce ma pani tłumaczenie.

Podalam zdjęcie Faradżowi, sama zaś odszukałam tłumaczenie w teczce, w której znajdowały się jeszcze jakieś papiery. Tekst zajmował niecałą stronę, tak jak powiedział Husejn: niejaki Elijahu ben Szimeon, rabin z Susji w Judei, informował Farhada Zakkara, duchowego przywódcę i wodza *sufat*, że w rękach ilchana Hulagu znajdują się szczątki Hasana i-Sabbaha, i proponował współpracę w celu odzyskania ich, jeśli w zamian Farhad jemu pomoże odzyskać szczątki Jezusy Ha-Nocriego i jego rodziny pozostające także w posiadaniu Hulagu.

– Jezusy Ha-Nocriego? – rzekłam pytająco, nie odrywając wzroku od kartki.

– Jezusa z Nazaretu po hebrajsku – wyjaśnił mi mąż.

List faktycznie datowano 5 maja 1260 roku, ale nie według naszego kalendarza gregoriańskiego, lecz według żydowskiego (16 dnia miesiąca ijar 5020 roku) i islamskiego (15 dnia miesiąca dżumada al-ula 658 roku). Datę gregoriańską dodał tłumacz w przypisie u dołu strony. Najwyraźniej Elijahu sądził, że *sufat* to jedyni izmailici, którzy się ostali po eksterminacji sekty przez Mongołów, jako bowiem heretycy asasyni żyli z dala od niej, przez ponad wiek ukrywając się w syryjskich górach, co uchroniło ich przed masakrą. Elijahu naprawdę był wystraszony mongolską potęgą, przepowiadał Zakkarowi nadejście dla ludzkości długiego czasu bólu i śmierci, krwi i ognia. Koniecznie jednak twierdził, syryjscy *sufat* i oni, judejscy *ebjonim*, powinni jak najszybciej połączyć siły i zastanowić się, jak odzyskać ossuaria zrabowane przez Hulagu, nawet gdyby się okazało, że przez jego niedbalstwo zostały zniszczone. Proponował tajne spotkanie w Damaszku w miesiącu zu al-hidżdża (kislew dla Żydów i listopad dla nas) i z nadzieją czekał na jego decyzję oraz szczegóły w sprawie spotkania.

Podniosłam głowę znad kartki wkurzona jak rzadko w życiu (znaczy tak się mówi) i ze złością wykrzyknęłam:

– Do diabła, co to za żydzi *ebjonim*, którzy się podają za chrześcijan w Indiach, a w dodatku rozpaczliwie chcą bronić szczątków Jezusa z Nazaretu przed Mongołami?

– Heretycy, pani doktor – wyjaśnił aktualny Starzec z Gór. – Ale w tym wypadku ich heretycy, nie nasi.

– Heretycy? – zdumiałam się.

– Chrześcijańscy heretycy – dodał, sądząc, że nie załapałam tego niuansu.

Ale oczywiście załapałam i właśnie to wydało mi się potworną niedorzecznością. Rozdział między żydami a chrześcijanami był niemal całkowity od samego początku. Święty Paweł zaczął

głosić wiarę wśród pogan, czyli nieżydów, zaledwie dziesięć czy dwanaście lat po śmierci Jezusa, w okolicach roku 40 po własnym nawróceniu na drodze do Damaszku (na której oczywiście nie spadł z żadnego konia, cokolwiek się mówi). A w roku 50 wszedł w ważny spór z Kościołem jerozolimskim opowiedziany z wszelkimi szczegółami w *Dziejach Apostolskich*, rozdział 15, ponieważ jego zdaniem jeśli dorosłemu Rzymianinowi albo Grekowi powiedzieć, że aby zostać chrześcijaninem, musi się najpierw obrzezać, jak nakazuje żydowskie Prawo, a także żyjący jeszcze apostołowie, to nie ma mowy, aby nawrócił się na chrześcijaństwo. Spierał się zatem z apostołami i wygrał – odtąd mężczyźni pragnący pójść za Jezusem nie musieli się poddawać obrzezaniu (kobiety wcześniej musiały tylko zostać ochrzczone w wodzie) – dzięki czemu otworzył szeroko Kościół Boży, którego nowym centrum stało się serce imperium, czyli Rzym.

Od tamtych początków judaizm i chrześcijaństwo szły zupełnie różnymi drogami, a chrześcijańskie herezje – przynajmniej z tego, co wiedziałam – zaczęły się pojawiać gdzieś od II wieku: koptowie jak mój mąż, Chrześcijanie Świętego Tomasza, nestorianie, greccy ortodoksi, potem jeszcze katarzy i protestanci. Nie do pojęcia natomiast byli dla mnie chrześcijanie i zarazem żydzi, znaczy moim zdaniem nie mógł istnieć chrześcijański rabin jak ten autor listu.

– Proszę poszukać w teczce – poradził Aga Chan. – Znajdzie pani tekst jednego z tak zwanych Ojców Kościoła, Ireneusza z Lyonu z drugiego wieku. Ireneusz wyjaśnia w nim, kim są *ebjonim*, czyli ebionici. *Ebjonim* to hebrajskie słowo, znaczy „ubodzy”.

– Istnieli już w drugim wieku? – spytałam stropiona, grzebiąc w teczce.

– Jak zdołaliśmy ustalić – oświadczył tajemniczo książę Karim – istnieli nawet trochę wcześniej.

Przetrwali jedenaście wieków, ni mniej, ni więcej! Ci *ebjonim*, czyli ebionici, to musieli być szczeni goście, że uniknęli prześladowań Kościoła przez tyle czasu, bo przecież starożytni Rzymianie – moi przodkowie – najpierw prześladowali chrześcijan i robili z nich męczenników, a potem sami chrześcijanie zajadłe prześladowali heretyków, paląc ich na stosach i posyłając do piekła.

Znalazłam kartkę, o której mówił Aga Chan, z tekstem świętego Ireneusza z Lyonu. Słabo znałam prace Ireneusza i naturalnie nie na tyle, aby pamiętać, że pisał o ebionitach. Jego najważniejsze dzieło, *Adversus haereses, Przeciw herezjom*, było pierwszą w historii rozprawą na temat sporów teologicznych, które zaczęły się pojawiać w łonie chrześcijaństwa od II wieku. Tekst był fragmentem rozdziału 26 księgi pierwszej tej pracy:

Ci, których nazywa się ebionitami, wierzą, że świat został stworzony przez Boga prawdziwego, ale co się tyczy Pana, głoszą te same poglądy co Cerynt i Karpokrates. Uznają jedynie Ewangelię Mateusza, odrzucają apostoła Pawła, którego oskarżają o apostazję, odejście od przestrzegania Prawa. Przepowiednie objaśniają dosłownie. Praktykują obrzezanie i trwają

przy nakazanych Prawem żydowskich obyczajach do tego stopnia, że czczą Jerozolimę jako dom Boży¹⁵.

Rozumiałam wszystko, choć musiałam to wnikliwie później przeanalizować, by wyrobić sobie pełny pogląd na tych ebionitów, ponieważ jednak nie znałam Cerynta i Karpokratesa, podstawowa idea, pogląd ebionitów na Boga, znaczy na tego Jezusa, którego tak chronili, zupełnie mi umykał.

– Informację o Ceryncie i Karpokratesie znajdzie pani... – zaczął Aga Chan.

– Tak, wiem – przerwałam mu. – Na kartce w teczce.

– Istotnie – przyznał dumnie.

Przejrzawszy dany dokument, podawałam go Faradżowi, który przekazywał kartkę dalej, Kasparowi i Abby, także wszyscy czworo zapoznawali się ze sprawą.

Zdaniem Ireneusza wyglądało na to, że Cerynt i Karpokrates, pierwszy pod koniec I wieku, drugi w początkach II, uważali Jezusa jedynie za człowieka. Oczywiście w ich mniemaniu nie urodził się z dziewicy, lecz był synem Józefa i Marii poczętym jak wszyscy, tyle że górował nad innymi sprawiedliwością, przezornością i mądrością¹⁶.

Czułam, jak od stóp ogarnia mnie zimno, najpierw plecy, potem ręce, głowę... Nie był to taki chłód, jakiego mogłam doświadczyć w obliczu aktualnego przywódcy asasyków, mający więcej wspólnego ze strachem niż z czymkolwiek innym. Był to chłód wewnętrzny, chłód wychodzący ze środka na wierzch. Rodził się we mnie i doskwierał mi niczym choroba. Może natrętne powracanie wątku tych przeklętych ossuariów ze szczątkami Jezusa i jego rodziny podkopało fundamenty mojej wiary, w związku z czym słabym echem, nikłym oddźwiękiem ozwał się we mnie pogląd, że Jezus był jedynie człowiekiem poczętym jak inni ludzie, sprawiedliwym, przezornym i mądrym synem Józefa i Marii, a nie Synem Bożym poczętym z Ducha Świętego w łonie Marii Dziewicy. I stąd brało się owo zatrwające zimno. Nie mogłam stracić swojego Boga. Był dla mnie jak powietrze, potrzebowałam Go do życia, kochałam tak bardzo, że oddałam Mu trzynastcie lat swojego życia spędzonego na drodze powołania, nim zakochałam się w Faradżu.

Musiałam się od tego oddalić. Zależało mi na ocaleniu swojej wiary, na ochronieniu jej.

– Mamy więcej informacji o ebionitach – mówił Aga Chan, kiedy otrzeźwiałam – i możemy je państwu udostępnić, jeśli państwo sobie życzą.

– Oczywiście, że sobie życzymy. Dziękuję, Karimie – usłyszałam zdecydowany głos Abby.

– Czy mieliby państwo coś przeciwko temu, by jeden z naszych najlepszych archeologów przyłączył się do poszukiwań ossuariów? – zapytał Luis Monreal.

– Skądże – zapewnił stanowczo były katon. – Bardzo nam pomoże.

– Znakomicie! – ucieszył się Aga Chan. – Co zamierzają państwo teraz?

Ja zamierzałam wyjechać, zniknąć, uciec z Faradżem na drugi koniec świata, z dala od tych niebezpiecznych szaleńców niszczących ludziom życie i wiarę.

– Na tym etapie – usłyszałam swojego męża – pasuje nam pojechać do Izraela, do Susji, ojczyzny ebionitów. Nie mamy pojęcia, gdzie trafiły ossuaria po przywiezieniu ich z Indii, wiemy za to na pewno, że zanim zostały zrabowane, znajdowały się w Susji w Judei. Tam żyli i pomarli ci, których szczątki były w skrzyniach, tam pozostały ich rodziny i tam ossuaria musiały wrócić. Dlatego w pierwszej kolejności musimy zlokalizować Susję, o ile istnieje jeszcze i nadal tak się nazywa, a potem poszukać jakiegoś tropu, czegoś, co da nam wskazówkę, co mogło się stać z ossuariami.

I wtedy zrozumiałam. Dotarło do mnie, co się dzieje. To była próba mojej wiary. Bóg poddawał mnie próbie, stawiając w obliczu gołej logiki i rozumu, sprawdzał, czy zniosę to doświadczenie, czy wierzę w Niego dość mocno, by sprostać temu wyzwaniu. Modliłam się bezgłośnie. Tak na tym ślupiona, że nie wiem, jak potoczyła się dalej rozmowa.

Miałam jechać do Susji.

ROZDZIAŁ 22

– Obyś żył w ciekawych czasach – mruknął Kaspar, wyglądając o świcie przez iluminator samolotu.

Zostaliśmy sami w luksusowym latającym salonie.

– Co mówiłeś? – zapytałam, odrywając oczy od tabletu.

– Cytowałem starożytną chińską klątwę: obyś żył w ciekawych czasach.

– Myślałam, że to cytat z Terry'ego Pratchetta, autora *Świata Dysku* – zauważyłam zdziwiona.

– Ależ nie – odparł, nie odwracając głowy od okna. – To stara chińska klątwa, a nasza trójka, Faradz, ty i ja, ma to niebotyczne szczęście, że została nią obłożona. Popatrz tylko na nas, pani doktor. Popatrz, co robimy. Popatrz, cośmy już zrobili i co nas jeszcze czeka. Pomyśl, co jeszcze zrobimy i kim będziemy. Mamy dziwne, skomplikowane życie, bo stale żyjemy w ciekawych czasach.

– Cóż, ja bym naprawdę wołała nudniejsze czasy – wyznałam stanowczo.

– Ty byś wołała nudniejsze czasy, a my wolimy ciekawe – odrzekł na to i zaśmiał się tym swoim śmiechem, który nie był do niczego podobny, a już do śmiechu w ogóle.

Od siedmiu godzin lecieliśmy do Tel Awiwu, zarówno Abby, jak i Faradz w końcu wyczerpani położyli się spać. Dla nas według kanadyjskiego czasu dochodziła godzina jedenasta wieczorem, ale niedługo mieliśmy dolecieć do Izraela, gdzie będzie pierwsza w nocy w poniedziałek 30 czerwca. Te deprymujące zmiany czasu fatalnie na mnie działały, ponieważ jednak przekłety były łaton nie chciał się położyć, siedziałam z nim, nie śpiąc i przepuszczając oklaję do sam na sam z Faradzem. Uznałam, że to znakomita chwila, aby z Kasparem pogadać o Abby i o tym, co jest między nimi. Zasadniczo kierowały mną uczucia przyjacielskie – chciałam dać mu sposobność do wyjaśnień.

Samolot, którym lecieliśmy, należał do księcia Karima. Wyposażony był we wszelkiego rodzaju zabezpieczenia, nawet nadawał fałszywe kody lotu rejsowego dla radarów i międzynarodowych centrów kontroli ruchu lotniczego. Podobnie jak maszyna Simonsonów był latającym pałacem, i to takim z *Tysiąca i jednej nocy*. Uruchomiona potężna machina Simonsonów zdołała ustalić, że prywatny samolot Agi Chana jest najbezpieczniejszym statkiem powietrznym na świecie. Dlatego znajdowaliśmy się na jego pokładzie. Podróżowaliśmy w dodatku pod fałszywymi nazwiskami attachés handlowych, a więc osób cieszących się immunitetem dyplomatycznym, obywateli belgijskich. Wyglądało na to, że jesteśmy strzeżeni dwadzieścia cztery godziny na dobę na tak różne sposoby, że wołałam o żadnym nie wiedzieć, aby się nie denerwować.

Udawałam zatem, że na tablecie czytam dotyczące ebionitów materiały, które przekazali nam

izmailici, a tak naprawdę tylko czekałam na sposobność, by skoczyć Kasparowi do gardła i wyduścić z niego, jakto jest z nim i z Abby.

– A skoro mowa o ciekawych rzeczach... – zaczęłam.

– Nie, nie! – pokręcił głową. – Nie idź tą drogą!

– O czym ty mówisz? – udałam zdziwienie. Miałam w sobie aktorską żylkę. Mogłabym w tej branży zrobić karierę, gdybym skończyła odpowiednie studia.

– O Abby – odparł swoim najbardziej katońskim, pełnym rezerwy głosem.

– Nie zamierzam rozmawiać o Abby! – skłamałam z oburzeniem.

Były katon uniósł koniuszek lewej brwi. Oczywiście nie wierzył mi. Musiałam coś wymyślić, żeby wyjść z tego z twarzą. Cóż, tematów mi nie brakowało. Miałam ich na pęczki.

– Powiedz, czy postępowanie Simonsonów wydaje ci się normalne?

– Co masz na myśli?

– Jak i Becky w ciężkim stanie leżą w szpitalu. Ich najstarszy syn został zamordowany. Zniszczono im szyby naftowe, co spowodowało spadki na światowych giełdach. A nam spalono dom i musieliśmy wysłać dzieci na drugi koniec świata.

– I...?

– I... gdzie jesteśmy? – zapytałam enigmatycznie, mrużąc oczy, aby lepiej widzieć.

– W samolocie? – zaryzykował niezbyt pewnie.

– No właśnie! – zawołałam, odkładając tablet na siedzenie obok i nachylając się do Kaspara. – W samolocie! W samolocie jednego z ich najbliższych przyjaciół, w dodatku z ich ulubioną wnuczką! Dalej szukamy zaginionych ossuariów!

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – wyznał zmartwiony.

– Po tylu nieszczęściach logika nakazywałaby odpuścić, prawda? Sprawa powinna zostać zawieszona, wstrzymana, być na stendbaju. Przynajmniej póki nie będzie wiadomo, co z Jakiem i Becky.

– Abby mówi, że musimy szukać dalej dla jej dziadków, bo tak by sobie życzyli. Poza tym Turnier niczego bardziej nie pragnie jak zaniechania poszukiwań. Wygrałby, gdybyśmy zrezygnowali.

– Nie powiedziałam, że mamy zrezygnować, tylko że powinniśmy spauzować przez kilka dni... przez dzień. Widziałeś, żebym się choć na sekundę zawahała? Mówię ci, że dziś jest niedziela, że wszystko to przeminie lada moment, a my już lecimy do Tel Awiwu samolotem przywódcy asasyków.

– Faktycznie już jest poniedziałek – poprawił mnie. – Ale masz słuszość.

– Ha! – zawołałam usaty sfakcjonowana, opadając na oparcie fotela.

– Przypuszczam, że ten temat z jakiegoś powodu stał się nagle pilny – mruknął.

– Wiesz może, dlaczego Abby nie czuwa teraz przy dziadkach w szpitalu w Toronto?

– Chce dotrzeć do ossuariów przed Tournierem, Spittelerem i Hartwigiem Rauem, swoim byłym mężem.

– Oni teraz nic nie wiedzą! – rzekłam lekceważąco. – Zostali daleko za nami, choćby chcieli, nie dogonią nas. Może nawet myślą, że wygrali, że zdołali nas powstrzymać.

– O czymś zapominasz – zauważył.

Uśmiechnęłam się z niedowierzaniem i pełnym przekonaniem co do słuszności swoich racji.

– O watykańskich Tajnych Archiwach – dodał.

Powietrze uszło ze mnie jak z przedziurawionego balonika. Zrozumiałam, zanim skończył mówić. Nie bez kozery doskonale znałam Tajne Archiwa Watykanu.

– Mogą mieć – zaczął wliczać – oryginalny list Herakliusza z Owernii, łacińskiego patriarchy jerozolimskiego, do papieża Urbana III z tysiąc sto osiemdziesiątego siódmego roku z tłumaczeniem inskrypcji na dziewięciu ossuariach odkrytych w Nazarecie. Mogą mieć kopię listu, który Urban III wysłał do Jerozolimy z poleceniem zniszczenia ossuariów. Mogą mieć listy templariuszy i szpitalników informujące o nieudanej misji i o starciu z jazdą Saladyna. Mogą nawet mieć listy Marca Polo – ciągnął, przeskoczywszy dla zwięzłości jeden wiek – z tymi samymi informacjami, które my znamy: o Kordungallurze, Susji, ebionitach i tych *sufat*. Przecież trzech panowie Polo byli wysłannikami papieża. Dziwne by było, gdyby go nie powiadomili o swoich odkryciach.

– To ostatnie jest niemożliwe – sprzeciwiłam się.

– Dlaczego?

– Bo Gottfried i Hartwig nie próbowaliby wejść do krypty Marii Paleologini w Stambule, gdzie nas zaatakowali i zranili ciebie i Faradża. Gdyby mieli te informacje, po co mieliby się tam pchać i robić takie numery?

– Bo oni, pani doktor, nie tylko szukają ossuariów – burknął mi prosto w oczy. – Oni chcą je zniszczyć. Chcą definitywnie zamknąć ten rozdział historii Kościoła, usunąć wszystkie dowody i tropy, żeby już nikt nigdy nie trafił na ścieżkę, która na nowo pozwoliłaby odświeżyć tę sprawę.

– A jeśli naprawdę jedno z ossuariów zawiera szczątki Jezusa? Czy mogliby je zniszczyć? To obłąd.

Czy ja wygłosiłam te słowa, czy też był z nami ktoś jeszcze? Z moich ust wyszły te pytania? Rozum straciłam czy co?

– Ty też zaczynasz w to wierzyć, prawda? – szepnął Kaspar.

Łzy zamgłyły mi wzrok

– Kiedyś przed laty w podobnej sytuacji – rzekł z lekkim uśmiechem i głosem, który miał działać na mnie pocieszająco – wyjaśniłem ci coś na temat życia. Pamiętasz to?

Pokręciłam głową.

– Powiedziałem ci, że wszystko jest względne, wszystko przemija i wszystko się zmienia. I że zawsze, ale to zawsze mamy możliwość dokonania zmiany. My dwoje jesteśmy tego przykładem.

– Ale ja nie chcę zmieniać wiary! – wyszeptalam przez ściśnięte gardło. Czułam się zgnębiona i potwornie winna, że mam takie wątpliwości.

– Tamtego dnia, którego nie pamiętasz, powiedziałaś: „Człowiekowi się wydaje, że sam kieruje swoim życiem, tymczasem inni to za niego robią”. Nad pewnymi rzeczami nie mamy kontroli, pani doktor. Mimo że bardzo byśmy chcieli ją mieć. Jeżeli jak twierdzili ebionici, Jezus był tylko człowiekiem, chociaż człowiekiem górującym nad innymi sprawiedliwością osądu, przezornością i mądrością, a pewnie też jako żyd doskonałą interpretacją prawa Mojżeszowego, to w jaki sposób może to naruszyć naszą wiarę w Boga? Nie w Jezusa jako Boga, tylko w Boga?

– To skomplikowane, kapitanie. – Przy rzadkich okazjach, gdy rozmawialiśmy z Kasparem bez świadków, zawsze on mówił do mnie „pani doktor”, ja do niego „kapitanie”, choć teraz tytuły brzmiały pieszczotliwie. – Zawsze wierzyłam, że Jezus był Bogiem. Że jest Bogiem. Bogiem wcielonym z miłości do nas, żeby uwolnić nas od grzechu. Wierzyłam w Tróję Świętą, w Ojca, Syna i Ducha Świętego. I teraz mam uznać, że to wszystko była nieprawda? Jak...? – zawołałam z bólem w głosie. – Jak mogłabym w to uwierzyć, kapitanie? Cały mój świat by się zawalił.

– To akurat nieprawda, pani doktor – odparł kategorycznie. – Twój świat by się nie zawalił. Może ty byś się załamała, ale z twoim światem nic by się nie stało. Posłuchaj. Jezus nigdy nie był chrześcijaninem, bo kiedy On żył, chrześcijaństwa jeszcze nie było. Jezus był żydem. Był żydowskim rabinem, który na nowo zinterpretował żydowskie Prawo, prawo Mojżeszowe¹⁷. Jezus przestrzegał szabasu, obowiązkowego sobotniego odpoczynku, który żydzi do dziś respektują, Jezus był obrzezany zgodnie z nakazem żydowskiego Prawa, Jezus stosował się do nakazów koszerności jedzenia zawartych w Księdze Kapłańskiej i świętował Paschę jak cały lud żydowski przez tysiące lat. Jezus nie znał ewangelii ani listów Pawła, ani Dziejów Apostolskich, które zasadniczo są dziejami Pawła, bo prawdziwych apostołów się w nich pomija. Jezus był rabinem, studiował Tanach, hebrajskie Pismo Święte, które my nazywamy Starym Testamentem. I jako rabin na nowo zinterpretował Prawo ujęte w Tanachu: odrzucił tradycję żydowską zawartą w Słowie Bożym i skupił się na tym co istotne, ważne. Przez to doszło do jego starcia z sanhedrynem, z kapłanami Świątyni, którzy tak jak dzisiaj Kościół katolicki opierali autorytet wiary na tej tradycji i naukach w fundamentalnym przesłaniu¹⁸.

Rzecz jasna wszystko to dziwnie mi brzmiało, a przede wszystkim to, że Jezus nigdy nie był chrześcijaninem.

– Jezus z Nazaretu – ciągnął Kaspar, nic a nic się nie przejmując chorą treścią swoich słów –

był przede wszystkim dobrym żydem, który chciał być jeszcze lepszym żydem, postępując w myśl zasady: skupmy się na tym co istotne, skupmy się na tym co ważne, a dajmy sobie spokój z liturgiami i resztą takich bzdur. Takim był Jezus historyczny i jakie ma znaczenie, jeżeli był tylko człowiekiem, a nie Bogiem, jak twierdził święty Paweł, który pierwszy to głosił¹⁹? Jezus przybliżył do nas Boga, pozwolił nam rozmawiać z Nim bezpośrednio, utrzymywać z Nim osobiste relacje, co w judaizmie jego czasów było nie do pomyślenia. Co w tym złego? A nawet jeżeli nie zmartwychwstał i był synem Józefa i Marii, to co? Uspokój się, pani doktor, i spróbuj sobie uświadomić, że odnalezienie starożytnego hebrajskiego ossuarium z pierwszego wieku z doczesnymi szczątkami Jezusa z Nazaretu będzie raczej wielką radością niż nieszczęściem. Może stanie się nieszczęściem dla Kościoła katolickiego i dla innych Kościołów chrześcijańskich, ale jeśli twoja wiara w Boga jest mocna, znalezienie ossuarium Mesjasza powinno być dla ciebie źródłem wielkiej satysfakcji. Niewykluczone, że Paweł z Tarsu, który napisał historię, był zwycięzcą, ale może nie napisał prawdy.

Nie mogłam się z tym zgodzić. Dorastałam jako wierna Kościoła katolickiego, zawsze jednoznacznie mi mówiono, jaka powinna być moja wiara i w co mam wierzyć, nauczono mnie także języka, którego używałam do porozumiewania się z Bogiem, a ten Bóg bardziej przypominał mi Jezusa niż... no, niż Boga.

– Jest takie opowiadanie indyjskiego jezuita Anthony'ego de Mello – odezwał się Kaspar – pod tytułem *Kot pewnego guru*. Mowa w nim o tym, jak co dzień, kiedy guru zasiadał do odprawiania nabożeństwa, kot krążył w pobliżu i rozpraszał wiernych, także w końcu guru kazał go związywać. Długo po śmierci guru kota nadal związywano na czas nabożeństwa. W końcu kot także odszedł, a wtedy sprowadzono innego kota, aby móc go związywać. Wiek później powstało wiele prac na temat ważnej roli kota w należytym odprawianiu nabożeństwa. – Roześmiał się z tej banalnej historyjki. – Oczywiście Inkwizycja, czy jak teraz się nazywa: Kongregacja Nauk Wiary pod kierownictwem kardynała Ratzingera, czyli Benedykta XVI, uznała powiastki Anthony'ego de Mello za niezgodne z wiarą katolicką. Opowiedziałem ci heretycką historyjkę.

I znowu się roześmiał.

No owszem, ciasnota poglądów Kościoła katolickiego była wręcz przysłowiowa. Żadna nowina. Ale to nie znaczyło, że Kościół we wszystkim się myli. Jasne, że nawet jeżeli fundamenty Kościoła stały na błędnych założeniach, bardzo się to zmieniło.

– Dlaczego ebionici używali tylko Ewangelii Mateusza? – zapytałam, wspomniawszy naraz ten dziwny szczegół. – Woleli ją od innych? W drugim wieku, kiedy Ireneusz z Lyonu napisał *Adversus haereses*, było ze sto różnych ewangelii.

– W tej historii to jedyne pytanie, na które łatwo można odpowiedzieć – odrzekł. – Ewangelia Mateusza była najbliższa tradycji żydowskiej.

– Znaczy że co? Że to była żydowska ewangelia?

Nie mogłam wygłosić nic głępszego ani śmieszniejszego.

– Jak doskonale wiesz – zaczął wyjaśniać, uzbrowiwszy się w cierpliwość – z tekstów należących do Nowego Testamentu najpierw powstały listy Pawła napisane po grecku około pięćdziesiątego roku naszej ery. Później, czerpiąc już z idei Pawła i z tradycji ustnej, spisano między innymi cztery ewangelie kanoniczne: najpierw Marka w okolicach roku siedemdziesiątego, następnie Mateusza w latach osiemdziesiątych, Łukasza w latach dziewięćdziesiątych i na końcu Jana między rokiem dziewięćdziesiątym a setnym. Wszystkie były po grecku, potem przełożono je na łacinę. I to jest dzisiejsza wersja oficjalna.

– Dobrze znam te fakty – oznajmiłam znużona.

– Tak, ale jak widzę – kontynuował – nie wiesz, że według różnych świadectw z pierwszego wieku²⁰ tylko Mateusz zredagował swoją ewangelię po hebrajsku. Euzebiusz z Cezarei twierdzi nawet, że Mateusz napisał ewangelię w ojczyściej mowie, czyli po aramejsku, w języku Jezusa i pierwszych apostołów. I tekst hebrajski czy aramejski musiał się bardzo różnić od tego, który znamy dzisiaj, zwłaszcza że nawet święty Ireneusz z Lyonu, pisząc o ebionitach, napomyka o bardzo dużej różnicy między tym tekstem a pozostałymi ewangeliami.

Zaraz, zaraz! pomyślałam. Od kiedy to Kaspar wie takie rzeczy, mimo że był katonem sekty, która przetrwała tyle wieków?

– Słąd o tym wiesz? – spytałam bardzo nieufnie.

Jego granitowa twarz wyrażała teraz coś w rodzaju niewinności.

– A słąd – wyjaśnił – że w odróżnieniu od ciebie przeczytałam całe dossier, które nam dostarczyli izmailici. To, o czym teraz mówiłem, masz na tablecie.

Nie mogłam znieść, kiedy mi robił coś takiego. Zabiłabym go za to.

– No to dokończ – powiedziałam, odchylając głowę na oparcie fotela i wznosząc oczy ku sufitowi kabiny. Już ja mu pokażę, kiedy przyjdzie moja kolej.

– Dobra, muszę tylko dodać drobny szczegół na temat dziewictwa Marii. Nadzwyczaj ciekawy.

Poprawiłam się w fotelu.

– A co ebionici i Mateusz mają z tym wspólnego? – zaprotestowałam.

– Właśnie o tym będę mówił – odrzekł spokojnie. – Wiesz, co to jest Septuaginta?

Nie udusiłam go własnymi rękami, bo nie objęłabym dłońmi tego kłoca, który pełnił rolę jego szyi, ale ochotę na to miałam wielką. Mnie, światowej klasy specjalistkę od greki, pyta, czy wiem, co to jest Septuaginta!

– Chodzi ci może – wycedziłam – o przekład Starego Testamentu, hebrajskiej Biblii czy Tanachu, nazywaj to, jak chcesz, z hebrajskiego i aramejskiego na grecki, wykonany w drugim

i trzecim wieku przed Chrystusem w Aleksandrii? Tę Septuagintę masz na myśli?

– Tę, a jakże – przyznał. – Greka była wtedy językiem wspólnym dla całego świata jak dzisiaj angielski.

– Poważnie...? No popatrz, nie wiedziałam.

– A widzisz – miał czelność powiedzieć. – Otóż Septuaginta jest przekładem wykorzystywanym we wszystkich tekstach Nowego Testamentu. Co oznacza, że jeśli święty Paweł albo ewangelista piszący po grecku odwołują się do starych ksiąg, cytat jest brany właśnie z Septuaginty. Nie z oryginalnych tekstów żydowskich, w których były duże różnice, tylko z przekładu zawierającego sporo poważnych błędów i dwuznaczności, a mimo to korzystali z niego autorzy Nowego Testamentu z wyjątkiem...

– Mateusza – dokończyłam.

– Właśnie, z wyjątkiem ewangelisty Mateusza. U niego cytaty ze Starego Testamentu pochodzą z oryginalnych tekstów hebrajskich albo aramejskich, a nie z greckiego tłumaczenia. Dla ebionitów to była jedna z zalet. Tak że kiedy w ewangeliami kanonicznych czytamy, że Jezus został poczęty z Ducha Świętego zgodnie z przepowiednią Izajasza: „Oto Dziewica pocznie i porodzi Syna”²¹, znaczy, że napisał to ktoś z uczniów Pawła, bo prorok Izajasz w oryginalnym tekście hebrajskim mówi: „Oto panna pocznie i porodzi syna”. Panna, rozumiesz, nie dziewica. A gdzie mamy ten błąd w tłumaczeniu?

– W Septuagincie.

– Właśnie. U Izajasza hebrajskie słowo *alma*, młoda kobieta, panna, marni tłumacze na grekę Septuaginty, na której opiera się Nowy Testament, zrozumieli jako *betula*, dziewica, i przełożyli je jako *parthenos*. Potem pisarze z linii Pawłowej, oczywiście nieznający hebrajskiego ani aramejskiego, siłowali dopasować do Jezusa wszystkie proroctwa Starego Testamentu na temat Mesjasza. I doczytali się w Septuagincie, że według Izajasza matka Jezusa ma być dziewicą. I stąd całe nieporozumienie.

Tyle dobrego, że chociaż dość długo byłam zakonnicą, kult maryjny jakoś nieszczególnie do mnie przemawiał, bo Kaspar pospołu z ebionitami sprowadził mnie na ziemię, jeśli chodzi o dziewictwo Marii. I równocześnie pasowało to do idei, że Jezus mógł mieć rodzeństwo. Cóż, punkt więcej na rzecz tych przekłetych ossuariów.

– Niewątpliwie – podjęłam, masochistycznie wracając do sprawy – ta wersja Ewangelii Mateusza, którą posługiwali się ebionici, nie mogła być greckim przekładem, który znamy dzisiaj i uważamy za oryginalny.

– To jasne. Ebionici mieli starszą, zgodniejszą z rzeczywistością, napisaną po hebrajsku albo aramejsku, bez dopisków i poprawek. A więc wierniejszą, dlatego uznawali Pawła za zdrajcę. Pewnie uważali, że jest winien zniekształcenia oryginalnego przesłania Jezusa albo że wymyślił

coś zupełnie nowego, odmiennego od tego, co głosił Jezus.

A Maria – o ile jako kobieta miała jakieś znaczenie w tamtych czasach – była tylko Marią z Nazaretu, matką Jezusa, nie Matką Boga. Jakże niezwykle mi się to wszystko wydawało, jakże dziwne! Czy mogłam coś takiego zaakceptować, skoro przez całe życie wierzyłam, że te osoby miały w sobie boskość? Jak krople długo spadające w jedno miejsce drążą skałę, tak w mojej wierze powstał ubytek. Nie mogłam tak po prostu tego zignorować i jakby nigdy nic odwrócić kartę. Miałam dużą ranę, która musiała się zablźnić.

– A jeszcze nie wiesz o czymś najbardziej szokującym – odezwał się Kaspar, poprawiając nogawki idealnie wyprasowanych spodni.

– Nie, błagam! – poprosiłam całkiem serio. – Nie dręcz mnie dłużej!

– Wiem, że to trudne, ale musisz tego wysłuchać. Potem zdecydujesz.

Tak głęboko i przeciągle westchnęłam, aż mnie oszołomiło.

– Jako chrześcijanka i katoliczka – oznajmił pewnym głosem – zawsze wierzyłam, że herezje pojawiły się później, były zwyrodnieniem albo niewłaściwą interpretacją prawdziwego przesłania Jezusa²², prawda?

– Owszem – przyznałam bezbrinnie.

– Jeżeli jednak przeanalizujesz to, cośmy dotąd odkryli, uświadomisz sobie pewien ważny szczegół. Jak wiadomo, na Soborze Jerozolimskim w roku pięćdziesiątym Paweł spierał się z apostołami, którym przewodził Jakub, brat Pański. Paweł twierdził, że aby zostać chrześcijaninem, nie trzeba przedtem przechodzić na judaizm i w związku z tym nie trzeba się poddawać obrzezaniu, co stanowiło główny problem z poganami.

– Zgadza się – szepnęłam.

– Ale jeśli z tego równania usuniesz Pawła, zostaną apostołowie pod przewodnictwem Jakuba, brata Pańskiego, utrzymujący, że kto chce być chrześcijaninem, musi być wcześniej żydem albo nawrócić się na judaizm i obrzezać się lub ochrzcić w wypadku kobiet. To wszystko stoi w Dziejach Apostolskich w rozdziale piętnastym. Możesz sprawdzić.

Zły obrót to przybierało.

– Apostołowie i Jakub, brat Pański, przebywali z Jezusem, rozmawiali i żyli z nim, słuchali jego nauk. Paweł osobiście nie znał Jezusa i przez całe życie bronił swojego statusu apostoła, który nabył przez cudowne nawrócenie na drodze do Damaszku. Sama wyciągnij wnioski.

Nie chciałam wyciągać wniosków. A to dlatego, że postawa apostołów przypominała bardzo, ale to bardzo postawę ebionitów.

– Niedługo po Soborze Jerozolimskim, na którym z trudem udało się stronom sporu dojść do porozumienia, Paweł postanawia odrzucić wszystko i uniezależnić się. W roku pięćdziesiątym czwartym w Liście do Galatów oświadcza, że tamte ustalenia są zbędne. Całkowicie odrzuca

stanowisko apostołów i Jakuba, brata Pańskiego, ale ponieważ nie może ich krytykować otwarcie, skoro są, kim są, nazywa ich inaczej: czasem judaizantami, kiedy indziej ubogimi²³.

– Ubogimi...? – podchwycałam.

– Właśnie, ubogimi z Jerozolimy, którzy należeli do gminy jerozolimskiej. Przestrzegali żydowskich nakazów i twardo się trzymali nauk Jezusa. Tyle że kiedy Paweł nazywa ich ubogimi, pisze to słowo po grecku. Gdyby napisał je po hebrajsku, nazywałby ich *ebjonim*, ebionitami...

– Poczekaj moment – przerwałam mu.

Chciałam jedynie, by zamilkł na chwilę, by nic nie mówił. Ale nie posłuchał mnie.

– Jakub, brat Pański, to niewątpliwie Jaakow ben Jehosef ach d’Jezua ha-Maszjach z ossuariów. Umarł w roku sześćdziesiątym drugim według żydowskiego historyka Józefa Flawiusza. Na czele Kościoła jerozolimskiego zastąpił go inny krewniak Jezusa, Szymon, o którym trzy wieki później Euzebiusz z Cezarei powie, że był kuzynem Zbawcy²⁴, tyle że równie dobrze może chodzić o Szimeona ben Jehosef ach d’Jezua ha-Maszjach z ossuariów, zwłaszcza że kuzynami nazywa się rodzeństwo Jezusa w greckiej wersji pism Pawła, mimo że Jezus nie mógł mieć rodzeństwa, bo był Bogiem i synem dziewicy. Niemniej jeśli spojrzysz na oficjalny wykaz papieży Kościoła katolickiego, nie znajdziesz w nim ani Jakuba, ani Szymona: po Piotrze pierwsi papieże są wszyscy uczniami Pawła. Wymazywali, zmieniali i pisali na nowo historię.

Strasznie rozboleła mnie głowa. Nie chciałam już niczego słuchać ani niczego się dowiadywać. Szukałam ossuariów, ponieważ czułam się zobowiązana, nie byłam jednak gotowa stracić przy tym ani życia, ani wiary, która nadawała kształt mojemu życiu.

– Dobra, a teraz gadaj – powiedziałam rozdrażniona, otwarcie pokazując, żeby w tej chwili lepiej ze mną nie zadzierał – co jest do diabła między Abby a tobą? Jesteście razem czy jak?

I tu w paradę wszedł mi głos kapitana samolotu. A tyle mnie to kosztowało! Musiałam wysłuchać praktycznie całej historii pierwszych wieków chrześcijaństwa. A teraz ten jełop oznajmiał, że nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy wylądowali na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie i że pogoda jest znakomita.

– Odpowiedz! – zażądałam, opierając dłonie na podłokietnikach, żeby groźnie nachylić się do Głaza.

Były katon się uśmiechnął (czy skrzywił się w grymasie podobnym do uśmiechu) i starannie poprawił kołnierz marynarki.

– Cóż – rzekł w końcu, zanim nerwy kompletnie mi puściły – Abby podjęła się zainwestować moje pieniądze, te, które miałem, zanim zostałem katonem. No wiesz, spadek po rodzicach w Szwajcarii, środki na koncie, mieszkanie w Rzymie...

Gdyby w tej chwili ktoś mnie ukłuł, nie wypłynęłaby ze mnie ani kropla krwi.

– Abby inwestuje twoje pieniądze? – zawołałam z oczami jak spodki, już słysząc ruch

w łabinach tych, którzy mieli szczęście się przespać.

– Czy mogłem nie pozwolić – odparł bardzo spokojnie – żeby moim majątkiem zarządzała prezeska Simonson Finance Group, do której wchodzi ponad trzydzieści banków inwestycyjnych na całym świecie? Byłbym ostatnim głupcem, nie sądzisz?

ROZDZIAŁ 23

W gorszej chwili nie mogliśmy wylądować w Izraelu. Chociaż właściwie tak, mogliśmy, bo wiadomo, jak tam się rzeczy mają, a tym razem nie było aż tak źle: zjedliśmy w Hiltonie, gdzie stanęliśmy, bo Simonsonowie nie mieli w Tel Awiwie własnego hotelu, i zaraz potem zwłoki trzech żydowskich chłopców, których porwano osiemnaście dni wcześniej na Zachodnim Brzegu Jordanu, znaleziono ukryte pod stosem kamieni na północny wschód od miasta Hebron. Władze izraelskie oświadczyły, że porwanie i morderstwo są dziełem terrorystycznej organizacji Hamas, Islamskiego Ruchu Oporu. Izrael po raz kolejny wkroczył na wojenną ścieżkę, dlatego podróżowanie, a nawet wyjście na ulicę było praktycznie niemożliwe, i to mimo że byliśmy nie w Jerozolimie, lecz w Tel Awiwie, o wiele spokojniejszym i bezpieczniejszym. Musieliśmy zatem siedzieć w hotelu, a pracę w terenie przełożyć na dzień następny, chociaż rzecz jasna nie mieliśmy pojęcia, czy i wtedy będzie to możliwe.

W Hiltonie zatrzymał się także – i także pod fałszywym nazwiskiem – archeolog z Fundacji Agi Chana dla Kultury, który miał uczestniczyć w poszukiwaniach ossuariów. Tyle że nie był to archeolog, lecz archeolożka, Sabira Tamir, kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat, szczupła, niezbyt wysoka, o kasztanowozłoty rozpuszczonych włosach, smagłej cerze i dość ładna w przeciwieństwie do biednej Abby. Miała w lewym skrzydełku nosa maleńki brylancik, brwi idealnie wyregulowane w długi, delikatny łuk, czarne oczy i lekko podmalowane usta podkreślające biel równiutkich zębów. Ponadto Sabira pochodziła z Turcji, ale była Kurdyjką, urodziła się w Diyarbakirze, stolicy wschodniej części Anatolii. I naturalnie była asasyńką, znaczy... no dobra, była nizarytką. Nie wiem, dlaczego taką ciekawość budzili we mnie izmailici, skoro wiedziałam, że nie mają nic wspólnego ze swoimi średniowiecznymi przodkami. Sabira była urocza, a kiedy w dużym salonie apartamentu Abby zaczęliśmy rozmawiać o sprawie ossuariów, okazało się również, że głowę ma nie od parady. Kaspar, Faradž i ochroniarze, którzy trzymali się nas jak rzep psiego ogona, ani na sekundę nie odrywali od niej wzroku, co mnie strasznie irytowało, a dla Abby było upokarzające. Nic dziwnego, że Faradž co rusz w stosownym momencie obrywał szturchaniec w żebra. Oczywiście nie z zazdrości. Po prostu mu się to należało.

Tego wieczoru do Hiltona wprowadził się także, do pokoju zarezerwowanego przez Fundację Simonsonów, niejaki Gilad Abravanel, archeolog i wykładowca akademicki, zastępca dyrektora Instytutu Archeologii Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, uczeń, a obecnie współpracownik słynnych archeologów Izraela Finkelsteina i Neila Ashera Silbermana²⁵. Zaangażowała go Fundacja, ponieważ w trakcie poszukiwań dobrego specjalisty w dziedzinie

archeologii biblijnej ustalono, że Gilad opublikował wiele prac o starożytnych osadach żydowskich w Izraelu i Palestynie, między innymi bardzo mądrą na temat osad w Susji na przestrzeni ostatnich trzech tysięcy lat. A myśmy właśnie szukali Susji.

Gilad był wysoki, dobrze zbudowany i musiał przyjechać prosto z jakichś wykopalisk, bo jasną skórę miał spaloną na twarzy i rękach. I kiedy mówię „spaloną”, nie mam na myśli „opaloną”, tylko dosłownie spaloną, do czerwoności. Najwyraźniej nie miał w organizmie dość melaniny, by ściemnieć, co wskazywało na jego pochodzenie europejskie, mimo że miał typowo semicki nos, gęste, krótkie, kędzierzawe włosy wpadające w rudość i bardzo ciemne oczy. Okazał się też całkiem sympatyczny, rozluźniliśmy się zatem, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że ekipa, chociaż złożona z nieznanymi, może się całkiem dobrze spisywać.

– Teraz najważniejsze – powiedziała Abby tamtego wieczoru do wtóru okrzyków ulicznych manifestacji z powodu śmierci trzech chłopców z Zachodniego Brzegu – to podzielenie się informacjami, które ma każdy z nas, i ustalenie planu prac.

Abby naturalnie i elegancko objęła dowodzenie grupą. Od zamachu na jej dziadków dokonała się w niej znacząca przemiana: poczciwa, romantyczna, łagodna Abby, którą poznaliśmy w rezydencji Simonsonów, przeobraziła się w energiczną, zdecydowaną przywódczynię. W zasadzie zawsze musiała taka być, skoro jak powiedział Kaspar, pracowała jako prezes Simonson Finance Group, czyli kierowała dużą grupą banków rozrzuconych po całym świecie, a nie widziałam w tej roli wrażliwej, delikatnej Abby, za to obecną owszem. Nie do końca było dla mnie za to jasne, czy między nią a Kasparem w końcu coś jest, bo szczwany były katon wyśliznął mi się z rąk jak zaskroniec w chwili, gdy lądowaliśmy na lotnisku.

– Najpierw jednak jak sądzę – zauważył Gilad ubrany w wytarte džinsy i szarą bawełnianą koszulkę, pod którą wyraźnie rysowały się wszystkie mięśnie torsu – powinniście wyjaśnić Sabirze i mnie charakter tej pracy.

– Sabira już wie, o co chodzi – odparła Abby. – Tylko ty jeszcze nie wiesz. W każdym razie zanim przejdziemy do rzeczy, powinienam wszystkich poinformować, że podpisałeś umowę z klauzulą poufności, więc mogą swobodnie mówić przy tobie.

Gilad się uśmiechnął i popatrzył na Sabirę zawiedziony, że nie należą oboje do kategorii neofitów. Wyraźnie mu się podobała, choć nie wiedział, że jest asynką, Sabira jednak wydawała się bardziej skupiona na swoich notatkach.

– Praca z odkrywcami mauzeoleum Konstantina – mówił przy pochlebnie izraelski archeolog – to zaszczyt, którego nie wolno przegapić. Podobnie jak pracy dla Fundacji Simonsonów.

Mauzoleum i Fundacja to jedno, ale kiedy się dowiedział, o co dokładnie chodzi, kiedy usłyszał o ossuariach, oczy mu zabłyśły jak onyksy i podniecenie wylało z niego wszystkimi porami. Oczywiście nie wyjawiliśmy wszystkiego. Zachowaliśmy dla siebie pewne szczegóły, jak

choćby rolę Marca Polo (którego ja już uważałam za swojego), sekty asasynów i ciąg dalszy historii. Abby także mu nie zdradziła, że Sabira jest izmailitką i że szczałki Hasana i-Sabbaha znajdują się razem ze szczałkami Jezusa. Poinformowała go tylko o odkryciu w Kerali, w wykopaliskach prowadzonych przez Fundację, starej księgi z jeszcze starszą legendą mówiącą o ossuariach, które jakoby ukryła w Susji jakaś dziwna żydowska sekta. W tym miejscu Giladowi twarz spochmurniała.

– W Susji ich nie ma – oświadczył oględnie. – Gwarantuję.

Nikt się nie odezwał. Byliśmy zaskoczeni, przede wszystkim jednak zmartwieni.

– Skąd ta pewność? – spytał ponuro były katon.

Gilad wzdrygnął się lekko.

– Znam Susję jak własną kieszeń – odparł. – Mieszkiałem tam, kiedy prowadziliśmy prace wykopaliskowe w starożytnej synagodze. Znam tam każdą piędź ziemi, starożytne termy, jaskinie... Nic takiego nie widziałem, a ponieważ teraz nie można pojechać do Susji...

– Co takiego? – zwołałam.

– No tak, w tej chwili nie możemy pojechać do Susji. Nie wiecie, że leży na południe od Hebronu, w samym sercu Zachodniego Brzegu?

Wszyscy spojrzeliśmy na Abby, czekając, co powie. Ona jednak tak jak Kaspar, potrafiła teraz nie pokazywać niczego po sobie.

– Tym się nie martwcie – odezwała się ostatecznie, patrząc na mnie. – Już załatwione. Jedziemy jutro z rana.

– Abby, na litość boską!... – jęknęłam, pilnując się, by nie krzyknąć przy obcych. – Chcesz nas wpałować w samo serce wojny, na najbardziej niebezpieczny teren objęty konfliktem między Żydami i Palestyńczykami. Poczekajmy parę dni. Tak będzie dużo przezorniej.

Uśmiechnęła się, zrozumiałwszy, że panują nad sobą, aby nie wywołać skandalu.

– Wojna nie toczy się na Zachodnim Brzegu, chociaż dochodzi tam do uprowadzeń i zabójstw – wyjaśniła. – Wojna toczy się w Strefie Gazy, na terenach kontrolowanych przez Hamas. To dwie różne okolice. Na Zachodnim Brzegu rządzi Autonomia Palestyńska, która nie jest grupą terrorystyczną jak Hamas. Jak mnie poinformował Mosze Jaalon, izraelski minister obrony, Izrael planuje zaatakować Gazę, nie Zachodni Brzeg, poza tym w ostatnich tygodniach, przed odnalezieniem zwłok tych chłopców, wojsko izraelskie przy wsparciu jednostek specjalnych i antyterrorystycznych oczyściło Zachodni Brzeg z bojowników Hamasu. Minister osobiście gwarantuje nam pełną ochronę.

Simonsonowie są wszechwładni na całym świecie, pomyślałam zdziwiona. Czym innym było oglądanie ich w mniej czy bardziej frywolnych pismach i pisemkach albo na międzynarodowych konferencjach ekonomicznych, a zupełnie czym innym doświadczenie na

własnej skórze, jak daleko sięgają ich wpływy – nie znały granic.

Nocą w łóżku, leżąc obok wygodnie wyciągniętego na wznak Faradża, który gapił się w sufit z jedną ręką podłożoną pod głowę, wyrzuciłam wreszcie z siebie dręczący mnie strach:

– Umrzemy.

– Nie umrzemy, basileja – uspokoił mnie.

– Jeśli umrzemy, jak Isabella wydostanie się z Paradejsosu? Nie może skończyć jako stawrofilak!

– Bredzisz – odparł, przyciągając mnie bliżej siebie. – Przestań wygadywać głupstwa.

– Ale Faradz, jedna z tych rakiet, którymi ostrzeliwują się Żydzi i Palestyńczycy, może spaść na nas przy padkiem. Nie widziałeś takich rzeczy w telewizji? To straszne.

– Cóż, skoro mamy jutro umrzeć – szepnął mi do ucha, jakby nie mógł normalnie powiedzieć – powinniśmy wykorzystać ostatnią noc życia. Jak ci się to widzi?

– Bardzo mi się widzi – przyznałam, unosząc głowę, takby moje wargi znalazły się blisko jego ust. – Wręcz znakomicie. Nie mam lepszego pomysłu na pożegnanie się z życiem.

Inna rzecz, że w ostatnim czasie, odłąd zaczęła się cała ta historia, praktycznie nie mieliśmy kiedy się kochać. Także... jakby to powiedzieć, żeby nikomu nie zrobiło się przykro ani żeby nie robiono smętnych porównań?... No dobra, było niesamowicie, niewiarygodnie i cudownie. W związku małżeńskim, gdy długi staż odziera obie strony z uroku nowości i niespodzianki, wzajemna znajomość siebie i miłość działają cuda... czasami. I właśnie wtedy był ten przypadek. Nie mogłam bardziej kochać Faradża ani mocniej go pragnąć, ani bardziej korzystać z tego ciała, które w całości należało do mnie od tak dawna. Toteż chętnie żegnałam się z życiem, nadzwyczaj chętnie. Nie umarliśmy jednak nazajutrz ani w następnych dniach, choć nieraz niewiele brakowało przez tych przekłetych ebionitów. Ale muszę przyznać, że pożegnanie warte było zachodu.

O piątej rano 1 lipca wystartowaliśmy z lotniska w Tel Awiwie w wielkim śmigłowcu pokrytym wojskowym kamuflażem, tak że wyglądał jak siedem czy osiem innych, które poderwały się wraz z nami, po czym otoczyły nas i skierowaliśmy się do ebionickiej wioski Susja. Gdy lecieliśmy pod błękitnym niebem usianym postrzępionymi bielutkimi chmurkami, wspominałam, co Gilad nam opowiadał poprzedniego popołudnia z niejaką przykrością i zgorszeniem: owszem, przyznał, w dużej synagodze w Susji, jednej z najstarszych na świecie, bo z IV wieku, znajduje się mozaika na posadzce z aramejskim tekstem zawierającym słowa „Jezua męczennik”, ale to zwykły przypadek oznaczający ni mniej, ni więcej, że synagoga stała się świątynią chrześcijańską, zaświadczała natomiast bezdyskusyjnie o żydowskiej (i tylko żydowskiej) obecności na tych ziemiach od III wieku. Bo przecież w sumie była to synagoga, prawda? Jezua wymieniony na mozaice w żaden sposób nie mógł być Jezusem z Nazaretu,

a najwięksi żydowscy archeologowie, którzy badali mozaikę od roku 1937, kiedy została odkryta synagoga, nie widzieli w niej nic chrześcijańskiego.

Aramejski tekst mówiący o Jezusie w synagodze w Susji?... Przez kilka chwil milczeliśmy oszołomieni. Mieliśmy trop! Chciwie spytaliśmy Gilada, o czym mówi inskrypcja. Ale nie pamiętał dokładnie, dla niego był to blahy szczegół; coś w stylu, że ten Jezua był męczennikiem albo kimś, kto dawał świadectwo swoim życiem. No dobra, wszystko zobaczymy następnego dnia, uspokoił się zatem. Z przetłumaczeniem inskrypcji nie będzie problemu.

I oto zmierzaliśmy śmigłowcem do starożytnej Susji, lecąc nad terytoriami, na których permanentnie rozgrywał się konflikt izraelsko-palestyński. Wołałam nie myśleć o ofiarach ani o śmierci, ani o wojnach kosztujących ludzkie życie, skoro moje istnienie zależało od maszyny, którą mógł zmieść pocisk przeciwlotniczy w czasie krótszym niż potrzebny na wypowiedzenie „amen”. Ziemia Święta. Ilekroć tu przyjeżdżałam, nieodmiennie ogarniało mnie zdumienie, że miejsce otaczane taką czcią przez wyznawców trzech wielkich religii od lat sphywa krwią, że tyle tu nienawiści i gniewu. Im dłużej nad tym myślałam, tym mniej to pojmowałam. Gdzie religia łączy się z polityką, tam zawsze jest śmierć i cierpienie, tak jak tu, w Izraelu czy w Tybecie na przykład. Lepiej jedno od drugiego trzymać z dala.

Podczas lotu nie dało się rozmawiać z powodu hałasu wirników śmigłowca i tylko Kaspar, który siedział obok pilota, prowadził z nim miłą konwersację przez mikrofon przy hełmie. W pewnej chwili odwrócił się do nas i pokazując w dół, zwrócił naszą uwagę na niedużą tablicę, na której widniał napis: „Hebron. Grota Patriarchów”. Lecieliśmy nad sercem starożytnego królestwa Judy, lecz przez okna widzieliśmy jedynie zwyczajne miasto. Chociaż nie, nie było zwyczajne, bo jak trafnie opisał je Kaspar, znajdowały się w nim historycznie i archeologicznie potwierdzone groby Abrahama i Sary, Izaaka i Rebeki oraz Jakuba i Lei. Czyli trzech patriarchów Izraela i ich żon. W Starym Testamencie [26](#) ze szczegółami jest opowiedziane, jak Abraham od Chetyty imieniem Efron kupił w Hebronie pole z pieczarą, którą chciał wykorzystać jako rodzinny grobowiec. Miejsce to zlokalizowano bardzo dokładnie, bo też wskazówki w Biblii są precyzyjne, niewątpliwie zatem jest tam grób Abrahama, Izaaka i Jakuba, acz chrześcijanie, w odróżnieniu od żydów i muzułmanów, rzadko je odwiedzają.

Stamtąd właśnie, z Hebronu i okolic, pochodzili trzej zamordowani przez Hamas chłopcy, których miano pochować tego dnia, we wtorek 1 lipca. Najsmutniejsze jednak ze wszystkiego było to, że nazajutrz w odwecie został zabity inny chłopiec, Palestyńczyk. Oko za oko, ząb za ząb. Co za absurd! To nie jest sposób. Nigdy nie był, bo tylko nakręca spiralę nienawiści. Ktoś musi pierwszy złożyć broń, żeby ludzie przestali cierpieć i żeby gniew wygasł. Argumentując, że po życiu na ziemi jest inne życie, wieczne, nigdy nie szanuje się życia doczesnego i nie chroni się go, jak na to zasługuje. Na Boga, życie jest święte!

Nareszcie jednostka ogromnych śmigłowców, wśród których myśmy się kamuflowali, z donośnym warkotem zaczęła opadać, podnosząc tumany kurzu, aż usiadła na otwartej przestrzeni w chronionej strefie wykopalisk. Jej centrum stanowiła osławiona synagoga. Niedaleko leżała współczesna Susja, niedawno powstała wioska, która sądząc po widoku z powietrza – zabudowa złożona z identycznych domków wzniesionych po obu stronach krętej drogi – musiała być osadą żydowską.

Poczuliśmy wstrząs, gdy nasz śmigłowiec dotknął ziemi, i słuchaliśmy cichnącego warkotu silników, ponieważ jednak przez okna nic nie było widać, siedzieliśmy w piątce – Faradz, Abby, Sabira, Gilad i ja – bez ruchu z głupimi minami. Wirnik jeszcze się obracał, kiedy ktoś niezbyt mądry otworzył naraz drzwi. Obsypał nas tuman kurzu i drobnych kamyków, do kabiny wpadło też piekielnie rozgrzane powietrze.

– Kaspar! – zawylałam, dostrzegłszy winowajcę w chmurze pyłu.

– Och, przestań, przepraszam! – odrzyknął, wyciągając rękę do Abby, aby pomóc jej wyjść pierwszej.

Czyli panie w średnim wieku już nie mają prawa do niejakiego szacunku. No chyba że Abby faktycznie znakomicie zarządza kapitałem Kaspara, pomyślałam zgroźliwie.

Kurz w końcu opadł i mogłam się rozejrzeć dokoła niepozabawiona wzroku przez pocisk. Cóż, niewiele było do oglądania, to miejsce bowiem kropka w kropkę przypominało planetę Tutooine, pustynny świat z *Gwiezdných wojen*. Czyli palące słońce grzało ziemię pełną rozpalonych zabytków archeologicznych, wszystko było tej samej barwy, jasnobżowej barwy wydm, która od samego patrzenia wysusza ci śluzówki. Oto Susja – zobaczywszy ją, pragnęłam już tylko wsiąść do śmigłowca, wrócić do Hiltona w Tel Awiwie i wypić choćby wodę z kwiatków.

– Jak przez tyle wieków mogło tu żyć miasto? – spytałam, czując w ustach ciastowaty pył, którego się nałykałam, i osłaniając oczy dłonią. – Takiego skwaru nikt nie wytrzyma!

Otoczała nas grobowa cisza zakłócana jedynie cykaniem świerszczy i naszymi głosami. Z innych śmigłowców nikt nie wysiadł, a pilot naszego czekał na swoim miejscu, obserwując nas przez ciemne okulary zza szyby kabiny. To wszystko wojskowi, bez dwóch zdań, pomyślałam. Taka dyscyplina nie pozostawiała cienia wątpliwości. Prawdopodobnie byli uzbrojeni po zęby.

Czyjaś postać przesłoniła mi naraz rażące słońce i poczułam, że ktoś mi nakłada okulary przeciwsłoneczne.

– Zwariowałaś? – rzekł mój mąż, który bez okularów korekcyjnych widział tymi swoimi pięknymi i jasnymi oczami tyle co kret.

Bądźmy szczerzy. Faradz kochał sytuację, gdy mógł zademonstrować, jak straszne i ciężkie miałabym życie bez niego u boku. A że była to prawda, w ogóle nie zwracałam sobie głowy wieloma rzeczami.

Poprawiłam na nosie swoje śliczne, eleganckie okulary i w tej chwili Gilad, który już szedł w stronę dziwnego nagromadzenia kamiennych płyt nakrytego ogromnym czarnym namiotem na oddalonym nieco wzniesieniu, zawołał:

– Szacuje się, że populacja Susji liczyła średnio około trzech tysięcy ludzi. Mieszkali w kamiennych domach, pod którymi były bardzo chłodne podziemne groty. Używali ich jako spiżarni, sypialni albo miejsc do rytualnych kąpiei.

Przed oczami niczym coś upragnionego pojawił mi się obraz basenu z błękitną zimną wodą. Ale tutaj były jedynie skały i niezmordowane świerszcze pod prażącym słońcem.

My także podążyliśmy w kierunku kamiennych płyt, powoli już rozróżniliśmy ich poszczególne części. Była to oczywiście osławiona synagoga w Susji. Najbardziej rzucał się w oczy współczesny czarny namiot, który osłaniał ją przed słońcem. Należało się czym prędzej schronić pod nim, inaczej słońce porządnie nas strzaska. Przyspieszyłam krok. Ściana z kamiennych płyt już się przed nami otwierała, a za nią, po lewej, widniał potężny okrągły kamień wyższy od człowieka, postawiony jak kóło i z dziwnym otworem pośrodku.

– Co to za kamień? – spytał mój mąż.

– Drzwi – odparł Gilad, nie zatrzymując się. – Mur jest podwójny, a kamień obracał się wokół własnej osi i w razie zagrożenia zamykał wejście. Takie zabezpieczenie stosowano zarówno w synagogach, jak i w grobowcach i magazynach. W ten otwór wtykano belkę, żeby obrócić kamień. Jak widać, stuprocentowo pewny sposób chronienia tego co ważne.

– Według ewangelii – wtrąciła Abby – grób Jezusa miał zamknięcie tego typu.

Na podstawie położenia słońca ustaliłam strony świata i uzmysłowiłam sobie, że synagoga zorientowana jest na wschód, tak jak kościoły chrześcijańskie, które przejęły ten zwyczaj z judaizmu. Przekroczyliśmy wejście w murze po współczesnych drewnianych stopniach (Kaspar, biedak, kuśtykał po nich z niejakim trudem), przeszliśmy pod znakomicie zachowanym lukiem – poza nim były jeszcze dwa wsparte na kolumnach, również w dobrym stanie – i kiedy cień namiotu już-już miałam w zasięgu ręki i przypalonej głowy, Gilad wbiegł po pięciu dużych kamiennych schodach i skręcił w prawo na niedysiejszy wewnętrzny dziedziniec synagogi, i tam opadł na kolana przed mozaiką na ziemi przedstawiającą szlaczek z czerwonych liści i czarnych pokręconych pędów.

– Tutaj – powiedział, wskazując palcem. – Tutaj jest wymieniony ten Jezus.

Przezwyciężając niejakie opory, podeszliśmy w piątkę do Gilada i mozaiki i nachyliliśmy się nad nią, przykucnąwszy lub na kolanach jak izraelski archeolog. Nad szlaczkiem z czerwonych liści w kształcie serca, na wydzielonym wąskim pasku, widniały ciasno wypisane litery wyglądające na hebrajskie. Ale to było po aramejsku, w języku, którym posługiwał się Jezus. Za chwilę po raz pierwszy w życiu miałam posłuchać, jak brzmi aramejski.

– *Dechiran lataw* – zaczął czytać Gilad na głos – *menechama Jeszua sahada, u-menechama Szim*... Można przyjąć, że ostatnie słowo, ucięte, to Szimon.

– Co mówi ten tekst?

Niecierpliwość w głosie Abby sprawiła, że obejrzałam się na nią. Nigdy nie widziałam jej tak podenerwowanej. Sabira tymczasem notowała w zeszycie, jakby umiała pisać po aramejsku albo jakby rozumiała, co powiedział Gilad.

– „Zapamiętany za dobro jest pocieszyciel Jezua, który umarł jako męczennik i pocieszyciel Szymon” – przetłumaczył Gilad. – Nie ma tu mowy, jak widać, o Jezusie z Nazaretu, tylko o dwóch pocieszycielach imieniem Jezua i Szymon, o dwóch żydach z Susji, może ważnych rabinach.

– To czyste spekulacje – przerwała mu Sabira, podnosząc się, by sfotografować mozaikę. – Ucięte słowo może być początkiem jakiego bądź słowa aramejskiego. Nie ma dużych liter ani niczego, co by wskazywało, że chodzi o imię własne. Dalszy tekst mógł także mówić o Jezui.

Gilad, absolutnie olśniony atrakcyjną Sabirą, przez parę sekund walczył ze sobą, miotając się między obowiązkowym żydowskim nacjonalizmem i przemożnym pragnieniem, by przy podobać się archeologce. Oczywiście archeologka wzięła górę.

– No owszem – przyznał z wahaniem, również się podnosząc – to mogłoby być jakieś inne słowo. Ale nigdy się tego nie dowiemy. My, archeologowie, staramy się w kawałku ceramiki zobaczyć całe naczynie.

– Jasne – zgodził się Faradz. – To nam jednak nie pomoże w odnalezieniu ossuariów.

– Nadal nie wiemy, gdzie się podziały – mruknął Głaz.

Kiedy oni pogadywali między sobą, ja podziwiałam piękny szlaczek z liści i aramejski tekst. Nie znałam datacji mozaiki, widać jednak było jasno – przynajmniej dla osób świadomych istnienia ebionitów – że ta synagoga była świątynią gminy żydów wierzących w Jezusa, w Jezusa Mesjasza, „pocieszyciela”, w jego przesłanie sprawiedliwości i poświadczoną śmierć (na mozaice nie było słowa o jego boskości ani o zmartwychwstaniu). Nie był to kościół, zgoda, lecz przez parę wieków modlili się tu chrześcijańscy żydzi, chociaż dla współczesnego Izraela nie byli żydami, a Kościół katolicki zupełnie wymazał ich z historii, tak że popadli w zapomnienie. Chrześcijańscy żydzi odrzuceni i przez żydów, i przez chrześcijan. Oto co znaczy odmienność: nie przyłączać się do nurtów większości, nie wyznawać obowiązujących poglądów, które zawsze wygrywają.

– Pomyśl, Gilad! – zażądała Abby.

Podniosłam się i podeszłam do reszty grupy. Wszyscy stali w słońcu na rozgrzanych skałach, nie zauważając tego i nie szukając cienia.

– W grotach jeszcze są inskrypcje – bronił się. – Ale to jakieś rysunki, nie mają żadnego sensu.

Tu mieszkali prości chłopi. Na co liczyłeś? Na bibliotekę? W tamtych czasach tylko rabini umieli czytać i pisać.

– Chcę zobaczyć te rysunki – oświadczył Kaspar, kuśtykając do stopni.

– To naprawdę bohomyzy – upierał się Gilad, któremu na kuszulce występowały coraz większe plamy potu. My także byliśmy upoceni, lecz nie nosiliśmy obcisłych ubrań, żeby podkreślić kaloryfer. – Poza tym są daleko stąd. Musimy poczekać, aż słońce zajdzie.

– Nie mamy czasu – mruknęła Abby, wyjmując komórkę z kieszeni džinsów dopasowanych jak rękawiczka.

– Nie obejrzelśmy jeszcze synagogi od środka – sprzeciwiła się Sabira, mocno tuląc do piersi zeszyt z notatkami.

– Dobra, obejrzymy ją – zdecydował Kaspar, wreszcie wchodząc pod namiot.

Niby to była kiedyś synagoga, ja jednak widziałam tylko spore kontenery pełne gruzu. Pewnie, że tak mała gmina jak Susja nie potrzebowała większej świątyni. Synagogę zbudowano na planie prostokąta o bokach mniej więcej dziesięć na piętnaście metrów. Bima (podwyższenie do czytania Tory) nie znajdowała się pośrodku pomieszczenia, lecz po prawej, przy północnej ścianie budowli, kamienne ławy umieszczono naokoło pod ścianami. Na ziemi zachowały się dość zniszczone elementy mozaiki z dużymi ubytkami. Przedstawiała menory – siedmioramienne żydowskie świeczniki – jelenie, owce, misterne koła zodiakalne, motywy kwiatowe i owocowe.

Oglądaliśmy synagogę w miłym cieniu namiotu, gdy w kłębach pyłu z donośnym warłosem silników wyboistą drogą gruntową nadjechały dwa wozy wojskowe. Zatrzymały się przed wejściem i z jednego, rozglądając się za nami, wysiadł izraelski żołnierz z automatem w prawej ręce skierowanym lufą do ziemi, w kamizelce o kieszeniach wypchanych amunicją, ze sterczącymi zewsząd jakimś kabełkami i mikrofonami jak w kombinezonie astronauty.

Abby podeszła do niego, chwilę pogadali, po czym żołnierz kiwnął głową i wrócił do wozu – opancerzonej terenówki uzbrojonej w działko. Abby na migi dała nam znać, żebyśmy wsiedli do drugiego wozu oprócz Gilada, który miał pojechać z nią pierwszym. No tak, przestawaliśmy z prezeską, która znakomicie potrafiła wykorzystywać swoją władzę. Nawet izraelskie wojsko jej słuchało. Aczkolwiek na mnie taka ilość broni i amunicji działała zdecydowanie źle.

Po krótkiej jeździe pustymi uliczkami opuściliśmy strefę wykopalisk przez wielką okratowaną bramę i wyjechaliśmy na nieoznakowane dróżki wśród uprawnych zielonych pól i gajów oliwnych. Kurczę, skąd się brała woda, dzięki której bujnie rosła ta zieleń? Doszłam do wniosku, że w całej okolicy muszą być jakieś podziemne ujęcia wody, bo skądś przecież musiała się brać do rytualnych kąpielii w grotach pod starożytnymi chatami Susji.

Niebawem terenówki zahamowały i stanęły tak gwałtownie, aż rzuciło nami niczym workami ziemniaków. Faradz zdążył mnie przytrzymać, żebym się nie potłukła. Tu kończyła się droga

gruntowa. Wysiedliśmy z wozów i pod eskortą żołnierzy Gilad poprowadził nas ku zagajnikowi sosnowemu, w którym korony wysokich, smukłych drzew miały podługowaty kształt. Izraelczyk szedł pewnie, jakby bardzo dobrze znał tę okolicę.

Jakieś dwieście metrów dalej wyszliśmy na polankę. Grunt nie wydawał się tu zbyt pewny, pokrywały go bowiem ogromne kamienne płyty, pod którymi otwierały się wejścia do ciemnych grot.

– Ani myślę tam wchodzić – szepnęłam do Faradża, łapiąc go za rękę.

Gilad i Abby, za którymi kroczyli dwaj żołnierze z potężnymi latarkami, schylili się, aby wejść pod jedną z płyt, największą i najgrubszą. Kaspar, niewiele myśląc, podążył za nimi w towarzystwie żołnierza, który bez przerwy rozglądał się dokoła, jakby w każdej chwili groził nam atak. Za nim do groty zeszła Sabira z nieodłącznym zeszytem i również z żołnierzem, który wydawał się zachwycony, że akurat ją ochrania. Gdybyś wiedział, że to asasynek! pomyślałam z uśmiechem. Wtem bez uprzedzenia Faradz szarpnął mnie za rękę i próbował wciągnąć do groty.

– Za nic! – wrzasnęłam, zapierając się z całych sił. – Nie wejść! Tam na pewno roi się od robali!

– Prawdopodobnie – przyznał mój mąż, kładąc mi jedną dłoń na karku i przyginając mnie, żebym się zmieściła w wejściu.

Szarpałam się, lecz nie zdołałam się wyrwać Faradżowi. Inna rzecz, że ani on się mocno nie starał, ani ja się za bardzo nie broniłam. Ot, taki małżeński rytuał.

Śmierdziało tam i było strasznie brudno, poza tym mroczno i w ogóle okropnie.

– Uważamy, że to może być inna synagoga – wyjaśniał Gilad. – Używana, kiedy groziło im niebezpieczeństwo i chronili się do grot. Na przestrzeni wieków te tereny napadali Rzymianie, Bizantyńscy, krzyżowcy i muzułmanie. Na dobrą sprawę nic pewnego nie wiemy, bo nie ma żadnych wzmianek o Susji w literaturze żydowskiej, nie zachowały się żadne informacje w żadnym tekście żydowskim ani innym. Wiemy tylko tyle, ile udało się odgadnąć na podstawie wykopalisk i znanych faktów z dziejów okolicznych miejscowości.

Śkłepienie pokrywały wstrętne czarne plamy, które mogły być zarówno koloniami grzybów, jak i śladami z dymu z pochodni. Mnie było wszystko jedno, i do tego, i do tego czułam głęboką odrazę. Na klepisku zalegały uschłe gałęzie, liście, odchody zwierząt, sosnowe szpilki, kamienie. Od ściany do ściany rozciągały się pajęczyny niczym zasłonki, a sama okrągła grota była większa od synagogi na terenie wykopalisk, poza tym chłodna i wilgotna, bardzo wilgotna. Już po paru chwilach poczułam się lepka i brudna, lecz nie z własnego potu, tylko od tej cuchnącej wilgoci.

– Gdzie te rysunki? – oschle zapytał Kaspar.

– Tutaj – odparł Gilad, kierując się ku końcowi groty. – Na ścianie północnej.

Tyle dobrego, że mocne latarki żołnierzy świeciły jak reflektory, dzięki czemu stwierdziłam, że w zasięgu wzroku nie ma żadnego realnego zagrożenia, mogłam zatem pójść za mężem do ściany z rysunkami.

Tak zobaczyliśmy je wryte w kamieniu, wyraźnie widoczne w świetle, ale nie były to żadne bohomy, jak je określił Gilad, lecz piękne rysunki całkiem dobrze wykonane mimo pewnych niedoskonałości. Od pierwszego rzutu oka zorientowałam się, że coś opowiadają, a ułożone były od prawej do lewej, jak pismo hebrajskie, tyle że kiedy znało się teksty Marca Polo i wiedziało się, co pisał o ebionitach, zagadka sama się wyjaśniała. Naturalnie nie było to oczywiste dla izraelskich archeologów mających obsesję udowodnienia na każdym kroku, że Żydzi byli w Izraelu od zawsze. Dla nich zatem ta opowieść nie miała znaczenia. A dla nas owszem. Impulsywnie podeszłam do samej ściany i zapomniawszy o obrzydzeniu, brudzie i strachu, że się skałeczę i złapię jakieś paskudztwo, zaczęłam wodzić palcem wzdłuż rysunków zgodnie z porządkiem narracji. Za sobą usłyszałam ciche okrzyki, gdy moi towarzysze uświadomili sobie, co im pokazuję.

A pokazywałam pierwszy rysunek osiem prostokątnych skrzynek otaczało dziewiątą, nieco większą. Kolejny dowodził, że ebionicy z Susji byli w Indiach, w Kerali, widniał na nim bowiem słoń z trąbą, zakrzywionymi kłami i długim ogonem. Z Kerali wyruszyli w długą podróż morzem, zmagali się z wielkimi niebezpieczeństwami, o czym zaświadczał wizerunek statku z masztem, żaglem i sternicą, stojącego niemal pionowo wśród wysokich fal. Następnie przebyli pustynię z długą, naprawdę długą karawaną wielbłądów, które dawało się rozpoznać po garbach i wydłużonych pyskach. Podróż kończyła się w miejscu nadzwyczaj szczególnym, tak szczególnym, że rysunek naprawdę przypominał bohomaz, tyle że był dużo większy w porównaniu z innymi obrazkami: przedstawiał łagodne morskie fale z długimi łapkami na końcach rozstawionymi na zewnątrz jak u muchy. A między dwiema przednimi „łapkami” powtórzono motywy w osmiu małych skrzynek otaczających większą. Znaczyło to, że monsturalna mucha połączyła ossuaria. Był tam wszakże jeszcze jeden ciekawy szczegół: na końcu tylnej „łapki” po prawej widać było coś w rodzaju igloo. Oczywiście nie było to igloo, ale tak wyglądało: półokrąg przycięty poziomo z kwadracikiem w charakterze wejścia. Zrozumiałam, że tędy można się dostać do ossuariów.

– Gilad, możesz mi powiedzieć, co to jest? – zapytałam, odwracając się do archeologa i wskazując rysunki.

– Co to jest? – powtórzył zdziwiony. – Już mówiłem, że tu nie ma nic, co by miało jakieś znaczenie.

– Wszystko ma znaczenie – wyjaśniłam cierpliwie – a to jest coś naprawdę ważnego. Rozpoznajesz ten kształt? Czy to jakiś żydowski symbol?

Gilad wpatrzył się bacznie w rysunek, szukając skojarzeń we własnej bazie danych.

– Ja wiem, co to jest – mruknął ktoś po angielsku za naszymi plecami.

Powiedział to jeden z towarzyszących nam izraelskich żołnierzy. Odwróciliśmy się wszyscy do niego, choć nie mogliśmy go zobaczyć, ponieważ oślepiały nas latarki.

– To Har Meron – mówił – najwyższa góra Izraela. Leży na północy, w Górnej Galilei. Widzicie ten pofalowany szczyt? A to małątkie u dołu to grobowiec Hillela Starszego, mędrca, który interpretował Misznę i Talmud. Wejście do grobowca tak właśnie wygląda. Pochodzę z Safedu, miejscowości niedaleko Meronu, bardzo dobrze znam tę górę i grobowiec.

Musiałam wysilić umysł, aby zrozumieć: ossuaria ze szczątkami Jezusa i Jego rodziny ukryto we wnętrzu góry?

ROZDZIAŁ 24

W saloniku apartamentu Faradż nie przestawał paplać z Isabellą, podczas gdy ja usiłowałam dalej spać mimo ich śmiechów i harmidru. Poprzedniego dnia wróciliśmy późno z Susji i szybko zjadłszy kolację złożoną z kanapek w hotelowym barze, udaliśmy się do pokójów z zamiarem odespania zaległości powstałych od wyjazdu z Toronto, aby mieć siły na zmierzenie się z górą Meron. Przewidywaliśmy, że to nie będzie prosta sprawa. Będziemy może potrzebowali pomocy speleologów lub alpinistów, tego nie dało się przewidzieć, dlatego najpierw sami zamierzaliśmy się rozpatrzeć na miejscu. Krótko mówiąc, zależało nam na wypoczynku, toteż nie ustawiliśmy nawet budzika. Bo i po co? Tego dnia przecież nigdzie nam się nie spieszyło.

Czemż więc Faradż z Isabellą chichrają się jak najęci po drugiej stronie drzwi sypialni? Zabiję ich oboje. Chciałam się wyspać, a ci głupole na siłę wyrywali mnie ze słodkich objęć snu. A w ogóle co tu robi Isabella?

Otwarłam szeroko oczy.

Isabella...? Faradż rozmawia z Isabellą? Jak..?! A ja w łóżku?

W pokoju panował mrok, tylko przez niedomknięte drzwi wpadała smużka światła. Zerwałam się na równe nogi, spojrzałam na zegarek. Dziewiąta rano w Izraelu. Boso popędziłam do saloniku.

– O ja cię...! – zawołał Faradż na mój widok – Twoja ciocia się obudziła!

To ostatnie powiedział do tabletu, który miał na stoliku ustawiony jak telewizor, oparty o szklankę z wodą.

– Ciociu! – wykrzyknął tablet.

– Isabella?... – wyjąkałam, idąc do sofy, na której siedział Faradż rozmawiający z moją siostrzenicą.

Tyle że moja siostrzenica była przecież w Paradejsosie, w największym systemie jaskiń nie wiadomo ile metrów pod ziemią. Niemożliwe, żeby odbywała wideokonferencję przez internet. W Paradejsosie nie było wi-fi.

– Ciociu, usiądź, bo nie widzę twojej twarzy – zaprotestowała Isabella z wyświetlacza Faradżowego tabletu.

Jaka ona śliczna! Miała najpiękniejszy uśmiech na świecie. Boże, jak ja za nią tęskniłam! W całym tym zamieszaniu dotąd nie zdawałam sobie z tego sprawy. Gdybym ją miała przy sobie, wyściskałabym ją i wycałowała. Lepiej jednak, by o tym nie wiedziała albo niech sama się dopomina piesszczot.

– Gdzie jesteś? – zapytałam nieufnie.

– A gdzie mam być? – odparła bardzo zadowolona. – W Staurosie oczywiście! W stolicy

Paradejsosu! Nie widzisz, jak jestem ubrana? – I chwyciła w dwa palce materiał himationu, białej tuniki, którą na ramionach trzymały zapinki.

– A od kiedy to w Paradejsosie jest wi-fi? – zagadnęłam podejrzliwie. Nikt mi nie wmówi, że stawrofilacy mają internet.

– Rok temu założył je Kaspar – wyjaśnił Faradz zadowolony. – Kiedy mieli odpowiednio przygotowanych ludzi i wystarczające zabezpieczenia. Mają przekaźniki i anteny wzdłuż Nilu w prywatnych domach.

– I wzmacniacze sygnału – dodała Isabella – żeby na tej głębokości nie było zakłóceń.

– A ja myślałam, że tam nie będziesz mogła używać swoich gadżetów! – wyznałam oburzona.

– Połączenia z zewnątrz są oczywiście kontrolowane – oświeciła mnie siostrzenica, podnosząc ręce, by zebrać włosy gestem tak mi znajomym, aż poczułam ukłucie tęsknoty. – Dla bezpieczeństwa. Żeby ich nie wykryto. Ale ponieważ przyjechaliśmy już trzy dni temu...

– Cztery – poprawił mój mąż, ustawiając tablet tak, żeby kamera obejmowała nas oboje.

– A Linus? – zapytałam.

– Jak w domu! – Isabella się zaśmiała. – Przecież mieszka tu ze mną w basilejoni, pałacu katona, który zna od urodzenia. Wróci do szkoły, a dzisiaj bawi się z kolegami.

– Nie pomaga ci w grece? – Nagle zrobiło mi się smutno na myśl, że Isabella będzie osamotniona wśród tych fanatyków religijnych. – Jak się dogadujesz z ludźmi?

– Ciociu – machnęła ręką – tu prawie wszyscy mówią po angielsku.

– No przecież kiedy myśmymy tam byli, używali bizantyńskiej greki! – zaprotestowałam.

– I dalej używają. Między sobą. Ze mną rozmawiają po angielsku.

– To też zmiana, której dokonał Kaspar – zaznaczył Faradz.

– A kto się tobą zajmuje? – drążyłam mocno przejęta.

– Och, wiele osób!

– Wiele osób...? Kto na przykład? – Chciałam usłyszeć imiona.

Moja siostrzenica wzniosła oczy do nieba, modląc się o cierpliwość wobec niezrozumiałej demencji ciotki.

– Na przykład Hajde przekazuje wam pozdrowienia – odparła. – I Ufa, który obiecał, że nauczy mnie jeździć konno. Ach, i jeszcze Candace i Ahmose. I żebym nie zapomniała o Hetem i Mirsganie, która oczywiście uparła się, że nauczy mnie wiosłować, a ja nie wiem, jak jej powiedzieć, że bardzo dziękuję, nie mam ochoty.

– Nie wywiniesz się – ostrzegłam. – Kiedy Mirsgana coś sobie wbije do głowy, nie ma przepros. Poza tym w Paradejsosie cała młodzież wiosłuje dla odprężenia. To jakby sport narodowy.

– Wiem, wytłumaczyli mi to – narzekała. – Tylko że naprawdę, ale to naprawdę, naprawdę nie

mam ochoty.

Skoro Isabella powiedziała trzy razy „naprawdę”, wojna między nią a Mirsganą została wypowiedziana. Jaka szkoda, że jej nie zobaczę! Choć oczywiście wiedziałam, kto wygra.

– Jest tu jeden chłopak – dodała nagle Isabella – który obiecał, że mi pomoże wymigać się od wiosłowania.

Co zobaczyłam w jej twarzy i usłyszałam w głosie, że włączyły mi się wszystkie alarmy?

– Chłopak...? – powtórzyłam jak najbardziej obojętnym głosem. – Jak się nazywa?

Jeśli nam powie, nie będzie żadnego problemu. Ale jeśli się wykręci, znaczy, że chłopak jej się podoba.

– A po co ci wiedzieć, skoro go nie znasz?

Podobał jej się.

– Z ciekawości! – broniłam się. – Znamy jego rodziców?

– Nie.

– Powiedziałaś, że jak się nazywa?

– Nie powiedziałam.

– Dlaczego?

– Bo to bez znaczenia.

– Jak to bez znaczenia? Skoro jest kolegą...

– Jest kolegą.

– Przestańcie! – zezłościł się Faradž. – Mam gdzieś, jak się nazywa! Co to w ogóle za rozmowa? Mamy tak niewiele czasu, żeby pobyć razem, a wy się kłóćcie o imię jakiegoś chłopaka.

Już ja nagadam Faradžowi, jak tylko zakończymy połączenie, i dziewczynie także, gdy tylko wróci do domu.

– Jak się nazywa ten kolega? – nalegałam surowo.

– Wujku!... – zaprotestowała niewdzięcznica.

– Basileja! – upomniał mnie mąż, słowa popierając lekkim kopnięciem w kostkę poza okiem kamerki. – Nie zwracaj uwagi na ciocię – rzekł do Isabelli. – Rozmawiaj ze mną.

Siostrzenica rzuciła mi ukradkiem triumfalny uśmiech.

– Nie ma co gadać. Mam się super i to miejsce jest super – skwitowała, poprawiając zapinkę tuniki, która zsunęła jej się z ramienia. Jeszcze nie uszyto jej własnych ubrań, to jasne. – Żarcie genialne. No i wszyscy tu wierzą, że Kaspar wróci.

– Pojedzie pewnie po syna – przyznałam.

– Nie. Wierzą, że wróci i będzie znowu katonem – zniecierpliwiała się. – Uważają tylko, że potrzebuje trochę czasu. Nie naciskają na niego i nie szukają nikogo na jego miejsce.

– Kurde! Z tym może być problem – przyznał Faradz z troską.

– Może wróci – zauważyłam, acz bez przekonania.

– Co ty, Ottavio? Kaspar nie wróci, możesz być pewna.

– Isabella, spróbuj im powiedzieć, żeby na wszelki wypadek poszukali innego katona – zasugerowałam.

– Dzwoniła moja mama? – spytała naraz moja siostrzenica, jakby nie mogła się doczekać odpowiedzi.

Oniemieliliśmy z Faradzem, który z ubolewaniem rzekł:

– Nie, skarbie, nie dzwoniła.

– Moja komórka tutaj nie działa, dlatego pytam.

Posmutniała, usłyszawszy, że jej matka nie dzwoniła, co objawiło się u niej burkliwością. Czulał niemal fizyczną potrzebę przytulenia jej, pocieszenia. Gdybym miała wtedy pod ręką swoją siostrę, zabiłabym ją jak nic. Tchorzliwa żoła! Strach przed Giacomą był w niej większy niż miłość do córki!

– To nic – szepnęła Isabella, znów poprawiając zsuwającą się z ramienia tunikę. – Jak zadzwoni, powiecie mi, dobrze?

– Jasne.

Na szczęście ta ześlizgująca się tunika oderwała mnie od smutnych myśli, skupiłam się bowiem na problemie rzeczy wistym.

– A wracając do tego kolegi, o którym m mówiłyśmy – zagałam. – Ile ma lat?

– Ottavio! – zgromił mnie Faradz.

– Rozłączam się! – zawołała Isabella obcesowo, sięgając do klawisza umieszczonego pod kamerką. – Ciocia weszła w tryb obsesyjno-kompulsywny.

– Trzymaj się, Isabella – rzekł Faradz. – I korzystaj z pobytu w Paradejsosie. Jak ci nie pasuje wiosłowanie, nie wiosłuj. Nie pozwól, żeby Mirsgana tobą rządziła.

– Uważaj, co robisz – ostrzegłam, podkreślając słowa uniesionym palcem Salinów. – Dowiem się o wszystkim. Czy to jasne?

– Pewnie – odparła. – Dlatego wszystko będę robiła po kryjomu.

– Isabella! – krzyknęłam.

– Cześć, Isabella.

– Cześć, wujku. Uważajcie na siebie na górze Meron. Zadzwoncie do mnie, dobrze? Komórka Kaspara ma autoryzację.

– Isabella!... – zawołałam jeszcze, lecz moja siostrzenica już zakończyła połączenie.

Faradz popatrzył na mnie z wyrzutem.

– Ottavio, ona ma dziewiętnaście lat! Jeśli będzie chciała pójść z kimś do łóżka, zrobi to. Ale

proszę cię, jest w Paradejsosie, tam wszyscy ciekawie się jej przyglądają.

– Aha, akurat! Też mi miejsce czystości! Pamiętasz, gdzieśmy się kochali pierwszy raz?

– Pewnie. – Uśmiechnął się. – Tam.

– No właśnie! A ona ma dziewiętnaście lat i jest tam!

– Isabella miała rację – przyznał mój mąż, obejmując mnie. – Weszła w tryb obsesyjno-kompulsywny. Musisz wrócić do normalności. Zafiksowałaś się.

– Nie chcę wracać do normalności! Chcę, żeby moja siostrzenica opuściła Paradejsos i natychmiast wróciła do domu!

– Przecież nie mamy domu, kochanie. Poza tym jesteśmy w Izraelu.

W tej chwili rozległo się takie dobijanie do drzwi, że ogarnął nas śmiertelny strach, a mnie nagle opuściła fiksacja. Jak czławka.

– To Kaspar – szepnęłam do męża. Tak walić mógł tylko on. – Nie otwieraj.

Pocałował mnie ze smutkiem. Nie musieliśmy tego mówić, lecz wiedzieliśmy oboje, że coś się stało.

– Jeśli nie otworzę, wyważy drzwi i wejdzie.

Miał słuszość. Niestety, miał słuszość. A sądząc po sile uderzeń, brakowało dosłownie sekund, żeby stało się to faktem.

Wstał z sofy i ruszył do drzwi. Ja stwierdziłam, że lepiej czym prędzej opuszczę salonik i pospieszyłam do łazienki, by wziąć prysznic. Coś mi mówiło, że powinnam szybko załatwić sprawę toalety, bo nie wiadomo, co będzie za kwadrans. Kiedy w łazience zrzucałam piżamę, dochodziły do mnie głosy Kaspara i Faradza, nie rozróżniałam jednak słów, a kiedy weszłam pod wodę, nie słyszałam już nic oprócz jej szumu. Niedługo drzwi się otworzyły i wszedł mój mąż. Mimo że gestem mu zabroniłam, uśmiechnął się, widząc mnie przez szybę łabiny, po czym przekrzykując szum prysznica, rzekł:

– Gottfried Spitteler i Hartwig Rau są w Meronie, w wiosce u stóp góry Meron. Dopiero co tam dotarli, wynajęli dom i grupę ochroniarzy. Zamówię śniadanie, żeby już je szykowali. Wyjeżdżamy!

Zdecydowanie to nie jest mój dzień, pomyślałam, czując, jak dusza wypływa ze mnie unoszona wodą. Mojej siostrzenicy wpadł w oko stawrofilak, a opryszłowie Tourniera wyprzedzili nas w Meronie. Miałam dość Tourniera, Spittelera i Raua. A ponieważ Isabella wbiła sobie do głowy stawrofilaka, wybuchnie nowa wojna trojańska i to ja poniosę jej żagiew. Tyle dobrze, że stałam pod prysznicem, bo już czułam się niebezpiecznie rozpalona.

Śniadanie zjadłam sama, chociaż naprzeciwno miałam męża, ale że jedząc, przez cały czas rozmawiał z Kasparem przez komórkę, przemieniłam się we współbiedniczkę z kamienia i tylko słuchałam, w milczeniu odgadując straszne prognozy.

Moja uraza sięgnęła szczytu, gdy zakończywszy rozmowę, Faradz oznajmił:

– Musimy się ubrać jak do chodzenia po górach i zabrać wszystkie rzeczy. Wyprowadzamy się z hotelu. Trzeba spakować bagaże.

– Też coś! A to dlaczego? – wykrzyknęłam, szeroko otwierając oczy.

– Kaspar mówi, że skoro nie mamy pojęcia, jak dotrzeć do ossuariów ani co nas czeka, trzeba być przygotowanym na wszelką ewentualność. I że lepiej ulokować się w hotelu blisko góry Meron, w Safedzie, by nie tracić czasu.

– A co ze Spittelerem i Rauem? Odkryją nas.

– Podróżujemy pod fałszywymi nazwiskami, a ich pilnuje Szin Bet, izraelskie służby specjalne. Są szpiegowani, odkąd wjechali do Izraela. Wszyscy mają watykańskie paszporty, łącznie z oprychami, którzy są z nimi. Część tych oprychów to specjaliści od detektorów podziemnych, dlatego możemy domniemywać, że nie mają pojęcia, jak wejść do wnętrza góry.

– Skąd w ogóle wiedzą o Meronie? – marudziłam niezadowolona. – My wiemy od wczoraj dzięki rysunkom z grotty koło Susji. Czemu ledwie wysiedli z samolotu, już są na bieżąco?

– Nie mam pojęcia. – Faradz westchnął, kręcąc głową, i otarł usta wymiętą serwetką. – Kaspar i Abby też nie mają. Wszystkie rozmowy Spittelera i Raua są podsłuchiwane, ale na razie nie powiedzieli niczego, co by nam pomogło.

– Czy Marco Polo mógł wiedzieć o górze Meron coś, o czym nie wspomniał w listach do Marii Paleologini?

– Teoretycznie tak, ale czemu miałyby to ukrywać przed Marią, a wyjawiać papieżowi?

– Wszyscy trzej Polo, o czym przypomniał mi Kaspar, byli papieskimi wysłannikami, a przy tym gorliwymi chrześcijanami łacińskimi, czyli katolikami. A Maria była ortodoksyjną heretyczką, mongolską chatun, wierną schizmatycznego Kościoła greckiego.

Wstając, Faradz zdawał się rozważać to, co powiedziałam.

– Niczego nie można wykluczyć – rzekł, schylając się, by pocałować mnie w usta. – Chodźmy, basileja. Trzeba ruszać.

– Nie chce mi się.

– Wiem – przyznał, pociągając mnie, abym wstała z krzesła.

Nie mieliśmy wiele bagażu głównie dlatego, że wszystkie nasze rzeczy spłonęły w domu w Toronto, ale przed wyjazdem do Izraela Simonsonowie zaopatrzyli nas w to co najpotrzebniejsze, tak że wszystko mieściło nam się w jednej wspólnej walizce. Ponieważ już byłam po prysznicu, podjęłam się pobierania naszych rzeczy (najpierw oczywiście się ubrałam, i to w strój, który przemienił mnie w wytrawnego piechura – miałam nawet buty górskie), chociaż prawdę mówiąc, Faradz o wiele lepiej pakował walizki. Wszystko starannie poskładane umieszczał w każdej luce tak, że nic się nie pogniotło. Ja wrzucałam rzeczy byle jak, aż miejsce

się skończyło, po czym prosiłam o pomoc Faradż, którego również tego dnia zaangażowałam.

Jechaliśmy trzema samochodami Szin Bet, ochraniała nas eskorta w trzech innych wozach. W pierwszym miejsca zajęli Kaspar i Abby, w drugim Faradż i ja, w trzecim Sabira i Gilad (uznaliśmy, że bez problemu można posadzić obok siebie muzułmankę i żyda, którzy zdawali się lgnąć do siebie). W dwie godziny dotarliśmy do Safedu kapitałną autostradą, na której bramki w punktach poboru opłat przejeżdżaliśmy, nie zwalniając, bo otwierały się na sygnał pilotów uruchamianych przez naszych kierowców. Nie do wiary. Po drodze wiedliśmy z Faradżem gorącą dyskusję na temat dojrzałości płciowej mojej siostrzenicy i w niczym nie mogliśmy się zgodzić, on bowiem, jako nowoczesny postępowiec, pobłażliwy liberał, wierzył, że nieuchronnie powinno się stać to, co moim zdaniem nie powinno się stać, a nawet dopuszczał, że już się stało, aż miałam ochotę udusić go własnymi rękami w chwili, gdy mijaliśmy zjazd do Nazaretu. Isabella była Sycylijką jak ja, katoliczką jak ja i z Salinów jak ja. Coś takiego było nie tylko niedopuszczalne, lecz także niestosowne. Faradż wymyślał mi od staroświeckich świętości, staromodnych ignorantek o wąskich horyzontach, poradził też, abym przywykła do myśli, że jeśli Isabella jeszcze tego nie zrobiła, na pewno zrobi niebawem, ale to nie nasza sprawa i nie powinniśmy wściubić w to nosa.

Szczęście, że dotarliśmy w końcu do Safedu. Poważnie. Szczęście, żeśmy tam dotarli, bo spieraliśmy się naprawdę ostro. Chciałam się pomodlić, nim wysiadziemy z samochodu, okazało się jednak, że dopadł mnie kryzys tożsamości, aczkolwiek nie chodziło o mnie. Nie chcąc się do tego przyznać przed sobą, usiłowałam nawiązać nowe stosunki z Bogiem, bezpośrednio z Bogiem, z Bogiem jedynym, nie z członkiem Trójcy Świętej. I wiele mnie to kosztowało. „Mamo, pomóż mi”, modliłam się. Była teraz z Nim i знаła prawdę. Po śmierci moja matka zyskała dużo punktów, ponieważ przeobraziła się w matkę, którą akceptowałam taką, jaka była. Zapomniałam już całe związane z nią zło, którego uosobieniem była teraz Giacomina, pozostał we mnie jedynie piękny obraz matki, którą tak bardzo kochałam.

Miasto Safed leżało na zboczu góry. Znajdowaliśmy się na Wzgórzach Golan, w najbardziej górzystym regionie Izraela zwanym Górną Galileą. Dlatego też uliczki były tam ciasne, strome i kręte. Nasze samochody posuwały się bardzo wolno, lusterka boczne o włos nie zahaczały o drzwi zabytkowych synagog, kamiennych domów z wejściem pomalowanym na turkusowo, galerii sztuki, pracowni artystycznych, restauracji, sal koncertowych, kawiarni... Tego dnia, drugiego lipca, w mieście roilo się od turystów. Najwyraźniej Safed był czymś na kształt światowego centrum bohemy artystycznej i kabały, osobliwej odmiany żydowskiego mistycyzmu. Gilad później z dumą nam powiedział, że jego przodkowie także stamtąd pochodzili. Wyglądało na to, że w wieku XV i XVI do Safedu, już wtedy znaczącego miasta, przybyło wielu żydów sefardyjskich wypędzonych z Hiszpanii w roku 1492 – w roku odkrycia Ameryki.

I widocznie wśród wygnańców byli liczący się w tamtych czasach kabałiści, którzy przenieśli swoje studia mistyczne do Safedu. Gilad twierdził, że pochodzi w prostej linii od niejakiego Izaaka Abravanela, sefardyjskiego teologa i skarbnika hiszpańskich Królów Katolickich, który prowadził owocne negocjacje w sprawie pieniędzy na pokrycie kosztów odkrywczej wyprawy Krzysztofa Kolumba.

Nie pobyliśmy w hotelu. Abby się uparła, by wyruszyć zaraz na górę Meron, widoczną z Safedu w całym majestacie, toteż zostawiliśmy tylko bagaże, przekąsiliśmy coś, wsiedliśmy do samochodów i ruszyliśmy znowu.

Nie ominęliśmy miejscowości Meron, gdzie ulokowała się ekipa Spittelera i Raua. Co więcej, kierowaliśmy się prosto tam, jadąc za wozem Abby i Kaspara. Do przebycia mieliśmy nie więcej jak dwadzieścia kilometrów, ale spociłam się w drodze jak mysz mimo włączonej klimatyzacji. Byłam chora na samą myśl o ponownym spotkaniu twarzą w twarz z tymi mordercami. Faradz mnie uspokoił – do przeszłości należały już burzliwe słowne przepychanki na temat Isabelli – i zapewnił, że skoro dwadzieścia cztery godziny na dobę są inwigilowani przez Szin Bet i mają telefony na podsłuchu, Abby musi być na sto procent pewna, że niczym nam nie grozi otwarty przyjazd do Meronu.

Samochody zatrzymały się na końcu drogi, minąwszy najważniejsze miejsce w wiosce: grób rabina Szymona bar Jochaja z końca I wieku. Raz w roku z okazji święta Lag ba-Omer tysiące ortodoksyjnych żydów – czyli tych, którzy noszą czarne kapelusze, szerokie płaszcze i pejsy – zjeżdżają się do grobu z całego Izraela, palą przy nim ogniska, strzelają z łuku w las i odprawiają modły. Na szczęście Lag ba-Omer przypada na wiosnę, teraz zatem wioska Meron, będąca kibucem, spółdzielnią rolniczą, była niemal pusta. Tam, gdzie wysiedliśmy z wozów, nie było żywego ducha, a nieliczne domy stały pozamykane na cztery spusty, jakby mieszkańcy je porzucili.

Kontemplowałam sobie ów wiejski pejzaż, gdy naraz czyjeś łapska zarzuciły mi na ramiona szelki z czymś piekielnie ciężkim.

– Hej! – oburzyłam się, odwróciłam i ujrzałam Kaspara. – Co to jest, do diabła?

– Twój plecak

– Po co mi plecak? – spytałam, podnosząc go w rękach. – I czemu jest wyładowany kamieniami?

Ale Kaspar już objuczał Faradza, Sabirę i Gilada. Plecaki były ogromne, wystawały nad głowę i naprawdę musiały w nich być kamienie, których by wystarczyło na odbudowanie rzymskiego Koloseum. Abby już go sobie zarzuciła i poprawiła, perfekcyjnie dopasowała szelki i pasek, jakby robiła to codziennie.

– Nie chcę plecaka – oznajmiłam, próbując go zwrócić Kasparowi. – Jestem miastową

dziewczyną, nie lubię pieszy ch wy cieczekani wspinaczki.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparł bezceremonialnie. – Poniesiesz go, bo nie wiemy, co nas czeka w grobowcu Hillela. Już nie pamiętasz, jak mnie błagałaś o kawałek kanapki, kiedy przechodziliśmy przez próby kręgów Dantego?

– Wcale nie błagałam! – oburzyła się. Straszne, jak ludzie przeinaczają fakty. – Ja nigdy nie błagam! A zwłaszcza o kawałek tego paskudztwa z salami i serem!

Boże! Od tamtej pory nie wzięłam do ust salami! Miałam go dość na resztę życia. Ale jeszcze bardziej mnie rozżłościły porozumiewawcze uśmiešky, które wymienili Kaspar z Faradżem. Coś knuli. Ciągłe byłam zła na Faradża, toteż lepiej dla niego, żeby miał się na baczności.

Objuczeni plecakami i w czapkach dla ochrony przed słońcem – ktoś uznał, że reklamowanie Fundacji Simonsonów na daszkach to świetny pomysł – wyruszyliśmy na wycieczkę pod przewodnictwem Gilada. Poprowadził nas szybko polną ścieżką po zboczach, na którym leżała wioska Meron. W niecałe dziesięć minut dotarliśmy na dół i minąwszy szeroką drogę gruntową, poszliśmy kawałek pod górę, po czym naraz znaleźliśmy się przed wejściem do grobowca Hillela Starszego, szpetnego igloo z rysunku w grocie w Susji identycznego – jak powiedział tamten żołnierz – z oryginałem: półokrąg wycięty w skale zbocza z ciemnym wejściem w kształcie kwadratu. Oczywiście były drobne różnice w stosunku do tego, co zobaczyli ebionicy, gdy przybyli tutaj osiem wieków wcześniej: nad półokręgiem wyciętym w skale dodano – kreśląc kształt odwróconej fajki – dziwny prostoląt przedłużony w prawo i tworzący coś w rodzaju lady czy kontuaru w barze; dodano także konstrukcję z żelaza i drutu i osadzono w niej dwie płyty z eternitu w charakterze drzwi. Całość wyglądała dość nędznie, prawdę powiedziawszy.

– A oto – ze smutkiem rzekł Gilad, patrząc na zardzewiałe żelazo i wiekowy eternit – grobowiec wielkiego rabina, który powiedział: „Nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe. Tak mówi Tora”²⁷.

– A tego nie powiedział Jezus? – wyrwało mi się, lecz zaraz sobie uświadomiłam, że sformułowanie nie jest takie samo. U Mateusza, w rozdziale 7, werset 12, Jezus powiedział: „Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie! Albowiem na tym polega Prawo i Prorocy”. Acz znaczenie bez wątplenia było takie samo.

– No... – Gilad się zawahał. – Ja tam nie wiem, czy to powiedział wasz Jezus. My uważamy, że to słowa Hillela, wielkiego rabina z początków pierwszego wieku, twórcy przyjaźniejszej wersji interpretacji Tory, którą odąd stosuje się w judaizmie.

– Początki pierwszego wieku – mruknął Kaspar, kojarząc fakty. – Przyjaźniejsza wersja interpretacji... Co jeszcze powiedział ten Hillel?

– Nie pora na to teraz – sucho go napomniałam. – Musimy tam wejść, chociaż złudzeń raczej nie mam.

Abby się uśmiechnęła.

– Nawet nie wiesz, jak cię rozumiem, Ottavio – zapewniła, wsuwając kciuki pod szelki plecaka.
– Byłoby dużo łatwiej, gdyby to nie był grób.

Myślałam, że Kaspar zacznie taranować jak byk eternitowe drzwi, ale ku mojemu zdziwieniu tylko lekko je pchnął i ustąpiły.

– Zabezpieczenia liche raczej – zauważył zdziwiony Faradž.

– Dobra, już nie zwlekajmy – ponagliła nas Abby. – Wyjmijcie latarki i wchodzimy.

Mąż stanął za mną, z plecaka wyjął latarkę i wręczył mi ją. Było mu równie jak mnie przykro z powodu wcześniejszej sprzeczki. Problem w tym, że za dużo ludzi nas otaczało, by stosownie się pogodzić. Mimo wszystko dając mi latarkę, chciał mnie cmoknąć także w policzek, lecz byłam szybsza – odwróciwszy głowę, pocałowałam go w usta. Musieliśmy się pogodzić, inaczej źle się czułam. Popatrzyliśmy na siebie, uśmiechnęliśmy się i bez słowa dołączyliśmy do reszty towarzystwa, które już wchodziło do grobowca Hillela. Nawet ja musiałam się schylić, by przejść przez drzwiczki.

Jak wyjaśnił nam Gilad, grobowiec Hillela to również miejsce spoczynku wielu jego uczniów, którzy życzyli sobie, by pochowano ich z mistrzem. Istotnie w głównej komorze przedłużonej na kształt tunelu ujrzelśmy na ziemi prostokątne rozmiarów ludzkiego ciała głębokie na dwadzieścia, trzydzieści centymetrów. Ściany pokrywała koszmarna warstwa białej farby albo wapna, które spłynęło nawet do najbliższych prostokątnych zagłębień. Szliśmy gęsiego do końca groty, gdzie po prawej otwierała się głęboka wnęka z kolejną prostokątną niecką – tam właśnie spoczywał sam Hillel. Po obu stronach znajdowały się nisze ze zwałami grubych świeczek, wypalonych lub nadpalonych, poprzedzielanych strugami zastygłego wosku, widać jednak było, że od dawna nikt nie zapalił świeżej. Wilgoć była tam straszna, w powietrzu wisiał smród stęchlizny i zgniłych jaj tak mocny, że mdlilo mnie jak z niedostatku tlenu. Ciasne wejście najwyraźniej nie wystarczało do wietrzenia groty.

Sześcioma mocnymi latarkami oświetliliśmy grób Hillela, ale oprócz zapełnionych świeczkami nisz w bocznych ścianach i zwyczajnej wnęki wydrążonej w skale Meronu nie zobaczyliśmy niczego więcej. Może i było tu wejście do serca góry, lecz myśmy go nigdzie nie widzieli.

– I co teraz? – mruknął zniechęcony Faradž.

ROZDZIAŁ 25

– Gdzieś tutaj musi być przejście! – warknął Głaz, wściekle omiatając latarką wnękę z prawa na lewo.

Faradz, Kaspar, Abby i ja przez ponad kwadrans obmacywaliśmy cał po calu wszystkie trzy boki jamy od sklepienia po podłozę, z nisz powyrzucaliśmy niedopalone świece i zastygłe resztki wosku, sprawdzając, czy czegoś nie zasłaniają. Niestety, ściany były z litej skały, a w niszach nie znaleźliśmy nic oprócz brudu. Gdzieś popełniliśmy błąd.

Gilada musieliśmy wywabić z grobowca Hillela, ponieważ gdy Kaspar zaczął deptać buciorami wnękę, Izraelczyk wyglądał, jakby miał dostać apopleksji albo czegoś gorszego. Abby szepnęła więc coś na ucho Sabirze, która posługując się uwodzicielskimi sztuczkami (mdli ją od smrodu i nie czuje się dobrze), wyciągnęła go na zewnątrz, aby się o nią zatroszczył. Gilad nie był głupi, zdał sobie sprawę z podstępu, lecz zaakceptował go, licząc, że coś ugra. Zostaliśmy zatem we czwórkę – i dopuszczaliśmy się strasznego świętokradztwa, profanując grób jednego z najświętszych i najznacniejszych mężów w historii Izraela. Co prawda żydzi znanadto się nie troszczyli o to zapomniane miejsce. Oczywiście staraliśmy się nie deptać po prostokątnym zagłębieniu, w którym spoczywał Hillel, jednakże dookoła nie było za dużo przestrzeni, raptem ze trzy, cztery piędzi do ściany, toteż chociaż zostawiliśmy plecaki na zewnątrz, przy grobach uczniów mistrza, poruszaliśmy się ze sporym trudem.

Właśnie wtedy rozłozszczony Kaspar, wściekle omiatając wnękę latarką, warknął, że gdzieś tutaj musi być przejście.

– Aj! – krzyknęła dziedziczka, kiedy dość mocno trafił ją w twarz.

– Abby! – wystraszył się i spojrział na nią z niepokojem widocznym w każdym porze jego zwalistego cielska.

Obydwoje stali po jednej stronie wnęki, a Faradz i ja bez ruchu po drugiej. Odwracając się do Abby, Kaspar stracił równowagę na brzegu obramowania grobu i aby się nie przewrócić, postawił nogę w bucie numer czterdzieści osiem na wilgotnej ziemi mogiły Hillela.

– Kaspar! – zawołał Faradz przerażony, wyciągając rękę.

Abby i ja zastygliśmy ze zgrozy. Było to straszne zbezczerzenie świętego miejsca, a także wykroczenie pod wieloma względami (naruszenie dziedzictwa narodowego, niszczenie stanowiska archeologicznego i zabytku historycznego...) i jakby tego było mało, gdy Głaz się wyprostował, odcisk jego buciora był wyraźnie widoczny na grobie. W zasadzie nawet nieodciśnięty – powiedzialabym wręcz, że wybity młotem hydraulicznym.

Oniemieli spojrzeliśmy po sobie, zastanawiając się, jak naprawić szkodę, by była jak najmniej widoczna. Nie wystarczyłoby zasypać wgłębienie: barwa ziemi była inna, ciemniejsza

w dolnych, wilgotnych warstwach.

Kiedy Kaspar nadepnął na grób, przysięgłabym, że równocześnie coś usłyszałam, jakby przeciągły zgrzyt podobny do pocierania kamienia o kamień. Byłam jednak przerażona tym, co Kaspar zrobił, dodatkowo nie potrafiłam określić, skąd ów dźwięk dobiegł i czy w ogóle nie był wytworem imaginacji, ostatecznie zatem słowa nie powiedziałam. A że nie mieliśmy nic do stracenia, ku zdziwieniu reszty towarzystwa zeskoczyłam na mogiłę i zaczęłam deptać ziemię, aby ją wyrównać (i aby sprawdzić, czy dźwięk się powtórzy). Niczego nie usłyszałam, udało mi się tylko doprowadzić do tego, że moi towarzysze cudem nie padli rażeni apopleksją.

– Basileja! – wykrztusił mój mąż ponurym głosem. – Co ty robisz?

– Jedyne, co nam pozostało: wyrównuję ziemię na grobie. A może wolisz, żeby tu pozostał odcisk buta Kaspara? Nie sądzę, żeby Hillel Starszy się na nas gniewał, bo na pewno przecież wie, jakim darzymy go szacunkiem, co nie przyszłoby do głowy ortodoksyjnym żydom, którzy przyjeżdżają tu raz w roku na Lag Ba-omer. Do następnej wiosny nic nie będzie widać. A gdyby zostawić odcisk buta, każdy by go zobaczył.

Wiedzieli, że mam słuszość, toteż wszyscy troje zeskoczyli z obramowania, aby mi pomóc. I wtedy coś się stało. Znowu usłyszałam zgrzyt, ponadto sklepienie wneki zaczęło się oddalać niczym kamienna płyta podnoszona przez dźwig. Znaczyło to, że obciążenie grobu Hillela uruchamia mechanizm. Ja sama nie ważyłam wystarczająco dużo, dlatego póki w pojedynkę udeptywałam ziemię, nic się nie działo, chociaż ciężar Kaspara już spowodował ów pierwszy zgrzyt. I oczywiście kiedy we czwórkę stanęliśmy na grobie, urządzenie zaczęło pracować pełną mocą.

Zaskoczeni przerwaliśmy wyrównywanie mogiły. Z uniesionymi głowami patrzyliśmy, jak sklepienie coraz wyżej się podnosi, zlewa z ciemnością i w końcu znikła. Naturalnie chmura stęchłego kurzu, pajęczyn i ziemi posypała się nam na twarze i włosy, zwłaszcza że akurat pościągaliśmy czapki. Abby nawet nasypało się świństwa do ust, które trzymała otwarte, tak że zaczęła kasłać i ze wstrętem płuć. Kaspar wytarł jej chusteczką usta i brodę gestem ojca doprowadzającego do porządku córeczkę, która najadła się ziemi w parku. Albo gestem faceta, który za nią takszaleje, że stracił poczucie śmieszności – mnie to bardziej pasowało.

Znaleźliśmy zatem wejście. Ebionici nas nie oszukali. Chociaż w niczym także nie ułatwili nam poszukiwań.

– Martwi mnie – mruknął Faradz – że tak to wymyślili, by zmusić nas do podeptania grobu Hillela. Może dla nich to gest pogardy albo pokory.

– Mnie za to martwi – zauważył Kaspar – jak się tam dostać. Potrzebna nam drabina.

Jeszcze tego brakowało, pomyślałam. Otwór ział na wysokości trochę ponad dwóch metrów, tak że Kaspar, Abby i Faradz mogli tam włożyć rękę. Tylko ja, jako najniższa, miałabym

problemy, od czego jednak są mężczyźni? Tą cechą obdarzyła ich natura: siłą fizyczną. Niech mnie podsadzą. Z tym że nie uśmiechało mi się jako pierwszej wetknąć głowę do tej dziury.

Abby wyszła na zewnątrz, by jak najdelikatniej wyjaśnić Giladowi, co się stało. Gilad, chociaż głęboko wierzący żyd, był człowiekiem praktycznym i musząc wybierać między dwiema opcjami, skłaniał się ku bardziej naukowej (łatwo sobie wyobrazić niezadowolenie Sabiry). Przewyciężył zatem opory natury religijnej i wrócił do grobowca, gotów deptać ziemię, pod którą spoczywał wielki rabin Hillel.

Na logikę biorąc, Głaz, choć z niewyleczoną jeszcze nogą, powinien pierwszy się wspiąć przy pomocy Faradża, ku mojemu jednak zdumieniu Abby zdecydowanie postawiła nogę na złączonych dłoniach Kaspara i podciągnęła się do otworu w sklepieniu. Ta nowa Abby, taka przebojowa, zyskiwała nie tylko na charakterze, ale również na atrakcyjności. Pewnie, że nie stała się raptem piękną czy choćby urodziwą kobietą, lecz za sprawą jakiejś zagadkowej metamorfozy, która dokonała się już jakiś czas wcześniej i teraz sięgała szczytu, przestała być brzydka. Czy nie miała za małych oczu, za dużych zębów i garbatego nosa, czy nie brakowało jej warg? Otóż nie. W rzeczy wistości owszem, miała wargi, nie wydatne, zmysłowe, ale normalne; nos był garbaty, lecz dodawał jej stylu i dystynkcji (jakby jej miała za mało!); zęby też – choć duże i kwadratowe, mieściły się w normie, nie były wcale końskie, jak je wcześniej postrzegałam; a niebieskie oczy, mimo że niewielkie, wcale nie były takie znowu malutkie.

– Faradż – szepnęłam, ciągnąc męża za rękę, aby się schylił. – Czy tobie też się wydaje, że Abby jest mniej brzydka niż przedtem?

– Mniej brzydka? – zdumiał się, także szepcząc mi na ucho. – Abby nigdy nie była brzydka.

– Jak to nie? – zezłościłam się nagle. – Dobrze się przyjrzałeś?

– Kochanie, facet zawsze dobrze się przygląda. Pewnie, że Abby nie jest taka śliczna jak ty, ale dość atrakcyjna. Rozumiem, że podoba się Kasparowi.

– Ale była brzydka! – szepnęłam z uporem.

Roześmiał się.

– No dalej, włącz! – polecił, popychając mnie do Kaspara, który czekał ze złożonymi dłońmi i mało przyjazną miną.

Musiałam to sobie przemyśleć, chwilowo jednak nie miałam czasu. Sklepienie otworzyło się nad naszymi głowami zapraszająco i Abby już była na górze, wyciągając do mnie pomocną dłoń. Kaspar mnie podsadził, a dziedziczka wciągnęła, tak że bez wysiłku znalazłam się w kolejnej wnęce oświetlonej latarką, którą Abby odłożyła na bok. Kiedy pozostali podawali nam plecaki i wspinali się do nas, rozejrzałam się dokoła: była to kwadratowa komora, właściwie idealny sześcián wycięty w skale, bo przecież wchodziliśmy w głąb góry. Wilgotność była tu mniejsza, ale smród wydawał mi się nawet bardziej natrętny, jakby trupa albo zgniłych jaj.

Szybko znaleźliśmy się w środku i ku zaskoczeniu wszystkich, a szczególnie Gilada Abravanela, w jednym z rogów komory natrafiliśmy na kolejny grób Hillela Starszego, tym razem z autentycznymi szczątkami. Imię rabina wyryto na ścianie po hebrajsku i aramejsku.

– Widzisz, Faradz? – powiedziałam, wskazując mogiłę. – Ebionici nie chcieli, żeby po nim deptać. Wyszukali jedyne miejsce, którego nikt nigdy nie sprofanuje.

Faradz pokiwał głową, lecz Kaspar pozostał naburmuszony.

– A ossuaria? – powtarzał, rozglądając się na wszystkie strony, patrząc nawet na sklepienie.

W komorze ich naturalnie nie było. Pomieszczenie okazało się zupełnie puste – nie widzieliśmy tam nic oprócz grobu Hillela, kamiennej płyty, która kołysała się w połowie wysokości nad wejściem, i tuż przy grobie prostokątnego otworu drzwiowego, za którym znajdowały się stopnie nikiące w trzewiach góry. Na ścianie po prawej widniał rysunek wielkiej spirali utworzonej z małych hebrajskich znaków.

– Co tu jest napisane? – zwróciła się Sabira do Gilada, fotografując rysunek.

Faradz popatrzył na mnie. Mógł przeczytać hebrajską inskrypcję, uśmiechnął się jednak i gestem skierował moją uwagę na zachowanie archeolożki asasyнки względem żydowskiego archeologa.

Gilad poprosił o więcej światła, skierowaliśmy zatem latarkę na ścianę. Na dziwny rysunek padał jego cień, toteż Gilad się gimnastykował, aby nie zasłaniał mu tekstu.



– „Błogosławieni ubodzy – zaczął tłumaczyć, wskazując palcem słowa od środka spirali – albowiem do nich będzie należało królestwo. Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem będą pocieszeni”.

– Błogosławieństwa...? – zapytałam zaskoczona.

Kaspar i Faradz przytaknęli z minami wyrażającymi takie samo zaskoczenie.

– Co to są „błogosławieństwa”? – zainteresował się Gilad.

Niewiedza żydów w kwestiach chrześcijańskich była po oczach równie mocno jak niewiedza chrześcijan w kwestiach żydowskich. Kiedy to powiedziałam, Gilad podskoczył jak ukąszony przez skorpiona.

– Wiesz, że my uważamy Jezusa z Nazaretu za wroga Izraela? – warknął. – Wiesz, jak go

nazywamy? Nie Jezua, tylko Jeszu.

Twarz mojego męża spochmurniała. On jeden spośród nas rozumiał, co Gilad chciał przez to powiedzieć.

– Musisz wiedzieć – ciągnął muskularny archeolog – że w hebrajskim akronimami, słowami utworzonymi z pierwszych liter innych słów, posługujemy się na co dzień, to pradawny zwyczaj. A wiesz, czemu nazywamy go Jeszu? Bo to akronim wyrażenia „Niech jego imię i pamięć będą wymazane”. Żaden żyd nie czyta waszego Nowego Testamentu, bo pełno w nim kłamstw. Żaden żyd nie wierzy, że Jeszu był Bogiem, co za bzdura! A tym bardziej że był Mesjaszem, zbawcą ludu Izraela. A wiesz dlaczego? Bo umarł, nikogo nie zbawił, nie był taki, jak opisuje nasza Biblia, Tanach przedstawia zbawczego Mesjasza, a dla nas martwy mesjasz to mesjasz nieudacznik. Dlatego wy, chrześcijanie, wymyśliście sobie jego zmartwychwstanie. A wiesz, czemu go tak totalnie odrzucamy? – Jego głos przepełniony wrogością wyrażał także ból. – Bo w imię tego Jeszu, jednego z dwudziestu czterech pretendentów do miana mesjasza, według historyka Józefa Flawiusza ukrzyżowanego przez Rzymian w pierwszym wieku, świat chrześcijański przez dwa tysiące lat prześladował, spychał na margines, gnębił i mordował żydów. Nigdy nie słyszałaś zdanka: „Żydzi zabili Jezusa”?

Jasne, że słyszałam. Zwłaszcza w dzieciństwie. Z ust matki i zakonnicy w szkole. Od lat jednak nikt tak nie mówił, ponieważ dużo bardziej teraz się szanuje takie rzeczy i mniej więcej pogodziliśmy się z myślą, że Jezus był Żydem – ten drobny szczegół przez wieki umykał wyznawcom chrześcijaństwa. Jezus był Bogiem i Żydzi go zabili. A przecież jak się nad tym zastanowić, nie można zabić Boga.

– A ja się zastanawiam – kontynuował Gilad – dlaczego nikt nie obwinia Rzymian o zabicie Jeszu, skoro to oni go ukrzyżowali. I czemu takiej na przykład Inkwizycji nigdy nie przyszło do głowy, że Włosi są tak samo winni jak Żydzi?

Na wszelki wypadek trzymałam buzię zamkniętą. Gilad się wkurzył, a ja jestem Włoszką. Poza tym rozumiałam jego gniew. Faktycznie lud żydowski niewyobrażalnie wiele wycierpiał na przestrzeni wieków z powodu bezmyślnych przesądów podsycanych może przez sam świat chrześcijański, aby wznieść tę nieprzebytą barierę oddzielającą go od judaizmu. Tylko po co to było? Jakie zagrożenie stanowił judaizm dla chrześcijaństwa? Czemu chrześcijaństwo tak się bało judaizmu?

– Dlatego nie znam waszych błogosławieństw, Ottavio – zakończył Gilad zupełnie innym tonem, jakby głęboko żałował swojego wybuchu. – Nigdy o nich nie słyszałam, choć rozpoznaję styl, bo zarówno w Tehilim, które wy nazywacie Księgą Psalmów, jak i w księgach prorockich wiele przemów zaczyna się od *me'uszeret*, błogosławieni, szczęśliwi. Możesz mi o nich coś powiedzieć?

Potrzebowałam kilku sekund, aby się otrząsnąć i odtworzyć sobie wątek rozmowy. Przez ten czas w cichej kamienniej komorze panowało całkowite milczenie. Nigdy nie myślałam o żydowskim punkcie widzenia, toteż zaskoczyły mnie słowa Gilada, podobnie jak to, co odkryłam od dnia, kiedy Jake i Becky wraz z rektorem Macalisterem zjawili się w naszym domu w Toronto. Ale też nie miałam czasu, aby się pomodlić i przetrwać wszystko. Kim byli błogosławieni? zastanowiłam się, wdychając głęboko.

– Błogosławieństwa – ubiegł mnie mąż – były fundamentalnymi punktami programu wyborczego Jezusa z Nazaretu.

– Programu wyborczego? – oburzyłam się. – Jezus nigdy nie miał partii politycznej!

Dla odmiany Faradz zignorował mnie.

– Kiedy Jezus rozpoczął działalność publiczną – wyjaśniał – najpierw wszedł na górę²⁸ i wygłosił kazanie, które zawierało Osiem Błogosławieństw. Było streszczeniem Jego późniejszych nauk, które głosiły, że Bóg wkrótce przybędzie, by uwolnić świat od biedy, bólu, głodu i niesprawiedliwości, więc należy być na to przygotowanym. Dlatego powiedziałem, że to był jego program wyborczy, bo jak każdy program wyborczy nie tylko nie został zrealizowany, ale jeszcze wygląda na to, że nigdy się nie spełni.

– Na litość boską, Faradz! – krzyknęłam przerażona. – Co to za sposób mówienia?!

Kaspar uśmiechnął się rozbawiony. Abby, Sabira i Gilad patrzyli na nas jak na wariatów.

– Chciałbym – odezwał się Głaz – zwrócić uwagę na pewien istotny szczegół: Błogosławieństwa są wymienione tylko w Ewangelii Mateusza²⁹.

– Wcale nie – odparowałam. – Łukasz też o nich wspomina.

– Wybacz, Ottavio – nie dawał za wygraną były katon – ale Łukasz wymienia tylko trzy z ośmiu Błogosławieństw i miesza je z trzema kłótwami, o których Mateusz w ogóle nie wspomina. Poza tym twierdzi, że Kazanie na Górze zostało wygłoszone na równinie u stóp góry. Sprawdź sama³⁰. Inni ewangeliciści w ogóle o tym nie mówią. Tak że Osiem Błogosławieństw, a raczej to, co tak nazywamy, pojawia się w tym kształcie wyłącznie w Ewangelii Mateusza.

– Jedynej, której używają ebionici – zaznaczyła Abby.

– Faktycznie.

– I żeby przedstawić swój program wyborczy – dodał Gilad, zerkając na mnie spod oka – ucieka się do żydowskiej formuły literackiej es'szer, błogosławieni albo szczęśliwi.

– Jeśli przetłumaczysz dalej tę inskrypcję – powiedziałam szorstko – dowiemy się, jak brzmiały Błogosławieństwa z Mateusza w wydaniu ebionitów, bo to, co przedtem mówiłeś, nie bardzo się zgadza z Nowym Testamentem.

– Nie bardzo się zgadzają także teksty Mateusza i Łukasza – zwrócił uwagę Kaspar, który wyjął z plecaka małą egzemplarz Biblii i szybko go kartkował. Tasczył Biblię w plecaku?...

Gilad wrócił do rysunku wyrytego na ścianie i wszyscy z wyjątkiem Kaspara poświeciliśmy mu znowu latarkami.

– „Błogosławieni ubodzy – zaczął czytać raz jeszcze od początku, od środka spirali – albowiem do nich będzie należało królestwo. Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni”...

– Łukasz pisze: „Błogosławieni wy, którzy teraz płaczecie, albowiem śmiać się będziecie” – przerwał mu Kaspar, czytając z Pisma Świętego.

– Łukasz nas nie interesuje – oznajmił Faradz. – Lepiej się w to nie wplątujemy.

Kaspar posłusznie schował Biblię do plecaka, Gilad zaś wrócił do tłumaczenia:

– „Błogosławieni cisi, albowiem otrzymają ziemię”.

Zdziwiłam się.

– Trzecie Błogosławieństwo mówi „cisi”, a nie „którzy cierpią”. Na pewno jest „cisi”, Gilad? Faradz, a twoim zdaniem jak?

Obaj archeologowie, muskularny Żyd i przystojny Egipcjanin, nachylili się ku inskrypcji, po czym odwrócili się w stronę światła i mrużąc osłepione oczy – zwłaszcza Faradz – kiwnęli głową.

– Już Mizmor XXXVII... – zaczął Gilad, zaraz jednak się zreflektował i poprawił: – Znaczy już Psalm XXXVII mówi, że cisi, pokorni posiadają ziemię. Może ebionici używali jakiejś wersji Mateusza bliższej naszej Biblii hebrajskiej.

Nie zamierzaliśmy przyznawać tutaj i przy nim, że ma słuszność, że Ewangelia Mateusza jest najbardziej żydowska i oryginalna ze wszystkich czterech kanonicznych i że w każdej jest mnóstwo błędów translatorskich, a nawet umyślnych modyfikacji i dopisków. Byłoby to dorzucaniem drew do ognia. Albo mówiąc bardziej nowocześnie, dolewaniem benzyny do ognia.

– Czytaj czwarte Błogosławieństwo – poprosił Kaspar.

– „Błogosławieni, którzy łakną, albowiem będą nasytzeni”.

„Łakną i pragną sprawiedliwości”, szepnęłam pod nosem, wychwyciwszy kolejną różnicę. Najwyraźniej Jezus mówił konkretnie o rzeczywiście płaczących, cichych i złaknionych, a nie symbolicznie, jak chcieli pierwsi Ojcowie Kościoła.

– „Błogosławieni miłosierni, bo dostąpią miłosierdzia” – tłumaczył dalej Gilad, teraz już szybko, bez wahań jak na początku. – „Błogosławieni czystego serca, bo będą oglądać Boga. Błogosławieni łagodni, bo będą synami Bożymi. Błogosławieni sprawiedliwi, którzy są prześladowani, bo do nich będzie należało królestwo”.

Dotarł do końca spirali. Odwrócił się do nas, akurat gdy opuściliśmy latarki ku ziemi.

– Nie wiedziałem, że Jeszu mówił takie rzeczy – mruknął. – To czysty judaizm. Tora w stu procentach. I oczywiście po interpretacyjnej linii Hillela.

Już miałam go oświecić, że w żadnym razie to nie jest judaizm, lecz kwintesencja chrześcijaństwa, przesłanie miłości i współczucia Jezusa z Nazaretu, coś mnie jednak

powstrzymało. Może chrześcijanie i żydzi wcale tak bardzo się nie różnią? Może tylko tak nam się wmawia od dawna? Zdecydowałam się zatem milczeć, dodać to do listy spraw do przemyślenia i pogrzebać za wyjaśnieniem, kiedy znajdę czas.

– Świetnie – rzekł Kaspar, podnosząc plecak z ziemi. – Czyli przeczytaliśmy Błogosławieństwa albo Pobożne Życzenia z oryginalnej Ewangelii Mateusza. Idziemy tymi schodami, zobaczymy, dokąd nas zaprowadzą.

– Momencik! – zawołałam, unosząc rękę. – To niedobra pora na zapuszczanie się w głąb góry. Lepiej wróćmy do hotelu. Wykąpiemy się, zjemy kolację, porządnie wyśpimy i jutro wrócimy tutaj.

Wszyscy popatrzyli na mnie, jakby mi rozum odebrało.

– No co ty! – zdumiała się Abby. – Może na końcu tych schodów są ossuaria.

Kaspar ruszył w dół po stopniach, nie racząc nic więcej powiedzieć. Reszta towarzystwa podążyła za nim. Faradz podszedł do mnie.

– No, kochanie, wytrzymaj jeszcze trochę – powiedział. – To niedługo potrwa. Sprawdzimy, dokąd prowadzą te schody, i jeśli nic tam nie będzie, wrócimy do hotelu, a jutro będziemy szukali dalej, dobrze?

Kiwnęłam głową, bo on mnie prosił, acz zgodziłam się bez przekonania. Wrodzona nieufność kazała mi podejrzewać, że coś tu nie gra. Czy ebionitom nie zajęło dwudziestu lat przygotowanie tej kryjówki w górze Meron? I tylko by w tym czasie wydrążyli komorę, by pochować w niej Hillela, i wryli spiralnie Osiem Błogosławieństw? Nie, nie, musiało być coś jeszcze, tylko niewidoczne, ale oni wszyscy (a osobliwie Kaspar) zachowywali się jak ostatni głupcy, nie zdawali sobie sprawy, że niczym stado niewinnych owiec leżymy prosto w paszczę lwa.

Kiedy powiedziałam to Faradzowi, uśmiechnął się wyrozumiale, traktując te słowa jako kolejny z moich lęków i kaprysów.

– Idziemy, basileja! – odparł, dźwigając nasze dwa plecaki i podając mi drugą rękę. – Co będzie, to będzie, ale nie wydaje ci się, że to niesamowite doświadczenie?

– Nie.

Z wahaniem weszłam na pierwszy stopień, bojąc się, że ostry nóż przetnie mnie na pół. Popatrzyłam na ziemię, czy nie widać tam krwi tych, którzy nas poprzedzali, lecz nie, nie było nic. A niżej w pewnym oddaleniu migало światło. Co znaczyło, że tamci żyli i schodzili po stopniach. W porządku, pomyślałam. Może faktycznie mają słuszość i ossuaria znajdują się na końcu tych długich, kręconych, wysklepionych schodów wyciętych w skale. Lada moment, mówiłam sobie, usłyszę Kaspara pokrzykującego z radości na widok znaleziska (albo jego agonalne jęki).

Na razie jednak zza ściany po lewej słyszałam metaliczne pobrękiwanie jakby łańcucha

zwijanego lub rozwijanego i nieustający szmer przesypującego się gdzieś piasku. Po czym rozległ się gromki głos Kaspara, który ile sił w płucach ostrzegł nas:

– Uwaga! Ostatni stopień to przy cisk!

Nie było stadium przejściowego ani pauzy. Ledwie skończył mówić, za sobą usłyszeliśmy przeciągły zgrzyt kamienia trącego o kamień. Błyskawicznie odwróciłam się do tyłu i zobaczyłam plecy męża, który zrobił to samo. Przechyliłam się i zerknęłam obok niego. Światło jego latarki padało na to, co jeszcze chwilę wcześniej było otworem prowadzącym z komory ze spiralną inskrypcją na schody. Przejścia już nie było: zastawiał je potężny kamienny dysk, taki jak ten, który widzieliśmy w ścianie synagogi w Susji. Stanąwszy na ostatnim stopniu, Kaspar jakoś uruchomił mechanizm, który wypchnął dysk ze skały i przesunął go tak, że otwór został zablokowany. Nie było mowy, żeby go poruszyć: na pewno ważył ponad tonę.

Mąż odwrócił się i popatrzył na mnie, kierując światło latarki na ziemię.

– Wszystko gra u was? – dobiegło wołanie byłego katona. W korytarzu niósł się lekki pogłos.

– Jesteśmy uwięzieni! – odkrzyknął Faradz, nie odwracając ode mnie wzroku.

– Co mówisz? – wrzasnął Kaspar.

– Przejście do komory się zamknęło! – ryknął mój mąż. – Jesteśmy w pułapce!

Rozległ się tupot nóg naszych towarzyszy, którzy biegli ku nam. Mąż pogładził mnie po policzku.

– Miałaś rację – rzekł ze smutkiem. – Coś tu nie gra.

– Tak – zgodziłam się. – Wpadliśmy po uszy.

ROZDZIAŁ 26

– Wasze telefony mają zasięg? – zapytał Kaspar, z irytacją patrząc na swój aparat.

Pokręciliśmy przecząco głowami. Byliśmy pozbawieni łączności ze światem, nie mogliśmy ani wezwać pomocy, ani poinformować nikogo o swoim położeniu. Braku sygnału w komórkach nie mogli przewidzieć ebionici sprzed ośmiu wieków, ale wyglądało to tak, jakby góra z nimi współdziałała, pomagając im w dochowaniu sekretu. Na wszelki wypadek postanowiliśmy wyłączyć telefony, aby oszczędzać baterie, i jednym tylko szukać sygnału na długich, szerokich schodach i w każdym zakątku tej jaskini zamkniętej kamiennym kręgiem, który tyle wieków czekał, by wychynąć z kryjóWKi.

Znajdowaliśmy się sporo poniżej poziomu ziemi. Minąwszy oficjalny grób Hillela i jego uczniów, zesłaliśmy dobre dwadzieścia pięć metrów zdaniem Kaspara i Sabiry, którzy mieli oko do tych rzeczy, i dotarliśmy do sporej jaskini, ewidentnie wykutej przez człowieka, o podłożu usianym dziwnymi dziurkami wypełnionymi wodą. Nie mieliśmy pojęcia, do czego mogli ich używać ebionici, ale zapach szedł od nich mało przyjemny, usiedliśmy zatem w pewnym oddaleniu, opierając się o plecaki. Pogasiiliśmy także część latarek, by nie zużywać bez sensu baterii, chociaż ledy nie są energożerne. Ponieważ jaskinią miała jakieś cztery metry wysokości, nagle otoczył nas mrok, a jakby tego było mało, panował tam wilgotny chłód przenikający do kości. Kiedy zśliśmy w dół, temperatura wyraźnie spadała – teraz było najwyżej osiem, dziesięć stopni, toteż ubraliśmy się cieplej, włożyliśmy też gumowe rękawice. Szczęśliwie plecaki pakowali Kaspar z Abby, którzy przewidująco zadbali o wszystko, łącznie z odzieżą termiczną.

– Która godzina? – spytała Sabira, która nie nosiła zegarka, a nie mogła zerknąć na komórkę.

– Siódma – odparł Gilad. – Pora kolacji.

Były katon obrócił do mnie kamienną twarz z ponurym uśmiechem na ustach.

– W czym problem? – rzuciłam wyzywająco.

– Mnie pytasz? – udał zdziwienie, lecz wyszło mu to marnie, bez wdzięku. Aktor z niego był do chrzanu.

– Przezań – odparłam, biorąc od Faradża plastikowe, przezroczyste pudełeczko z czymś zawiniętym w serwetki.

Inni także grzebali w plecakach, wyjmując jedzenie. Kiedy odwinęłam ostatnią papierową serwetkę i zobaczyłam... to coś, wydałam z siebie okrzyk zgrozy.

– Kurczę, co to jest? – jęknęłam.

– Pita z koszernym hamburgerem – wyjaśnił Kaspar bardzo rozbawiony i odgryzł połowę okrągłego placka nadzianego mięsem.

– Chcę stąd wyjść! – oznajmiłam gromko, wspomniawszy fantastyczny hotel w Tel Awiwie. –

Nie będę jadła tego paskudztwa!

Poczułam lekkie uszczyplenie i aż podskoczyłam. Faradz ostrzegł mnie, że na nic moje narzekania. Obejrzałam się na niego, lecz na jego niewinnym obliczu widniało jedynie nieskrywane zadowolenie z przeżuwania tego obrzydliwego wypełnionego suchym mięsem.

Każdy z nas miał po dwa aluminiowe bidony z wodą, i bardzo dobrze, bo byłam spragniona, acz gdy się napiłam, poczułam o wiele dotkliwszy głód. Nie zamierzałam jednak brać do ust tej cholernej pity z dziwnie wyglądającym mięsem i nieokreśloną białą papką, która wylewała się ze środka i wyglądała jak pasta do zębów. Nawet zapach tego był nie do zniesienia.

– Innego jedzenia nie ma? – spytałam po cichu Faradza, korzystając, że reszta towarzystwa wdała się w rozmowę.

– Masz zjeść hamburgery bez gadania – ostrzegł poważnie. – Jesteś gorsza niż Isabella w wieku burzy i naporu. Gorsza niż tabun rozpuszczonych dzieci. Gorsza niż...

– Dobra, już załapałam – przerwałam mu. – Jestem najgorsza. W porządku.

– Jedz! – syknął.

– No dobra! Nie musisz zaraz krzyczeć.

– Krzyczę po cichu – szepnęła.

– Tak, ale krzyczysz – zaprotestowałam i odgryzłam kawałek paskudztwa.

No dobra, nie było takie złe. Tylko dziwne, suche i mocno przyprawione. Ponieważ przy koszernym uboju zwierzęta wykrwawiano, mięso było trochę łykowate. A biała pasta, która wypływała z kieszonki pity, była mocno słonym, cierpkim w smaku, ciągutkowym serem. Niestety, byłam bardzo głodna, musiałam zatem zjeść dwie pity przy ponuro uśmiechniętym Głazie, który obżerał się po drugiej stronie naszego kręgu. Nie wiem, dlaczego w życiu ciągle mam do czynienia z pospółstwem najgorszego sortu, niemniej musiałam to jakoś znieść.

– Ile jest otworów? – usłyszałam pytanie Abby między jedną a drugą pitą. Ewidentnie chodziło jej o dziury w podłożu.

– Zaraz policzę – rzekł Gilad, zwinnie wstając i biorąc latarkę.

On i Sabira już się posilili i oboje stwierdzili, że hamburgery przygotowane w hotelu Safer były pyszne. Dowiedziałam się następnie, że muzułmanie przestrzegają zasad żywieniowych bardzo podobnych do żydowskich. O dziwo, hamburgery smakowały także Abby, blond Kanadyjce o wykwintnych upodobaniach. Nie mogłam na ten temat wygłosić żadnego niewinnego komentarza, ponieważ Faradz przy sunął się do mnie i jak zwykle mi tego zabronił.

Wodziliśmy wzrokiem za Giladem, który krążył po jaskini z latarką wycelowaną w podłoże. Czułam się, jakbym jadła kolację przed telewizorem, oglądając beznadziejny program.

– Chyba dwanaście – zawołał z głębi jaskini.

– Do czego służyły? – zastanowił się Faradz. – Na coś były potrzebne, bo zostały wydrążone

umy ślnie.

Otwory w podłożu były identyczne: idealnie okrągłe, o średnicy około trzydziestu centymetrów, niemal po brzegi wypełnione cuchnącą, ciemną wodą. Wystarczyłaby chwila nieuwagi, by wdepnąć w któryś, i człowiek miałby się z pyszna.

– Przypuszczalnie woda była czysta, kiedy drążyli jaskinię – rozmyślał na głos były katon. – Może robotnicy używali jej do picia albo do mycia? Może odprawiali tu jakiś rytuał religijny?

– Nie znam wyznania chrześcijańskiego, które by używało dziur w podłożu – zauważyłam, ocierając usta serwetką.

– Z tego, co wiem, żydowskiego też nie ma – powiedział Gilad.

– Ani muzułmańskiego – dodała Sabira.

Giladowi jasna skóra poczerwieniała nagle, jakby mu gorączka podskoczyła. Nareszcie odkrył, że śliczna dziewczyna jest muzułmanką. Choć naturalnie dalej nie wiedział, że to asasyńska.

– Czyli używali tej wody do picia albo mycia – stwierdził Kaspar.

– Może ossuaria są w nich ukryte – wysunął przy puszczenie Faradz. – Na dnie.

– Nie zmieściłyby się – rzekła Sabira zmartwiona.

– Dokładnych wymiarów nie znamy – zauważył mój mąż.

– Wszystkie żydowskie ossuaria z pierwszego wieku – wykrztusił Gilad, próbując ukryć ogromne poruszenie – miały kształt regularnego prostopadłościanu długiego na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt centymetrów, szerokiego na trzydzieści, wysokiego na dwadzieścia.

Domyśliłam się, że chodzi właśnie o podłużne skrzynki na należącej do Simonsonów grubej złotej płytce, na której Hulagu-chan, Dokuz-chatun i Makicha oddają cześć prostopadłościanom ze szczątkami Jezusa i jego rodziny.

– No fakt – przyznał mój mąż. – Przy takich wymiarach nie mieszczą się, jasne. Chyba że ustawić je pionowo, a dziury mają metr głębokości.

Gilad, ciągle wstrząśnięty tym, że Sabira jest muzułmanką (co najwyraźniej stawiało między nimi nieprzebyty mur), oddalił się znowu, by po kolei dokładniej oświetlać latarką otwory, próbując przejrzeć ciemną wodę. Tyle dobrze, że mieliśmy nowoczesne latarki, wodoszczelne, bo nieraz o mało swojej nie zamoczył.

– A jeżeli tutaj umrzemy? – szepnęłam do Faradza, patrząc na oblepiony ziemią kolejny ogromny kamienny dysk który zamykał jedyne wyjście z tej jaskini. – Nie możemy wezwać pomocy.

– Nie martw się, basileja – rzekł spokojnie. – Jeśli w najbliższych dniach nie damy znaku życia, zaczną nas szukać. Izraelskie służby są bardzo skuteczne, a o wszechwładnej Fundacji Simonsonów nawet nie wspomnę.

Nieufnie na niego spojrzałam i podczas gdy on z uśmiechem popijał wodę z bidonu,

podniosłam się i skierowałam tam, gdzie był Gilad. Chciałam pooglądać te dziury w podłożu. Musiałam czymś się zająć, żeby zagłuszyć strach, prawda? Zawsze trzeba stawiać czoło lękom, inaczej paraliżują człowieka. A że szczęście sprzyja zuchwałym, raz jeszcze bezdyskusyjnie dowiodłam, że do takich należę, bo już w pierwszym otworze spostrzegłam coś dziwnego.

Woda zalatywała zgniłym jajkiem albo rynsztokiem, lecz mimo że była mętna i brudna, w świetle mojej latarki coś w niej lekko błysnęło. Pewnie jakieś żyjątko. Robał wodny albo ryba, która zmutowała pod wpływem jakiegoś toksycznego składnika wody i zrobiła się odblaskowa. Przełamując zatem obawy, nachyliłam się bardziej nad otworem i z bliska poświeciłam latarką.

– Co ty robisz, Ottavio? – zdumiał się mój mąż.

– Coś zobaczyłam – mruknęłam, po czym zakryłam usta i nos lewą dłonią, bo od tego smrodu aż mnie mdliło.

Usłyszałam przybliżające się kroki, gdy bez efektu wpatrywałam się w głębię mętnej wody.

– Co zobaczyłaś? – rozległ się gruby głos Kaspara.

– Nie wiem – wyznałam szczerze, nie odsłaniając całkiem ust. – Coś błysnęło na moment w świetle latarki, ale drugi raz tego nie zobaczyłam. Może mi się przywidziało.

– Pokaż – rozkazał Głaz.

– Masz lepszy wzrok i latarkę niż ja? – wymamrotałam w swoją dłoń.

– Latarkę nie, ale wzrok tak – oznajmił, kłękając obok mnie. – Nie używam okularów, a ty owszem.

Kiedy dwiema latarkami oświetliliśmy wodę, błysk znowu się pojawił. Na sekundę coś intensywnie zaślniło, po czym zaraz zgasło.

– Faradź, chodź tu! – zawołał Kaspar. – Abby, Sabira, Gilad, przynieście jakiś długi drąg!

Wyprostowałam się i oddaliłam nieco, bo byłam o włos od zwrócenia do wody cudownej koszernej kolacji.

Kiedy walczyłam z buntem żołądka i głowy, inni gmerali w szlamie w dziurze prętem od namiotu wydobytym z plecaka Kaspara. Przeszło mi przez myśl, czy aby nasze plecaki nie są jak magiczna torba, z której Mary Poppins wyjmowała nawet wieszak stojący. Wyraźnie tę scenę pamiętałam, ponieważ zrobiła na mnie wielkie wrażenie, kiedy jako dziecko oglądałam film w Palermo.

– Potrzebne nam coś, czym da się to wyjąć! – ryknął Kaspar, wstając z kolan. – Jest na głębokości około metra.

– Co to takiego? – zapytałam.

– Nie wiadomo – odparł. – W zmaczonej wodzie nic nie widać, w każdym razie nie jest przy mocowane, bo się przesuwa pod dotykiem.

– Może przywiązać łyżkę do pręta? – podsunęła Abby.

I wtedy na moich oczach rozegrała się najdziwniejsza scena, jaką w życiu oglądałam (łącznie z tą z wieszakiem Mary Poppins): Kaspar się uśmiechnął i chwyciwszy Abby w pasie, podniósł ją i ognicie pocałował w usta. Z tego, co widziałam, Abby entuzjastycznie odpowiedziała na pocałunek, zarzuciwszy Kasparowi ręce na szyję. Cóż, gdyby chwilę dłużej to potrwało, poprosiłabym, by poszukali sobie jakiegoś ciemnego, odległego kąta (żadnych pomieszczeń tam nie było).

– Kochanie, zamknij buzię – szepnęła mi mąż.

Nie mogłam jednak, bo dosłownie skamieniałam. Nie mogłam również odwrócić wytrzeszczonych oczu, moje serce nie było w stanie tłoczyć krwi do żył.

– Basileja... – upomniał mnie Faradź. – Nie gap się tak, proszę.

Miałam się nie gapić? Żeby umknęła mi ta historyczna chwila, gdy były łaton, najtwardszy Głaz, facet najbardziej na ziemi przykry i denerwujący wyciskał ognisty pocałunek na ustach Abby Simonson, dziedziczki rodziny Obcych, która panowała nad światem? Nie ma mowy! Kto inny może się wyrzec tego widoku, ja nie!

I nagle ogarnął mnie niepohamowany śmiech. Donośny dźwięczny śmiech odbijający się od ścian jaskini ponurym echem, chociaż wcale nie był ponury, lecz pełen rozbawienia: głupi Kaspar, odmówił wyznań przede mną w czasie lotu do Izraela, a teraz sam wyjawiał swój sekret, kiedy owładnął nim entuzjazm, nad którym nie zdołał zapanować. Podobnie jak ja nie mogłam zapanować nad śmiechem mimo licznych poszturchiwań, kuksańców i kopnięć w kostkę, którymi częstował mnie Faradź. Pokładałam się ze śmiechu, przysięgam, że pokładałam się ze śmiechu. Dawno nie widziałam nic lepszego. Kaspar i Abby! Rany boskie! Brzuch mnie rozbolał ze śmiechu, łzy strumieniem płynęły mi z oczu, co rusz ocierałam je rękawem. Mój plan zadziałał, pomyślałam, krztusząc się ze śmiechu.

Miałam szczęście, bo jak powiada Faradź, mój śmiech jest bardzo zaraźliwy, toteż po chwili wszyscy zaczęli się śmiać. Abby się zawstydziała, a Kaspar wpadł w szewską pasję – postawił dziewczynę na ziemi i ruszył na mnie jak buldożer. Wcale mnie jednak nie wystraszył, tak uroczo bowiem się prezentował w nowej roli romantycznego amanta, że tylko spotęgował mój śmiech. Kiedy stanął przede mną, twarz miał odmienioną.

– Przestań – poprosił. – Ucisz się wreszcie. Już wiesz, co jest między Abby a mną.

Cóż, dłużej nie mogłam, musiałam się oprzeć o pierś Faradźa, bo myślałam, że umrę. Chętnie bym mu coś odpowiedziała, lecz nie byłam w stanie, słowo. Nawet mój mąż się śmiał. Wszyscy śmiali się w głos.

Kiedy trochę się uspokoiłam – odrobinę – i oderwałam twarz od piersi Faradźa, zobaczyłam, że Abby uśmiecha się do Kaspara, trzymając go za rękę. O matko! pomyślałam. On mnie zaraz zabije! I zanim coś zdążył powiedzieć, na powrót szybko ukryłam twarz na piersi Faradźa. Coś

takiego Isabella nazywała „momencikiem”. Niezapomnianym!

Biedni Kaspar i Abby znosili wszystko po stoicku, póki z wolna nie zdołaliśmy się uspokoić. Ja musiałam się bardziej postarać, ponieważ nie miałam w tym żadnego interesu, za to uciechy co niemiara i mogłam się odegrać.

W końcu Faradz mnie odsunął i wyciągnął rękę do Kaspara.

– Cieszę się bardzo, że wam wyszło – usłyszałam jego słowa, gdy ocierałam znowu oczy.

– Nic nie mówiliśmy – tłumaczył się Kaspar – bośmy wiedzieli, że Ottavia odstawi taką właśnie scenę.

– Wcześniej czy później musiało do niej dojść – wykrztusiłam między jednym a drugim chichotem. – I zawsze lepiej wcześniej.

– Straszna jesteś, Ottavio! – rzucił niezadowolony.

– Och, przestań – odparłam. – Życie to nie bajka. Ale w sumie cieszę się za was oboje. Nie wiem tylko, czy Abby wie, w co się pakuje.

Sabira podeszła do Abby, aby ją uściskać, Gilad odczekał, aż się oddaliła, po czym także złożył dziedziczne gratulacje. Odkład się dowiedział, że Sabira jest muzułmanką, wyraźnie stronił od niej. Ech, te jego osobliwe przesady. Przysięgłabym, że asasyne nie sprawiały przykrości jego dotychczasowe awanse.

– Przymocujemy łyżkę do pręta od namiotu – wróciła Abby do tematu – i spróbujemy wyciągnąć to coś z dziury.

Kaspar czym prędzej pomaszerał do plecaków, aby się oddalić od prześmiewców, a Faradz i ja popatrzyliśmy na siebie ucieszeni, że nasz były katon jest szczęśliwy. Martwił nas jego smutek w ostatnich latach, dlatego naprawdę byliśmy radzi.

– Nie rozumiem, czemu musimy wyciągać z wody to coś, co błyszczy – stwierdziła Sabira, podszedłszy do mnie. – To pewnie kawałek szkła albo metalu. Nieprzydatny ani w poszukiwaniu ossuariów, ani w wydostaniu się stąd.

Mój mąż popatrzył na nią z pobłażaniem doświadczonego archeologa, który poucza nowicjusza.

– Posłuchaj, Sabiro – powiedział, podczas gdy Kaspar mozolnie kawałkiem drutu przywiązywał plastikową łyżkę do pręta. – Może i na logikę biorąc, nie ma powodu, żeby to zrobić, ale z doświadczenia wiemy, że jeśli ktoś chce coś ukryć i chronić, nie wolno mu schować tego na amen. Musi zostawić jakąś furtkę, bo może zdarzyć się i tak, że z konieczności przyjdzie mu zabrać to coś.

– Dawniej władcy i szlachetnie urodzeni – dodałam – nie kazali się grzebać w dyskretnych grobach zbudowanych w tajnych miejscach, żeby z czasem o nich zapomniano i wymazano ich imiona z kart historii. Chcieli natomiast chronić swoje wypasione megalomańskie mauzolea

zabezpieczone przed złodziejami przez pułapki, które znali ich bliscy i osoby zaufane.

– Zawsze sobie zostawiali ukryte klucze na wszelką ewentualność – wyjaśnił Faradz. – A że nie wiemy, jakie klucze zostawili ebionici, musimy próbować wszystkiego, choćby się to wydawało absurdalne.

– No to już! – pogonił nas hiperaktywny Kaspar, który przemierzał jaskinię niczym kula we flipperze, ryzykując, że wpadnie do jednej z dziur jak w prawdziwej grze.

Przykłąkł, a my obok niego wokół otworu oświetlanego latarkami Abby i Faradza. Zaczął mieszać błotnistą wodę, szukając błyszczącego przedmiotu, który mignął raz i drugi, lecz zaraz znikł jak żywy. W końcu go uchwycił łyżką i przytrzymał przy ścianie otworu. Pomalutku, aby się nie ześliznął, podnosił go do góry, aż znalazł się na powierzchni, i wtedy ujrzeliśmy kulę wielkości piłeczki golfowej, krwistoczerwoną pod światłem, które na niej osiadło w wodzie.

Nie była to jednak zwyczajna kula. Kiedy Kaspar położył ją na dłoni, a Gilad opłukał odrobiną czystej wody z butelki, czerwona piłeczka golfowa przeobraziła się w drogocenny klejnot, w oszlifowany rubin koloru krwi, ale pozbawiony faset, idealnie gładki, skrzący się i migoczący bez ustanku w świetle.

– To kabuszon – szepnęła Sabira. – Rubin kabuszon. Musi być wart fortunę.

– Co to jest kabuszon? – zapytałam.

– To nazwa szlifu – wyjaśniła. – Chociaż nie tylko, bo o kamieniach szlachetnych wypolerowanych i zaokrąglonych mówi się, że mają kształt kabuszonu.

– Taka brzydka nazwa dla czegoś tak pięknego! – zauważyłam, czubkiem palca trącając go lekko, jakby parzył. – Ale faktycznie na pewno jest wart majątek.

– Niewątpliwie – potwierdziła Abby ze zmieszaniem widocznym na twarzy. – W innych otworach też są?

– Sprawdźmy – rzekł Kaspar, wstając i podając jej rubin.

Całą gromadą podeszliśmy do najbliższego otworu, otoczyliśmy go i przeprowadziliśmy ponownie połów śliskiego przedmiotu. Wydobyliśmy kolejną piłeczkę golfową, naprawdę niezwykłą: po obmyciu jej czystą wodą w białym świetle ledowym kabuszon rzucał tęczowe błyski, które zdawały się rodzić w jego wnętrzu i prześlizgiwać ku gładkiej powierzchni.

– To najpiękniejszy diament, jaki widziałam! – wykrzyknęła wstrząśnięta Sabira.

– Faradz, czemu nigdy nie dajesz mi w prezencie kamieni szlachetnych? – zapytałam męża na stronie, nie odrywając wzroku od cudownego klejnotu.

– Bo ich nie nosisz – odparł. – Przed laty podarowałem ci nasz zjnik z pereł, którego nawet nie wyjęłaś z kasetki.

No fakt, nigdy nie zwracałam uwagi na kosztowności, nigdy nie czułam potrzeby posiadania ich i noszenia, teraz jednak widząc, jak dużo Sabira i Abby wiedzą o kamieniach szlachetnych

i ich wartości, poczułam lekkie kompleksy. Zakłuło mnie w sercu z żalu za naszymi z pereł, który przypadł w pożarze naszego domu w Toronto, wspomniałam bowiem, z jakim uczuciem obdarował mnie nim Faradż z okazji pierwszej rocznicy ślubu i jak niewielką uwagą ów prezent obdarzyłam.

Ponad dwie godziny z niejakim trudem wyławialiśmy z dwunastu otworów w podłożu piłeczki golfowe w różnych kolorach. Zgromadziliśmy kolekcję bezcennych kamieni, chociaż niektórych ani Abby, ani Sabira nie potrafiły zidentyfikować, mimo że na miłą było czuć, iż obydwie są obeznane z kosztownościami. Wyjmowane z wody kule wkładaliśmy do worka foliowego, ponieważ ich przybywało i ważyły swoje, a nie mogliśmy ich dźwigać, czekając na wyłowienie kolejnej.

Upewniwszy się wreszcie, że w żadnym otworze nie została ani jedna kula, wróciliśmy do prowizorycznego obozowiska złożonego z naszych plecaków i w absolutnej ciszy usiedliśmy kręgiem. Cóż mogliśmy powiedzieć? Mieliliśmy dwanaście bezcennych klejnotów, lecz nie wiedzieliśmy, dlaczego je tu zostawiono i co teraz z nimi zrobić. Ułożyliśmy je zatem pośrodku, by każdy widział wszystkie.

– Sabiro – odezwał się nagle Faradż – powiedziałś przedtem, że nie rozumiesz, po co mamy wyciągać z wody to, co w niej błyszczy.

Sabira się uśmiechnęła, zgadując, do czego zmierza Faradż.

– Te kamienie to klucze do drzwi? – spytała naiwnie.

– Daję głowę – przyznał Faradż.

– Nie dawaj tego, co do ciebie nie należy – szybko zaznaczyłam.

Kaspar i inni sądzili pewnie, że chodzi mi o to, iż życie każdego należy do Boga (co oczywiście jest prawdą), lecz uśmiech Faradża świadczył, że doskonale mnie zrozumiał: jego życie należało do mnie, tak jak moje należało do niego, nie mógł zatem go oddawać, nie zapytawszy przynajmniej o pozwolenie.

Wzięłam do rąk kulę ametystową, fioletowej barwy, która się przyturlała i zatrzymała przede mną, i uważnie ją obejrzałam, szukając jakiegoś znaku, wskazówki. Była jednak jak inne idealnie wypolerowana, delikatnie i z niewiarygodnym mistrzostwem.

Z tego, cośmy wiedzieli, w tym stosie kamieni mieliśmy czerwony rubin, przezroczysty diament, agat w kolorze musztardowym, fioletowy ametyst, intensywnie zielony szmaragd, szafir ostrej ciemnoniebieskiej barwy, czerwony jaspis, czarny onyks, żółty topaz i beryl koloru morskiego. Były jeszcze dwie kule, lecz nie potrafiliśmy określić, co to za kamienie: jedna zielona, prawdopodobnie malachitowa, druga intensywnie czerwona, matowa, być może opal (albo i nie zdaniem ekspertów). Z jakiegoś głęboko ukrytego ciemnego zakątka mojego umysłu wychynęło wspomnienie i przedarło się do mojej świadomości, lecz było tak dawne i głupie, że

nie zwróciłam na nie uwagi.

– I co z tym zrobimy? – zapytał Głaz, długimi rękami zbierając kule pośrodku. – Co to znaczy, do diabła? Czemu ukryto je w dziurach z wodą?

– Wiesz co? – odparłam z irytacją. – Jeśli myślisz, że jakoś szybko rozwikłasz tę zagadkę, to próżne nadzieje. Nic teraz nie wymyślimy. Niedługo północ, jesteśmy wykończeni.

– Tak sobie myślę... – zaczęła Abby. – Ale nie. Nie jestem pewna.

– Ależ powiedz – zachęcił ją łagodnie były katon, patrząc na nią miłośnie.

– O matko moja! – zawołałam. – Nie zniosę tego! Streszczajcie się!

– Basileja, daj im spokój! – zganił mnie rozszoszczony Faradz.

– Nie widzisz, że się zgrywają? – broniłam się.

Abby zdecydowała się ostatecznie wyłożyć, co jej przyszło do głowy.

– A jeśli te kamienie to choszen miszpat, które nosił kohen ha-gadol?

Zanim ktokolwiek zdążył ją poprosić, by przestała mówić językiem Wolkan z *Gwiezdných wojen*, Gilad Abravanel podchwycił z entuzjazmem:

– No jasne! Choszen miszpat! Że też tego nie zauważyłem! Rzecz w tym, że kamienie choszen miszpat są sześcianami albo prostopadłościanami. Nigdy nie widziałem sferycznych.

– Co to jest choszen miszpat? – spytałyśmy równocześnie Sabira i ja.

Nikt jednak nie raczył nam wytłumaczyć. Wszyscy wydawali się przekonani, że te wolkańskie słowa to prawda objawiona. Znaczący musiały być hebrajskie, bo Gilad i Faradz je zrozumieli. Dziwne było już to, że Abby mówi po hebrajsku, ale jeszcze dziwniejsze, że Głaz najwyraźniej rozumiał, o czym jest mowa.

Faradz zdał sobie sprawę, że wraz z Sabirą zostałam wykluczona z rozmowy, szybko zatem przyszedł nam z pomocą:

– Choszen miszpat to hebrajska nazwa pektorału, który arcykapłan, czyli kohen ha-gadol, musiał nosić na rytualnym stroju, kiedy wchodził do miejsca nazywanego Święte Świętych.

– Czy druga księga Tory, Szmot, też jest w chrześcijańskim Starym Testamencie? – nerwowo zagadnął Gilad.

– Nie – odpowiedziałam. Księgi Starego Testamentu nie w pełni pokrywają się z Biblią Hebrajską, niektórych nasze Pismo Święte nie uwzględnia, a nazwy Szmot nigdy nie słyszałam.

– Nie, nie, jest – sprostowała Abby, która naraz, jakby nie przemieniła się wystarczająco, stała się jeszcze specjalistką od hebrajskiego i Pisma Świętego. – Ale nosi tytuł Księga Wyjścia.

– A, świetnie! – ucieszył się archeolog. – Kaspar, mógłbyś mi pokazać chrześcijańską Biblię?

Kaspar bez słowa otworzył swój plecak, wyjął książkę i podał ją Giladowi, któremu drżały ręce.

– Księga Wyjścia, tak, Abby? – upewnił się, patrząc na spis treści.

– Wiem, czego szukasz – rzekła z uśmiechem. – Układ rozdziałów jest taki sam. Patrz rozdział dwudziesty ósmy, werset piętnasty. Pomóc ci?

Gilad się zaśmiał.

– Skoro do dziewiętnastego roku życia wytrzymałem w szkole talmudycznej – powiedział – myślę, że poradzę sobie z chrześcijańską Biblią, chociaż pierwszy raz mam ją w rękach. Dobrze, że rodzice tego nie widzą! – I znowu się roześmiał, acz bez złośliwości, za to z niejaką troską. – Mam nadzieję, że tekst nie został zbyt mocno zmodyfikowany – dodał, przewracając pewnie kartki.

– Na ogół zmiany w Starym Testamencie były niewielkie – uspokoiła go Abby. – Odnosiły się do tego, co przeszkadzało albo pasowało rodzącej się teologii chrześcijańskiej. Nic z tego nas nie dotyczy.

Spojrzałam na nią świeżym spojrzeniem, ponieważ takiej Abby nie znałam. I chyba tak samo uważał Faradz, który ukradkiem dawał mi znaki, by zwrócić moją uwagę. Uwagę Kaspara natomiast całkowicie skupiała Księga Wyjścia–Szmot i pektorał–choszen.

– Mam! – zawołał Gilad i klepnął otwartą Biblię. – „Uczynisz też pektorał do zasięgania wyroczni; a wykonają go biegli tkacze w ten sam sposób jak efod” – zaczął czytać. – „Ze złotych nici, z fioletowej i czerwonej purpury, z karmazynu i z kręconego bisioru. Będzie kwadratowy i we dwoje złożony, a długość jego i szerokość będzie wynosiła jedną piędź. Umieścisz na nim cztery rzędy drogich kamieni; w pierwszym rzędzie rubin, topaz i szmaragd, w drugim rzędzie malachit, szafir i diament, w trzecim rzędzie opał, agat i ametyst, a wreszcie w czwartym rzędzie chryzolit, onyks i jaspis. Będą osadzone w oprawie ze złota w odpowiednich rzędach”.

Oczy już mi się zamykały. Czy nie mogliśmy zostawić tego na następny dzień? Byliśmy zmęczeni, sen dobrze by nam zrobił.

– Co to jest efod? – spytała Sabira.

– Szata bez rękawów nakładana na suknię – wyjaśnił Gilad, po raz pierwszy zwracając się do niej. – Przewiązany był pasem z tej samej tkaniny. Na efod był nakładany pektorał z dwunastoma klejnotami, które symbolizowały dwanaście plemion Izraela. Ale nie mam pewności, czy chrześcijańska Biblia wymienia takie same kamienie jak Szmot.

– Jeśli znajdziemy gdzieś tu zasięg – wtrącił Kaspar – będziemy mogli porównać ze Szmot w internecie.

Abby spojrzała na niego z uwielbieniem, a Faradz szybko zasłonił mi dłonią usta. Spiorunowałam go wzrokiem, lecz ani drgnęłam. Sabira akurat dyskretnie ziewała. Kiedy w końcu cofnęła rękę, odezwałam się, lecz nie powiedziałam tego, co miałam ochotę wyrazić, tylko to, co przyszło mi do głowy w związku z tym tematem:

– Jeżeli macie rację co do tych kamieni, to gdzie jest ten złoty pektorał z fioletowej i czerwonej purpury i z kręconego bisioru, w którym mamy je osadzić? Bo nic takiego tutaj nie

widzę.

ROZDZIAŁ 27

„Czasami widzę umarłych”, mówi bohater filmu *Szósty zmysł*. No cóż, czasami powinnam uciąć sobie języki i zaszyć usta – i nie mam tu na myśli swoich komentarzy w odniesieniu do Kaspara i Abby. Kiedy wspomniałam, że w zasięgu wzroku nie ma tu pektorału ze złota i purpury, wszyscy – ja nie – wzdrygnęli się, jakby prąd ich przeszył, ogarnęła ich gorączka i jakiś obłęd: zerwali się i rozproszyli po całej jaskini, w której byliśmy uwięzieni. Każdy cał skały musieli sprawdzić, oczyścić, podrapać, obmacać, nacisnąć i potrzeć w poszukiwaniu tego przekłętego pektorału.

Chociaż mocno protestowałam, przywoływałam ich do rozsądku, mówiłam o późnej porze, nikt na mnie nie zważał, tak że naraz wbrew swej woli o północy znalazłam się na kolanach w południowo-wschodniej części jaskini, drapiąc scyzorykiem podłoże, z rollką papieru toaletowego i bidonem wody. Nic głupszego nie mogliśmy już zrobić, a jeżeli adrenalina nadal będzie napędzała resztę towarzystwa, ja się wykończę z niewyspania i zmęczenia.

Ponieważ jednak jest sprawiedliwość w niebie – bo na ziemi jej nie ma – około drugiej w nocy Sabira się poddała. A potem Abby. Następnie Faradz i Gilad. Wreszcie poddał się także Kaspar: cisnął wszystko i wlał do śpiwora razem z dziedziczką (obydwa swoje śpiwory złączyli zamkiem, tworząc jeden duży). Ja zrezygnowałam ostatnia, przetrzymawszy wszystkich. Zdjęłam buty i skarpetki, weszłam do śpiwora, w którym Faradz już lekko pochrapywał, i zwinęłam się przy nim w kłębek, czekając na sen z miłym poczuciem zwycięstwa. Moja część jaskini była wypucowana, ale nigdzie nie znalazłam nawet śladu po pektorałach. Inni będą musieli nazajutrz dokończyć swoją robotę.

Obudziły mnie szepty i szelesty, lecz do reszty otrzeźwiałam, kiedy poczułam zapach parzonej kawy i zorientowałam się, że obok nie ma Faradza. Nic się nie zmieniło, odkład zamknęłam oczy i zasnęłam: takie samo światło latarki, taki sam stos plecaków... Tutaj nie zapadała noc ani nie wstawał dzień, nie było żadnych oznak innej pory doby.

– Pobudka, leniuchu! – rzekł mój mąż, dając mi kubek kawy i szybkiego buziaka. – Już dziewiąta, musimy skończyć, cośmy zaczęli.

– Ja skończyłam w nocy – odparłam, upijając łyk gorącej kawy. Była nieposłodzona, ale cóż, w tych okolicznościach nie mogłam oczekiwać cudów. Niezmiennie wierzyłam natomiast w skuteczność działań izraelskiego wojska i Fundacji Simonsonów.

– Oczyszczaś cały swój kawałek? – zdumiał się Faradz.

– Pewnie. Jak coś robię, to robię. Nie tak jak inni.

– Zostały ci ściany – burknął od kochera świeżo upieczony Romeo.

– Tobie też – odpaliłam. – Poza tym masz tylko jedną ścianę. A mnie przypadł narożnik i na

dokładkę mam ten kamienny krąg.

– Kto pierwszy skończy, pomoże ci – zdecydował samowzwańczy przywódca Oddziału Poszukiwawczego Prostopadłościaków Pryzmatycznych (w skrócie OPPP zgodnie z tradycją żydowską).

Wypiliśmy kawę zagryzaną zbożowo-miodowymi ciasteczkami energetycznymi, które znakomicie pasowały do kulinarnych osobliwości ekipy, po czym wzięliśmy się do roboty. Tego dnia pierwszy problem się pojawił, kiedy odkryliśmy, że nie zdołamy oczyścić całych ścian jaskini z powodu wysokości: cztery metry. Ustaliliśmy, że zostawimy je na koniec i każdy wyyczyści tak wysoko, jak wysoko dosięgnie. Drugim problemem okazało się oświetlenie: skoro mieliśmy badać ściany, nie mogliśmy położyć latarek na ziemi jak wcześniej, a nie mieliśmy czołówek. Kaspar w końcu wpadł na pomysł, aby każdy sznurowadłami przywiązał sobie latarkę do głowy. Po zamocowaniu ich pod brodą wyglądaliśmy jak mocno świecący, dziwaczni sintoiści czni mnisi.

Ponieważ szorowanie jest ogłupiającym i nudnym zajęciem, urozmaicałam je sobie roztrząsaniem trzech poważnych spraw, które dotąd odkładałam z powodu braku czasu. Mianowicie: nawiązania nowej relacji z Bogiem – nawet nie wiedziałam, jak się do niego zwracać, bo nazywanie go Bogiem wydawało mi się jakieś zimne, zupełnie inaczej było, kiedy zwracałam się do niego „Jezus”. Jezus był dla mnie kimś bliskim, osobą z własnym życiem i znajomym przesłaniem, a co ja wiedziałam o Bogu? Poza tym odnosiłam wrażenie, że On mnie zna, ale oboje musimy przejść jeszcze długą drogę, by zadzierzgnąć nowe stosunki. Pozostałe dwie sprawy były tak samo proste: pomodlić się za matkę i oczywiście pomartwić się o życie seksualne mojej siostrzenicy Isabelli. To wszystko umilało mi oczyszczanie mojego kawałka ścian jaskini, jak wysoko dosięgałam ręką.

Tyle że jak zawsze powtarzam, szczęście sprzyja zuchwałym. Ledwie zaczęłam zeszkrobywać nożem górną część kamiennego koła, które zastawiało wyjście, odpadła od niego bryłka zeschniętego błota, trafiając mnie w prawy policzek i odsłaniając zagłębienie w kształcie półkuli wielkości w sam raz, żeby zmieściła się w nim połowa piłeczki golfowej. Albo ślicznego klejnotu.

– Mam! – krzyknęłam, na znak triumfu unosząc wysoko ręce. – Znalazłam pektorał!

W jednej chwili otoczyła mnie cała niewiarygodnie podniecona ekipa.

– Szukamy reszty! – rozkazał Głaz. Zaczął polewać wodą i skrobać w pobliżu odsłoniętego zagłębienia.

Znaleźliśmy! Był czworokątny, zawierał dwanaście półkolistych wgłębień na kamieniu i...

– To nie jest choszen miszpat – rzekł naraz Gilad zawiedzionym głosem.

– Jakto nie? – obruszyłam się mocno.

– Nie jest – potwierdziła Abby, przesuując dłoń po kamieniu. – Nie pamiętasz opisu, który

czytaliśmy wczoraj? Na pektoralu mają być cztery rzędy kamieni po trzy w każdym. Czy to – klepnęła koło – zgadza się twoim zdaniem z opisem?

No fakt, nie bardzo się zgadzało. Nie było czterech rzędów po trzy zagłębienia jak w wytłaczankach na tuzin jajek. W zamian widzieliśmy pośrodku wyryty prostokąt ułożony pionowo z mniejszym prostokątem wewnątrz, w dolnej części, a wokół większego trzy wpisane w kwadrat półkolisty wgłębienia po prawej, trzy po lewej, trzy u góry i trzy na dole, tak że tworzyły ramę. Deseń był bardzo dziwny. Bez cienia wątpliwości wgłębienia wykonano z myślą o dwunastu klejnotach, które czekały w plastikowym worku, ale w jakiej kolejności je ułożyć? A może to nie ma znaczenia?

– Wracamy do kamieni – rozkazał naczelny wódz OPPP głosem świadczącym o jak najgorszym humorze.

Biedna Abby, pomyślałam. Może sobie kierować bankami na całym świecie, a i tak wytrzyma z Głazem najwyżej dwa dni.

Przysiedliśmy cierpliwie na matach, na których na noc rozłożyliśmy śpiwory, i zapatrzyliśmy się w rozchylony plastikowy worek z dwunastoma piłeczkami golfowymi wykonanymi z różnych materiałów, w różnych kolorach i różnej wartości.

– Ułóżmy je w rzędach, jak iże chrześcijańska Biblia – zaproponował Gilad.

– Zaczekaj – powstrzymała go Sabira. – Weźmy plastikowe pojemniki z kolacji. Cztery, po jednym na każdy rząd.

Wyjęliśmy cztery pojemniki z worka na odpadki i ustawiliśmy je pośrodku.

– Wiesz co, Kaspar...? – zaczął Faradż.

– Mów do niego Romeo – szepnęłam.

Głaz chciał się poderwać, żeby mi przyłożyć, lecz Abby ze śmiechem przytrzymała go za rękę, a Faradż uszczyptał mnie w udo, także nawet przez spodnie zabolalo.

– Przestańże! – zgał mnie. – Zostaw Kaspara w spokoju!

– Dobra, już się nie odezwę – skłamałam.

– Nie musisz mnie bronić przed swoją żoną! – naskoczył Głaz na Faradża. – Sam sobie poradzę!

Faradż się roześmiał.

– Tak ci się tylko wydaje! – odparł i patrząc na Abby, westchnął. – Czeka nas kupa roboty nad tym dwojgiem.

– Wiem – przyznała Abby, chichocząc, i pogłaskała pieszczotliwie łapsko Głaza. – Dopilnujemy, żeby się nie pobili, nie martw się.

– Kasparze, mógłbyś przeczytać ten fragment z Księgi Wyjścia? – poprosiła Sabira, starając się uspokoić bestię.

Dyszac niczym Sauron, mroczny pan Mordoru, były łaton wyjął Biblię i odszukał fragment mówiący o pektorale.

– „Umieścisz na nim – zaczął czytać, udając spokój – cztery rzędy drogich kamieni; w pierwszym rządzie rubin, topaz i szmaragd, w drugim rządzie malachit, szafir i diament, w trzecim rządzie opal, agat i ametyst, a wreszcie w czwartym rządzie chryzolit, onyks i jaspis”.

– Świetnie – rzekła Sabira, nachylając się nad workiem z kamieniami. – Tu mamy czerwony rubin – i przełożyła klejnot do plastikowego pojemnika, który wcześniej zawierał sławetne koszerne hamburgery – tu żółty topaz i zielony szmaragd.

– „W drugim rządzie malachit, szafir i diament” – powtórzył Kaspar.

– W porządku – powiedziała Sabira, biorąc drugie pudełko. – Wkładamy zielony malachit, ciemnoniebieski szafir i diament.

– „W trzecim rządzie opal, agat i ametyst”.

Sabira wzięła trzeci pojemnik

– Tu umieszczamy czerwonawy opal, agat w kolorze musztardowym i fioletowy ametyst.

– „W czwartym rządzie chryzolit, onyks i jaspis” – zakończył Kaspar.

Sabira wzięła do rąk pozostałe trzy kamienie.

– Chryzolit to beryl koloru morskiego – wyjaśniła Abby bacznie śledząca poczynania Sabiry.

– Dokładamy do niego czarny onyks i czerwony jaspis.

Faradz ustawił pojemniki jeden za drugim zgodnie z wytyczną, którą Mojżesz otrzymał na pustyni od Jahwe. W soczewkach jego okularów odbijały się tęczowo błyski rzucane przez kamienie.

– Spróbujmy, chociaż tego – mój mąż wskazał pojemniki – nijak nie możemy przypasować do układu wgłębień na kole. Musi być jakiś wzór, który pozwoli umieścić każdy kamień w odpowiednim otworze.

– Niewykluczone, że to nie ma znaczenia – zauważyłam. – Powkładajmy je jak leci i zobaczymy, co się stanie.

– A od czego zaczniemy? – ironicznie zagadnął Gilad. – Od góry, od dołu, od prawej czy od lewej centralnego prostokąta?

– Wczoraj powiedziałeś coś, co zwróciło moją uwagę – rzekłam. – Mianowicie że te dwanaście kamieni na pektorale symbolizuje dwanaście plemion Izraela.

– Zgadza się – przyznał. – Ale w tym jest straszny zamęt. We fragmencie Szmot, który czytaliśmy wczoraj, nie ma ani słowa, że kamienie symbolizują plemiona. Kaspar, bądź tak dobry i przeczytaj ciąg dalszy tego rozdziału, to zobaczycie, o co mi chodzi.

Kaspar opuścił wzrok na otwartą Biblię i przeczytał:

– „Kamienie te otrzymają imiona synów Izraela: będzie ich dwanaście według ich imion; będą

ryte na wzór pieczęci, każdy z własnym imieniem, według dwunastu pokoleń”...

– No właśnie – przerwał mu Gilad. – Problem w tym, że nikt nie pamięta, który kamień przypisano do którego plemienia. Ot co.

– Na naszych kamieniach niczego nie wyryto – zauważyła Sabira.

– Dlatego uważam – powiedział odmieniony Gilad, nareszcie bardziej skory do utrzymywania stosunków arabsko-izraelskich – że nie mają nic wspólnego z dwunastoma plemionami Izraela.

– A co stracimy, jeśli spróbujemy? – upierałam się. – Nie mamy innego wyjścia.

– Wierz mi, Ottavio, że nie ma rady, nie dopasujemy kul – upierał się archeolog. – Nie wyobrażasz sobie nawet, w ilu rozprawach mądrych rabinów roztrząsano na przestrzeni wieków ten problem i nikt do niczego nie doszedł.

– Ale przecież – obstawałam przy swoim jako nieodrodna Salinówna – synowie Izraela, czyli synowie Jakuba, którzy stali się patriarchami dwunastu plemion Izraela, przyszli na świat w określonej kolejności.

– Tak, tylko że z różnych matek – wyjaśnił Gilad, uzbroiwszy się w cierpliwość – więc urodzili się w mniej więcej tym samym czasie, inni mogli być bliźniętami, mamy też przypadek Józefa, przedostatniego, którego bracia sprzedali w niewolę Egipcjanom i którego wśród plemion Izraela reprezentowali jego dwaj synowie, Efraim i Manasses. Nie uwzględnia się też plemienia Lewiego, prawdopodobnie trzeciego syna Jakuba, bo lewici nie otrzymali własnych ziem ani nie walczyli z innymi ludami w ciągu czterdziestoletniej wędrówki przez pustynię do Ziemi Obiecanej. Lewici byli kapłanami, opiekowali się... – zamilkł naraz, zaskakując wszystkich.

– Czym się opiekowali? – zapytała Sabira, aprobując odnowienie stosunków.

– Przybytkiem – wyręczyła Gilada wyraźnie wzburzona Abby. – Sanktuarium, w którym przechowywano Arkę Przymierza podczas wędrówki przez pustynię.

– Kohen ha-gadol – dodał mój mąż – arcykapłan Przybytku, który nosił choszen miszpat, pectorał sądu, zawsze był lewitą, potomkiem Lewiego.

Jednakże Gilad podniósł się z miejsca i jak nawiedzony szedł ku kamiennemu dyskowi. Nie rozumiejąc jego zachowania, lecz powodowani ciekawością, podążyliśmy za nim. Stał przed rysunkiem na kole i dotknął palcem głównego prostokąta, tego, w który wpisany był mniejszy.

– Miszkan – szepnęła. – Przybytek.

– To jest Przybytek? – spytałam.

Mąż otoczył ręką moje ramiona. Nie tyle z miłości, ile po to, aby się na mnie wesprzeć.

– Przybytek miał kształt prostokąta – zaczęła wyjaśniać Abby – wydzielonego bogatymi zasłonami, wewnątrz znajdował się namiot pokryty cennymi skórami. W namiocie było miejsce Święte z przedmiotami sakralnymi³¹, a w głębi miejsce Najświętsze, Święte Świętych, oddzielone zasłoną, tak że zawsze panował w nim mrok, bo to było Mieszkanie Boga, Adonaja.

W nim przechowywano Arkę Przymierza. To był Miszlán, Przybytek, i taki miał kształt – zakończyła, wskazując dwa prostokąty wyryte na kamiennym kole.

– Czyli już wiemy, co przedstawia ten rysunek i po co są półkoliste wgłębienia, prawda, Abby? – powiedział Gilad zadowolony i pod wrażeniem wiedzy, którą wykazała się dziewczynka.

Abby pokiwała głową, uśmiechając się z satysfakcją.

– To dobra – odezwał się Kaspar lekko rozdrażniony (albo może zazdrosny) – inni też chcieliby się dowiedzieć, do czego służą te wgłębienia. Mamy w końcu powkładać w nie te dwanaście klejnotów?

– Tak, kochanie, na pewno – potwierdziła Abby, podchodząc do niego i biorąc go za rękę. – Ale jest tu jedno utrudnienie: na rysunku przedstawiono, w jakim porządku dwanaście plemion Izraela otaczało Przybytek na postojach, w marszu i walce w ciągu czterdziestoletniej wędrówki przez pustynię. Tak podążał lud Izraela do Ziemi Obiecanej, do Kanaanu. To nie była bezładna gromada dawnych niewolników, tylko naród liczący pięćset tysięcy ludzi, którzy zawsze szli w takim ordynku. – Położyła dłoń na rysunku. – W ordynku podyktowanym przez Jahwe.

– I znamy miejsce każdego plemienia w tej formacji – uzupełnił Gilad. – Zna je każde żydowskie dziecko. Uczą tego w szkole.

– Tyle że nawet jeżeli znamy pozycję każdego plemienia – wtrącił mój mąż – nie mamy pojęcia, jakie kamienie je symbolizują. Także na jedno wychodzi: nie posunęliśmy się ani o krok

– Ależ posunęliśmy się, Faradz – powiedziała bardzo zadowolona Abby. – Rozwiązaliśmy problem w połowie. Pozostaje nam druga połowa, to, o czym mówisz. Ale dużo łatwiej będzie kombinować z kamieniami według znanego wzorca niż bez żadnego wzorca, jak proponowała Ottavia.

O matko! Obudziła najgorszą część mojej natury. Przypomniała mi o znakomitej pamięci i latach spędzonych w Zgromadzeniu Błogosławionej Marii Panny.

– Nieprawda, Abby – rzekłam szybko. – Nie to proponowałam. Chodziło mi o to, żeby wykorzystać ten fragment Księgi Wyjścia, w którym Jakub przed śmiercią żegna się z synami. Jeśli się nie mylę, wymienia ich kolejno, zaczynając od pierworodnego.

Ucieszony Faradz pocałował mnie w głowę.

– Teraz już wiecie, dlaczego ją kocham? – zawołał żartobliwie. – Zawsze stawia na swoim i ma ostatnie słowo.

– Błogosławieństwa Jakuba są na końcu pierwszej księgi Tory – wyjaśnił Gilad. – W Be-reszit.

– Co znaczy: Na początku – przetłumaczył Faradz.

– To Genesis, Księga Rodzaju – oznajmiłam. – I pierwsza księga naszego Starego Testamentu.

Genesis to greckie słowo, które znaczy „stworzenie”.

– Skoro Be-reszit kończy się śmiercią Jakuba – Gilada ani trochę nie obchodziły chrześcijańskie

nazwy jego świętych ksiąg – błogosławieństwa powinny być gdzieś pod koniec.

– Zanim zacniemy wstawiać kamienie, porobię zdjęcia rysunku – oznajmiła Sabira, czując się w swoim żywiole.

Ona była tutaj z bardzo konkretnego powodu i jeżeli Gilad nie skłoni jej do zmiany zdania (co było mało prawdopodobne), dla niej będzie się liczyła tylko praca.

Kaspar znowu wyjął Biblię i przez chwilę przerzucał kartki, wreszcie zawołał:

– Mam te błogosławieństwa.

– Przeczytasz na głos? – poprosiła Abby.

– O nie! Nic z tego! – wyrwał się Faradz. – To trzeba zorganizować.

– Niby jak chcesz zorganizować? – zdziwiłam się i zastanowiłam, czy aby nie oszalał.

– Musimy mieć pod ręką kamienie i tekst biblijny przed oczami – wyjaśnił – i czytać przy wejściu, na wypadek gdyby coś się stało. Lepiej przenieśmy się tam ze wszystkim.

I tak niczym lud przemierzający pustynię – w tym wypadku jaskinię – zwinęliśmy obozowisko i przenieśliśmy się pod ogromny kamienny dysk, który zastawiał wyjście. Tym razem ustawiliśmy się nie w kręgu, lecz w półokręgu, i złożwszy rzeczy na ziemi, usiedliśmy wpatrzni w dysk – wszyscy z wyjątkiem Sabiry i Faradza; Sabira nie usiadła, ponieważ chciała robić zdjęcia, a Faradz dlatego, że zyczył sobie wkładać kamienie we wgłębienia i dyrygować towarzystwem, co znaczy, że on również samowolnie mianował się dowódcą OPPP.

– Zaczynaj, Kaspar – polecił nowy szef, odgarniając z twarzy miękkie, gęste włosy i przybierając dość atrakcyjną, wyczekującą postawę.

– „Jakub błogosławi swoich synów” – zaczął czytać poprzedni szef. – „Jakub przywołał swoich synów, mówiąc do nich: «Zgromadźcie się, a opowiem wam, co was czeka w czasach późniejszych. Zbierzcie się i słuchajcie, synowie Jakuba, słuchajcie Izraela, ojca waszego! Rubenie, synu mój pierworodny, tyś moją mocą i pierwszym płodem mojej męskiej siły, górujący dumą i górujący siłą. Kipiałeś jak woda: nie będziesz już górował, bo wszedłeś do łoża twego ojca, wchodząc, zbezczęściłeś moje łożo!»

– Przespał się z własną matką? – zawołałam ze zgrozą i zaraz zdałam sobie sprawę z własnej głupoty.

– Z jedną z nałożnic ojca – oświecił mnie Gilad. – Praktykowali poligamię, mieli też nałożnice.

– Czyli Ruben jest pierworodny – oświadczył mój mąż, odwracając się do rysunku. – Głupio stracił prawo pierworództwa, bo zapuścił się do nieswojego haremu.

– Właśnie to miałem powiedzieć – przyznał Gilad. – W układzie dwunastu plemion wokół Przybytku główną grupą na pewno nie jest obozowisko Rubena. Każda z czterech grup złożonych z trzech plemion tworzyła obóz, którego nazwa pochodziła od najważniejszego z braci. Ponieważ wejście do Przybytku było od wschodu, tak jak w synagogach...

– I jak w kościołach chrześcijańskich – wtrąciłam.

– ...główną grupę ulokowano od wschodu. I to było obozowisko Judy, czwartego brata.

– W takim razie gdzie były trzy plemiona z grupy Rubena? – zapytała Abby.

– Na południu, czyli u nas byłby to szereg po prawej.

– A który kamień pasowałby do Rubena? – zainteresowała się Sabira. – Z tego, co mówił jego ojciec, Ruben był silny i dumny, kipiał jak woda. Może niebieski szafir albo zielony malachit?

– Smaragd i chryzolit też są zielone – przypomniała Abby.

– Mówiłem, że to na nic – mruknął Gilad. – Tego nikt nie wie. Współcześnie pektorały odtwarza się intuicyjnie, każdy jest inny.

– Ale ebionici wiedzieli – oświadczyłam donośnym głosem, żeby wszyscy sobie przypomnieli, gdzie jesteśmy i po co.

– Podsumujmy – ogłosił Kaspar. – Z jednej strony mamy dwunastu synów Jakuba, protoplastów dwunastu plemion Izraela. Z drugiej strony rozmieszczenie dwunastu plemion wokół Przybytku w czasie wędrówki przez pustynię. A do tego dwanaście kamieni szlachetnych, które przypuszczalnie symbolizują dwunastu synów Jakuba. Słabym punktem w tym wszystkim jest to, że chociaż znamy rozmieszczenie plemion wokół Przybytku, nie wiemy, który kamień którego syna symbolizuje. Ale najwyraźniej nasi tutejsi gospodarze, ebionici, dobrzy żydzi i dobrzy chrześcijanie zarazem, doskonale wiedzieli, który kamień do którego plemienia jest przypisany. Skąd?

W jaskini zapadła cisza. Wszyscy roztrząsaliśmy słowa byłego katona.

I wtedy zrozumiałam. Objawiło mi się naraz rozwiązanie. Tropem byli ebionici. Jak mogłam wcześniej tego nie zauważyć?

– Dwunastu apostołów, Kasparze – odpowiedziałam na jego pytanie. – Rozwiązaniem jest dwunastu apostołów Jezusa.

ROZDZIAŁ 28

Nie zdążyłam wytłumaczyć swojego cudownego odkrycia, bo komórka Kaspara, jedyna na włączona, wydała przeciągły pisk, który w ułamku sekundy przeniósł nas z Saturna na Ziemię, odrywając zupełnie od tematu.

– Co jest, do diabła...? – burknął Głaz, sięgając do kieszeni czarno-niebieskiego sztormiaka.

Wyjął smartfon z włączonym wyświetlaczem i kiedy zerknął na niego, oczy zrobiły mu się jak spodki.

– Włączcie komórki! – rozkazał. – Szybko!

– Ale przecież nie ma zasięgu... – zaczęła Abby.

– Musi być, skoro jego komórka działa – zauważył Faradz, posłusznie wykonując polecenie byłego katona. – Nie rozumiem tylko, jakim cudem.

– Wasza siostrzenica – mruknął Głaz, wodząc wzrokiem po naszych telefonach, których wyświetlacze zapalały się po kolei.

– Nasza siostrzenica? – zawołaliśmy z Faradem jednym głosem.

Gdzie ta dziewczyna jest i do licha, jak jej się udało z nami skontaktować przez tony skały góry Meron?

– Dostałem wiadomość od niejakiej Isabelli – wyjaśnił Kaspar. – Czy to nie wasza siostrzenica?

Nic z tego nie rozumiałam, ale moja wiedza techniczna pozostawiała oczywiście wiele do życzenia. Niemniej wiedziałam na pewno, że jeśli na wyświetlaczu nie widzę ani jednej z trzech kreseczek informujących o sile sygnału, znaczy, że zasięgu nie ma. A nie widziałam żadnej. Nie miałam także internetu. Moja komórka była martwa, w żaden sposób nie mogłam się przez nią skomunikować ze światem zewnętrznym.

Przeraziłam się śmiertelnie, gdy naraz na moim wyświetlaczu pojawiło się: „Cześć, ciociu”.

– To od Isabelli! – zawołałam oszołomiona.

– No przecież mówię – zniecierpliwiał się były katon.

– Jakim cudem? – powtarzał zdumiony Gilad.

– Zaraz ją spytamy – rzekł Głaz.

I wielkimi paluchami zaczął stukać w malutki wyświetlacz. Jeszcze jedna tajemnica: jak mu się udaje pisać, nie wstawiając po pięć liter naraz?

Z ekranu startowego weszłam do ikon. Miałam wiadomość na komunikatorze. Tę, którą przeczytałam na zablokowanym ekranie. Wszystkie telefony zapiszczały jednocześnie i każdy pochylił głowę nad aparatem. No w głowie się nie mieściło. Przecież nie było zasięgu, na Boga!

Otrzymaliśmy wszyscy taką samą wiadomość wyjaśniającą zagadkę. Przeczytałam ją podobnie jak reszta towarzystwa, ale nic nie rozumiałam. Nie ja jedna.

– Co znaczy „protokół zdecentralizowany”? – zapytała Sabira.

– A „sieć węzłowa”? – dodałam.

– I „łańcuch sieciowy”? – dorzucił swoje Gilad.

Kaspar znowu pokępał w wyświetlacz i najwyraźniej dobrze zrobił, bo Isabella natychmiast odpowiedziała wszystkim.

– No już, spokojnie – rzekł Kaspar, którego zawsze bardzo interesowały komputery (nie bez kozery był katonem, który założył internet w Paradejsosie). – Isabella dogadała się z naszymi inżynierami i użyli systemu, który nie wymaga ani wi-fi, ani zasięgu telefonii komórkowej. Korzystają z komórek połączonych w sieć od... stamtąd do nas. Stworzyli osobną sieć Bluetooth o mocy tysiąca kilowatów, w głowie się nie mieści!... Jest nie do wykrycia, a węzły... znaczy komórki, przez które idą wiadomości, są wykorzystywane bez wiedzy właścicieli. Trzeba tylko bardzo dużo włączonych komórek, żeby sygnał osiągnął maksymalną moc i przeszedł szybko.

– Taka moc wystarczy do przesłania sygnału przez skały tej góry? – zapytał wujek delikwentki.

No proszę, Isabella podkrađła sygnał tysiącu osobom bez ich wiedzy i pozwolenia. Teraz martwiłam się już nie tylko o życie erotyczne mojej siostrzenicy, ale również o jej przyszłość. Czy przy jej bystrości dziewczyna przeobrazi się w królową zła i zdominuje świat jak Simonsonowie?

Kaspar przekazał Isabelli pytanie Faradża.

Odpowiedź znowu przyszła do wszystkich: „Tak, moc wystarczy, żeby sygnał przeszedł przez górę, jeśli tylko jest odpowiednio dużo włączonych komórek na zewnątrz i wewnątrz, dlatego musicie mieć swoje włączone”.

– Pewnie wykorzystuje komórki izraelskiej armii – wyszeptałam ze strachem. W końcu była moją siostrzenicą i popełniała przestępstwo między narodowe.

– Nie to jest najgorsze – odszepnął mój mąż ze zmienioną twarzą. – Na pewno korzysta też z telefonów Spittelera, Raua i ich ekipy.

O matko przenaјświętsza!

– Ale przecież Bluetooth ma bardzo słaby sygnał – zauważył Gilad – i maksymalny zasięg taki jak pilot do telewizora.

– Nie słyśzałeś o łańcuchu sieciowym i sygnale radiowym o mocy tysiąca kilowatów? – przypomniał mi kłóśliwie były katon, patrząc nań jak na półgłówna.

Wybitny archeolog przełknął ślinę i zmilczał. Pozostali na wszelki wypadek zrobili to samo.

– W każdym razie – Faradż westchnął zrezygnowany – połączenie ze światem przyszło w samą porę. Ale Kaspar, napisz Isabelli, że nie możemy cały czas mieć włączonych komórek,

bo padną nam baterie. Jak będziemy czegoś potrzebowali, włączymy je.

Kaspar zaczął pisać, lecz przerwał nagle i podniósł głowę.

– Hej, sam jej napisz! – zaprotestował. – Wszyscy mamy połączenie.

Faradz się uśmiechnął.

– Racja – odparł i przesłał wiadomość Isabelli.

Oto dlaczego facet tak nieprzyjemny jak Kaspar Glauser-Röist mógł mieć przyjaciela, który go cenil i nie pohukiwał na niego: podczas gdy ja bym odpowiedziała stosownie do jego głupiej uwagi, Faradz był zbyt inteligentny, by nie wiedzieć o jego absolutnym braku umiejętności współżycia społecznego i niedostatku zdolności dyplomatycznych i nie rozumieć tego. Może Abby jest równie bystra jak Faradz, pomyślałam. Czas pokaże.

– Wróćmy do dwunastu apostołów – poprosiła Sabira, na powrót siadając.

– Zaraz! – powiedziałam. – Chcę się pożegnać z siostrzenicą.

I zaczęłam pisać: „Skoro sypiasz z tym chłopakiem, którego imienia nie chciałaś zdradzić, możesz pożegnać się z życiem. Buziak!”. Odpowiedź przyszła natychmiast: „Czyli mogę sypiać z innym?”. Raz-dwa odpisałam: „Nie! Z żadnym!”. Na to ona: „A z dziewczyną?”. Mało apopleksji nie dostałam, nie wiem, jak udało mi się wystukać: „Z NIKIM!”. I wyłączyłam telefon, by zobaczyć, że rozmowa skończona.

Komórka Faradza wydała z siebie ptasi trzask.

– Isabella pisze, żeby ci powiedział, że poszuka kogoś, kto się nazywa Niki.

– Powiedz jej... powiedz jej, że ją zamorduję! I mówię to poważnie! Jestem Salinówna!

– Co jej jest? – szepetem spytała Abby Kaspara, wskazując mnie brodą.

– Nic – odpowiedział spokojnie. – Isabella wie, jak sprowokować ciotkę, i bardzo lubi to robić.

Jedna warta drugiej. Teraz pewnie pokłada się ze śmiechu.

Może i pokadała się ze śmiechu, ale ja byłam taka wściekła, że musiałam natychmiast wyjść z jaskini, by nie wybuchnąć, dlatego podniosłam z ziemi worek z tymi przekłętymi klejnotami plemion Izraela i podeszłam do rysunku wyrytego na zastawionym wyjściu. Powkładam je we wgłębienia w tym głupim kamiennym dysku, który ma dziurę nawet pośrodku jak w dawnych winylach, żeby się obrócił i wypuścił nas wreszcie. Miałam już tego po dziurki w nosie.

– Ottavio, co ty robisz? – krzyknęła Abby.

– Załatwię to raz na zawsze, żebyśmy mogli wrócić do domu! – odparłam, grzebiąc w worku z kamieniami.

– Poczekaj – nalegała z uporem. – Musisz nam najpierw wyjaśnić!

Wszyscy z zatroskanymi minami stoczyli się wokół mnie, a mój mąż bez ceregieli wyrwał mi worek z ręki.

– Uspokój się, basileja – powiedział łagodnie. – Mogę sobie wyobrazić twoją rozmowę

z Isabellą, ale to teraz nie ma znaczenia, więc proszę, opanuj się i wyluzuj.

– Nie ma znaczenia? – wybuchłam.

– Chcesz dyskutować o tym teraz, przy wszystkich, żeby każdy ci powiedział to samo co ja? – postraszył mnie.

Stłumiłam w sobie gniew i uspokoiłam się w jednej chwili.

– No, to mi się podoba – pochwalił mnie Faradz głosem poskramiacza wchodzącego do klatki z lwami. – Teraz usiądź.

– Już siadam – odparłam, opadając na matę ze skrzyżowanymi nogami.

Inni także kolejno siadali, a zanim Faradz to zrobił, oddał mi worek z okrągłymi kamieniami szlachetnymi.

– Proszę. I wróćmy do chwili, kiedy odezwała się komórka Kaspara.

– Powiedziałaś, że rozwiązaniem jest dwunastu apostołów Jezusa – przypomniała mi podniecona asasyńska.

Westchnęłam głęboko.

– Pamiętacie mozaikę na ziemi w synagodze w Susji? – zaczęłam. – Pamiętacie tamte motywy dekoracyjne?

Wszyscy przytaknęli i zaczęli wymieniać menory, motywy kwiatowe, ptaszki, jelonki... Wreszcie Kaspar rzekł:

– Koła zodiakalne.

– Właśnie – potwierdziłam, patrząc na niego złym wzrokiem. – W ebionickiej synagodze w Susji były różne koła zodiakalne.

– Bardzo zniszczone – zauważyła Abby.

– Zrobiliśmy co w naszej mocy przy odnawianiu – tłumaczył się Gilad.

– Rzecz w tym, że były koła zodiakalne. – Co za złośliwcy! Nie dopuszczali mnie do głosu. – Z dwunastoma znakami zodiaku. Nie pamiętam, czy przedstawiały miesiące, pory roku czy gwiazdozbiory. Ważne, że były.

– Tak mażalot – przytaknął Gilad. – Były bardzo popularne w kulturze żydowskiej, przejęliśmy je prawdopodobnie z Asyrii i Babilonu. Są wymieniane nawet w Księdze Hioba³². Nic dziwnego, że znalazły się w jednej z najstarszych synagog na świecie. To bardzo żydowski motyw zdobniczy.

– Chrześcijański też – podkreśliłam. – W średniowieczu styl romański i gotycki przejęły tę tradycję, tak że znaki zodiaku pojawiają się w bardzo wielu katedrach, kościołach i klasztorach. Generalnie chętniej wykorzystywano motywy związane z pracami polowymi, chociaż inne też były: z mitologii greckiej i rzymskiej, herby i godła, sceny z polowań albo wojenne i tak dalej. Rzadsze, ale jednak, były postacie dwunastu apostołów. – Urwałam na moment, by zaczerpnąć

tchu. – Pierwszą nagrodę Getty'ego w dziedzinie paleografii otrzymałam za pracę nad bizantyńskimi manuskryptami, które na nowo opisywały chrześcijańską astrologię zodiakalną w starożytnym Konstantynopolu. Teraz ta astrologia pomoże nam zrozumieć pokręconą wizję ebionitów, którzy wymieszali elementy żydowskie i chrześcijańskie.

– Czyli ebionici użyli znaków zodiaku – rzekł Kaspar, próbując to ogarnąć. – Genialne. A jak dojdziemy do dwunastu plemion Izraela i kamieni z pektorału arcykapłana?

– Przez porównywanie, mój drogi – odparłam; teraz, gdy byłam spokojna i zdolna wygłosić spójny wykład, nie zamierzałam pozwolić, by Głaz wyprowadził mnie z równowagi. – Możemy zapomnieć o Biblii chrześcijańskiej i hebrajskiej, o Księdze Rodzaju i Księdze Wyjścia. Wszystko zasada się na porównaniach, bo tego dotyczy w sumie znaki zodiaku, czyli mazalot. – Wyjęłam z worka dwanaście kul z kamieni szlachetnych i ułożyłam je jak leci przed sobą. – Jeśli pamięć mnie nie myli – ciągnęłam, wiedząc, że mnie nie myli – a pamięć mam bardzo dobrą, te znaki zodiaku, które znamy, wywodzą się od greckich nazw gwiazdozbiorów: Barana, Byka, Bliźniąt, Raka, Lwa, Panny, Wagi, Skorpiona, Strzelca, Koziorożca, Wodnika i Ryb. – Znałam te nazwy po grecku, toteż mówiąc, tłumaczyłam je sobie w myślach. – Greckie gwiazdozbiory ze znaków zodiaku czasami zastępowano, jak wspomniałam, robotami polnymi albo bóstwami mitologicznymi, a czasami apostołami. W wielu kościołach konstantynopolitańskich, teraz pełniących rolę meczetów, z których usunięto całą tę ikonografię, przedstawione były znaki zodiaku z postaciami apostołów.

– Ale różne ewangelie wymieniają różnych apostołów – wtrącił Głaz.

– Zgadza się, z tym że to tylko zmienione imiona – wytłumaczyłam, bagatelizując sprawę. – Chodzi o to, że jeśli dobrze pamiętam, każdemu apostołowi przypisany był konkretny gwiazdozbiór ze względu na wyjątkowe związki z nim, bo na przykład poniósł męczeńską śmierć pod tym znakiem albo imię miał podobne czy coś takiego. I tym sposobem przyjęło się w pierwszym momencie, że Baran to Szymon Kananejczyk, Byk to Tadeusz, Bliźnięta to Mateusz celnik, Rak to Filip, Lew to Jakub Większy i tak dalej. Każdy miał swoje miejsce na kole zodiakalnym. Ale właśnie tuż przed tym, jak przysłała wiadomość od Isabelli, przypomniałam sobie, że każdemu znakowi zodiaku przypisano też kamień szlachetny: Baranowi rubin, Bykowi topaz, Bliźniętom szmaragd, Rakowi...

– Nie powiesz, że malachit, prawda? – przerwał mi Kaspar.

– Owszem – przyznałam z szerokim uśmiechem. – Znakowi Raka przypisano apostoła Filipa i malachit.

– Te same kamienie, które symbolizowały plemiona Izraela? – Gilad nie dowierzał własnym uszom, lecz szczególnie błysk w jego oczach uświadomił mi, że pracujemy na tych samych falach i że to, co powiedziałam o chrześcijańskich przedstawieniach znaków zodiaku i kamieniach

szlachetnych, w pełni współgra z tym, co zapamiętał z lat nauki w szkole talmudycznej i z jego wiedzą archeologa zajmującego się stanowiskami żydowskimi z pierwszych wieków naszej ery.

– Te same kamienie i w takim samym porządku jak gwiazdozbiory – przytaknęłam i oddałam mu głos.

– Na żydowskich mazalot – zaczął – też często zastępowano gwiazdozbiory plemionami izraelskimi. To powszechna praktyka, również dzisiaj. Jeśli uda nam się ustalić, które konstelacje jako znaki zodiaku przypisywano poszczególnym plemionom Izraela i apostołom Jezsu...

– Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś przestał tak go nazywać – poprosiłam uprzejmie. – Nazywaj go Jezua albo Jezus, bo teraz, gdy wiem, że Jezsu to obraźliwy akronim, przykro mi trochę słyszeć go z twoich ust.

Gilad się uśmiechnął i jak zwykle twarz mu się odmieniła – zrobiła się dziecięca, chłopięca.

– Wybacz – powiedział. – Więcej tak nie powiem. Ale ja też byłbym wszystkim wdzięczny, gdybyście przy mnie nie wymawiali imienia Stwórcy. Judaizm stanowczo zakazuje używania prawdziwego imienia Boga, które jest tetragramem, czteroliterowym słowem. A wy je tak chętnie umieszczacie w zdobieniach kościołów chrześcijańskich.

– Chodzi o imię Jah...? – zaczęłam, aby się upewnić, lecz urwałam na widokminy Gilada.

– Właśnie – przytaknął. – To święte imię, nie należy go wymawiać. Jak będziecie chcieli mówić o Nim, zastępujcie je przez Adonaj. Jest łatwiejsze.

– Podsumowując... – Któż miał podsumować, jeśli nie Kaspar Niecierpliwy? – Ebionici stosownie do swoich dwóch tradycji, żydowskiej i chrześcijańskiej, połączyli dwanaście izraelskich plemion z dwunastoma apostołami.

– No, nie tylko oni to zrobili – zauważyła Abby. – Sam Jezus w Ewangelii Mateusza...

– Na pewno Mateusza? – zartobliwie rzucił Faradz. – Nie w innej?

Przez twarz Abby przemknął ulotny jakby wyraz strachu. A może tylko mi się wydało? Pewnie coś sobie ubzdurałam, bo gdy znowu na nią spojrzałam, śmiała się w najlepsze.

– Na pewno! – powiedziała do Faradza. – Dziadkowie sumiennie mnie przygotowali do poszukiwania ossuariów.

Jej dziadkowie, Jake i Becky. Dlaczego Abby nie spytała Isabelli, czy ma jakieś wieści o stanie jej dziadków? Dlaczego Jake i Becky tak sumiennie przygotowali Abby do poszukiwania ossuariów? Potrząsnęłam głową, aby odgonić te dziwne myśli. Znowu ogarniała mnie paranoja. Przez wrodzoną ogromną nieufność naprawdę popadałam czasami w skrajną przesadę.

– Co powiedział Jezus w Ewangelii Mateusza? – zapytała Sabira, która może z powodu swojej supertajnej wiary izmailickiej ani razu, odłód poznaliśmy się w Tel Awiwie, nie wypowiedziała się podczas naszych rozmów na tematy religijne.

– Jezus powiedział – odparła Abby, przybierając jeszcze bardziej perfekcyjną i elegancką

pozycję na ziemi – że apostołowie zasiądą na dwunastu tronach, żeby sądzić dwanaście plemion Izraela³³.

– Narysujmy schemat tego wszystkiego – poprosił Gilad, któremu słowa Jezusa bardzo się nie spodobały.

– W porządku – zgodziłam się. – Szybciej nam potem pójdzie.

Na kartce, którą Sabira wyrwała ze swojego tajemniczego notatnika, jej złotym ołówkiem, którym sporządzała notatki i szkice, narysowaliśmy tabelkę z dwunastoma wierszami podzieloną na cztery kolumny: w pierwszej wypisaliśmy nazwy dwunastu znaków zodiaku; w drugiej imiona dwunastu apostołów; w trzeciej kamienie szlachetne odpowiadające poszczególnym znakom zodiaku i umieszczane w pectorale arcykapłana; w czwartej, którą mógł uzupełnić tylko Gilad, imiona dwunastu synów Jakuba przypisane do znaków zodiaku w kolejności zgodnej z żydowskim mazalot. Gilad w synagogach naoglądał się motywów zodiakalnych, wielokrotnie też w pracy miał do czynienia z mazalot, tak że chociaż mylił się i poprawiał, w końcu sporządził pełną listę.

– Świetnie, proszę państwa – powiedziałam, podnosząc kartkę. – Tu mamy klucz do wyjścia.

– A coś się tak uparła na wyjście? – burknął Kaspar. – Przecież chcemy dotrzeć do ossuariów! Przy odrobinie szczęścia okaże się, że są po drugiej stronie tego kamienia.

– Chodź, basileja – ponaglił mnie mąż. – Pora spróbować. Zobaczymy, czy ty i Gilad jesteście tak samo pokręcani jak ebionici.

Muskularny archeolog, w tej chwili bardziej przypominający onieśmiałego chłopca podczas bar micwy, podał mi rękę, aby pomóc wstać, i z tabelką podeszliśmy do kamiennego dysku z dwunastoma półkolistymi wgłębieniami.

– Zacznijmy od góry, która symbolizuje wschód – zaproponował.

– Niech będzie. Ty mówisz nazwę plemienia, a ja ci daję kamień.

– Plemię Judy – zaczął.

– Rubin.

Wziął ode mnie kamień i wsunął go w pierwsze wgłębienie u góry po lewej.

– Plemię Issachara.

– Żółty topaz.

Wsunął go w otwór na prawo od Judy.

– Plemię Zewuluna.

– Zabułona?

– Tak

– Szmaragd.

Umieścił go na prawo od Issachara.

– Mamy wschodni obóz, obóz Judy – oznajmił. – Przejdźmy do południowego, na prawo od

Przybytku na tym rysunku. – Był wyraźnie podniecony, promieniejący, wręcz szczęśliwy. –
Plemię Reuwena.

– Ruben to malachit.

I Gilad włożył kulę do najwyższego wgłębienia w kolumnie po prawej.

– Plemię Szymona.

– Symeona. Niebieski Szafir.

– Plemię Gada.

– Diament.

– Obóz Reuwena, południowy, mamy gotowy – rzekł Gilad. – Zajmijmy się zachodnim, na dole tego rysunku.

– No to już – ponagliłam go.

– Plemię Efraima.

– Opal.

– Plemię Menasze.

– Manasses. Agat.

– Plemię Binjamina.

– Beniamina. Ametyst.

– Obóz Efraima gotowy. Pozostał nam obóz Dana na północy prawdziwego Przybytku i po lewej tego na rysunku – rzekł Gilad ze zdziwieniem w głosie, jakby nie mógł uwierzyć, że nam się udało i jesteśmy blisko końca.

– Szybciej – popędziłam go znowu nerwowo. A jeżeli się mylimy?

Reszta ekipy trwała w pełnym obawy milczeniu. Zupełnie zapomniałam, że siedzą na ziemi za nami, patrzą na nas i słuchają, co mówimy.

– Plemię Dana – powiedział Gilad.

– Beryl, czyli chryzolit koloru morskiego.

Archeolog wsunął kamień w otwór na dole kolumny po lewej.

– Plemię Aszera.

– Asera. Onyks.

– I wreszcie – odetchnął głęboko – plemię Neftalego.

W worku został mi tylko jeden kamień. Gilad obejrzał się na mnie.

– Ottavio?...

– Tak?

– Dasz mi ostatni kamień?

– Och, pewnie! Kula z jaspisu.

Ponieważ jednak nie podawałam mu kamienia, wziął go sam z uśmiechem i umieścił

w najwyższym wgłębieniu. Załatwione. Wszystkie kule były na swoim miejscu.

Z początku nic się nie działo, a przynajmniej takie mieliśmy wrażenie, lecz w rzeczywistości po prostu zaabsorbowani nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Zaczęło się od szmeru, jakby odległego syczenia.

– Piasek! – krzyknęłam, kiedy wreszcie to usłyszałam.

Było jasne, że stare mechanizmy zainstalowane we wnętrzu góry działają dzięki obciążnikom, blokom, łańcuchom i dźwigniom poruszonym za pomocą czegoś równie dostępnego i śliskiego jak piasek, który przesypywał się między podwójnymi ścianami jaskini. Ebionici musieli być prawdziwymi fanatykami, bo tylko tak można wytłumaczyć ich determinację: wydrążyli korytarze we wnętrzu góry i zwieźli do nich kawał pustyni.

Szum sypiącego się piasku spotęźniał i niebawem rozległo się metaliczne brzęczenie łańcuchów przesuwających się po blokach albo odwijających się z dużą prędkością z wałów, a kiedy to ucichło, ujrzeliśmy, jak ciężki kamienny dysk zamykający prostokątne przejście zaczyna się powolutku, po odrobinie, przesuwać na prawo z nieprzyjemnym zgrzytem kamienia trącego o kamień. Nasz Przybytek obwiedziony kamieniami szlachetnymi również się obrócił zgodnie z ruchem wskazówek zegara frontem na dół, po czym wolniutko opadł na lewo, podczas gdy kilutonowy kamienny dysk zniknął w ścianie, odsłaniając przed nami prowadzące w dół kolejne wąskie schody, strome i sklepione, niękące w ciemności.

– Jak to możliwe – warknął Romeo – że jesteśmy we wnętrzu góry i bez przerwy schodzimy coraz głębiej pod ziemię?

Biedak, zaślepiiony miłością nie rozumiał, że nieważne, gdzie się znajdziemy, ponieważ plan ebionitów wymyślony w XIII wieku był odpowiednikiem współczesnej maszyny opartej na zaawansowanej nanotechnologii i w związku z tym skoro już raz wpadliśmy w pułapkę, jego autorzy poprowadzą nas, dokąd zechcą, i zrobią z nami, co im się spodoba.

Głód przypominał nam, że dawno minęła pora posiłku. W zasadzie przyszedł już czas na kolację – cały dzień upłynął nam na wędrowaniu tymi przekłętymi schodami, których końca nie było widać. Pokonywanie stopnia po stopniu z ogromnym plecakiem przy świetle tylko dwóch laterek, przedzieranie się przy tym przez pajęczyny gęste jak prześcieradła okazało się wielkim wyzwaniem: byle nierówność przy tak dużej stromiznie oznaczała śmiertelne zagrożenie, mimo że rękami staraliśmy się przytrzymać kamiennych ścian.

Ponieważ Faradz i ja szliśmy pierwsi, na samym początku Kaspar nas ostrzegł, że mamy uważać na ostatni stopień, kiedy do niego dotrzemy, bo może zwalniać sprężynę, która spowoduje obrócenie się kamiennego koła z wyrytym Przybytkiem i znowu zostaniemy zamknięci. Po pięciu godzinach schodzenia ostrzeżenie przerodziło się w głupotę, wtedy bowiem na jedno już wychodziło, czy koło zamknie wyjście, czy nie, bo skoro zesliśmy tak głęboko, nie było sensu wracać do jaskini z kamieniami szlachetnymi. W sumie nietrudno było zgadnąć, że znowu wpadliśmy jak szczury w pułapkę. Zwłaszcza gdy Faradz stanął na jednym z ostatnich stopni, który z trzaskiem zapadł się lekko. Najwyraźniej sprężynę nie zawsze umieszczono w ostatnim stopniu i oczywiście zrobiono tak umyślnie.

Tym razem schody, którymi zesliśmy około pięciuset metrów zdaniem Kaspara i Sabiry, doprowadziły nas nie do przestronnej, komfortowej jaskini, lecz do wąskiego korytarza – tak wąskiego jak schody albo i węższego – zalanego na wysokość pół metra lodowatą wodą. Powiedzieć, że było tam zimno, to o wiele za mało: zaczęliśmy grzebać w plecakach w poszukiwaniu ciepłych ubrań, odzieży termicznej, i wdzialiśmy wszystko „na cebulkę”. Martwiło nas, że zamoczymy buty, skarpetki i spodnie – miały nieprzemakalne jedynie kieszenie, by uchronić rzeczy takie jak komórka czy jedzenie, gdyby trzeba je w nich ukryć – a brak ochrony dla nóg był w tych okolicznościach istnym szaleństwem, bo mętna woda miała temperaturę naprawdę bliską zera.

Przysiadłszy zatem na ostatnich stopniach ponad poziomem wody, wyglądając jak niezgrabne grube niedźwiedzie polarne, rzuciliśmy się na kolację (jedyne posiłek tego dnia), która – o cudzie cudów! – składała się z pity z koszernym hamburgerem i pastą do zębów o smaku słonego sera.

Było tak zimno, że z ust szły nam kłęby pary przy każdym słowie i każdym oddechu. Istny biegun w trzewiach góry w samym sercu gorącego Izraela. Co by tu zrobić z tą wodą? Przemroziły nogi jak amen w pacierzu. Rozwiązanie jest jedno, uznaliśmy pod koniec kolacji: bez dalszej zwłoki ruszyć naprzód korytarzem i przebyć go jak najszybciej, bo nie wchodzi w grę spanie tutaj, na tych stromych kamiennych schodach, gdzie czeka nas przemarznięcie do szpiku

kości i hipotermia. Nie było łatwo podjąć taką decyzję, ale też wybór mieliśmy niewielki: ruszyć teraz biegiem albo umrzeć niedługo. Oczywiście lepiej już biec, zwłaszcza że ruch przynajmniej pozwoli nam utrzymać ciepłość ciała.

Było to szaleństwo, ale wtedy nie wiedzieliśmy o tym. W każdym razie muszę przyznać, że konsekwencje tej decyzji okazały się jak najlepsze. To znaczy zrobiliśmy to, co zdaniem ebionitów należało zrobić. I był to nie lada wyczyn.

Pokrzepieni, ciepło ubrani i objuczeni plecakami – już znacznie lżejszy mi – weszliśmy gęsiego do wody. Tym razem przodem szedł Kaspar z latarką, wyznaczając tempo marszu, bardzo szybkie mimo oporu wody, która zaraz wlała nam się do butów, wsiąkła w skarpetki i wywoływała dojmujący ból w stopach i łydkach. Czułam lodowate ukłucia w ciele, aż do szpiku kości. Oczy zaszyły mi łzami zarówno z zimna, jak i z nieznośnego bólu. Najgorszy niewątpliwie był ból, wewnętrzny ból, który nie ustał, póki z zimna nie straciłam czucia najpierw w palcach, a potem w obu nogach.

Jeden krok, następny i następny, i następny... Nie rozmawialiśmy, szliśmy tylko naprzód przy słabym świetle dwóch latarek. Widziałam, jak Kaspar, Abby i Faradz, którzy maszerowali przede mną, ocierają oczy dłonią lub rękawem. Ich oczy także łzawiły z zimna. Albo z bólu jak moje. Po przejściu dziesięciu kilometrów, co zajęło nam trzy godziny, gdy byliśmy już na granicy wytrzymałości fizycznej, z wodą zaczęło się coś dziać. Ku naszemu zdumieniu stopniowo zmieniła się jej kolor i temperatura. Szło nam się coraz łatwiej, brodziliśmy w wodzie już nie tak zimnej, z początku brunatnej, nieco później czerwonej i cieplejszej, powoli wracało nam czucie w nogach, czemu towarzyszyło mocne szczypanie spowodowane przywróceniem prawidłowego krążenia w tej części ciała.

– Czemu ta woda ma taki dziwny kolor? – usłyszałam pytanie Sabiry idącej za mną.

Po tyłu godzinach ciszy na dźwięk jej głosu wzdrygnęliśmy się wszyscy.

– To nic takiego – spokojnie odpowiedział Gilad, który szedł na końcu z drugą latarką. – Tutaj wody podziemne wypływają z miejsc o bardzo wysokim stopniu żaźelazienia. Natykaliśmy się na nie często na wykopaliskach, bo jak wiecie, Izrael leży na styku płyt tektonicznych arabskiej i afrykańskiej. Żelazo pochodzi ze starych popiołów wulkanicznych i utlenia się w kontakcie z tlenem w powietrzu i z solami mineralnymi w wodzie. To zjawisko zupełnie naturalne.

– Coś takiego stało się z Nilem przy pierwszej biblijnej pladze? – zagadnęłam ironicznie.

– Tego nikt nie wie – odparł dwuznacznym tonem.

Czułam się już trochę osłabiona, kręciło mi się w głowie, ale składałam to na karb zmęczenia i nic nie mówiłam, tylko szłam dalej. Chociaż jednak woda robiła się coraz cieplejsza i pomarańczowa, tempo marszu alarmująco spadało. Poruszaliśmy się jak sędziwi starcy. Idziemy resztkami sił, pomyślałam. Najdziwniejsze przy tym było to, że spory kawałek dalej

pomarańczowa woda znowu zmieniła barwę, tym razem na czerwoną, właściwie jadowicie szkarłatną, i zrobiła się bardzo ciepła, jak ze źródeł termalnych. Stopy szczyły strasznie. Gdybym nie czuła się tak źle, przysięgłabym, że idziemy przez rzekę krwi.

Po tej emocjonującej myśli zaczęło mi przeraźliwie dzwonić w uszach, wzrok mi się zamglił i straciłam równowagę. Usłyszałam krzyk Sabiry i odnotowałam, że Faradž mnie podtrzymuje, bo rozpoznałam jego zapach i głos, który rozległ się gdzieś bardzo blisko i przedarł przez dzwonienie w uszach, po czym straciłam przytomność.

Nie wiem, ile czasu minęło. Chyba niedużo. Ale kiedy oprzytomniałam i otworzyłam oczy, wydało mi się, że jakoś potwornie oszołomiona unoszę się nad własnym ciałem. Leżałam na czymś, na twardej, suchej powierzchni, z ulgą zatem stwierdziłam, że pewnie wyszliśmy z wody. Nic nie słyszałam. Nikt nic nie mówił. Gdzie Faradž? Odezwały się we mnie wszystkie dzwonki alarmowe. Obróciłam głowę, szukając go wzrokiem, i wtedy ogarnęło mnie przerażenie, jakiego w żyć ciu nie zaznałam: mój mąż i pozostali leżeli bez zmysłów na tej samej suchej powierzchni co ja, tyle że ja przynajmniej odzyskałam przytomność. Poziom adrenaliny w żyłach skoczył mi niewiarygodnie, zerwałam się... i natychmiast upadłam, jęcząc z bólu.

– Boże drogi! – krzyknęłam, łapiąc się za nogi. Coś zlego się z nimi działo, lecz nie wiedziałam co.

Jedna z latarek włączona leżała na ziemi między Kasparem i Abby, jakby wysunęła się Kasparowi z ręki, kiedy padał. Świeciła mocno, lecz ciemność była silniejsza, ostatkiem sił podczołgałam się zatem i wyciągnawszy daleko rękę, zdołałam jej dosięgnąć. Z najwyższym trudem usiadłam i skierowałam światło na Faradża. Leżał obok mnie ułożony odwrotnie, na brzuchu, bładny, jak martwy. Wydawało mi się, że nie oddycha. W gardle zaczęła mi rosnąć wielka gula.

– Nie – powiedziałam stanowczo na głos. – Nie teraz.

Dowłokłam się do niego i sprawdziłam mu puls. Żył. Z oczu popłynęły mi łzy – łzy radości, łzy ulgi. Pochyliłam się nad nim i obsypałam pocałunkami jego czoło, oczy, usta, zarośnięte policzki. Nie ocknął się jednak. Wtedy snop światła przesunął się po moich nogach. Z piersi wyrwał mi się okrzyk zgrozy.

Okrzyk zgrozy na widok tego, co zostało z górskich butów ze wzmocnionymi czubkami, na grubej, podkutej podeszwie: strzępki skóry trzymające się na kostkach dzięki sznurowadłom; okrzyk zgrozy na widok tego, co zostało z grubych bawełnianych skarpet: pojedyncze nitki; okrzyk zgrozy na widok tego, co zostało z moich małych, wypielęgnowanych stóp bez żadnych zgrubień, o równiutko przyciętych paznokciach... Cóż, moje stopy wyglądały jak dwa sine, pokryte strupami polana, na podeszwach i piętach była rana przy ranie. Musiały obficie krwawić, zanim zaschły. W zasadzie całą kamienną powierzchnię tego, na czym leżeliśmy, pokrywały rozległe

plamy krwi.

Poświeciłam latarkę na nogi innych. Wszystkie wyglądały jak moje. To pewnie przez wodę, pomyślałam. Jakim cudem? Jak lodowata, a potem ciepła woda mogła rozpuścić nam buty i tak poranić ciało do krwi? Nie mogłam tego zrozumieć, lecz dałam sobie spokój; miałam teraz dużo ważniejsze sprawy na głowie.

Na czworakach dowlókłam się do plecaków i wyjęłam butelki z wodą. Policzkowanie dla ocucenia zaaplikuję najpierw mężowi, człowiekowi najważniejszemu w moim życiu. Gdyby coś mu się stało... nie chciałam nawet o tym myśleć. Boże, oddaj mi go, proszę! Nie zabieraj mi go! błagałam w duchu. Z coraz większym lękiem wypełniającym mi serce zaczęłam wymierzać mu policzki, raz z prawej, raz z lewej, i wołać go po imieniu. Uderzenia nie były zbyt mocne, bo nie miałam wiele sił, ale w końcu uchylił powieki. Strach brał na jego widok, taki był wymizerowany. Nawet blond szczecina na twarzy wydawała się ciemna przy tej bladości. Jego usta ułożyły się w lekki uśmiech.

– Basileja... – wyszeptał.

Podłożyłam mu rękę pod głowę, uniosłam ją i przystawiłam mu do ust butelkę.

– Pij, kochanie, pij, proszę – mówiłam, bojąc się, że znów straci przytomność. – Pij, Faradź.

Niezgrabnie, małutkimi łyчками zaczął pić. Był jak śpiący, bez życia.

– Pij, Faradź, no pij, proszę. Pij, kochany.

Przy tak dużej utracie krwi musiał się szybko nawodnić, inaczej groził mu wstrząs. Czy Kaspar i Abby spakowali do plecaków także napoje izotoniczne? Opuściłam głowę Faradźa na ziemię i sama ledwie przytomna zaczęłam gorączkowo przetrząsać swój plecak, najbliższy. Są! Były na samym dnie. Dwa. Nie znałam marki, nie potrafiłam przeczytać hebrajskiej nazwy napoju, lecz wyraźnie widziałam słowa „Isotonic drink” u dołu etykiety. Drżącymi rękami spróbowałam otworzyć butelkę, jednakże nie dałam rady.

– Ty się napij – wyszeptał Faradź, który z zamkniętymi oczami zdawał się odgadywać moje problemy. – Napij się, bo nie zdołasz nam pomóc.

Jego głos dodał mi sił, z całego serca zanosłam też modły do Boga. Próbowałam odkręcić przekłety korek, jakbym walczyła ze śmiercią, i nareszcie ustąpił. Z niejakim poczuciem winy pociągnęłam pierwszy łyk, ale Faradź miał słuszność: jeśli nie odzyskam sił i zemdleję, już po nas. Już po wypiciu połowy napoju poczułam się znacznie lepiej. Ustąpiły zawroty głowy, mogłam łatwiej skupić wzrok na przedmiotach, toteż wróciłam z napojem do Faradźa. Znowu uniosłam mu głowę i cierpliwie poiłam go, pilnując, aby się nie zakrztusił. Ten napój działał cuda. Niebawem patrzyłam w otwarte piękne oczy męża, który uśmiechał się do mnie ustami już nie tak bladymi jak wcześniej.

– Chyba dam radę wstać – wyszeptał, zamierzając usiąść.

– Ani się waż – powiedziałam, przy ciskając jego dłoń do piersi. – Nie ustoisz na nogach.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Napij się więcej – rzekł. – Jeszcze nie wyglądasz dobrze.

– Raczej ty się napij, a ja w tym czasie ci powiem, co się stało.

Jego stopy wyglądały tak jak moje albo i gorzej. Co ciekawe, spostrzegł to dopiero, gdy zaczęły go boleć. Wcześniej tego nie widział. Mnie tylko trochę dokuczaly, jeśli niechcący dotknęłam ziemi.

Dokończyliśmy napój i napiliśmy się jeszcze zwykłej wody, po czym rozdzieliliśmy się, by ocucić pozostałych. Nie było to łatwe. W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że mam potężną hipoglikemię, musiałam więc przerwać, by zjeść kawałek jedynej dostępnej przekąski, która w tych okolicznościach wydała mi się niebem w gębie. Kto by pomyślał, że tak mi będzie smakowało koszerne mięso.

W końcu zdołaliśmy ocucić resztę ekipy. Zmuszaliśmy wszystkich po kolei, aby pili i jedli, choć nie chcieli. Przez złe samopoczucie nie zdawali sobie sprawy, jak ważne jest nawodnienie organizmu po utracie krwi.

Kaspar, doszedłszy do siebie, aczkolwiek ciągle słaby, oznajmił po chwili, że musimy opatrzyć rany, zanim wda się zakażenie. Moim zdaniem już były zakażone, naprawdę, lecz powiedział, że nie, nie są zakażone, że skałeczenia tylko krwawiły, ale teraz trzeba się pospieszyć. Jako że Faradz zajął się mną, a Kaspar zatroszczył się o Abby, Giladowi nie pozostało nic innego, jak na ochotnika zgłosić się do pomocy Sabirze, która jednak dumnie odmówiła.

– Najpierw ja ciebie opatrę – oznajmiła, stanowczo wyjmując mu z rąk apteczkę. – Twoje stopy wyglądają dużo gorzej niż moje.

– Bo są większe! – zaprotestował.

Głos Abby, której Kaspar odciął już nożem resztki butów i skarpetek i zaczął delikatnie przemywać stopy czystą wodą i mydłem, rozbrzmiał niczym głos prezeski wykonawczej na walnym zgromadzeniu:

– Sabira ma słuszność, Gilad. Pozwól, żeby najpierw ciebie opatrzyła.

I to był koniec dyskusji.

Faradz po oczyszczeniu mi skałeczeń podniósł moje nogi w górę i pokazał je pozostałym.

– Skałeczenia są nieregularne – wyjaśnił – nacięcia różnej długości i na szczęście dość płytkie.

Kłęczący Kaspar wyprostował się nieco do odpowiedzi, lecz nie oderwał wzroku od stóp Abby.

– Zgadza się. To tłumaczy, dlaczego tak bolało, kiedy szliśmy. Ale jakie ostrze mogło tak pociąć nam buty i tak dziwnie pokaleczyć nogi?

– Jedno jest jasne – powiedziałam, leżąc wsparta na łokciach, ponieważ Faradz nadal trzymał moje nogi w górze. – Że chociaż rany nie są głębokie, przez te czerwone wody termalne

straciliśmy mnóstwo krwi. Jak samobójca, który podcina sobie żyły w ciepłej kąpeli, żeby zapobiec krzepnięciu i szybciej się wykrwawić.

– A przez czerwony kolor wody – dodał Gilad, krzywiąc się z bólu – nie byliśmy świadomi, że krwawimy.

– Czuliśmy tylko ból – zauważyła Abby.

– Tak, ale sądzę – wydyrzałam z powodu pieczenia wywołanego przez chloroheksydynę, którą Faradz lał na mnie sprejem litrami – że tak nas bolało, bo krew schłodzona w lodowatej wodzie krążyła nam dalej w żyłach.

Wszyscy się ze mną zgodzili, a Sabira dodała, iż właśnie dlatego nikomu nie przyszło do głowy, że nie mamy podeszew u butów i idziemy boso.

– Nie – sprzeciwił się Faradz, wylewając na gazę resztkę środka odkażającego, którym miałam złane całe stopy – wszystko przez tę zimną wodę. Nie zapominajcie, że kilka godzin sziłmy w lodowatej wodzie. Ja zupełnie straciłem czucie. Poruszałem nogami, ale nie czułem stóp, były zupełnie zdrętwiałe. Dlatego w ogóle nie zauważyliśmy pierwszych cięć, które pozbawiły nas butów i skarpet.

– A kiedy dotarliśmy do czerwonej wody – podjęła Abby, sprawdzając, czy dobrze przylegają samoprzylepne paski do zamykania ran, którymi Kaspar oblepił jej już jedną nogę – zaczęliśmy się naprawdę kaleczyć, ale że w stopach nie mieliśmy czucia, a woda zrobiła się ciepła, klucie i ostry ból złożyliśmy na karb zmiany temperatury i wznowienia krążenia.

– Bolało nas na pewno z obu powodów – zgodziłam się. – A w ogóle co to za miejsce i jak dotarliśmy tutaj?

Kaspar puścił nogę Abby i wziął latarkę, równocześnie Faradz ostrożnie położył moje nogi na ziemi i podniósł drugą. Leżący na wznak Gilad włączył swoją. Trzy mocne strumienie światła pozwoliły nam wyraźnie zobaczyć, gdzie jesteśmy. I nie było to przyjemne odkrycie.

Krwawy korytarz mieliśmy tuż przed nosem – wcale się nie skończył, nic z tych rzeczy. Ebionici, Bóg wie jak kalkulując czas, przygotowali coś w rodzaju niszy po lewej stronie tunelu tuż ponad poziomem wody, aby straceńcy naszego pokroju mieli gdzie odpocząć. Nisza była spora, wysoka na jakieś trzy metry, o powierzchni około trzydziestu metrów kwadratowych, wielkości mniej więcej jednej trzeciej jaskini z kamieniami szlachetnymi. Wystarczająco duża, abyśmy się pomieścili z plecakami.

Ale to nie było wszystko. Pośrodku ściany w głębi, w połowie wysokości, widniała niesamowita płaskorzeźba wyryta w skale dużo lepiej niż spirala z Błogosławieństwami. Przedstawiała dziwny krzyż łaciński z kolczastymi gałęziami zamiast drewnianych ramion, powyżej duże koło czy aureolę z wpisany krzyżem kawalerskim, który miał między ramionami dwie litery hebrajskie lekko pochylone, tak że tworzyły jakby literę X.

Trzy snopy światła znieruchomiały wycelowane w rysunek

– Co to znaczy? – spytała stropiona Sabira.

– To krzyż – wyjaśnił były katon tak cierpko, jakby ktoś go z czegoś okradł.

– Ale bardzo dziwny – wtrąciłam. – Zrobiony z kolczastych gałęzi. Na sam jego widok człowieka przechodzą ciarki, zwłaszcza gdy ma poranione stopy. A aureola powyżej to anachronizm, bo mniej więcej do piętnastego wieku aureole przedstawiano tylko za głową Jezusa, jeżeli był ukrzyżowany jak tu, a jeśli nie był ukrzyżowany, to za głowami świętych.

– Te hebrajskie litery – wyjaśnił Gilad – to alef (א), pierwsza w hebrajskim alfabecie, i tau (ט), ostatnia.

– Hebrajska formuła biblijna alef-tau – oświecił nas Faradz – to odpowiednik greckiej alfy i omegi.

– „Jam jest Alfa i Omega, mówi Pan Bóg”³⁴ – wyrecytowałam cytat z Apokalipsy i poczułam ostre kłucie w podeszwach stóp. – Prześcieńcie oświetlać ten rysunek. Jak na niego patrzę, od razu bardziej mnie bolą skaleczenia.

Litry płyną odkażającego, które wylał na mnie Faradz, już wyschły, lecz mój mąż, zamiast na powrót zająć się mną i moimi stopami (ewidentnie już nie kochał mnie jak dawniej), gapił się bez ruchu w ten straszny kolczasty krzyż. Wydawało mi się, że słyszę, jak tryby pracują mu w głowie.

– W obuwiu noszonym w trzynastym wieku – oznajmił w tej chwili, klęcząc podparty pod bóle – nikt nie dotarłby tu żywy.

Powinniśmy byli zrobić sobie selfie w tym momencie.

– Jasne – przyznał Gilad. – Skórzane podeszwy nie wytrzymałyby takich cięć, a w trzynastym wieku jeszcze nie znano żelaznych trzewików, tak że ebionicy nie doszliby tutaj, wcześniej by zginęli.

– Dużo nas kosztowało dotarczenie tu was trzech i wszystkich plecaków! – zawołał Głaz z urazą na twarzy.

– Abby, ty też zasłabłaś? – zdziwiłam się.

Dziedziczka spojrzała na mnie i kiwnęła głową.

– Ty też, Sabiro?

Sabira również przytaknęła.

– Zaraz po tobie, Ottavio – powiedziała.

Czyli kobiety przegrały w dyscyplinie wykrwawianie. Musiało być jakieś naukowe wytłumaczenie tego. Już ja to sprawdzę.

– Ja niosłem Abby – wyjaśnił Głaz – Faradz ciebie, a Gilad Sabirę. I każdy dodatkowo dźwigał dwa plecaki. Ale twój mąż też zemdlał, kiedy półżywi wdrapywali się na tę platformę, tak że

w sumie Gilad i ja dotaszczyliśmy tu wszystkich i w końcu też straciliśmy przytomność.

– Ciężko było – przyznał atletycznie zbudowany Gilad. – Chyba w życiu nie przeżyłem nic gorszego.

– Skoro więc nie dałoby się tu dojść w trzynastowiecznych butach – drążył mój ulubiony archeolog, nie zważając na tę rozmowę – znaczy, że da się dotrzeć inaczej i oczywiście wyjść stąd.

Zapadła cisza. Jeśli miał słuszość, faktycznie istniała inna droga pozwalająca bezpiecznie ominąć ten śmiertelnie groźny korytarz.

Sabira w milczeniu skończyła dezynfekować nogi Gilada, następnie założyła mu paski zamykające rany, a wtedy on zajął się nią. Abby, już obandażowana, usiadła na ziemi i Kaspar pomógł jej się przesunąć pod ścianę, w którą się oparła z łydkami na plecaku, by stopy były wyżej. Ułożył się wtedy prostopadle do niej i przysunął blisko swe wielkie, poranione nożyiska. Abby czekało sporo roboty.

Faradz zabezpieczył mi opatrunki metalowymi zapinkami, po czym pomógł mi usiąść, żebym zajęła się jego ranami. Niemal tak samo jak na krzyż cierniowy bałam się popatrzeć na jego stopy, takie posiekane, sine i pokryte zaschniętymi strupami.

Po długiej chwili ciszy wszyscy siedzieliśmy z opatrzonymi nogami ułożonymi wyżej. Była druga nad ranem, padaliśmy ze zmęczenia, uznaliśmy jednak, że należy sobie pojeść i napić się, zanim pójdziemy spać. Mieliśmy przed sobą co najmniej dwa dni cierpliwego czekania tutaj, zanim zdołamy znowu stanąć na nogi, toteż urządziliśmy obóz pod tym kątem podzielony na cztery części: jedna dla Faradza i dla mnie z całym naszym dobytkiem; druga na lewo od nas dla Gilada; następna na prawo od nas dla Kaspara i Abby; i czwarta na prawo od nich dla Sabiry. W ten sposób nasza czwórka rozdzielała Gilada i Sabirę ułożonych pod ścianami.

Kiedyś się posilili i porządnie napili, podziękowaliśmy byłemu katonowi i dziedzicze, że tak dobrze spałowali plecaki. Wyglądało na to, że pomyśleli o każdym szczególnie.

– Nie myśmijcie, że spałowali – powiedziała Abby zdziwiona.

– Nie wy? – zdumiał się mój mąż.

– Nie – zapewniła. – Przygotowało je izraelskie wojsko. Fundacja zachowała dane o waszych rozmiarach, które podawaliście w Stambule, żeby Nuran Arslan mógł dostarczyć odpowiednie kaski, buty i kombinezony. Przydały się też po pożarze waszego domu.

– Aha!... – zawołałam. Teraz dopiero zrozumiałam te wszystkie cuda odzieżowe.

– Sabirę i Gilada poprosiliśmy w hotelu o podanie rozmiarów – wyjaśniła Abby. – Dlatego plecaki są tak fantastycznie wyposażone: to wojskowy ekwipunek dostosowany do potrzeb cywilów. Jak mielibyśmy z Kasparem wszystko załatwić w niecałe dwie godziny?

I zaśmiała się głośno na tak absurdalny pomysł. Niewątpliwie nie wyobrażaliśmy sobie nawet,

jak bardzo nam brakowało śmiechu. Rozległ się po raz pierwszy od dłuższego czasu, od wielu, wielu godzin, ogrzał nam serca, był niczym ciepło ogniska w mroźną noc. Podświadomie potrzebowaliśmy go tak samo jak jedzenia i picia. Jak napoju izotonicznego. Wybuchnęliśmy wszyscy serdecznym śmiechem niczym dzieci na placu zabaw, odczuwając jakąś absurdalną wesołość bez powodu, choć może i powód był: żyliśmy i mieliśmy nadzieję, pozornie uzasadnioną, że znajdziemy wyjście z tej jaskini niewymagające daniny krwi.

Z niewygodnego siedziska pod ścianą rozległ się oburzony, zdziwiony głos:

– Krzemień? Odłamki krzemienia jak w epoce kamiennej?

– Owszem, pani doktor – odpowiedział mi Głaz. – W dodatku z bardzo ostrymi krawędziami.

– W Izraelu jest dużo pokładów z licznymi narzędziami z krzemienia – zauważył Gilad siedzący naprzeciw mnie. – W dorzeczu Besoru na pustyni Negew znajduje się największe na Bliskim Wschodzie narzędzie krzemienne. Niestety, nikt nie wie, do czego służyło.

Sabira, Faradž i ja przez cały dzień grzecznie siedzieliśmy z nogami ułożonymi wyżej, podobnie jak Gilad i Abby, którzy opierali się o ścianę naprzeciwko. Ale naturalnie prośenie Kaspara, by siedział spokojnie, było jak rzucanie grochem o ścianę, a ponieważ już mu nie dokuczalo zranione udo, ani myślał pozwolić, aby unieruchomiły go nowe rany na stopach. I cóż uczynił? Otóż wbrew wszystkim – nawet jego Julia się sprzeciwiała – dopełził na skraj niszy, zawisł połową ciała nad czerwoną wodą i ostrożnie macając, zdołał wyrwać z zaszlamionego dna dwa kawałki krzemienia, który pociął nam buty i stopy.

– Całe dno kanału jest tym usiane – powiedział, pokazując nam kamienne odłamki. – Nic dziwnego, że nogi mamy, jakie mamy.

Krzemienne noże wielkości karty kredytowej miały kształt zbliżony do migdału, a kolor jasnobrązowy, chociaż część zanurzona w szlamie była jaśniejsza od górnej, szerokiej na niecały centymetr. Obydwie strony idealnie wyszlifowano, a końce tak zaostrono, że przecięłyby piórko spadające w powietrzu. Tak, teraz rozumieliśmy, dlaczego nogi mieliśmy, jakie mieliśmy.

– Musiały być ich tysiące pod wodą – zauważyła Abby.

– Imponujące – z podziwem rzekła Sabira.

– Nie mamy nic metalowego, żeby ochronić stopy i wyjść stąd – zmartwił się Gilad. – Poza tym nie każdy metal by się nadał. Na przykład aluminium te ostrza raz-dwa by pocięły.

Kaspar na kłęczkach, bo w rękach trzymał kamienie, niczym korny penitent wrócił na swoje miejsce koło Abby, usiadł wygodnie, ułożył nogi na plecaku i westchnął głęboko.

– Musi być inny sposób – mruknął.

– Może odpowiedź jest w tym rysunku – podsunął Faradž.

– Mówisz o krzyżu cierniowym? – zmartwiłam się.

Nie miałam ochoty oglądać go w poszukiwaniu wyjścia. W ogóle starannie omijałam go wzrokiem od początku, a kiedy układaliśmy się do snu, umieściłam nasz śpiwór tak, żeby ścianę mieć za głową i nawet przypadkiem nie zobaczyć rysunku, a już szczególnie zaraz po przebudzeniu.

– Musimy go zbadać – upierał się mój mąż.

– Dotąd żaden rysunek na skale do niczego nam się nie przydał – zwróciłam uwagę.

– Na nic się nie przydała tylko spirala Błogosławieństw – wtrącił Kaspar. – Rysunek z Przybytkiem był bardzo użyteczny.

Gilad zrobił głupią minę wyrażającą nadzwyczajne zdumienie.

– Kurde, ależ to pokręcone! – skomentował.

Spojrzelśmy na niego zdziwieni, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– No tak... – zaczął niepewnie. – Znaczy chodziło mi o związek między dwoma pierwszymi Błogosławieństwami, jaskinią z kamienia i tym miejscem.

Teraz już zupełnie się pogubiłam. Do licha, o czym on mówi? Pewnie jako żyd coś sobie uroił w związku ze słowami Jezusa.

– Gadaj! – rozkazał Głaz bez ceregieli.

Ponieważ siedzieli obok siebie, głos Kaspara musiał zabrzmieć w uszach Gilada niczym trąby Sądu Ostatecznego.

– Pierwsze Błogosławieństwo – czym prędzej zaczął wyjaśniać – mówiło coś w stylu, że ubodzy powinni być szczęśliwi, bo do nich będzie należało królestwo. W pierwszej jaskini znaleźliśmy dwanaście bezcennych kamieni szlachetnych. Gdybyśmy je sobie zostawili, nie rozwiązałibyśmy zagadki. Ale wyrzekłszy się ich, zyskujemy królestwo i wychodzimy stąd.

– Jakie królestwo? – zwołałam.

Prawdziwe Błogosławieństwo zapowiadało, że królestwo niebieskie będzie dla ubogich w duchu.

– Królestwo Izraela oczywiście – rzekł Gilad.

– Grubo się mylisz! – ostrzegłam.

– Ależ Ottavio – odparł – we wszystkich tekstach hebrajskiej Biblii, kiedy jest mowa o królestwie albo o dziedziczeniu królestwa i nie precyzuje się jakiego, chodzi o królestwo Izraela. I tego właśnie dotyczy spiralna inskrypcja.

Sabira podniosła z ziemi aparat fotograficzny, włączyła go, coś tam poprzciskała, po czym podała mi. Na małym wyświetlaczu wyraźnie było widać spiralny tekst Błogosławieństw z pierwszej jaskini. Asasynka powiększyła obraz, żeby środek był czytelny.

– Możesz podać Faradżowi, żeby przetłumaczył na głos pierwsze Błogosławieństwo? – poprosiła grzecznie.

Niechętnie wzięłam od niej aparat i przekazałam go mężowi. Wciąż mnie dręczyły rzeczy stojące w sprzeczności z tym, w co ślepo wierzyłam.

– „Błogosławieni ubodzy, albowiem do nich będzie należało królestwo” – przetłumaczył Faradż.

– A widzisz, Ottavio? – wykrzyknął Gilad. – Ubodzy albo ci, którzy tak jak my wyrzekają się bogactw i stają się ubodzy, zyskują w nagrodę królestwo. A królestwo na rysunku z Przybytkiem

było rzecz jasna pełnym królestwem Izraela, z wszystkimi dwunastoma plemionami. Wydaje mi się, że takie może być znaczenie tego Błogosławieństwa i próby.

– A znaczenie drugiego? – zezłościłam się.

– „Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem będą pocieszeni” – przetłumaczył Faradz motu proprio.

– Jeśli dobrze pamiętam – ciągnęłam poirytowana – nikt z nas nie płakał z powodu ran czy dlatego, że był bliski śmierci!

– Znaczy ja płakałam – pospieszyła z zapewnieniem Abby. – Bardzo płakałam, kiedy szliśmy przez tę lodowatą wodę. I z zimna, i z bólu.

– Ja też – wyznał Kaspar bez ogródek

– I ja – potwierdził Gilad.

– Ja także – dodała Sabira.

– Oczywiście ja również – oznajmił Faradz. – I ty też płakałaś, basileja, płakałaś jak Maria Magdalena, widziałem. Płakaliśmy wszyscy, więc drugie Błogosławieństwo też może się odnosić do nas. Wyjaśnij je, Gilad.

– Tylko do tego doszedłem – przeprasząco powiedział umięśniony przechera. – Nie wiem jeszcze, jak zostaniemy pocieszeni, ale liczę na coś pozytywnego, bo Błogosławieństwo wyraźnie zapowiada, że będziemy szczęśliwi, bośmy płakali.

– Bardzo mi się podoba taki punkt widzenia – roześmiał się Kaspar. – Nikt mu nie wpajał od dziecka, że ma wierzyć w każde Błogosławieństwo, więc przeprowadza analizę w stu procentach racjonalną, historyczną i osadzoną w konkretnym kontekście.

– Nie sądzę, abym poczuła się szczęśliwa dlatego, że płakałam! – oznajmiłam.

– Skoro mamy się spodziewać pociechy – rzekł mój mąż absolutnie zachwycony – może powinniśmy dokładniej się przyjrzeć rysunkowi na skale pod łątem odkrycia Gilada.

– Jakiego odkrycia? – spytałam oschle.

– Ależ kochanie! Spirala z Błogosławieństwami nie była tylko ozdobą! Ebionici nas uprzedzili, że aby dotrzeć do ossuariów, będziemy musieli spełnić podstawowe warunki programu wyborczego, który Jezus przedstawił w Kazaniu na Górze czy na równinie.

Miałam ochotę go udusić. Zdawał sobie sprawę, co mówi? Pominąwszy bluźnierstwo, mieliśmy zostać „pocieszeni” i wyjść stąd. Ale znaczyło to zarazem, że czeka nas jeszcze sześć Błogosławieństw, przy czym niektóre wydawały mi się naprawdę groźne, jak na przykład czwarte, „Błogosławieni, którzy łakną”. Stan naszych stóp akurat raczej nie pozwalał na skłanianie z radości, a tym bardziej na pokonanie długiej drogi z plecakami, z których pożywienia ubywało w zastraszającym tempie.

Tymczasem politowania godni członkowie mojej ekipy, zamiast przejąć się rzeczywistością,

chcieli tylko analizować i studiować z uwagą wyryty w skale ciernisty krzyż, by szybko rozwiązać zagadkę i dostąpić zapowiedzianej rzekomej pociechy. Jakbyśmy mogli wybiec sobie stąd szczęśliwie pocieszeni.

– Kobieta małej wiary – szepnął mi na ucho Faradz, widząc, że w przeciwieństwie do innych nie czołgam się skwapliwie do rysunku.

– My lisz się – odparłam zgnębiona. – Jestem kobietą wielkiej wiary i dlatego toczę zmagania wewnętrzne, chociaż ty tego nie widzisz.

– Naprawdę myślisz, że nie widzę? – zapytał, całując mnie. – Obserwuję minuta po minucie, co przeżywasz, odkąd wdaliśmy się w tę awanturę, a ponieważ cię znam, wiem, że tę walkę musisz stoczyć sama. Ja nie mogę ci pomóc. Ale dzięki wierze i miłości do Boga, w którego wierzysz, dasz z siebie wszystko i zwyciężysz. Bo zawsze zwyciężasz, najdroższa.

– Dzięki – odparłam z uśmiechem.

– Nie wiesz, że jesteś uparta jak muł – rzekł ze śmiechem na koniec – i że raczej dałabyś sobie odciać rękę albo i obydwie, niżbyś przegrała walkę?

– Faradz! – wrzasnęłam, wymierzając mu klapsa w tylną część ciała, jedyną, której zdołałam osiągnąć, mój tchórzliwy mąż bowiem, pokadając się ze śmiechu, czym prędzej oddalał się na czworakach.

Nie musiałam jak głupia wgapiać się godzinami w rysunek, ponieważ doskonale go pamiętałam, ze wszystkimi szczegółami. Nie bez kłozery miałam pamięć fotograficzną. Po co tracić czas na oglądanie czegoś, co znam? Mogłam się nad tym zastanowić, uszczuplając nasze zapasy jedzenia i picia, a przede wszystkim szukając zapasowego obuwia w torbach Mary Poppins od izraelskiego wojska. Nie mieliśmy butów i choć za niecałe dwadzieścia cztery godziny ze stóp zejdzie nam opuchlizna i skaleczenia się zrosną wystarczająco (cuda współczesnej medycyny), niczego nie wskóramy, jeśli przyjdzie nam wędrować boso.

Chodziła mi po głowie pewna wątpliwość, gdy doszłam do końca tych rozważań: jeżeli w butach noszonych w XIII, XIV, a nawet XV wieku nie dało się dojść do tej niszy, po co do diabła ebionici ją wydrążyli i wyryli w kamieniu ten potworny ciernisty krzyż z anachroniczną aureolą, choć nie było głowy Chrystusa? Skoro nikt żywy nie miał prawa dojść tu z wyjątkiem tych, którzy znali inną drogę, bez krzemiennych ostrzy, jaki był sens tego rysunku? Nas uratowały buty, ale w ubiegłych wiekach każdy intruz bez odpowiedniego obuwia wykrawałby się na śmierć albo utopił, zanim dotarłby do tej sztucznej płyty.

Z drugiej strony to miejsce ewidentnie leżało w takiej odległości, że kto przeżył wędrowkę, idąc normalnie od jaskini z kamieniami szlachetnymi, mógł się tutaj zatrzymać i odpocząć przed dalszą drogą. Była to jakby stacja obsługi albo zajazd. Wniosek platforma była dla nich, dla ebionitów, którzy znali bezpieczną drogę. A zatem siłą rzeczy gdzieś w tej niszy musiały być

ukryte drzwi. Innego rozwiązania nie było, chyba że ebionici potrafili fruwać, w co raczej wątpiłam.

Po sprawdzeniu zapasów szacowałam, że zostało nam jedzenie i picie na jakieś dwa dni. Osobnym tematem było obuwie, które znalazłam mocno sprasowane w zakamarku na dnie plecaka.

– Do licha, co to jest? – zawołałam, podnosząc bambosze z gumy do żucia w kolorze beżowym.

Zignorowali mnie wszyscy siedzący przed rysunkiem i pogrążeni w uczonych elukubracjach z wyjątkiem Abby, która obejrzała się na mnie i uśmiechnęła na widok odrazy na mojej twarzy.

– To buty wspinaczkowe – wyjaśniła, przybliżając się do mnie na kolanach. – Na pionowej ścianie pozwalają znaleźć podparcie.

– Cóż, tylko takie obuwie nam zostało – rzekłam strapiiona. – Do marszu chyba się nie nada.

Wzięła te bambosze do ręki i pokazała mi spody.

– Zobacz, te podeszwy z miękkiej gumy są taksamo mocne jak podeszwy w butach górskich.

– Nie wyglądają.

– Wyprodukowano je z nowych materiałów opracowanych w laboratoriach – przekonywała mnie. – Są znakomitej jakości, wierz mi. Pamiętaj, że przeznaczono je dla wojska. Raczej nie kupisz równie dobrych w żadnym sklepie na świecie. Będzie się w nich szło równie wygodnie jak w normalnych butach. Może nawet wygodniej, bo prawie nic nie ważą.

– Doszliście do jakichś wniosków z rysunkiem? – zapytałam, gdy składała starannie niby-butę z gumy do żucia.

– Kombinujemy z ciernistym krzyżem – opowiadała, pomagając mi porządkować rzeczy. – Zgadzamy się w tym, że symbolizuje drogę, którą przyszedliśmy tutaj. Jak zapytałaś o te buty, akurat skojarzyliśmy Drogę Krzyżową Jezusa z naszymi łzami, kiedy na pokaleczonych nogach przemienialiśmy się w tych „którzy płaczą”.

– A wiesz, co ja odkryłam? – spytałam cicho. – Że tutaj, w tej niszy, muszą być sekretne drzwi.

Ponieważ spostrzegłam, że skamieniała, pospieszyłam z wyjaśnieniami, by zrozumiała, jak doszłam do tego wniosku. Niebieskie oczy zrobiły jej się wielkie jak spodki, z czym było jej do twarzy. W zasadzie miała śliczne oczy. Nie takie jak Faradz – jego były niezrównane – ale całkiem ładne. Co też mnie napadło, że uważałam je za małe i blisko osadzone? Życie stale funduje człowiekowi niespodzianki.

– Trzeba im powiedzieć! – szepnęła z promiennym uśmiechem.

– Nie, jeszcze nie – powstrzymałam ją. – Zobacz, jacy są spokojni. Nawet starają się trzymać nogi wyżej oparte na zawiniątkach z ubraniami. Że nie wspomnę o Kasparze, który bez protestów siedzi jak grzeczny chłopczyk, nie warczy, nie próbuje dowiec się do wody, żeby wyrywać z niej

krzemienne noże!

Abby nie zdołała pohamować perfekcyjnego śmiechu, który choć głośny, nie ściągnął uwagi reszty ekipy zapatrzonej w skupieniu w płaskorzeźbę.

– Nie mów im nic – poprosiłam. – Już pora kolacji. Potem zmienimy opatrunki i położymy się spać. Jutro nogi będziemy mieli w dużo lepszym stanie. Powiemy o wszystkim przy śniadaniu i jestem prawie pewna, że będziemy mogli szukać ukrytego wyjścia po bożemu, na dwóch nogach, a nie na czworakach albo pełzając.

Nasi sumienni badacze odmówili odejścia z posterunku przy płaskorzeźbie w celu spożycia kolacji i zmiany opatrunków, jednakże Abby i ja, naraz w roli apodyktycznych wychowawczyń, oderwałyśmy krnąbrnych uczniów od rysunku i podczas posiłku cały czas wiodłyśmy miłą pogawędkę niemającą nic wspólnego z nieprzyjemnymi wywodami na temat ciernistego krzyża. Następnie zdjęliśmy z nóg bandaż, dość luźne, ponieważ opuchlizna zupełnie zeszała, i grubą warstwę plastrów – okazało się, że proces gojenia idzie pełną parą. Zdecydowaliśmy się przemyć wszystko roztworem soli, a kiedy stopy nam wyschły, pozalepialiśmy skaleczenia świeżymi paskami do zamykania ran, zrezygnowaliśmy jednak z bandażowania, aby w nocy skóra poodychała, bo to sprzyja gojeniu.

Pogadaliśmy jeszcze trochę, między innymi o niepokojąco małej ilości jedzenia i picia i o konieczności racjonowania jednego i drugiego, po czym udaliśmy się na spoczynek. Skuliłam się w śpiworze i niebawem Faradz zachrapał mi do ucha, przygniatając mnie z prawej strony. Chociaż w tej jaskini temperatura panowała znośna dzięki ciepłu oddawanemu przez wodę, długo nie mogłam zasnąć, w śpiworze bowiem było mi za gorąco, a kiedy wreszcie sen nadszedł, był niespokojny, tak że znalazłam się w onirycznym świecie właściwym dla półsnu. I oczywiście zaczęłam śnić o ciernistym krzyżu, co jeszcze bardziej mnie podenerwowało i odrobinę ocuciło, chociaż nadal spałam, jeśli spaniem można nazwać lekką, męczącą sen.

Ale najlepiej z tej nocy pamiętam, że naraz wydało mi się, iż jestem rozbudzona, chociaż nie byłam, w tym zwidzie wysunęłam się ze śpiwora, stanęłam bez trudu na nogach, które nie były poranione, i z latarką podeszłam do rysunku wrytego w kamieniu. Tyle że teraz był inny: widziałam jedynie nimb (ewidentnie mój umysł, mimo że uśpiony, wypierał krzyż), lecz trochę większy niż w rzeczywistości i umieszczony w centrum ściany. Ponadto w nimbie ze snu wpisany w okrąg krzyż kawalerski miał proste ramiona, a głowa Chrystusa Pantokratora w stylu bizantyńskim, w posępną brodatą twarzą, zasłaniała go od dołu do poziomu ramion. Hebrajskie litery alef i tau (א i ת) zniknęły, w ich miejsce pojawiły się greckie alfa i omega (α i ω). Skierowałam latarkę na oblicze Chrystusa, bo chciałam Mu coś powiedzieć, ale im lepiej je oświetlałam, tym bardziej wizerunek się rozmywał, a ja tym bardziej chciałam mu powiedzieć coś, czego nie pamiętam, aż w końcu twarz Pantokratora zupełnie zniknęła i na ścianie pozostał

tylko nimb.

– „Jam jest Alfa i Omega, mówi Pan Bóg” – wykrzyknęłam we śnie i nimb się powiększył. – „Jam jest Alef i Tau, mówi Pan Bóg” – zawołałam powtórnie i nimb jeszcze urosł.

Zrozumiałam, że obydwa języki, hebrajski i grecki, wywołują taki sam skutek.

Obróciłam się, by powiedzieć innym, co się stało, ale w jaskini nikogo nie było. Tylko ja na bosaka z latarką w ręce. I nimb.

– Alfa i Omega! – krzyknęłam. – Alef i Tau!

Heleńko wymawiałam nazwę liter po grecku i hebrajsku, nimb się powiększał, a jeśli wypowiadałam je szybko, nimb rósł także szybko. Stał się w końcu taki wielki, że zajmował prawie całą ścianę aż po sklepienie, a przed moim nosem u zbiegu ramion krzyża kawalerskiego widniało coś, czego przedtem nie było, bo zasłaniał to Pantokrator: wycięte kółeczko, pierścień, który gdy mu się przyjrzałam, uświadomił mi w pełni, żeśmy się mylili, że ossuariów ze szczątkami Jezusa i jego rodziny nie ma tutaj, we wnętrzu tej góry, że wszystko to jest straszną pułapką i potworną zbrodnią na wierze wymierzoną w Kościół.

I wtedy tuż przed przebudzeniem się z tego koszmaru powiedziałam do nimbu:

– Skoro jesteś Alfa i Omega, Początek i Koniec³⁵, dlaczego jesteś w okręgu? Okręgi nie mają ani początku, ani końca. Nie jesteś Alfą i Omegą, bo Bóg nie ma początku ani końca, a jeśli je ma, nie jest Bogiem.

Otworzyłam naraz oczy zrana potem i oczywiście niczego nie zobaczyłam, tylko kompletną ciemność. Wszyscy spali. Szczególnie głęboko zaś Faradz, którego znajome chrapanie było częścią każdej mojej nocy.

Odsunęłam zamek śpiwora i uważając, by nie odkryć męża, położyłam się na wierzchu, czując wielki spokój. Powoli gorąco mi przeszło, gołe stopy ochłodziły i im bardziej stygłam, tym bardziej chciało mi się spać. Udało mi się w końcu głęboko zasnąć, chociaż nie za bardzo wypoczęłam. Ale snu nie zapomniałam.

Rano, kiedy zadzwonił budzik w telefonie Kaspara, włączyliśmy latarki i ku swemu zadowoleniu odkryliśmy, że stopy mamy praktycznie zdrowe. Środki gojące i przeciwzapalne oraz jałowe opatrunki i paski zamykające rany wykonały swoją robotę. Z szerokimi uśmiechami podnieśliśmy się, stając ostrożnie na nogi, które dzielnie zniosły tę próbę. Niemniej obmyliśmy je roztworem soli i osuszyli dokładnie ręcznikami, po czym znowu spryskaliśmy środkiem odkażającym. Skaleczenia, teraz wilgotne pod grubymi paskami, wyschną na wiór w niecałą godzinę, zanim umyjemy się i zjemy śniadanie.

Życzliwie codziennie mogliśmy zmieniać bieliznę, lecz wierzchniej odzieży nie, toteż była już mocno przybrudzona i przepocona. Myliśmy się nawilżanymi serwetkami (a raczej prześcieradłami, takie były wielkie), jednakże tęskniliśmy za luksusami w rodzaju porządnego

prysznic i czystych ubrań. Zostało nam sporo saszetek z kawą rozpuszczalną i torebek herbaty, zaczęliśmy natomiast odczuwać niedobór wody.

Kiedy zaczęliśmy z Abby przedstawiać naszym uważnym słuchaczom teorię istnienia ukrytych drzwi w tej jaskini i argumenty przemawiające za tym, słuchacze zareagowali, jakbyśmy wstrzyknęły im adrenalinę do żył: zupełnie im odbiło, nawet Faradżowi i przezornej Sabirze. Każdy chciał natychmiast znaleźć rzezione wyjście, nikt nie podważał teorii, która powalała logiką. Ze śniadaniem uporaliśmy się zatem w trymiga, by zaraz wziąć się za skrupulatne badanie każdego centymetra kwadratowego wnęki. Tym razem jednak zaparłam się, jeśli chodzi o przydział: jak nisza została podzielona na odcinki, tak została podzielona, ale mnie ma przypaść część z rysunkiem – i to bez dyskusji. Oświadczyłam, że oni już mu się napatrzyli poprzedniego dnia, a teraz ja chcę go dokładnie obejrzieć. Protestowali, lecz w końcu się zgodzili. Ostatecznie to ja wydedukowałam istnienie sekretnych drzwi, więc mi się należało.

I tak na nowo przeobrażeni w świecących mnichów sintoistycznych – każdy z latarką przy mocowanej do głowy sznurowadłami od butów pociętych krzemionymi ostrzami, uzbrojony w rolę papieru toaletowego (mieliśmy go pod dostatkiem) i scyzoryk, z butelką po napoju izotonicznym napełnioną czerwoną wodą z kanału – przystąpiliśmy do poszukiwania drzwi. Jednakże mnie chwilowo wyjście w ogóle nie obchodziło. Nade wszystko obchodził mnie nimb.

Chociaż włożyliśmy skarpetki (czyste) i te śmieszne buty wspinaczkowe, stąpaliśmy bardzo uważnie i raczej wolno. Mój problem polegał na tym, że chciałam mieć nimb na wysokości twarzy, a nie powyżej czubka głowy, toteż ułożyłam jeden na drugim plecak swój i Faradża, do nich dodałam nasz poskładany śpiwór oraz całą dostępną odzież, po czym wspięłam się na tę stertę ostrożnie ze względu na poranione stopy. Przydałoby się jeszcze parę centymetrów, lecz nic więcej nie miałam, by powiększyć stos.

I oto znowu nimb i ja znaleźliśmy się twarzą w twarz. Po nocy spędzonej razem nawiązała się między nami szczególna intymna więź. Oczywiście realny nimb różnił się od tego w moim śnie – był mniejszy, nie miał liter greckich, a wpisany w niego krzyż kawalerski był trochę przechylny, jak skrzywione X. Ponadto na zbiegu ramion nie było wyciętego krążka, pierścienia, co nie wiedzieć czemu mocno mnie stropiło, tak jakbym uwierzyła we własny sen.

Na wszelki wypadek oderwałam kawałek papieru toaletowego, zmoczyłam go czerwoną wodą i zaczęłam myć zbieg ramion krzyża. Nie, nic tam nie było. I dobrze, bo przecież krążek, który widziałam we śnie, był czystą fantazją. I co dalej? Obmacać miejsce, gdzie powinien się znajdować krążek, czy wygłosić słowa z Apokalipsy niczym magiczne zaklęcie? Nie widziałam wystarczających powodów, by wcielić w czyn te głupoty, mimo to nacisnęłam dość mocno środek zbiegu ramion, lecz zrobiłam to ze złości, bo naprawdę czułam się jak idiotka, która uwierzyła w sen. Jak należało się spodziewać, nic tym nie wskórałam.

Niemniej gdy stałam tak blisko ściany, wydało mi się, że coś zza niej słyszę. Znowu zgrzyt zębatek łańcuchów i czego tam jeszcze. Odczekałam chwilę, ale nadal panowała cisza zakłócana jedynie skrobaniem scyzoryków po kamieniu i sapaniem moich towarzyszy. A może by tak jeszcze raz nacisnąć dla sprawdzenia, czy dźwięki się powtórzą? Oczywiście zaraz to zrobiłam. I oczywiście nimb z krzyżem kawalerskim nie urosł cudownie jak w moim śnie, coś się jednak stało: nimb przeobraził się w walec i ze zgrzytem i trzeszczeniem zaczął się wyłaniać ze skały.

Tak się wystraszyłam, że odruchowo zeskokczyłam ze sterty rzeczy, na której stałam, żeby gruby kamienny cylinder nie walnął mnie w głowę. Boże drogi, ależ mnie zaboląły podeszwy stóp! Ból był tak dojmujący, że w oczach stanęły mi łzy. Pamiętam, że padłam na wznak i sięgnęłam rękami do nóg, równocześnie rozległ się okrzyk Faradża:

– Ottavio!

– Ściana! – zawołał Gilad.

Mąż objął mnie, pocałował, jak najdelikatniej odpiął mi rzepy u butów wspinaczkowych i ostrożnie je zdjął. Kiedy inni patrzyli, jak kamienna kolumna wyłania się ze ściany, Faradż obejrzał spody moich skarpetek, szukając plam z krwi, jeśli któraś rana się otworzyła, następnie ściągnął mi je i sprawdził opatrunki.

– Wszystkie w porządku, kochanie – rzekł z szerokim uspokajającym uśmiechem.

Dźwięki ucichły, kamienny walec wysunął się do końca. Ból w stopach przycichał, toteż włożyłam na powrót te śmieszne buty. Faradż pomógł mi wstać z ziemi. Wszystkie przymocowane do głów latarki celowały światło w kamienny cylinder pokryty wyschniętym czymś, co przed wiekami niewątpliwie było jakimś smarem.

– To miód – powiedział Głaz, podnosząc palec z odrobiną tego czegoś zebraną z cylindra.

– Miód? – zdziwiła się Abby.

– Miód może przetrwać tysiące lat – wyjaśnił jej luby. – Czasem w doskonałym stanie. Ten się skryształizował, wysechł, ale dzięki parze, która jest tutaj w powietrzu z ciepłej wody, zapewnił poślizg walcowi.

– Bez tego w ciągu tylu wieków – dodał Gilad – prawdopodobnie walec przywarłby do kamienia spojony mieszaniną pyłu i pary wodnej. A gdyby użyto tłuszczu zwierzęcego, zjęłzałby i też przykleił walec do skały. Miód w najgorszym razie mógł wyschnąć trochę, ale jak widzieliśmy, pozwolił walcowi się wysunąć. Genialne.

– I to ma być nasza pociecha? – spytałam ironicznie.

Wszyscy popatrzyli na mnie dziwnie.

– Odnajdujesz ukryte drzwi i jeszcze marudzisz? – zdumiał się Kaspar.

– To nie są drzwi – zauważyłam lekceważącym tonem, wskazując cylinder.

– Jeszcze nie – odparł gniewnie. – Ale będą. Chyba że taki walec, który wysuwa się sam ze

ściany, nie jest dla ciebie wystarczająco rzadkim zjawiskiem?

– Ottavio, pamiętasz, co ci powiedziałem? – zapytał Gilad. – Kiedy zobaczyliśmy ten rysunek, powiedziałem ci, że litery w nim to alef i tau.

– „Jam jest Alfa i Omega, mówi Pan Bóg” – powtórzyłam, nie dowierzając w to, co przeczuwałam, że się stanie.

– No właśnie. Pan Bóg z waszej Biblii mówi, że jest alfą i omegą, a mój przy różnych okazjach powtarza, że jest alefem i tau. A nie zwróciliśmy uwagi, że krzyż w nim jest przekręcony i bardzo przypomina hebrajską literę alef.

Hebrajską literę alef? Przyjrzałam się wyrytemu w skale nimbowi i faktycznie, litera \aleph , alef, była bardzo podobna do krzyża kawalerskiego, ponadto wyglądała na wyciętą w nim zupełnie wyraźnie. Była trochę obrócona, przekrzywiona, owszem, jak zresztą cały nimb.

I w tym momencie wszyscy członkowie Oddziału Poszukiwawczego Prostopadłościanów Prymatycznych (w skrócie OPPP) równocześnie wpadli na rozwiązanie.

– Chyba upaśćkami się miodem po czubek głowy – przestrzegł mój mąż. – Trzeba się ubrać w te foliowe płaszcze, które mamy w plecakach.

Włożyliśmy je, lecz oprócz tego, że chroniły odzież, na niewiele więcej się przydały. Kiedy wzięliśmy się do obracania cylindra, by nimb i litera alef znalazły się we właściwym położeniu, ów stary i ponoć skryształizowany miód oblepił nam wszystko: ręce, twarz, rzęsy, brwi, włosy. Okazało się jednak, że faktycznie jest bardzo użyteczny, bo kamienna kolumna bez większych problemów obróciła się po prawie ośmiu wiekach trwania w jednym położeniu. Wreszcie, gdy walec spoczął jak należy – nie dało się go bardziej obrócić – rozległ się wyraźnie znajomy szelest piasku przesypującego się między podwójnymi ścianami i sufitami. Wydawało się, że wszędzie wokoło obsuwają się jakieś gigantyczne masy piasku kanałami ukrytymi przed naszym wzrokiem. I wtedy... stało się!

Szelest piasku spotężniał i szybko skupił się w pobliżu nas, a gdy oczami wyobraźni już widziałam siebie przysypaną tonami pustyni, ze sklepienia korytarza z czerwoną wodą zaczęły opadać wąskie kamienne płyty długości około dwóch metrów. Przypominały mi lampy neonowe zawieszane nad stołami bilardowymi, a w rzeczywistości były zasuwami olbrzymich silosów z piaskiem, który zaczął się wysypywać potężnymi strumieniami do ciepłej czerwonej wody.

W powietrzu w jaskini raz-dwa zawisł pył jak podczas burzy piaskowej. Poczulałam, że Faradz mnie obejmuje i naciąga mi na głowę kaptur lepkiego foliowego płaszcza. Długo to trwało, lecz wreszcie się skończyło. Powoli pył opadł, mogliśmy zdjąć z twarzy chustki czy bluzki, przez które musieliśmy oddychać. Krwawa rzeka z krzemienymi ostrzami zniknęła. Woda wsiąkała w piasek, który pokrywał podłoże kanału do wysokości wnęki, tworząc równą, prostą ścieżkę barwy czerwonej, ciągnącą się jakokim sięgnąć.

Tą ścieżką można było iść, i to wygodnie, była bowiem giętka i miękka jak mokry skraj nadmorskiej plaży, doskonała dla naszych obolałych stóp. Poczułam się nadzwyczajnie szczęśliwa, gdy spakowaliśmy manatki i ruszyliśmy ścieżką, która faktycznie okazała się dla nas autentycznym pocieszeniem.

Przeszliśmy zaledwie ze dwa kilometry w żółtym tempie, gdy kolor piasku zaczął się stopniowo zmieniać, przechodząc od czerwonego w szary, po czym zaraz korytarz się skończył: przed nami otworzyła się rozległa kłosa przestrzeń, której ściany i sklepienie tworzyły wysoką kupałę. Było jeszcze za wcześnie na posiłek, niedawno wyszliśmy z wnęki z nimbem, lecz to miejsce wydawało się idealne na krótki postój, by dać wytchnienie nogom. Ponadto w pustej pieczarze na przeciwległym jej końcu ze szczeliny w skale ciurkała krystaliczna woda, która spływała do zbiornika wykutego w kamieniu.

– Woda, super! – zawołał Faradz. – Napełnimy bidony, bo widać w nich dno.

– Ci ebionicy pamiętali o każdym istotnym szczególe – cieszył się Kaspar.

– Bardzo przewidujący ludzie – zgodziła się z nim szeroko uśmiechnięta Abby.

Ostrożnie i powoli weszliśmy z korytarza do pieczary. Tutaj również na ziemi leżał piasek, lecz suchy, a więc twardszy, co nie było bez znaczenia dla naszych wymagających delikatności nóg. Zanim jednak doszliśmy do środka jaskini, pamiętam, że odnotowałam pod stopami leciutkie drgnienie, jakby falowanie.

Zaskoczyło nas. Straciliśmy czujność, nie spodziewaliśmy się bowiem, że nastąpi to tak szybko – przecież między próbą z kamieniami szlachetnymi i wnęką z nimbem ebionicy dali nam sporo czasu, nie pamiętaliśmy zatem, że we wnętrzu tej góry nic nie jest przypadkowe, wszystko zostało dokładnie skalkulowane, by nie dopuścić dalej rabusiów grobów albo – co na jedno wychodzi – bezprawnych jak my poszukiwaczy ossuariów.

Cienka, twarda warstwa piasku ustąpiła pod naszymi nogami, gdy dochodziliśmy do środka, połamała się na kawałki jak lód na rzece i zanim zdążyliśmy opuścić wzrok, by zobaczyć, co się dzieje, nogi wciągnął nam wielki wir ruchomych piasków.

Zareagowaliśmy dopiero po paru sekundach. Byliśmy tak wystraszeni, tak zaskoczeni, że instynkt przetrwania obudził się w nas z opóźnieniem, ale wtedy byliśmy już po kostki w kurzawce.

– Ruchome piaski! – krzyknął Faradz, próbując przybliżyć się do mnie.

Kaspar, który także zdał sobie sprawę, co się dzieje, wyciągnął rękę do Abby, by przyciągnąć ją do siebie, i we trójkę pograżyli się po uda. Przy każdym ruchu zasysało ich głębiej.

– Uspokójcie się! – krzyknęłam. – Faradz, nie ruszaj się! Niech nikt się nie rusza! Stójcie!

– Niech wszyscy stoją! – poparła mnie Abby.

Zamieniliśmy się w posągi woskowe – jedyną oznaką życia były oczy, którymi ze strachem wodziliśmy po sobie. Światło naszych latarek skupiło się w jednym miejscu. Całkowity bezruch zatrzymał wssysanie, aczkolwiek pomalutku, milimetr po milimetrze, zapadaliśmy się coraz

głębiej w kurzwkę. Znajdowaliśmy się pośrodku jaskini, toteż ściany były od nas oddalone o jakieś dziesięć metrów. Nikt nie mógł nam rzucić jakiegś liny czy podać długiego drąga i wyciągnąć, nie było się także czego przytrzymać. Nie mogliśmy wzywać pomocy ani nawzajem sobie pomóc, choć dzieliła nas odległość zaledwie metra.

– Kaspar, zadzwoń do siostrzenicy Ottavii – podsunął Gilad przez zęby, ledwie poruszając wargami. – Każ jej przysłać pomoc.

– Jeśli Kaspar zacznie szukać komórki, piasek go wessa – szepnęła Sabira.

– Nie szukaj telefonu, Kaspar! – poprosiła Abby wystraszona.

– Nie będę szukał, kochanie, nie martw się – uspokoił ją Głaz, powolutku obracając głowę, by na nią spojrzeć.

Stali w odległości półtora metra, lecz równie dobrze mogłyby ich dzielić tysiące kilometrów: nie mogli się do siebie zbliżyć.

Faradz także był bardzo blisko mnie, po lewej, jednakże wola przetrwania rozdzielała nas jak nieprzebyty mur. Z tyłu niewidoczni dla nas znajdowali się Sabira i Gilad, również względnie blisko siebie, acz dowiedzieliśmy się później, że nie obok siebie, tylko jedno za drugim.

Kiedy ruchome piaski nieodwołalnie nas wciągały, zaczęłam gorączkowo szukać w głowie jakiegś informacji o tym, jak ludzie się ratowali przed śmiercią tego rodzaju. Swego czasu czytałam coś na ten temat albo widziałam jakiś program w telewizji, albo oglądałam film. Ale w wyobraźni pojawiały mi się tylko obrazy kogoś rzucającego linę albo drąg, by wyciągnąć ofiarę ze śmiertelnej pułapki.

– Zachowajmy rozsądek – rzekł naraz mój mąż – Użyjmy głowy, bo po to ją mamy. Nie wolno nam pominąć drobnego szczegółu: że jesteśmy poddawani próbie trzeciego Błogosławieństwa.

O matko jedyna, miał słuszność! Strach zablokował w nas zdolność logicznego rozumowania.

– Jak brzmi trzecie Błogosławieństwo według Mateusza? – zapytał mój mąż, parodiując psalmodie przed czytaniem i czasie mszy katolickiej.

Faradz jest nie tylko najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego znam, ale też specjalistą od maskowania kłopotów wygłupami.

– „Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadą ziemię” – wyrecytowałam. Chwila nie była stosowna do udawania głupiej gęsi cierpiącej na zanik pamięci. – Ale we współczesnej wersji trzecie Błogosławieństwo mówi o tych, „którzy cierpią”, nie o „cichych”.

– A jaka jest różnica – ironicznie zagadnął Kaspar – między tymi, „którzy płaczą” z drugiego Błogosławieństwa, i tymi, „którzy cierpią” z trzeciego? Starsze tłumaczenia Mateusza są o wiele sensowniejsze niż obecne.

– Proszę cię, kapitanie! – obruszyłam się. – Podyskutujemy o tym w samolocie. Wciągają nas

ruchome piaski!

– Musimy znaleźć związek między kurzawką i cichymi, którzy otrzymają ziemię – szepnęła Sabira za moimi plecami.

– Ja oczywiście chcę otrzymać ziemię – rozległ się głos żydowskiego archeologa z odrobinę większej odległości. – Twardą ziemię, w której nie będę się zapadał.

– Dobrze, Gilad! – pochwalił mój mąż. – Zgadzam się w pełni z tobą, że takie właśnie jest znaczenie tej próby: jeśli będziemy cisi, wydostaniemy się z kurzawki i staniemy na twardej ziemi.

– Jestem cicha – burknęłam. – I dlaczego nie stoję bezpieczna koło źródła?

– Basileja, daj spokój, nie zaczynaj od nowa! Szukaj religijnego znaczenia cichości, które przyda nam się w tej sytuacji.

– Poczekajcie – odezwała się Abby. – Myślę, że powinniśmy pomalutku, ale naprawdę pomalutku pozbyć się plecaków. Obciążają nas.

Miała słuszość. Plecaki walenie się przyczyniły do tego, że ja ugrzęzłam już po uda, a Faradz, Kaspar i Abby po pas. Pozostałych dwojga nie widziałam, lecz mogłam iść o zakład, że stoją tak jak ja, ponieważ nie wykonali żadnego gwałtownego ruchu, aby się do siebie zbliżyć.

W tych okolicznościach serce mocno mi już waliło, aż bałam się, że pęknie. Ręce miałam spocone i tak drżące, że kiedy poruszyłam prawą, by bardzo powoli sięgnąć do paska plecaka, Faradz to zauważył.

– Uspokój się, kochanie – szepnął czułym głosem. – Staraj się oddychać równo i głęboko. Wyjdziemy z tego. Zawsze wychodzimy, prawda?

– Kiedyś szczęście przestanie nam dopisywać – odparłam z obawą.

– Nie wierzymy w szczęście, pamiętasz? – zauważył pogodnie. – Wierzymy w naukę, ciężką pracę i w siebie. A to nie znika jak smak po gumie do żucia ani się nie rozwiewa w obliczu problemów. Przeciwnie, im większe trudności, im mocniej się uginamy pod ich brzemieniem, tym wyżej się podnosimy i tym więcej zyskujemy. Przypomnij sobie, cośmy już w życiu zrobili.

– Faradz, wiem, że próbujesz pomóc nam wszystkim, nie tylko Ottavii – odezwała się Abby z rękami w mokrym piasku, próbując rozpiąć pasek plecaka. – Ale boimy się. Strach jest silniejszy i trudno nad nim zapanować.

– Właśnie dlatego należy go ignorować – stanowczo odrzekł mój mąż. – Jeśli pozwolimy, by wziął górę, nie zdołamy nic zrobić ani dla siebie, ani dla innych. Co ma się stać, na pewno się stanie. Ale powinniśmy zrobić co w naszej mocy, żeby się nie stało, dlatego strach nie może nas spętać.

– Zgadzam się w stu procentach – mruknął były katon. – Z ust mi to wyjąłeś, przyjacielu. Ale

myśmy już odpięli plecaki, a ty nawet nie zaczęłaś. Bierz się do roboty.

– Pospiesz się, Faradz! – powiedziałam błagalnym głosem.

Musieliśmy pozbyć się obciążenia, inaczej będzie po nas. Niemniej słowa Faradza trochę mnie uspokoiły. Należało wysilić mózgowicę.

– Tylko nie próbujcie odrzucać od siebie plecaków! – przestrzegł Gilad. – Zdejmijcie spokojnie szelki i nie ruszając się, opuśćcie plecaki na piasek. Zatrzymajcie latarki. Jeszcze by tego brakowało, żebyśmy znaleźli się w ciemnościach. Trzeba też pozbyć się wszystkiego co zbędne: zegarków, ozdób...

Długo nam zeszło (albo tak mi się wydawało), nim uwolniliśmy się od balastu, głównie dlatego, że stopami i nogami czuliśmy wysanie przez ruchome piaski przy najlżejszym choćby ruchu, który zwiększał nacisk na podłoże. A podłoże było nadzwyczaj czułe.

Bez ciężaru plecaków wyraźnie odczuliśmy, że wysanie osłabło. Zyskaliśmy trochę czasu, a jeśli nawet nie drgniemy, będziemy go mieli jeszcze więcej. Każdy trzymał w ręce latarkę zgaszoną lub włączoną (jak zwykle tylko dwie się paliły). Telefony komórkowe były bezpieczne w nieprzemakalnych kieszeniach spodni. Sabira zatrzymała także plik kartek wyrwanych z notesu, zanim go upuściła.

– No to teraz uruchamiamy myślenie – zarządził Głaz, kiedy wszyscy uwolniliśmy się od plecaków. – Ktoś widzi gdzieś jakiś rysunek?

Pominąwszy podłoże z ruchomych piasków, na całej powierzchni kamiennego kopuły, łącznie z najwyższą częścią sklepienia, nie było żadnego rysunku czy choćby strzałki wskazującej drogę. Mogło i tak się zdarzyć, że piaski ostatecznie nas nie pochłoną. Podejrzałam, że jeśli nie będziemy się poruszali, powietrze w płucach utrzyma nas na powierzchni i nie pozwoli nam utonąć. Ale i tak w ciągu kilku dni umrzemy z głodu i pragnienia.

– Przeanalizujmy sytuację – rozległ się znowu głos Kaspara. – Ebionici na pewno mieli świadomość, że kto dotrze tutaj, będzie już wiedział, że wszystkie zagrożenia są wymienione w Błogosławieństwach.

– Albo i nie – wtrącił Gilad.

– Umówmy się, że tak – obstawał przy swoim były katon. – I że tutaj próba właśnie na tym polega: na sprawdzeniu, czy zrozumiałeś przesłanie, bo jeżeli nie zrozumiałeś, nie ma dla ciebie ratunku, ale jeśli zrozumiałeś, masz trzecie Błogosławieństwo.

– „Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię” – przypomniała Abby.

– Słowo-klucz to „cisi”, „pokorni” – zaznaczył Faradz.

– Tylko jak pokora ma nam pomóc w wyjściu z ruchomych piasków? – zapytała Sabira z obawą w głosie.

– Tego właśnie musimy dociec – powiedziała Abby.

Boże, wysłuchaj mnie, zaczęłam się modlić, zamknąwszy oczy. Nie wiem, jakie jest Twoje imię, Ciebie też nie znam za dobrze, bo zawsze zwracałam się do Jezusa. Ale za pośrednictwem Jezusa oddałam ci wiele lat życia, bo z Nim i Ty, i Duch Święty byliście zawsze razem jako Bóg Najwyższy należący do osobliwego pojęcia Trójcy Świętej. Zwracam się do Ciebie, Boże, ponieważ potrzebujemy Twojej pomocy. Nie zamierzam się z Tobą targować, obiecywać Ci czegoś w zamian za ratunek. Może wiesz, że nigdy nie byłam zwolenniczką tego rodzaju handlu, bo nie wyobrażam sobie, żeby Bóg przyjmował w charakterze zapłaty ból, wysiłek, wyrzeczenia lub poświęcenie w zamian za spełnienie rozsądnej prośby, którą ojciec czy matka mogą zanosić z miłości do swojego dziecka. Dlatego niczego Ci nie obiecuję, tylko proszę: pomóż nam, Boże. Wierzę w Ciebie.

– Mam pomysł! – zawołał w tej chwili Gilad. – Przypomniałem sobie coś, co może się przydać.

Uśmiech szczęścia wypłynął mi na usta. „Dziękuję”, wyszeptalam.

– W przeddzień żydowskiego święta Pesach – wyjaśniał Gilad – w wieczór sederu, czyli paschalnej wieczerzy, jednym z rytuałów jest czytanie hallelu o cudach w czasie wyjścia z Egiptu. Między innymi z tego, co nazywamy „małym hallelem”, co roku czyta się Psalm CXIII, który mówi... – I tu powiedział coś po hebrajsku.

Kiedy usiłowałam rozgryźć obce hebrajskie słowa, ci, którzy je zrozumieli, zaczęli dyskutować o pokornych i korzeniu się Boga. W końcu załapałam, o co chodzi (wiele mnie to nie kosztowało), i zdałam sobie sprawę, że to nie znaczy, iż Bóg się korzył, spoglądając w dół, tylko się pochyłał. Użyty w oryginale czasownik znaczył „korzyć się”, okazywać pokorę wobec kogoś, ale również „pochylić się” fizycznie. Według Psalmu CXIII, przynajmniej w wersji hebrajskiej, Bóg pochyłał się z wyżyn, aby spoglądać na niebo i ziemię.

– Czyli powinniśmy być cisi, pokorni, pochylając się do przodu – oficjalnie zapowiedział niecierpliwy Kaspar.

– Co nam to da? – spytała Sabira. – Mnie wessało już po biodra, jeśli choćby drgnę, pogrązę się jeszcze bardziej.

– W dodatku może nam wessać kłatkę piersiową i głowę – dorzuciłam. Byłby to straszny rodzaj śmierci, patrzyłabym, jak Faradz się dusi.

– Masz słuszność, Ottavio – odezwała się Abby. – Może nam wessać kłatkę piersiową i głowę, ale zarazem zmniejszy my ciężar tej części ciała, którą już wessało, rozłożymy go na większej powierzchni, przez co nie będziemy się zapadać.

– Fizyka stosowana, Abby? – zaśmiał się Faradz.

– Lubiłam fizykę w szkole – odparła, wtórując mu śmiechem.

– Świetnie. No to już – zawołał Kaspar.

I bardzo wolno, z wielką pokorą pochylił się do przodu, jak przed krzyżem czy samym Panem

Bogiem, kładąc okazały tors na jasnym piasku. Naprawdę miał co kłaść. W zasięgu jego rozłożonych ramion pozostały jeszcze pojedyncze kawały zbrzylonego, wyschniętego piachu – położył na nich dłonie i oparł latarkę. Generalnie dokoła większa część zeschniętej skorupy piasku była nietknięta, tylko część została pokruszona i wessana, trochę brył unosiło się na powierzchni błota. Na końcu Kaspar delikatnie położył lewy policzek na mokrych ruchomych piaskach. Po czym zastygł w bezruchu.

– Szybko, robimy to samo – ponaglił nas Faradz i tak jak Kaspar ukorzył się, czyli pochylił w zwolnionym tempie.

Z uśmiechem nie odrywał ode mnie oczu, kiedy wykonywałam te same ruchy, wolno i ostrożnie kładąc się na piasku.

– Widzisz? Nie pogrążam się! – zawołała Abby.

– Faktycznie – przyznałam zdziwiona. – Podziałało to rozłożenie ciężaru na większej powierzchni.

– Podziałało, i to jak! – dodał Kaspar, który pierwszy się pochylił. – Popatrzcie na pasek moich spodni... Znaczący ktoś może, niech popatrzy. Reszta nie musi.

Abby zaśmiała się znowu zaiste wyrafinowanie.

– Częściowo wy dostałeś się z tego bagna! – zawołała uszczęśliwiona i zdumiona, widząc jego spodnie, mokre i oblepione kilogramami błota.

– Samo się tak zrobiło – rzekł jej Romeo, kącikiem ust dotykając błota. – Leżałem bez ruchu i patrzyłem, jak wy się kładzicie, a potem naraz poczułem, że wsysanie osłabło i połowę ciała mam wolną.

– Przez zmniejszenie ciężaru i ruch piaski z powrotem zgęstniały – wyjaśniła Abby.

– Chyba możemy spróbować, czy dałoby się powoli wyciągnąć nogi – zaproponował Gilad.

– Po co? – spytałam, odnotowując wilgotny chłód błota pod prawym policzkiem. Znowu ogarnął mnie strach przed śmiercią.

– Ja wiem po co! – wyrwał się Faradz, który zawsze lubił sobie przywłaszczać efektowne pomysły zakończenia. – Bo jak wy ciągniemy nogi z piasku na leżąco, zwiększy się powierzchnia, na której będzie się opierał ciężar ciała, skończy się wsysanie i dzięki temu, odpychając się rękami, będziemy mogli pomalutku dotrzeć do twardego podłoża.

– Wszystko pięknie ładnie – odparłam – ale wytłumacz mi z łaski swojej, jak mam wyciągnąć nogi z tego blocka, żeby to paskudztwo znów nie zrzędkło i nie zechciało mnie utopić.

– Basileja, nie nogi, tylko jedną nogę. Na razie jedną nogę.

– Chyba najlepiej przekręcić się lekko na bok, ale naprawdę tylko odrobinę i bardzo powoli, żeby nogę wyciągnąć przy obrocie biodra – powiedziała Abby.

Zeszło nam na tym kilka godzin. Była to raczej próba wytrzymałości fizycznej i psychicznej

niż pokory. Unosiliśmy się na powierzchni, bagno nas nie wysysało, bardzo wolno, pomagając sobie rękami lub chwytając się suchych grud, każdemu udało się wyciągnąć jedną nogę i dużo później drugą. Byliśmy jednak wyczerpani, mięśnie mieliśmy zeszywniałe i obolałe, sapaliśmy jak dychawiczne silniki. A najgorsze było to, że tkwiliśmy ciągle w tym samym miejscu. Zdołaliśmy uwolnić ciało, lecz nie posunęliśmy się nawet o pół metra w kierunku twardego podłoża. I nie posuniemy się, to było jasne. Przynajmniej póki jesteśmy tak zmęczeni. I głodni. A całe jedzenie wraz z resztą rzeczy w plecakach pograżyło się na zawsze w bagiennym dole. Widzieliśmy, jak nikną powoli, i chociaż nikt nic nie mówił, wiedzieliśmy wszyscy, że możliwości przetrwania zostały zredukowane do zera. Jeśli wy dostaniemy się z kurzawki, postaramy się jakoś wy dostać z wnętrza tej góry.

– Powinniśmy się przespać – powiedziała Sabira.

Asasyńska zachowywała się naprawdę mężnie we wszystkich groźnych sytuacjach, przez które musieliśmy przejść, i to bez słowa skargi, ale biedaczka była kwiatem cieplarnianym, mołem książkowym jak ja, chociaż wykonywała zawód archeologa (oczywiście z wykopaliskami niewiele miała do czynienia w odróżnieniu od Gilada, po którym było widać, że pół życia spędza na powietrzu), i niestety gdzie zniknęła jej bujna uroda, którą obnosiła po salonach hotelu w Tel Awiwie. Każdy dzień spędzony we wnętrzu tej góry (sama już nie wiedziałam, ile ich było) coraz bardziej ją odmładzał, aż wyglądała jak nastolatka, a teraz, rozczochrana i brudna, wręcz jak dziecko. Brakowało jej tylko trądziku. Pozostali – choć nikt nie chciał o tym nawet myśleć – z tych samych powodów odbywali wycieczkę w czasie w przeciwnym kierunku.

– A jeżeli we śnie się utopimy i nie pocujemy tego? – przeraziłam się.

– Nie utopimy się, Ottavio – uspokoiła mnie Abby. – Pomyśl, że leżysz na dmuchanym materacu na wodzie. Utopiłabyś się z nim?

– To nie to samo – zaprotestowałam. – Leżymy na ruchomych piaskach i każde nieświadome poruszenie może spowodować, że znowu nas wessają.

Doprawdy, gdyby ktoś na nas popatrzył z góry, miałyby żaloszny widok sześć utapanych w błocie żab rozciągniętych na brzuchu na mokrych ruchomych piaskach. Aczkolwiek przyjrawszy się lepiej, mógłby stwierdzić, że przyjęliśmy korną pozycję. W wielu religiach i kulturach, zarówno dawnych, jak i współczesnych, ludzie padali tak na ziemię przed bóstwem lub władcą na dowód pobożności bądź uległości i pokory. Czyli w naszym przypadku chodziło jednak o coś na kształt pokory, ukorzenia się w celu szukania ratunku. I oczywiście czuliśmy się pokorni. I wystraszeni.

– Będziemy na zmianę pełnili wartę – postanowił były katon i były kapitan watykańskiej Gwardii Szwajcarskiej. – Troje będzie spało, troje czuwało. Potem się zmienimy. Myślę, że cztery godziny snu w zupełności wystarczą.

– Zapominasz, że jeszcze jakoś musimy się wydostać z tego piachu – przypomniał mu Faradz, dając tym samym do zrozumienia, że wszyscy mamy świadomość, jak bardzo jesteśmy zmęczeni.

Pierwszą wartę objął Kaspar, Gilad i ja. Faradz był wyczerpany do cna, a mnie nerwy nie pozwoliłyby zasnąć, choć byłam wykończona. Wkrótce ciszę jaskini wypełniły regularne oddechy (i ciche znajome pochrapywania) naszych towarzyszy. Od czasu do czasu Kaspar cicho pytał, czy nie śpimy, i nieodmiennie oboje z Giladem odpowiadaliśmy, że nie, że dalej leżymy rozciągnięci jako te żaby. Nie wiem, o czym myśleli Kaspar i Gilad. Mnie w głowie się kłębiło od dźwięków i obrazów związanych z tym, co nas spotkało dotąd: słyszałam urywki rozmów o plemionach Izraela, widziałam krzemienne ostrza, nimby, kamienie szlachetne... Zapragnęłam naraz dowiedzieć się, która jest godzina, zobaczyć słońce, zachciało mi się dobrej kawy, obejrzenia filmu na wygodnej sofie we własnym domu. Nie wiem, czemu akurat tego pragnęłam. Pewnie dlatego, że było nieosiągalne (i nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek jeszcze będzie osiągalne), lecz odprężyło mnie myślenie o takich błahych rzeczach, do których nie przywiązywałam wagi, kiedy mogłam się nimi cieszyć. O rzeczach drobnych, banalnych, normalnie dostępnych każdego dnia. Ich wspomnienie bardzo mnie uspokoiło. Rozluźniłam mięśnie, przestałam zaciskać zęby, westchnęłam głęboko, myśląc o zieleni trawy w przydomowym ogródku i o błękitnym morzu przy śródziemnomorskiej plaży. Czy naprawdę właśnie te rzeczy się dla mnie liczyły u progu śmierci? Najwyraźniej tak

– Trzeba ich obudzić – powiedział Kaspar. – Teraz nasza kolej pospać.

I pospałam, choć może się to wydawać niewiarygodne. Cztery godziny spałam jak kamień, leżąc na płask na ruchomych piaskach. Umysł nieproszonej sam mnie przeniósł ze strasznej rzeczy wistości w bezpieczne życie codzienne, w którym mogłam odpocząć. I dobrze, że to zrobił, dobrze, że odetchnęłam nieco, bo już wygrzebanie się z mokrego piachu było koszmarnie trudne, ale dopiero gdy mozolnie „płynąc”, ruszyliśmy w kierunku wejścia, przez które dostaliśmy się tutaj z zamiarem wydostania się z wnętrza góry, zdaliśmy sobie sprawę, jak ciężkie może być życie: łatwiej chyba przebiec kilometr objuczonym jak muł, niż przepłynąć dziesięć metrów po ruchomych piaskach.

Znowu wiele godzin zajęło nam posuwanie się po chwiejnej powierzchni piachu za pomocą delikatnych ruchów rąk. Wydawało się, że to na nic, że w ogóle się nie przesuwamy, lecz po paru godzinach stwierdziliśmy, że jednak jesteśmy bliżej korytarza. Co rusz ręce odmawiały nam posłuszeństwa, czuliśmy w nich dojmujące klucie. Mięśnie mieliśmy kompletnie zmasakrowane (no dobra, zmasakrowane mieliśmy tylko stopy, co znaczy, że reszta ciała była jeszcze do okałeczenia), acz łatwiej nam było, odkąd dobiliśmy do pokrywy z wyschniętego piasku, który wcześniej udawał stałe podłoże i nawet wytrzymał nasz ciężar aż do środka jaskini – może

dlatego, że stawialiśmy wtedy kroki powoli i ostrożnie. Kiedy znaleźliśmy się na twardej skorupie, nasze wysiłki stały się dużo skuteczniejsze i nie tak dotkliwie dla naszych mięśni i ścięgien, mimo że musieliśmy nadal zachowywać ostrożność, by nie obudzić kryjącego się pod powierzchnią monstrum w postaci bagna. Przyszło nam stopniowo rozbijać powłokę i odsuwać jej kawałki, które przeszkadzały nam posuwać się naprzód. Gdyby można stanąć na niej bez przeszkód, zrobilibyśmy to, woleliśmy jednak nie ryzykować niepotrzebnie, wiedząc, że próba ta niechybnie zakończy się fiaskiem.

Wreszcie, gdy już nam się wydawało, że całe wieki płyniemy w tej brei, dotarliśmy do skraju dołu. Był to bowiem dół nieznannej głębokości, wykonany umyślnie przez ebionitów i wypełniony mieszaniną piasku, soli i gliny w takich proporcjach, że powstały te ruchome piaski zasilane wodą z górskich cieków. Z nich bez wątplenia pochodziła także woda w źródleku, która nas skusiła i przywiodła do nieszczęścia.

Pierwszy wyszedł Kaspar i zaraz bezskutecznie spróbował zrzucić z siebie kilogramy błota, otrząsając się jak pies po kąpieli. Wyglądał niczym yeti z kanadyjskich lasów. Po nim do brzegu dotarła Abby, która odrzuciła pomoc Kaspara: powiedziała, że oboje są zbyt zmęczeni i jeszcze gotowi upaść, poza tym ma na sobie taką ilość błota, że były katon mógłby wywichnąć sobie rękę. Następnie wyszłam ja, ale zabrakło mi sił, aby się podciągnąć, toteż pokornie przyjąłem pomoc Kaspara i Abby. Później razem z Kasparem pomogłam Faradżowi, choć mieliśmy już dłonie poodparzane od piasku. Gilad poradził sobie sam, po czym wraz z Faradżem pomógł Sabirze.

Bezpośrednie zagrożenie minęło.

ROZDZIAŁ 32

– „Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadają ziemię” – wyszeptalam radośnie, padając na ścieżkę w korytarzu.

Minęło mnie ostrożnie kilka par nóg w spodniach oblepionych tonami błota i kawałeczek dalej osunęło się jak ja na ziemię. Nikt się nie odzywał. Wszyscy zapadliśmy w głęboki sen, a kiedy obudziliśmy się po iluś tam godzinach, komórka Kaspara (bo zegarki wyrzuciliśmy) poinformowała nas, że jest szósta rano w poniedziałek 7 lipca. Półtorej doby spędziliśmy w dole z ruchomymi piaskami. Półtorej doby! Wyschnięte błoto całym mi płatom odpadało z odzieży.

Nie mieliśmy wody pitnej ani jedzenia, ani apteczki, by zmienić opatrunki na stopach. Nie mieliśmy nic z wyjątkiem latarki i telefonów, toteż zgębieni zawróciliśmy do jaskini z nimbem, by tam spróbować połączyć się z Isabellą i poprosić o pomoc.

Szliśmy jasną, piaszczystą ścieżką przybici, smutni, głodni, spragnieni, obolali i coraz mocniej cierpiący z powodu otarć od odzieży pełnej piasku. W głowie nam jednak nie powstało, że to wszystko było tylko drobną przygodą w porównaniu z tym, co nas jeszcze czeka.

– Nie do wiary! – wykrzyknął naraz Kaspar ze złością. – No naprawdę nie do wiary!

Ton jego głosu wyrwał nas z przygnębienia, alarmując, lecz nie potrzebowaliśmy dodatkowych wyjaśnień. Gilad dostał ataku nerwowego śmiechu, śmiał się jak wariat, gdy podszedł kilka kroków dalej i oparł obydwie dłonie na kamiennej ścianie, która wzięła się nie wiadomo skąd i zastawiała drogę, uniemożliwiając nam przejście tam, gdzie zaczynał się czerwony piasek. Widocznie w któryś momencie nieświadomie uruchomiliśmy mechanizm, który wypchnął z góry lub z dołu na całą wysokość korytarza potężny skalny blok.

Sabira rozplakała się cichutko, opadłszy na ziemię, Kaspar miotał się na wszystkie strony jak rozjuszony lew, Abby zaś próbowała go uspokoić. My z Faradżem objęliśmy się bez słowa, słuchając śmiechu Gilada, który nadal się zachowywał, jakby faktycznie postradał rozum.

– Idziesz ze mną? – szepnął mi Faradż do ucha.

– Gdzie? – spytałam, ocierając łzy.

– Do jaskini z ruchomymi piaskami.

– Chcesz, żebyśmy umarli razem?

W sumie pomysł nie był taki zły. W tamtej chwili zabrzmiał wręcz romantycznie i atrakcyjnie. Faradż jednak się roześmiał.

– Nie umrzemy, basileja, gwarantuję.

– Więc po co chcesz tam iść?

– Chcę coś sprawdzić, a inni są zbyt wyczerpani, żeby ich znowu zmuszać do drogi, skoro nie wiem, czy mam rację.

– Rację co do czego?

– Idziesz? – odpowiedział pytaniem, patrząc mi w oczy.

– Pewnie.

Zapaliliśmy latarkę i ciężkim wolnym krokiem oddaliliśmy się od grupy (nikt nawet się nie zainteresował, czemu odchodzimy), wracając do kopyły z piaskiem. Z bólem oglądałam znowu to miejsce. Najchętniej uciekałabym stamtąd jak najdalej.

– Nie chcesz, żebyśmy w to z powrotem weszli, prawda? – zapytałam, kiedy stanęliśmy w wejściu.

– Nie – zapewnił głosem potwornie znużonym. – Chcę tylko, żebyś się stąd nie ruszała i poświeciła mi.

– Co zamierzasz? – przeraziłam się.

– Sądzę, że ten dół – wskazał szerokim gestem – ma brzeg pod samą ścianą, jakby cembrowinę jak studnia albo rant jak miska. I sądzą, że spokojnie da się po nim przejść do źródła naprzeciwko.

– A na jakiej podstawie taksądzisz?

Faradz znowu się uśmiechnął i schyliwszy się z trudem, zanurzył jedną rękę w błocie i dotknął brzegu dołu, drugą zaś przyłożył grzbietem w miejscu, gdzie zaczynał się korytarz. Odległość między jego dłońmi wynosiła około trzydziestu centymetrów. Ponieważ podłoże korytarza i okrągłej jaskini znajdowało się na tym samym poziomie, nie było widać, że brzeg dołu jest jakieś dwa, trzy centymetry niżej i że ruchome piaski go zasłoniły właśnie po to, by powstała sucha skorupa zakrywająca całą powierzchnię dna kopyły. Oznaczało to, że przywarłszy plecami do ściany, można przejść, acz dość niebezpiecznie, śliskim, wąskim i lekko nachylonym brzegiem na drugą stronę jaskini. Co za szczęście, że mieliśmy te śmieszne buty wspinaczkowe, bo ześlizgnięcie się z rantu równałoby się wpadnięciu do dołu, a nie było tam miejsca ani możliwości, żeby ktoś podał ci rękę, nogę czy cokolwiek innego. Wręcz przeciwnie.

– Nie chcę, żebyś sam szedł – powiedziałam.

– Zrozum, basileja, muszę sprawdzić – rzekł przeproszająco. – Jeśli mi się uda, zawiadomisz resztę. A ja sobie na was poczekam, popijając pierwszy wodę ze źródła.

Zakończył ze śmiechem, ale w świetle latarki widziałam jego wymizerowaną twarz, miałam również świadomość, że jest bardzo wyczerpany, nogi ma słabe jak ja i jeśli się poślizgnie, zginie. Nie zostawię go za nic w świetle, choćby się nie wiadomo jak upierał.

– Powiem ci, jak zrobimy – oznajmiłam, uzbrowszy się w cierpliwość. – Wrócimy do reszty i powiemy o przejściu na drugą stronę. Potem wszyscy przyjdziemy tutaj i razem się przeprawimy.

– A jeżeli przejścia jednak nie ma? Jeżeli brzeg dołu jest uszkodzony albo w którymś miejscu

zerwany i nie da się po nim przejść?

– Wtedy się zastanowimy i razem podejmiemy decyzję. Nie lubię nadętych bohaterów, którzy poświęcają się dla kolektywu. Kiedy ktoś taki pojawiał się w filmie, zawsze powtarzałam: facet próbuje udowodnić, że jest lepszy i zdolny do większych poświęceń, ale w rzeczywistości chodzi mu o to, żeby się znaleźć w centrum uwagi i zyskać podziw.

Musiałam go omotać, by sam nie rzucił się w tę niebezpieczną przygodę. Nie życzyłam sobie jego śmierci. Zdawał się zastanawiać nad tym, co powiedziałam.

– Zgoda – rzekł wreszcie. – Zróbmy po twojemu.

– Skoro wiesz, że zawsze mam słuszość – powiedziałam, idąc z powrotem do korytarza – czemu mi się sprzeciwiasz?

– Bo lubię.

Usłyszałam, że się śmieje, i poczułam szczęście.

Kiedy wróciliśmy, Kaspar już był trochę spokojniejszy, lecz Sabira wciąż płakała, a po Giladzie widziałam rozpacz. Tylko Abby, choć wyczerpana, zdawała się nieugięta.

Powiedzieliśmy im o swoim odkryciu i iskierka nadziei zabłysła w czterech parach oczu wpatrzonych w nas ze zdumieniem. Perspektywa dotarcia do źródła była niewiarygodnie kusząca, bo kiedy pragnienie doskwiera, wszystko inne staje się nieważne. Ale też zrodziła się nadzieja na ratunek mając zaś nadzieję, człowiek potrafi zrobić rzeczy na pozór głupie, a tak naprawdę konieczne.

Wróciliśmy do kopuły nieco bardziej ożywieni. Podejrzewam, że w głębi ducha każdy bał się niepowodzenia, należało jednak spróbować. Zanim Faradz wszedł na domniemany rant, Kaspar powiedział:

– Staraj się odsuwać szlam nogą, bo wprawdzie rant zaraz pod nim zniknie, ale przynajmniej upewnisz się, że jest.

– A jak dojdiesz w suchy rejon – dodałam – bądź czujny. Nie stawaj na skorupie, bo to może być pułapka. Rozbij ją i upewnij się, że pod spodem nie ma znowu ruchomych piasków albo dziury.

Faradz z uśmiechem kiwnął głową. Był chyba tak zmęczony, że na wszystko się zgadzał, bylebyśmy wreszcie pozwolili mu ruszyć naprzód. Podeszedł do skraju dołu pod kopułą, przywarł plecami do ściany i stopą zaczął odsuwać szlam, szukając rantu, po którym miał pójść. Kaspar, Gilad i ja przyświecaliśmy mu, żeby czuł się pewniej i widział wyraźniej. Kiedy dochodził do suchego rejonu, gdzie na pozór ściany i podłoże były solidne i jednorodne, przytuliłam się tyłem do skały i ruszyłam w ślad za nim. Do miejsca, gdzie teraz był, prowadził rant, tak że tylko odsuwałam trochę mokry piach, aby się nie poślizgnąć. Buty wspinaczkowe spisywały się znakomicie, szło się w nich naprawdę pewnie. Następny ruszył Gilad, potem Abby i Sabira,

a Kaspar ostatni.

Latarki nie bardzo nam zawadzały, bo i tak nie mogliśmy rękami czepiać się gładkiej ściany, ale Sabira odkryła w niej wąski rowek, w którym mieściły się czubki palców. On także został wykonany umyślnie, to nie budziło wątpliwości. Wetknęliśmy zatem latarki pod pachę jak termometr – aby zyskać oparcie, musieliśmy ręce mieć przy samym ciecie.

Faradz nie posłuchał mojej rady, nie rozbił wyschniętej skorupy piasku, kiedy do niej dotarł. Posuwał się dalej, wczepiając się w ścianę palcami, i na szczęście dla niego (i dla mnie) podłoże wytrzymało. Skoro wcześniej, idąc powoli i ostrożnie, dotarliśmy aż do środka kopyły, pomyślałam, starając się zachować spokój, na pewno teraz Faradz myśli, że skorupa wytrzyma, bo idziemy tak samo jak wtedy.

I wytrzymała. Mój mąż doszedł do źródła rozradowany i dumny jak student, który odebrał dyplom, zamiast jednak się napić, podążył dalej i zatrzymał się przed wejściem do drugiego korytarza, identycznego jak po przeciwnej stronie. Tam stanął spokojnie z ręką wyciągniętą na znak, że czeka na mnie.

Wszyscy dotarliśmy cali i zdrowi. Wszyscy napiliśmy się do syta, co bardzo nas ożywiło, po czym pojedynczo lub parami (zależnie od stopnia zażyłości) umyliśmy się i przepłukali odzież w cudownie chłodnej, czystej wodzie. Na całym ciecie mieliśmy zadrapania i odparzenia, lecz woda uśmierzyła ból, nie przeszkadzało nam też mokre ubranie, ponieważ wreszcie nie było w nim piasku i nie śmierdziało potem, a chłodziło nam otarcia. Co prawda nie dysponowaliśmy mydłem, ale sama woda w tamtej chwili w zupełności nam wystarczyła. Kiedy ubrania wyschną, będziemy się czuli czysti, co jest bezcenne.

Poranione stopy z ciągle założonymi opatrunkami nie ucierpiały w ruchomych piaskach dzięki tym śmiesznym butom wspinaczkowym, w ogóle prezentowały się całkiem dobrze, wszystko się prawie zagoiło. Zbliżnienia odrobinę się ślimaczyły, nie mieliśmy jednak roztworu soli, żeby je osuszyć, nie mogliśmy także wystawić ich na powietrze, musieliśmy bowiem iść dalej. W każdym razie uspokoił się, że są w niezłym stanie i nie powinny sprawiać problemów, póki nie zapagniemy skakać albo biegać.

Szczęśliwie temperatura w nowym korytarzu była przyjemna, mimo że nie płynęła w nim ciepła woda. Jak zauważyła Sabira (a Kaspar się z tym zgodził), z pewnością znajdowaliśmy się na poziomie podnóża góry, bo skoro weszliśmy do niej z grobowca Hillela położonego około sześćset metrów nad poziomem morza, mniej więcej w połowie wysokości samej góry Meron liczącej 1208 metrów, to chociaż zewsząd otaczały nas kilometry skał, nad sobą mieliśmy zaledwie te 1208 metrów szczytu. Jakimś sposobem potężny skwar izraelskiego lipca przenikał przez ziemię nawet do tego miejsca.

Kaspar bez powodzenia próbował się połączyć z Isabellą, by powiadomić ją o naszej sytuacji

i przybliżonym położeniu. Sygnał, choć wzmocniony tysiącami kilowatów i licznymi sieciami węzłowymi i łańcuchami sieciowymi, nie przenikał przez grube podnóże góry.

Po kilku godzinach zatem, po wypiciu kolejnych litrów wody – wypiciu i wydaleniu – nawodnieni, czysti i wypoczęci, choć głodni ruszyliśmy nowym korytarzem. Nie był bardzo długi, miał najwyżej ze dwa kilometry i kończył się wąskim otworem, za którym znaleźliśmy się w ciasnym, krętym tunelu, na dodatek dość klaustrofobicznym – co szczególnie mi wadziło. Szliśmy pochyleni, co rusz zawadzając ramionami o ściany i głową o sklepienie, kilkakrotnie skręcaliśmy na pozór bez sensu, aż w końcu ogarnął nas strach: trafiliśmy do labiryntu i zgubimy się w nim niechybnie. Zauważyłam, że zaczyna brakować powietrza, i zdenerwowałam się nie na żarty, lecz okazało się na szczęście, że to nie jest labirynt. Z wąziutkiego tunelu wyszliśmy na większą przestrzeń niż którakolwiek dotąd, o powierzchni większej nawet od kopuły z ruchomymi piaskami i także okrągłej, tyle że zamiast kolistego sklepienia zobaczyliśmy w górze wolną przestrzeń. Był to komin, rura, dosłownie długaśna rura, przez którą z bardzo daleka wpadało światło z zewnątrz. Słabe, słabe, ale gdy pogasiliśmy latarki i wzrok nam przywykł, widzieliśmy się nawzajem dość wyraźnie.

Oczywiście światło nie było najbardziej rzucającym się w oczy szczegółem. Od samego dołu zaczynały się dziwne schody wycięte w skałe osobliwie w tym celu ociosanej. Stopnie pięły się spiralnie po ścianie, ich końca nie było widać. Problem polegał na tym, że były bardzo wąskie, najwyżej na pół metra, i nie miały poręczy. Co znaczyło, że jeśli spadniesz, już po tobie.

– Gdybyśmy mieli plecaki, moglibyśmy się przywiązać linami – ubolewał Kaspar. – W razie czego dałoby się pomóc.

– Zapomnij o plecakach, Kaspar – poradził mu mój mąż, klepiąc go po ramieniu. – Nie mamy ich i już. Za to mamy przy najmniej latarki.

– Ruszamy? – spytałam, podchodząc do stopni.

– Jasne – zachęcił mnie Gilad. – Nie krępuj się.

– Puść mnie pierwszego – poprosił Faradz, przytrzymując mnie za pasek

– Jeszcze czego! – zarechotał Kaspar, który skorzystał z tego i wzięwszy Abby za rękę, ruszył na schody. – Wy szliście pierwsi w kopule. Teraz nasza kolej.

– Ty przechero! – obruszyłam się, lecz nie oponowałam.

Ruszyliśmy za nimi z Faradem, a Sabira i Gilad na końcu. Naturalnie nie dało się iść parami, toteż niebawem sznur mrówek się wydłużył.

Trzy godziny później, chociaż stopnie były wygodne, bo niewysokie, miałam ochotę zamienić te schody na inne, sklepione, którymi zeszliliśmy z jaskini z kamieniami szlachetnymi do korytarza z lodowatą wodą. Wspinanie się to nie to samo co schodzenie, poza tym należało pamiętać, że odłód zeszliliśmy, o mało nie wykrawiliśmy się na śmierć, prawie dwa dni walczyliśmy

z ruchomymi piaskami i nie jedliśmy od trzech dni, to znaczy od piątkowego śniadania w jaskini z nimbem. A był poniedziałek około południa.

Po kolejnych trzech godzinach miałam dosyć. Strasznie bolały mnie mięśnie nóg, dostałam mdłości ze zmęczenia i głodu. Nie chciałam się skarżyć, by nie martwić Faradża i reszty ekipy, aczkolwiek byłam świadoma, że zachowuję się nieodpowiedzialnie. Dotarliśmy już bardzo wysoko, od dawna nie było widać początku schodów, gdybym więc straciła przytomność, spadłabym i zginęła na miejscu, bo na stopniu szerokim na pół metra nie da się teatralnie zemdleć jak w filmie.

Na szczęście parę minut później Abby zapytała, czy moglibyśmy zatrzymać się na trochę. Nie czuła się dobrze. Bolał ją żołądek i głowa.

– To z głodu – zdiagnozował Faradž i jego głos odbił się echem od dziwnych ścian kominu. – Mam to samo.

Starając się nie patrzeć w dół, by nie zawróciło mi się w głowie, obróciłam się do Sabiry, bladej jak kreda, i usiadłam na stopniu w pełni przekonana, że tym razem dotarliśmy do miejsca, gdzie czeka nas śmierć. Zamknęłam oczy i zobaczyłam barwne fajerwerki strzelające na wszystkie strony. Miałam potworną hipoglikemię, nie mogłam zapanować nad zmęczeniem i mdłościami – tymczasem nie było co włożyć do ust.

– Oficjalnie niniejszym stwierdzam – oznajmił Kaspar gromkim głosem, igrając z echem w kominie – że jesteśmy przy czwartym Błogosławieństwie, tym o głodnych. Ktoś je pamięta?

– „Błogosławieni, którzy łakną, albowiem oni będą nasyćeni” – szepnęłam, opierając czoło na rękach.

– Nie liczymy, że tak łatwo się nasyćimy – z zalem powiedział mój mąż, siadając za mną i obejmując mnie. – Przypuszczam, że to dopiero początek

– Nie wytrzymam dłużej – słabym głosem rzekła Abby.

– Kto się czuje na siłach iść jeszcze kawałek? – zapytał Kaspar.

– Ja – usłyszałam Gilada.

– Ja też – usłyszałam swojego męża.

– Nie, Faradž, ty nie – ostudził go Kaspar. – Zostaniesz z nimi. Za bardzo osłabłeś. Pójdę z Giladem.

– Kaspar, ale nie dojdę do ciebie – ostrzegł Gilad.

Na chwilę zapadła cisza.

– Bardzo ostrożnie – rozkazał mój mąż – kładziemy się na boku i przywieramy jak najciaśniej do skały, żeby Gilad przeszedł.

Mnie także bolał brzuch, jakby szarpały go tygrysie pazury. Nie wyobrażałam sobie, że dam radę się położyć, obrócić i przywrzeć do skały, nie było jednak alternatywy. Skarżyć się można,

gdy jest spokój. Kiedy dzieje się źle, trzeba się spiąć. Podniosłam głowę i zanim przybrałam odpowiednią pozycję, spojrzałam w górę kominą oświetlonego tym dziwnym światłem niewiadomego pochodzenia. I wtedy dostrzegłam alternatywę: przejście w skałę. Było na prawo ode mnie, dwie pętle spirali wyżej.

– Patrzcie! – powiedziałam, wskazując je. – Tam!

Wszyscy powiedli wzrokiem za moim palcem.

– Wyjście! – zawołał Kaspar. – Abby, patrz, wyjdźcie!

– Trzeba do niego dotrzeć – rzekł Faradz.

– Poczekaj – poprosił Głaz. – Pójdę najpierw sam choćby po...

– Nie lubię bohaterów! – krzyknęłam, łapiąc się za brzuch. Przydałyby mi się jeszcze dwie ręce, by chwycić się również za głowę, i dwie kolejne dla otarcia oczu. – Idziemy wszyscy! Trzeba tylko zdobyć się na ostatni wysiłek. Chodź, Sabiro, wstawaj! No już, Abby, pokaż, że cię na to stać.

Kaspar ruszył dalej, ciągnąc biedną Abby za rękę. Faradz natomiast przywarł do ściany i przytrzymał mnie za ramiona.

– Przejdź przede mnie – rozkazał. – Chcę cię mieć na oku.

Mdliło mnie nie wiadomo czemu, bo przecież żołądek miałam pusty. Chciało mi się wymiotować tym, czego nie zjadłam, a tygrysia łapa, przeorawszy mi żołądek, atakowała teraz resztę trzewi aż po kręgosłup. Pamiętam, że mnie zdziwiło, iż ból żołądka może się przeobrazić w potworny ból pleców. Czułam się gorzej niż źle. Nie wiem, co bym wtedy oddała, by wyciągnąć się na ziemi i więcej nie ruszyć.

– No chodź, basileja, chodź! Jeszcze niewielki wysiłek, najdroższa.

Nie mam pojęcia, jak wykonałam iście taneczną figurę, by wyjść przed niego, a najlepsze, że zrobiłam to, wisząc nad przepaścią, oparta tylko nogami o stopień i trzymana mocno za ręce przez Faradza.

Pokonanie dwóch ostatnich pętli spiralnych schodów było wyczynem z rodzaju tych, które się zapamiętuje na całe życie. Kiedy człowiek powinien leżeć na łóżku w szpitalu, a tymczasem wyzuty z sił wspina się stopień po stopniu ze strachem, mdłościami, dotkliwym bólem mięśni, żołądka i pleców, kiedy nie wie, czy ten wysiłek ma jakiś sens i tylko pcha go naprzód nadzieją, że będzie mógł się gdzieś położyć i spokojnie odpłynąć w niebyt, nie musząc spadać z wysokości jakichś pięciuset metrów, nigdy tego nie zapomni, choćby upłynęło nie wiem ile lat.

Kaspar wraz z Abby dotarł do przejścia i włączył latarkę. Oboje zniknęli w środku. Po nich doszłam ja i zaraz za mną Faradz, który również zapalił latarkę. Zanim przeszłam przez otwór w skałę, zauważyłam, że schody tam się kończą, wyżej nie można się wspiąć w tym kominie, który ciągnął się jeszcze wysoko i kończył zamkniętym stożkiem. Stamtąd właśnie, ze stożka,

padało światło. Prawa część stożka musiała wychodzić na zbocze góry i tworzyła coś w rodzaju żaluzji, kamiennej kraty. Wniknęły przez nią długie korzenie roślin, które rosły na zewnątrz, a między nimi przedostawało się do kominu trochę powietrza i światła. Od razu powzięłam głębokie przekonanie, że ta część góry jest gęsto zalesiona, nieprzebyta, i że nikt nigdy nie postawił tam nogi. Może tutaj uda nam się połączyć z Isabellą.

Pamiętam tylko, że weszliśmy z Faradżem za Kasparem i Abby i że znaleźliśmy się w kolejnej jaskini, równie dużej jak tamta z kamieniami szlachetnymi, ale ze źródłem po lewej, źródłem identycznym jak w jaskini z ruchomymi piaskami, i że ściany, sklepienie, podłoga miały szarawy kolor. Zauważyłam również, że nie było stamtąd wyjścia, nie było otworu zamkniętego kamiennym kołem. Nic więcej sobie nie przypominam. Faradż pomógł mi się ułożyć na ziemi i straciłam przytomność.

Sen co prawda nie syci, ale przynajmniej pozwala zapomnieć o głodzie. Tamtej nocy, z poniedziałku na wtorek 8 lipca, wszyscy przespaliśmy jednym ciągiem prawie dziesięć godzin. Obudziliśmy się słabi i spragnieni, lecz cali. Lęki i inne objawy zniknęły (chwilowo), a kiedyśmy się napili wody ze źródła, wstąpiły w nas siły. Ale gdyby ktoś kazał nam iść parę kilometrów albo wspinać się po schodach jak poprzedniego dnia, nie dalibyśmy rady. Czuliśmy się jak osłabieni rekonwalescenci, jak po długim leżeniu w łóżku, gdy chory zaczyna mieć się lepiej. Tyle że nam się nie będzie poprawiało. Osłabienie będzie narastało z biegiem dni, ponieważ potrzebowaliśmy stawy dla ciała, a jej właśnie byliśmy pozbawieni.

– Nigdy jeszcze nie głodowałam – szepnęła Abby wtulona w Kaspara, który pochylił się, by całym sobą ją osłonić, jakby to mogło pomóc.

– Nikt z nas jeszcze nie głodował – objaśniłam głupio dziedzicze.

Czym innym jest jeden dzień bez jedzenia albo poszczenie w Wielki Post, a czym innym prawdziwy głód, taki, jaki cierpią niedożywione dzieci z Trzeciego Świata albo wieśniacy z dotkniętych suszą rejonów w biednych państwach. Takiego głodu nikt z nas nie zaznał dotąd, wszyscy bowiem pochodziliśmy z krajów wysoko rozwiniętych i z rodzin, w których nie było problemu z jedzeniem.

– Kaspar, spróbuj się połączyć z Isabellą – wymamrotał Faradz leżący obok mnie.

Kaspar nie odpowiedział, tylko ostrożnie podniósł Abby i położył ją na ziemi z głową opartą o niewielkie wybrzuszenie, które świetnie się nadało na poduszkę. Co prawda drugie takie wybrzuszenie było w nogach, tak że Abby wygięła się trochę, lecz były katon zdawał się nieświadom tego drobnego szczegółu. Wstał, przeciągnął się jak akordeon i wyjął komórkę z kieszeni.

– Musicie wszyscy włączyć aparaty – rzekł głosem, z którego przebijało ogromne zmęczenie.

Gdybym wiedziała, że prośba, aby się połączył z Paradejsosem, będzie nas kosztowała tyle wysiłku, zwątpiłabym z góry w jej sensowność. Mimo to, walcząc z mdłościami i zawrotami głowy, które wróciły, kiedy przyszło nam się ruszyć, zaczęliśmy szukać telefonów po kieszeniach. Nie pamiętałam, do której go schowałam, ale miałam go na pewno.

– Gilad – powiedział naraz Kaspar głosem bardziej ożywionym – przynieś tu wszystkie latarki.

– Co się dzieje? – zapytał mój mąż, który już zdążył włączyć telefon.

– Coś dziwnego jest na ziemi – wyjaśnił były katon, podnosząc delikatnie Abby.

Dziedziczka pozwalała robić ze sobą wszystko jak szmaciana lalka, nie skarżyła się, ale też nie obdarzała uwagą otoczenia. Kaspar położył ją obok Sabiry.

– Coś dziwnego? – zdziwił się Faradž, podchodząc do niego. – Coś dziwnego w sensie przedmiotu czy żyjątką?

– W sensie kształtu – próbował wytłumaczyć Głaz, oddalając się od miejsca, gdzie wcześniej leżała Abby, i przybliżając do niego. – Przynies wszystkie latarki.

Niektórzy – wyłącznie ci z kilkadziesiątym zarostem – mogli się jeszcze ruszać i zdołali donieść sześć latarek tam, gdzie stał były katon.

– Ziemia – powiedział. – Poświećcie na ziemię. Widzicie? Widzicie ten dziwny kształt podłoża?

– To deformacje skały, Kaspar – zauważył Faradž z niejakim oburzeniem, był bowiem bardzo osłabiony. – Jesteśmy we wnętrzu góry.

– Nie, nie! – wykrzyknął Gilad ze zdziwieniem. – To litery!

I w pełni zwrócił uwagę mojego męża, który powłóczęc niewygojonymi jeszcze nogami, podszedł do niego jak przyciągany magnesem. Kaspar do nich dołączył i we trzech zaczęli omiatać podłoże strumieniem światła, aby rzucając cienie pozwoliły im odczytać wielkie litery – ledwie widoczne, wyglądały bowiem na zerodowane z powodu upływu czasu i z pewnością zadeptane przez ludzi, którzy tędy przeszli na przestrzeni wieków, acz to akurat było równie fałszywe jak wszystko, co spotkaliśmy we wnętrzu tej góry.

– Chyba są dwie – rzekł Faradž. – Hebrajskie.

Sabira i ja, siedząc na ziemi, z zainteresowaniem śledziłyśmy ich poczynania, mimo że czułyśmy się źle. Abby natomiast leżała i zdawała się spać.

– Pierwsza litera to waw – powiedział Gilad.

– Jesteś pewien? – spytał Faradž, marszcząc czoło.

– Na sto procent. Zobacz to zaokrąglenie. Waw na bank.

Sabira, wsparłszy się na moim ramieniu, podniosła się i podeszła do nich, by naszkicować – na jednej z kartek, które wyrwała z notatnika, zanim go wyrzuciła w ruchome piaski – literę waw oświetloną latarkami. Podeszła później do mnie i pokazała mi szkic:



Szczerze mówiąc, niezbyt mnie to obchodziło. Uśmiechnęłam się w podzięcie do Sabiry, myślę jednak, że głównie chciałam, aby dała mi święty spokój. Panowie tymczasem kombinowali nad drugą literą.

– Kształt jest dawny – powiedział Gilad, którego prezencja znacznie się różniła od tego, cośmy oglądali w hotelu w Tel Awiwie, wyglądał bowiem teraz dość cherlawo. – Ale to na pewno litera

mem.

– Tak, zgadzam się – przytaknął mój mąż. – To mem.

Sabira świetnie rysowała złotym ołówkiem, a teraz, gdy straciła aparat fotograficzny (ale kartę pamięci zachowała w nieprzemakalnej kieszeni), tylko szkicami mogła dokumentować to, co nas spotykało.

– Czyli mamy waw i mem – podsumował Kaspar, jakby wiedział, o czym mówi. Aczkolwiek może i wiedział. Ja wtedy nie bardzo jasno myślałam.

Skłończywszy, Sabira znowu podeszła i pokazała mi narysowaną literę mem:



Podziękowałam jej, choć doprawdy nic mi to nie dawało. Nie znałam hebrajskiego i nie wiedziałam, dlaczego te dwie litery wprawiają w takie podniecenie naszych trzech zarośniętych panów, a nawet Abby, która zaciekawiona otworzyła oczy.

– *Man hu* – powiedział Faradž.

– Nie, nie – zawołał uśmiechnięty Gilad. – Tego nie czyta się: *Man hu*, tylko: *Man hu?*, „Co to jest?”.

– Co to jest? – powtórzył Kaspar jak papuga. – Znaczy ja się pytam: co to jest, do licha?

– *Man hu*, Kasparze – oświecił go rozbawiony Faradž. – Manna. Manna, którą żywił się lud Izraela w trakcie czterdziestoletniej wędrówki przez pustynię.

Głód był silniejszy niż moja obojętność i absolutne przekonanie, że biblijna manna nie istnieje. Nagle bardzo mnie zainteresowało, co mówią nasi trzej mądrale. Sabira także mocno się zaciekawiała. Nawet Abby uniosła się na łokciu, po czym usiadła wyprostowana z oczami jak spodki. A ja zapragnęłam to zobaczyć. Może mamy wcinać litery z kamiennego podłoża? Żołądek znowu mnie zabolął. Tygrys bezlitośnie szarpał go pazurami, starając się przedrzeć do pleców. Niech mi tu nie mówią o mannie, jeżeli nie mogą mnie nią poczęstować.

– Kiedy synowie Izraela – wyszeptła Abby, aż wszyscy spojrzeliśmy na nią stropieni takim jej ożywieniem – głodowali na pustyni niedługo po wyjściu z Egiptu, zaczęli szemrać przeciwko Mojżeszowi, że wyprowadził ich, by tam umarli. Wtedy Adonaj powiedział Mojżeszowi, by przekazał Izraelitom, że usłyszał ich narzekania i że zesła im chleb z nieba.

– I wyraźnie powiedział: chleb – zaznaczył Gilad. – Znaczy lechem. Chleb.

– Następnego ranka... – ciągnął Kaspar, wyręczając Abby, żeby się zbyt nie sforsowała. Przybrał postawę arcykapłana... no dobra, katona sprawującego swój urząd. – Następnego ranka

Izraelici zobaczyli wokół obozu dziwną rosę na piasku pustyni. Kiedy się uniosła, odsłoniła coś drobnego, ziarnistego jak szron. Popatrzyli po sobie zmieszani, pytając jeden drugiego: „Co to jest?”. I Mojżesz im powiedział, żeby zebrali te ziarna, bo to jest chleb, który Pan im obiecał³⁶.

– Szmot nie tak o tym opowiada – zaprotestował zły Gilad, patrząc na Kaspara. – Druga księga Tory, Szmot, mówi, że kiedy rosa przestała opadać, pustynia była pokryta małymi, okrągłymi ziarenkami jak szron. Wtedy synowie Izraela zaczęli dopytywać między sobą: *Man hu?*, „Co to jest?”, bo nie znali tego. I Mosze im powiedział, że to chleb, lechem, który Adonaj zesłał im do jedzenia³⁷.

– Ale nie nazywali tego chlebem – zauważył Faradz, siadając na ziemi i krzyżując swe długie nogi po indiańsku. – Mówili na to *man*.

– Zgadza się – przyznał Gilad. – *Man*, nie *lechem*, bo to było coś małego, okrągłego, a nie drobne grudki w łuskach, jak twierdzi zły przekład chrześcijańskiej Biblii. Nie była to też pszenica ani żadne inne zboże, które Izraelici znali i z którego mogli piec *lechem*.

Kiedy Gilad wdał się w rozróżnianie różnic między hebrajskim a chrześcijańskim opisem biblijnej manny i autorytatywnie – bo poparte starszeństwem i wiernością swojej świętej księgi – dowodzenie, że manna miała kształt kuleczek, a nie podłużnego ziarna, Faradz paznokciami zaczął zrywać wokół siebie kawałki podłoża i gromadzić je na kępce przed sobą. Izraelski archeolog oniemiał na ten widok, a my wszyscy skamienieliśmy dosłownie.

– Obawiam się, Gilad – rzekł mój mąż z uśmiechem, podnosząc na niego wzrok – że ebionici w tym wypadku skorzystali ze złego przekładu chrześcijańskiej Biblii, bo to, co pokrywa tu wszędzie skałę, na ziemi, ścianach, sklepieniu i prawdopodobnie przy wyjściu z jaskini, jest grudkami manny. Choć muszę przyznać, że nie bardzo podłużnymi.

Kaspar podszedł do Faradza i stanął przed nim w rozkroku nad przypuszczalnie kawałkami zbrzydlonego pyłu skalnego barwy jasnego popiołu (może o to chodziło z tym szronem), które mój mąż bez większego trudu pozrywał palcami. Były katon podniósł jeden taki kawałek wielkości jego straconej kieszonkowej Biblii i ostrożnie przyjrzał mu się w świetle latarki.

– Potrzebny nóż – mruknął.

– Mogę to zobaczyć? – poprosiła Sabira, wyciągając rękę.

Kaspar podał jej ten ułomek podłoża, sądząc zapewne jak wszyscy, że Sabira chce go naszkicować w celach dokumentacyjnych, lecz ku naszemu zdziwieniu ona podstawiała go pod światło, obróciła parę razy w rękach i ni stąd, ni zowąd odłamała kawałeczek, po czym spokojnie włożyła do ust i zaczęła żuć z miną świadczącą, że to dla niej żadna nowość.

– Nie jedz tego! – wykrzyknął zatroskany Gilad i wyrwał jej resztę z ręki. – Wypluj! To może być trujące!

Jednakże asasyńska Sabira, wciąż z błogim uśmiechem, nie przestawała żuć, następnie podniosła

z ziemi kolejny kawałek

– Wiem, co to jest – rzekła zadowolona. – W moim rodzinnym mieście, w Diyarbakirze w Anatolii, jedliśmy to często. Ale zanim opowiem wam dziwną historię tego, radzę, nie czekajcie. Spokojnie możecie jeść, nikomu nie zaszkodzi. To bardzo pożywny porost.

– Porost? – spytałam z odrazą.

Wiedziałam, że porosty to organizmy żywe powstałe z połączenia grzybów i jednokomórkowych wodorostów, wiedziałam również, że gdzie są porosty, tam nie ma skażenia atmosfery gazami emitowanymi z fabryk albo samochodów ani żadnych produktów toksycznych, ponieważ są bardzo wrażliwe na wszelkie zanieczyszczenia. Ale chociaż w naturalnym środowisku pełnią rolę taką jak kanarek wykrywający metan w kopalni, są zielonym światłem świadczącym o czystości otoczenia, nigdy nie wchodziły w skład mojej diety, toteż wcale mi się nie podobał pomysł zajadania tego rodzaju żywych organizmów.

– Smaczniejsze by były – mówiła Sabira, odrywając kawałeczek z tego, co trzymał wystraszony Gilad – gdyby dało się je zemleć i ugotować, ale w naszej sytuacji nie możemy oczekiwać więcej. Trzeba się więc zadowolić surowymi kawałkami i wodą ze źródła.

Widok Sabiry żującej porosty tak wzmógł we mnie głód, że przeszły mi wszelkie opory. Jeśli to coś, porost czy skała, jest jadalne, będę jadła. Musiałam nakarmić tygrysa, żeby dał mi żyć, bo ból żołądka stawał się nie do zniesienia, a hipoglikemia właściwie wykluczała mnie z życia.

Faradz i Kaspar rozdali wszystkim kawałki tego czegoś. Zamknęłam oczy, zanim czubkami palców włożyłam sobie ociupinkę do ust. Było szorstkie i twarde i wydawało się, że kruszy się raczej z wysuszenia niż z innego powodu (na przykład dlatego, że jest żywe). Nie otwierając oczu, ponaglana bolesnymi skurczami żołądka, zaczęłam żuć. W smaku zupełnie przypominało mąkę pszenną z nutką cierpkości. Znaczący jedzenie było to żadne, niemniej dawało zajęcie sokom żołądkowym, które w podjęcie nareszcie zostawiły mnie w spokoju. A tylko tego pragnęłam.

Nie wiedziałam dotąd, jak czują głód ci, którzy naprawdę nie mają nic do jedzenia. Nie wiedziałam, czy przypomina to, co ja czułam, ponieważ ich trwa długo, a ja go znalazłam po raz pierwszy i tylko przez kilka dni. Ale nie ma uczucia gorszego, boleśniejszego i bardziej obezwładniającego niż głód. Po tym doświadczeniu coś się we mnie na zawsze zmieniło. Na pewne rzeczy już nigdy nie spojrzę tak jak dotąd.

Porosty wymagały wody, aby je przeżuć, przełknąć i strawić. Wylądowaliśmy zatem wszyscy przy źródle, każdy z kawałkiem „manny” w charakterze przysmaku odgryzanego po kawałku i popijanego łykiem wody. Jedliśmy powoli, bez pośpiechu, ostrożnie zaspokajając głód z obawą, czy aby po tym pożywieniu nie poczujemy się źle. Nie rozmawialiśmy. Jedliśmy i pili w milczeniu, zbyt wycieńczeni, by nawiązywać miłą pogawędkę przy biesiadzie. A kiedy skończyliśmy, kiedy nasyciliśmy się wreszcie, ułożyliśmy się do snu na podłożu, które wydawało

się kamienne, a tymczasem pokrywała je piętnastocentymetrowa warstwa porostów wyglądających jak skała, lecz żywych tak jak my. Na samą myśl ciarki przebiegały po grzbiecie.

Obudziwszy się po wielu godzinach, czułam się znacznie lepiej. Minęły mdłości, zawroty głowy, lęk i tak dalej. Ból żołądka również. Tygrys ku mojej wielkiej radości odszedł bez pożegnania. Czułam jednak, że muszę sobie znowu pojeść.

Abby i Kaspar, znacznie lepiej wyglądający, jedli i popijali przy źródle (czyli robili to, do czego ja też się przymerzałam). Pora musiała być późna, tak że posiłek należało raczej nazwać kolacją niż śniadaniem.

– Jak się masz, pani doktor? – przywitał mnie byłym katon, podając mi, że tak powiem, porostowy placek

Wzięłam go i ugryzłam kęs, już wiedząc, jak będzie smakował.

– O wiele lepiej – odparłam, w stuloną prawą dłoń nabierając łyk wody, aby się napić. – Naprawdę o wiele lepiej.

– No, my też – Abby się uśmiechnęła. – Chyba wreszcie możemy zakończyć tę próbę i przejść do reszty Błogosławieństw.

Stropiłam się lekko.

– To nie zadzwoniliśmy do Isabelli z prośbą, żeby nas stąd wyciągnęli?

– O tym była mowa, zanim znaleźliśmy jedzenie – wyjaśnił Kaspar, nabierając w stulone dłonie wody.

– Wiesz, Ottavio, wszystko robimy jak należy – powiedziała Abby. – Ciężko jest, wiem, ale pomyślnie przeszliśmy przez kolejne Błogosławieństwa i mamy teraz prawo odnaleźć ossuaria ze szczątkami Jezusa i jego rodziny. Kiedy dotrzemy do celu, nie będę miała poczucia, że uczestniczyłam w najważniejszym w historii odkryciu. Będę miała poczucie, że stałam się godna dokonać najważniejszego odkrycia w historii. W jakimś stopniu dzięki tym próbom zasłużyliśmy na to, czego szukamy.

– Doskonale cię rozumiem, Abby – rozległ się głos Faradza za moimi plecami. On także się obudził i przyszedł do źródła, aby się posilić.

Słowo ateista Faradz rozumiał Abby, znaczy, że było w niej coś ateistycznego, tyle że co rusz dowodziła bardzo dobrej znajomości Pisma Świętego, zarówno chrześcijańskiego, jak i żydowskiego, i wielkiego szacunku dla każdego wyznania łącznie z muzułmańskim, chociaż ani ona, ani jej dziadkowie w żadnej chwili, o ile pamiętam, nie dali poznać, że wyznają jakąkolwiek religię. Byli w wielkiej zażyłości z księciem Karimem, imamem nizarytów, ale także mieli liczne znajomości w Watykanie. W sumie wyglądali mi na takich samych ateistów jak Faradz.

– Cześć, Kochanie – rzekł mój mąż, podchodząc, by pocałować mnie w policzek – Wyspałaś

się? Jak się czujesz?

– Dużo lepiej – odparłam. – Ty też lepiej wyglądasz. Gdybyś się ogolił, nawet rumieńce by było widać.

Faradz wziął płat porostów od Kaspara i zanim odgryzł kawałek, podstawiał twarz pod strumyk, aby ją opłukać, a na koniec pociągnął solidny łyk wody.

– Nie powiem, żebym czuł jakąś szczególną radość – zawołał, przecierając mokrą twarz ręką – bo jesteśmy sponiewierani, udręczeni i przydałby nam się tydzień w spa, żeby odzyskać choć część sił, które straciliśmy tutaj. Ale jestem bardzo dumny, że przetrwaliśmy dotąd. Dlatego zgadzam się z Abby.

– Czy li chcesz iść dalej – westchnęłam zrezygnowana.

– I ty też, basileja – powiedział, obejmując mnie za ramiona i przyciągając do siebie, drugą ręką zaś podnosząc do ust kawałek porostów i odgryzając kęs. – Ty też. Znam cię wystarczająco, by wiedzieć, że nigdy nie zostawiasz nieskończonego tego, co zaczęłaś.

Wtem po mojej prawej pojawił się Gilad. Twarz miał zaspaną i jeszcze wymizerowaną, lecz znów było widać, że to muskularny facet. Kaspar w roli piekarza podał mu połać „manny”, Izraelczyk jednak jak wszyscy wołał się najpierw napić. I jeszcze pił, gdy podeszła do nas Sabira. Uśmiechnęła się szeroko – z daleka wyglądała najlepiej z nas. Nasz „piekarz” wręczył jej porcję porostów, którą złapała łapczywie i od razu ugryzła, jakby dostała przysmak

– Moja matka i inne kobiety w Diyarbakirze – wyjaśniła, przełknąwszy pierwszy kęs – zbierały te porosty na polach, męły je na mąkę, którą nazywaliśmy szirsad, i piekły chleb. Był naprawdę smaczny [38](#).

– To one nie spadają z nieba? – spytał zawiedziony Gilad.

– Ależ spadają, oczywiście, że tak! – zawołała zadowolona Sabira.

Oniemieliśmy. Spadają z nieba jak manna? Więc jak się dostały do tej jaskini we wnętrzu góry?

– Nigdy nie udało mi się dowiedzieć – ciągnęła Sabira – jak się ten porost nazywa, ale przynosi go wiatr albo spada z deszczem. Tworzy wtedy warstwę kuleczek żółtych z wierzchu i białych w środku. Od niepamiętnych czasów zbierają je kobiety z Anatolii, Iraku i Azji Środkowej. Jeśli się go nie zbiera, tworzy powłokę jak tutaj, grubą na dziesięć do piętnastu centymetrów. Z niej też można robić mąkę i piec chleb.

– Jak porosty dostały się tutaj i tak bardzo rozrosły? – zagadnęła Abby ze zdziwieniem w głosie.

– Nie wiem. – Sabira wzruszyła ramionami. – Ale tutaj wszystko zrobili ebonicy, prawda? Na pewno mieli swoje sposoby uprawy tych porostów w chłodnych, ciemnych piwnicach swoich domów w Susji. Jak powiedziałam, są naprawdę smaczne.

– I dosyć nawet przypominają *man hu*, którym Adonaj obdarował Izraelitów na pustyni –

dodał Gilad.

– Może uwierzyli, że to faktycznie manna – wtrąciłam. – To, co mówi Sabira, jest naprawdę niepokojące ze względu na podobieństwo do obydwu wersji biblijnych.

– Chyba wpadnę do twojego miasta, Sabiro – zaśmiał się Gilad. – Bez kłopotu znajdę sponsora badań nad pochodzeniem manny. To bardzo ważna sprawa dla Izraelczyków.

– Moja matka z radością ugotuje ci coś pysznego z szirsadu.

– I nie będzie... nie będzie miała nic przeciwko żydowi? – spytał z niepokojem.

Faradz, Kaspar, Abby i ja jedliśmy w milczeniu, słuchając nadzwyczaj uważnie tej arabsko-izraelskiej wymiany zdań. Znowu czułam się tak, jakbym jadła przed telewizorem.

– Jak większość ludzi w Diyarbakirze – wyjaśniła Sabira – moja rodzina to Kurdowie. Nie jesteśmy ani Turkami, ani Arabami. A tym bardziej sunnitami. Jesteśmy szyitami. A konkretnie izmailitami nizarytami.

I w tym sęk! pomyślałam z ustami pełnymi „manny”. Sabira wreszcie wyznała Giladowi, że jest asasyńką!

– Izmailitami jak uczniowie Agi Chana? – zdziwił się Gilad, szybko wygrzebując z pamięci wszystko, co wiedział na ten temat.

– Zgadza się. – Sabira uśmiechnęła się lekko. – Aga Chan jest naszym imamem.

Gilad wyszczerzył się szeroko.

– Musisz mi opowiedzieć o swojej religii, bo nic a nic o niej nie wiem – powiedział.

A więc nie miał pojęcia o sekcie asasyńców! Jak większość ludzi zresztą. Sabira odwzajemniła jego uśmiech i pokiywała głową. Właśnie zawarty został ważny układ o przyjaźni asasyńsko-izraelskiej. Nie dobra, izmailicko-izraelskiej. Nie cierpię poprawności politycznej.

– Jakie jest następne błogosławieństwo? – spytał nagle Głaz, nim zaczęła znowu jeść.

– A czemu tak cię to interesuje? – zaciekała się Abby-Julia, miłośnie opierając perfekcyjny podbródek na kwadratowym ramieniu byłego katona.

– Bo mam syna – odparł łagodnie – i chcę go odzyskać. Wiem, że nie dzieje mu się krzywda, ale tęsknię za nim. Jeśli szybko przystąpimy do następnej próby, niedługo stąd wyjdziemy. Ale gdyby miała być taka ciężka jak poprzednie, lepiej może będzie pobyc tu dłużej, odpocząć i nabrać sił.

– Pospieszyleś się z uznaniem, że próba głodu się skończyła – zauważył Faradz. – Rozejrzałeś się dokoła? Widzisz gdzie tu wyjście? Bo ja, przyjacielu, widzę tylko wielką jaskinię pokrytą w całości szarą warstwą porostów, która zasłania ewentualne wyjście, jeśli w ogóle gdzieś tu jest.

– Zrywanie porostów zajmie strasznie dużo czasu – zmartwiła się Abby. – To robota na tygodnie.

– Sądzicie, że gdyby wyjście prowadziło w dół i było w podłożu, warstwa porostów

utrzymałaby nasz ciężar? – zagadnęłam z tą myślą, że tym samym wyeliminuję z poszukiwań rozległą powierzchnię.

– Tak – przyznała Sabira. – Bez problemu by utrzymała, gdyby otwór nie był bardzo duży. To całkiem możliwe, nawet jeżeli chodziliśmy w tym miejscu.

– No to jesteśmy załatwieni! – zmartwił się Gilad. – Ale przynajmniej mamy tu jedzenie i picie na dłuższy czas.

– To osobna sprawa – wtrąciłam. – Nieważne, którędy wyjdziemy, ale musimy zabrać porządną zapas porostów, żeby mieć co jeść.

– Czy ktoś w końcu będzie łaskaw mi przypomnieć – zdenerwował się Głaz – jak brzmi kolejne Błogosławieństwo?

– „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią” – wyrecytowałam.

Na kilka chwil zapadła cisza.

– Nie wygląda na groźne – wyszeptała w końcu Sabira.

– I ufaj tu ebionitom! – burknął były katon.

– Człowieku, tu jest mowa o miłosierdziu – zwrócił mu uwagę Faradž.

– Nie zauważyłem ani krzty miłosierdzia, odkąd weszliśmy do tej cholernej góry! – obruszył się Kaspar.

Abby uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jeśli pozwolicie... – zabrała głos Sabira. – Uważam, że powinniśmy najpierw nazbierać porostów, które chcemy zabrać. W charakterze worków możemy wykorzystać męskie koszule.

– Dlaczego? – zapytała Abby.

– Bo są większe i...

– Nie, nie – przerwała jej dziedziczka. – Chodzi mi o to, dlaczego najpierw powinniśmy nazbierać porostów.

– Jest siódma wieczorem we wtorek ósmego lipca – zauważył Kaspar, spoglądając na swoją komórkę.

Był rodowitym Szwajcarem, toteż starał się działać jak szwajcarski zegarek. Nawet gdy podawał godzinę, robił to jak automat.

– Bo jeśli zrobimy to dzisiaj – wyjaśniła asasynek – będziemy mogli się najeść, wyspać i jutro z samego rana wyruszyć do następnego Błogosławieństwa.

– A wyjście? – przypomniał Faradž.

– Jest łatwy sposób, żeby je znaleźć – odparła z enigmatycznym uśmiechem.

I faktycznie był. Sabira przejawiała nieoczekiwane umiejętności.

Zrobiliśmy, jak radziła. Napełniliśmy porostami worki zrobione z koszul Faradża, Kaspara i Gilada – którzy wyglądali o wiele atrakcyjniej w stylu plażowym, półnaczy – następnie

najedliśmy się do syta i poszliśmy spać. Z zaśnięciem nikt nie miał problemu z powodu wielkiego zmęczenia. Nazajutrz obudziliśmy się wypoczęci i po śniadaniu złożonym z manny i wody przygotowaliśmy się do drogi, acz przedtem musieliśmy na chwilę wrócić na schody w kominie, do którego docierało światło i powietrze.

Sabira miała dwa małe kawałki krzemienia z korytarza z czerwoną wodą. Zachowała je z tego samego powodu co swoje szkice i kartę pamięci z aparatu fotograficznego. Wyszliśmy wszyscy na wąskie schody w kominie, parę metrów poniżej wejścia do jaskini, ona zaś w niej została i niebawem dołączyła do nas. Za nią snuła się smużka czarnego dymu, który uchodził przez krótkowany stożek na szczycie jak wciągany przez odkurzacz. Czarny dym gęśniał i gęśniał, aż zmienił kolor na intensywnie czerwony i długo trwało, nim przestał się unosić.

Szczęśliwie ani dym, ani ogień nie opadały na dół, gdzie czekaliśmy, w oniemieniu obserwując pożar wywołany przez Sabirę w jaskini z porostami.

– Tak się robiło na polach – wyjaśniła z prostotą. – Kiedy warstwa porostów robiła się za gruba i trzeba było oczyścić glebę pod siew, ludzie wypalali to co niepotrzebne. Ja też tak zrobiłam. Wystarczyła iskra skrzęsana krzemieniami.

Jaskinia płonąła ponad trzy godziny.

Przenikliwy, natrętny dźwięk dzwonka komórki Kaspara rozległ się, kiedy po ugaśnięciu podpalonych porostów czekaliśmy, aż temperatura w jaskini stanie się znośna dla człowieka na tyle, by nie zmienić nas w pieczeń w sosie własnym.

– Isabella! – zawołałam.

Jakimś dziwnym i niepojętym sposobem świadomość, że dzwoni moja siostrzenica, sprawiła, że zalała mnie fala miłości do niej.

– Faradz, to Isabella! – powtórzyłam do męża, który się uśmiechnął.

Nadal siedzieliśmy na schodach w kominie, bo chociaż z jaskini dym już się nie wydobywał, skała nagrzała się tak bardzo, że do wejścia po prostu nie dało się zbliżyć nawet na metr.

– To nie Isabella – burknął Kaspar. – Włączcie komórki.

– A kto dzwoni? – zapytałam.

O dziwo, tutaj mój telefon pokazywał, że ma słabutki zasięg. Skoro jednak Kaspar prosił, żebyśmy włączyli telefony, oznaczało to, że połączenie przychodzi za pośrednictwem sieci wychodzącej z Paradejsosu.

– To Navil, jeden z inżynierów – odparł Głaz. – Izraelskie służby leśne wypatrzyły ślup dymu na północnym zboczu góry Meron, jakieś czterysta metrów od szczytu, na wąskiej stromej grani zamkniętej dla turystów. Podaje mi współrzędne i pyta, czy to nasza sprawa i czy potrzebujemy pomocy.

– Jasne, że to nasza sprawa – potwierdziłam. – I oczywiście chcemy, żeby nas stąd zabrali.

– Czy te służby leśne wezwą bombowce albo jakąś ekipę obserwacyjną? – zatroskał się Faradz.

Jakoś ostatnimi czasy zaniedbywaliśmy swoje bezpieczeństwo osobiste i jakość życia.

Kaspar, który odbierał kolejne wiadomości i czytał je w milczeniu, pokiwał głową.

– Już wezwali, ale nie zauważono płomieni. W każdym razie Navil mówi, że będą patrolowali ten rejon z powietrza, śmigłowcami, na wypadek gdyby miał z tego wybuchnąć pożar.

– E, niedługo dadzą sobie spokój – wtrąciła Sabira. – Dymu już nie ma.

– Nie do wiary, że z zewnątrz nie widzą tych kamiennych krat – dziwował się Gilad. – Pewnie roślinność i skały dokładnie je zasłaniają.

– Zapytaj tego Navila o Isabellę – poprosiłam Kaspara.

– Isabella ma się dobrze – prychnął były katon. – O nic nie będę pytał.

Pohamowałam złość, bo w głębi ducha wiedziałam, że Isabella ma się znakomicie, a chciałam zadać dużo ważniejsze pytanie:

– A ty, Abby, nie chcesz spytać o Jakę'a i Becky?

I znowu zobaczyłam na jej twarzy strach, który przemknął i zaraz się rozwiął, pozostał zaś perfekcyjny miły uśmiech.

– A skąd mają wiedzieć w Paradejsosie, jak się czują moi dziadkowie?

– Każę to sprawdzić – mruknął Kaspar, nie przerywając pisania i nie czekając, aż Abby go o to poprosi.

– Nie martwisz się? – drążyłam.

– Bardzo się martwię – powiedziała z taką szczerością na twarzy i w głosie i tak zdziwiona pytaniem, że poczułam się jak idiotka. Naprawdę Faradz słusznie mnie oskarża, że jestem niezdolnie nieufna, pomyślałam. – Myślę o nich bez przerwy, marzę o tym, żeby wyzdrowieli i żeby im mogła ich uściskać, kiedy stąd wyjdziemy, i przekazać im dobre wieści.

– Dadzą znać, jak sprawdzą – oznajmił Kaspar, podnosząc głowę znad telefonu i spoglądając na Abby.

Dziedziczka uśmiechnęła się z taką wdzięcznością, że aby nie czuć się jak podła świnia, odegnałam precz wszelkie wątpliwości.

– Isabella i Linus mają się dobrze – dodał były katon, gasząc wyświetlacz komórki. Połączenie zostało zakończone.

Niemal cały dzień przesiedzieliśmy na schodach, znudzeni i milczący, czekając, aż w jaskini się schłodzi. Dopiero pod wieczór, gdy przez kratkę w stożku na szczycie kominu wpadały resztki światła, Sabira, która co rusz sprawdzała temperaturę, siedziała bowiem najbliżej wejścia, powiadomiła nas, że możemy wrócić do środka.

Włączyliśmy latarki i wkroczyliśmy za nią do ponurej jaskini, przedtem całkowicie pokrytej warstwą porostów, a teraz czarnego kopciucha po wypaleniu. Otwór wyjściowy znajdował się po przeciwnej stronie, dokładnie naprzeciwko tego, którym weszliśmy. Gdybyśmy trochę wysilili mózgownice i pomyśleli logicznie, rzekłam sobie w duchu, może by nie trzeba spalić tyle jedzenia. Wychowano mnie bowiem tak, że niszczenie jedzenia uważałam za potworność dorównującą niszczeniu książek za czyn straszny, nieodpowiedzialny – wręcz za zbrodnię.

Wyjście prowadziło na kamienne schody biegnące w dół. Łagodnie skręcały w lewo – wiodły nas na powrót w głąb góry, oddalając od stoku. Tak jak wcześniejsze były sklepione i wiodły między ścianami.

Szliśmy nimi jakieś piętnaście minut, aż dotarliśmy do kolejnej jaskini – nie wątpiliśmy, że w pocie czoła będziemy tu musieli zasłużyć na miłosierdzie (jeśli nie na boskie, to przynajmniej na ebionickie). Jaskinia znowu była okrągła w kształcie kopuły ze strumyczkiem świeżej wody na lewo od wejścia. Tym razem jednak były dwie różnice w porównaniu z poprzednimi komorami: po pierwsze ogromny kamienny dysk zastawiał wyjście położone na wprost wejścia, a w lewej części znajdowały się jeszcze cztery mniejsze dyski pokryte symbolami i wprawione w wycięty

w ścianie prostokąt szeroki na jakieś pięć metrów i wysoki na metr. Średnica tych kół wynosiła około pół metra, a głębokość tyle samo co prostokątów, to znaczy dwadzieścia, trzydzieści centy metrów. Ciekawe, co też przyjdzie nam tu zrobić.

Druga różnica polegała na tym, że podłoże w jaskini pokrywały odłamki czegoś, co wyglądało na smukłe kolumny w stylu egipskim z kapitelem dzwonowatym. Kolumny się zwaliły, na wszystkie strony posypały się kawałki kamiennych podstaw, trzonów i głowic. Z pewnością jakieś nieznaczne wstrząsy sejsmiczne doprowadziły do tego na przestrzeni ostatnich ośmiuset lat, skoro Izrael leży na styku płyt tektonicznych arabskiej i afrykańskiej.

– „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią” – przy pomniał Faradz, kiedy w szóstkę stanęliśmy pośrodku, patrząc na cztery małe koła.

Niczym klucz ptaków skręcających wraz na niebie albo ławica ryb zmieniająca kierunek w wodzie wszyscy równocześnie postąpiliśmy w kierunku kół i zatrzymaliśmy się dopiero przed nimi. Wyglądało na to, że są zamocowane w prostokącie na osi, jakby miały poruszać jakimś mechanizmem ukrytym za ścianą.

– Do diabła, co to wszystko ma wspólnego z miłosierdziem? – wściekł się Kaspar.

Na każdym z kół wyryto osiem promieni, czyli każde podzielono na osiem części, a w każdej z tych części wyryto okrąg, ponadto w każdej znajdował się jakiś symbol. Po bliższych oględzinach te symbole zidentyfikowaliśmy jako delikatnie wycięte litery – wyglądały na pochodzące z kilku różnych alfabetów. Rozpoznałam litery hebrajskie i łacińskie, ponadto na pierwszym kole zauważyłam kunsztowną majuskułę greckiej litery pi (Π), która przypawiła mi o mocniejsze bicie serca. Było oczywiste, że greckich liter jest więcej, problem w tym, że użyto majuskuł, które myliły się z literami łacińskimi, bo przecież te alfabety są dość podobne. Gdyby wyryto minuskuły, rozróżnienie byłoby znacznie łatwiejsze. Poza tym pewne litery były dla mnie czytą chińszczyzną, rozpoznał je dopiero Gilad, który znał aramejski.

– To syriacki – oznajmił stanowczo. – Tu jest na przykład syriackie waw.

I na pierwszym kole wskazał taki symbol:



Abby cofnęła się o krok, by popatrzeć z większej odległości (wszyscy staliśmy tuż przy

pierwszym kole, oglądając syriackie wawy), i z rozbawieniem zapytała:

– Chcecie wiedzieć, na czym polega ta próba?

Obejrzelismy się na nią z minami pilnych uczniów, którzy uważnie słuchają nauczycielki na szkolnej wycieczce do muzeum.

– Na odnalezieniu ukrytego PIN-u do bankomatu – rzekła z dumą. – Trzeba wpisać cztery właściwe cyfry, żeby bankomat wypłacił ci pieniądze, a w tym wypadku cztery litery, żeby to wielkie koło odblokowało przejście i wypuściło nas.

– I te cztery znaki z różnych alfabetów – dodał Faradz w zamyśleniu – są w jakiś sposób powiązane z miłosierdziem.

– Kompletnie wariactwo – powiedział Gilad, oglądając uważnie cztery kamienne koła. – Widzę tu trzy alfabety...

– Cztery – sprostowałam, wskazując palcem greckie pi. Wiedziałam, że łatwo je pomylić z łacińskimi majuskułami.

– To jeszcze gorzej – skwitował.

– Po osiem liter na ośmiu kołach – liczył Kaspar. – Czyli trzydzieści dwie litery z czterech alfabetów. I trzeba znaleźć właściwą kombinację czterech znaków, żeby przejść tę próbę? Zdaje się, że spędzimy tu dużo czasu.

Faradz westchnął cierpliwie. Zgadłam, co myśli. Tak to jest po wielu latach małżeństwa.

– Wcale nie, Kasparze – powiedziałam szybko. – To będzie najłatwiejsza próba. Jesteśmy na swoim terenie. Języki klasyczne to nasza specjalność. A te cztery, hebrajski, syriacki, grecki i łaciński, mają jedną wspólną cechę: od dwóch tysięcy lat są najczęściej używane przez chrześcijan. Ja znam grekę...

– Ja też – wpadł mi w słowo były katon.

Ugryzłam się w język by nie powiedzieć, że w porównaniu ze mną on zna się na grece jak ja na informatyce.

– Ja znam grekę – powtórzyłam, wyraźnie wymawiając każde słowo, aby pojął, o co mi chodzi. – Faradz oprócz hebrajskiego zna łacinę i troszkę syriacki. Gilad zna aramejski, a hebrajski to jego język ojczysty.

– Ale aramejski i syriacki to nie to samo – zwrócił mi uwagę Gilad. – Syriacki jest co prawda dialektem aramejskiego, rozpoznam litery, coś tam nawet przeczytam i zrozumiem, ale to nie moja specjalność.

– No to ty i Faradz zajmiecie się syriackim – zdecydowałam, z wielkim zadowoleniem przejmując dowodzenie nad OPPP. Kobiety też mają prawo rozkoszować się słodkim smakiem najwyższej władzy. Mnie w każdym razie sprawiało to wielką przyjemność.

– Ja będę pracował z tobą nad greką – zaferował się Kaspar, napełniając mnie na krótką

chwilę goryczą.

Znowu ugryzłam się w język Akurat!

– Czyli Sabira i ja nie mamy nic do roboty – zasmuciła się Abby, acz po jej twarzy widziałam, że dużo ją kosztuje utrzymywanie dłużej sekretu.

– No co ty? – zawołałam ze zdziwieniem. – Chciałam przydzielić ci hebrajski! Zauważyłam ostatnio, że chyba całkiem dobrze go znasz.

Wymieniłyśmy porozumiewawcze spojrzenia i Abby się uśmiechnęła.

– Myślałam, że to będzie działka Gilada – wyjaśniła sprytnie. – Dlatego nie proponowałam siebie.

– Gilad zajmie się syriackim razem z Faradżem, ale w razie czego pomoże ci – zadecydowałam wspaniałomyślnie.

– W takim razie będę pracował z Abby nad hebrajskim – oznajmił szybko łapryśny, zazdrosny były katon. – Też się go uczyłem przez te lata w Paradejosie.

Ufff, chociaż tyle, pomyślałam z ulgą, że się go chwilowo pozbyłam.

– Uczyłam się kiedyś łaciny – rzekła Sabira strapiona – ale nic nie pamiętam. Od tamtych czasów nie miałam z nią do czynienia.

– Spokojnie – powiedziałam. – Ja trochę pamiętam, więc jakoś tam sobie poradzę, zwłaszcza że łacińskie litery trudno odróżnić od greckich. Lepiej nawet, że zajmę się obydwoma językami. Poza tym jak Faradż upora się z syriackim, przełączę mu łacinę.

– Wobec tego zrobię szkice kół i liter – odparła. – Każdy będzie miał swój egzemplarz, więc wygodniej będzie wam pracować.

Pomysł był genialny. Lepiej się skupimy, jeżeli będziemy mieli szkice przed oczami, niż tkwiąc w kupie przed kołami i spierając się o to, kto może obrócić dane koło w którą stronę.

– Późno już – zauważyła Abby. – Zjedźmy kolację i odpoczniemy. Później weźmiemy się do pracy nad kodem, póki nie zachce nam się spać.

– Abby, cały dzień przesiedzieliśmy na schodach w kominie – z wyrzutem rzekł Głaz. – Nie mów, że jesteś zmęczona.

– Owszem – stwierdziła z niejaką złością. Czyżby sielanka została zachwiana? zastanowiłam się ze zdziwieniem. – Jestem zmęczona. Dziś mija tydzień, odkąd weszliśmy w głąb Meronu. Tydzień! I nie muszę chyba przypominać, cośmy przeżyli w tym czasie.

Kaspar raz-dwa spuścił z tonu. Tak był ustępliwy i posłuszny – nie mogłam się napatrzeć. Oczywiście wykorzystam to przy pierwszej nadarżającej się okazji.

– W porządku – zgodził się. – Jeśli innym nie robi to różnicy, ja jestem za.

– Inni są zachwyceni propozycją Abby – oświadczyłam, siadając ze skrzyżowanymi nogami tam, gdzie stałam.

Po co szukać innego miejsca, skoro w charakterze dobytku mamy tylko trzy tobołki z jedzeniem? Ale mój mąż, który dźwigał jeden z tych tobołków, schylił się, wziął mnie za rękę i odciągnął do tyłu.

– Podejźmy bliżej źródła – zaproponował. – Możemy wykorzystać kawałki kolumn jako siedziska.

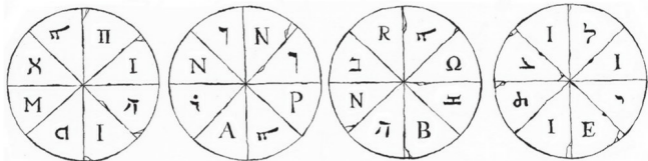
Ostatecznie urządziliśmy sobie obozowisko. Nie było – jak w pierwszych dniach w trzewiach Meronu – wschodnich luksusów, mieliśmy jednak niejakie wygody na miarę swojego ubóstwa. Między innymi przysunęliśmy albo przytoczyli kawały kolumn i postawiliśmy je, tak że siedząc na ziemi, przynajmniej mogliśmy się o nie oprzeć. Mniejsze odłamki rozbitych kapiteli dzwonowatych przydały nam się później, w porze snu, do podłożenia pod głowę. Postaraliśmy się, by obozowisko przy źródle wyglądało jak najprzytulniej (brakowało tylko kwiatków, żeby było całkiem po domowemu), po czym kolejno zdejmowaliśmy buty i dokładnie myliśmy nogi. Paski zamykające rany na szczęście ciągle się trzymały, a skaleczenia wyglądały znakomicie. Po umyciu oparliśmy nogi na kawałkach kolumn, by osuszyć zarówno skórę, jak i opatrunki, i wyjęliśmy z tobołków kawałki mанны na kolację. Buty trzeba było włożyć na powrót, aby podejść do źródła i napić się wody, która ułatwiała przeżywanie porostów.

– Miłosierdzie. Cztery litery – mruknął Faradz, gdy napił się i z powrotem usiadł obok mnie.

– Oby to nie była krzyżówka! – zawołałam, przełykając na sucho swoją porcję mанны.

Sabira szybko uwinęła się z kolacją, tak że skończyła pierwsza, po czym z latarką i czystymi kartkami podeszła do kamiennych kół, by zacząć szkicowanie. Reszta ekipy, acz z lekkim poczuciem winy, posilała się dalej, gawędząc miło, jakbyśmy byli na weekendowym biwaku – a przecież w rzeczywistości była to iście makiaweliczna tortura wymyślona przez grupę fanatycznych ebionitów, by chronić przed rabusiami grobów to, co było dla nich najświętsze i najważniejsze. Tylko jeśli się nad tym zastanowić: jaki złodziej grobów zniósłby te wszystkie katusze, aby zrabować szczątki Jezusa i jego rodziny? Czy w ogóle ktoś by je zniósł, jak twierdził Kaspar, złodziej albo nie, jak my na przykład, czyli nauczyciele akademicki, badacze i archeolodzy? W zasadzie odnosiliśmy wrażenie, że pierwsi (i jedyni w ciągu ośmiu wieków) przeszliśmy pomyślnie przez dotychczasowe próby. Nic nie wskazywało na to, że przed nami ktoś szedł tą drogą.

Sabira wróciła do nas z pierwszym szkicem kół i wyrytych na nich liter, nie chciała go jednak pokazać, bo jak powiedziała, ma dość papieru, by każdy dostał swój egzemplarz. Rysunki faktycznie zaczęły niebawem trafiać w nasze ręce, nikt jednak nie wyrywał się z żadnym komentarzem. W końcu Sabira znała na pamięć każdy szczegół, tak że rysowała szybkoitko. Ja ostatnia otrzymałam swój egzemplarz. Wyglądało to tak



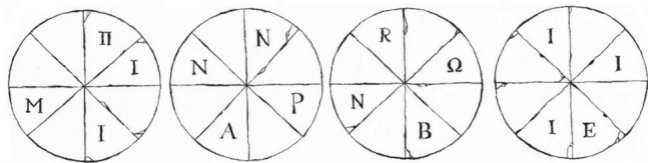
– Zauważyłam – powiedziała w tej chwili Sabira – że powyżej tego prostokątnego wgłębienia u zbiegu z pionową średnicą każdego koła są cztery ledwie dostrzegalne znaczkki. Sądzę, że to wskazówka: do kodu należy wziąć literę nad znaczkkiem.

Nie mieliśmy nic do pisania, nie mogliśmy zatem robić notatek ani próbować różnych kombinacji liter. Był tylko ołówek Sabiry, cenny złoty automat, i chociaż zapewniła, że grafitów nie zabraknie, więc możemy śmiało go używać, nie zmieniało to faktu, że trzy grupy miały do dyspozycji jeden ołówek. Rozwiązanie tego problemu nie było proste. Ostatecznie postanowiono, że będziemy z niego korzystać w miarę potrzeb, a Sabira będzie go używała i kontrolowała, przez jaki czas dana grupa go używa. W mojej grupie oczywiście byłam sama i pracowałam na dwóch językach, podczas gdy pozostali dwójkami pracowali na jednym języku. Słusznie zatem zdecydowano, że mam prawo używać ołówka dwa razy dłużej niż inne ekipy.

– Masz gumkę do mazania? – spytałam asyntykę.

– Tak, automat ma gumkę – odparła, wręczając mi pierwszą ołówek – Trzeba zdjąć końcówkę u góry.

Zdjęłam złotą końcówkę i ujrzałam malusienki kawałeczek gumki. Szybko (bo wiedziałam, że Sabira zaczęła liczyć mi czas, a była dość metodyczna) wymazałam ze swojego rysunku litery hebrajskie i syriackie. Nie tylko nie obchodziły mnie, ale wręcz rozpraszały. Na moim szkicu pozostały więc jedynie litery greckie i łacińskie:



Miałam po cztery litery w kółku, same majuskuły, w sumie szesnaście, i tylko dwie były na pewno greckie: pi (Π) w pierwszym i omega (Ω) w trzecim. Miałam też literę R w trzecim kółku, ewidentnie łacińską. Pozostałe trzynaście mogły być greckie albo łacińskie, przy czym nie mogłam zapominać, że z założenia w każdym kółku dwie litery musiały być greckie i dwie łacińskie.

Problem wydawał się złożony, lecz wiedziałam, że to po prostu kwestia statystycznego prawdopodobieństwa. Ponadto zdałam sobie sprawę, że mam dodatkowe wskazówki, na które dotąd nie zwróciłam uwagi: na pierwszym kole widniały dwie jednakowe litery mogące być zarówno łacińskim I, jak i grecką jotą (I). Podobnie na drugim kole: łacińskie N mogło być także greckim ny. W dodatku na czwartym kole miałam trzy łacińskie I albo greckie joty.

Ołówek był akurat w gestii grupy syriackiej, miałam zatem poczekać chwilę, aż Sabira weźmie go i poda mnie na czas dwa razy dłuższy niż innym. Wtedy na czystej części kartki zaczęłam szybko układać różne kombinacje liter.

Na początek należało założyć, że wszystkie litery (z wyjątkiem R) są greckie, tylko tak bowiem będę mogła wyodrębnić kod (pod warunkiem że faktycznie jest jakiś kod, że istnieje po grecku i że nawiązuje do miłosierdzia). Czyli pierwszą literą mogła być któraś z trzech z pierwszego koła: Π (pi), I (jota) albo M (my).

Jeśli zacząć od Π (pi), litery z drugiego koła tworzyłyby z nią zbitki: ΠN (pi-ny), ΠP (pi-rho) albo ΠA (pi-alfa). Dużo greckich słów zaczyna się od takich liter, toteż wszystkie pary mogły wchodzić w grę. Wzięłam pierwszą, ΠN , i dodałam do niej kolejne litery z trzeciego koła, otrzymując: $\Pi N\Omega$ (pi-ny-omega), ΠNB (pi-ny-beta) i ΠNN (pi-ny-ny). O ile wiedziałam, nie było greckiego słowa zaczynającego się od tych trzech liter, toteż tę zbitkę odrzuciłam. Niestety, pozbawiono mnie na trochę ołówka, kontynuowałam więc w myślach.

Teraz sięgnęłam po drugą parę z dwóch pierwszych kół: ΠP (pi-rho) i dodałam do niej litery z trzeciego. Łatwizna, ponieważ zbitki ΠPB (pi-rho-beta) i ΠPN (pi-rho-ny) nie istnieją w greckim, tak że została mi tylko $\Pi P\Omega$ (pi-rho-omega). Na czwartym kole zgodnie z zasadą „tylko greckie”, według której pracowałam, miałam trzy I (joty) i E (epsilon), uzyskałam więc tylko dwie kombinacje: $\Pi P\Omega I$ oraz $\Pi P\Omega E$, przy czym ta druga nic nie znaczyła, nie ma czegoś takiego w grece. Za to pierwsza owszem, coś mówiła. $\Pi P\Omega I$ znaczy „wcześnie” albo „szybko”. Nie widziałam tu żadnego związku z miłosierdziem, zapamiętałam jednak, że znalazłam pierwsze greckie słowo.

Pozostało mi ostatnią parę z dwóch pierwszych kół ΠA (pi-alfa) połączyć z literami z trzeciego i czwartego. Z sześciu zbitek tylko jedna miała sens: ΠANI (pi-alfa-ny-jota), czyli „materiał”. Ale i tutaj nie miałam żadnych skojarzeń z miłosierdziem. W każdym razie zapamiętałam to, by podzielić się z innymi ekipami, gdy będziemy relacjonowali, co kto odkrył. Kto wie...? Może ktoś

powiąże jednak coś miłosiernego z „wcześnie” czy „materiał”? Cóż, uporałam się z kombinacjami z pierwszą literą z pierwszego koła, czas spróbować z kolejną, a ponieważ zostały dwie joty (I) i my (M), wybrałam jotę, bo prawdopodobieństwo było dwa razy większe.

Miałam szczęście, że akurat ołówek był wolny, toteż poprosiłam o niego. I szybko, nie doszukując się na razie sensu w żadnym słowie, zaczęłam wypisywać wszelkie kombinacje, kreśląc strzałki od każdej litery. Od pierwszej joty wychodziły trzy strzałki, przy których napisałam: N (ny), P (rho) i A (alfa). Od nich biegły znowu po trzy strzałki, przy każdej po trzy litery z trzeciego koła: Ω (omega), B (beta) i N (ny) – w sumie dziewięć kombinacji. Tak samo zrobiłam z literami z czwartego koła, czyli z jotą (I) oraz epsilon (E). Osiemnaście czteroliterowych kombinacji. Na pewno któraś coś znaczy po grecku. W tej chwili jednak Sabira zażądała zwrotu ołówka, którego wielkim głosem domagały się ekipy syriacka i hebrajska, oskarżając mnie o nieuczciwość.

Niechętnie oddałam ołówek i kiedy krzykacze ucichli, wpatrzyłam się w rysunek i w swoją rozpiskę. I wtedy wyraźnie to zobaczyłam.

Było widoczne jak na dłoni, jasne jak słońce. Ciąg strzałek w jednej z osiemnastu kombinacji, konkretnie trzeci z kolei, sam z siebie rozjarzył się przed moimi oczami niczym dawna żarówka. Patrzyłam na kod do trzynastowiecznego bankomatu, w tym wypadku na symbol najwyższego aktu miłości i miłosierdzia w historii świata. Ebionici nie mogli znaleźć lepszego nie słowa (nie było to bowiem słowo), lecz akronimu, który dla wszystkich chrześcijan z każdej epoki i z każdego zakątka świata dobitniej by przedstawiał Boże miłosierdzie. Zobaczyłam to nie tylko po grecku, co by mi wystarczyło, lecz także po łacinie, a to dzięki literze R z trzeciego kamiennego koła.

Nic nie powiedziałam. W gardle mnie ścisnęło, do oczu napłynęły mi łzy, wzrok się zamglił, a mimo to wyraźnie widziałam cztery litery, które swego czasu zmieniły świat na zawsze.

Kod po grecku brzmiał INBI (Ἰησοῦς ὁ Ναζωραῖος ὁ Βασιλεὺς τῶν Ἰουδαίων), lecz jego bardziej znana na Zachodzie wersja to INRI, *Iesus Nazarenus Rex Iudaeorum*. Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski.

ROZDZIAŁ 35

– INRI? – wykrzyknął Faradz na cały głos, kiedy dyskretnie podsunęłam mu swoją kartkę i palcem wskazałam znany akronim, w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat umieszczany na niemal wszystkich krucyfiksach na świecie i na prawie wszystkich obrazach i rzeźbach przedstawiających Ukrzyżowanie.

Pozostali wzdrgnęli się i podnieśli głowy znad kartek, usiłując pojąć znaczenie okrzyku Faradza.

– INRI? – zawołała Abby, na poły zaskoczona, na poły zdumiona, jakby to do niej nie dotarło.

– INRI – potwierdziłam. – *Iesus Nazarenus Rex Iudaeorum*. Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski. Napis na titulusie, tabliczce przymocowanej do krzyża nad głową Jezusa. Na tych tabliczkach wypisywano przestępstwo, którego dopuścił się skazany, a w tym wypadku przestępstwem było obwołanie się królem Żydów. Było to coś potwornie ryzykownego w pierwszym wieku naszej ery w Judei okupowanej przez Cesarstwo Rzymskie, które miało po dziurki w nosie powstań żydowskich. Jeszcze tylko brakowało, żeby do Jerozolimy w samą Paschę przybył zbuntowany król i podburzył lud, a przypominam, że Jezus nie dość, że przybył do miasta, to jeszcze wywołał skandal, wypędzając przekupniów ze świątyni. Rzymianom więcej nie było trzeba.

– Ale Jezus nigdy nie powiedział, że jest królem Izraela czy Żydów – zauważył Kaspar. – Tak twierdzili kapłani z sanhedrynu, żeby Rzymianie go ukrzyżowali.

– Słuchajcie – włączył się Gilad ostrożnie – jeśli dobrze rozumiałem, Jezua głosił, że jest izraelskim Mesjaszem. A jak już mówiłem, był jednym z dwudziestu czterech domniemyanych mesjaszy, których Rzym ukrzyżował w pierwszym wieku, bo Rzymianie nie życzyli sobie królów żydowskich i z tych samych powodów, o których wspomniała Ottavia, nie życzyli sobie izraelskich mesjaszów.

Minęło zaledwie pięć czy sześć godzin, odkąd dotarliśmy do jaskini z kołami, a już rozwiązaliśmy zagadkę. Ogarnęła mnie wielka duma.

– Kaspar, pamiętasz, co ci powiedziałam? – zagadnęłam z odrobiną pychy. – Że to będzie najłatwiejsza próba, bo języki klasyczne to nasza specjalność.

Kiwnął głową.

– Ale nie możemy do końca rozwiązać zadania – powiedział.

– Dlaczego? – zdziwiła się Abby.

– Bo jest druga nad ranem i nie ruszymy do kolejnego Błogosławieństwa, dopóki nie odpoczniemy.

Miał słusność. Należało się przespać. Mnie jednak paliła w ręce kartka z rozwiązaniem.

Pragnęłam sprawdzić, czy się nie pomyliłam.

– Proponuję od razu wprowadzić kod – rzekłam – i nawet jeżeli drzwi się otworzą, spędzić tutaj noc.

Wniosek przyjęto jednomyślnie. Nikt nie wyraził odmiennego zdania, chociaż byłam pewna, że Kaspar, jako wieczny mąciwoda, stanowczo się sprzeciwi. Na szczęście trawiła go ciekawość taka sama jak innych. Wstaliśmy zatem i z dwiema zapalonymi latarkami podeszliśmy do czterech kamiennych kół.

– Proszę bardzo, Ottavio – zachęcił mnie był katon z tym swoim beznamiętnym uśmiechem.
– Obróć koła.

Z emocji drżały mi trochę ręce. Zbliżyłam się do koła po lewej i chwyciwszy je mocno jak kierownicę samochodu, obróciłam je tak, że u góry, pod znaczkiem wrytym w prostokącie, znalazła się litera I. Następnie zakręciłam drugim, ustawiając literę N. To samo zrobiłam z trzecim i czwartym kołem, tak że kod INRI był dobrze widoczny.

Czekaliśmy w milczeniu, nasłuchując. Spodziewaliśmy się lada chwila szmeru przesypującego się piasku i brzęczenia łańcuchów, które poruszają gigantyczny kamienny dysk zastawiający wyjście. Ale panowała cisza. Nie słyszeliśmy zupełnie nic. Nic się nie działo.

– Czyżbyśmy się pomylili? – spytała z lękiem w głosie Sabira.

Nie, nie, niemożliwe. Było to zbyt oczywiste, a mocno wątpiłam, żeby ebionici postawili na kod po grecku, którego używa się na krzyżach w Kościołach wschodnich.

– Wiem! – zawołałam z ulgą. – Pomyliłam litery greckie i łacińskie. Zapomniałam, że wyglądają tak samo i są wymieszane. Prawdopodobnie pierwsze I i grecką majuskułę joty. Przetawiam to koło.

Po paru minutach oczekiwania tym razem także nic się nie stało.

– Na pierwszym kole są dwa I – zaczął analizować Faradz, podszedłszy do mnie – na drugim dwa N, na trzecim jedno R i jakby tego było mało, trzy I na czwartym. Wszystkie powtarzające się litery wyglądają tak samo po grecku i po łacinie. To ewidentny podstęp.

– Trzeba wypróbować różne kombinacje – stwierdziłam markotnie. – Ustawić jedno I na pierwszym kole i zmieniać na innych, aż trafimy.

– Jest dwanaście możliwych kombinacji – obliczył szybko Kaspar. – Ja idę spać.

– Co ty gadasz? – oburzyłam się.

– Że idę spać! – odparł, kierując się do naszego ubożuchnego obozowiska. – Że to nie pora na bawienie się kołami. Że jutro też będzie dzień.

– Uważam, że... – zaczęłam, lecz Faradz nie pozwolił mi dokończyć.

– Ottavio, Kaspar ma rację. Jutro też będzie dzień.

No kurczę, a tak się cieszyłam!... Rozwiązałam zagadkę, lecz przekłęci ebionici zawziętością

i głupotą pozbawili mnie całej radości. Czemu nie zostawili jakiejś wskazówki, że należy rozróżnić majuskuły greckie od łacińskich? Na Boga, trzeba być kompletnym bałwanem i na dokładkę kompletnie bez pomysłu! Kod w kodzie, jak na złość.

Spanie z głową opartą o kawałek kapitelu dzwonoatego nie jest zalecane w żadnych okolicznościach: z milion razy przewracałam się z boku na bok, wierciłam się, aż parę razy obudziłam Faradza, w końcu zdecydowałam, że nie chcę kapitelu, tysiąc razy bardziej wolę gołą ziemię. Nie mogłam zrozumieć, jak w starożytności Chinki mogły spać z głową na kamiennej albo drewnianej podpórce, żeby nie zniszczyć kunsztownej fryzury. Nie pamiętam, kiedy wreszcie zasnęłam, a przebudziłam się z głową wygodnie ułożoną na piersi Faradza i powinszowałam sobie, że go mam (i że taka jestem sprytna nawet we śnie).

Przez całą noc śniły mi się smakowite potrawy, które spożywalismy albo przy stole u Simonsonów w Toronto, albo przy stoliku w jadalni naszego domu w Stambule. Nie pamiętam, żeby choć raz przyśnił mi się nasz dom w kampusie uniwersyteckim w Toronto. A jedzenie... pycha: mięsiwa, ryby, makarony, zieleń, słodycze... Wszystko smaczne i w obfitości. Sen był tak wyrazisty i realistyczny, że czułam smaki w ustach i domagałam się, by Faradz kosztował tych samych dań co ja, chociaż z uporem twierdził, że już się najadł i więcej nie zmieści.

Dlatego gdy się obudziłam oparta o niego, z lewą ręką zgiętą na jego brzuchu, czułam się taką dotkniętą jego odmową, że nie mogłam na niego patrzeć. Byłam naprawdę zła. A on cmoknął mnie w głowę.

– Cześć, najdroższa – szepnęła, nie wiedząc, że chętnie posłałabym go do wszystkich diabłów. Tyle dobrego, że jego pocałunek przywołał mnie do rzeczy wistości.

– Cześć, kochany – odszepnęłam, podnosząc głowę, by pocałować go w usta.

Tęskniłam za naszą intymnością. Tęskniłam za jego ciałem. Tylko jaką można mieć intymność, gdy człowiek przez całą dobę na okrągło, przez ileś dni z rzędu, przestaje z czworgiem obcych ludzi w trzewiach góry? A obcy byli nie dlatego, że nie należeli do naszej małej rodziny ani że ich nie znaleźliśmy. Obcy byli naprawdę, absolutnie. A przynajmniej troje. Wyglądało bowiem na to, że Gilad nie ma pojęcia, nie podejrzewa nawet, że obraca się w złym towarzystwie.

– Nie śpicie? – rozległ się niedaleko głos Kaspara, który nie czekając na odpowiedź, włączył swoją komórkę i latarkę. – Jest dziewiąta rano. Wstajemy!

Jakże tu zmierzyć się ze straszną rzeczy wistością i przystąpić do konsumpcji porostów po takim cudownym śnie? Tamtego ranka przekłeta manna nie chciała mi przejść przez gardło mimo wypitych litrów wody. Inni zjedli śniadanie ze smakiem (albo z rezygnacją), mój żołądek natomiast domagał się jedzenia, ale prawdziwego, takiego, jakie oglądałam we śnie.

– Abby, w razie gdybyśmy nie zdołali stąd wyjść... – odezwała się nagle.

Miła pogawędka przy śniadaniu naraz ucichła.

– To nie wchodzi w grę – uspokoiła mnie dziewczka.

– No tak, ale jeśli nie uda nam się wy dostać...

– Wy dostaniemy się – powiedział optymistycznie mój mąż.

– Ty mnie zapewniałeś – naskoczyłam na niego – że i wojsko izraelskie, i Fundacja Simonsonów zaczną nas szukać, jeśli nie wyjdziemy w ciągu kilku dni.

– Co do tego nie ma wątpliwości – pewnym głosem oświadczyła Abby. – Może nie w ciągu kilku dni, bo nie tak się umawialiśmy, ale...

– Aha! – wykrzyknęłam, celując w nią palcem Salinów. – Właśnie przyznałeś, że kiedy wchodziliśmy w korytarz w Meronie, wiedziałeś, że wyprawa może potrwać dłużej niż dzień, dłużej nawet niż tydzień, że tyle czasu tu spędzimy i nikt nie przyjdzie nam z pomocą!

– Ja też wiedziałem – przyznał się Kaspar. – Gilad i Sabira także zostali uprzedzeni.

– A nam nie pisnęliście ani słowa? – zdumiał się Faradž.

– Z powodu Ottavii – przepraszącym tonem rzekł Głaz. – Gdyby wiedziała, za nic w świecie by nie poszła.

– Oczywiście! – oburzyłam się.

– Ale nie okłamaliśmy was w żadnej chwili – tłumaczył się przed moim mężem ten podlec byłby katon. – Po prostu nie powiedzieliśmy wszystkiego. Ja zaproponowałem Abby, żeby wam nic nie mówić. Wiedziałem, że ty będziesz chciał iść, tyle że koniecznie z Ottavią, która by się zaparła i boczyła, a nie mieliśmy trzech miesięcy na przekonywanie jej.

– Głupi jesteś, Kaspar!

Nie, nie, nie ja to powiedziałam, choć tak pomyślałam. Na głos wyraził to Faradž.

– Jesteś głupi jak but! – ofuknął go powtórnie mój mąż. – Ottavia by poszła. Wystarczyło jej tylko wytłumaczyć co i jak, zapewnić ją, że będziemy bezpieczni, i zadbać o jej ufność. Tylko tyle! Ale wyście woleli nas oszukać.

– Bardzo przepraszam – powiedział Głaz z dziwną szczerością w głosie.

– Nie przyjmuję twoich przeprosin! – Faradž naprawdę się wściekł. – Zachowałeś się jak kretyn, a tego nie da się załatwić przeprosinami – zakończył, wstał i ruszył z latarką w kierunku kamiennych kół.

Ja również się podniosłam i podążyłam za nim ze swoją kartką. O dziwo, Gilad i Sabira poszli razem z nami, zostawiając Kaspara i Abby w obozowisku przy źródle. Jednakże Abby długo tam nie wytrzymała. Kątem oka zobaczyłam, że pocałowała Kaspara w usta, wstała i podeszła do mnie.

– Wybacz mi, Ottavio – poprosiła pokornie. – Naprawdę bardzo mi przykro.

– Wiesz, Abby, nie tak się załatwia takie sprawy – odparłam, nie patrząc na nią.

– Wiem, dlatego przepraszam. Faradża też najmocniej przepraszam. Żałuję, że tak się stało. To się więcej nie powtórzy.

– Tak się dzieje, kiedy przestajesz w złym towarzystwie. – W odróżnieniu od Faradża miękkam, gdy mnie przepraszano. – Zerwij z tym durniem, a wyjdzie ci to na dobre, zobaczysz.

Uśmiechnęła się uradowana, widząc, że żartuję. Zdążyłyśmy się poznać.

– W porządku, nie zerwę z tym durniem – odparła – ale będę go krótko trzymać.

– To może być za mało – ostrzegłam ją. – A swoją drogą, skąd wiedzieliście, że może nam zejść tak długo?

– Wiesz, prawdopodobieństwo było duże – odparła głosem świadczącym o poczuciu winy. – Skoro ebionitom zajęło dwadzieścia lat przygotowanie pewnego miejsca ukrycia ossuariów, a przez tysiąclecia w różnych kulturach grobowce ważnych osób miały pułapki przed rabusiami, naiwnością było sądzić, że znajdziemy ossuarium w grobowcu Hillela.

– Ottavio! – zawołał Faradz stojący przy kołach.

Zostawiłam Abby i przesłam między Sabirą i Giladem, by stanąć u boku męża, który był w pieśkim humorze.

– Chodź, zacznij wypróbować te kombinacje! – rzucił ostro.

Nie przejęłam się tym. Przyjacieli mocno go zranił.

Obracając koła, wprowadziłam kod INRI dwanaście razy, licząc, że w końcu któraś kombinacja okaże się właściwa, złożona z samych łacińskich liter, i mechanizm zostanie uruchomiony. Niestety, próżne nadzieje. Czegoś jeszcze brakowało, choć kod niewątpliwie był dobry. Byłam stuprocentowo pewna, że akronim INRI jest właściwy, ponieważ nic innego nie wyraża lepiej miłosierdzia Jezusa dla rodzaju ludzkiego, poświęcenia przez Niego własnego życia, abyśmy otrzymali Jego przesłanie, i współczucia. Być może maszyna zbudowana przez ebionitów w XIII wieku uległa uszkodzeniu i nie reagowała na wprowadzony poprawny kod. Faradz w każdym razie uparł się, by powtórzyć całą operację z INBI, grecką wersją INRI. Szczęśliwie na trzecim kole była tylko jedna beta, tak jak było tylko jedno łacińskie R, toteż kombinacje liter były analogiczne.

Ustawiałam właśnie pierwszy grecki klucz, kiedy Gilad odciągnął mnie za rękę.

– Daj spokój, Ottavio – rzekł ze smutkiem. – Kod nie jest po grecku.

– Skąd wiesz? – spytał Faradz, ciągle jeszcze zły.

– Bo jestem Żydem i przez całe życie codziennie mówię i piszę po hebrajsku.

– Uważasz, że kodem jest hebrajska wersja INRI? – zdziwiłam się.

– Ebionici byli Żydami, prawda? – odparł pytaniem. – W dodatku Żydami, którzy przestrzegali nauk Tory, a równocześnie szli za Jezusą, tak? Nie zauważyłaś może, ale w trakcie prób często mieliśmy do czynienia z wymieszany mi elementami judaizmu i chrześcijaństwa.

– Zasadniczo tekst na titulusie – skomentował Faradż w zamyśleniu i już nie tak bardzo zły – napisano w trzech dominujących językach tamtej epoki: po łacinie dla Rzymian, po grecku, bo to był język międzynarodowy, i po hebrajsku, bo rzecz działa się w Judei. Tak przynajmniej podaje jeden z ewangelistów, nie pamiętam który.

– Jan – wtrąciłam szybko. – Tylko Jan o tym pisze³⁹, pozostali, łącznie z Mateuszem, wspominają tylko, że na titulusie widniał napis „Jezus Nazarejczyk Król Żydowski”, ale nie podają, w jakim języku.

– A czy ten wasz Jan nie mówi – zagadnął Gilad z grobową miną – że kapłani z sanhedrynu i wykształceni Izraelici złościli się, kiedy czytali napis na titulusie?

O czym on mówi, do licha? Żydzi mieliby się gniewać, czytając na titulusie przestępstwo, za które skazano Jezusa na śmierć przez ukrzyżowanie? Pytanie to i ponura mina na błyszczącej twarzy Gilada kazały mi się zastanowić, czy aby ten człowiek nie jest czymś bardzo rozgoryczony.

– Nie pamiętam – przyznał Faradż.

– Mnie się zdaje, że tak – powiedziałam, wysilając pamięć. – Zdaje się, że faktycznie było coś z kapłanami. Chyba prosili Piłata, rzymskiego prefekta Judei, który skazał Jezusa, żeby zmienił tekst na titulusie. Ale to była głupota. Chcieli, by zamiast „Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski” napis brzmiał: „Jestem Królem Żydowskim”.

Gilad pokiwał głową, jakby dopiero teraz lepiej poczuł i zrozumiał, co właściwie się wydarzyło podczas Ukrzyżowania.

– O co chodzi, Gilad? – zapytała Sabira równie przejęta jak my.

– No więc gdyby Piłat zmienił tekst na titulusie – odparł ze smutnym uśmiechem – sanhedryn poczułby się dużo mniej urażony, bo po przetłumaczeniu na hebrajski akronim byłby inny.

– Słowo daję, Gilad, że nic z tego nie rozumiem – wytknął mu mój mąż, który nie miał dobrego dnia. – Możesz jaśniej?

Kaspar z oddalenia śledził rozmowę, nie podchodził, lecz nie tracił ani słowa. Abby stała koło Faradża, którego zdążyła już po cichu przeprosić.

Gilad spokojnie podszedł do koła – tyle że nie do pierwszego, lecz do ostatniego, które zaczął tak obracać, jakby walczył ze sobą i robił to wbrew własnej woli. I wtedy przypomniałam sobie, że przecież po hebrajsku pisze się z prawa na lewo, on zatem zaczął na tam, gdzie myśmy kończyli. Hebrajska litera znalazła się na górze.

– Litera jod – powiedział Faradż.

Gilad zrobił krok w lewo i obrócił trzecie koło.

– Litera hej – rzekł Faradż.

Teraz Gilad stanął przed drugim kołem i po chwili trzecia litera znalazła się na swoim miejscu.

– Litera waw. – W głosie mojego męża brzmiała teraz niepewność, stropienie.

Wreszcie Gilad znalazł się przed pierwszym kołem i chwycił je mocno oburącz, ale go nie przekręcił. Powstrzymała go niewidzialna siła.

– Jeśli ty tego nie zrobisz, wyręczę cię – zagroził mu Faradz, najwyraźniej już wiedząc, którą literę należy ustawić w górze.

Abby zmieniła się na twarzy, minę teraz miała zdumioną, niedowierzającą. Nawet Kaspar nie wytrzymał – już nie trzymał się na uboczu, odkryłam naraz, że podniósł się i stoi obok mnie, patrząc oniemiały.

– *Jesza ha-nocri w-melech ha-jehudim* – wyszeptła Abby z taką czcią, jakby się modliła.

– Co powiedziałaś? – zapytałam.

Równocześnie Faradz podszedł do Gilada i odsunął go na bok, po czym chwycił pierwsze koło. Gilad stanął z boku.

– Powiedziałam po hebrajsku – odparła Abby, nie odrywając oczu od rąk Faradza – „Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski”. To samo co INRI po łacinie.

Faradz zdecydowanie przekręcił pierwsze koło z ostatnią literą hebrajską i kiedy wreszcie odwrócił się do nas, rzekł:

– Litera hej.

Patrzyliśmy na akronim zdania, które wygłosiła Abby: *Jesza ha-nocri w-melech ha-jehudim*. Zapisany po hebrajsku wyglądał tak

Nie mogłam jednak pojąć, dlaczego ten akronim, po hebrajsku znaczący to samo co INRI, tak bardzo poruszył Gilada, Faradza, Abby, a nawet Kaspara, którego twarz, zawsze kamienna i niewzruszona, wyrażała teraz głęboką cześć – takiej miny u niego nigdy nie widziałam.

Zaskoczył mnie szmer przesypującego się piasku i metaliczne brzęczenie łańcuchów mechanizmu skonstruowanego przez ebionitów w kamiennych ścianach jaskini. Nie spodziewałam się tego. Kod hebrajski był poprawny, czego dowodził ociężały, leniwy obrót ogromnego kamiennego dysku, który zastawiał prostokątne przejście do następnego Błogosławieństwa. Dźwięki potęgowały, po chwili przyłączył się do nich zgrzyt ocierających się o siebie skał.

– Czy ktoś może mi powiedzieć – wrzasnęłam, aby przekrzywić ten hałas – jaki jest problem z hebrajskim akronimem?

– Możesz go przeczytać, tak jak czytasz INRI czy INBI? – huknął mi do ucha Kaspar gromkim głosem.

Pokręciłam głową.

– To się czyta YHWH. JAHWE.

Zaskoczona obejrzałam się na niego. Twierdził, że INRI po hebrajsku czyta się JAHWE, tak jak imię żydowskiego Boga, którego nie wolno wymawiać ani pisać? Naprawdę mówił, że hebrajski akronim słów „Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski” to Jahwe? Na Boga!...

Wciąż jeszcze pod wrażeniem tego, cośmy odkryli, podnieśliśmy tobołki z manną i latarki i w milczeniu przekroczyliśmy przejście prowadzące do kolejnej próby.

Ponownie znaleźliśmy się na schodach, które biegły sklepionym korytarzem, ledwie zauważalnie skręcając na lewo. Tym razem także szliśmy nimi niedługo, ledwie dziesięć minut, chociaż były bardziej strome niż poprzednie. Kiedy dotarliśmy do kolejnej jaskini, Kaspar obliczył, że jesteśmy jakieś pięćdziesiąt metrów nad jaskinią z porostami, ponieważ jego zdaniem dwoje ostatnich schodów skręcało o trzysta sześćdziesiąt stopni, znajdowaliśmy się zatem w tym samym pionie, aczkolwiek wyżej i bliżej szczytu Meronu.

Tutaj również po lewej tryskało źródło z czystą wodą, a ziemię pokrywały odłamki kamiennych trzonów, cokołów i ornamentów smukłych kolumn w stylu egipskim z dzwonowatymi kapitelami. Ale w tym miejscu oprócz zrujnowanych kolumn ujrzelśmy też pozostałości furmanek czy wózków, które wyglądały na dawne pojazdy służące do przewozu towarów, o czym świadczyły masywne, ciężkie koła wykonane z jednego grubego kawałka drewna i porzucane na ziemi resztki drabiniastych burt.

– Kurde, jak dotarły tutaj wozy? – warknął Głaz, który miał jeszcze gorszy humor niż Faradz (co nie powinno dziwić).

Obaj nawzajem się unikali, odpychali wręcz niczym dwa jednoimienne końce magnesu. Oczywiście ani myślałam wkraczać między nich w charakterze rozjemcy, choćby i miało to zakończyć urazy.

– A po co ci to wiedzieć? – zagadnęła Abby, kierując się do źródła. – Jakos je wykorzystamy. Do spania albo do rozpalenia ogniska. Wy luzuj.

– Ottavio – zwrócił się do mnie mąż – możesz przy pomnieć Błogosławieństwo, z którym teraz mamy do czynienia?

– „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą” – wyrecytowałam, również podchodząc do źródła.

Z daleka, jakby z drugiej strony góry, dobiegł nas dziwny hałas, coś jak stłumiony ryk, na który nie zwróciłam większej uwagi.

– Czystego serca... – powtórzył Gilad w zamyśleniu i obojętnym wzrokiem obrzuciwszy całą jaskinię, westchnął. – Nie widzę tu nic, co mogłoby nam oczyścić serca.

– Mojego nie tykajcie – ostrzegłam, nabierając wody w stuloną dłoń. – Ja mam serce czyściutkie, więc lepiej mi nie otwierajcie klatki piersiowej.

– Ha, czyli mamy szóste Błogosławieństwo – wesoło rzuciła Abby. – Poradziliśmy sobie

z pięcioma i jeśli poradzimy sobie jeszcze z tym, zobaczymy Boga.

Sabira się zaśmiała.

– Ja tam nie robię sobie złudzeń – rzekła rozbawiona. – Cieszyłabym się, gdyby „oglądanie Boga” nie znaczyło, że umrzemy.

Gilad, Abby i Faradž wybuchnęli śmiechem. Wcale mi się to nie podobało. A jeśli faktycznie właśnie to znaczy?

– Nie, nie. Tu jest mowa o tym – zaczął tłumaczyć mój mąż – że jeśli jesteśmy ludźmi czystego serca, zobaczymy Boga.

– Co oznacza – stwierdziłam – że jeśli poradzimy sobie z próbą, umrzemy. Tylko w ten sposób można zobaczyć Boga.

– Chyba że będziemy mieli możliwość zobaczenia Go – odparł Faradž ateista, niewierzący – kiedy umrzemy ze starości, a pewnie teraz jej nie mamy, bo nie jesteśmy czystego serca.

– Nie widzę żadnego zagrożenia w tej jaskini – powiedziałam.

– Fakt, mnie też jakoś nic nie wpadło w oko – zgodził się ze mną Gilad.

– Nie zauważyliście, że wyjście jest otwarte? – spytała Sabira.

Jak jeden mąż obróciliśmy się, szukając wzrokiem wyjścia naprzeciwko korytarza, którym przyszliśmy tutaj. Rzeczywiście otworu w skale tym razem nie zastawiał kamienny dysk. W świetle dwóch zapalonych latarek widać było pierwsze stopnie kolejnych schodów prowadzących w górę. Co tu się wyrabia?

– Trzeba iść dalej – odezwał się mój mąż. – Wygląda na to, że jeszcze nie dotarliśmy do celu.

Podnieśliśmy tobołki z mianą, napiliśmy się wody na zapas i ruszyliśmy znowu po stopniach w górę. Te schody były takie jak wcześniejsze – krótkie, w korytarzu i lekko skręcające w lewo. O dziwo, im wyżej szliśmy, tym głośniejszy stawał się hałas, który słyszałam wcześniej, gdy zaspokajałam pragnienie, równocześnie uderzały w nas fale gorącego powietrza, a w tunelu pojawiło się rozproszone, drżące, niebieskawe światło.

– To ogień – stwierdził Faradž, który szedł pierwszy.

Kryłam się za nim, by uniknąć gorących podmuchów.

– Dalej chyba nie bardzo pójdziemy – powiedziała Sabira, osłaniając ręką twarz.

– Ja pójdę – oznajmił były katon.

Jako grzesznik pokutujący za przewiny szedł na końcu ignorowany przez wszystkich z wyjątkiem Abby. A propozycja, że pójdzie dalej, była sposobem na odpokutowanie grzechu. Chciał się poświęcić dla grupy, zostać bohaterem, przez co my niejako stalibyśmy się jego dłużnikami.

– Poparzył się – przeraziła się Abby, biorąc go za rękę.

– Nie – odparł. – Osłonię twarz tobołkiem z porostami i dojdę, jak daleko dam radę.

Usunęliśmy się na bok, aby go przepuścić. Kiedy mijał Faradża, obaj tak mocno przywarli do skały, aby się nie dotknąć, że pewnie rozprasowali sobie wszelkie wypukłości ciała.

Były katon nie musiał iść daleko – zaraz dotarł do kolejnej jaskini. Swoim potężnym cielskiem zatamował dopływ gorącego powietrza.

– Możecie przyjąć! – krzyknął. – W tej jaskini musimy się oczyścić!

Szybko doszliśmy tam, gdzie Kaspar czekał, tobołkiem z porostami osłaniając sobie twarz i pierś, i to, cośmy zobaczyli, dosłownie nas... chciałem powiedzieć: zmroziło, lecz to absolutnie nieodpowiednie określenie; raczej nas spiekło i rozpaliło.

Wejście tym razem było trzy razy większe niż w innych jaskiniach, toteż mogliśmy zobaczyć, że komora nie jest okrągła i kopulasta. Dużo bardziej przypominała kwadratową grootę, w której znajdował się prawdziwy grób Hillela Starszego, tyle że nie była idealnym sześcianem, lecz długim na jakieś pięćnaście metrów prostopadłością. Można by ją określić mianem ścieżki śmierci: z niezbyt wysokiego sklepienia spadał deszcz płomieni, który zaczynał się parę kroków przed nami i kończył przed wyjściem po drugiej stronie komory. Deszcz płomieni był w rzeczywistości nieustającymi wybuchami ognia krótkotrwałego, które dobywały się z niezliczonych otworów w sklepieniu. Miały różne kolory, od ciemnoniebieskiego po błękitny, od pomarańczowego po żółty. Nie było jednak żadnej luk, którą można by przejść, nie narażając się na oparzenia. Czarne ślady na kamiennym podłożu świadczyły o tym aż nadto jasno. Jeśli chciałeś dotrzeć na drugi koniec komory, musiałeś po drodze zostawić część skóry i spalonego ciała. Żaden człowieknie dałby rady przejść przez to ryczące piekło rzekomo oczyszczające.

– Zawracamy! – krzyknęła Abby. – Nie przejdziemy tędy.

Nie musiała powtarzać tego dwa razy. Niczym dusze porwane przez diabła rzuciliśmy się pędem do dolnej jaskini, przeskakując po dwa, a nawet trzy stopnie, rękami podpierając się o ściany korytarza, aby nie upaść. I tak objaliśmy się o skałę, aż w końcu wróciliśmy do jaskini pełnej gruzu z kolumn i kawałków drewna.

Opadliśmy na ziemię przy źródle, ciężko dysząc bardziej ze strachu niż z powodu szaleńczej ucieczki. Jeżeli oczyszczenie serc oznaczało przebycie tego piekła, ja się pisałam na bilet wyjścia z Meronu, bo ani myślałam tam się zapuszczać.

– Do diabła, skąd się bierze ten ogień? – warknął Głaz, podstawiając głowę pod strumyk zimnej wody.

– Z tego samego miejsca, z którego się bierze wszystko w tej górze – odparł Gilad. – To skutek właściwości sejsmicznych terytorium Izraela. Złoża gazu są rozrzucone po całym kraju, po całym Bliskim Wschodzie.

– To płonie gaz ze złoża? – zdumiałam się. – Taki sam gaz, jakiego używa się w domu do grzania wody czy gotowania?

Gilad z uśmiechem kiwnął głową.

– Taki sam. Nie widziałeś koloru płomieni? Niebieski to barwa płonącego naturalnego gazu, pomarańczowy też, kiedy ma domieszkę tlenu węgla. Właściwie nie wiem, czy tlenu, czy dwutlenku. Chyba jednak dwutlenku... W każdym razie to trujący gaz.

Nie będę powtarzała stęku przekleństw, które wyszły z ust byłego katona, kiedy na nasz już nadwątlony stan ducha zwałił się stupudowy ciężar.

– Bądźmy praktyczni – rzekł Faradž, na którego zarośniętej twarzy dostrzegłam przeblysł natchnienia. – To próba wymyślona przez ebionitów. Czyli do przejścia.

– Och, proszę cię! – obruszył się były katon. – Przecież to niemożliwe! Nie widziałeś? Doprowadzili gaz ze złoża na wysokość ponad siedmuset metrów, żeby zmaistrować krematorium, które działa od ośmuset lat!

Faradž go zignorował.

– Ogień ma właściwości oczyszczające prawie we wszystkich kulturach – ciągnął, oparłszy łokieć o moje kolano. – Logiczne, że oczyszczenie serca wymaga przejścia przez ogień. Do pewnego stopnia.

– Jak? – zapytała Sabira, która siedziała objęta ramionami niczym rozbitek tulący do siebie koło ratunkowe. – Jak mamy przejść przez ten ogień? To jakieś piętnaście metrów. Spalimy się.

– Powinniśmy zjeść – orzekła Abby. – Już prawie południe. Może przy jedzeniu wymyślimy, jak rozwiązać ten problem. Ja zgadzam się z Faradžem, że musi istnieć rozwiązanie, inaczej nie byłaby to próba Błogosławieństwa. Trzeba się tylko uspokoić i zacząć myśleć.

Kawałki porostów z tobołka Kaspara były ciepłe. Cudem jakimś nie spłonęły, przeciwnie, nabrały lepszego smaku, były słodsze i o przyjemniejszej konsystencji. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, co stwierdziliśmy wszyscy, jedynie z tobołka Kaspara. Suche, zimne porosty z innych tobołków wcale nam nie smakowały.

Po jedzeniu niektórzy położyli się na ziemi z głową opartą o kawałek drewna (nie tak twardego jak łamienne kapitele), inni (w tym ja) zaczęli w milczeniu kręcić się po jaskini, z ciekawością i smutkiem oglądając pozostałości kolumn w stylu egipskim i dziwnych zniszczonych wozów, które nie wiadomo jak tu trafiły i po co były potrzebne ebionitom. Jaki ładunek mogły przywieźć do wnętrza Meronu? Jedno poza tym było jasne: zważywszy na rozstaw osi, nie mieściły się na schodach, których myśmy używali. Niemniej z jakiegoś powodu pozostawiono je właśnie tutaj, w tej jaskini, jakby na znak, że w tym miejscu zakończyła się ich droga. Dlaczego? W głowie kłębiły mi się myśli związane z tymi absurdalnymi pytaniami, na które nigdy nie otrzymam odpowiedzi.

Sabira usiadła na ziemi i zaczęła szkicować rumowisko, kryjąc się we własnym świetle i duchem odlatując daleko od nas. Pozazdrościłam jej talentu graficznego. Ja umiałam tylko

narysować uśmiechnięte buźki, a i te nigdy mi dobrze nie wychodziły.

Faradz i Gilad wdali się w dyskusję na temat kształtu i sposobu wykonania wozów. Zgadza się ze sobą, że wykazują znaczne podobieństwa do rzymskich czterokołowych *raeda* ciągniętych przez woły lub muły i używanych w handlu lokalnym, ponieważ nie nadawały się do dalszych tras. Ich koła, wykonane z litego drewna ciętego w poprzek z jednego pnia drzewa, dobrze się sprawowały na błotnistych drogach gruntowych, a także na brukowanych rzymskich traktach, nie radziły sobie natomiast w szczyrym polu, na wądołach usianych kamieniami. Ponadto osadzone były na osiach, które obracały się wraz z nimi, toteż szybko się zużywały i należało je często wymieniać.

Śluchając tego wszystkiego, podniosłam z ziemi jedno takie zakurzone koło, bez szprych, w kształcie dysku, o średnicy około osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu centymetrów, z otworem na oś pośrodku. Przeszło mi przez myśl, że bardzo przypomina tamte wielkie kamienne dyski, które zastawiały przejścia i których kilka już widzieliśmy we wnętrzu tej góry – zawsze otwierały się przed nami, zmuszając nas do marszu naprzód w kierunku, którego życzyli sobie ebionici, albo zamykały się za nami, nie pozwalając nam na odwrót i czyniąc nas więźniami prób Błogosławieństw. W gruncie rzeczy zasada działania była taka sama za każdym razem: kamienne kręgi, koła, dyski... Może te koła również są wyjściem, pomyślałam naraz, a może kluczem do wyjścia? Serce zabiło mi szybciej. No jasne! Bo i po co ebionici zostawiliby je tutaj? Nie było przecież wozów, były jedynie koła, jak zawsze.

Poderwałam się na nogi.

– Faradz! – zawołałam, kiwając na niego, by przyszedł. – Gilad, ty też!

Zostawili erudycyjną dyskusję na temat historii wozów na przestrzeni wieków i podeszli do mnie schylonej nad kołem.

– Co tu widzicie? – zapytałam z uśmiechem.

– Koło – odparł mój mąż stropiony. – Jedno z kół od wozów zostawionych w tej jaskini.

– Otóż mylisz się – oświadczyłam bardzo zadowolona, stawiając koło, aby on je przytrzymał, dzięki czemu mogłam się wyprostować i otrząść ręce o spodnie. – To nie jest koło.

– Nie? – zdumiał się Gilad, dziwnie na mnie patrząc.

Ale Faradz się uśmiechnął.

– A co to jest, basileja? – zapytał.

Postawione koło sięgało Faradzowi zaledwie do bioder.

– Parasol – wyjaśniłam. – Tylko że chroniący przed ogniem.

Potrzebowali kilku sekund, by chwycić myśl.

– Genialne! – zawołał Gilad z uśmiechem od ucha do ucha.

– Musimy sprawdzić, ile jest tych kół – ciągnęłam – i znaleźć kołki, które da się osadzić

w otworach na osie. Zrobimy sobie parasole.

– Jeśli zdołamy je utrzymać nad sobą pod samym sklepieniem – podsunął mój mąż – zablokujemy ogień i uda nam się przejść.

– A jeśli wszyscy wraz to zrobimy – podchwycił Gilad entuzjastycznie – będziemy mieli praktycznie drogę wolną.

– Pierwszy będzie musiał dodatkowo nieść taki parasol przed sobą, żeby się osłonić przed gorącym powietrzem. Ostatni też, żeby osłaniać sobie plecy – oznajmiłam.

Zwołaliśmy całą ekipę, by przedstawić ten pomysł, i Sabira powiedziała, że widziała resztki trzech czterokołowych wozów, z tego trzy koła są połamane, a dziewięć w stanie znakomitym. Szczęśliwie niemal wszystkie były osadzone po dwa na osiach, które wystarczyło przepołowić, by otrzymać „parasole”. Pojawił się niestety pewien problem: nie mieliśmy narzędzi, by przeciąć osie.

– Coś tam mamy – rzekł Kaspar, który z każdą mijającą godziną czuł się bardziej nieswojo w grupie. – Dwa krzemienne ostrza, które zabrała Sabira, i ostre kawałki kapiteli. Możemy zrobić głębsze nacięcia na osiach i potem jakoś je przełamać.

– Nie powinniśmy przecinać osi w połowie – wtrąciłam. – Nie każdy jest wysoki. Sabira i ja nie osiągniemy parasolami sklepienia, jeśli osie będą przepołowione równo, za to Faradz i Kaspar, którzy mają blisko dwa metry wzrostu, będą mieli za długie uchwyty. Lepiej długość dopasowywać do każdego indywidualnie.

Jakuradzono, tak zrobiliśmy. Wzięliśmy się do dzieła i zaczęliśmy od przytасzczania dziewięciu kół w dobrym stanie w pobliże źródła. Najpierw zabraliśmy się za piłowanie osi, na której osadzone było jedno koło dobre i jedno połamane, żeby się go pozbyć. Krzemienym ostrzem nacięliśmy oś niemal przy samym uszkodzonym kole, potem pogłęбилиśmy karb ostrym ułamkiem kapitelu, który choć nie był zbyt wytrzymały, bo wykonano go z wapienia, to jednak całkiem dobrze sobie radził z wysuszonym drewnem. Następnie – ponieważ nie mogliśmy skłakać z powodu szwów na stopach – Kaspar usiadł na osi, by złamać ją swoim ciężarem. I zadziało. Drewniany kolek pękł w miejscu nacięcia. Kaspar bez wysiłku podniósł nad sobą koło na drągu.

– Proszę, Ottavio – powiedział potulnie, wręczając mi drewniany parasol na długim kiju. – Tym bez problemu osiągniesz sklepienia. I wybac mi tamto kłamstwo, żebyś poszła z nami. Faradz miał słuszność. Powiniem był ci zaufać.

Dosłownie mnie sparaliżowało. Abby stojąca za Kasparem zrobiła błagalną minę. Faradz z powagą niespiesznie kiwnął głową, zachęcając mnie, abym przyjęła przeprosiny. A ja przecież, jak już wspominałam, nie potrafię chować urazy, mając do czynienia ze szczerą skrucą. Rzecz w tym, że trafiła mi się niewiarygodna okazja i nie mogłam jej zmarnować.

– Pod jednym warunkiem – oświadczyłam poważnie. – Że będziesz robił wszystko, czego

zażądam, póki stąd nie wyjdziemy. Albo nic z tego.

Kamienne oblicze byłego katonu spurpurowiało. Widziałam, że z trudem powstrzymuje chęć, aby mi przyłożyć trzymanym w rękach parasolem. A prawda była taka, że nie zamierzałam zrobić z niego swojego niewolnika ani nic w tym stylu, tyle że z facetem jego pokroju zawsze lepiej mieć asa w rękawie.

Zapadła w jaskini ciszę można było ciąć krzemienym ostrzem. Abby z żalem zwiesiła głowę, Faradz wznosił oczy do nieba z rozpaczą na twarzy, a Sabira i Gilad zastygli w takim bezruchu, że stali się prawie niewidoczni. Były katon zaś skrzywił się jak ktoś, kto właśnie mocno oberwał i nie chce okazać bólu.

Uśmiechnęłam się. Teraz byłam usatysfakcjonowana z nawiązką.

– No, zgódź się – ponagliłam. – Powinieneś być mi zaufać, jak powiedziałeś. Nie będę zbyt wymagającą tyranką.

Mój uśmiech wszystkich uspokoił, a szczególnie Głaza, który odgadł, że już mu wybaczyłam. Na twarz wróciły mu normalne kolory, przestał się też krzywić jak na mękach.

– W porządku – odparł. – Przyjmuję warunek

– No to załatwione – powiedziałam z uśmiechem. – Daj ten parasol.

– Naprawdę mu wybaczyłaś? – upewniła się Abby, nie dowierzając.

– Jasne! I zaraz wydam mu pierwszy rozkaz.

Kaspar cofnął się o krok

– Masz się pogodzić z Faradzem – poleciłam.

Mój mąż już zaczął kręcić głową, ale nie zważałam na to.

– Załatw to z nim – ponagliłam byłego katoną. – Mam dość waszych humorów. Chyba już dość duzi z was chłopcy, nie sądzicie?

– Jeśli wszyscy pozwolą – zaproponowała Abby jak zwykle dyplomatyczna – zajmiemy się teraz tymi kołami. Polecenie Ottavii zostanie wykonane w swoim czasie, ale teraz mamy zajęcie. Roboty huk

Okazało się, że nie damy rady uporać się z dziewięcioma parasolami – przyszała pora kolacji, a nam do kompletu brakowało jeszcze dwóch, toteż nie pozostało nic innego, jak resztę zostawić na następny dzień. Byliśmy wykończeni, należało więc pojeść sobie na kolację i wyspać się porządnie, by nabrać sił. Pamiętam, że tuż przed zaśnięciem, gdy leżałam oparta o Faradza, pomyślałam, że jeśli nazajutrz zdołamy przejść przez ogień, który teoretycznie ma nam oczyścić serca, pozostaną nam jedynie dwa Błogosławieństwa. Tylko dwa. Ta świadomość tak mnie ucieszyła, że usnęłam z uśmiechem na ustach. No dobrze, ucieszyła mnie ta świadomość oraz to, że mój niewolnik co do joty wypełnił polecenie. W pewnym momencie te dwa głupole, głupol numer jeden i głupol numer dwa, pogodziły się nareszcie, na dowód objąwszy się serdecznie

i wyściskawszy z poklepywaniem po plecach ku wielkiej satysfakcji i uldze reszty ekipy.

Następnego ranka po śniadaniu złożonym z wody i porostów podgrzanych przy wejściu do komory z ogniem (Gilad zrobił to na ochotnika) wzięliśmy się do wyszykowania brakujących parasoli i około jedenastej byliśmy gotowi wkroczyć do pieca. Plan sprowadzał się do utworzenia osłony z kół nad nami, tak by płomień w ogóle się zatrzymały albo spadały na koła i rozpryskiwały się na boki, dzięki czemu powinniśmy cali i zdrowi przebyć te piętnaście metrów na drugą stronę komory.

Przez te parasole z wielkim trudem pokonaliśmy schody, w końcu jednak przysła pora ustawić się w odpowiednim szyku. Kaspar, jako najwyższy i najpotężniejszy, ruszył pierwszy z dwoma parasolami, jednym nad głową i drugim przed sobą w charakterze tarczy, by na ile się da zapewnić sobie osłonę przed gorącym powietrzem. Za nim szła Sabira, która tak jak ja dźwigała jeden z dwóch pozostałych tobołków z porostami. Za Sabirą była Abby, następnie ja, potem Gilad, a pochód zamykał Faradz także z dwoma parasolami, jednym w górze i drugim osłaniającym tyły.

Obydwie z Sabirą przytroczyłyśmy sobie tobołki z porostami do paska u spodni w taki sposób, by nie przeszkadzały nam podczas marszu, a parasole niosłyśmy oburącz na odpowiedniej wysokości. Jeśli zdołamy wszystkie utrzymać tuż pod sklepieniem, blokując nimi płomień, i iść gęsiego w niewielkiej odległości od siebie, znacznie zmaleje niebezpieczeństwo, że się usmażymy.

Spostrzegłam, że pocą mi się dłonie, i to nie tylko z gorąca. Przejście przez tę komorę było najstraszniejszym doświadczeniem od czasu ruchomych piasków i wcale mi się nie uśmiechało upieczenie się w sosie własnym albo rozległe oparzenia. Byłam naprawdę tak wystraszona, że zaczęłam się modlić. Szukałam pociechy i sił w Bogu, w tym nowym Bogu, którego poznawałam stopniowo dzień po dniu, prosiłam nawet o pomoc swoją matkę – jeśli widziała wszystko z nieba, dopiero teraz mogła się mniej więcej zorientować, jak dziwne życie wiedzie jej córka Ottavia, dla której pragnęła na zawsze życia zakonnego.

Kaspar wydał rozkaz wymarszu i pierwszy wkroczył na tę przeklętą ścieżkę ognia. I coś się stało, choć w tamtej chwili nie wiedziałam co, w każdym razie Kaspar jak oszalały zaczął wrzeszczeć:

– Biegiem, szybko! Nie gapić się! Szybko!

Idąca sznurkiem ekipa o wyglądzie drewnianego węża przyspieszyła kroku. W jednej ręce dzierżyłam parasol jak najbliżej sklepienia jaskini, drugą podtrzymywałam tobołek z porostami, żeby mi nie spadł. Biegliśmy wszyscy jak wariaci, biegliśmy, bo przecież od tego zależało nasze życie. Zrozumieliśmy to, wszedłszy na rozpalone kamienne podłoże i zrozumiawszy, że na przestrzeni tych piętnastu metrów usmażymy się na skwarki, ponieważ przepali nam buty

wspinaczkowe – przepaliłoby nawet buty na grubych, wzmocnionych podszewkach. Nie pomyśleliśmy o temperaturze podłoża. Do głowy nam nie przyszło, że w ciągu ośmiuset lat płonący gaz przeobraził te skały w piekarnik i wszystko się tu raz-dwa usmaży. W tym wypadku „wszystkim” byliśmy my, a konkretniej nasze poranione stopy.

Piętnaście metrów to niewiele, ale kiedy zauważasz, że przypiekają się podeszwy twoich stóp, ta odległość wydłuża się do kilometrów. Każdy biegł jak mógł, lecz mimo woli poszczególne partie drewnianego węża poruszały się z różną prędkością, tak że w końcu porobiły się między nami luki. Przede mną spadło kilka płomieni, iskry strzeliły mi w twarz jak lawa, opalając trochę włosy i oślepiając mnie na chwilę. Nie wiedziałam, co się dzieje z Faradżem, przez co bałam się jeszcze bardziej. Na tym krótkim piętnastometrowym odcinku, będąc już blisko celu, nabrałam nagle pewności, że nam się nie uda, że niechybnie wszyscy tu zginiemy – i właśnie wtedy idąca przede mną Abby zatrzymała się, by pomóc Sabirze, która zachwiała się na nogach. Na szczęście nie zdążyła się przewrócić, Abby bowiem była szybsza i wsparła ją w porę, tak że tylko tobolek z porostami dotknął rozpalonej skały, oszczędzając Sabirze strasznych oparzeń. Niemniej w tamtej chwili, w tamtym ułamku sekundy, kiedy zwolniliśmy w szalonym pędzie do wyjścia (być może nie zwolniliśmy wcale, tylko tak mi się wydawało), ogarnęło mnie przekonanie, że umrzemy w tej jaskini.

Podejrzewam, że w sumie siła strachu polega w dużej części na antycypacji, przewidywaniu, bo na szczęście nie wszystkie lęki się ziszczają. Obiektywnie tylko nieliczne mają oparcie w rzeczywistości, toteż chociaż byłam pewna, że umrzemy, właśnie strach podsunął mi te okropne myśli. Co prawda drewniany wąż podzielił się na kawałki, pozostawiając luki, w które wpadały płomienie, ale prawdą jest również, że gdyby tak się nie stało, Abby potknęłaby się na Sabirze, ja bym wpadła na obydwie, a Gilad i Faradż idący za nami musieliby przystanąć albo też by się przewrócili. A nic takiego się nie stało. Zrobiłam jeszcze jeden długi krok i poczułam chłód pod stopami. Przebyłam ognistą komorę.

Przede mną wszyscy nadal biegli, więc i ja biegłam po zimnej skale, nie wypuszczając ani parasola, ani tobolek z porostami – najwyraźniej po prostu nie myślałam, dawałam się ponieść odruchom, naśladowałam innych, poza tym deptanie zimnego podłoża sprawiało mi ogromną ulgę głównie dlatego, że na nogach nie miałam już butów ani skarpetek. Wolałam sobie nie wyobrażać, jak będą bolały oparzenia, kiedy w końcu się zatrzymamy.

Wtem usłyszałam dziwny dźwięk, zaraz znowu się rozległ i jeszcze raz. Zanim skojarzyłam, co to jest, było za późno: wpadłam z pluskiem do ciemnej, zimnej wody w cysternie.

Powpadaliśmy jedni na drugich, uderzaliśmy o drewniane koła, które uratowały nas przed płomieniami. W wodzie kłębiła się istna płatanina nóg, rąk, głów, kół, drągów i tobołków z porostami, które nie od razu i oczywiście nie bez trudu utonęły.

Musiałam wypuścić parasol, aby się wynurzyć i nabrać powietrza. Na szczęście światło latarek Kaspara i Faradża było punktami orientacyjnymi w tych egipskich ciemnościach. Jak dobrze, że były wodoodporne, w przeciwnym razie przestałyby działać. Miałam jednak pecha: przekłete porosty nasiąkły wodą i jak łamień ciągnęły mnie w głąb. Krzyknęłam i zanurzyłam się z głową, rozpaczliwie machałam rękami i nogami, lecz nic to nie dawało. Poczulałam przy pasku czyjeś ręce, które po omacku szukały węzła mocującego tobolek. Kiedy w końcu został rozwiązany, wypłynęłam szybko na powierzchnię i łapczywie zaczerpnęłam powietrza do płuc, które o mało mi nie popękały. Docierały do mnie pomieszane głosy zagłuszone donośnym hałasem idącym z głębi, tak że nic nie słyszałam. Myślałam tylko o tym, by oddychać i utrzymać się na powierzchni, pracując rękami i nogami. Jakim cudem ta woda była taka zimna? Wydawało się, że dopiero co wytopiła się z lodu. I wtedy zdałam sobie sprawę, że z jednej strony komory dochodzi głośny szum strug wody spadających skądś z góry. Wpadłam w przerażenie: skoro cysterna wypełnia się lodowatą wodą, z pewnością istnieje też jakiś odpływ, który może nas wessać.

A co z Faradżem? Nic nie widziałam. Dostrzegałam tylko błyski latarek głęboko w wodzie. I wtedy pomyślałam, że Faradż utonął. Zaczerpnęłam powietrza i zanurkowałam, kierując się ku światłu, lecz ktoś złapał mnie mocno i ciągnął z powrotem do góry. Zaczęłam się szamotać, Gilad jednak był silniejszy, znalazłam się więc znowu na powierzchni.

– Nie, zostaw ich! – krzyknął z ustami tuż przy moim uchu.

– Tam jest Faradż! – wrzasnęłam przerażona.

– Wyciągają Kaspara i Sabirę! Oberwali kołem w głowę i stracili przytomność. Muszę im pomóc. Ty czelaj tu.

Szybko zanurkowałam, zostawiając mnie samą w ciemnej cysternie. Widziałam jedynie błyski światła kilka metrów niżej i słyszałam łoskot spadających strug wody. A gdzie brzeg? Powinnam pływać, szukając brzegu cysterny, czy przeciwnie, spokojnie czekać? Problem w tym, że jeśli będę czekała, w końcu zamrznę. Ale zaraz moi towarzysze wynurzyli się na powierzchnię. Faradż i Abby holowali nieprzytomnego Kaspara, Gilad wyciągał Sabirę ogłuszoną, lecz świadomą, dzięki czemu pod wodą udało jej się powstrzymać oddech. Naprawdę pomocy potrzebował zatem Kaspar.

– Ottavio! – krzyknął Faradź.

– Tutaj! – odrzyknęłam, by wiedział, że żyję i mam się dobrze.

– Tam! – zawołał mój mąż, światłem latarki wskazując otwór po drugiej stronie cysterny. –

Kto może, niech tam płynie!

Ruszyłam pomóc Giladowi z Sabirą i po omacku popłynęliśmy w kierunku wskazanym przez Faradźa, oddalając się od ogłuszającego hałasu spadającej wody, i niebawem natknęliśmy się na brzeg cysterny.

– Podtrzymaj Sabirę – poprosił mnie Gilad i podciągnął się na rękach, aby wyjść z wody.

Kiedy stanął na nogach, zaraz wyciągnął dłoń. – Podaj mi ją.

Chwyciłam asasynekę pod pachy i podszedłam wystarczająco, by Gilad ją podniósł i wywindował na brzeg.

– Tylko ją ułożę i pomogę ci wyjść – powiedział.

Szybko znaleźliśmy się wszyscy troje na wilgotnej skale. Oboje z Giladem wyjęliśmy latarki z kieszeni spodni i włączyliśmy je, lecz gdy on pochylił się nad asasyneką, ja poświeciłam w przeciwny koniec cysterny, szukając Faradźa, Kaspara i Abby. Mój mąż i dziewczyna reanimowali Kaspara, któremu z jakiejś niezanej przyczyny w każdych okolicznościach przychodziło najgorsze. Chociaż wiedziałam, że Faradź potrafi reanimować człowieka, odniosłam wrażenie, że wszystkim dyryguje Abby, a mój mąż jej pomaga. Wtem Kaspar podniósł głowę, obrócił i zwymiotował wodę, której się nałykał, a raczej nawdychał, wyrzucił ją bowiem z płuc. Skoro Kaspar i Sabira szli pierwsi przez ognistą komorę i pierwsi wpadli do wody, było jasne, że oberwali parasolem Abby i moim.

Sabira na szczęście nie nałykała się wody. Kiedy spokojniejsza o Kaspara odwróciłam się do moich towarzyszy niedoli, biedna archeolożka siedziała na ziemi z miną wyrażającą ból i trzymała się za ogromny guz na ciemieniu. Nachyliłam się nad nią i za brodę podniosłam jej głowę. Chciałam zobaczyć jej oczy, sprawdzić, jak źrenice reagują na światło. Wiedziałam, że jeśli się nie zwiężą albo zwięzi się jedna, będzie to znak, że mamy problem. Zareagowały jednak normalnie, toteż odetchnęłam z ulgą, zostawiłam ją staraniom Gilada, a sama popatrzyłam, co się dzieje z resztą.

Faradź, Kaspar i Abby już płynęli do nas. Kaspar wyglądał na lekko oszołomionego, Abby zaś pokrępiła go i pomagała mu jak zawodowa ratowniczka. Czy jest coś, czego perfekcyjna dziewczyna nie potrafi? Ano było coś takiego: nie potrafiła się zakochać w odpowiednim facecie (aczkolwiek musiałam przyznać, że w jej ostatnim wyborze odegrałam niewielką, choć przewrotną rolę).

We dwoje z Giladem nie zdołaliśmy dźwignąć Kaspara, toteż Faradź musiał wyjść na brzeg, żeby nam pomóc, Abby podszedła go od dołu. W końcu wywlekliśmy go i ułożyli obok Sabiry, która nagle jakby odżyła.

– Nie przejmujcie się mną – powiedziała słabym głosem. – Strasznie tylko boli mnie głowa. Pomóżcie Kasparowi.

Ale Głaz czuł się całkiem dobrze. Głowę miał dużo twardszą niż Sabira, na czole ledwie było mu widać nieduży guz, który spurpurowiał, lecz nie rósł. I były katon raz-dwa dał nam do wiwatu.

– Nic mi nie jest! – warknął, odsuwając wszystkich z wyjątkiem Abby. – Dajcie mi oddychać!

Wyglądaliśmy jak ostatnie sieroty. Sześć wyczerpanych osób, przemarzniętych i bosych, siedziało na zimnej, wilgotnej skałe w przemoczonych ubraniach.

– Co z nogami? – zapytał Faradz. – Macie poparzenia?

Przyświecając sobie latarkami, obejrzelśmy swoje stopy, w których z zimna ledwie mieliśmy czucie, i chociaż dygotałyśmy i dzwonili zębami, wszyscy krzyknęliśmy ze zdumienia: nikt się nie poparzył, gruba warstwa szwów i opatrunków, lekko nadpalona, chroniła nas do samego końca, nawet gdy straciliśmy buty i skarpetki.

– Nie do wiary! – dziwiła się Abby, patrząc na swoje podeszwy stóp. – Trudno o większe szczęście!

– Buty jednak sporo wytrzymały – szepnęła Kaspar – a i skarpetki przydały się na coś. Myślę, że boso zrobiliśmy najwyżej krok albo dwa. Dlatego nie zdążyliśmy się poparzyć. Jacy z nas głupcy, żeśmy nie pomyśleli o podłożu! Mogliśmy sobie wyszykować jakieś drewniaki czy coś w tym guście!

Ponieważ była to musztarda po obiedzie, nie rozrzęsałam sprawy. Czułam tylko głęboką wdzięczność do pasków do zamykania ran. Straciły przezroczystość, zbrązowiały, lecz uratowały nam stopy.

– Trzeba się pozbyć tych smętnych resztek butów i skarpetek – zaproponowałam. – I tak na nic się już nie przydadzą.

Wszyscy się ze mną zgodzili, wzięliśmy się zatem do ściągania tego, co zostało z butów wspinaczkowych.

– A porosty? – spytała naraz Sabira.

– Przepadły – z żalem w głosie odparł Faradz. – Musiałem odwiązać wam tobołki, bo ciągnęły was na dno jak ołów.

– Co oznacza, że nie mamy już ani jedzenia, ani butów – zauważyłam. Na plecach poczułam zimny dreszcz.

– Nic już nie mamy – burknął Głaz, wyżymając spodnie.

– Może na tym polega próba związana z kolejnym Błogosławieństwem – podsunął Gilad.

Pokręciłam głową.

– Nie, przykro mi – powiedziałam. – Siódme Błogosławieństwo odnosi się do pacyfistów.

„Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi”.

Zapadło ciężkie, ponure milczenie. Czeły nas jeszcze próby związane z dwoma Błogosławieństwami, dobytku nie mieliśmy żadnego, nie mieliśmy jedzenia, byliśmy poza tym u kresu sił. Ebionicy powinni się cieszyć, że przed wielkami zniknęli z powierzchni ziemi, ponieważ mordercze instynkty potęgowały się we mnie coraz bardziej. Gdybym dopadła ostatniego żywego ebionity, raczej nie zdołałabym zapanować nad nerwem Salinów, który popychał nas czasem aż do zabójstwa.

– Musimy ruszać – wystękał Kaspar, próbując wstać.

– Nie zostało nam wiele czasu – przyznała Abby, odnosząc się do tego, co było jasne dla wszystkich: faktycznie czasu niewiele nam pozostało, zanim umrzemy z zimna, głodu czy czegoś innego.

Oddaliliśmy się od cysterny i łoskotu wody, idąc powoli lodowatym korytarzem, aczkolwiek szybko odczuliśmy wyraźny wzrost temperatury. Na końcu korytarza znowu były schody biegnące w górę. Zaczęliśmy się wspinać po stopniach coraz cieplejszym kominem, a pół godziny później po zimnie nie było już śladu, przy czym nie wyglądało na szczęście na to, że zmierzamy ku kolejnemu piecowi krematoryjnemu. Ubrania na nas wyschły, przestaliśmy dygotać, zrobiło nam się przyjemnie ciepło. Martwiło nas jedynie, że schody – jak zwykle lekko skręcające w lewo – zdają się ciągnąć bez końca.

Niemniej i one się skończyły. Około drugiej po południu dotarliśmy do podestu z otworem i ogromnym kamiennym kołem, które ewidentnie miało się zamknąć, kiedy wejdziemy do na pozór niegroźnej kwadratowej komory. Przystanęliśmy instynktownie, choć wiedzieliśmy, że innej opcji nie mamy: musieliśmy wejść i dać się zamknąć.

– Ottavio, jak brzmi siódme Błogosławieństwo? – niepewnie spytał Gilad.

– „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi”.

– Skoro chodzi o pacyfizm – rzekł Faradz mężnie – to chyba nie musimy niczego się obawiać.

Popatrzyłam na niego z uczuciem, bo naprawdę bardzo go kochałam, nie mogłam się jednak opędzić od myśli, że ta jego ufność, iż świat jest dobry i życzliwy, ma w sobie czasami szczyptę groźnej prostoduszności. Całe szczęście, że jest ze mną, powiedziałam sobie, z osobą z natury podejrzliwą, bo wolałam nie myśleć, co by z nim było beze mnie.

– No to wchodzimy do celi – wymamrotał były katon, wracając do środka zdecydowanym krokiem.

W głębi sześcienniej jaskini o idealnych proporcjach i gładkich powierzchniach – choć pokrytych pyłem wielków – kolejne drzwi zastawione ciężkim kamiennym dyskiem wyglądały na wyjście, które się otworzy, jeśli rozwiążemy zagadkę Błogosławieństwa pacyfistów. Szliśmy za Kasparem niczym owieczki prowadzone na rzeź. Będzie nam potrzebna Boża pomoc, żeby nie

dokończyć tutaj żywota. Dlatego na wszelki wypadek zaczęłam się modlić.

Zaraz po wejściu odkryliśmy, że ze ściany po lewej jak zwykle tryska źródło i że w jej rogach znajdują się dwie mogiły, dwa dawne, zupełnie różne groby. Ruszyliśmy w kierunku pierwszego jak przyciągani przez magnes. Był bardzo podobny do grobu Hillela Starszego, a hebrajskie litery wyryte w skale wyraźnie wskazywały na mogiłę żydowską.

– Rabin Eljahu ben Szimeon – przeczytał na głos Gilad.

– Eljahu ben Szimeon! – zawołała podniecona Abby. – Rabin z Susji, który odzyskał szczątki Jezusa i jego rodziny i przywiózł je tutaj, na górę Meron!

– Czyli organizator wszystkich ucieczek, których zażywaliśmy ostatnio – zażartował Faradz, wykazując się brakiem należącego szacunku. – Powinniśmy mu podziękować.

Sabira, blada jak śnieg i z czarnymi podkowami pod oczami, wolnym krokiem podeszła do drugiego grobu. Głowa musiała ją strasznie boleć, nie uskarżała się jednak

– Tu napis jest w farsji – powiedziała ledwie słyszalnym głosem i ze słabym uśmiechem. – To grób Farhada Zakkara, przywódcy *sufat* w drugiej połowie trzynastego wieku.

– A niech mnie!... – wyrwało się Kasparowi. – Obaj organizatorzy tutejszych ucieczek!

– Właśnie. Pochowani tutaj – podkreśliła Abby z lekkim wyrzutem pod adresem Kaspara – wewnątrz Meronu i przy próbie pacyfistów.

– Co dowodzi – dorzuciłam – że muzułmanie i żydzi nie zawsze odnosili się do siebie tak źle jak dzisiaj. Ci dwaj pracowali razem dla wspólnej sprawy i szanowali się nawzajem.

Gilad, który nie znał pełnej historii ossuariów i prawdopodobnie nie wiedział, kim byli *sufat* i dlaczego współpracowali z ebionitami, przygryzł wargę, by nie skomentować mojego stwierdzenia na temat niegdyś lepszych dobrych stosunków między żydami i muzułmanami.

– Ta próba musi być bardzo ważna – oświadczył Faradz już dużo grzeczniej. – Robi wrażenie, że rabin Eljahu, przywódca ebionitów z Susji, i Zakkar, przywódca *sufat*, spoczywają tu obok siebie.

Zanim Sabira powoli wróciła do nas, wiedzieliśmy już, na czym polega próba: ściana przeciwległa do tej ze źródłem i grobami nie była z wygładzonego kamienia jak reszta komory, lecz została wymurowana. Jakby wykuto w niej otwór, po czym na powrót go załatano. I to było wszystko. Nie dobra, nie wszystko. Był jeszcze mały mechanizm w ziemi – Faradz nieświadomie go nadepnął i tak jak podejrzewaliśmy wcześniej, wprawił w ruch kamienny dysk, który zablokował wejście, odcinając nam drogę powrotną.

– Może trzeba tylko spokojnie usiąść na ziemi i czekać – zauważyła Abby z uśmiechem.

– Obawiam się, że ta wymurowana ściana dowodzi czego innego – mruknął Gilad. – Tutaj idealnie wyszlifowano i wygładzono wszystko oprócz grobów i tej ściany. To jest właśnie pacyfistyczna próba.

– A niby co mamy zrobić? – spytała biedna Sabira, która gorzej już chyba nie mogła wyglądać. – Zburzyć ścianę?

– Powinnaś usiąść – zwróciła jej uwagę Abby. – Musisz odpocząć, Sabiro.

– No fakt, trochę kręci mi się w głowie – przyznała archeolożka, pozwalając, by Abby podprowadziła ją do źródła, gdzie usiadła oparta o ścianę.

Dziedziczka zmoczyła ręce i przetrła jej twarz wodą, by ocucić ją trochę. A ja nie bardzo rozumiałam, jak drewniane koło, choćby i ciężkie, mogło ją tak mocno uderzyć pod wodą. Kaspar już zupełnie doszedł do siebie, a przecież oberwał taksamo. Widać każdy inaczej reaguje.

Skorzystaliśmy z okazji, żeby się napić i odpocząć chwilę przy Sabirze. Nie mieliśmy jedzenia, lepiej więc było o nim nie myśleć. Tak czy owak dumałam, sadowiąc się, ebionici na pewno wiedzieli, że jeśli ktoś zdoła dotrzeć aż tutaj, będzie w opłakanym stanie jak my, może nawet w gorszym, skoro zatem zamierzali pozbywać się rabusiów grobów, nie zostało nam wiele czasu, ale jeżeli faktycznie jako dobrzy judeochrześcjanie nie chcieli nikogo pozbawiać życia, może dwie ostatnie próby przygotowali szybkie i łatwe, by wspomóc porządnych i dzielnych jak my – ludzi, którzy poradzi sobie ze wszystkim, przez co musieli przejść dotąd.

Faradz i Kaspar, zamiast się napić i odpocząć, stanęli przed murowaną ścianą i uważnie ją oglądali.

– Nie ma w niej nic niezwykłego – usłyszeliśmy Kaspara.

Mój mąż przyłożył dłoń do jednej z cegieł, to znaczy do jednego z kamieni tworzących ścianę, i zbadał go ostrożnie.

– Jest luźny – stwierdził.

– Bo dawniej tak właśnie murowano – wyjaśnił Kaspar. – Układano budulec i dopasowywano go dokładnie, nie używając żadnej zaprawy.

– Czyli jeżeli usuniemy parę kawałków u dołu, cała ściana się zwali – zauważył Faradz.

– Uważajcie, co robicie! – przestrzegłam ich. – Żeby nie było z tego kłopotów.

Gilad pokiwał głową.

– Nie sądzę, żeby ta próba polegała na zburzeniu ściany postawionej tak starannie – powiedział.

– Mamy tu pułapkę i dwa groby. Zastanówmy się, zanim coś zrobimy.

Na czym polegała skuteczna sztuczka, która zawsze zmuszała Kaspara do zrobienia czegoś? Należało kazać mu zrobić coś przeciwnego.

– Tylko spróbuję, czy wszystkie części są luźne – mruknął i zanim ktoś go powstrzymał, już popchnął jeden kamień w dolnej części ściany, która ani drgnęła.

Kamień łatwo się przesunął, usłyszeliśmy stuknięcie, gdy spadł na ziemię po drugiej stronie.

– Kasparze! – zganiała go Abby.

Odwrócił się do niej i wzruszył ramionami.

– Nie zburzyłem ściany. Chciałem tylko sprawdzić, czy to się da.

– Już sprawdziłeś! – upomniałam go. – Odtąd będziesz odpowiadał za wszystko, co nam się przytrafi.

Uśmiechnęli się obaj z Faradżem, jakby usłyszeli coś zabawnego.

– Już niczego nie dotknijemy, słowo – obiecał były katon i na powrót odwrócił się do ściany.

Abby, Gilad i ja, siedząc na ziemi obok Sabiry, która z zamkniętymi oczami opierała głowę o ścianę, wstrzymaliśmy się od przykrego komentarza, przystąpiliśmy natomiast do rozważania kwestii tej dziwnej roboty budowlanej. Zanim zaczęło nam się kręcić w głowie, doszliśmy do wniosku, że najpewniej może tu chodzić o coś w rodzaju układanki, lecz dalej nie byliśmy w stanie myśleć. Równocześnie z zawrotami oblał mnie zimny pot na całym ciele, usiłowałam jednak nie zważać na niedomagania fizyczne. Problem w tym, że czułam się coraz gorzej, zawroty przeszły w potężny ból głowy, do tego dołączyło się bardzo dziwne mrowienie w dłoniach i stopach, które pięło się coraz wyżej. Kiedy serce zaczęło mi walić tak z dwieście razy na minutę, zrozumiałam wreszcie, że coś się dzieje.

– Ja też źle się czuję – wykrztusiła Abby, powstrzymując nudności, po czym padła na ziemię jak nieżywa.

– Kaspar! – zawołał Gilad, ja równocześnie wezwałam męża.

Obejrzelisi obaj i widocznie wyglądaliśmy bardzo źle, bo rzucili się ku nam z niepokojem na twarzy.

– Co ci jest? – spytał przejęty Faradż, gdy bez sił opadłam na ziemię jak Abby.

– Zatruliśmy się chyba – wydyśzał Gilad, hamując wymioty.

– Zatruliście się? – Kaspar czasami robił z siebie głupca.

– Wy dobrze się czujecie? – spytał Gilad, zamknąwszy oczy.

Faradż i Kaspar przytaknęli.

– Czyli myśmy się zatruli dwutlenkiem węgla – z trudem wyszeptał archeolog. – Zatkajcie ten otwór w ścianie, gaz na pewno dostał się tamtędy. Jest cięższy od powietrza, dlatego skutki poczuli najpierw ci, co siedzą na ziemi. Musicie nas postawić i tak trzymać. Szybko!

Faradż podniósł mnie w okamgnieniu, Kaspar zaś raz-dwa zrzucił spodnie, by zatkać nimi otwór w ścianie po wypchniętym kamieniu.

– Oprzyj się tutaj, kochanie – powiedział Faradż. – Muszę podnieść innych.

– Nogi mnie nie słuchają – szepnęłam targana nudnościami.

– Ottavio, gaz jest przy ziemi! Na stojąco będziesz oddychała czystym powietrzem i zaraz dojdiesz do siebie.

Nie mogłam się sprzeciwić, już bowiem zostawił mnie i z wielkim trudem próbował podnieść Gilada. Na szczęście Kaspar zatkał otwór i odziany tylko w straszne popielate bokserki pomógł

Faradżowi podnieść Gilada, Abby i Sabirę.

– Nie widzicie? – spytała naraz Sabira. Biedaczka miała się naprawdę źle. Do bólu głowy doszło jeszcze zatrucie. – Naprawdę nie widzicie?

– Nie widzimy, Sabiro – rzekł Faradż, obmywając jej twarz chłodną wodą.

– To gaz – próbował nam wyjaśnić Gilad, któremu z ust ciekła niteczka śliny. – Gaz... jak mówiłem. Od tego ognia w komorze...

– Aż tutaj dotarł? – zdumiał się Kaspar podtrzymujący prawie nieprzytomną Abby.

Gilad zwrócił wyпитą wodę. W żołądku nie miał nic innego.

– Nie widzicie? – dopytywała natrętnie Sabira.

Działo się z nią coś niedobrego. Oczy miała zamknięte.

– Tak, dotarł tu – tłumaczył dalej Gilad, któremu chyba trochę się polepszyło po zwymiotowaniu. – I zgromadził się za tą murowaną ścianą. Jeśli ją zburzymy, zginiemy.

Im dłużej oddychaliśmy czystym powietrzem, tym czuliśmy się lepiej. W końcu również Abby otworzyła oczy i zażyczyła sobie obmyć twarz wodą. Kaspar jej pozwolił, a nawet zmoczył jej włosy dla odświeżenia.

– Tu nie możemy spać – rzekł Gilad, niemal zupełnie doszedłszy do siebie. – Dwutlenek węgla zawisa na wysokości ponad metra. Jeśli się położymy albo usiądziemy, będzie po nas.

– I tak jest po nas – powiedziała. – Nie mamy co jeść, nie możemy spać...

– Musimy dokładniej zbadać tę cholerną ścianę! – warknął Kaspar, mocno obejmując Abby, która trzymała go za szyję.

– Czy wy tego nie widzicie? – wciąż nalegała biedna Sabira.

Faradż litościwie postanowił dopytać, o co jej chodzi.

– Czego nie widzimy, Sabiro?

– Rysunku – odparła, nie otwierając oczu. – Na ścianie.

– Jakiego rysunku? – zainteresował się Gilad, który na tyle odzyskał już siły, że mógł ją podtrzymać.

Dopiero wtedy mój mąż zostawił Sabirę i wrócił do mnie. Pewno nie przypuszczał, że odnotowuję każdy szczegół.

– Krzyż... – wybełkotała Sabira. – Gwiazda...

Na Boga! O czym ona mówi? Mocno się zmartwiłam jej stanem. Potrzebowała pilnie pomocy medycznej.

– Krzyż i gwiazda? – powtórzył Gilad zdziwiony.

– Patrzcie tam... – I otworzywszy oczy, podniosła rękę, jakby nagle odzyskała siły. Wskazywała murowaną ścianę. – Krzyż w środku gwiazdy.

Przysięgam, że patrzyłam i patrzyłam, szukając krzyża i gwiazdy, lecz nic nie widziałam.

Tylko mur z nierównych kamieni idealnie dopasowanych, poza tym żadnego konkretnego kształtu.

– Nic nie widzę – szepnęła Abby, która tak jak ja rozglądała się za tym, o czym mówiła Sabira.

Pozostali także ze smutkiem kręcili głowami. Nikt nie wypatrzył krzyża i gwiazdy. Za dużo było nieregularnych fragmentów skały tworzących chaotyczny układ w miejscu, gdzie rzekomo miał widnieć rysunek na ścianie.

– A założmy, że Sabira ma rację – powiedział prawie goły Kaspar. – My tego nie widzimy, ale ona jest artystką, graficzką. Czemu nie miałyby widzieć kształtów, których my nie zauważamy?

– Są tam – wyszeptała znowu Sabira. – Krzyż i gwiazda.

– Założmy, że faktycznie tam są – odezwałam się, patrząc na Kaspara. – I niby co mielibyśmy zrobić? Wyjąć kamienie, które tworzą ten rysunek i pokojowo zatruć się gazem?

– Może właśnie takie ryzyko powinniśmy podjąć? – zauważył Faradz z troską.

– Sabiro – zagadnęła Abby – czy kamień, który Kaspar wypchnął, był częścią krzyża i gwiazdy?

Asasyńska nieznacznie pokręciła głową.

– Przepraszam – wyszeptała. – Przez ten gaz głowa jeszcze bardziej mnie boli. Trudno mi mówić.

– Czyli jesteś pewna, że kamień, który wypchnął Kaspar, nie był częścią rysunku? – zapytałam, nadal poszukując na ścianie rzeźbionego krzyża i gwiazdy. Może gaz przedostawał się tylko przez otwory po kamieniach niebędących częścią rysunku?

– Jestem pewna – odparła cicho. – Gilad, pomóż mi zmoczyć głowę. To mi rozjaśni umysł.

Bardzo delikatnie Gilad pomógł jej się schylić, żeby woda spłynęła po jej kasztanowych (i brudnych) włosach, i przypuszczam, że umyślnie ustawił ją tak, by zimny strumyk trafiał prosto w guz wystający spomiędzy mokrych kosmyków. Asasyńska kilkakrotnie przemyśla sobie także twarz i wyglądało na to, że poczuła się znacznie lepiej, gdy oburącz odgarnęła włosy do tyłu. Nadal była bardzo blada, nadal oczy miała podkrążone, wszyscy jednak zauważyliśmy w nich iskierkę życia, kiedy się wyprostowała.

– Podejdźcie do ściany – poleciła. – Powiem wam stąd, które kamienie usunąć.

Kaspar i Faradz udali się pod ścianę. Im się udało, nie podtruli się, czuli się zatem dobrze. Ciekawie było oglądać mojego męża w spodniach obok Kaspara w bokserkach. Widok Faradza nawet w chwili tak trudnej jak ta zapierał mi dech w piersiach. Kaspar był zbyt kwadratowo zbudowany jakna mój gust.

– Połączcie jakiś kamień, a powiem, co macie robić – rzekła Sabira, zobaczywszy, że są gotowi.

Nie do wiary. W miarę jak szybko wypychali kamienie według wskazówek Sabiry, zaczynałam dostrzegać kształt krzyża i gwiazdy. Była to osobliwa kombinacja dwóch ważnych

symboli, które od dwóch tysięcy lat były sobie wrogie i nawet dochodziło do bezpośrednich starć, lecz ebionicy zdolali je połączyć w wyjątkowy symbol pokoju. Stąd Błogosławieństwo miłujących pokój, synów Boga, tych, którzy nie walczą między sobą. Gwiazda była sześcioramienna, Dawidowa – a raczej, jak sprostował Gilad, tarcza Dawidowa – dwa trójkąty równoramienne nałożone na siebie. Pośrodku widniał teraz krzyż Jezusa, a konkretnie jego pionowa belka przecinająca centralny sześciokąt.

Kiedy zobaczyłam te kształty i wreszcie wszystko zrozumiałam, poczułam znowu objawy zatrucia dwutlenkiem węgla. Nie chciałam straszyć siebie ani innych, ale coraz silniej mi dokuczały zawroty głowy, przyspieszone bicie serca, zimne poty, mdłości, szum w uszach. Gaz wpływał w wielkich ilościach do komory, a póki Faradz i Kaspar nie wypchną ostatniego kamienia, by ebionicki symbol był cały widoczny, kamienny dysk zamykający wejście nie odsunie się i nie wypuści nas.

– Kaspar, szybciej – poprosiła Abby słabym głosem.

Obejrzałam się na nią i mimo mocniejszego zawrotu głowy zauważyłam, że ona także ma objawy podtrucia. Gilad, najwyższy, domyśliwszy się, co się dzieje, wziął Sabirę na ręce i trzymał ją ponad naszymi głowami, aby mogła wskazać resztę kamieni.

Nie mogłam dłużej wytrzymać. Zwymiotowałam żółcią. Chciałam się umyć u źródła, lecz nie dałam rady. Zobaczyłam niespokojną twarz Faradza, który na mnie patrzył, i osunęłam się na ziemię.

Chłodny wiatr poruszył kosmykiem moich włosów, który załaskotał mnie w czoło. Pamiętam, że pomyślałam: „To nie może być wiatr, bo jesteśmy we wnętrzu góry”. Ale wiatr nadal powiewał, wicherząc mi włosy i łaskocząc mnie. Pewnie Faradz dmucha mi w twarz, żeby mnie obudzić.

– Przestań – poprosiłam.

– Basileja! – zawołał gdzieś daleko.

Chciałam otworzyć oczy, ale nie mogłam. Przypomniałam sobie wtedy gwiazdę Dawida i krzyż połączone w jeden symbol, który bardzo, ale to bardzo mi się podobał. Chroniąca tarcza Dawida... Przypadła mi do gustu nazwa „tarcza Dawida”, której używał Gilad. Tarcza Dawida chroniąca krzyż Jezusa z Nazaretu. Jeśli naprawdę Jezus był tylko człowiekiem, wielkim człowiekiem, i jeżeli jego szczątki znajdowały się teraz w pobliżu, pragnęłam klęknąć przed nimi i oddać im cześć.

– Basileja! – krzyknął znowu Faradz trochę bliżej.

Skoło nie ma go koło mnie, gdzie się podziewa i kto mi dmucha w twarz? Czułam wiatr, choć oczu nie mogłam otworzyć. Nie mogłam się też poruszyć. Dlaczego nie mogę się poruszyć? Dlaczego ciało mnie nie słucha? Zaczęłam się denerwować. Przypomniałam sobie gaz. Mogłam jednak mówić, bo przecież poprosiłam Faradza, żeby przestał.

– Mogę mówić – wyszeptalam.

Usta miałam nabrzmiałe i sztywne.

– Co powiedziała? – zapytał ktoś daleko ode mnie.

– Nawdychała się więcej niż my – rzekł inny odległy głos. – Normalne, że dłużej dochodzi do siebie.

Tak pamiętałam. Wdychałam trujący dwutlenek węgla pochodzący ze spalania gazu ziemnego w ognistej komórce. Nie rozpoznawałam jednak głosów, nie wiedziałam, kto mówi. Tylko głos Faradza był znajomy. W tej chwili serce skoczyło mi w piersi. Ekstrasystolia, pomyślałam ze smutkiem. Ekstrasystolia, dodatkowe skurcze serca, zawsze mnie smuciły. Nie chciałam umierać, to było oczywiste, toteż ciało, które nie słuchało mnie, musiało zacząć na dobre eliminować tę przeklętą truciznę. Wiatr. Wiatr mi pomoże. Trzeba wdychać czyste powietrze, a ten wiatr dobrze pachniał: polami, drewnem i trawami. Wdychać czyste powietrze, muszę wdychać czyste powietrze.

– Zostanę z tobą, Faradz – odezwał się zimny głos o wojskowej intonacji. – Idźcie wszyscy spać. Już późno. Ottavii jeszcze długo zejdzie, nim wróci do siebie.

Nie, wcale mi nie zjedzie długo, bo umysł funkcjonuje doskonale. Z ciałem nadal miałam problemy, ale co tam, to tylko kwestia czasu, wargami już mogłam poruszać. Nawet głosy powoli jakbym rozpoznawała. Byłam prawie pewna, że znam człowieka mówiącego po wojskowemu.

– Ottavio, kochanie, jeśli mnie słyszysz, daj mi jakiś znak – poprosił mój mąż.

Otworzyłam usta takszeroko, jak tylko mogłam.

– Chyba poruszyła wargami – powiedział wojskowy.

– Tak też to zauważyłam – przyznał Faradz – Basileja, posłuchaj mnie. Zatrulaś się dwutlenkiem węgla, ale teraz jesteś pod szerokim kominem w górze. Wpada przez niego czyste powietrze. W jaskini jest też krata, która wychodzi na zewnątrz, tak że mamy przepływ powietrza. Usłyszałaś, co powiedziałem?

Znowu otworzyłam usta (albo poruszyłam wargami, jak utrzymywali).

– Wydobrzejesz – ciągnął mój mąż z przekonaniem. – Pozwól tylko, żeby czyste powietrze wyeliminowało toksyczny gaz z twojego organizmu. Spróbuj zasnąć. Jest późno, więc się nie denerwuj i niczym nie martw. Zaśnij i pozwól, żeby powietrze cię leczyło, dobrze? Ja będę przy tobie, póki nie dojdiesz do siebie.

Bardzo mnie to uspokoiło. Skoro Faradz powiedział, że będzie przy mnie, znaczy, że nie ojedzie ani na milimetr. Poczułam wielką dumę z nas obojga. Udało nam się z Faradzem wspólnie zbudować coś, czego większość ludzi szuka przez całe życie: niegasnącą, wciąż podsycaną na nowo miłość, związek partnerski trwałe i gorący. Bóg widać bardzo mnie umiłował, skoro otrzymałam od niego taki dar, gdy wszystko inne było trudne, a rodzina niespecjalnie mnie kochała. Nie chciałam myśleć o rodzinie, więc zasnęłam.

Ocknęłam się powoli dużo, dużo później. Otworzyłam oczy. Wokół panowała ciemność. Poruszyłam palcami u rąk i u nóg i zrozumiałam, że odrułam się wystarczająco, aby władać swoim ciałem.

– Ottavio...? – rozległ się szept mojego męża.

– Czuję się dobrze – odszepnęłam.

– Całe szczęście! – Położył mi dłoń na policzku i pocałował mnie w usta. – Całe szczęście!

– No, choć raz w ży ciu mógłbyś powiedzieć „Bogu dzięki” – rzekłam z wyrzutem.

Zaśmiał się cicho.

– Pośpij jeszcze – wyszeptał. – Jest noc.

– Ottavia się obudziła? – zapytał Kaspar zaspąnym głosem.

Tym wojskowym przedtem był on! Kurczę, faktycznie musiałam być porządnie podtruta, skoro go nie rozpoznałam. Ale teraz bez wątpienia myślałam jasno.

– Obudziła się – odparł Faradz. – Dzięki, że czekałaś. Idź do Abby.

– OK. Dobranoc.

– Gdzie jesteśmy? – spytałam Faradża.

– To coś w rodzaju sanatorium dla podtruty ch dwutlenkiem węgla. Jutro zobaczysz. A teraz śpij.

Nie musiał mi tego powtarzać. Moje ciało jakby się domagało większej liczby godzin ozdrowieńczego snu (co jest w pełni logiczne, zważywszy na przeżyta ostatnich dziewięciu dni), toteż w jednej chwili zasnąłam głęboko.

Obudziło mnie poranne światło, choć wydaje się to dziwne. Kiedy otworzyłam oczy, najpierw zauważyłam, że jest jasno, i to nie dzięki ledowym latarkom. Światło było dzienne, słoneczne. Pewnie, że nie było szczególnie jaskrawe, lecz podnieciło mnie bardzo, bo dochodziło z zewnątrz, co do tego nie miałam wątpliwości, w dodatku z dwóch miejsc. Jedno miałam nad sobą: w sklepieniu na wysokości jakichś trzech metrów widniał idealnie okrągły otwór komina, którego końca nie dało się dojrzeć. Tamtędy wpadało powietrze i odrobina skąpego światła. Drugie źródło światła zobaczyłam, obróciwszy głowę w prawo: w skale wycięto dziurki takiej wielkości jak w arabskich żaluzjach, co dowodziło, że po drugiej stronie jest pionowo opadające zocze. Dlatego przez całą noc czułam podmuchy na twarzy. Ułożono mnie w miejscu najbardziej przewiewnym, tam gdzie mieszało się powietrze z komina i wpadające przez kratkę.

W tej chwili rozbrzmiał donośnie gruby głos Kaspara, naszego budziła:

– Śpicie? Już dziewiąta. Pobudka.

On zdążył wstać, cmoknąwszy Abby na dzień dobry, i zmierzał ku mnie jak kolej dużych prędkości. Miał na sobie spodnie! Poczułam wielką wdzięczność (a wraz ze mną cała ludzkość) za ten drobiazg świadczący o dobrym guście. Na szczęście zdążył je zabrać przed wyjściem z jaskini z krzyżem i gwiazdą.

– Dzień dobry, pani doktor. Jak się czujesz?

Byłam jeszcze trochę otumaniona, więc nie zdołałam odpowiedzieć mu dość szybko.

– Faradž, twoja żona nie czuje się dobrze – skwitował.

Faradž się poderwał i na siedząco wpatrzył we mnie.

– Co ci jest, kochanie?

– Już nic. – Uśmiechnęłam się. – Doszłam do siebie.

– Aleś mnie nastraszył, Kaspar! – z wyrzutem rzekł mój mąż.

Były katon wzruszył ramionami i skierował się ku Abby.

– Wydawało mi się, że nie czuje się dobrze – rzucił obojętnie.

– A Sabira? – spytałam, przypomniawszy sobie, jak źle było z asasyneką w jaskini z krzyżem i gwiazdą.

– Dużo lepiej, Ottavio, dzięki – odparła z jakiegoś rogu w tym przewiewnym miejscu. – Głowa już mnie nie boli i dzięki Giladowi nie podtrułam się drugi raz jak ty. Mam tylko potężny guz,

kóry boli przy dotyku. Poza tym nic.

– Kasparze, powinniśmy teraz poprosić o pomoc – powiedziałam. – Tu na pewno jest zasięg. Wyciągną nas stąd śmigłowcami, jeśli tylko wyłamią tę klatkę.

Zignorowali mnie wszyscy łącznie z Kasparem.

– Ottavio – odezwał się cicho mój mąż z wyrzutem w głosie – zostało nam tylko jedno Błogosławieństwo. Tylko jedno, rozumiesz? Nie możemy się teraz wycofać. Jesteśmy o krok od celu.

Przypomniałam sobie wtedy, o czym pomyślałam – albo co mi się przyśniło – kiedy jeszcze byłam podtruta gazem: jeżeli faktycznie szczątki Jezusa są tak blisko mnie, chciałabym ukłęknąć przed nimi, chciałabym oddać im cześć, odczuć wrażenie przebywania tak blisko człowieka, który zmienił świat, broniąc ubogich, głodnych, pokornych, człowieka, który pozwolił nam poznać Boga, mieć z Nim osobistą relację. Nie mogłam się tego wyrzec, choćbym miała przebiec przez klatkę pełną głodnych lwów. Nikt nigdy nie dokonał czegoś tak wielkiego.

– Słusznie – przyznałam. – Ostatnie Błogosławieństwo. Warte zachodu.

– Jak ono brzmi? – zapytała Sabira, która usłyszała moje słowa.

– „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy Królestwo niebieskie” – wyszeptalam.

Prześadowani dla sprawiedliwości. Ciekawe, jakie też niebezpieczeństwo kryje się za tymi pięknymi, niewinnymi słowami. Ale spotkanie Jezusa, znalezienie się przed Jezusem we własnej osobie... To warte było wszystkiego. I niewątpliwie będzie najważniejszą chwilą w moim życiu.

– No to ruszamy – polecił były katon, obrzucając to miejsce wzrokiem, jakbyśmy mieli jakieś rzeczy do zabrania. – Nie możemy już tracić czasu.

Grube żelazne kłamry zamocowane do skały, zaczynające się na niedużej wysokości dokładnie pod otworem, przez który wpadało tu powietrze i światło, były jedyną drogą wyjścia z tej jaskini. Rozmieszczono je tak, żeby ułatwić wspinaczkę: w dwóch rzędach położonych blisko siebie. Kiedy zobaczyłam, że Kaspar podchodzi do nich, i zdałam sobie sprawę, że to nowa forma schodów do pokonania, krew zastygła mi w żyłach. Komin był wystarczająco szeroki, by zlecieć w dół, jeśli któryś z pierścieni się obluźuje albo jeśli się nie utrzymasz. A najgorsze, że ściągnęłoby się wtedy za sobą wszystkie będących poniżej.

– Matko moja! – zawołałam, gdy Kaspar postawił nogę na pierwszej kłamrze.

– Czekać tu – rozkazał. – Dam znać, jak dotrę na górę.

Znowu robił z siebie bohatera!

– Nic z tego! – oświadczyłam. – Nie będziemy spokojnie czekać, aż spadniesz i rozwalisz się na naszych oczach. Idź pierwszy, jeśli chcesz, ale ja idę za tobą.

Za plecami usłyszałam pomruk aprobaty.

– A ja idę za tobą – oznajmił Faradz, stając obok mnie.

Głaza wkurzało, że stale mu się przeszkadza odgrywać Johna Wayne'a, ale jeszcze bardziej go wkurzało, że nie może mi się sprzeciwić, bo wszyscy zgadzają się ze mną.

Zaczęliśmy gęsiego wchodzić w wysoki komin. Była to wspinaczka w pionie po starych żelaznych kłamrach, za których pewność za nic bym nie poręczyła głównie dlatego, że część wyraźnie była obruszona. Ciarki mi przechodziły po grzbiecie. Nigdy nie uważałam się za odważną, lecz kiedy znajdziesz się dwadzieścia, trzydzieści metrów nad ziemią, jaki masz wybór? Tylko iść naprzód, to jedyna alternatywa. Przystajesz myśleć i mechanicznie powtarzasz ruchy, starając się nie zabić.

Ani razu nie popatrzyłam w dół, żeby nie zemdleć ze strachu, a kiedy wreszcie dotarliśmy do końca i stanęliśmy na twardym gruncie, Kaspar powiedział, że wspięliśmy się na jakieś pięćdziesiąt metrów.

– Wygląda na to, że jesteśmy już niedaleko szczytu Meronu – zauważył Gilad ze zdziwieniem.

– Wspinamy się cały czas, odkąd wyszliśmy z jaskini ruchomych piasków.

– Nie chce mi się wierzyć – powiedziała Abby – by ossuaria były tak blisko powierzchni, że trochę kopania pozwoliłoby je odkryć.

– O tym właśnie wiedzieli Spitteler i Rau – stwierdził Faradz trochę zły. – Dlatego ściągnęły pod Meron detektory podziemne. Może już mają ossuaria.

Wyszliśmy z kominu pośrodku kolejnej kopulastej jaskini ze źródłem wody po jednej stronie. Ale światło wpadające do groty w dole nie pochodziło stąd, tylko z otworów, które miałam obok – sączyło się przez nie, tyle że po tylu dniach przy latarkach wydawało nam się jaskrawe.

Po słowach Faradza Abby spoważniała.

– Nie, to niemożliwe – stwierdziła. – Szin Bet i Fundacja nie spuszczały ich z oczu, odkąd przyjechali do Izraela. Gdyby znaleźli ossuaria, natychmiast by ich zatrzymano, a nas powiadomiono.

Faradz mocno się zdziwił.

– A niby jakby nas powiadomiono? – zapytał.

Dziedziczka się zawahała, pozastanawiała chwilę nad czymś i wreszcie uznała, że lepiej będzie powiedzieć co i jak. Ale i tak byłby katon ją uprzedził:

– Wykorzystując sieć węzłową Paradejsosu, którą wykombinowała Isabella z naszymi inżynierami. Zaraz oddałem sieć do dyspozycji Fundacji i poprosiłem, żeby pracowali wspólnie. W mojej komórce już parę dni temu padła bateria, więc teraz używamy telefonu Abby.

– Isabella pisała? – spytałam rozdrażniona.

– Wiemy tyle samo co wy, Ottavio – wyjaśniła Abby. – Nie było więcej połączeń. Kaspar

tylko poprosił stawrofilaków, żeby współpracowali z Fundacją, a ja poprosiłam Fundację, żeby współpracowała ze stawrofilakami. Nic więcej nie wiemy, zależało mi jedynie, by Fundacja w razie czego mogła korzystać z sieci. Dlatego powiedziałam, że gdyby zatrzymano Hartwiga i Spittelera, zostalibyśmy zawiadomieni.

Kaspar i Abby cierpieli na jakiś syndrom tajemnicy, który kazał im zachowywać dla siebie to, czego wcale nie musieli trzymać w sekrecie. Może oboje lubili mieć władzę i kontrolę albo czuć się ważni czy odpowiedzialni, albo z nie wiadomo jakiego powodu. Jedno było jasne: połączyli siły, by zaspokoić swoje apetyty.

– „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie, albowiem do nich należy Królestwo niebieskie” – przy pomniała Sabira, wskazując otwór, przez który wpadało światło.

Zmiana tematu nastąpiła w samą porę.

– Właśnie, najlepiej skupić się na ostatnim Błogosławieństwie – rzekł Kaspar.

Właśnie wtedy uświadomiłam sobie tak naprawdę, czemu przyjdzie nam stawić czoło przy ostatnim Błogosławieństwie, i poziom adrenaliny mi wzrósł. Pamiętam, że wzięłam Faradza za rękę i uśmiechnęłam się.

– Damy radę, basileja – powiedział z przekonaniem.

Po czym w ślad za innymi weszliśmy w tunel, który prowadził nas do ostatniej już próby. Robiło się coraz jaśniej, jakbyśmy zbliżali się do wyjścia na zewnątrz. Wtem usłyszeliśmy burczenie Kaspara:

– Nie do wiary! No naprawdę nie do wiary.

Było to straszne *déjà vu*. Odkąd weszliśmy do wnętrza Meronu, po raz drugi słyszałam te słowa z ust Kaspara, a poprzednio zapowiedziały nieszczęście. Serce mi szybciej zabiło. Faradz przyspieszył kroku, ciągnąc mnie za rękę tam, gdzie były katon zobaczył coś, w co nie mógł uwierzyć. Jak tylko zbliżyliśmy się do wyjścia z tunelu, dała się odczuć wyższa temperatura, powietrze zrobiło się wilgotne i lepkie.

Ja także nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Jakbyśmy wrócili do gigantycznego kamiennego kominu ze spiralnymi schodami, które kończyły się próbą głodu, tyle że wyszliśmy w miejscu, gdzie było wejście do jaskini z porostami i znajdowaliśmy się w części położonej wyżej, znaczy tam gdzie komin się zwężał, tworząc stożek. Również tu w prawej części stożka była duża kamienna krata, przez którą wdierały się rośliny i grube korzenie, a także światło i duszne powietrze z zewnątrz. Zauważyłam oprócz temperatury pewne drobne różnice: z kraty zwisały łańcuchy z dawnymi cebkami i kędziami służące pewnie do zbierania deszczówki (co nie bardzo miało sens), poza tym nie było żadnych schodów, ani w górę, ani w dół. Był za to długi kamienny pomost zawieszony nad przepaścią, biegnący od miejsca, gdzieśmy stali, do przeciwległej ściany, w której widniał otwór. Za najzabawniejsze jednak należało uznać to, że

długi pomost był zarazem śmiesznie wąski i nie miał poręczy.

– Tam jest ze sto metrów – szepnęła wystraszona Sabira, wychylając się nad przepaść.

– Tak – burkliwie przyznał Kaspar. – A ta cholerna kładka ma jakieś sześćdziesiąt metrów długości i niecały metr szerokości.

– I nie ma krawężników ani poręczy – dodała Abby.

Gapiliśmy się w milczeniu na zawieszoną nad przepaścią niebezpieczną ścieżkę, po której bez wątplenia musieliśmy przejść. Wtem poczułam ukłucie w rękę i zaczęłam się drapać. Gdzieś w pobliżu bzyczał komar, który mnie ukąsił. Biednemu deszcz na tyłek kapie, nawet kiedy siedzi.

– I co robimy? – zapytał Gilad, zaglądnąwszy w przepaść.

W głębi widać było (ale nie było słyhać) coś w rodzaju strumyka płynącego między wielkimi kamieniami. Żadne pocieszenie: na wąskiej kładce łatwo się pośliznąć i rozbić się na miazgę na skałach w dole.

– Tyle dobrego – zauważył były katon – że nikt z nas nie ma lęku wysokości.

– Ja mam – ostrzegłam.

– Nie masz, basileja – zauważył Faradz. – Jesteś tylko bardzo strachliwa, ale lęku wysokości nie masz.

– Mordega jest taka sama – usprawiedliwiłam się.

– Żeby przejść przez ten cholerny pomost – ciągnął były katon – powinniśmy przedsięwziąć pewne środki ostrożności, bo nie mamy ani lin, ani sprzętu do wspinaczki.

– Możemy się położyć na kładce i przeczołgać na brzuchu – zaproponowałam.

– Zajęłoby to parę godzin – zwrócił uwagę Gilad po chwili ciszy.

– Tak, ale przywierałibyśmy całym ciałem do powierzchni – nalegałam. – Nikomu by nie groziło, że straci równowagę i spadnie.

– Zapominasz – wtrącił mój mąż – że ani Kaspar, ani Gilad, ani ja nie mamy kuszul, które przypadły jako tobołki na porosty. Otarlibyśmy sobie cały przód o kamień. A zapewniam cię, to bardzo, ale to bardzo boli.

Miny trzech panów świadczyły, że cierpią na samą myśl o tym.

– Nie przesadzajmy – zawołała Abby stanowczo. – Przejdziemy, trzeba tylko iść powoli i bardzo ostrożnie. Nic nas nie goni. Im wolniej będziemy szli, uważnie stawiając każdy krok, tym mniejsze będzie zagrożenie.

– I za nic nie wolno patrzeć w dół – podkreślił Kaspar. – Wzrok kierujemy przed siebie. Oddychamy głęboko, spokojnie stawiamy kroki, idziemy powoli i bez strachu. Jeśli ktoś się potknie, nie może się chwycić idącego przed nim, bo go pociągnie za sobą. Zrozumiano?

– A ten, kto idzie z tyłu, też nie może pomóc w razie upadku? – zapytałam.

– Nie! – huknął Głaz, groźnie na mnie patrząc.

W ogóle mnie to nie wzruszyło. Takiej władzy nie miał nade mną. Jeśli zobaczę, że ktoś przede mną stracił równowagę, na pewno mu pomogę. Nie zamierzałam pozwolić, by ludzie ginęli, skoro można tego uniknąć. A potencjalne zagrożenie dla mnie oceniać będę w stosownym momencie.

– Gotowi? – zapytał były katon. – To ruszamy. Idę przodem.

Na Boga, jaka żądza bohaterstwa! Ten człowiek był doprawdy nieznośny.

Kolejny komar uciął mnie w nogę przez spodnie. Podrapałam się i przygotowałam do wejścia na pomost. Przede mną szli: Kaspar, Abby, Sabira i Gilad; za mną Faradz. Nie podobało mi się, że jest ostatni, lecz inni już się oddalali, a on nie chciał mnie zostawić na końcu.

– Zaufaj mi, skarbie – rzekł spokojnie. – Nic mi się nie stanie.

Postawiłam nogę na niebezpiecznej kładce, starając się zapanować nad szybkim waleniem serca, oddychając głęboko i patrząc przed siebie, jak kazał Kaspar. Przypuszczam, że to, co oblepiało mi całe ciało, było potem ze strachu w połączeniu z duszną wilgotnością tego miejsca. Stawialiśmy kroki powoli, miarowo. Każdego od reszty oddzielała spora odległość, jakby wszyscy podświadomie unikali innych, by nie musieć podejmować strasznej decyzji, jeśli przyjdzie taka chwila. Oddech mi przyspieszył. Należało go kontrolować i nie patrzeć w dół. Spokojnie. Kolejny krok Szło nam się dobrze. Sznureczkiem posuwaliśmy się wolno naprzód, bez pośpiechu, ale i bez przyśtaników.

I naraz w ciszy ogromnego komina rozległ się wyraźny dzwonek telefonu. Wszyscy zatrzymaliśmy się przerażeni. Serce skoczyło mi w piersi.

– To nic – powiedziała Abby spokojnym, wyluzowanym głosem. – Na mój telefon przyszła wiadomość przez komunikator. Ktoś próbuje się z nami skontaktować.

– Gorszego momentu nie mogli wybrać! – zezłościł się Faradz.

– Nie odbiorę teraz wiadomości – rzekła Abby niespiesznie. – Nie denerwujmy się dzwonkiem. Przeczytamy ją, jak dojdziemy na drugą stronę.

Do drugiej strony dużo nam brakuje, pomyślałam. Kaspar nie dotarł jeszcze nawet do połowy kładki. A pod sobą mieliśmy ponad stumetrową przepaść. Należało się uspokoić, bo przecież nie będziemy narażać życia przez głupi dzwonek telefonu.

Kostka mnie zapiekła od kolejnego ukucia komara. A niech to!... I nawet nie mogłam się podrapać. Skąd się tu wzięło tyle tego robactwa? Oczywiście wysoka temperatura i wilgoć bardzo im sprzyjały. Musiałam siłą woli zapanować nad swędzeniem. Lepiej się podrapać czy przeżyć?

To jednak był dopiero wstęp. Niebawem chmara komarów zaczęła nam bzyzczyć nad głowami, niektóre jak kamikadze rzucały się na nas, żądne krwi.

– Zjedzą mnie żywcem! – zawołał Gilad niespokojnie.

– Mnie też! – jęknęła Sabira.

Pod bosymi stopami wyczułam na kamiennej kładce gwałtowne ruchy moich towarzyszy.

– Spokój! – huknął Głaz. – Nie denerwujcie się. Panujcie nad sobą. Niech gryzą, a wy się nie ruszajcie.

Chmura komarów zdecydowała w tej chwili, że owszem, jesteśmy jadalni, i nagle opadła na nas lotem pikującym. Wtedy zrozumiałam, jaką rolę pełnią tutaj kadzie i cebry zawieszane u krat: zbierająca się w nich deszczówka była wylęgarnią larw komarów. Prześladowani dla sprawiedliwości, pomyślałam, aczkolwiek należałoby raczej powiedzieć: nęłani i dręczeni, choć nie tyle chodziło o ukąszenia, ile o to, że otaczała nas masa owadów bzycających wszędzie dookoła i zmuszających nas do oganiania się rękami, przez co ryzykowaliśmy utratę niepewnej równowagi. Właziły do oczu, ust, uszu... Cięły przez ubranie w plecy, nogi, w owłosioną skórę głowy... To było istne piekło. Nie mogliśmy iść dalej, bobyśmy pospadali.

I wtedy rozległ się wrzask Gilada:

– Sabiraaaa!

A potem przeciągły krzyk, krzyk przenikliwy, wołający pomocy. Krzyk Sabiry spadającej w przepaść i niknącej w oddali. Później wszystko ucichło.

Struchleliśmy i zneruchomieli przerażeni tym, co się stało, przestaliśmy się oganiać od komarów, które nadal wściekle atakowały. Sabira spadła w przepaść – wstrząsnęło to nami do głębi.

– A jeśli żyje? – powiedziałam zrozpaczona, odganiając owady z ust. – Musimy ją wyciągnąć!

Usłyszałam głuchy jęk Gilada. Usłyszałam także szloch. Płakała Abby.

– Musimy ją wyciągnąć! – powtórzyłam z uporem.

Nie mogłam uwierzyć, że Sabira spadła na dno tej przepaści i... Nie, Sabira nas potrzebowała, musieliśmy jej pomóc.

– Uspokój się, basileja – odezwał się mój mąż za mną. – Nic nie możemy dla niej zrobić. Nie patrz w dół, proszę.

Ani myślałam patrzeć. Ale nie mogłam się pogodzić, że Sabira asasyńska, sympatyczna archeolożka, umarła. Nie mogłam. Nie godziłam się. Ta miła kobieta o wyglądzie dziewczynki, inteligentna artystka, słodka osobka nie mogła umrzeć. Łzy, które nieczęsto pojawiały się w moich oczach, zaczęły mi spływać po policzkach. Nie, proszę, Sabiro, nie, modliłam się żarliwie. Komary nadal cięły żarłocznie, lecz przestałam to zauważać i pewno podobnie było z innymi, bo nieruchoma przez jakiś czas kładka znowu zadrzęła, gdy swędzenie ukąszeń na powrót przedarło się do umysłów. Tyle że teraz drzenie było silniejsze, jakbyśmy wszyscy chcieli pospadać w ślad za Sabirą.

– Padnij! – krzyknął za mną Faradz. – Wszyscy padnij! Połóżcie się i czołgajcie, jak proponowała przedtem Ottavia!

Umierałam ze strachu. Kiedy się położyłam, ramiona miałam naprawdę blisko skrajów kładki. Z oczu nadal płynęły mi łzy z powodu biednej Sabiry, lecz teraz pragnęłam tylko wyjść stamtąd. Raz na zawsze wyjść z tej przeklętej góry, i to żywa.

Na leżąco komary też nas cięły, ale przynajmniej nie z przodu, chociaż nadal z prawdziwą furią atakowały oczy, uszy i usta. Wspaniałe symbol wybrali sobie ebionici przy prześladowanych dla sprawiedliwości, ponieważ ostatecznie ich pułapki na złodziei doprowadziły do śmierci wspaniałej kobiety, która miała długie życie przed sobą. Oni byli prześladowcami, a Sabira ich niewinną ofiarą. Poczulałam głuchą złość na tych ludzi sprzed ośmiu wieków.

Z bólem i smutkiem w sercu usiłowałam wyrzucić z głowy te myśli. Na powrót skupiłam uwagę na komarach. Najgorsze były nerwy, nakazywana przez umysł przemożna potrzeba oganiania się od owadów i ucieczki daleko od ich ukąszeń. A także swędzenie, konieczność

natychmiastowego podrapania się po ukłuciu blokująca instynkt przetrwania jak w wypadku Sabiry. Szukałam w głowie oddalonego zakątka, miejsca ciemnego i spokojnego (mogłam sobie na to pozwolić, bo oczy miałam zamknięte), żeby się pomodlić. I zaczęłam rozmawiać z Bogiem, z tym Bogiem, którego wciąż mgliście sobie wyobrażałam, po części z Jahwe, po części z Bogiem Ojcem z Trójcy Świętej i po części z kimś nowym, kogo musiałam dopiero poznać, ale przypominał bardzo Jezusa Boga, którego znałam przez całe życie i który był mi taki bliski. I kiedy tak się modliłam, kiedy w Bogu szukałam pociechy i ukojenia, posuwałam się naprzód, wyciągając ręce jak najdalej, chwytając się brzegów pomostu i podciągając naprzód, a równocześnie odpychając palcami u stóp sponiewieranych, bo one również stały się celem zmasowanego ataku żarłocznych owadów.

Od czasu do czasu kładłam twarz na pomoście (prawie czystym po przeczłganiu się trzech osób przede mną) w złudnej nadziei, że choć na chwilę pozbędę się komarów z oczu i ust. Znikały przy najmniej z nosa, co zasługiwało na dużą wdzięczność.

Nie wiem, ile czasu spędziliśmy w tym piekle. Wieczność. W pewnym momencie usłyszałam Faradza pytającego, jak się czuję. Mówiąc, co chwilę pluł, odpędzając owady od ust. Uspokoił mnie jego głos. Skoro jemu nic nie było, reszta się nie liczyła. Odpowiedziałam mu jak się dało i pełzałam dalej. Prawie u celu zderzyłam się z nogami Gilada, chociaż był dużo lepiej umięśniony i silniejszy niż ja. Może Kaspar lub Abby go przyhamowali. Już nie czułam ukłuć. Czułam swędzenie, czułam, że jestem pokryta warstwą komarów od stóp do głów, lecz niczego nie czułam na ciele, które jakby usnęło.

Gdy po raz ostatni wysunęłam ręce, podciągnęłam się i dłońmi dotknęłam ściany przepaści, ogarnęło mnie niepoohamowane pragnienie, by zerwać się na nogi i bieć, zachowałam jednak ostrożność – poczełam, aż Gilad zejdzie z kładki. Wtedy dopełzałam i ja do końca, podniosłam się i czekałam sama, znosząc ukłucia komarów, póki Faradz nie znalazł się obok mnie. Dopiero wtedy oboje rzuciliśmy się biegiem do otworu w skale, w którym już zniknęli nasi towarzysze. Było to wejście do innego tunelu, wąskiego i zimnego, który wiał się i piał bez ustanku w górę. Komary zostawiliśmy za sobą, nie ścigały nas. Przypuszczałam, że już się najadły albo nie odpowiadał im chłód. My zaś musieliśmy się jak najszybciej oddalić od miejsca, gdzie straciliśmy Sabirę. Poza tym piekący ból na ciele był nie do zniesienia. Zimny tunel ciągnął się i ciągnął, miejscami biegł pochyło, czasem ostro skręcał, tak ostro jak na samym końcu, gdy weszliśmy do ciemnej jaskini, którą oświetliły latarki Kaspara i Abby. Na drodze stanęła nam ogromna cysterna z wodą. Kiedy doszliśmy tam z Faradzem, Gilad płakał.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że mężczyźni mają cały tors pozdzierany i podrapany na kamiennym pomoście, ponadto od pasa w górę są pokryci czerwonymi krostami i ukłuciami. Abby jedną powiekę miała tak obrzmiałą, że zakrywała jej oko, a wszyscy pięcioro – bez Sabiry,

jej już nie było – mieliśmy twarze zaczerwienione i opuchnięte.

Cztery strumienie wody wypływały ze ścian, wpadając do cysterny i chłodząc powietrze w jaskini.

– Podejrzewam, że lodowata woda dobrze nam zrobi – mruknął Faradź.

– I tak musimy przepłynąć na drugi brzeg – zauważył Kaspar.

– Woda złagodzi swędzenie i zmniejszy obrzęki – dodał mój mąż.

– Gilad, widziałeś, jak spadała? – spytała nagle Abby.

Oniemieliśmy. Słychać było tylko szum wody.

– Widziałem – przyznał. – Za bardzo się kręciła, żeby odgonić komary. Przytrzymałem ją, żeby przestała, ale jak tylko ją puściłem, znowu zaczęła wymachiwać rękami i po prostu spadła. Zanim zdałem sobie sprawę, już jej nie było. Nie widziałem dobrze, ale śledziłem ją wzrokiem, póki nie roztrzaskała się o skałę w głębi i nie zsunęła na dno.

– Strumień ją porwał? – spytałam, gładząc się po ramionach, by złagodzić swięd.

– Nie, została tam – odpowiedział i znowu z oczu popłynęły mu ciche łzy.

– Musimy wejść do wody – ponaglił nas były katon.

– Nie myśl, że nie chcemy! – rzekła Abby z wyrzutem, wyjmując komórkę z hermetycznej kieszeni spodni. – Włączcie telefony.

Posłuchałam, przełykając łzy. Wrócimy po Sabirę. Nie zostawimy jej tutaj. Rodzina będzie mogła ją pochować jak należy.

– To z Fundacji – powiedziała Abby, patrząc na wyświetlacz jednym otwartym okiem. – Zlokalizowali sygnał GPS mojej komórki bliżej zbocza góry. Piszą, że wysyłają ekipę ratunkową, bo przypuszczają, że doszliśmy do końca i mamy to, czegośmy szukali. Proszą, żebyśmy dla bezpieczeństwa mieli włączone komórki.

– No, pomęczą się, zanim nas stąd wyciągną – stwierdziłam, obrzucając wzrokiem jaskinię.

– Przypominam, że musimy przepłynąć cysternę – powtórzył Kaspar niezadowolony.

Włączone komórki schowaliśmy do kieszeni i posłusznie zrobiliśmy, co kazał. Tym razem nikt nie wpadał do wody zniemacka, każdy wchodził do niej, jak mu pasowało – poczynając od eleganckiego, perfekcyjnego skoku Abby i kończąc na moim ostrożnym zanurzeniu się: uczepiona brzegu opuszczałam się powoli, bo za grosz nie ufałam tej wodzie.

Ale nie było niespodzianek. Lodowata woda, tak jak powiedział Faradź, bardzo złagodziła swędzenie i zmniejszyła obrzęki, tak że nawet Abby mogła podnieść powiekę. Zaczerwienienia prawie znikły, nasze twarze odzyskały normalne kolory i wygląd. Zbyt przyjemnie nie było, lecz odczuliśmy wielką ulgę, toteż siedzieliśmy w wodzie ile się dało, a przy okazji obmywaliśmy ciała z nagromadzonego na nich brudu.

Abby pierwsza wyszła z cysterny po drugiej stronie, zaraz po niej Kaspar i oboje legli na

ziemi, aby odpocząć i ogrzać się nieco. Faradz, który trzymał się blisko Gilada, razem z nim wyszedł z wody, ale kiedy i ja znalazłam się na brzegu, usiadł obok mnie oparty o ścianę. Nikt się nie odzywał. Czasami wspólne milczenie jest najlepszą pociechą.

Mimo wszystko skutki ukąszeń komarów chyba niezupełnie przeszły, ponieważ poczułam dziwny skurcz w nodze. Sięgnęłam ręką, by rozmasować mięsień, i ze zdziwieniem odkryłam, że to żaden skurcz, tylko wibrowanie mojej komórki. Popatrzyłam na innych, spodziewając się, że usłyszę dzwonek ich telefonów, ale wszyscy siedzieli spokojnie z zamkniętymi oczami.

Ostrożnie wyjęłam komórkę z kieszeni i spojrzałam na wyświetlacz. „Ciociu, nic nie mów”. Isabella! Moja kochana, słodka, wytęskniona Isabella! Moje dziecko! Dlaczego nie pozwala mi mówić? No dobra, wszyscy byli zmęczni, więc tylko wyłączyłam dźwięk w telefonie, zanim mnie zdradził. Kiedy to zrobiłam, otrzymałam informację, że mam szczęście wiadomości w komunikatorze internetowym. Włączyłam aplikację i stwierdziłam, że Isabella jak zwykle napisała wiadomość w kawałkach.

„W żadnym razie mi nie odpowiadaj. Jestem teraz z Jakiem i Becky”.

„Poszperałam, jak prosiłaś, i znalazłam o nich coś dziwnego”.

„Matka Jake’a była Włoszką, nazywała się Gabriella Simonini”.

„Jedna z jego prababek była Polką, nazywała się Janina Szymonowicz”.

„Becky urodziła się w Norwegii, panieńskie nazwisko: Simonsen”.

„Nie odpowiadaj. Buziaki”.

Z zaskoczenia ponownie przeczytałam wszystkie wiadomości, po czym schowałam telefon. Dlaczego Isabella wróciła do Toronto, skoro zostawiliśmy ją z Linusem w Paradejsosie dla ochrony przed bandziorami Tourniera? Dlaczego była w szpitalu u Jake’a i Becky? Nic z tego nie rozumiałam. Na zewnątrz góry Meron działo się coś dziwnego, aczkolwiek znacznie dziwniejsze były nazwiska przodków Simonsonów. Zgoda, że statystycznie liczba Simocoostam jest niewielka i mógł to być czysty przypadek, lecz odłożywszy na bok statystykę, ów przypadek wydawał się naprawdę zdumiewający, nie wspominając o tym, że wszystkie cztery nazwiska (Simonson, Simonini, Szymonowicz i Simonsen) znaczyły to samo: syn Szymona. W głowie mi się zawróciło i nie dlatego, że było mi niedobrze.

Simon, Symeon, Szimeon, Szymon... To wszystko formy tego samego starożytnego imienia hebrajskiego. Czyli wszystkie te cztery nazwiska wywodziłyby się od „ben Szimeona”, jak miano rabina Susji: Elijahu ben Szimeon. Chociaż jednak to wszystko mogło się wydawać dziwne (dla mnie było bardzo dziwne), martwiłam się, że Isabella jest poza Paradejsosem. Dlaczego? Do licha, co ta dziewczyna porabia w Toronto bez naszego pozwolenia? Przynajmniej Gottfried Spitteler i Hartwig Rau byli tutaj, w rejonie Meronu, co nie znaczyło, że arcybiskup Tournier nie wymyślił znowu czegoś zbrodniczego w Toronto.

– Chyba powinniśmy ruszyć dalej – usłyszałam głos Abby.

Abby ben (a właściwie bat) Szimeon, pomyślałam mimo woli. I wtem zdałam sobie sprawę z czegoś jeszcze. Abby to zdrobnienie od Abigail. Naprawdę więc nosiła hebrajskie imię Abigail. Abigail bat Szimeon. „Jake” zaś to zdrobnienie od imienia Jacob. Jakub ben Szimeon. A Becky? Becky naprawdę nosiła imię Rebeca, Rebeca Simonsen, Rebeca bat Szimeon. Jak miał na imię najstarszy syn Jake’a i Becky, ten, który zginął na nartach w Nowej Zelandii? Nat! Nathan Simonson. Natan ben Szimeon. A ojciec Abby, młodszy syn Jake’a i Becky...? Danglard! Daniel ben Szimeon. Simonsonowie byli Żydami, i to do szpiku kości, chociaż znakomicie to ukrywali. Poza tym znali Pismo Święte łącznie z ewangeliami do tego stopnia, że Jake za pierwszą bytnością u nas zacytował werset z Ewangelii... Mateusza. Z Ewangelii świętego Mateusza, jedynej uznawanej przez ebionitów.

Pod wpływem tych myśli ogarnęło mnie niezwykle uczucie, że moja głowa to dzwon, w którym jak oszalałe tłucze się jego serce. Czy Simonsonowie są Żydami i pochodzą od ebionickiego rabina Elijahu ben Szimeona?

– Nie chcecie znaleźć ossuariów? – dopytywała Abby z niejaką radością w głosie. – Doszliśmy do końca. Gdzieś tu na nas czekają.

Popatrzyłam na nią i nie poznałam jej. To nie była Abby Simonson, z którą obcowałam od prawie dwóch miesięcy. To była Abigail bat Szimeon. Musiałam pokazać Faradżowi wiadomości od Isabelli, lecz teraz nie było po temu czasu ani warunków. Podnieśliśmy się, by ruszyć na poszukiwanie ossuariów, i każdy by zauważył, gdybym podała mężowi swoją komórkę, aby je przeczytał.

Zapaliliśmy latarki i dopiero wtedy zobaczyliśmy drzwi. Prawdziwe drzwi, nie otwór w skale. Ściśle mówiąc, był to łuk oparty na węgarach. Musieliśmy pokonać kilka stopni, by przejść pod łukiem i zobaczyć, co za nim jest. Wszystko spowijał tam półcień. Na zworniku łuku ebionicki symbol, gwiazdę Dawida z wpisanim w nią krzyżem, wryto jako herb albo znak, czym jest miejsce, w które wstępowaliśmy.

Abby pierwsza weszła po stopniach i oświetliła wnętrze. Podążyliśmy za nią. Wtedy dopiero zrozumiałam, jakie to ważne dla niej i dla jej dziadków. W mojej głowie wszystkie elementy układanki znalazły się gdzie trzeba.

Wyszliśmy nagle z wnętrza góry i znaleźliśmy się w starannie wybudowanym romańskim kościele o ścianach z kamiennych płyt, brukowej posadzce, z trzema wysklepionymi nawami przedzielonymi prostymi kolumnami o kapitelach z motywami geometrycznymi.

– Synagoga! – zdumiał się Gilad.

Przypuszczam, że wiedział, dlaczego tak mówi, dla mnie bowiem był to średniowieczny kościół, choć raczej szerszy niż dłuższy, bo szeroki na jakieś sto dwadzieścia metrów i długi na

mniej więcej sześćdziesiąt. Przed nami na czymś w rodzaju niezbyt wysokiego ołtarza spoczywało ossuarium z jasnego wapienia, najważniejszy element tego miejsca. Za nim wznosił się większy ołtarz, a w głębi widniała stara szafa o drewnianych drzwiach. W prawej nawie osiem ossuariów takich samych jak to w nawie centralnej ustawiono na posadzce w kręgu, a w lewej jedno ossuarium, nakryte pysznym zielonym aksamitem ozdobionym arabskimi literami haftowanymi złotem stało na ziemi pod ścianą na wprost wejścia. Po miejscu ustawienia natychmiast odgadłam, czyje szczątki znajdują się w ossuarium, które miałam przed sobą w odległości niecałych trzydziestu metrów. Nie chciałam w to jednak uwierzyć. Jeszcze nie. Nie w ten sposób.

Powoli, nieśmiało podeszliśmy do mniejszego ołtarza. Przypuszczam, że każdy inaczej przeżywał tę chwilę – zależnie od swojej wiary, sympatii i antypatii. Dla mnie było to doznanie tak silne, tak przemożne, że nie czułam, jak idę, posuwam się naprzód, dochodzę na miejsce. Byłam jedynie świadoma, że mam tu, przed sobą, szczątki osoby najważniejszej w historii świata, kogoś, kogo dawniej kochałam przeogromnie jako Boga i kogo będę nadal tak samo kochała jako istotę ludzką. Przepełniała mnie miłość i zażyłość, jaką się czuje, podchodząc do grobu ojca lub brata. Jezus z Nazaretu, o ile naprawdę tutaj spoczywał, o ile to naprawdę były jego szczątki, ucieleśniał jedną z najważniejszych składowych mojego życia, tę część, która nadawała mu sens, która wszystko tłumaczyła.

Gilad nachylił się nad ossuarium z dwuspadową pokrywą, ustawionym do nas dłuższym bokiem, i bez żadnego uszanowania, za to z ciekawością badacza ostrożnie przejechał dłonią po wieku, zgarniając kurz i pył nagromadzone tu przez wieki. Odsłonił dwie starannie wyryte pięknymi literami inskrypcje: po hebrajsku i po aramejsku. Przyświecając sobie latarką, wskazywał palcem hebrajskie litery od prawej do lewej i czytał:

– Jezua ha-Maszjach ben Jehosef.

– „Jezus Mesjasz syn Józefa” – tłumaczył Faradz ze zdziwieniem w głosie, jakby do tej pory nie dowierzał, że naprawdę odnaleźliśmy autentyczne szczątki Jezusa.

– To samo jest napisane po aramejsku – dodał szeptem Gilad.

W gardle wezbrał mi szloch, opadłam na kolana przed ossuarium, chyląc głowę. „Jezus, Jezus, Jezus...”, zaczęłam powtarzać w duchu niczym psalmodię bez końca, niczym modlitwę złożoną z jednego tylko słowa. Od początku czułam strach, że mój świat runie, lecz nie runął. Tylko jakby pękła skorupka i narodziłam się do nowego życia, swobodniejszego, pełniejszego, logiczniejszego.

Nie zauważyłam, kiedy Kaspar ukląkł obok mnie i czoło pochylił do posadzki w nadzwyczajnym akcie pokory i pobożności. Zdałam sobie z tego sprawę, ponieważ mnie musnęła, i kiedy się obejrzałam, zobaczyłam, że niemal leżąc, porusza ustami, jakby się modlił.

Nie mogłam uwierzyć, że faktycznie przeżywam tę chwilę. To było jak sen, jakbym miała

urodziny i otrzymała najpiękniejszy podarunek, jaki można sobie wymarzyć. I wtedy zaczęłam się modlić. Zaczęłam się modlić do Boga, do Boga Jedynego, i nieświadomie wprowadziłam do modlitwy Jezusa, dziękowałam, że Go spotkałam, że było mi dane doświadczyć tych chwil, które odmienią moje życie na zawsze. Właśnie wtedy, przed ossuarium Jezusa, poznałam wreszcie swojego Boga, który później towarzyszył mi już zawsze, a dał mi Go Jezus, tak jak dawał Go ludziom przez całe swoje życie, choć byli tacy, jak na przykład Paweł z Tarsu, pseudoapostoł, co przeznaczyli wszystko, by stworzyć nową religię na swój obraz i podobieństwo, a nie na obraz i podobieństwo Boga i Jezusa.

Ktoś delikatnie położył mi dłoń na ramieniu, by zwrócić moją uwagę. To Faradz dał mi znak, abym spojrzała na prawą nawę. Sklamieniałam na widok Abby Simonson kłęczącej jak Kaspar i ja, tyle że przed inną skrzynią z wapienia. Faradz schylił się i szepnął mi do ucha:

– Poprosiła Gilada, żeby jej wskazał ossuarium Szymona, syna Józefa i brata Jezusa Mesjasza.

W głowie mi błysnęło, aż mnie zatkało. Abigail bat Szimeon szukała przede wszystkim szczątków Szimeona ben Jehosef ach d’Jezua ha-Maszijacha. To nie mógł być przypadek. To nie był przypadek.

Kiedy Kaspar modlił się nadal przy ossuarium Jezusa, Abby kłęczała przed szczątkami Szimeona, brata Jezusa, a Gilad niezwykle ostrożnie otwierał drewniane drzwi szafy w głębi, ja wstałam i wyjęłam komórkę z kieszeni. Otworzyłam komunikator i bez słowa pokazałam Faradzowi wiadomości od Isabelli. Przeczytał je, popatrzył na mnie oszołomiony, przeczytał raz jeszcze, spojrzał na Abby i zwrócił mi komórkę. Z głowy mu się dymiło tak jak mnie.

– Niemożliwe – powiedział bezgłośnie samymi ustami.

– Myślałam, że pochodzą od rabina Elijahu ben Szimeona – szepnęłam mu na ucho ledwie słyszalnie – ale teraz sądzę, że wywodzą się od Szimeona ach d’Jezua. Faradz, to potomkowie Jezusa!

– Nie w prostej linii – szepnął. Jego zarośnięta twarz odzwierciedlała niezmierne zaskoczenie.

– Niech ci będzie, że nie w prostej, ale wywodzą się od Józefa i Marii, rodziców Jezusa! – wysyczałam.

Ekscytacja wychodziła ze mnie wszystkimi porami. Albo to wszystko było absolutnie niedopuszczalnym brakiem poszanowania, bluźnierstwem i podłością, albo rzeczywistość podsuwała nam nowy punkt widzenia i odkrywaliśmy właśnie historyczne tajemnice religijne niewyobrażalnych rozmiarów.

– Pamiętaj – powiedział Faradz – że Euzebiusz z Cezarei twierdzi, że Juda, Jehuda, brat Jezusa, miał dwóch wnuków⁴⁰. To oczywiste, że skoro Jezus miał rodzeństwo i licznych kuzynów, większość z nich doczekała się dzieci i wnuków. W każdym razie historycznie zostali potwierdzeni potomkowie rodziny Jezusa aż do połowy trzeciego wieku.

– Simonsonowie! – oświadczyłam z mocą, acz szeptem.

– Niewykłuczone – zgodził się mój mąż, kierując znowu wzrokna Abby.

Teraz kłękała, składała ręce i pochyliła głowę kolejno przed każdym z pozostałych siedmiu ossuariów. Skończywszy, wstała i skierowała się do ossuarium Jezusa. Dopiero wtedy spostrzegła, że ją obserwujemy. Przystanęła, spojrziała na nas, uśmiechnęła się ciepło i wolno poszła dalej. Ukłękła obok Kaspara, tym razem jednak pochyliła się taknisko, że dotknęła czołem ziemi.

– Co Gilad robi? – zainteresował się naraz mój mąż.

Rozejrzałam się za Izraelczykiem. Z szafy w głębi wyjmował jakieś wielkie paki. Czym prędzej ruszyliśmy mu z pomocą.

– Daj, to ci pomogę – zaproponował Faradz.

Gilad jednak odmówił.

– To starożytne zwoje Tory – powiedział, ostrożnie składając je na dużym ołtarzu, który pewnie był bimą, mównicą. – Ta szafa to arka, aron ha-kodesz, w którym w każdej synagodze na świecie trzyma się zwoje.

– Czyli to jest naprawdę synagoga? – zapytałam.

Nawet jeśli znajdowaliśmy się w synagodze, dla mnie był to również kościół. Złożenie tu szczątków Jezusa, jego matki Marii i reszty rodziny przeobraziło to miejsce w chrześcijańską świątynię. Choć oczywiście ebionici jak zwykle wymieszali totalnie elementy judaizmu i chrześcijaństwa. Wskazywał na to choćby widniejący na łuku nad wejściem krzyż z gwiazdą.

– Tak, trzy nastowieczna synagoga – przyznał Gilad. – Niesamowite odkrycie.

– Masz świadomość, że spoczywają tu szczątki Jezusa z Nazaretu?

Nie chciałam go wprawić w zakłopotanie, dziwiło mnie tylko, że większe wrażenie robi na nim budowla niż ossuaria. Znieruchomiał.

– Powinienem okazać więcej respektu? – zaniepokoił się.

Dla niego Jezus nic nie znaczył, obawiał się zatem, że mimowolnie zachował się nieodpowiednio.

– Nie, nie – uspokoił go Faradz. – Nie trzeba.

Gilad kiwnął głową i sięgnął po piąty i ostatni zwój Tory. Cztery leżały już na bimie w aksamitnych pokrowcach bogato ozdobionych haftowanymi srebrem hebrajskimi literami i tablicami Mojżeszowymi, tymi z dziesięciorgiem przykazań. Z pokrowców wystawały końce poczerńiałych srebrnych wałków, na które nawinięto pergaminy z tekstem pięciu ksiąg Tory, którą my nazywamy Pięcioksięgiem (Genesis, Exodus, Leviticus, Numeri, Deuteronomium).

I wtedy usłyszałam znajomy dźwięk mechanizmu, z którym od jedenastu dni mieliśmy do czynienia co rusz w trakcie wędrówki we wnętrzu tej góry. Błyskawicznie obróciłam się w stronę, skąd dochodził: z aron ha-kodeszu, arki, z której Gilad wyjął właśnie ostatni zwój Tory. On także

słabieniał, przeobraził się w posąg z wielkim rodalem w objęciach.

– No masz...! – wykrzyknął Faradz, spodziewając się jak Gilad i ja, że zaraz nastąpi jakaś katastrofa.

Natychmiast rozległ się szelest piasku przesypującego się między wszystkimi ścianami chrześcijańskiej synagogi. Ogromne jego ilości szybko się przesuwały, ustępując z wolna również znajomemu brzęczeniu licznych łańcuchów, które się zwijały albo rozwijały. Kaspar zerwał się na równe nogi i podszedł do nas razem z Abby.

– Co się stało? – zapytał swym tubalnym głosem. Oczy miał wilgotne.

Faradz i ja oskarżycielsko wskazaliśmy Gilada, który nadal stał bez ruchu z wielkim zwojem Tory w objęciach. Musiał być naprawdę silny, skoro tak długo potafił dźwigać taki ciężar.

W tej chwili najbardziej przerażający dźwięk, dźwięk ocierających się o siebie kamieni, zjeżył mi włosy na głowie, towarzyszyło mu bowiem drżenie sklepienia i hałas spuszczonego nagle łańcuchów. Jednakże ta część sklepienia, którą wstrząsnęło zgrzytanie i trzeszczenie, znajdowała się nad środkową częścią lewej nawy, gdzie pod ścianą z drzwiami stało ossuarium Hasana i-Sabbaha, założyciela sekty asasynów (czyli izmailitów nizarytów), na które w ogóle nie zwróciliśmy dotąd uwagi. Gdyby Sabira dotarła tu z nami, z pewnością byłyby to najważniejsze chwile w jej życiu, my natomiast ledwie zauważyliśmy tę kamienną skrzynię – sprawdziliśmy po prostu z daleka, czy je szczątki w niej spoczywają.

Gruba kamienna kładka opadła ze sklepienia niczym zjeżdżalnia podtrzymywana dwoma łańcuchami na końcu i dotknęła posadzki jakieś pięć metrów od ossuarium Hasana i-Sabbaha. Przez powstały otwór wpadło jasne światło i górskie powietrze (oprócz tego masy ziemi, liści, korzeni, roślin i prawdopodobnie robaków zasypały posadzkę w synagodze).

Jeszcze nie otrząsnęliśmy się z wrażenia, gdy oddział paramilitarny w mundurach polowych, zaopatrzony w najróżniejszą broń, zaczął schodzić po kładce, celując w nas z karabinów.

ROZDZIAŁ 40

Abby wystąpiła do przodu.

– Jestem Abby Simonson – oświadczyła głosem prezski Simonson Finance Group.

Jeden z przybyłych powiedział coś do radia zamocowanego na ramieniu. Pozostali opuścili broń. Ten, który szedł przodem i już stanął na posadzce, zbliżył się do niej.

– Kapitan Roy Madden, dział ochrony Fundacji Simonsonów.

Wysoka, chuda jak tyczą postać wyróżniająca się długimi, gęstymi włosami koloru jasnołasztanowego zbiegła na dół.

– Ciociu! Wujku! – wołała jak wariatka.

Ludzie w mundurach musieli się usunąć, aby ją przepuścić. Dopadła do mnie i rzuciła mi się na szyję jak w czasach, kiedy była mała. Isabella, która nie przepadała za pieszczołami, ścisnęła mnie i całowała, jakby straciła rozum. Nim zdążyłam zareagować, już mnie zostawiła i przypadła do Faradza, który w tej chwili wyglądał na najszcześliwszego człowieka na ziemi.

– Isabella... – wyjąkałam niedowierzająco.

Co tu robi? Jak się dostała na górę Meron? Co to wszystko znaczy?

Wujka też już zostawiła i witała się z Kasparem i Abby.

– Jak się macie? – zapytała nas.

– Abby! – rozległ się w tej chwili okrzyk u góry kładki.

Niesamowita, cudownie ozdrowiała Becky Simonson, wystrojona w elegancki, stylowy sportowy ubiór górski, który leżał na niej jak rękawiczka, zeszła do swojej wnuczki o wiele szybciej, niżby mogła sobie pozwolić kobieta w tak zaawansowanym wieku. Padły sobie w ramiona i stały objęte tak długo, że zdążył do nich dojść Jake, również przebrany za górolaza, lecz idący wolniej mimo imponującej prezencji. Otoczył obydwie ramionami i trwali tak we troje przez czas, który wydał mi się wiecznością, mimo że Isabella znowu przywarła do mnie jak pijawka.

– Do licha... – zaczęłam.

– Spoko, ciociu, wszystko wyjaśnię. Ale najpierw musimy stąd wyjść. Ci ludzie muszą jeszcze odszukać w Meronie grupę Spittelera i Raua, którzy gdzieś tu są. Zdaje się, że szli za wami.

– Co takiego? – zawołałam wstrząśnięta.

– W Tel Awiwie wszystko wam opowiemy – zbyła mnie siostrzenica, znowu mnie obejmując długimi rękami.

Była taka przylepna, że dosłownie jej nie poznawałam. Z ulgą pomyślałam, że przynajmniej nie została stawrofilaczką i nie postanowiła zamieszkać w Paradejsosie z tym chłopakiem, który

tak jej się podobał. Jak tylko nadarzy się okazja, pooglądam ją sobie dokładnie, czy aby nie ma na ciele skaryfikacji, które nam wycięto bez pytania.

Gilad podszedł do naszej trójki, podczas gdy Kaspar, największy w historii ludzkości Judasz po prawdziwym Judaszu, podążył za Abby i witał się z Jakiem i Becky, jakby ich widok tutaj, w jednym kawałku i doskonałym stanie, w ogóle go nie dziwił.

Kapitan Madden podszedł do Jake'a.

– Przepraszam, ale muszą państwo wyjść stąd jak najszybciej.

– Co z ekipą archeologów?

Człowiek z radiem na ramieniu znowu pogadał z kimś na zewnątrz.

– Już schodzą – oznajmił.

– Śmigłowce czekają gotowe – wyjaśnił kapitan. – Ja z moimi ludźmi idę do wnętrza góry.

Państwo wracają do Tel Awiwu. Będziemy o wszystkim informowali.

Kładką schodzili kolejni członkowie działu ochrony Fundacji zaopatrzeni w sprzęt zarówno bojowy, jak i górski. Było ich około dwudziestu, za nimi do synagogi zeszło jeszcze dziesięć osób w białych kombinezonach z dziesięcioma metalowymi skrzyniami na ossuaria.

– Mogę zostać? – zwrócił się Gilad do Jake'a Simonsona. – Tu jest mnóstwo rzeczy, które trzeba zabrać i zbadać.

– Wszystko zostanie przetransportowane w pewne miejsce – uprzejmie odparł Jake – i gwarantuję, że będzie pieczołowicie zbadane bez pośpiechu, w spokoju i z użyciem stosownych środków. Ale teraz musimy się stąd zabrać.

– O, nie! – zaproponowałam. – Ja się stąd nie ruszę bez ciała Sabiry Tamir.

Jake i Becky rozejrzeli się za asygnką.

– Co się stało? – spytała zaniepokojona Becky.

Opowiedzieliśmy o wypadku, wskazaliśmy miejsce, gdzie Sabira spadła, i omówili pokrótce, jak trudno będzie odnaleźć ciało.

– Kapitanie! – przywołał Jake dowódcę oddziału. – Jeszcze jedno zadanie mam dla pana.

Gdy szef ochrony słuchał polecenia, nie drgnął mu ani jeden mięsień twarzy. Przypominał w tym Kaspara, aczkolwiek był dużo przystojniejszy niż był katon.

– Załatwione – rzekł do nas Jake ze smutkiem. – Wydobędą ciało Sabiry Tamir, jak tylko rozprawią się z grupą Hartwiga i Spittlera. Porozmawiam z księciem Karimem i wyjaśnię mu, co się stało.

– Zbieramy się – ponagliła nas Becky, która jak na osobę niedawno staranowaną przez wielką ciężarówkę i przygniecioną olbrzymimi pniami drzew wyglądała nad podziw kwitnąco i zdrowo.

Kiedy wychodziliśmy opuszczoną rampą z góry Meron, po raz ostatni obrzuciłam wzrokiem ossuarium Jezusa. Dwie osoby w białych kombinezonach, kobieta i mężczyzna, ostrożnie

zdejmowali je z niższego ołtarza i umieszczali w metalowej skrzyni. Pragnęłam zachować ten obraz jako swoje najcenniejsze wspomnienie, ponieważ byłam pewna, że więcej tego ossuarium nie zobaczę.

Na zewnątrz oślepiło mnie południowe światło, a Faradz wręcz osłonił ręką oczy, nie mogąc znieść takiej jasności. Ale Simonsonowie, a ściślej mówiąc, ben Szimeonowie, jak już coś robili, to od początku do końca porządnie. Inna grupa ludzi, wyglądających na personel medyczny, wręczyła wszystkim ciemne okulary z tych, które zachodzą aż na skronie, i butelki z wodą, które opróżniliśmy chciwie. Naszym trzem panom podano czyste koszule w ich rozmiarze. Od razu zmierzono nam też ciśnienie i temperaturę oraz pobrano próbki śliny i krwi. Isabella niczym kózka skakała wokół swojego wujka i mnie, zupełnie jak w czasach, gdy miała jedenaście, dwanaście lat. Widziałam po niej, że jest nerwowa jak kotka, ale też za młoda była na niewiarygodne przeżycia, których doświadczyła. Przed opuszczeniem synagogi odkleiła się ode mnie, nieśmiało podeszła do ossuarium Jezusa i stała tam w milczeniu, póki Becky nie poprosiła, żeby już iść. Nie wiedziałam, co jej chodzi po głowie, lecz zważywszy na zły wpływ wujka i zerwanie z rodziną w Palermo, zamierzałam wytłumaczyć jej wszystko w taki sposób, żeby dobrze to zrozumiała i nie zaznała nieodwracalnego kryzysu wiary.

Na zewnątrz panował straszny skwar – na to również personel Fundacji miał radę, okryto nas bowiem cieniutkimi błękitnymi tkaninami, które ku mojemu zdziwieniu dawały przyjemny chłód. Od razu poczułam się lepiej. Jake i Becky przy pomocy dwóch sanitariuszy ruszyli na szczyt góry, odległy o zaledwie jakieś dziesięć metrów od miejsca, gdzie wyszliśmy na zbocze. Za nimi także w towarzystwie dwóch sanitariuszy podążyli Abby i Kaspar w ciemnych okularach i błękitnych pelerynach. Dalej Isabella sadziła susami, a Gilad, Faradz i ja szliśmy na końcu z uprzejmymi sanitariuszami, którzy nam pomagali, póki nie dotarliśmy na sam szczyt, gdzie pięć wielkich śmigłowców natychmiast uruchomiło rotory. Do jednego wsiedliśmy wszyscy łącznie z personelem towarzyszącym Simonsonom, po czym zaraz oderwaliśmy się od ziemi i skierowaliśmy się do Tel Awiwu. Przypuszczam, że pozostałe śmigłowce miały zabrać oddział ochrony z więźniami oraz ekipę archeologów z cennym ładunkiem.

Wyszliśmy. Nie mogłam uwierzyć, że wyszliśmy z tej góry. Przeżyliśmy i odnaleźliśmy ossuarium. Uśmiech szczęścia wypełił mi na usta i nagle przestałam potrzebować ciemnych okularów i chłodzącego okrycia. Zapragnęłam popatrzeć na świat przez okno śmigłowca. Zapragnęłam zobaczyć niebo, chmury, ziemię, zieleń gór, zabudowę miast, tasiełki dróg. Zapragnęłam wrócić do wieku XXI, mój Boże, miałam dość XIII wieku! Triumfowałam, bardzo się cieszyłam. Udało nam się! Byliśmy najlepsi!

Faradz spojrział na mnie i uśmiechnął się, odgadując moje myśli. On także zdjął okulary i okrycie. W kabinie maszyny była klimatyzacja, a światło z zewnątrz wpadało stłumione przez

przyciemnione szyby. Popatrzyliśmy na siebie i zaczęliśmy się śmiać. Śmiech był niemrawy, ale niepohamowany, śmiałyśmy się, chcąc nie chcąc, mimo że nikt nas nie słyszał z powodu hałasu wirników. Isabella siedząca obok Faradża również zaczęła się śmiać – najpierw zwyczajnie, dla towarzystwa, potem przypuszczalnie z tych samych powodów co my: że wszystko się powiodło, że odnalazła ciocię i wujka całych i zdrowych, że zabrała ich z góry Meron, daleko od pułapek Błogosławieństw i od ebionitów... Niebawem piętnaście osób zasiadających w kabinie śmigłowca (łącznie z personelem medycznym) pokładało się ze śmiechu.

Zaraz, zaraz, powiedziałam sobie jednak w pewnej chwili, spoglądając na Jake'a, Becky i Abby. Nic z tego, wcale nie uwolniliśmy się od ebionitów. Co to, to nie. Mieliliśmy ich tuż-tuż, na siedzeniach naprzeciwko. Co więcej, byliśmy ich więźniami. Wzrok mi się zamglił. Byliśmy więźniami ebionitów z XXI wieku! W dodatku zaraz też uświadomiłam sobie, że nie lecimy sami: wokół widziałam siedem czy osiem śmigłowców wojskowych zamaskowanych jak tamte, które eskortowały nas do Susji. Widocznie czekały w powietrzu, aż wystartujemy. Zostaliśmy pojmani i nie bardzo wiedzieliśmy, dokąd lecimy. A jeśli tak bardzo będą chcieli utrzymać wszystko w tajemnicy, że postanowią nas uciszyć... na zawsze? Udając zmęczenie, nałożyłam z powrotem okulary, aby nikt nie zauważył w moich oczach morderczego instynktu osaczonego zwierzęcia.

Po niecałej godzinie nasz śmigłowiec usiadł w jednym z luksusowych ogrodów Hiltona w Tel Awiwie, a eskadra maszyn eskortujących rozproszyła się wśród chmur i zniknęła. Nikt nas o nic nie pytał. Wszystko, co było do zrobienia, zdawało się przy gotowane zawczasu.

Dyskretnie poprowadzono nas do pokojów, które zajmowaliśmy dwanaście dni wcześniej – mnie się wydawało, że dwanaście miesięcy wcześniej albo i dwanaście lat. Znaleźliśmy tam swoje bagaże ze wszystkimi rzeczami. W kąciku jadalnym apartamentu stół ugiął się od jedzenia. Była prawie pora kolacji. Przedtem jednak musieliśmy się wykłapać, zmyć z siebie grubą warstwę brudu, który nosiliśmy na ciele. Zostawiłam Faradża z Isabellą i pierwsza wskoczyłam pod prysznic. Jakże mi było przyjemnie, gdy wyszłam spod niego czysta i włożyłam wygodne ubranie. Faradż przy okazji kąpieli pozbył się także dwutygodniowego zarostu. Kiedy on zajmował się toaletą, ja próbowałam wyciągnąć z siostrzenicy jakieś informacje, lecz skończyło się na tym, że opowiedziałam jej, co nam się przydarzyło we wnętrzu Meronu. Potem Faradż wyłonił się z łazienki taki czysty i przy stojny, że pohamowałam się tylko przez wzgląd na Isabellę. Choć co tu dużo kryć – przez wzgląd na zmęczenie również.

O wpół do siódmej zasiedliśmy do kolacji. Pamiętam godzinę, bo Isabella ją wymieniła, gdy zabierała się do pysznego jedzenia, które nijak nie mogło być koszerne. Wtedy też Faradż i ja, oboje równocześnie, zaczęliśmy robić podchody, by wyciągnąć z Isabelli, dlaczego jest tutaj, a nie w Paradejsosie, gdzieśmy ją zostawili. Ona jednak, uparta jak to Salinówna, nie puściła

pary z ust. Powtarzała tylko w kółko, że teraz nic nie powie, a wszystkiego dowiemy się w swoim czasie, bo w tej chwili niczego byśmy nie zrozumieli. Zgodziła się jedynie opowiedzieć, jak udało jej się rozwiązać sprawę nazwisk.

– Z początku nic niezwykłego nie znalazłam – mówiła, dziwiąc widelcem kopę sałaty – ale że w Staurosie miałam dużo czasu, pogrzebałam jeszcze tu i tam. Zdziwiłam się trochę, kiedy natrafiłam na panięńskie nazwisko Becky, bo było bardzo podobne do nazwiska Jake’a. A jak doszłam do tego, że końcówka „ssen” po norwesku znaczy „syn”, tak jak „son” po angielsku czy „ini” po włosku, zrobiło się ciekawie. Odszukałam potem przodków Jake’a i już wiedziałam, co odkryłam. Nie wyglądało mi to na przy�adek.

– Jak przeczytałam twoje wiadomości – rzekł Faradz, odkrawając kawałek befsztyku – skojarzyłem to od razu ze zwyczajem domów panujących, w których kiedyś normą było zawieranie małżeństw między sobą w kolejnych pokoleniach. Problem w tym, że przez zbyt bliskie pokrewieństwo między małżonkami w końcu potomstwo rodzi się z deformacjami albo rzadkimi schorzeniami. Teraz łączą się z plebejuszami i sprawa załatwiona.

– W porządku, tyle że jest dużo różnych gałęzi Simonsonów i nie zawsze pobierają się między sobą – wyjaśniła Isabella. – Nikt z wnuków i prawnuków Jake’a i Becky, łącznie z Abby, nie wygląda na cierpiącego na rzadką chorobę. Myślę, że dobierają się przemyślanie, dokładnie wszystko kalkulują.

Po kolacji rozległo się lekkie stukanie do drzwi i Isabella poszła otworzyć. Przyszedł lekarz i sanitariusz z ekipy medycznej, która leciała z nami śmigłowcem z Meronu do Tel Awiwu. Lekarz podał nam pastylki nasenne. Isabella dopilnowała, abyśmy je zażyli, gdy tymczasem sanitariusz zajął się zranieniami na torsie Faradza, a lekarz pousuwał mi ze stóp nadpalone resztki pasków do zamykania ran, które tak przywarły do skóry, jakby w nią wrosły. Ja oczywiście odmówiłam zażycia tabletek. Nie przyniesiono jej w blisterze z nazwą producenta i samego leku, nie znałam jej składu, a pochodziła od ebionitów. Nie mogłam im ślepo ufać. Ale kiedy zwróciłam się do Faradza, aby go ostrzec, że nie powinien łykać nieznanego pigułka, było już po fakcie: mój głupi mąż trzymał w ręce szklankę po wodzie, którą popił tabletkę.

Isabella, niczym osoba dorosła opiekująca się dwojgiem niesfornych dzieci, pocałowała nas na dobranoc (przejdzie jej, to jasne; kiedy wrócimy do normalnego życia, przestanie rozdawać całusy na prawo i lewo), życzyła nam miłych snów i odmaszerowała z lekarzem i sanitariuszem.

– Dziwna jest, prawda? – zagadnął Faradz, kiedy drzwi się za nimi zamknęły.

– W jakim sensie? – spytałam. – Że taka jest przylepna czy że przeszła na stronę ebionitów?

Zaśmiała się.

– Nie bałaś się, że zostanie stawrofilaczką?

– Uważasz, że kompletnie się odmieniła?

– Czyli stawrofilaczką i ebionitką.

– Póki nie uda mi się porozmawiać z nią spokojnie, nie będę wiedziała, czego się trzymać. Tyle całusów i uścisków to u niej nienormalne. Ktoś zrobił jej pranie mózgu albo w Paradejsosie, albo u ben Szimeonów.

– A mnie się podoba, że tak rozdaje całusy i uściski – wyznał Faradż, kierując się do sypialni. – Ta tabletką musi być bardzo mocna. Usypiam na stojąco.

– Już chce ci się spać? – zdziwiłam się, tłumiąc ziewnięcie.

Nie ma nic gorszego od zasypiania z pełnym żołądkiem, ale bardziej mnie martwiło, że mój mąż nigdy się nie obudził z tego chemicznego snu. A wtedy zamorduję wszystkich Simonsonów.

– Mam nadzieję, że dam radę przebrać się w pizamę – wybełkotał jak pijany.

On dał radę. Za to ja nie. Bez pastylki i w ogóle obudziłam się bladym świtem na sofie, skąd przeniosłam się tylko do łóżka, na które padłam jak kłoda.

Przespaliśmy trzynaście godzin, aż do dziewiątej rano, kiedy to w apartamencie zadzwonił telefon – oczywiście od przekłętego byłego katona.

– Kaspar pyta, czy już nie śpimy – rzekł Faradż bardzo rozbawiony, wspominając pobudki we wnętrzu góry.

– Powiedz mu, że nie i żeby się wypchał Meronem – wymamrotałam sztywnymi ustami wtulonymi w brzeg poduszki.

– Jesteśmy zaproszeni na śniadanie do apartamentu Simonsonów na ostatnim piętrze.

– Niech się wszyscy wypchają Meronem.

– Mówi, że Gilad wyjeżdża do Jerozolimy i chciałby się z nami pożegnać.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Gilad wyjeżdża? – upewniłam się już całkiem rozbudzona.

– Tak powiedział – przyznał mój mąż, odkładając telefon. – I że musimy się pospieszyć.

– Cóż za odmiana! – rzuciłam z przekąsem, wyskakując z łóżka w ubraniu, które włożyłam poprzedniego wieczoru.

Chociaż tu i ówdzie mnie bolało albo swędziało, czułam się wypoczęta i pełna wigoru.

– Basileja, w końcu jednak zażyłaś tę tabletkę! – zauważył ze śmiechem mój mąż z łóżka, widząc, że jestem ubrana.

– Niczego nie zażyłam – odparłam, biegnąc do ubikacji. – Sama z siebie usnęłam jak kamień.

Pół godziny później, wyłąpani i odziani jak normalni ludzie, a nie jak członkowie wyprawy badawczej, piesi turyści, poszukiwacze czy górale (Faradż miał białą koszulę ze stójką oraz brązowe spodnie i buty, ja sukienkę w czerwone kwiaty), zadzwoniliśmy do apartamentu prezydenckiego na siedemnastym piętrze. Drzwi otworzył facet zwalisty jak Kaspar, ze słuchawką w uchu, i zaprosił nas do środka. W salonie, z którego rozciągał się wspaniały widok na

Morze Śródziemne i port w Jafie, byli już Isabella, Becky, Abby, Kaspar i Gilad. Ogoleni Kaspar i Gilad wyglądali trochę dziwnie.

Izraelczyk ubrany w eleganckie czarne spodnie i ładną niebieską koszulę podszedł do nas z uśmiechem.

– Pani doktor... – rzekł, skłaniając przede mną głowę. – Panie profesorze... – podał Faradżowi rękę.

– Panie dyrektorze... – odparł mój mąż, wchodząc w konwencję żartu i ściskając jego dłoń.

– Praca z państwem była dla mnie zaszczytem – wykrztusił wzruszony Gilad.

Jego biała cera przybrała kolor wyblakłej czerwieni, takiej jak włosy.

– Więc to prawda, że wyjeżdżasz? – spytałam podenerwowana.

– Skończyłem pracę, na którą zawarłem umowę – wyjaśnił z niejaką melancholią. – To było najważniejsze doświadczenie w moim życiu.

– O którym nigdy z nikim nie będziesz mógł rozmawiać – dyskretnie zaznaczył Jake Simonson za jego plecami.

Gilad odwrócił się do niego.

– Oczywiście – potwierdził. – Tak stanowi umowa i dotrzymam tego warunku. Zwłaszcza że byli państwo hojni, bardzo hojni. Mogą państwo na mnie liczyć w razie czego.

– Ależ będziesz pracował dla Fundacji Simonsonów! – zawołała ze śmiechem Abby ubrana w ładne beżowe spodnie i krótką białą bluzkę bez rękawów, obszytą przy okrągłym wycięciu błyszczącymi kamyczkami.

Teraz twarz Izraelczyka zabarwiła się intensywną czerwienią.

– Chodziło mi o... – zaczął, szerokim gestem wskazując Kaspara, Abby, Faradża i mnie.

– Tak właśnie zrozumieliśmy twoje słowa – uspokajająco rzekł Kaspar, podchodząc, aby go wziąć w niedźwiedzi uścisk.

Kiedy go wypuścił, przyszła kolej na Abby, potem na Faradża. Mnie także wypadało go uściskać, jeśli nie chciałam wypaść źle. Postarałam się zrobić to w miarę spontanicznie i naturalnie i chyba mi się udało.

Becky w letniej koralowej garsonce i pasującym do niej naszyjniku wyciągnęła do Gilada dłoń o przezroczystej skórze – teraz wiedzieliśmy, że jest z pochodzenia Norweżką – którą Gilad ujął, schylając się przed nią w pokłon. Następnie uściśnęła wyciągniętą rękę Jake'a.

– Dziękuję, chłopcze – powiedział starsuszek na pożegnanie.

Zarówno w jego głosie, jaki na twarzy dało się zauważyć nieskrywaną szczerą wdzięczność.

Nowa Isabella, ta, która rozdawała całusy każdemu, kto się nawinął, nieśmiało wyciągnęła rękę i Gilad uściśnął ją z uśmiechem sympatii. Następnie skierował się do drzwi.

– Odezwijcie się, jeśli będziecie kiedyś w Izraelu – szepnęła jeszcze przed wyjściem.

Facet ze słuchawką w uchu wyszedł za nim, zamykając drzwi. Poczułam w sobie wielką pustkę. Kto by powiedział, że znaleźliśmy się zaledwie od dwóch tygodni! Tyle się wydarzyło w tym czasie! Tyle niebezpieczeństw przeżyliśmy wspólnie!

– Ech, pożegnania! – zaśmiała się Becky.

Isabella, Jakę i Becky już siedzieli na sofach i w fotelach, a Kaspar, Abby, Faradz i ja staliśmy ciągle, patrząc w milczeniu na drzwi, którymi wyszedł Gilad.

W oszołomieniu poruszaliśmy się jak kukiełki. Kiedy zajmowaliśmy miejsca, z kuchni apartamentu wyłoniła się po cichu dyskretna brygada lokajów pchających wózki ze śniadaniem zastawione półmiskami i dzbankami. Ponieważ tylu ich było, w mig nas obsłużyli, po czym zniknęli za tymi samymi drzwiami co Gilad.

– No, nareszcie sami! – rzucił żartobliwie Jakę. – Teraz możemy spokojnie pogadać o wszystkim. Opowiemy wam o wielu rzeczach, o których nie wiedzieliście dotąd.

Złość chwyciła mnie naraz za gardło.

– Masz na myśli, Jakę, że wy troje – i wskazałam ich palcem Salinów – jesteście ebionitami i że w waszych żyłach płynie krew Jezusa?

Jakub, Rebekę i Abigail skamienieli.

ROZDZIAŁ 41

– A poza tym – ciągnęłam coraz bardziej zła – dlaczego bez naszego pozwolenia wyciągnęliście Isabellę z Paradejsosu?

– Jestem dorosła! – zaprotestowała moja siostrzenica.

– Ty cicho siedź! – rozkazałam z miną niedopuszczającą sprzeciwu.

– Posłuchaj, Ottavio... – zaczął były katon, jakby był mediatorem wybranym przez obydwie strony.

– Ty też cicho siedź! Za kogo się uważasz, do diabła? – zrugłam go napastliwie. – Rozmawiamy o mojej siostrzenicy.

– No dobra – spokorniał, opierając się o sofę.

– O mojej siostrzenicy – powtórzyłam wkurzona. – I o tym, czemu okłamywaliście nas od początku i wrednie oszukiwali, byle tylko wpełznąć nas do wnętrza tej cholernej góry, gdzie nieraz o mało nie straciliśmy życia.

– Basilejo, proszę – wtrącił się mój mąż pojednawczo. – Daj im wytłumaczyć, a potem będziesz się złościła.

– Już się rozłościłam!

– Dlatego o tym mówię – nalegał. – Zmień kolejność, no proszę.

Postarałam się uspokoić, lecz byłam taka wzburzona, że połową swojej złości mogłabym rozwalić połowę tego wielkiego hotelu. Musiałam jednak utrzymać napięcie na wodzy. Kilkakrotnie odetchnęłam głęboko i oskarżycielsko spojrzałam w oczy starym Simonsonom.

– Proszę o dobre wytłumaczenie – zażądałam cierpko.

Było mi obojętne, czy są krewnymi Jezusa. Ani myślałam z tego powodu padać przed nimi na kolana. Ja także pochodziłam z rodziny, z którą nic mnie nie łączyło oprócz takiej samej krwi w żyłach.

Ciężka cisza trwała dłuższą chwilę. I jak zwykle w końcu Becky znalazła w sobie odwagę, aby stawić czoło sytuacji.

– Nie wyciągnęliśmy Isabelli z Paradejsosu – oświadczyła stanowczo. – To ona zaoferowała, że pomoże informatykom z Fundacji zbudować wokół Meronu łańcuch sieciowy silniejszy niż to, co sami zrobili. Musieliśmy was śledzić i nie zgubić sygnału. Katon Glauser-Röist polecił inżynierom z Paradejsosu, by współpracowali z Fundacją. Twoja siostrzenica przyjechała z dwoma stawrofilakami, żeby stworzyć nowy łańcuch.

– Nie wyciągnęliśmy jej stamtąd – z naciskiem powtórzył Jakę, jakbym nie dość jasno zrozumiała, że Isabella z własnej inicjatywy wyrwała się z Paradejsosu, gdzie umieściliśmy ją, sądząc, że tam będzie chroniona przed arcybiskupem Tournierem i jego bandziorami. Pewnie

była pod wielkim wrażeniem mojej postawy, bo chociaż miała przed sobą mnóstwo słodczy i różnych pyszności, prawie nic nie jadła.

– A jak to było z tą ciężarówką i wypadkiem, w którym o mało nie straciliście życia? – zapytał Faradz, uznawszy sprawę Isabelli za zamkniętą.

Jak i Becky wlepili wzrok w podłogę potwornie zawstydzeni. Wyglądało na to, że nie mogą wydobyć z siebie głosu.

– Wydarzenia dwudziestego siódmego czerwca nie potoczyły się tak, jak powiedzieliśmy wam wtedy – zaczęła wyjaśniać Abby.

– Nie musisz przy sięgać! – rzuciłam do głębi oburzona.

Abby zignorowała mnie.

– Dowiedzieliśmy się o śmierci wujka Nata w Nowej Zelandii kilka godzin przed tym, nim zaczęto o niej mówić. Różnica czasu działała na naszą korzyść. Dziadkowie byli zdruzgotani, jak łatwo sobie wyobrazić, a zespoły zarządzania kryzysowego przewidywały atak na dużą skalę ze strony ludzi Tourniera. Skoro zamordowali wujka Nata, według wszelkiego prawdopodobieństwa jego śmierć była tylko wstępem do dalszych działań. Przeciwno rodzinnym interesom albo dziadkom, albo przeciwko komukolwiek z Simonsonów. Wszystkiego należało się spodziewać. Fundacja wdrożyła operację bezpieczeństwa zakrojoną na dużą skalę. Skuteczną, jak się okazało, kiedy tamta ciężarówka staranowała samochód, w którym rzekomo jechali dziadkowie. Z tym że oni byli wtedy w jakby bunkrze, schronie, który mamy w każdym domu. Szofer cudem się uratował, choć trafił do szpitala. Całe szczęście, że jechał opancerzonym wozem.

– Niewykluczone, że Tournier – wtrącił Jakę ze smutkiem – dotąd sądzi, że nie żyjemy jak nasz syn. Bardzo się zdziwi, kiedy się zorientuje, że tak nie jest. I drogo zapłaci za życie Nata.

– Później doszło do pożarów szybów naftowych – ciągnęła Abby niemal równie wściekła jak ja, aczkolwiek z innego powodu. – Mieliśmy nadal kontrolę nad upublicznianymi informacjami i naprawdę cudem jakimś nad wartością akcji. Tamten dzień był potworny. A na koniec, jak doskonale pamiętacie, w nocy wybuchł pożar w waszym domu. Tournier, Spitteler i Hartwig, mój były mąż, byli zdecydowani zamordować wszystkich: Kaspara, Linusa, Isabellę i was oboje.

– Kiedy politycy dochodzą do władzy, wyzbywają się ideologii – zauważyła Becky, ocierając palcem łzę. – Wśród najwyższych hierarchów Kościoła dzieje się coś podobnego na poziomie wiary i wyznawanych zasad ewangelicznych. Nie można tego oczywiście generalizować, ale zdarza się to naprawdę często.

– Każda władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie – szepnął Kaspar, przywołując stwierdzenie brytyjskiego historyka Johna Actona. – O tym nigdy nie powinniśmy zapominać.

– Dlatego dotąd siedzieliśmy w ukryciu – dodał Jakę, krzyżując powykrzywiane palce na

brzuchu. – Zostawiliśmy Benowi, naszemu drugiemu synowi...

– Beniaminowi ben Szimeonowi, jaksądzę – wtrąciłam z premedytacją.

– Owszem – uśmiechnął się Jake. – Benjaminowi Simonsonowi. Ben prowadzi teraz wszystkie interesy. Tym sposobem utrzymujemy Tourniera w przekonaniu, że skończył z nami, a z drugiej strony skorzystałem z okazji, żeby przejść na emeryturę. Pora była najwyższa.

– Znakomicie, najważniejsze zostało wyjaśnione – stwierdziłam, spokojnie zakładając nogę na nogę, by widzieli, że złość mi przeszła. – Teraz, jeśli pozwolicie (a jeśli nie pozwolicie, mam to gdzieś), pomówimy o tym, czemu ukryliście przed nami, że jesteście ebionitami i potomkami Jezusa.

– Nie jesteśmy potomkami Jezusa – oburzyła się Becky. – Jezua nie miał dzieci. Wywodzimy się od jego brata Szimeona. Drugi brat, Jakub, umarł w sześćdziesiątym drugim roku i wtedy nasz przodek Szimeon zastąpił go na czele tego, co dziś nazywa się Kościołem jerozolimskim. To on wyprowadził z Jerozolimy wspólnotę judeochrześcijańską, czyli ebionitów, kiedy Rzymianie w siedemdziesiątym roku zburzyli Świątynię. Ale wtedy Paweł już miał pod kontrolą nową religię, która rozprzestrzeniła się w całym cesarstwie. I nagle my, potomkowie Szimeona, podobnie jak reszta licznych krewnych Jezusa i jeszcze więcej zwolenników jego prawdziwych nauk, staliśmy się heretykami, Kościół Pawłowy miał nas w pogardzie i prześladował. Przetrwaliśmy jednak, a my, potomkowie Szimeona, zachowaliśmy nazwisko przez tyle pokoleń. Z szacunku i dumy.

– I wy troje jesteście ebionitami – skwitowałam.

– Jesteśmy żydami – skwitował Jake, częstując się małym rogalikiem. – Żydami z domu Dawida. Przestrzegamy żydowskich nakazów i wielbimy Boga. Obrzezujemy swoich synów, respektujemy szabas i koszerność. Czytamy i studiujemy Torę.

To, cośmy jedli przez te parę tygodni w ich rezydencji, gdy studiowaliśmy Marca Polo, było koszerne? Niemożliwe.

– Jesteśmy też chrześcijanami – dodała Becky. – Wierzymy, że Jezus z Nazaretu był Mesjaszem ludu Izraela, zostaliśmy ochrzczeni wodą w imię Jezusy. Wierzymy, że umarł za nas, byśmy poznali jego przesłanie prawdy, miłości i pokoju, uczył nas darzyć miłością wszystkich jednakowo i przybliżać się w ten sposób do Boga, który także nas kocha.

– Krótko mówiąc, jesteście ebionitami – podsumował Faradz.

Na chwilę zapadła cisza.

– Tak – rzekła w końcu Abby. – Jesteśmy ebionitami.

– Czyli chcieliście odszukać ossuarium Jezusa i jego rodziny dlatego, że są waszymi przodkami?

Jake pokręcił głową.

– Nie, nie dlatego – oświadczył, szybko przełknąwszy to, co miał w ustach. – Dlatego, że my,

ben Szimeonowie, byliśmy strażnikami, opiekunami ossuariów do lipca tysiąc sto osiemdziesiątego siódmego roku, kiedy jak wiemy, jeden z emirów Salady, Muzaffar ad-Din Kukburi, splądrował Nazaret i zabrał je.

– Ale przecież o istnieniu ossuariów wiadomo było dopiero od początku tego roku – zauważyłam. – W liście Dozyteusza, patriarchy jerozolimskiego, stało, że szóstego stycznia odkryto w grocie stary grób żydowski z dwudziestoma czterema ossuariami zawierającymi szczątki różnych ludzi...

– Samych potomków Jehosefa ben Jaakowa, czyli Józefa syna Jakuba, i jego żony Miriam bat Jehojakim, czyli Marii córki Joachima, naszych przodków i rodziców Jezusy, Szimeona i tak dalej. Nie wszystkich oczywiście, tylko tych, które zachowały się w Nazarecie po pierwszym wieku, bo przecież dopiero od tamtej pory dopiero byli jacyś ben Szimeonowie.

– No dobra – nie ustępowałam – ale kiedy odnaleziono jaskinię, w której było dziewięć ossuariów w osobnej wnęce, Letard, łaciński arcybiskup Nazaretu, kazał zamurować grób, żeby ludzie nie przychodzili się modlić przy szczątkach Jezusa. Podejrzewam, że właśnie wtedy straciliście kontrolę nad ossuariami.

– Nie, to nie był wielki problem – sprostował Jake, częstując się biszkoptem; nie przeszkadzało mu, że inni nawet nie zabrali się do śniadania. Nie potrafił pohamować łakomstwa. – Ossuaria były na miejscu, a grób należał do nas.

– Oryginalny dom rodziny w Nazarecie – wyjaśniła Becky – znajdował się dokładnie pod dzisiejszym klasztorem nazaretanek Dom, jak wszystkie w tej okolicy w tamtych czasach, był pogłębioną naturalną pieczarą zamkniętą od frontu jedną albo dwiema ścianami. Ponieważ potomkowie Józefa i Marii byli ubogimi wieśniakami, z czasem postanowiono przeobrazić tę pieczarę w grobowiec, bo każdy miał już własny dom. Dlatego to miejsce legalnie należy do nas, mimo że Letard zawziął się i zamknął je przed wyznawcami Jezusy.

– Nasi przodkowie nigdy nie przypuszczali – zaznaczył Jake z oburzeniem – że Kościół łaciński, katolicki, będzie chciał zniszczyć te szczątki. Gdybyśmy to wiedzieli, przenieśliśmy je w inne miejsce, ale nic nie wskazywało, że do czegoś takiego mogłoby dojść.

– Za to emir Salady na wywiozł ossuaria – wtrąciła Becky.

– Wtedy właśnie zniknęły nam z oczu – podjął Jake. – Szimeon, brat Jezusa, zobowiązał swoich potomków, żeby strzegli ossuariów przed Rzymianami. Mijały wieki, a myśmy wypełniali swoje zadanie. Aż do tamtego strasznego lipca tysiąc sto osiemdziesiątego siódmego roku. Oczywiście wędrowaliśmy ich tropem. Nie zostawialiśmy ich nigdy. Zawsze byliśmy w pobliżu.

Becky się zaśmiała.

– Dlatego wiedzieliśmy mniej więcej, gdzie i czego należy szukać – powiedziała. – Zналиśmy przecież całą historię, którą przekazywano w naszych rodzinach z pokolenia na pokolenie.

Z czasem ben Szimeonowie podzielili się na gałęzie i chociaż niektóre wymarły, pozostały cztery główne rodziny.

– Simonsonowie – włączył się Faradz – Simonini, Szymonowiczowie i Simonsenowie.

– Skąd wiecie? – zdumiała się Abby.

– Z internetu – wyznała Isabella.

Abby popatrzyła na nią stropiona.

– Epoka swobodnego dostępu do informacji – zaśmiała się w końcu, patrząc na Isabelle ciepłym wzrokiem.

Nachyliła się potem nad stołem i zaczęła nalewać wszystkim kawy i herbaty.

W tej chwili zdałam sobie sprawę, że Kaspar o nic nie zapytał. Czyżby już wcześniej wiedział o wszystkim? Jeżeli faktycznie tak było – a wydawało się to logiczne ze względu na jego relację z Abby – facet nie pisał słowa nawet nam, swoim przyjacielom.

– Wszyscy z czterech rodzin znają tę historię? – zapytał Faradz.

– Nie – odparł Jake – tylko najstarsi...

– Albo najstarsze – dodała Becky.

– ...i ich współmałżonkowie oczywiście, i syn albo wnuk...

– Albo córka i wnuczka – uzupełniła znowu Becky.

– ...wybrany, żeby podtrzymywać tradycję i dawne zobowiązanie.

– W wypadku Simonsonów – dodała uśmiechnięta Abby, biorąc Kaspara za rękę – tą osobą jestem ja.

Były katon otworzył szerzej oczy, lecz nie drgnął mu ani jeden mięsień w zwalistym prostokątnym ciele. Był zaskoczony? Nie chciało mi się w to wierzyć. Udawał. Na pewno.

– Becky przez wiele lat nie wybierała następcy – wyjaśnił Jake z rezygnacją w głosie. – Mielśmy już trzech synów i sześciu wnuków, kiedy wreszcie urodziła się pierwsza dziewczynka w rodzinie. I wtedy Becky nagle stwierdziła, że następczynią powinna być mała Abby. A nie wyobrażacie sobie, jaka jest Becky, kiedy czegoś chce!

– Cóż, moim zdaniem dobrze, że wybraliście Abby – przyznałam. – Ale wracając do tematu: ciekawa jestem, czemu musieliśmy przeprowadzić całe to śledztwo na temat Mongołów, asasynów, Marii Paleologinii i Marca Polo, skoro wiedzieliście, że ossuaria są w górze Meron.

– Nie wiedzieliśmy – odparł Jake. – Ta informacja nam umknęła.

– Z czterech rodzin ben Szimeonów – wręciła Abby dziedziczka – wywodzących się oczywiście od rabina Elijahu ben Szimeona, strażnika, który odzyskał ossuaria i przewiózł je do wnętrza Meronu przy pomocy izmailickich *sufat*, tylko dwie osoby znały dokładnie miejsce ukrycia. Tak ustalono i tak było przez wieki. Żebyście mieli pełną jasność, dodam, używając współczesnych nazwisk, że czasami tę informację przechowywali Simonini, a czasami

Szymonowiczowie. Czasami Simonsenowie, a czasami Simonsonowie, którzy żyli najpierw w Anglii, a dwa wieki temu przenieśli się do Kanady. Od czasu do czasu patriarcha rodu, chociaż wyznaczał własnego następcę, mógł uznać, że godniejszy zaufania jest następca z innego rodu, i jemu przekazać informację o miejscu ukrycia ossuariów. Na pewno macie świadomość, że dzieci nie zawsze spełniają oczekiwania rodziców. Ale zawsze głowy dwóch rodów musiały znać kryjówkę w górze Meron. Może nawet przekazywano sobie, jak ominąć pułapki na rabusiów grobów i dotrzeć prosto do ossuariów. Nigdy się tego nie dowiemy.

– I nigdy się nie dowiemy – podjął jej dziadek – dlatego dwaj najstarsi z rodów, które przechowywały informację, Abraham Simonini i Naftali Szymonowicz, spotkali się w tysiąc sześćset dwudziestym ósmym roku w Brescii we wschodniej Lombardii. Właśnie wtedy wybuchła tam straszna zaraza znana w historii jako wielka dżuma mediolańska. Obaj umarli niemal jednocześnie w Brescii zamkniętej na czas kwarantanny, a wraz z nimi umarł sekret. Dlatego właśnie przez następne trzysta osiemdziesiąt sześć lat cztery rody potomków Szimeona próbowały rozwikłać tajemnicę i odzyskać ossuarium.

– Wiedzieliśmy z Jakiem, że z wami uda się osiągnąć cel – opowiadała podniecona Becky. – Przez całe życie gromadziliśmy dokumenty, przedmioty, legendy, szukaliśmy jakiejś wskazówki w archiwach Kościołów i różnych religii, nawet stowarzyszeń czy bractw takich jak stawrofilacy Kaspara. A kiedy wyście się pojawili i dokonali tego, co nam się nie udawało przez tyle lat mimo środków, którymi przecież dysponowaliśmy, zrozumieliśmy, że potrzebujemy takich właśnie ludzi.

– Chcę jeszcze coś dodać – rzekła Abby, gładząc łapsko uległego byłego katona. – Może nie uwierzycie, ale Kasparowi nic z tego nie powiedziałam.

– Akurat! – rzuciłam zła. – Raczej nie uwierzę.

Abby zaśmiała się wesoło.

– Wiedziałam, że tak będzie, Ottavio – oznajmiła.

Niesamowicie! Dziedziczka Simonsonów i ebionicka następczyni poważnie liczyła w swej naiwności, że uwierzę w cokolwiek z tego, co dotąd nam mówiła? Pominąwszy naturalnie historię ossuariów, a i to jedynie dlatego, że usłyszałam ją z ust dziadków. Abby cały czas była z nami i świadomie nas okłamywała.

– O niczym nie wiedziałem – oświadczył Głaz z mało przyjazną miną. – Jedyne, co mi Abby powiedziała, kiedy... kiedy...

– Jedyne, co powiedziałam Kasparowi – przyszła mu z pomocą – kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić, to że w mojej rodzinie przechowywana jest wielka tajemnica, której nie będę mogła mu wyjawiać, i że jeśli naprawdę chce, byśmy dalej byli ze sobą, musi być przygotowany, że może usłyszeć coś niewiarygodnego. Przyrzekł – tu popatrzyła na niego z takim uwielbieniem, że

musiałam pohamować parsknięcie – że nigdy mnie nie zostawi, nawet gdyby się okazało, że jestem z rodziny Antychrysta.

– Kasparze...! – wykrzyknęłam ze zgrozą.

Jak mógł być taki głupi i takie bezceństwa wygadywać z powodu jakichś kretyńskich romantycznych porywów?

– Basileja... – upomniał mnie Faradz, ujmując moją dłoń i ściskając ją, żeby mi się uspokoiła.

Isabella zaśmiewała się do łez. Jake i Becky także.

– I co was tak bawi? – ofuknęłam całą trójkę, dzielnie znosząc silny uścisk Faradza, który nie wypuszczał mojej ręki.

– To z Antychrystem, ciociu – wyjaśniła Isabella, nie przestając się śmiać.

– Wszystko dlatego, że w sumie Abby należy do rodziny Chrystusa – wytłumaczył mi mąż, który zawsze mawiał, że jeśli opowiada mi się dowcip, należy do niego dołączyć instrukcję. – Nie chwytasz? Kaspar powiedział, że jej nie zostawi, nawet gdyby była z rodziny Antychrysta, a okazało się, że jest z rodziny Chrystusa.

Nic w tym nie zauważałam zabawnego, pozostali jednak najwyraźniej byli odmiennego zdania. Wspominałam już, że nie rozumiem i nigdy nie zrozumieć ludzkości? No właśnie.

– Pozostało nam jeszcze ustalić wasze wynagrodzenie – podsumowała Becky, kiedy zdołała się uspokoić.

– Chcę listy Marca Polo – oznajmiłam stanowczo.

Jake i Becky spojrzeli na siebie z lękiem.

– Ottavio, to niemożliwe – powiedziała Becky. – Jest w nich mowa o ossuariach, a nic, co ma z nimi związek, nie może wyjść poza naszą rodzinę. Proś, o co tylko chcesz, byle nie o listy.

Sama nie wiedziałam, czy wstać, zmieść ze stołu całe śniadanie i własnymi rękami udusić Simonsonów, a na koniec podpalić hotel, czy też przyznać, że Becky ma słuszość, i poddać się temu. Żegnaj, trzecia nagroda Getty'ego. Z tym będzie mi się najtrudniej pogodzić.

– Chcielibyśmy odzyskać swoje życie – rzekł Faradz, nakładając sobie do miseczki płatków zbożowych. – W tej chwili nic nie mamy z wyjątkiem pracy i niewielkich oszczędności w banku. Chcielibyśmy mieć dom, żeby było gdzie wrócić, miejsce, gdzie będziemy mogli zacząć wszystko od nowa.

Starzy Simonsonowie zaśmiali się serdecznie.

– To już załatwione – oświadczyła uszczęśliwiona Becky. – Kupiliśmy dom w pobliżu kampusu uniwersyteckiego, już jest zapisany na wasze nazwisko. Pozwoliłam sobie urządzić go po swojemu, Ottavio, ale oczywiście możesz pozmienić, co ci nie odpowiada.

– Przelaliśmy też pewną kwotę na wasze konto – dodał Jake, popijając herbatę. – Żebyście nie mieli problemów po powrocie do Toronto.

– Martwi mnie trochę – wyznał Faradż – że przesadziliście z tym domem i pieniędzmi. Nie potrzebujemy wiele do życia. Lubimy swoją pracę.

– Po co tracić teraz czas na roztrząsanie tego? – zagadnęła Becky z uśmiechem. – Po powrocie obejrzyjecie sobie i zobaczycie, czy wam odpowiada.

– Właśnie – przytaknął Jake z zadowoleniem. – Ale żeby było jasne: te dwie rzeczy nie są zapłatą za wykonanie zadania. I ciągle nie powiedzieliście, co byście chcieli. Dom i pieniądze to tylko zadośćuczynienie czy rekompensata za poniesione straty. Powiedzcie, czego naprawdę byście chcieli.

Popatrzyliśmy z Faradżem po sobie. Czego jeszcze mogliśmy pragnąć? Byliśmy zadowoleni ze swojego życia. Poza tym skoro nie mogłam dostać listów Marca Polo, niczego więcej nie chciałam. Faradż też. Naraz przyszło mi coś do głowy.

– No więc... – zaczęłam niepewnie. – Może w naszym imieniu moglibyście przeznaczyć trochę swoich milionów na dobroczynność.

– Chcesz się tym sama zajmować, Ottavio? – zdziwiła się Abby. – Mamy wiele organizacji, które realizują programy pomocowe w Trzecim Świecie. Skupiamy się zwłaszcza na edukacji i ochronie zdrowia.

Kurczę, do diabła z tymi ebionitami, jerozolimską biedotą!

– Chciałabym, żebyście przekazali dużą, ale naprawdę dużą kwotę – odparłam poważnie – franciszkanom z klasztoru Świętego Antoniego Padewskiego w Palermo. Mój brat Pierantonio, przed laty kustosz Ziemi Świętej, założył stołówkę dla ubogich, których stworzył kryzys gospodarczy, ale potrzeby są dużo większe. Franciszkanie wspomagają też tych, co potracili domy, więc za wasze pieniądze mogliby otworzyć schroniska i pomóc wielu ludziom, którzy przeżywają trudne chwile.

– Załatwione! – zapewnił Jake, podnosząc do ust kolejnego rogalika. – Sądzę, że zadowolili cię kwota dziesięciocyfrowa. W euro oczywiście.

– Chyba pakujesz się w kłopoty – mruknął pod nosem jak zwykle sympatyczny były katon.

– Nie twoja sprawa – odparłam.

– A teraz, Kasparze – zaczął Jake głosem tak tajemniczym, że wszyscy spojrzeliśmy na niego zdziwieni – musimy z tobą obgadać jeszcze jedną sprawę.

O Boże! Nie zacznij chyba rozmawiać o proszeniu o rękę i zaręczynach?! Rany!...

EPILOG

Minął ponad rok od tamtego skwarne go 13 lipca w Tel Awiwie. Mamy teraz jesień 2015 roku i przenikliwy ziąb w Kanadzie, chociaż przywykliśmy już do tego klimatu. Nasz dom jest słiczny, a ja piszę w swoim ulubionym zaciszu, w najukochańszym miejscu na świecie: w bibliotece. Mam bibliotekę, która w każdym szczególe odwzorowuje małą bibliotekę w rezydencji Simonsonów! Za to nigdy się nie odwdzięczę Becky, chociaż chwilowo jeszcze nie mam tyłu kodeksów i woluminów co oni. Nie ma w niej także tych fajnych wysokich okien z prostego powodu: moja biblioteka nie mieści się w półsuterenie, są za to fotele obite czarnym aksamitem pod normalnymi oknami. Mam nawet globusy na wysokich postumentach.

Tu jestem szczęśliwa i spokojna. Słyszę głosy i kroki Faradża i Isabelli w domu. Pakują walizki, ponieważ wyjeżdżamy, i mąż wyrzucił mnie z pokoju, żebym go nie denerwowała, rozrzucając rzeczy.

Nasz nowy dom w Toronto to naprawdę caczuszkło. Stoi niedaleko uniwersytetu, nie jest wielki, ale dość duży i jasny, otacza go ładny ogród. Wprowadziliśmy się pośród protestów mojej siostrzenicy – zienawidziła swój pokój od pierwszego wejrzenia i zaczęła z niego wszystko wyrzucać, aż ogołociła go zupełnie – i moich okrzyków zachwytu. W wystroju, który jest dziełem Becky, w zasadzie niczego nie zmieniłam, bo zwy czajnie mi się podoba.

Nad Isabellą straciliśmy zupełnie kontrolę, aczkolwiek Faradż jest innego zdania. Mając dwadzieścia lat, robi, co chce, wychodzi i wraca, kiedy chce, a ze swojego pokoju zrobiła coś w rodzaju międzygalaktycznego statku kosmicznego, na którym nie zmieści się już żaden komputer ani gadżet elektroniczny. Wiem (czasem wyrwie się jej to i owo), że w jakiś sposób utrzymuje kontakty z tym młodym stawrofilakiem z Paradejsosu, który wpadł jej w oko, ale nie robi głupstw, mimo że chłopak ją kusi i namawia. Ale nie mam sumienia niczego jej zakazywać, ponieważ świetnie jej idzie na studiach (ten semestr już zaliczyła, bo w zeszłym roku zrobiła awansem konieczne kursy), a wujek ją chroni przede mną niczym dzięki lew. Acz bez przesady. Twierdzi, że jest dorosła i może sama o sobie decydować, a mnie się ciągle wydaje, że ma pięć lat, co jest nieprawdą, bo gdybym tak uważała, nie martwiłabym się tak bardzo.

Moja siostra Águeda zadzwoniła do mnie przed ubiegłym Bożym Narodzeniem. Nie chciała ze mną rozmawiać, tylko dosłownie zakazać mi przetrzymywania swojej córki. Odpowiedziałam, że niczego nie może mi zakazać, niech pogada z córką i niech załatwią to między sobą, a mnie ma zostawić w spokoju. Zanim się rozłączyła, wrzasnęła groźnie, że zrywa ze mną stosunki na zawsze. Nie wiem, czy usłyszała moje: „Nareszcie!”. Przypuszczam, że tak, bo powiedziałam to dwa razy. Nie wiem również, czy udało jej się porozmawiać z córką. Isabella nic na ten temat nie

mówiła, a my nie chcieliśmy pytać. W każdym razie nie pojechała na święta do Palermo. Później także nie.

W połowie sierpnia zeszłego roku byliśmy na pogrzebie Sabiry w Diyarbakirze w tureckiej Anatolii. Ucieszyliśmy się bardzo na widok Gilada, który ogromnie nas zaskoczył tym, że odrzucił precz uprzedzenia religijne i zjawił się na pogrzebie izmailitki w kraju muzułmańskim. Przybył także książę Karim Aga Chan i inne szczyh współczesnej sekty asasyńców. Simonsonowie parę tygodni później przekazali księciu Karimowi ossuarium ze szczątkami Hasana i-Sabbaha, ponieważ jednak izmailici są równie dyskretni jak ben Szimeonowie, do dziś w środkach przekazu nie pojawiła się żadna informacja na temat tego odkrycia. Podejrzewam, że wybudowali drogę mauzoleum w jakimś odległym zakątku świata i może placę przed nim nazwali imieniem Sabiry Tamir, archeolożki, która odnalazła ossuarium.

W środkach przekazu mówiono za to o wielkim skandalu z udziałem arcybiskupa Tourniera. Chyba w lutym albo w marcu tego roku Faradża, Isabellę i mnie zmroziło przed telewizorem, gdy w wieczornych wiadomościach usłyszeliśmy niewiarygodne informacje na temat Tourniera.

– Nigdy nie występuj przeciwko Simonsonom – podsumował to Faradž.

Okazało się, że włoski dziennikarz, który prowadził śledztwo w sprawie finansów Stolicy Apostolskiej po interwencji Unii Europejskiej domagającej się przejrzystości kont Instytutu Dzieł Religijnych – czyli Banku Watykańskiego – odkrył, że setki milionów euro wyprowadzono na konta fałszywych kongregacji watykańskich, a wszystkie te konta prowadziły bezpośrednio do arcybiskupa François Tourniera. Dziennikarz odmówił wyjaśnienia, w jaki sposób zdobył dokumenty obciążające, ale tutaj, w Toronto, myśmy wiedzieli, skąd je miał. W telewizji pokazywano, jak aresztowanego ekscelencję Tourniera, wyglądającego znacznie starszej, niż zapamiętałam, pakują do radiowozu karabinierzy, którym niewiele myśląc, Watykan papieża Franciszka przekazał go na dowód przejrzystości i tego, jak sprawy się zmieniły. Na nic mu się nie zdał watykański paszport ani wysoka ranga w hierarchii Kościoła.

Ten jego bandzior Gottfried Spitteler już dawno znikł wraz z osławionym archeologiem Hartwigiem Rauem i dziesięcioma ludźmi, którzy im towarzyszyli, gdy wchodzili do wnętrza góry Meron. Prawdopodobnie kiedy podpaliliśmy jaskinię z porostami, wskutek czego słup dymu zaalarmował izraelskie służby leśne, obudziliśmy także czujność ekipy Spittelera, który podsłuchując rozmowy przez radio załóg śmigłowców patrolowych, odgadł, że to nasza sprawa i że jesteśmy w Meronie. Najwyraźniej odkryli kamienną kratę, rozbili ją i dostali się do środka. Podążali potem naszym śladem aż do jaskini próby miłosierdzia, tej z czterema małymi kołami, na których należało wprowadzić kod INRI po hebrajsku – jak się okazało, imię Jahwe. Wszystkie przejścia zdążyliśmy już otworzyć, tak że szli swobodnie aż do jaskini ludzi czystego serca, czyli do ognistego przejścia. A że byli znakomicie wyposażeni, zdołali przebyć to przekłute przejście

i nie spłonęli. A ile nas to kosztowało!

Musieli podłożyć ładunek wybuchowy i wysadzić kamienne koło, które zastawiało wejście do próby pacyfistów, bo przesunąć go się nie dało. I wtedy nareszcie odwróciło się od nich szczęście. Oddział uzbrojonych ochroniarzy Fundacji Simonsonów, który zdążył w przeciwnym kierunku (oni też musieli to i owo wysadzić) znalazł ich martwych pod krzyżem i gwiazdą, między grobami Elijahu ben Szimeona i Farhada Zakłara: zatruli się bezbarwnym i bezwonny dwutlenkiem węgla, za późno bowiem się zorientowali. Nikt z ekipy Spittelera i Raua nie był Izraelczykiem, toteż nie mieli pojęcia o właściwościach geodynamicznych tego rejonu i zagrożeniach dla ludzi. Dwunastu bandziorów Tourniera szczeło marnie w trakcie próby pacyfistów. Wydało mi się to nader stosowną metaforą dla takich jak oni.

Ochroniarze z Fundacji powiedzieli nam, że wśród innych rzeczy znaleźli przy zwłokach komórki, a oprócz tego telefony kodowane. To wyjaśniało, dlaczego nie udało się przechwycić żadnej podejrzonej rozmowy między nimi. Wiedzieli, że są śledzeni od przylotu do Izraela, i zabezpieczyli się odpowiednio.

Bez martwego Gottfrieda Spittelera i z Tournierem za kratkami moje życie na powrót stało się cudownie spokojne. Przestałam bać się wszystkiego i widzieć niebezpieczeństwo za każdym rogiem, przestałam zadrezczać Faradza i Isabellę żdaniami, by uważali na siebie. W sumie niezbyt zwracali na mnie uwagę, ale ja byłam spokojniejsza, kiedy do znudzenia im powtarzałam, że mają być ostrożni. Po aresztowaniu Tourniera przestałam im to mówić i zaczęłam przesywać nocę jednym ciągiem i bez koszmarów, co było naprawdę sukcesem.

Nasz samolot odlatuje za trzy godziny. Isabella oczywiście nie jedzie z nami. Wyjeżdża wieczorem do Paradejsosu w towarzystwie Diane, stawrofilaczki, która udawała jej matkę poprzednim razem. Obydwie przeobrażą się znowu w Gudrun i Hanni Hoch z Liechtensteinu. Zapewniły nas jednak, że wrócą w tym samym czasie co my.

Nie będzie to podróż krótka ani łatwa, lecz od tylu lat nie byliśmy z Faradzem w Paradejsosie, że chętnie się tam udajemy. Poza tym chcemy zobaczyć małego Linusa. I rzecz jasna nie możemy w żadnym razie opuścić niezwyklej ceremonii, która odbędzie się tam pojutrze: powierzenia bractwu ossuariów ze szczątkami Jezusa, jego rodziców i rodzeństwa, aby na zawsze już spoczęły bezpiecznie w Paradejsosie. Starzy Simonsonowie, którzy zostaną przetransportowani do Staurosu razem z Isabellą i tak samo jak ona – to znaczy głęboko uspieni i podawani z rąk do rąk niczym ładunek z samolotów na statki, ze statków na ciężarówkę, z ciężarówek na wozy, z wozów na łódzie i tak dalej – dokonają uroczystego przekazania. Jakę był taki podniecony w ubiegłym tygodniu, kiedy się o tym dowiedział, że skoczyło mu niebezpiecznie ciśnienie i trzeba je było zbić lekami. Na samą myśl o odwiedzinach w Paradejsosie włączał mu się turbodopłacz w silniku, który ma zamiast serca.

Tamtego odległego już dnia w Tel Awiwie, czyli nazajutrz po wyjściu z Meronu, Jake poprosił Kaspara, aby bractwo zaopiekowało się ossuariami.

– To najpewniejsze miejsce na świecie – powiedział. – Szukaliśmy go tak długo i nic. Oboje z Becky mamy już swoje lata, a Abby jest naszą dziedziczką. Niedługo odpowiedzialność za ossuaria spadnie na nią i boję się, że przez większość życia będzie musiała je chronić przed zakusami fanatycznych radykałów różnych Kościołów chrześcijańskich. Czy jest lepsze miejsce na szczątki Jezusa z Nazaretu od jedynej kryjówki, której nikt nigdy nie znalazł? Rozmawialiśmy już o tym z pozostałymi trzema rodzinami ben Szimeonów. Zgadzają się bez zastrzeżeń.

Ale sprawa nie była wcale taka prosta, jak się Jake'owi wydawało. Przede wszystkim należało na przykład wytłumaczyć bractwu, że Jezus nie powstał z martwych, o pomniejszych szczegółach nie wspominając. Może i stawrofilacy są niezwykli pod wieloma względami, niemniej pozostają chrześcijańską sektą ślepo oddającą cześć Krzyżowi, relikwii, na której jak wierzą, umarł Bóg.

– Zgadza się, Jezus umarł na Krzyżu – oznajmiła stanowczo Becky. – Ale Bóg nie może umrzeć. Idea Boga, który umarł, to błędny, bezsensowny pogląd chrześcijański, który tak długo powtarzano, aż wszyscy uznali go za normalny. Dla stawrofilaków Krzyż może nadal mieć takie samo znaczenie, nawet jeśli zaakceptują istnienie ossuariów.

Kaspar zatem, zaopatrzone we wszelkie dowody i dokumenty dostarczone przez Simonsonów, stęskniony do niemożliwości za Linusem, wyruszył do Paradejsosu z niełatwą misją. Powitano go ciepło i z radością, nieuchronnie nadeszła jednak chwila, gdy musiał stawić czoło radzie starszych i opowiedzieć, czegośmy dokonali i co odkryli. Mówił o Marii Paleologini, Marcu Polo, sekcje asasynów, *sufat*, ebionitach i ben Szimeonach, potomkach rodziny Jezusa. Wyjawiał wszystko co do joty i ku jego zaskoczeniu rada zamiast się oburzyć i odrzucić wszystko, postanowiła wyznaczyć czas na zapoznanie się z tym przez wszystkich stawrofilaków (łącznie z pozostającymi na zewnątrz), by na podstawie świętych tekstów biblijnych i dokumentów przywiezionych przez Kaspara każdy mógł sobie wyrobić zdanie na temat hipotetycznej prawdziwości tej historii.

Studiowanie się przeciągnęło, trwało cały rok, aż do tego lata. Niedługo przed Bożym Narodzeniem członkowie rady wraz z wieloma stawrofilakami poprosili o spotkanie z kimś z potomków Szymona. Nie bardzo wiemy, jak to przebiegło, w każdym razie Jake i Becky donieśli nam, że Abby, która się z nami nie pożegnała, nie tylko podjęła się odbyć podróż do Paradejsosu, by udzielić bractwu odpowiedzi, ale też dobrowolnie zaprzęgnęła poddać się próbom inicjacyjnym i zasłużyć na rytualne skaryfikacje. Na tę wieść skłamieliśmy oboje z Faradżem, w końcu pomyśleliśmy jednak, że skoro to zrobiła, na pewno wcześniej rozmawiała na ten temat z Kasparem, który może uchylił przed nią rąbka tajemnicy i wyjawiał jej, jak to będzie przebiegało. A może nie. Abby to bystra dziewczyna i już była świetnie do tego

przygotowana.

Ostatecznie Abby przybyła do Paradejsosu jako pełnoprawna stawrofilaczka, na dodatek jako osoba, w której żyłach płynie krew Jezusa, co dla bractwa jest nie byle czym.

W sierpniu, a więc trzy miesiące temu, rada starszych w końcu uznała za prawdziwą historię ben Szimeonów i autentyczność ossuariów. Po powrocie do Paradejsosu Kaspar powoli znowu zaczął wypełniać rolę katona – po części dlatego, że chciał mieć większy wpływ na przebieg spraw, a po części zupełnie nieświadomie. Taki już jest. Przejmował urząd stopniowo, spokojnie i pogodnie, a kiedy w styczniu przybyła tam Abby jako pełnoprawna stawrofilaczka, nastawiona na miłe spędzenie czasu, Kaspar już zdążył zdać sobie sprawę, że tam jest jego miejsce na świecie i że poczuwa się do odpowiedzialności jako katon stawrofilaków. I zostali tam we trójkę: Kaspar, Abby oraz Linus, czekając, aż studiowanie sprawy dobiegnie końca i udzielona zostanie definitywna odpowiedź.

Pojutrze będziemy w Paradejsosie uczestniczyć w ceremonii przekazania ossuariów, które przybędą tam razem z Isabellą, Jakiem i Becky, uściskamy także Linusa, który wedle słów ojca bardzo miło nas wspomina, poznamy też malutką Miriam Glauser-Röist urodzoną zaledwie dwa tygodnie temu. Jej pradiadkowie nie mogą się doczekać, kiedy ją zobaczą. A w bractwie panuje osobiwa radość z powodu narodzin dziewczynki będącej nie tylko córką katona, ale także potomkinią rodziny Jezusa. Mam nadzieję, że Linus nie będzie o nią zazdrosny i potrafi się dogadać z siostrą, która wedle wszelkich znaków powinna być najjaśniejszą gwiazdą na firmamencie rzadkich sekt religijnych. Pomówię z nim na ten temat, kiedy się zobaczymy. Zabiorę go na spacer nad rzeką.

Żywię jedno skryte, przemożne pragnienie i zamierzam się modlić, aby się spełniło: Panie Boże, proszę, spraw, by Kaspar Glauser-Röist już nigdy nie opuścił Paradejsosu, bo ilekroć z niego wychodzi, dzieją się straszne rzeczy, a ja chcę spokojnie żyć z Faradżem.

- [1](#) W cesarstwie bizantyńskim cesarzowa lub księżna.
- [2](#) Ibn al-Asir, ur. w 1160 r. w Cizre (Turcja), zm. w 1233 w Mosulu w Iraku. Arabski historyk, kronikarz i biograf. Autor znaczących i bardzo cennych prac, m.in. *Al-kamil fi at-tarih* (*Kompletna księga historii*).
- [3](#) *Kompletna księga historii* (*Al-kamil fi at-tarih*), przeł. M. F. Horbowski, J. Maćkowiak, D. Małgowski, Poznań 2007 (przy p. tłum.).
- [4](#) Ata-Malik Juvayni, *The History of the World Conqueror*, pp. 723–724.
- [5](#) Żył w latach 1220–1293/95. Napisał kronikę *Itinerarium fratris Willielmi de Rubruquis de ordine fratrum Minorum, Galli, Anno gratia 1253 ad partes Orientales*.
- [6](#) Wilhelm z Rubruk, *Opis podróży*, przeł. M. Olszewski, Kęty 2007.
- [7](#) Nazwisko „Polo” w dialekcie weneckim wywodzi się od łacińskiego „Paulus”. L. Bergreen, *Marco Polo: od Wenecji do Xanadu*, przeł. M. Dziurosz, Poznań 2008.
- [8](#) Mt 10, 23; Mt 23, 36; Mt 24, 34; Mk 13, 30; Łk 11, 30–31.
- [9](#) Elaine Pagels, *Más allá de la fe*, Ed. Crítica, 2004.
- [10](#) Jacques Heers, *Marco Polo*, Folio, 2004.
- [11](#) „Jest to dzisiejsze miasto Jang-czou, dobrze znane średniowiecznym geografom muzułmańskim i podróżnikom europejskim. Miasto Jang-czou leży w prowincji Kiang-su na zachodnim brzegu kanału, w niewielkiej odległości od rzeki Jang-tse-kiang”, przypis do rozdz. CXLV w: Marco Polo, *Opisanie świata*, przeł. A. L. Czerny, Warszawa 1975.
- [12](#) Samuel Taylor Coleridge (1772–1834) – poeta angielski, prekursor romantyzmu w literaturze angielskiej, autor słynnego poematu *Chan Kubilaj*.
- [13](#) Marco Polo, op. cit., przypis do rozdz. LXXIX.
- [14](#) Michael J. Gelb, *Myśleć jak Leonardo da Vinci*, przeł. P. Turski, Poznań 1999.
- [15](#) Cyt. za: Jean-Pierre Lémonon, *Los judeocristianos: testigos olvidados*, Cuadernos bíblicos 135, ed. Verbo Divino, 2007, s. 18.
- [16](#) Ireneusz z Lyonu, *Adversus haereses*, 1, 26, 1. Ibidem.
- [17](#) Mario Javier Saban, *El judaísmo de Jesús*, Buenos Aires, Saban, 2008. Wiele wykładów dr. Sabana, prawnika oraz doktora filozofii i antropologii, można znaleźć na YouTube.
- [18](#) Marek 7, 1–23.
- [19](#) List do Filipian, 2, 7–8.
- [20](#) Papiasz z Hierapolis (70 n.e.–150 n.e.): „Mateusz spisał słowa Pańskie w języku hebrajskim, a każdy tłumaczył je sobie, jak umiał”. Cytowany przez Euzebiusza z Cezarei (263 n.e.–339 n.e.) w *Historii kościelnej*, III, 39, 16. Zob. także III, 24, 6.
- [21](#) Izajasz, 7, 14.
- [22](#) Antonio Piñero, *Los cristianismos derrotados*, Ed. EDAF, 2007. Koniecznie blog profesora

Piñera, jednego z najlepszych na świecie specjalistów od Nowego Testamentu

<http://blogs.periodistadigital.com/antoniopinero.php>.

[23](#) List do Galatów 2, 10; List do Rzymian 15, 25-27.

[24](#) *Historia kościelna*, 3,11.

[25](#) Autorzy książki *The Bible Unearthed: Archaeology's New Vision of Ancient Israel and the Origin of Its Sacred Texts*, Free Press 2002.

[26](#) Księga Rodzaju, 23.

[27](#) Talmud, Szabat 31a.

[28](#) Kazanie na Górze, Mateusz, 5-7.

[29](#) Mateusz, 5.

[30](#) Łukasz, 6, 20-26.

[31](#) Księga Wyjścia, 25-26.

[32](#) Księga Hioba 38, 31-33.

[33](#) Mateusz, 19, 28.

[34](#) Apokalipsa 1, 8.

[35](#) Apokalipsa 21, 6.

[36](#) Księga Wyjścia 16, 13-15.

[37](#) Szmot, 16, 13-15.

[38](#) Carlos Illana-Esteban, *Líquenes comestibles*, 2009. Boletín Sociedad Micológica de Madrid, 33, 273-282. Chodzi o porost *Aspicilia jussufii*.

[39](#) Jan 19, 19-22.

[40](#) Euzebiusz z Cezarei (263 n.e.-339 n.e), *Historia kościelna* III, 11.